

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

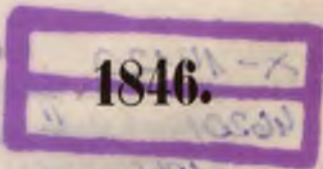
Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

4262/22

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.



Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXII.

WARSZAWA.

**W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.**

1846.

ALEXANDER HUMBOLDT.

(TŁOMACZENIE Z *Revue Britannique*).

PRZEZ

Konstantego Wolickiego.

Autor tego zajmującego ustępu zaczyna od wyznania, że w ogólności wyższe szkoły Angielskie źle przysposabiają do odbywania i opisywania podróży; że przeciwnie, stały ląd pod tym względem ma nad Anglią przewagę. Niemcy i Francuzi, mniej podróżujący od Anglików, czynią to z nierównie większą od nich korzyścią, i nader byłoby trudno między turystami Angielskimi piszącemi, znaleźć ludzi tak celujących, tak zajmujących opowiadaniem i tak dokładnych, jak pp. Chateaubriand, Lamartine i Humboldt.

Ten ostatni już sam potwierdza wyższość uniwersytetów Niemieckich, które tak wieloraką naukę rozszerzają. Ale też Humboldt, już młodzieniec rzadkie przedstawiał zjawisko; łączył zdolności napozór z sobą niezgodne: zapał poetyczny, wytworność stylu, moc logiki, pamięć nadzwyczajną, wszystkie warunki niezbędne do zgłębiania umiejętności.

Gdyby państwo nauk miało obecnie wybierać monarchę, temuto człowiekowi nadzwyczajnemu należałoby berło i korona; nie dlatego, żebyśmy mu przyznawali geniusz najpotężniejszy, sławę najświetniejszą, oryginalność najniezaprzeczszą, ale że nikt podobno nie jest tak uniwersalnym, nikt się nie wzbil tak wysoko i nikt tyle różnorodnych zasług nie położył jak badacz Kordylierów. Przyznajemy wyższość umiejętności Lejbnicowi przed Newtonem, i zdaje nam się iż pod względem pojęć twórczych Laplas jest niższym od Kiuwiera; krótko mówiąc, umysł który w sobie skupił najwięcej promieni rozrzuconych, a nie taki który mniejszą ich ilość jaśniej odbija, zdaje nam się najpotężniejszy. Dokładny rozbiór ostatniego dzieła Humboldta (*), będącego sprawozdaniem z prac jego jako naturalisty, filozofa i wędrownika, jużby dostatecznie dowiódł, żeśmy się za daleko nie posunęli, licząc Humboldta w poczet najznamienszych geniuszów tegoczesnych Europy. Rozbiór ten byłby pracą przekraczającą granicę jaką sobie zamierzylismy; przestaniemy na skreśleniu życia Humboldta, które prędzej czy później, powinno być umieszczone na czele tego znamienitego dzieła.

Fryderyk Henryk Alexander Humboldt urodził się w Berlinie d. 14 września 1769 r., w rodzinie szlacheckiej, bogatej i powszechnie poważanej; miał brata starszego o dwa lata, Karola Wilhelma barona Humboldt, który będąc ministrem stanu, szambelanem, radcą tajnym króla Pruskiego, odznaczał się głęboką nauką.

Alexander Humboldt otrzymał staranne wychowanie które mu służyć miało za całe dziedzictwo. Nauczycielem

(*) *Kosmos*, które już i w Angielskim znajome jest przekładzie.

jego był Kunth, u którego stołu zasiadali najznamiensci filozofowie Pruscy. Onito wpoili w Humboldta miłość umiejętności, pomogli naturze w rozwinięciu umysłowych zdolności jego.

Już wiele na wiek swój światła naukowego mając, kończył nauki w uniwersytetach Berlina, Giettyngi, Frankfurtu i Hamburga, a skutkiem tych częstych zmian miejsca, poznał to czém każde z tych miast celowało nad inne, i uniknął niedogodności wynikających z systematu wyłącznego. Rozkwitająca sława jego, wpływ rodziny i tysiąc innych przyjaznych okoliczności, otwierały mu, gdy zawód uniwersytecki skończył, drogę do urzędów; on przecież zaczął od podrzędnego pracownictwa w jednym z pierwszych domów handlowych Hamburga. Tamto nabył biegłości w rachowaniu, zdolności rozumowania na liczbach, przymiotów któremi następnie odznaczył swoje pisma polityczne i pamiętniki dotyczące umiejętności. Zbyt już objawił powołanie swoje, ażeby przedsięwzięcia czysto kupieckie mogły być powabnemi dla niego. Pragnąc podróży i sławy naukowej od chwili w której wyczerpał bogactwa wiadomości ogólnych, jakie jego duchowi książki, muzea, kursa publiczne hartu dodały, postanowił własnymi oczami badać zjawiska, których opisy go uderzyły. Wyjechał zatem w towarzystwie dwóch znamienitych naturalistów (Forstera i Van Geuns) aby czynić spostrzeżenia mineralogiczne i geologiczne w Niemczech, Holandyi i Anglii. Owocem tej naukowej wycieczki, było pierwsze dzieło Humboldta wtedy 21 lat liczącego: *Observations sur les basaltes du Rhin*, drukowane w Brunświku r. 1790. Chociaż dzieło to zyskało powszechną wziętość, przecież Humboldt bynajmniej nie sądził że sobie ubliży, udając się pod opiekę

professora Wenera, którego lekcye zwabiały do Frejberga z całej Europy młodzież pragnącą uczyć się geologii. Tam wspólnie z sławnym baronem de Buch, zgłębiał budowę wewnętrzną kuli ziemskiej pod względem mineralów, skał i szczątków kopalnych. Poszukiwania te naprowadziły go do zastanawiania się nad wegetacją podziemną, dającą się spostrzegać w kopalniach i pieczarach. To było przedmiotem jego drugiego dzieła „*Specimen florae Friebergensis subterraneae, 1793.*”

Zawsze do polityki rządu Pruskiego należało, udzielenie wszelkiej pomocy naukom. Nie mógł jój przeto odmówić młodemu człowiekowi, niemającemu żadnego udziału w zaburzeniach Europejskich, trudniącemu się w r. 1793 klasyfikacją hdtów, i rozdzielaniem pokładów na zgodne i niezgodne. Mianował go więc najprzód asesorem rady górniczej, a wkrótce potem dyrektorem generalnym górnictwa w księstwach Anspach i Bayreuth. Ale urząd ten nie był dostatecznym dla czynności młodego Humboldta, i przez lat kilka przepędzonych we Frankfurcie, zajmował się bez przerwy zakładami filantropicznymi. Szkoła w Streben, dziś jeszcze kwitnąca, która wydała niejednego znamienitego człowieka, była jednym z jego utworów.

W tymże czasie, uderzony świetnością odkryć Galwaniego, poświęcił się nowym badaniom w przedmiocie lepij poznanej elektryczności. Jego poświęcenie się dla nauki tak było wielkie, iż celem odstonienia jednego z swych muskułów i zetknięcia go z przewodnikiem galwanicznym, przyłożył sobie na plecach plaster z kantaryd. Rozbiór tych nowych badań jego ogłoszono r. 1796, i tyle zajęły one uczonych, że Blumenbach sam zrobił przypiski do tłómaczenia Francuzkiego wy-

drukowanego w Paryżu r. 1799 (*). Za ledwo dzieło to świat ujrzało, znowu Humboldt, uzbrojony barometrem i młotkiem, rozstał się na długo ze swym urzędem, który wadził jego zamiarom, i którego ciągła zawistość nie była zgodną z nieustanném zagłębianiem się badacza. Przebiegł Szwajcaryą, Włochy; wrócił do Prus, a po uśmierzeniu rewolucyi Francuzkiej udał się do Paryża, dokąd go ciągnęło pragnienie wejścia w stosunki z pierwszymi uczonemi Europy, i poznania szacownych zbiorów Buffona, Daubentona i innych. Zaprzyjaźnił się z Kiuwierem, Arago, Gay-Lussakiem, młodemi wtedy jak on i jak on oddanemi naukom. W tych znamienitych ludziach było to samo pragnienie awantur, ta sama potrzeba wzruszeń, ta sama żądza odkryć dalekich, jaka się objawiała w przyszłym zdobywcy Egiptu. Równie jak Humboldta, dręczyła potrzeba przedsięwzięć i współpracownika jego Bonplanda; oddychali nią wraz z powietrzem, i zdawało się iż była zaraźliwa dla nich. Najprzód zamierzili wspólnie z kapitanem Baudin, sławnym a nieszczęśliwym żeglarzem, odbyć podróż wokół świata, którą później Baudin uiscił. Następnie, zachwycony potężnymi widokami wyprawy Egipskiej, Humboldt powziął myśl udania się za Bonapartem celem zwiedzenia Arabii, golfu Perskiego, i udania się potem aż do posiadłości Angielskich w Indyach. Różne mniej znaczne przyczyny stanęły na zawadzie temu przedsięwzięciu, a jakby niewidomą ręką prowadzony, Humboldt w końcu zwrócił oczy na kraj dziewiczy dla nauki, bogaty w różnorodne zjawiska, zasługujący na podziwienie poety, i żądający dla cudów swoich objawiciela godnego ich

(*) *Expériences sur le galvanisme, et en général sur l'irritation nerveuse ou musculaire des animaux.*

wspaniałości. Tysiączne przeszkody i przeciwności, zrządzone opatrności wolą, towarzyszyły temu młodemu uczoneму Pruskiemu.

W Marsylii oczekiwał tylko na Szwedzką fregatę Jaramas, która go miała przewieźć do Algieru, z kąd spodziewał się połączyć z wyprawą Egipską; ale okręty Angielskie żeglujące po morzu Śródziemném, nie dozwoliły owej fregacie, wiozącej konsula Szwedzkiego i podarunki dla deja, przybić do Francuzkiego portu. Po dwóch miesiącach czekania niespokojnego, Humboldt udał się do Madrytu, z kąd zamierzał wybrać się do Andaluzyi, a tam znaleźć sposobność przejazdu do Algieru, gdzie p. Skioldebrand konsul Szwedzki, miał dla niego i dla Bonplanda, wyjednać wszelkie ułatwienia do zwiedzenia części gór Atlasu, do których p. Defontaine nie mógł się przedrzeć. W Madrycie doznał nowych przeciwności. Dwaj przyjaciele dowiedzieli się że Tunetański rząd, źle postąpił z reprezentantami Europejskimi, i że się dopuścił względem nich różnego rodzaju nadużyć. Nie była to więc chwila, w którejby wypadało spodziewać się dobrego przyjęcia Algierczyków. Zresztą podróżowali zwolna, to że ich zachwycaly piękności Walencyi, to znowu że ich zatrzymały ruiny Saguntu; a gdy przybyli do stolicy Hiszpańskiej, przyjęcie również ze strony uczonych zgromadzeń jako i samych ministrów, było tak powabne, że nie wypadało im śpieszyć się z wyjazdem.

Wkrótce też otworzył się im horyzont. Rząd w Madrycie udzielił im rzadkie i godne pozazdroszczenia zezwolenie, zwiedzania podług woli osad Ameryki Hiszpańskiej, tudzież wysp Maryańskich i Filipinów, w powrocie przez archipelag Azyatycki i golf Perski.

Natychmiast Humboldt skłonił się do tej podróży, a Bonpland który się był z nim rozstał, uwiadomiony listownie o tej niespodziance, nie wahał się dłużej. W marzeniach ich o przyszłości, Buenos-Ayres, Peru i Kordyliery, zajęły miejsce Arabii i Himalai.

W następnym miesiącu maju opuścili Madryt, udając się do Korunny wówczas blokowanej przez eskadrę Angielską, zkąd mimo to, mieli popłynąć do Kuby. Wydalenie ich spóźnione kilkunastu dniami, nastęrczyło im możność uporządkowania pięknego zbioru roślin, zgromadzonych w nieznanach jeszcze dolinach Galicyi, i zastanawiania się nad szuwarami, różnemi ślimakami wyrzucanemi na brzegi morza północno-wschodniego, kiedy się wznosi latarnia na wieży Herkulesa.

Słop Pizarro, mający ich przewieźć do Nowego świata, odpłynął d. 5 czerwca, a zatrzymawszy się w drodze aby podróżni nasi mogli zwiedzić szczyt Teneryffy, wylądował z nimi szczęśliwie w Kumana, stolicy nowój Andaluzyi, d. 16 lipca r. 1799. Zabawili tam, aby sprawdzić narzędzia, za których pomocą tyle ciekawych doświadczeń wykonać mieli. Rozpoczęli jednocześnie zbiory botaniczne, i oglądali ślady wielkiego trzęsienia ziemi, które przeraziło tę okolicę w grudniu r. 1797. Umiejętnemi postrzeżeniami astronomicznemi, Humboldt oznaczył dokładnie szerokość Kumany, którą większa część geografów, mieściła o pół stopnia ku południowi bliżej od istotnego jój położenia. Aż do początku 19go wieku, cały brzeg stałego lądu zbyt przybliżano ku południowi; wart bowiem wód koło Trinité, kierujący się ku północy, powodem był błędzenia żeglarzy, i ich mniemanie, że znajdowali się dalej od północy, aniżeli to było istotnie. Humboldt, prostując te naukowe przesady,

zapisywał jednocześnie w dzienniku swęj podróży, osobliwe zwyczaje narodu Indo-Hiszpańskiego. Mieszkańcy Kumany, są najniedołężniejszymi ludźmi. Największą ich przyjemnością jest kąpiel w przejrzystych wodach Manzanaresu, a brak zatrudnień ważnych, przeistoczył ten spoczynek w codzienny nałóg. Stan tęj rzeki, przeszedł za czasem w główny interes tych ludzi. Spotkawszy rano jeden drugiego, zamiast spytać się go: *jakie dziś powietrze?* pyta się, *czy dziś woda w Manzanares chłodna?* Jeżeli odpowiedź jest przychylna, całe towarzystwa w lekkich ubiorach sadowią się wśród nurtu rzeki, w krzesłach w okrąg rozstawionych; tam palą cygara, piją limoniadę, obnoszoną poważnie przez Murzynów po pas w wodzie brodzących. Gawędka nocna przewleka się aż do rana, czasem tylko przerywa ją to zjawienie się małego krokodyla (*bavas*), który lubo rzadko bardzo, pożera przecież niekiedy jednego lub parę Kumańczyków; to delfina, który z zatoki płynąc pod wodę, wyrzuca nozdrzami strumienie wody, i rozprasza towarzystwo, mniej więcej przerażone wybrykiem zwierzęcia.

Blizko Kumany są bagna słone półwyspu Araya, gdzie strumienie nafty, wytryskujące ze złóż łupku mikowego, pokrywają morze na tysiąc stóp błotem olejnym. Woń jego rozchodzi się aż do środka półwyspu. W témto miejscu, podróżni nasi ujrzeli po raz pierwszy cudowne *piédras de los ojos*, które się obficie znajdują na samym cyplu przylądka Araya. Ciąła te, na pozór bezwładne, uchodzą zarazem za kamyki i zwierzątka, wydobyte z piasku w którym są zupełnie nieruchome; ale osobno położone na powierzchni gładkiej, gdy będą skropione sokiem cytryny, zaraz ruszają się z miej-

sca. Kamyki te, prawie okrągłe, mają od jednej do czterech linii średnicy; jedna z ich powierzchni jest płaska a druga wypukła, i upewniają, że umieszczone w oku chorém, krążą wkoło niego i oczyszczają je z wszelkiej obcej istoty. Tęj szczególnéj własności winne są swą nazwę *kamieni ocznych*. Rzeczywiście sąto dziurkowane nakrywki wapienne muszli jednoskorupnych, zaokrąglone, które sok cytryny przenika i we wrzenie wprawia. Ruszają się wtedy, podług zasady którą Barker usiłował zastosować do młynów, tojest oddziaływaniem kwasu węglowego, gwałtownie się wydobywającego, i to zupełnie w ten sposób, jakim w *piecach zaczarowanych* naszych guseł Europejskich, ruszają się bochny chleba w kierunku poziomym, zawsze siłą kwasu węglowego, którego wydobywanie się gorąco pieca ułatwia.

Góry nowéj Andaluzji, są zamieszkałe przez missye Indyan Chajansów, do których nasi podróżni udali się przez lasy palmowe i drzewiastych paproci. Ich oczom odkryły się nowe i cudowne piękności w skwarzym klimacie, w którym formy roślinne strefy gorącej przedstawiają się w całej krasie wspaniałości. Natłoczone lasy dowodziły nadzwyczajnéj bujności wzrostu, a wierzchołek jednego drzewa, z wierzchołkiem drugiego lianami związany, dźwiga na sobie długie sploty i wieńce z kwiatów. Wkoło pniów niesłychanéj średnicy, widzieli turzyce, roślinę trawiastą, wijącą się na wzór lian, do dziesięciu stóp wysoko, z którego to punktu rozwodziła ponad drogą zieloniste sploty kołyszące się od powiewu wiatru. Prawie wszystkie pnie drzewne, są okryte gęstym kobiercem zieloności, a na jednéj fidze tyle się żywi roślin storczykowatych i innych pasorzytnych, iż przesadzając je starannie, możnaby zająć niemi pewną prze-

strzeń gruntu. Ta sama liana, która najprzód wiła się po ziemi, pnie się do wierzchu najwyższej palmy, a w wysokości stu stóp, jeszcze wystrzeliwa na spotkanie inną takiegoż wzrostu latorośli, w którą się wkręca i wplata.

Na zchylku doliny Arenas żył wtedy rolnik, Franciszek Luzano, na którym Humboldt miał sposobność sprawdzić całkiem wyjątkową własność. Żona jego karmiąca jedyne synka, zachorowała. Celem uśmierzenia płaczu dziecięcia, ojciec wziął je do swego łóżka i tulił do piersi; zwiedzione tym ruchem dziecię, ujęło pierś ojca, a ssaniem skutkowało zjawisko nadzwyczajne; ukazało się mleko najprzód w małych kropelkach rzadkich, następnie coraz obficie, w końcu drażnienie brodawki i działanie ustawne warg dziecięcia, sprawiły napływ pokarmu w wezbraną pierś ojca, i niemowlę przez pięć miesięcy, po trzy razy na dzień, pożywienie w niej znajdowało. Nader mało przytoczonych jest tak szczególnego karmienia przykładów. Starożytni wspominają o capach na Lemnos i Korsyce, które mleka dawały. Humboldt sam nawet widział w Hanowerze kozła, którego co dwa dni dojono, i otrzymywano tyleż a nawet więcej mleka, aniżeli od kóz jego towarzyszek.

Dalej podróżni nasi zatrzymali się nad brzegiem niezmierniej rozpadliny, otwartej w górze Cuchevano, a którą otaczają ściany prostopadłe wapienia Alpejskiego, na ośmset sążni wysokie. Dwie pieczary niedostępne otwierają nad tę przepaść swoje dymiące paszcze, z których czasem buchają płomienie na kilkaset stóp wysoko, oświecając przyległe góry, z towarzyszeniem podziemnego łoskotu.

Dolina Caripe, którą następnie zwiedzili, słynie chłodem trwającym w niej rok cały, a bardziej jeszcze ogro-

mną pieczarą (*cueva*) zwaną Guacharo, którą mieszkańcy tameczni nazywają miną tłustości, niżej dowiemy się dlaczego.

Jaskinia ta, nie znajduje się w samej dolinie, lecz w odległości mil 3ch ku wschodnio-południowo-wschodniej stronie. Otwór jej zwrócony na południe, prowadzi pod sklepienie na sześćdziesiąt dwie stóp wysokie a ośmdziesiąt szerokie. Niebotyczne drzewa okrywają skałę, a bogata wegietacya, dobywająca się wszystkiemi szparami granitu, spada w splotach nieregularnych aż do środka groty, której wnijście otoczone jest nadobną zielonością. Podróżni nasi, mierząc przebywaną drogę sznurem, zapuścili się na czterysta trzydzieści stóp w głąb jaskini, przy pomocy tylko światła zewnętrznego. W tej odległości, gdy im już promieni dziennych nie dostawało, usłyszeli w oddaleniu przenikające krzyki ptaków nocnych (*guacharos*), zamieszkujących w niezliczonej liczbie nieznanie głębokości tej kolosalnej otchłani.

Guacharo (*) jest wielkości naszej kury, ma pióra czarne w błękitno-popielate wpadające, i podobny obyczajami do wrony Alpejskiej. Jestto prawie jedyny ptak nocny owocozerny, a noce księżycem oświetlone lubi przepędzać zewnątrz miejsca swego zwykłego pobytu.

„Trudno, mówi Humboldt, byłoby sobie wyobrazić okropny hałas, zrzadzany krzykami takiej mnogości ptaków w głąbi tej jaskini. Moznaby go przyrównać do wrzasku wron, sadowiących się gromadami na dębach północy. W miarę postępowania w głąb groty, zwiększały się te krzyki. Światło naszych pochodni kopalowych przeraziło tak dalece te ptaki, że owa niesłychana wrza-

(*) *Steatornis caripensis* Humboldt.

wa, nagle wkoło nas ustała na kilka minut, lecz za to usłyszeliśmy w oddaleniu inne głosy smutne, a które były kwileniem młodych, dochodzące nas z głębi ciemnych chodników, na wszystkie rozciągających się strony. Gniazda są na 50 do 60 stóp wysoko od ziemi, w dziurach lejkowatych, tak licznych jak komórki w plastrze pszczeliny. Co rok, w środku lata, Indianie wchodzi do tej jaskini, opatrzeni długimi żerdziami, które większą część gniazd niszczą. Tysiące więc młodych ginie śmiercią gwałtowną, a *guacharos* stare, jak gdyby chciały bronić swojego płodu, latają wrzeszcząc nad głowami Indian. Młode, spadłe na ziemię, zaraz otwierają, i wydobywa się z nich znaczną ilość tłuszczu, którą Indianie przetapiają przy wchodzie do grotu, w naczyniach glinianych, i nazywają to zbiorem oleju, który jest napół ciekły, przezroczysty, bez zapachu, a tak czysty, że się przechowuje rok cały, bez nabierania jakiej bądź odrazy. Członkowie rodu Indyjskiego, zwani *Morokajmami*, obstają przy prawie wyłącznym do własności tej jaskini i do oleju czyli masła z *guacharów*, a to na mocy że są potomkami pierwszych osadników; ale mnisi zamieszkali między nimi, przeczą tej wyłącznej własności jako przeciwniej nadaniom kościoła, i pod tytułem potrzebowania światła do kaplicy, pobierają znaczną dziesięcinę z tej masy tłuszczu.

Humboldt z towarzyszem swoim, doszli w jaskini Carripe do głębokości 460 stóp. Przed nimi biskup w St. Thomas w Guyanie, doszedł 1500 stóp, a jeszcze nie stanął u końca. W miejscu w którym się zatrzymali pod różni nasi, rzeczka biorąca początek w tym tajemniczym wydrążeniu, tworzy wodospad, za który przewodnicy Indiancy posunąć się nie chcieli, z bojaźni i z przekonania, że się spotkają z cieniami swych przodków.

Wróciwszy do Kumany podróżni nasi, kiedy się już gotowali do wycieczki na Orenokę, o mało że nie zginęli z ręki obłąkanego zapaleńca. Dnia pewnego, gdy przechodzili się nad brzegami zatoki Zambo, lazaron Indyjski, obnażony po pas, przypadł i uderzył na nich z tyłu. Już podniósł ciężką pałkę na Humboldta, który szczęściem że to spostrzegł, i skoczeniem na stronę uniknął ciosu. Ale Bonpland, który nic nie widział, uderzony powyżej ciemienia, padł prawie bez zmysłów. Humboldt otrzeźwił i podniósł z ziemi towarzysza, nim Indyanin mógł go powtórnie swą maczugą uderzyć. Wtedy obydwu natarli na zacieklego nieprzyjaciela. Bitwa byłaby się pewno smutnie dla którego z nich skończyła, bo Zambo wy dobył ukryty nóż długi i ostry, gdyby na ich pomoc nadbiegli kupcy Biskajscy, nie byli ich obronili. Przytrzymano zabójcę i w warowni śgo Antoniego zamknięto, ale w dni kilka wymknął się z więzienia.

W czasie zimy, to jest od 18 października do 3 listopada 1799 r. uważał Humboldt z Bonplandem zjawisko obchodzące nader powszechnie. Przy końcu dnia, wapory czerwone podnosiły się z ziemi, i w kilka minut zciemniały błękit nieba. Od 20 października do 3 listopada, znacznie zgęstniały; chłodzące wiatru powiewy ustały, cała atmosfera zdawała się pałać, ziemia spiekła porozpadała się, ciężkie czarne chmury otaczały góry rozciągnąwszy się aż do zenitu. Około czwartej godziny po południu, usłyszano w dali grzmot ponury, chrapliwy, przorywany, a w chwili najmocniejszych uderzeń elektrycznych, o kwadrans na piątą, dwa wstrząśnienia ziemi zachwiały miasto, w cztery se-

kundy jedno po drugim. Bonpland zajęty przeglądaniem roślin, przewrócił się, a Humboldt doznał gwałtownego wstrząśnienia, lubo leżał w hamaku (*). Mieszkańcy napelniając powietrze swemi wyrzekaniami, zgromadzili się na placu publicznym. Zdawało im się, że są świadkami wydarzenia zaszłego przed 22 miesiącami, które prawie zniszczyło ich miasto. Trzecie wstrząśnienie nastąpiło w wieczór koło godziny 9. Poruszenia bussoli zmieszało wstrząśnienie ziemi, co było zapewne skutkiem mechanicznym, lubo intensya magnetyczna w podobnych razach, znacznym zmianom ulega. Wapory czerwone zniknęły 7 listopada, a w 7 dni później ujrzano od wschodu najdziwniejsze ognie meteoryczne. Tysiące kul meteorycznych i gwiazd spadających w kierunku ciągłym i mierztyelnym od północy ku południowi, następowały jedne po drugich przez cztery godziny, w przestrzeni rozciągającój się do 30 stopni na prawo i lewo wschodu prawdziwego. Kule meteoryczne (bolides), widziane nad granicą Brazylii w odległości 230 mil Francuzkich, zdawały się pękać i w iskry rozsypywać, zostawując za sobą szerokie ślady świetliste. Spadające gwiazdy miały jądro wyraźne, tak szerokie jak tarcza Jowisza, i wydawały iskry nader jasne.

Spisawszy spostrzeżenia swe nad temi zjawiskami, Humboldt z Bonplandem udali się do Caracas morzem, albo raczej do *la Guayea*, właściwego portu, odległego 3 mile od stolicy Wenezueli. Droga ztąd wiodąca, daleko bardziej jest malownicza i dzika, anizeli najświetniejsze przesmyki Alpejskie. Samo Karakas, pobyt wiecznej

(*) Płócienne łóżko dające się zawiesić. Zwykle na takiem spiją podróżujący na okrętach.

wiosny, przyrównaném było do ziemskiego rajy przez jednego z pisarzy krajowych, który utrzymywał, iż rzeka Anauko i doń wpływające, są czterema rzekami Edenu. Humboldt opisał Karakas tak jak go widział w r. 1800, z ośmiu jego kościołami, pięciu klasztorami, szerokimi ulicami i obszernymi placami; lecz w chwili kiedy miał wydać swe dzieło, już opis ten nie był prawdą; trzeba doń było dodać obraz trzęsienia ziemi, które 26 marca r. 1812 całkiem zniszczyło Karakas i zdziesiątkowało ludność jego.

Ten dzień nieszczęsny był gorący i spokojny; święto uroczyste większą część mieszkańców ściągnęło do kościołów. O godzinie czwartej minut siedm, wstrząśnienie gwałtowne, od którego dzwony zabrzęczały, zapowiedziało nieszczęście nastąpić mające. Jakoż przez 6 sekund, ziemia nadymała się jakby ciecz we wrzeniu. Poprzedzone okropnym dudnieniem podziemnym dwa jednoczesne wstrząśnienia, lecz w kierunku przeciwnym sobie, połączyły swe siły niszczące, wzdęcia ziemi sprzeciwiały się jedne drugim i nic oprzecz się nie mogło ogniom podziemnym. Z wyjątkiem jednej ulicy do zamieszkania niezdatnej, całe miasto się przewróciło, a w zwaliskach jego zginęło do 10000 ludzi, pomijając umarłych później w skutku ran odniesionych i nędzy. Więcej trzech tysięcy osób przytlukły sklepienia świątyń, a cały półk pod bronią, zagrzebanym został w zwaliskach koszar śgo Karola. W sprzeczności z tą sceną zniszczenia, niebo było pogodne; noc spokojna, a księżyc w pełni oświecał tę ziemię rozdartą, napelnioną krwawemi szczątkami, rannemi, konającemi i trupami. Matki unoszące dzieci umarłe lub umierające, z krzykiem przebiegały ulice. Krocie nawpół przywalonych zwaliska-

mi, wyciągali ręce do przechodniów zebrząc litości; więcej dwu tysięcy ludzi wydarto śmierci okrutnej, zaniesiono ich z choremi, którzy jeszcze ocalili w szpitalach, na rzeki nadbrzeże, i tam w cieniu drzew postawiono; co zaś do zmarłych, zbyt licznych ażeby pogrzebani być mogli, pozostawało tylko spalić ich gromadami na stosach wśród zwalisk. Niezupełne tylko przechowano szczegóły o skutkach moralnych i religijnych tego okropnego zdarzenia. Processy przebiegały ulice, śpiewając hymn umarłych; spowiadano się głośno, a jak w Quito po wielkiem trzęsieniu ziemi roku 1797, wiele małżeństw przyszło do skutku między osobami żyjącymi dotąd w stosunkach nieprawych, poprzyznawano dzieci w nich spłodzone, gdyż widok tak blizki śmierci zwracał rodziców do uczuć prawdziwych, najdzielniejszych naszej natury. Obywatele poczytywani za cnotliwych, w tej okropnej chwili przyznali się do oszustw niegodnych, i przyrzekli zwrócić dobro źle nabyte. Niełaski między rodzinami głęboko wkorzenione, które usunąć zdawało się niepodobieństwem, ukończyły się i zgasły w powszechném nieszczęściu.

Lecz opowiadając to, odstąpiliśmy od naszych podróży, którzy zamierzali opuścić jeszcze istniejące wtedy Karakas, i przedsięwziąć podróż o mil siedmset, nad brzegi wielkiej Orenoki. Pierwój jednak pragnęli zwiedzić górę o cyplu podwójnym, zwaną *Silla*, Siodło Karakasu. Niedbałość krajowców tego stopnia doszła, że dotąd żaden z nich nie spróbował wejść na tę górę. Humboldt podczas tej wycieczki, wzbogacił rzadkimi roślinami swój zbiór botaniczny, miał oraz sposobność powtórzenia pięknych doświadczeń nad przezroczystością atmosfery i łamaniem się światła. Wkrótce po wy-

jeździe z Karakas, przebywając góry Los Teques, naturalści nasi znaleźli w Quebrada Seca, najgłębszym wąwozie przerywającym te góry, powalone drzewo rostrzału (*Hura crepitans*), którego wielkość była niesłychana. Drzewo to lubo od wierzchu upalone, miało jeszcze pień 150 stóp długości, przy korzeniu 18 stóp średnicy, przy wierzchołku 4 stopy cali 2. W Quebrada d'oro (wąwozie złotym) widzieli ogromne drzewa figowe, okryte waniliami pachnącemi którym za podporę służyły. Główny pień tych drzew, obłożony jest do wysokości stóp 20 innymi pniami równoległymi, zwiększającemi jego średnicę i czyniącemi go podobnym do żłobkowanej kolumny. Korzenie drzew tych daleko rozchodzą się nad ziemią, a zacięte o 20 stóp od pnia, wydają sok młeczny który się zaraz ścina. „Co za cudowny układ wydrzeń i chodników, mówi zdziwiony Humboldt, w tych massach wegetalnych, w owych niebotycznych drzewach strefy gorącej, które tysiące lat wyrabiają bez przerwy soki pożywne, wypędzają je na 80 stóp pod poziom, znów sprowadzają je do ziemi, i kryją pod grubą i niekształtną korą cały ruch życia organicznego”. Jezioro Tacari-gua, które widział udając się do Walencyi, jest większe od Neufchatelskiego w Szwajcaryi; najrozmaitsza wegetacya okrywająca brzegi jego, przedstawia ciekawemu podróżującego oku cuda nieskończone. Żywe barwy roślin, odbijając się dziwnie przy tle jednostajnym nieba bez chmur, stopniowe zmniejszanie się wód w tém jeziorze, może być przedmiotem badań dla uczonych. Humboldt przypisuje to zjawisko wycięciu lasów w dolinach przyległych, które osuszyło klimat, i rzeki zmieniło w strumienie.

Atmosfera czysta i sucha, otaczająca doliny Tuy i Aragua, dozwoliła Humboldtowi uważać fenomen znamienity, światło zodyakalne, przedstawiające piramidę wznoszącą się na 53—60 stopni, słabo oświetloną. Jasność tego światła co parę minut tak się zmieniała, że raz ledwie było widzialnym, to znowu stawało się jaśniejszym od drogi młecznej jak się nam ta wśród lata ukazuje.

Doliny Aragua obfitują w wody mineralne, które wypływają trzema punktami z Kordylierów. Wody w Mariana, mają od 128 do 133 stopni Farenheita; wydobywają się z nich bańki gazu wodorodnego siarczystego. Wody te swą przezroczystością zadziwiły naszych podróżnych. W Nowej Walencji zwróciły na siebie uwagę ich, wydrążenia ogromne pod domami miasta, porobione przez mrówki. Wydrążenia te usługą zastępują zwykle po miastach kanały; a gdy je dęszczowa woda napelni, mogą spowodować zawalenie się gmachu. Używają przeciwko tym niebezpiecznym owadom kadzeń; ich zaś poczwarki tępią ogniem. Franciszkanie w St. Domingo znaleźli te środki bezskutecznymi, na uroczystym zborze wybrali świętego, któremu obronę od mrówek poruczyli. Trzy mile za Walencyą znajdujące się źródła w Trinchera, mają gorąca 194½ Farenh. Z wyjątkiem źródeł w Urijino w Japonii, które tylko o 2 stopnie mniej mają od wody wrzącej, źródła te są najgorętsze w świecie.

Humboldt z towarzyszem swoim, zatrzymali się w dolinie Aragua, aby mogli sami sprawdzić przymioty drzewa krowiego, *palo de vaca*, jednego z najciekawszych płodów zwrotnikowych (*). Podobne ono jest do jabł-

(*) Zob. Bibl. Warsz. tom IV. r. 1845 str. 676, *Galactodendrum utile*.

ni o liściach szerokich, a lubo zwykle rośnie na bokach skał twardych, i zdaje się być zupełnie suchém, przecież zawiera w sobie obfitość białawego lepkiego napoju ze smakiem przyjemnym, i którego śmiało używać można. Humboldt i Bonpland wiele go pili, i prócz gęstości nic mu do zarzucenia nie mieli. Ciecz ta pożywna, jest obfitsza o wschodzie słońca, aniżeli w każdój innój dnia godzinie. O tym czasie zbiegają się zewsząd Murzyni i Indyanie, opatrzeni naczyniami przeznaczonemi do zbierania tego mléka. Ta mlékodajna palma, drzewo chlebowe, *rema* mórz południowych, drzewo sago wydające, drzewo masłowe z Bambarra, przez Mungo Parka odkryte, i inne, dowodzą wspaniałości twórcy, który wszędzie zaopatrzył potrzeby ludzi.

Postępując ku wielkiemu spływowi *llanos*, czyli ku sawanom Karakaskim, podróźni nasi z przyjemnością zastanawiali się nad araguatoesami czyli wyjąkami małpami, które spostrzegli raz piérwszy podróźujące processjonalnie z jednego wierzchołka drzewa na drugie. Z każdym samcem było kilka samic: między temi niektóre niosły swe mlode na plecach. Gdy mogą przestwór pomiędzy jedném a drugim drzewem łatwo przebyć, wtedy samiec prowadzący gromadę, zawiesza się na gałęzi chropowatym i stwardniałym mocnego ujęcia ogonem, a rozbujuwszy swe ciało, rzuca się na gałąź drzewa najbliższego. Tymże sposobem towarzyski jego za nim się przerzucają. Don Ulloa, przyznaje małpom tym jeszcze osobliwszą przebiegłość. Istnieje rycina jego, na której widać wielką ich liczbę, powiazaną ogonami, celem położenia na rzęce szerokiój żyjącego mostu, i przebycia jój w ten sposób. Krzyki małp tych słyhać

przeszło o milę. Misjonarze upowniają, że gdy samica rodzi, chóry te małpie uciszają się, czekając dopóki młode na świat nie wyjdzie. Podaniom tym jednak zupełnie wierzyć nie można.

Zszedłszy na 1000 stóp z doliny Aragua, przybyli nasi naturaliści do owego stepu, rozciągającego się aż do brzegów Orenoki. Humboldt utrzymuje, że widok jego nie mniejsze wzbudza podziwienie, jak łańcucha gór Andów; w tych rozległych i smutnych ustroniach, wszelkie przedmioty zdają się niewzruszonymi. Sądziłbyś że ta płaszczyna nieba dotyka, a na pierwsze wejrzenie wzięćby ją można za morze pokryte porostami wodnymi. Gdzie tylko ziemia ta z wegielacyi jest ogołocona, wszędzie na 120 stopni Far. goreje. Żadnego powiewu w powietrzu, a przecież w puszczy widać tumany kurzu. Na płaszczynie tej, przeszło mil 20 rozległej, nie znajdziesz wyniesienia nawet na stopę. Tu i owdzie tylko, jakby dla przerwania okropnej jednostajności, wznosi się rodzaj stołu ze skał utworzonego, ledwie 4 stopy nad poziom wyniesionego a wzdłuż mil kilka rozciągającego się. Powierzchnia tych llanos, wynosi 17 mil kwadratowych, jakich 20 idzie na stopień. Pochylają się na zachód i południe, a rzeki je przerzynające wpadają do Orenoki.

Przypatrzwszy się w suchych płaszczynach Calabozo zjawisku znanemu pod nazwą *mamidel* (*), mieli w Cona de Bera widowisko jeszcze ciekawsze połowu stręt (*Gymnotus*), czyli węgorzy elektrycznych, połowu szczególnego, do którego używają koni i mułów, aby w nim walczyły z rybami.

(*) *Mirages*, złudzenia z przezroczystości atmosfery i skutkiem światła sprawiane.

Strętwy znajdują się licznie w rzekach do Orenoki wpadających, trudno jednak przyszło naszym podróżnym dostać ich z powodu, że Indianie nader boją się tajemniczych uderzeń jakich doznają dotykając się tej ryby. Sądzą oni wprawdzie, iż człowiek mający pełne usta tytaniu, może bezkarnie dotykać się strętwy, lecz to ich mniemanie, będzie zawsze teorią: bo wcale nie dbają o jej sprawdzenie doświadczeniem osobistém. Aby go uniknąć taki wynaleźli sposób, przez Humboldta opisany: Wpędzają w bagno ze stepu pewną ilość koni i mułów dzikich. Szelest nadzwyczajny, jaki wchodzenie ich do wody sprawia, obudza strętwy ukryte w mule, i wyzywa do boju. Są one blade-żółtawe, podobne do węzów wodnych, pływają po wiérzchu wody i cisną się pod brzuch zwierząt, które ich spokojność wzruszyły. Walka jaka się wszczyną między stworzeniami tak co do swéj organizacyi różnemi, przedstawia zadziwiający widok. Indianie uzbrojeni ościami i długimi żerdziami, otaczają bagno ze wszech stron, a nawet wdrapują się na drzewa, których gałęzie rozchodzą się w poziomym nad wodą kierunku. Ich dzikie krzyki, i tyki długie, nie pozwalają koniom i mułom ucieczki na brzeg stawu; strętwy ogłuszone łoskotem, bronią się wypróżniając swe elektryczne baterye. Długo zdają się mieć przewagę; kilka koni i mułów, ginie z ciosów zewsząd odbieranych w najdelikatniejsze organy życia. Odurzone gwałtownemi wstrząśnieniami, słabną i idą pod wodę, inne, ledwie dychające, z najeżoną grzywą, z osłupiałemi oczyma, usiłują daleko ujsć z miejsca bitwy, lecz Indianie bez miłosierdzia napędzają je w wodę.

Jeżeli któremu z mułów lub koni uda się dostać na brzeg, upada co krok i wyciąga się na piasku, wycień-

czony wysileniem i mając zacierpłe wszystkie członki od elektrycznych strętwy uderzeń.

W przeciągu dwóch minut dwa konie utonęło. Strętwa mająca 5 stóp długości, ciśnie się pod brzuch koniowi, i razi go płynem ze wszystkich punktów swego elektrycznego organu; jednocześnie uderzone są serce, trzewia, plecionka nerwów podbrzuszných (*plexus coeliacus*), nie dziw zatem iż skutek szkodliwszy jest dla koni jak dla człowieka, uderzanego w jeden punkt tylko.

Zresztą zdaje się, że uderzenia te nie zabijają, ale tylko ogłuszają i otrętwiają konia: a jeżeli on idzie do dna i topi się, pochodzi to raczej ztąd, iż ciągła walka z węgorzami reszły koni, nie dozwala mu podnieść się i przyjść do siebie; w końcu, strętwy rozbite i do brzegów przyparte, wyczerpawszy swą elektryczność, dają się łowić wędkami przywiązanemi do długich sznurów. Jeżeli sznury te są suche, rybacy żadnych wzruszeń nie doznają wyciągając rybę z wody. Humboldt w ten sposób otrzymał ich kilka. Długie były na stóp 5 cali 4, do 7; jeden z nich ważył $15\frac{3}{4}$ funtów. Były zielonawo oliwkowej barwy, pod głową zaś miały plamę żółto-czerwono nakrapianą. „Nie przypominam sobie, mówi Humboldt, abym kiedy z wielkiej butelki Lejdejskiej tak gwałtownego doznał wstrząśnienia, jak dotykając się nieostrożnie nogą węgorza elektrycznego na ląd wyciągniętego”.

Gdy długą walką ryby są zmęczone, wtedy dotykając ich palcem, doznaje się świerzbienia, rozciągającego się od dłoni do łokcia, następnie drgania wewnętrznego, parę sekund trwającego, na ostatku przykrego odurzenia.

Elektryczne węgorze są nader niebezpieczne dla ryb innych, a jeżeli zdarzy się, iż zostanie ujęty w tę samą

sić w którą się młody krokodyl dostał, wtedy go tak swojemi uderzeniami elektrycznemi umęcza, że staje się przez to zupełnie niezdolnym do walki.

Opuszczając Calabozo, podróżni nasi wpływ przebyli rzekę Urituku, której krokodyle słyną ze śmiałej żarłoczności. Nieraz gonią psa aż na ląd, jeżeli im się w wodzie wymknął. Przeciwnie, krokodyle w rzece Tesnao, tylko o mil ośm ztamtąd odległej, są trwożliwe i nie szkodzą. W San-Fernando, nasi uczeni udali się rzeką Apure, wpadającą do Orenoki, i przekonali się nad jej brzegami o zgubnych skutkach wielkiej powodzi, która zalawszy step, tysiące dzikich koni zatopiła na nim. Najwięcej zginęło źrębiąt, mniej wprawnych w pływanie; stały się one pastwą krokodylów, które opanowały płaszczynę. I biedne Indyanki doznają nieraz napadu tych potworów, udając się po wodę nad brzeg Apury. Jedna z nich, gdy już była ujęta przez krokodyla, przypomniała sobie, iż, aby go zniewolić do puszczenia łupu, trzeba mu wytknąć oczy. To ją zbawiło, gdyż, zaledwie krokodyl poczuł zagłębiające się pod swe powieki przestraszonych Indyanki palce, puścił ją i uciekł, ukąsiwszy ją tylko w rękę.

Oprócz kajmanów, wielkości nadzwyczajnej, rzeka Apure żywi także rybki na 4 do 5 cali długie, nader chciwe krwi ludzkiej, i dlatego nazywają je *karaibami*. Jeżeli taka rybka zrani człowieka, przybywają zaraz krociami inne, przywabione krwi zapachem, i wtedy trudno uchronić się przed ich napadem żarłocznym. W klimacie tak gorącym, gdzie kąpiele rzeczne są potrzebą codzienną, karaibki te prawdziwą plagę stanowią.

Obrazy przedstawiające się podróżnemu na brzegach Apury, zostały w sposób nader zajmujący opisane przez

Humboldta. Rzeka ta płynie gęstemi lasami, napelnionemi mnóstwem nieznaných ptaków, tygrysów, jaguarów, świń pizmowych. Przy zachodzie słońca, płaczliwe krzyki małp na drzewach uwieszonych, rozlegają się daleko, do których mieszają się ryczenia drapieżnych dzikich zwierząt, i ciągłe śpiewy ptaków. Indyjanie mniemają że ci rozmaici goście leśni, obchodzą tą straszną wrzawą uroczystość pełni księżyca. Orenoko, 500 mil powyżej ujścia swego do morza, jest jeszcze 3 mile szeroka. Nasi podróżni płynęli tą rzeką aż do miejsca, gdzie w nią wpada Temi, przedzielona nieszerokim pasem ziemi od rzeki Cano-Pimichon, wpadającej do Rio-Negro. Na wodnej tej drodze, znachodzono wielką obfitość ciekawości. Tu spotkanie Indyjskiego kacyka, udającego się dwornio na połów jaj żółwich, nastęrczało Humboldtowi sposobność uważania fizycznój cechy plemienia Karaiarów. To znowu w górach Encaramada usłyszał podania o potopie, mało różniące się od tych, w których Grecka mitologia Deukaliona i Pirrę przedstawia. Dalej zhiéraniem wiadomości nieocenionych o *Arrau* i *Terekay*, uzupełniał historiją naturalną żółwia. Czasem też naturaliści zawieszali właściwe sobie prace, ażeby opisać cudownej piękności krajobraz, przemykający się przed ich oczyma. Koło Baraguan, w miejscu gdzie Orenoka płynie głęboko wśród granitowych opok, na których wegietacyi nie ma, i gdzie niezliczone jaszczurki gnieźdzą się spokojnie od początku świata, Humboldt napisał taki ustęp: „Jakże głębokie wrażenie zostawiło we mnie, to nieme osłupienie natury wśród dnia, pod tém piekącym słońcem! Zwierzęta leśne kryją się w gęstwinach, a ptaki pod liśćiami drzew, węże w wydrążeniach skał, a przecież w tej ciszy, zdającej się być zupeł-

ną, ucho czujne, słyszy gwar przytłumiony, brzęczenia ciągle owadów, napełniające niższe warstwy powietrza; nic zdolniejszym nie jest wpoić w człowieka uczucie życia organicznego, jego rozległości, jego siły. Miryady owadów pełzają po ziemi spieklej, miryady unoszą się wkoło roślin od słońca powiędłych, z każdego krzaka, z każdego pnia spróchniałego, ze skał na wszystkie strony popękanych, z ziemi nawet w której jaszczurka, stonoga, padalec wygrzebuja sobie drogi i siedziby, wychodzi gwar zmieszany, tajemniczy, którego początek i byt objawia się tylko baczemu postrzegaczowi. Ten gwar głuchy świadczy nam, że natura zawsze i wszędzie pracuje, że życie w tysiącznych kształtach krąży nie tylko pod tą ziemią spiekleją, ale w wodzie spokojnej i w powietrzu niczém niewzruszoném”.

Zatrzymanie się przy Pararumie, podało mu sposobność bliższego poznania różnych gatunków zwierząt, już w Europie nieżyjących, a które Indyanie przynoszą tam na zamianę za narzędzia do rybołówstwa, lub do polowania służące. Pomiedzy niemi osobliwy gatunek małp (*Simia sciurea*) ucieszył niezmiernie Humboldta. Znalazł on w tém zwierzęciu nierównie więcej pojętności i zrzeczności, anizeli w innych. Kupiona przez niego od Indian, rozpoznawała przedmioty w rycinach przedstawione, a gdy jój narysowano osę lub szarańczę, wyciągała łapkę do ich złowienia. Nie masz przykładu, ażeby pies najpojętniejszy, dał się złudzić jeleniem malowanym, lub też najpodobniejszym swojego pana portretem.

Szkoda, że tylko krótkie wyjątki udzielić możemy z téj pięknej podróży po Orenoce albo później po ścieżkach wodnych (*sendas*), odkrytych przez Indyan, nad brzeża-

mi Temi. Na rzece téj, nasi uczeni z wielkiém podziwieniem spotkali gromady delfinów wody słodkiej, otaczających barkę ich, i przebywających wplaw owe lasy wodniste.

Cztery] dni strawiono na przeprowadzenie ich łodzi łądem do wód rzeki Cano-Pimichon, które ich zawiody następnie do Rio-Negro, połączonej z rzekami Maranon i Amazonek. Przeprowa ta nader była dokuczliwa dla naszych podróżnych, z powodu ukąszeń moskitów, braku spoczynku¹, i wązkosci łodzi. Ale szło o oznaczenie postrzeżeniami astronomicznemi, położenia Cassiquiare, odnogi Orenoki która ją łączy prosto z Maranonem. Spodziewali się dopłynąć aż do źródeł Orenoki, i byłiby zamiaru dopięli, gdyby nie przeszkoda ze strony Indyan ludożerców, zwanych *Quaica* i *Guajaribes*. Wrócili zatem, a gdy znów dostali się na wody Orenoki, jeszcze im pozostawało do przebycia przeszło mil 300, ażeby stanąć w Angusturze, piérwszém miejscu w którémby wypocząć mogli.

W drodze téj zwiedzili pieczarę Ataruipo, położoną w pustyni zarostej, na pochyłości wysokiej góry. Służy ona za grób całemu pokoleniu Indyan, już zupełnie wytępienemu, i zawiera 600 trupów ułożonych najporządniej i dobrze zachowanych. Niektóre są czerwono pomalowane, inne podobne do mumij, powleczone są pachniącemi żywicami i zawinięte w liście helikonii.

Tu podróżni nasi dowiedzieli się o sposobie robienia trucizny roślinnej, którą Indyanie nazywają *curare* i zaprawiają nią swe strzały. Główna rękodzielnia téj niebezpiecznej kompozycyi, jest w wiosce Esmeralia, w bliżkości którój znajdujące się kawałki kwasu chlorytycznego, naprowadzały na domysł, że tu jest kopalnia dro-

gich kamieni. *Curare* wydobywają z liany zwanój *Besuco*, należącój do rodziny roślin kulczybowatych; skóra tój liany, kamieniem na drobno starta, naléwa się zimną wodą, która powoli kroplami odchodząc, wydaje ciecz żółtawą; tę następnie zgęszcza się przez ulotnianie, dopóki się nie otrzyma rodzaju czarniawego syropu. Ażeby zgęstnienie tym prędzej otrzymać, miesza się do cieczy rodzaj kleju roślinnego, otrzymywany z drzewa zwanego *kiracaguera*. Ciecz *curare* używana jako napój, nie jest szkodliwą ale owszem zdrową żołądkowi, lecz wprowadzona w krew, zabija natychmiast. Pomijamy tyśiące ciekawych postrzeżeń, tyleż wspomnień miłych i anegdot osobliwych aby dojść końca tój podróży, która niezdoławszy odstręczyć trudnościami Humboldta i towarzysza jego, wyniszczyła ich siły. Zaledwo stanęli w Angusturze, ciężko obydwu zachorowali; słabość Bonplanda była zupełnie podobną do gorączki tyfoidalnej. Humboldt piérwszy wyzdrowiał, ale zniewolony był pozostać jeszcze kilka tygodni z przyjacielem, którego życie było istotnie zagrożone.

Wyzdrowiawszy opuścili brzegi Orenoki, przebyli Wenezuelskie, dostali się do Nowój Barcelony, a następnie, wsiadłszy na statek przemytników (*contrebandier*), bo Anglicy całkiem przerwali żeglugę mierzytelną, dostali się do Kumany, gdzie liczni ich przyjaciele poczytali ich za wskrzeszonych, albowiem po całym stałym lądzie Ameryki rozeszła się była wieść o ich zgonie.

Niedługo tym razem trwał ich pobyt w Kumanie; dnia 16 listopada 1800 r. popłynęli na okręcie Amerykańskim do Hawany. Nagłe zmniejszenie się lasów na wyspie Kubie, groziło upadkiem zakładom cukier wyrabiającym. Humboldt starał się temu zaradzić zrobieniem

aparatów mniej opału potrzebujących. Zdjął mapę brzegów téj wyspy, i zrobił kilka postrzeżeń astronomicznych. W końcu lutego 1801 r. zamierzali naturaliści nasi ruszyć do Vera-Cruz, gdy odebrane wiadomości z Europy zmieniły plan ich podróży. Dzienniki doniosły, że dwa okręty Francuzkie, Geograf i Naturalista, pod dowództwem kapitana Baudin, udały się do przylądka Horn, i że wzdłuż brzegów Chili i Peru, miały się udać do Nowéj Holandyi. Humboldt przyrzekł był kapitanowi Baudin połączyć się z nim, skoro wyprawa do której miał należeć, do skutku przyjdzie. Rozdzielił więc z Bonplandem swe botaniczne skarby na trzy części: jedną odesłać miał do Niemiec przez Anglią, drugą do Francyi przez Kadyx, trzecia zaś miała pozostać w Kuby. Zbiór wyprawiony do Kadyxu, nie doszedł z powodu, że okręt na którym go wyprawiono, przy brzegach Afrykańskich zatonął.

Humboldt i Bonpland, udając się na ląd stały Ameryki, zwiedzili wyspy koralowe i kwieciste, nazwane *Jardinillos*. Srożypląty (*Rhizophora*), wilczomłécze (*Euphorbia*), i owa roślina wspuniała o liściach srebrzystych, od Turneforta nazwana *Turnefortia gnaphalioides*, okryta kwiatami pełnej woni, napelniały te czarujące wyspy. Majtkowie wylądowali na nie w celu szukania raków nadmorskich, a nie znalazłszy ich, zemścili się na gniazdach pelikanowych, zrządziwszy wielkie w nich zniszczenie kijami i pałaszami, pomimo krzyku i mocnego dzobania tych ptaków, w których jak wiadomo, uczucie macierzyńskie szczególnie jest rozwinięte. Archipelag wysp *Jardinillos* najniebezpieczniejszym jest w tych stronach, i nie na jednéj z tych wysp poetycznych, całe osady okrętowe poginęły z głodu. Nie przeszkodziło to wszak-

że Humboldtowi do zastanawiania się nad sprzecznością między naturą sobie samą zostawioną, kwitnącą, spokojną i wspaniałą, a zniszczeniem nastąpieniem po wylądowaniu majtków na jedną z tych ślicznych pustyń. Za naszym tam przybyciem pokój głęboki panował w tym zakątku świata niezamieszkanego. Teraz zdawało się wszystko przemawiać „człowiek przeszedł tędy!” Wkrótce przybyli do Kartagieny w chęci udania się do Santa Fe de Bogota, stolicy nowej Grenady, a potem wstąpienia na wysokie płaszczyny Quito. Żeby jednak wypocząć po znojach długiej podróży, zamieszkali czas jakiś w wiosce Turbaco, gdzie się ukryli przed niesłychanymi upałami panującymi wtedy w Kartagienie. Podczas botanicznych wycieczek mówiono im o małych wulkanach (*volcanitos*). Przewodnicy opowiadali, że te zjawiska naturalne przypisywano pewnemu świętemu, który ujrawszy okolice w ogniach, pokropił ją wodą święconą, a zaraz potem przeistoczyły się ognie podziemne, i kratery wyrzucały wodę w miejsce płomieni. W tej bajeczce Humboldt odgadł wybryk natury; zobaczymy co sprawdził w tej mierze. „Małe te wulkany, znajdują się o mil dwie od Turbaco, w gęstym lesie, obfitującym w drzewo Tolu, znane z balsamu używanego przez naszych lekarzy.” Wśród obszernej płaszczyny, spostrzegli około dwadzieścia ostrokregów do 25 stóp wysokich, utworzonych z gliny siwawej, u góry mających otwory wodą zapełnione; zbliżając się ku nim słycać przestankami odgłos ponury, ale wyraźny, i co kilka sekund wydobywa się z tych kraterów wielka ilość powietrza. Indygnie utrzymywali, iż od lat dwudziestu kształt tych ostrokregów nie uległ żadnej widocznej zmianie. Humboldt przekonał się, iż gaz wyłączający się z ich wody,

był saletrorodem, czystszym nierównie, aniżeli go wyrabiają pracownice chemiczne.

Pobyt Humboldta w Turbaco, pozostał w pamięci jego, jako najszcześniejsza chwila życia; jak się o tém bliżej przekonać można z tego co napisał w r. 1831.

„Dziś jeszcze, po takim upływie czasu i po odbytej podróży od brzegów Obi do granic Chińskich, przedstawiają się tysiąc razy méj myśli, owe gaje bambusowe z bogatą swą wegietacją; owe storczyki rozślane obficie na szanownych pniach ciawniaty (*Ocotea*) i drzewie figowém Indyjskiém; ten widok uroczy gór śniegiem uwiecznionych, te mgły jasne w dolinie, ubarwione purpurowo pierwszemi promieniami słońca, te massy drzew niezmiernych, które wychylając się z waporów, wydawały się jakby zielone wyspy na morzu burzliwém. Życie nasze w téj pięknej wiosce, było proste i pracowite, obydwaj byliśmy wtedy młodzi, jedneż mieliśmy humor i skłonności. Nadzieja złociła nam przyszłość, zamierzaliśmy wstąpić na najwyższe szczyty Andów, mieliśmy się znaleźć wśród wulkanów, na ziemi którą ustawnie wstrząsają, a przecież od wyjazdu naszego, nigdy może nie uczuliśmy się tak szczęśliwymi. Uplłynione od owego czasu 20 lat, jakkolwiek niewszystkie bez trosk i cierpień, przydały do oddalonego powabu przemijające wrażenia, i z przyjemnością myślę o tém, że przyjaciel mój, w swéj samotności w Paraguai, nieraz przypomina sobie z uniesieniem nasze botaniczne wycieczki w Turbaco, i ów strumyk Torecillo, i ów dzień kiedyśmy po raz pierwszy ujrzeli rozkwitłą gustawią, i kawanillinę okrytą owocami przezroczystymi i błonkowatemi.”

Opuścili to zachwycające miejsce pobytu, w noc ciemną i chłodną, mając się dostać na brzegi Rio - Magda-

leny, po której żeglując przybyliby do Limy lub Guayaquil. Pierwsze z ważniejszych ich stanowisk, było Santa Fe di Bogota, gdzie unosili się nad wodospadem Tequendamy, mylnie poczytywanym w Europie za największy w świecie. Przedstawia on widok jedyny podróznemu. Rzeka szeroka na stóp 60, w małej odległości od spadu, zwęża się o połowę koło otwartój rozpadliny, zrzędzonej jak mniemają trzęsieniem ziemi. Tą rozpadliną rzucają się gwałtownie połączone wody doliny Bogota, a dzieląc się na dwie części, spadają w przepaść na 600 stóp głęboko. Słup waporów wznoszący się nad wodospadem, widać o mil pięć ztamtąd.

W wrześniu 1801, opuściwszy Bogotę, przebyli most naturalny skalisty Icononzo, okryty kwitnącemi krzewami, pod który spadają cztery kaskady. Następnie przebywszy trudny wąwóz Quindiu, stanęli w Popajan, u podstawy wulkanu Purace, którego krater napełniony wodą, wyrzuca wapory gazu wodorodnego siarczystego i wydaje okropne odgłosy. Unikając doliny Patia, której przyległy wulkan zaraża smrodem powietrze, stanęli w Quito d. 6 stycznia 1802.

Podróż ta, pół czwarta miesiąca trwająca, w ciągu której trzeba było przejść główny łańcuch gór Andów, była trudną i niebezpieczną. Najwyższy punkt tego przejścia, wzniesiony jest na 11,500 stóp nad poziom morza; trzeba się cisnąć lasami gęstemi przez dni kilkanaście, pod zagrożeniem, że cię roztopy i powódź nadybać mogą. Ścieszką tu i owdzie ledwie się sam podróżujący przemknąć zdoła. Zwykle przedsięwzięcie się ta podróż, na plecach mocno zbudowanego dźwigacza (*carguero*), który cię niesie na krześle mocnemi rzemieniami przywiązaném do siebie. Tymczasem dwaj naturaliści mieli

z sobą wyprawę w całym słowa znaczeniu, to jest 12 wołów pod rzeczami i zbiorami swojemi. Wszędzie im dęszcz towarzyszył, podarli obuwie; że zaś nie chcieli używać wyższych dzwigaczy, zniewoleni więc byli podróżować piodotą i boso dniami całemi. Trudy i cierpienia doznane, wynagrodzonemi zostały sownie poszukiwaniami, zastanawianiem się i zgłębianiem wszelkich skarbow, które natura na tych olbrzymich szczytach swoim wielbicielom nastęcza. Tamto znajduje się drzewo palmowe oblane żywicą roślinną, używaną przez krajowców do robienia pochodni. Tam z pośrodku nieprzebytych lasów, wznosi się góra Tolina, gdzie kwiaty są jak drzewa wielkie, gdzie bambus wyrasta do niesłychanej wysokości, gdzie mnożą się styrax i męczennice drzewiaste, i gdzie ich jest pełno na wszystkie strony.

Wędrownicy nasi przepędzili w Quito wielką część roku 1802. Znaleźli tam towarzysza gorliwego, bogatego i wytrwałego, który należał do wszystkich wycieczek ich w góry śnieżne Antisava, Tunuragua, do wulkanu Kotopaxi, a wreszcie i do góry Cimborasso, mianej wtedy za najwyższą, dopóki pod tym względem nie odebrały pierwszeństwa wierzchołki Himalai, mianowicie Nundidevi, a nawet niektóre góry w Peru wyższem. Weszli pospołu na szczyt wulkaniczny Pechinchy, gdzie czynili doświadczenia ze składem powietrza, z jego sprężystością, z własnościami jego magnetycznymi, elektrycznymi i hygroskopicznymi. Humboldtowi który mierzył te góry, zdawało się, że niektóre znacznie się zniżyły w drugiej połowie ostatniego wieku. Zdanie to zgadzało się z uważaniami krajowców. Sądził również że różne te wyniesienia, dalekie od tworzenia

gromady oddzielnej wulkanów, składają jedną masę wzniesioną jednocześnie, gdzie niezmierny mur wulkaniczny rozciąga się od północy ku południowi, na powierzchni zajmującej przeszło 600 mil kwadratowych. Hypotezie téj nie zaprzeczono dotąd w sposób ją zbijający. Aby dać wyobrażenie o pracach naszych podróżnych, dosyć powiedzieć iż na Chimborasso weszli, pomimo ostrego zimna i niezmiernie rozrzedzonego powietrza, 18576 stóp nad poziom morza, to jest o stóp 3480 wyżej od punktu, do jakiego Condamine roku 1745 doszedł. W tém wyniesieniu, w którym krew podróżnym naszym z powodu zbyt rozrzedzonego powietrza, wydobywała się z oczu i warg, szczyt gór najwyższy, przedzielony od nich rozpadliną śniegową, wznosił się jeszcze na 1350 stóp nad ich głowami. Po tylu niebezpieczeństwach i trudach, koniecznie i tę ostatnią zawadę pokonać zamierzeli. Spostrzegłszy więc po lewej stronie ogromną masę porfiru, na którą wdrapać się nie było dla nich niepodobieństwem, po niewypowiedzianych męczarniach dokonali przedsięwzięcia i wciągnęli swoje narzędzia na szczyt wschodni najwznioślejszy, bo wyższy od wierzchołka Mont-Blanc o stóp 3600. Żaden człowiek jeszcze nie deptał tych śniegów niedostępnych, ani nie oddychał subtelném powietrzem tego ustronia wzniosłego. Podróźni nasi nie byli jeszcze na ostatnim krańcu świata i nieba, lecz nawpół zaduszeni, ledwie mogąc oddychać, znaleźli się na granicy życia i śmierci.

W Quito zostawili z żalem młodego swego towarzysza, syna margrabiego de Selva Alegre (1), i udali się

(*) Młody ten człowiek, Don Carlos Montufar, pełen przymiotów, był stronnikiem niepodległości w czasie walki osad Hiszpań-

do Peru. Humboldt dowiedziawszy się z odczwy instytutu narodowego Francuzkiego, że kapitan Baudin udaje się przez przylądek Dobrój-Nadziei do Nowej Holandy, ani już mógł o połączeniu się z nim myśleć. Żałowali tylko z Bonplandem, że w tej nadziei zmienili pierwszy swój plan podróży. To wszakże ich pocieszało, że przebiegli strony których badawcze oko nauki nie przeniknęło jeszcze przed nimi, i że jeszcze pozostawało im tyle cudów do widzenia, tyle zagadnień do rozwiązania.

Weszli do Peru przez Ayavaca i Guanca bamba, przebywając łańcuch Andów, aby zstąpić z nich aż do rzeki Amazonek. W podróży swój widzieli wspaniałe szczątki drogi Inkasów, przeznaczonj do połączenia i zrównania porfirowych szczytów między Cusco i Assonay, w wysokości od 7,670 do 11,510 stóp. Wszędzie znaleźli świeże jeszcze rozwaliny wsi powywracanych sławnem trzęsieniem ziemi w d. 7 lutego 1797, które było wydarzeniem najstraszniejszym o jakim ludzie zapamiętać mogli. Dalej w wysokości 13,000 stóp nad poziom morski, zwiedzali szczegółowo kopalnie w Hualgayoc, gdzie znajduje się w ogromnych pokładach srebro. Widzieli starożytne miasto Peruwiańskie Mansiché i jego piramidy, w jednej z których znaleziono mnóstwo monet złotych. Przebywszy następnie pustynie rozciągające się wzdłuż brzegów na południe Peru, przybyli do Limy, gdzie się czas jakiś zatrzymali. W Callao, właściwym porcie tego miasta, nastroczyła się Humboldtowi nader

skich, nastąpiónej w lat kilka później. Ujęty w Quito r. 1811, przez Don Torribio Montes, skazanym został jako zdrajca, na śmierć i rozstrzelano go z tyłu, poczem wydarto mu serce i spalono. Zobacz Stevensona tom III, p. 44. *Residence in south America.*

dogodna sposobność uważania przejścia Merkurego. Zamierzaniem jego wtedy było, udać się jeszcze na miesiąc kilka do Meksyku a ztamtąd do Europy, dokąd go między innymi, potrzeba naprawy instrumentów powoływała. Ale gdy stanął w Meksyku, starożytności tameczne, charakter i mowa mieszkańców, tak obfite przyrodzenia zjawiska, zatrzymały go przeszło rok w tym zajmującym kraju. Zawsze w towarzystwie Bonplanda, zwiedził rozwaliny Moranu, wodospad Regli otoczony prostopadłemi słupami bazaltu, spoczywającemi na łożu błotnistém, pod którém znowu się bazalt ciągnie. D. 19 września 1803 r. zeszli do dna wulkanu Jorullo, jednego z cudów nowego świata.

Przed rokiem 1759, miejsce wulkanu tego zajęte było uprawą trzciny cukrowej i indyhtu, między strumieniami Cuitamba i San-Pedro. Pole to otoczone było skałami bazaltowemi, z których jeden szczyt nazywano Tancitaro. W czerwcu r. 1759, mieszkańcy bliższej osady (*hacienda* *) przestraszeni zostali łoskotem podziemnym; nastąpiły często ponawiające się trzęsienia ziemi, które przez 2 miesiące trwając, ku końcowi września prawie zupełnie ustały. W d. 28 tegoż miesiąca, znów usłyszano odgłosy podziemne, któremi przestraszeni mieszkańcy, schronili się w góry Aguasarco. W kilka godzin, powierzchnia sześciu około mil kwadratowych, zwana Malpais, rozděła się jakby pęcherz, i zaczęły przez mnogie w niej rozpadliny płomienie wybuchać. Ogromne urwiska rozpalonej opoki, wyrzucane były do wielkiej wysokości, a pod gęstą chmurą popiołów ziemia w ciecz zamieniona, marszczyła się jakby morze falą uderzane.

(*) Rodzaj folwarków w Ameryce południowej.

Strumienie Cuitamba i San-Pedro wpadały w tę otchłań rozpaloną nie gasząc jej, a tysiące słupów ognistych do 10 stóp wysokich, zwanych *hornitos* czyli *małemi piecami*, potworzyły się na wszystkie strony. Rozciągały się one, i rozciągają się jeszcze na przestrzeni 80 mil kwadrat. Z tych bazaltowych wyrostów, obwiedzionych czarną ziemią, wydobywają się ciężkie wapory palące, psujące i zarażające atmosferę okoliczną. Wpóśród tych słupów wzniosło się nad dawny poziom sześć mass ogromnych do 1650 stóp wysokich z których najwyższą jest wulkan Jorullo; jeszcze do lutego r. 1760, wyrzucał on ciągle bazaltowe lawy pomieszane z ułomkami skał pierwotnych. Popioły wulkaniczne, wyrzucane temi wybuchami w powietrze, padały w grubych warstwach na dachy miasta Quentaro, oddalonego na 144 mil od kraterów nowo otwartych. Zjawisko to powtórzyło się r. 1819, w wybuchu poprzedzonym trzęsieniem ziemi. Na ulicach miasta Guanaxuato, 140 mil oddalonego, spadły popioły na 6 cali grubo. Według p. Bullock młodszego, który ostatni zwiedził wulkan Jorullo, już prawie całkiem przestało się dymić z tych *hornitos*, a gorącość źródeł znacznie się zmniejszyła.

Niepodobna abyśmy śledzili Humboldta we wszystkich jego badaniach dotyczących się Nowej Hiszpanii; opisał on je szczegółowo w swoim znamienitým dziele *Essai*, którego sam zwięzły rozbiór jużby udowodnił niezmierną naukę autora, i niespracowaną czynność jego. Nim opuścili Meksyk (w styczniu 1804) wędrownicy nasi, uporządkowali swe zbiory roślin i inne, ułożyli postrzeżenia astronomiczne, i rysowali atlas geologiczny, do którego tyle materyałów przysposobili. Zmierzyli wysokość ogromną wulkanów Puebli (*Popocatepetl* i *Ixtaccihuatl*).

Piérwszy położony jest na 2000 stóp wyżej od najwynioślejszych gór Europy, a krater jego lubo ciągle palający, przecież tylko dymy i popiół wyrzuca. Później Humboldt dostał się na górę Cosze, o 1300 stóp wyższą niżeli Pik Teneryffy. Z wierzchołka jój nieskończeni rozległy jest widok. Można sięgnąć okiem aż na płaszczynę Puebli i pochyłość wschodnią Kordylierów Meksyku, okrytych gęstemi lasami i rzadkimi krzewami. Widać nawet zamek ęgo Jana Ulloa i brzegi morskie.

W Vera-Cruz naturaliści nasi wsiedli na Hiszpańską fregatę, która ich do Hawany przewiozła. Bawili tam przez dwa miesiące, a zostawiwszy znaczną część zbiorów swoich, udali się do Stanów Zjednoczonych. Przeprawa ta odznaczyła się gwałtowną burzą, dni 7 trwającą. Najprzód w Filadelfii, a potém w Washingtonie przepędzili dwa miesiące, zgłębiając polityczną ustawę kraju, i jego stosunki handlowe. Nareszcie w sierpniu, r. 1804, po sześćioletniej podróży wrócili do Europy, dokąd przywiezli nieocenione bogactwa. Sam zbiór roślin, owoc niespracowanej gorliwości Bonplanda, zawierał 6300 gatunków.

O skutku téj wyprawy, prowadzonej z taką odwagą i talentem, najlepsze da wyobrazenie spis dzieł, które dwaj wędrownicy ogłosili, a do których plan ułożyli w Paryżu, na początku r. 1805 (*). Wkrótce za powro-

(*) 1. *Vues des Cordilières et Monuments des peuples indigènes de l'Amérique*, 2 vol. in fol. 1811.

2. *Recueil d'observations de zoologie et d'anatomie comparée, faites dans un voyage aux Tropiques*. 2 vol. in 4to.

3. *Essai sur la géographie des plantes, ou Tableau physique des Régions équinoxiales, fondé sur des observations et des mesures faites depuis le dixième degré de latitude australe, jusqu'au 10me degré de latitude boréal*. 11 vol. in 4to.

tem do Francji, Bonpland został mianowany przez cesarzową Józefinę, intendentem ogrodów Nawarry i Malmaison, ogłosił nawet uczony spis roślin rzadkich które obowiązany był w ogrodach tych uprawiać. W r. 1818 rząd w Buenos-Ayres, wezwał go na profesora historii naturalnej; w r. 1820 powziął zamiar osiąść raz na zawsze, wspólnie z pewnym Szcockim agronomem, w Paraguay. Nad brzegiem wschodnim rzeki Parano, w Santa-Anna, rozpoczął uprawę krzewu *Ilex matha*, która zwracała koszta za pracę całej osadzie Indyjskiej, gdy poranku pewnego, wysłani od dyktatora Francja żołnierze, wpadli do jego mieszkania, zniszczyli jego plantacye, i jego samego pojnali. Zabrawszy na plecy to co z szacownych zbiorów swoich mógł unieść, został piechotą zaprowadzony do Assumpcion, stolicy Paragwai, gdzie go

4. *Plantes équinoxiales, recueillies au Mexique, dans l'île de Cuba, dans les provinces de Caraccas, de Cumana*, 2 vol. in fol.

5. *Monographie des mélastomes* 2 vol. in fol.

6. *Graminées rares de l'Amérique équinoxiale*, 1 vol. in fol.

7. *Famille des mimosas et autres plantes légumineuses*, 1 vol. in fol.

8. *Nova genera et species plantarum*, 7 vol. in fol. z 700 ry-
cinami i synoptyczną tablicą we 4 tomach in 8vo.

9. *De distributione geographica plantarum secundum coeli
temperiem ad altitudinem montium prolegomena*, 1. vol. in 8vo.

10. *Essai géognostique sur le gisement des roches dans les deux
hémisphères*, publié en 1826.

11. *Recueil d'observations astronomiques et des mesures exé-
cutées dans le Nouveau continent*.

12. *Carte de l'Orénoque présentée à l'Académie des Sciences
en 1817*.

13. *Essai politique sur la Nouvelle-Espagne*, 2 vol. in 4to.

Krótko mówiąc, dzieła należące do podróży Humboldta i Bon-
planda, utworzą w zupełności 28 tomów, z których 17 in fol. a 11
in 4to.

14. *Voyage aux Régions équinoxiales du Nouveau continent,
pendant les années 1799, 1800, 1801, 1802, 1803 et 1804*.

zamknięto w twierdzy Santa-Maria. Tam otrzymał pozwolenie, albo raczej rozkaz dozorowania chorych garnizonu. Nigdy nie było można dociec powodu do tak zaślepionego i nieprawego uciemnienia doktora Francii. Na zapytanie Bonplanda, jaka jest przyczyna jego niewoli, odpowiedziano mu, że odbiera karę za to, iż wazył się uprawiać drzewo herbatowe, które stanowi drogi przedmiot wywozu państwa Paragwai. Humboldt dowiedział się w r. 1824, że doktor Francia, ochłonawszy z pierwszego uniesienia, odstąpił Bonplandowi znaczne grunta, celem wynadgrożenia mu zabranych w czasie jego pojmania, i że naturalista Francuzki zawsze przedsiębiorczy, założył dystylarnią w Santa-Maria. To nie wstrzymało Humboldta, który został wpływ mającym dyplomatem, od starania się o uwolnienie dawnego swego towarzysza podróży. Upomniął się o niego p. Canning, konsul Angielski w Buenos-Ayres, wdał się w to nawet cesarz Brazylii. Zrazu otrzymano od doktora Francii odpowiedź niepewną, ograniczającą się na oświadczeniu, że Bonpland opływa w dostatki, że nie ma powodu do uzalania się, i że skoro pewne trudności dyplomatyczne między Brazylią a Paragwai, zostaną uprzątnięte, układ ostateczny o jego uwolnienie nastąpić może. Podejrzliwość dr. Francii, przysłała w pomoc Bonplandowi, albowiem gdy ostatni, przetrwawszy przeciwności, nabył znacznych bogactw, i stawał się coraz popularniejszym, Francia zaczął się go obawiać. Z tego powodu, nagle odesłał Bonplanda, obdarłszy go ze wszystkiego co posiadał, tyle mu tylko pieniędzy zostawując, ażeby mógł do Buenos-Ayres zajechać. Jedynym skarbem uchronionym przed łupieżstwem Francii, była flora południowej Ameryki.

Za powrotem do Berlina, Humboldt zajął się wyłącznie wydaniem swoich podróży; pierwszym dziełem, którym otworzył wzwyż wyszczególniony szereg ich cały, były widoki natury. Otrzymało ono wziętość powszechną. Przedmiotem jego było ogólne wejrzenie w to wszystko, co nazwać można „życiem ziemi” rozmaicie objawiającem się w postaci roślin, w widoku łąk obszernych i pustyń piaszczystych.

W r. 1806 i 1807 widzimy go w Berlinie uważającego porównania i przesilenia dnia z nocą. Przez wiele dni i nocy, co półgodziny dozierał zmian zachodzących w igle poziomój. Dzięki tej wytrwałości, oraz doskonałości jego narzędzi! Imto bowiem winniśmy odkrycie tych nagłych i niespodzianych zmian, które Humboldt nazwał *burzami magnetycznymi*, a które następnie z wielkim skutkiem zgłębiane były tak przez Humboldta samego, jako też innych towarzyszków jego w nauce.

Ulubionym pobytom Humboldta od lat wielu był Paryż. W lekcjach po kilka miesięcy trwających, wykładał tam historią fizyczną kuli ziemskiej. W r. 1818, w czasie pobytu monarchów w Paryżu, towarzyszył królowi Pruskiemu, którego stał się jednym z najwziętszych doradców. W miesiącu listopadzie tegoż roku, król Pruski przeznaczył rocznie 12000 talarów, aby mu ułatwić możliwość odbycia podróży do Tybetu i gór Himalaj. Myśl tej wyprawy zrodziła się w Paryżu: rząd Francuzki skłaniał się do poniesienia części wielkich nakładów jakich wymagała. Zdaje się również, że to bezinteresowne współdziałanie napotkało nieprzewidziane przeszkody, sam też nareszcie Humboldt zmienił układ swój podróży. W r. 1822 znajdował się z królem Pruskim na kongresie w Weronie, a następnie wyjechał z swym przyja-

ciem Gay-Lussac, dla odwiedzenia Włoch uczonych. Byli razem w Wenecyi, Rzymie i Neapolu; po drodze sprawdzili wielką ilość zjawisk pod względem elektryczności. Doświadczenia ich utwierdziły teorią Biota, o położeniu równika magnetycznego; dowiodły one nieodwołalnie, że siła magnetyczna zmniejsza się w miarę oddalania się od równika, i że przeciwnie nie nadwiercżą ją ani wielkie góry, ani też wulkany w stanie czynnym będące.

Ulegając prośbom swych licznych przyjaciół, Humboldt po ośmnastoletnim pobycie w Paryżu, wrócił do Berlina na stałe mieszkanie i był przyjęty od ziomków z oznakami największego poważania. Na wielkim zjeździe w tém mieście (we wrześniu 1828) najslawniejszych naturalistów i filozofów Niemieckich, on zgromadzonym towarzyszył. Mowa jego przy otworzeniu kongresu, pełna męskiego wyrazu, odznaczyła się szlachetnym ocenieniem prac umysłowych i ludzi znamienitych, poświęconych naukowym badaniom. Tegoż dnia wieczór, dawał ucztę w sali koncertowej obok teatru, na którą zgromadziło się 1200 osób, między niemi najznamienitsi uczeni Niemiec. Zaszczycił ją bytnością swoją król Pruski, i następca tronu (król dzisiejszy); byli na niej posłowie zagraniczni i większa część szlachty Pruskiej. Jednego z filozofów Angielskich, obecnego na tém zebraniu, wzruszył mocno widok zwolenników nauki, postępujących w równi z najdumniejszymi reprezentantami arystokracji dziedzicznej, i następcy tronu, rozprawiającego o rzeczach pełnych zajęcia z piérwszemi uczonemi przyszłego królestwa i krajów obcych.

W r. 1829 cesarz Rossyjski wezwał barona Humboldta do zwiedzenia pod względem mineralogicznym

północnej Azji i brzegów morza Kaspijskiego. Sławny wędrownik, pałający żądzą widzenia Wschodu, z radością wezwanie to przyjął, a przybrawszy do podróży naturalistę Ehrenberga i chemika Gustawa Rose, wszyscy razem z Nowogrodu puścili się Wolgą do Kazanu. Przebywszy stepy Kirgiskie, zwiedzili miasto Bulgarydę (Bulgari), niegdyś stolicę państwa Tatarskiego i rezydencją Tamerlana. Ztamtąd przez Persyą przybyli do Ekaterinenberga na pochyłości Azyatyckiej wielkiego łańcucha gór Uralskich, gdzie spodziewali się znaleźć pokłady metali i kamieni drogich. Jeszcze w roku 1826, professor Engelhardt przepowiedział znalezienie dyamentów w pewnych gruntach powierzchni gór Uralu, gruntach nader podobnych tym w których znachodzi się dyament w Brazylii. Humboldt przekonał się o tém podobieństwie, ale napróżno przepatrywano piasek z gór wydobyty, i już przemyty celem odłączenia z niego złota; żaden ślad dyamentu nie ukazał się. Hrabia Polier podróżujący wtedy z Humboldtem, wkrótce po tych bezowocnych doświadczeniach opuścił go, i wrócił do dóbr swęj żony, położonych na pochyłości zachodniej tychże gór. Tam on znalazł pierwsze dyamenty Uralu; odkrycie to spowodziło inne, które dowiodły, że dyamenty wydobywane z wnętrza Uralu, równają się pięknoscią znajdowanym pod gorącym słońcem Brazylii.

W bliskości Niżnego Tagielska podróżni nasi znaleźli bryłę platyny ważącą 24 funty (*troy*), zaś w okolicy Miaska 3 kawały rodzimego złota, z których 2 ważyły przeszło po 18, a jeden przeszło 28 funtów. Oprócz tego znaleźli kopalne zęby słoniowe, otoczone napływem prochu złotego. Niektóre napływy utworzone, jak się zdaje, po zniszczeniu wielkich zwierząt kopalnych, są nader

bogate, a należące do Demidowa w Wilkni, wydały już 2800 funtów złota.

Podróźni nasi, udając się dalej na południe Uralu, zwiedzili w Orsku piękne kopalnie zielonego jaspisu, w Ilecku sławną kopalnię soli, w Elton wielkie jezioro słone, to wszystko nim przybyli do Astrachanu i morza Kaspijskiego. Głównym celem podróży w to ostatnie miejsce, był rozbiór wód tego morza, uważanie wysokości barometrycznych, i zebranie ryb do wielkiego dzieła pp. Cuvier i Valenciennes.

Z Astrachanu wrócili do Moskwy, jadąc wężyną dzielącą Don od Wołgi, i krainą kozaków Dońskich.

Wszystkie szczegóły téj czysto naukowej podróży, znajdują się w dziele wydaném w Paryżu: „*Fragments de Géologie et de Climatologie Asiatiques.*” Tamto potrzeba ich szukać, ponieważ rozbiór powierzchniowy tylko dalby o nich wyobrażenie. Najciekawszym z nich jest bez wątpienia ustęp o górach i wulkanach średniej Azji. Znajduje się w nim uczenie wywiedziona hipoteza, nader śmiała, przyznająca działaniu wulkanów, czyli płynów sprężystych w głębi ziemi zawartych, powstanie wszystkich gór, a tém samém zniżenie krain dolnych.

Podróź Humboldta, która mu zjednała w Petersburgu nader podchlebne przyjęcie, skutkowała urządzenie pewnej liczby obserwatoryów magnetycznych w różnych miejscach tego rozległego państwa. Byłoby myśl, której przyjęcia Humboldt oddawna pragnął, a gdy mu się to w Rossyi powiodło, udał się i do innych rządów Europejskich z równymże skutkiem; nawet rząd Chiński skłonił się do tego. Napisał do księcia Sussex, jako prezesa towarzystwa królewskiego Londyńskiego, z prośbą o urządzenie stacyj magnetycznych w posiadłościach Angiel-

skich Kanady, Australii, Afryki południowej, i między zwrotnikami. Towarzystwo królewskie przychyliło się do przedstawienia, a rząd potrzebne na to pieniądze przeznaczył; ale różne trudności rzecz wstrzymały. Szczęściem iż w roku 1838, myśl ta chwalebniemi usiłowaniami stowarzyszenia Brytańskiego (*Association Britannique*) zebranego w Newcastle, wskrzeszoną i popartą została. W r. 1844, aby już ostatecznie zająć się tą rozległą organizacją, jaką jest urządzenie stacyj magnetycznych po kuli ziemskiej, a jakiej myśl pierwszą Humboldt rzucił, stowarzyszenie Brytańskie zgromadzone w Yorku, naznaczyło naradę, odbyć się mającą w Cambridge r. 1845, przez tych wszystkich uczonych Europejskich, którzy się zajmowali magnetyzmem i meteorologią. Rozpisano na wszystkie strony zaproszenia: Rossya wyprawila p. Kupfer, Praga p. Kreil, Berlin barona Senftenberg i Adolfa Erman, Wrocław Bogusławskiego i t. d. Postanowienia na zjeździe tym przyjęte, doskonale między sobą skombinowane, są tylko rozwinięciem planu pierwotnego, pomyslanego przez Humboldta, a który długo sam był jego zwolennikiem i obrońcą.

W r. 1842, towarzyszył Humboldt królowi Pruskiemu, w czasie jego odwiedzin królowej Angielskiej. Główne członki towarzystwa królewskiego, przyjęły Humboldta z odznaczeniem. Po téj dopiero bytności Humboldta w Anglii, towarzystwo królewskie ułożyło w r. 1843 i 44, systemat kosmografii fizycznej, której część pierwsza na świat wyszła. W obrazie tym, zaledwie małą część odkryć i prac naukowych Humboldta poznać daliśmy. Jako pisarza i wędrownika, bez wahania do najcelniejszych go liczymy. Naprózno usiłowaliśmy porównać z jego utworami najwymowniejsze ustępy Klarkiego i bi-

skupa Hibera; mimo ich niezaprzeczonego talentu, i chociaż opisywali sceny również wielkie, poetyczne i barw tak żywych jak te, które odmalował Humboldt, wyznać trzeba że mu żaden z nich nie wyrównał. Są oni obok niego rytmownikami niewyraźnymi, poetami nastrojonemi, krajobrazcami jednostajnymi. Humboldt dokładny, zapalony, uniesiony pięknosciami natury, widoczniejszemi czyni je w wyobraźni, aniżeli by nawet oczom być mogły. Posiada on rzadką zdolność uchwycenia rysów ogólnych każdego kraj znamionujących, ukazania jego fizynomii szczegółami trafnie wybranemi, nadania im piętna prawdy przywodem wypadków różnorodnych, statystycznych, politycznych, geograficznych, czynienia uwag chemicznych, historyczno-naturalnych, używania wyrachowań geometrycznych, rozbioru fizycznego, wspomnień historycznych, malowania zwyczajów i t. d. Jest on wędrownikiem najdokładniejszym, najuczciwszym i najwięcej zajmującym naszego czasu. Do tych pochwał przybyłoby jeszcze wiele innych, gdybyśmy za nim poszli w zawód człowieka stanu. Mało jest administratorów oświeconych, mało dyplomatów zręczniejszych i tak poświęconych dobru swego kraju jak Humboldt. Talleyrand, co się znał na ludziach, odznaczał Humboldta tém, że go poważał, i że się go bał. Jego uprzejmość i chęć stawania się użytecznym, są powszechnie znane. Ulepszenia towarzyskie i polityczne, których był zawsze gorliwym, a niekiedy i szczęśliwym jest zwolennikiem, uzupełniają jego sławę i zwiększają uwielbienie, jakie w nas wzbudza tak harmonijny zbiór skłonności szlachejnych, zdolności nadzwyczajnych, nauki niezmiernej, i niespracowanej czynności filantropicznej.

Czy kapitały hipoteczne w królestwie Polskiem, są nieruchomością lub ruchomością?

Kodex cywilny obowiązujący w królestwie od 1808 r. w pierwotnej swojej niezmienionej redakcyi z wielką ścisłością (art. 516 na str. 527 nast.) oznacza, co jest nieruchomością, a co ruchomością. Położywszy w tej mierze zasady jasne i dobitne, we wszystkich swoich przepisach wolny jest od wątpliwości, a przeto i od koniecznych omówień i objaśnień; tak, że gdzie tylko wola prawa w ustawie, a wola człowieka w umowie dwustronnej, lub akcie jednostronnym, testamencie, darowiznie, pełnomocnictwie, używa wyrażenia *nieruchomość*, *ruchomość*; natychmiast, wyrażenie to odnosi się do prawideł zasadniczych ogólnych; i jak w samych przepisach łatwa jest konsekwencya i jedność, tak w zastosowaniu dogodność i pewność.

Kodex cywilny, kapitały, wszelkie wierzytelności hipotekowane lub niehypotekowane, i wszystko co ma za przedmiot sumę pieniężną wymagalną, uznaje za ruchomość. A ponieważ (art. 2114) hipotekę uważa za prawo rzeczowe na *nieruchomościach*, obciążonych jakim

obowiązkiem, i ponieważ tém samym *nieruchomości* tylko poddaje porządkowi i przywilejowi hipotecznemu; więc z tego już jednego przepisu widoczną jest że wierzytelności, kapitały hypotekowane lub niehypotekowane, tak jak wszelkie ruchomości (z wyjątkiem tylko okrętów: art. 2120 k. c. 190 k. h.) nie podlegają same z siebie porządkowi i dozorowi hipotecznemu.

Prawo jednak, dla jasności i dokładności, nie poprzestaje na tym jednym, głównym przepisie; podwakroć jeszcze powtarza wolą swoją; raz w art. 2118 k. c. stanowiąc:

że podlegają hipotece, wyłącznie tylko, nieruchomości z tém co do nich należy:

i używanie przychodów (*usus fructus*) tychże nieruchomości:

drugi raz, w art. 2119 k. c. przepisując:

że ruchomości nie mogą być ścigane hipotecznie.

Powtórzenie to zaszło dla wielkiej w skutkach ważności przedmiotu: bo każdemu wiadomo że nieruchomości mają szczególne przyczyny do oddzielnej opieki prawa, i do osobnych prawideł w ich urządzeniu.

Niewzruszoną zatem zasadą jest podług kodexu, że wierzytelności i kapitały hypotekowane, są ruchomością; nie dają na sobie żadnego przywileju i pierwszeństwa hipotecznego, i mogą tylko podlegać zastawie ruchomej, odpowiednio art. 2075 k. c.

Nie osłabia bynajmniej téj zasady okoliczność, że kodex, tak w art. 2075, jako téż w art. 1409, 1410, mówiąc o ciężarach spólności majątkowej małżeńskiej, wzmiankuje o *długach ruchomych* i *wierzytelnościach ruchomych*. Nie wynika ztąd, aby mogły być długi, któreby same z siebie miały naturę *nieruchomości*, i aby

kodeks, co do stosunków małżeńskich zaprowadzał wyjątek od ogólnego prawidła.

Jakoż wszelkie długi obciążające małżonków przed ślubem, są ciężarem wspólności. Mąż np. przed ślubem kupił nieruchomość, a szacunek pozostał dłużnym, nieruchomość nie wejdzie do wspólności, ale dług na nią pada. Żona przed ślubem odziedziczyła nieruchomość, lecz że udział jój spadkowy nie wyrównywał szacunkowi nieruchomości, winna spólsukcesorom przewyżkę: przewyżka ta jest jój długiem; dług pada na spółność, a nieruchomość do niej nie należy. Że tak jest, przekonują ten sam art. 1409 k. c. w słowach:

„Wspólność składają biernie długi ruchome, obciążające małżonków w dniu zawarcia małżeństwa.... z zastrzeżeniem wynagrodzenia za te, które dotyczą nieruchomości oddzielną własność małżonków stanowiących.”

A więc mogą być długi dotyczące nieruchomości: i w przywiedzionych dwóch przykładach, dług powstał z nabycia nieruchomości, i mógł nawet na niej być ubezpieczonym, a jednak stanowi ciężar spółności, bo jest ruchomy.

Długiem zaś nieruchomym i wierzytelnością nieruchomą, będą te, które odpowiadają definicji o *inkorporaliach nieruchomych*, w art. 526 k. c. umieszczonych które, *tendunt ad quid immobile*; a zatem akcja o wydanie nieruchomości, akcja o ustanowienie służebności, nawet akcja o dostarczenie zabezpieczenia hipotecznego, uważana odrębnie od samej należności (która nie przestaje być ruchomą), będzie nieruchomością, i tym sposobem ogólna zasada w niczym nie jest osłabioną (Pothier nr. 236. Zachariae § 508. Boileux do 1400).

Wszakże i te nawet akcje, jeżeli ich ostatecznym wypadkiem ma być skazanie na zwrot szkód i straconych korzyści, staną się ruchomemi, *quia tendunt ad quid mobile*, to jest do zapłaty summy pieniężnej (Toullier XII, 212. Duranton XIV, 225). Z kodexu przeto nie wychodzi żadna trudność: ale trudność ta jest rzeczywistą od czasu prawa hipotecznego z 1818 r.

Prawo to obdarzyło nas dokładnym porządkiem hipotecznym, z którego się słusznie chlubimy. Zaprowadzona bezwarunkowa jawność hipoteczna; przywiązana do wykazu dobra wiara i bezpieczeństwo dla trzecich; zniesione tajne hipoteki; te przepisy uwieńczone są rozszerzającą zasadą w art. 52; że przedmiotem hipoteki być mają nie tylko dobra nieruchome i nieruchomości, ale także prawa i kapitały hipotekowane. Przez ten dodatek, powiększyła się w obiegu jakby wartość sama nieruchomości, i to bez granic: bo też i jedna pewność która dla kapitału hipotekowanego służy, daje znowu pewność na samym kapitale i na *podpisie* na nim wziętym, przez wszystkie następności; a częśćka nieruchomości, która pokrywa bezpiecznie daną wysokość kapitału, może przez wieloliczność ubezpieczeń kolejnych, przejść nawet szacunek całości.

Odtąd, od r. 1818 prawa i kapitały hipotekowane, są porównane hipotecznie z nieruchomościami i dają przywilej, i pierwszeństwo; przechodzą w ręce trzecich z obciążeniem hipotecznym, i mogą być ściągane hipotecznie. Kontrola hipoteczna, sposób postępowania spadkowego, są te same, jak co do nieruchomości.

Czyli przez to kapitały hipoteczne, stały się nieruchomością? czyli pocztę kodexowych nieruchomości, został

od 1818 r. nowym przydatkiem wzbogacony?... oto jest pytanie nad którym zastanowić się należy.

Pytanie to, wielkiego jest praktycznego znaczenia.

Bo najprzód, wszelkie zastosowania woli prawa i woli człowieka prawem dopuszczonój, do nieruchomości; musiałyby się ściągać do kapitałów hypotekowanych.

Gdyby np. testamentem jednej osobie zapisane były nieruchomości wszystkie, a drugiej ruchomości; zachodzi wątpliwość do kogo należć będą hypotekowane kapitały?.... Nadto:

nieruchomości wszelkie (art. 3 K. C. P.), choćby przez cudzoziemców posiadane, podlegają prawom Królestwa Polskiego;

jeśliżby zatem kapitały hypotekowane były nieruchomością, całe spadkowanie, nawet i co do cudzoziemców, właścicieli takich kapitałów, musiałyby podlegać prawom Polskim.

Nareszcie wielka jest liczba małżeństw, zawartych przed 1818 r. pod kodexem, bez umowy przedślubnej, a zatem żyjących w spółności majątkowej, i któreto małżeństwa przeszły pod nowe prawo z 1818 i z 1825.

Ruchomości, nawet przez spadek osiągnięte, w czasie małżeństwa pod spółnością zawartego, wchodzą do spółności: przeciwnie *nieruchomości* odziedziczone, nie podpadają spółności. Jeśliżby przeto kapitały hypotekowane od 1818 r. były nieruchomością, te któreby przez spółmałżonka były po 1818 odziedziczone, musiałyby być wyłączone ze spółności: bo ulegałyby już nowemu prawu, które ich naturę ruchomą przemieniło na nieruchomą.

Napomknięcie tych przykładów daje miarę ważności rozbiieranego pytania.

Stronnicy znieruchomienia kapitałów, powołują się głównie na art. 52 ustawy hipotecznej, który przepisuje, że:

„przedmiotem hipoteki być mają: a) dobra nieruchomości (i cytuje zaraz kodex x. II tyt. I, dział I);

„b) prawa i kapitały hipotekowane”

oraz na terminologią ustawy. Oba dowody nie wytrzymają bliższego rozbioru, albowiem:

Zapatrzywszy się na sam układ merytoryczny artykułu 52, powołanie to nie przemawia ani za ani przeciw znieruchomieniu kapitałów. Jeżeli mobilizatorowie kapitałów hipotecznych, ztąd zdanie swoje wywodzą, że prawodawca chciał teorią kodexu o nieruchomościach niezmienną utrzymać, bo powołał cały tytuł opisujący kodexowe nieruchomości; to immobilizatorowie, mogą im odpowiedzieć, że tak jest co do ustępu pierwszego: ale że właśnie w tym ustępie są tylko nieruchomości kodexowe, a w ich rzędzie kapitałów nie masz, właśnie dlatego prawodawca przydał ustęp drugi, a w nim kapitały hipoteczne pomieścił.

Terminologia ustawy, nie jest także tak dobitną, aby wątpliwość wszelką usunęła. I tak:

Teoria znieruchomienia ma za sobą najprzód samą definicyą hipoteki. Hipoteka, mówi art. 47, jest rzeczowe prawo na nieruchomościach: hipoteka zatem nie może być jak tylko na nieruchomościach: a że kapitały hipoteczne są przedmiotem hipoteki, przeto kapitały te są nieruchomością.

Ma za sobą dalej wysłowienie art. 72, w tych wyrazach:

„Hipoteka prawna służy mężatkom na majątku nieruchomym ich mężów” i cytowany jest w texcie art. 52, Nr. 1 i 2.

a że pod Nr. 2 są kapitały hypotekowane, więc są przez text uważane za nieruchomość.

Za takim widzeniem rzeczy, zdaje się przemawiać art. 97 w słowach:

„Jeżeli kaucya opiekuna, odpowiada ilości całego ruchomego majątku i hypotekowanych kapitałów” i t. d.

a więc oczywiście, ruchomy majątek kapitałów hypotekowanych nie ogarnia; a że nie masz innego majątku tylko ruchomy i nieruchomy, w ruchomym zaś kapitałów prawodawca nie pomieścił, chciał je przeto do nieruchomego zaliczyć.

Nakoniec, niepośledniem jest poparciem, wysłownictwo użyte w instrukcyi hypotecznej (art. 96):

„Ponieważ wierzytelność hypoteczna jest podług prawa sejmowego nieruchomością” i t. d.

Nie jestto wprawdzie prawo, lecz zawsze jestto dowód, jak cały skład Kommissyi Rządowej, społeczny utworowi saméjże ustawy, takową pojmował.

Lecz przeciwnie, są w saméj terminologii ustawy, odmienne zupełnie wyrażenia. Jeżeli zdawało się że ustawa nie podciąga kapitałów pod ruchomy majątek, a ztąd wolno być mogło wnioskować, że je podciąga pod nieruchomy; tedy znajdują się znowu przepisy, że ich nie podciąga pod nieruchomy, a więc odrzuca do ruchomego. Oto art. 105 mówi:

„Jeżeli osoba posiada majątek nieruchomy, lub kapitały hypotekowane” i t. d.

Majątek nieruchomy w art. 72 obejmował to wszystko, co wymienia art. 52 a więc dobra i kapitały; tu zaś przeciwnie, co innego majątek nieruchomy, a co innego kapitał hypotekowany.

Podobnież art. 76 mówi:

„Majątek żony bądź ruchomy bądź nieruchomy, uważany będzie jako posag”:

wszystkie zaś dalsze artykuły, troskliwie odróżniają nieruchomości żony od jej kapitałów, a nigdzie nie znajduje się ogólne wystowienie *nieruchomość*, jako obejmujące dobra i kapitały. W art. 88 i 90 dobra i kapitały nie tylko nie są jednorodne, ale są odrębnie naprzeciw siebie stawione. Art. 82 mówi o nieruchomości posagowej, ale osnowa naucza, że tylko mówi o dobrach.

To spostrzeżenie, że ustawa hipoteczna oprócz jednego wyjątku (art. 72), nigdy nie używa ogólnego wystowienia *nieruchomość* tam gdzie mówi łącznie o dobrach i kapitałach, lecz zawsze oddzielnie każdą wyszczególnia; popiera jeszcze nadpis działu VII, niemniej art. 145 i 162.

Przy takim stanie terminologii, mając przed sobą wystowienia, z których jedno znoszą drugie, najprzezorniej całe ztąd wywodzone wnioski opuścić, a szukać prawdy w zbliżeniu porównawczém z ustawami, jednorodny z naszą ustawą przepis mającemi.

Prawo Pruskie i Austryackie, czyni kapitały hipoteczne przedmiotem hipoteki: to jest, przyznaje im zdolność, że mogą być hipotecznie obciążanemi, tak zupełnie jak grunt. Dlatego jednak, kapitały takie nie są nieruchomością. Prawo Pruskie stanowi, że wszystkie *incorporalia*, są ruchomością (§ 7, cz. I, tyt. 2), i dwa zna tylko wyjątki; kiedy możność wykonania prawa jest od samego posiadania nieruchomości nieodłączna (§ 8), oraz kiedy przepis szczególny przyznał wyraźnie prawo jakiemu przmiot nieruchomości. Przepisu takiego co do kapitałów hipotekowanych, prawo Pruskie nie zna. Stoi

więc co do nich zasada ogólna, że wszystkie *incorporalia* są ruchomością.

Prawo Austryackie (*Patent tabularny* dla Galicyi 4go marca 1780 r. § 1), dozwalając kapitały hipoteczne obciążać i cedować, nie tylko mówi, że owe subintabulata pozyskują prawo rzeczowe, ale uważa je nawet za nieruchomości.

„Etiam activa super talibus intabulatis summis, tabulariter assecurata, praeter hoc, quod per talem intabulationem jus reale acquirantur, equidem pro immobilibus repetuntur”.

Są to nieruchomości, ale tylko w mowie hipotecznej: bo prawo powszechne cywilne przymiotu im tego nie przyznaje:

„Wierzytelności, przez samo ubezpieczenie na nieruchomości, na majątek nieruchomy nie zamieniają się”.

Tam nawet, gdzie obok podziału na nieruchomości i ruchomości, niektóre prawa znają majątek rodowy; do rodowizny należą tylko majątki nieruchome, a nigdy kapitały choćby hipotekowane (P. R. tom X. 245). W takim więc dążeniu kształci się nowe prawodawstwo i teoria znieruchomienia kapitałów hipotecznych, stoi odosobniona nie mając ani historycznego podania, ani powinowactwa z sąsiednimi prawodawstwami.

Jeżeliby ustawa z 1818 r. tak wielką i stanowczą odmianę w kodexie zaprowadziła, to musiałaby się ta odmiana najwyraźniej odbić w ustawach późniejszych z r. 1825, i tu grunta i kapitały, musiałyby się *promiscue*, nieruchomościami nazywać. Tak przecież nie jest. Z roku 1825, mamy dwie ustawy: Księgę pierwszą kodexu cywilnego Polskiego, i dopełnienia ustawy hipotecznej,

r. 1818. W ustawie dodatkowej hipotecznej, art. 10, napotykamy to wyrażenie:

„prawo z r. 1818 będzie odtąd obowiązującym względem wszelkich nieruchomości, tudzież praw i kapitałów hipotekowanych, przedmiotem hipoteki być mogących”.

W art. 21: „Jednak warunek niealienowania co do dóbr nieruchomych lub kapitałów hipotekowanych żony” i t. d.

Gdyby kapitały były znieruchomione, jeden wyraz *nieruchomość*, lub *majątek nieruchomy*, ogarnąłby i nieruchomości kodexowe, i nowo przybyłe.

Takie wszakże odróżnienie, jest przeprowadzone przez całą księgę pierwszą kodexu z 1825 r., bo inaczej kapitały pozostałyby pod rządem praw, majątek ruchomy opisujących. I tak:

Art. 55: „Wszyscy zarządzający majątkiem, nie mogą alienować ani obciążać hipotekami dóbr nieruchomych znikłego: również nie mogą obciążać ani podnosić kapitałów hipotekowanych do niego należących”.

Art. 211, 222: pierwszy mówi, że nieruchomość która nie może być zbywaną, nie może oraz być obciążaną: drugi rozciąga ten przepis do kapitałów hipotecznych. Skoro zatem prawo z 1825, rozciąga i tworzy osobny artykuł, znać że pierwszy nie objął, a jednak pierwszy mówi abstrakcyjnie o nieruchomościach. Ztąd wniosek, że w wyrazie *nieruchomość*, kapitału hipotecznego nie masz. Posiłkuje to rozumowanie art. 225, w słowach: „Zastrzeżenia mają być przyjęte do hipotek tych nieruchomości i kapitałów, których się też zastrzeżenia tyczą”.

Art. 229: „Zastrzeżenie wspólności ma być przyjęte do hipoteki tych nieruchomości i kapitałów hipotekowanych, które do wspólności należą.

Art. 474: który mógł łatwo użyć wyrażenia gienerycznego, bo rzecz jednorodna: a jednak wysłowił się:

„Nie może przedsiębrać ani bronić sprawy dotyczącej się własności dóbr nieruchomości, albo kapitałów lub praw hipotekowanych”.

Nakoniec ten szereg tekstów, zamyka artykuł 518 w słowach:

„Marnotrawnemu zabronioném być może, aby dóbr nieruchomości lub kapitałów hipotekowanych nie zbywał, ani hipoteką obciążał”.

Z tego wszystkiego widoczna, że interpretacja prawodawcza w późniejszych dwóch o siedm lat ustawach, nie uważa kapitałów hipotecznych za nieruchomości, i nie przypuszcza tak kardynalnej zmiany, jaką niektórzy chcieli w prawie z 1818 upatrywać.

Wszelką zaś wątpliwość powinny usunąć dwie stanowcze uwagi, a te są:

Pierwsza, leży w naturze rzeczy.

Istota rzeczy zawsze przeważać winna nad fikcją.

W istocie, czémże jest kapitał hipoteczny?— Jest wierzytelnością pieniężną, jest pieniądzem.

Jeżeli dłużnik dobrowolnie go spłaci, lub wierzyciel przymusowo ściągnie z kapitału hipotekowanego, będzie tylko prosta ruchomość.

A zatem w ostatecznym wypadku, to co chcemy nazywać nieruchomością, prędzej czy później nieruchomością być przestaje, prędzej czy później przeistoczyć się musi: a dlatego, z powodu przemijającego dodatku hipoteki, która znowu jest tylko rękojmią że ten co ją ma odbie-

rze zaspokojenie, a ten kto jój nie ma, usunięty będzie na koniec, do reszty wszelkiego majątku; nie można z rzeczy, czysto ruchomój, robić nieruchomości, na przypuszczeniu fikcyi, która ani celu, ani potrzeby mieć nie może.

Prawda jest, że i nieruchomości z przeznaczenia są także fikcyą.

Koń, krowa do gruntu przywiązane, pszczoła w ulu, ryba w stawie, są nieruchomością: nie z przyrody, ale z woli prawa, fikcyi; gdy prawo (art. 522, 524) przypuszcza, że stanowią część nieruchomości, jeżeli do prowadzenia gospodarstwa rolnego, i na ten cel były przez właściciela przeznaczone: i tak długo jak są przywiązane do gruntu.

Lecz ta fikcyja jest koniecznością, jest fikcyą, że tak powiemy, zupełnie naturalną. Grunt bowiem dla człowieka, pod względem jego potrzeb, byłby nieożywioną skibą, nieruchomością nieplodną, gdyby nie obudził w niej żniwa własnym potem, siłą zwierząt, i zasileniem ziarna. Takie potrzeby gruntowe, są jakby nierozłączną ziemi częścią, i są nieruchomością dopóty, dopóki wola człowieka nie obróci ich do innego przeznaczenia.

Lecz kapitały hypoteczne nie potrzebują stawać się nieruchomością, przez przypuszczenie, kiedy i bez tego przypuszczenia mogą mieć bezpieczeństwo na nieruchomości, i dawać je pośrednio przez siebie.

Druga stanowcza uwaga spoczywa w samym texcie art. 52 ustawy z 1818 r. Jeżeli prawodawca chciał wzbogacić spis nieruchomości, tu tylko w tym texcie, wolą swoją złożył.

Lecz cóż ten text objawia? oto: że przedmiotem hypoteki są:

a) nieruchomości.

b) kapitały hipotekowane.

Zkąd historycznie wzięła się redakcja tego artykułu? Oto z dwóch powiązanych przepisów artykułów 2118 i 2119 k. c. Prawodawca z 1818 r. z artykułu 2119, wyjął kapitały hipotekowane, i dołączył do art. 2118: poddając je hipoteko-zdolności. Zmiana ta, jest w skutkach błoga i dobroczynna; ale na tém było dosyć: i ustawa dalej iść nie zamierzyła, ani żadnej do tego nie miała potrzeby.

Gdyby prawodawca chciał dołączyć do szeregu nieruchomości kodexowych, nową kategorią kapitałów hipotecznych, byłby to powiedział (świadomy ważności skutków) stanowczo, i wyraźnie. Artykuł 52 stanowiąc o tém, co jest przedmiotem hipoteki, zmienił nie artykuły o różnicy dóbr z księgi drugiej, ale specjalny przepis *ad hoc* z księgi IIIej. Jak nikt nie będzie szukał cech ruchomości i nieruchomości w przepisie hipotecznym kodexu, w art. 2118 i 2119: tak go nie znajdzie w art. 52 ustawy z r. 1818. Ustawa hipoteczna jest ustawą szczególną, zamkniętą w przedmiocie który wykląda: a do jej zrozumienia i stosowania nie pomoże w niczem fikcja znieruchomienia kapitałów hipotecznych. Kapitał może pozostać przy naturze jaką mu dał kodex, a pozyskać przymiot, jaki mu przydała bardzo szczęśliwie ustawa: może być nieruchomością (jak w prawie Austryackiem) w mowie hipotecznej, do czynności hipotecznych: a w mowie cywilnej pozostać czem jest, ruchomością.

Ks. Szaniawski, przy wykładzie ustnym praw kanicznych i cywilnych, uczynił już trafne bardzo w tym przedmiocie porównanie, takie mianowicie:

Od kogo wiódł dukt, mało na to dbałem; przyznam się nawet, daleko mniej zajmowała mnie blizka zmiana losu, niżby się komu zdawało; wychowanie Jezuickie dziwnie obojętniło charakter, nie mając własnej, stosowałem się do woli cudzej, radzono abym się starał o wojewodziankę, jechałem do niej; przed kilku dniami, równie obojętnie byłbym przywdział zakonną sukienkę.

Najlepszym zaś dowodem, jak mało zważałem na zapowiedziane konkury, było to, że właśnie w dzień wyjazdu, że ranek był piękny a strzelec w pobliżkiej kniei dopatrzył cietrzewie, uzbrojony rusznicą, chciałem się na nie wyprawić, szczęściem przeszkodził rektor, wszedłszy do mej izby.

Ubrany on był całkowicie, a starannie jakby na uroczystość jakąś: sukienka świeża, jedwabna, takiż płaszczyk, pas i biret.

Widząc nieład mego ubioru, brwi zmarszczył:—*Per Deum!* cóż to waszmość sobie myślisz? za parę godzin trzeba wyjechać, a ty jeszcze w swojej bekieszce?

— Ach! nie miej *reverendissime* obawy, za chwilę będę gotowy.

Sięgnąłem do skrzynki, wydobyłem z niej mój kontusz, żupan i pas świąteczne; że zaś od trzech lat świątecznymi były, mocno zszarzały się, wyblakły, co więcej, przez trzy lata znacznie urosłem, kontusz zatem, przeciw modzie, ledwie że do kolan dochodził.

Pater uderzył się w czoło:—Na Boga, i toż aszmość w te lachmany chcesz się przystroić, jadąc w konkury? Roztworzyłem szeroko oczy, zdziwiony:— Nie mam innych sukni.

— Nie masz! Zrobił ich przegląd. — Pas pół jedwabny, kto widział, zagrodowy szlachcic dzisiaj Perski kładzie,

kontusz wyblakły sukienny, ot i plama na piersi, wysmieją cię!

— *Reverendissime*, mówiłeś przecie tylokrotnie w szkole, że nie ubiór, ale cnota zdobi człowieka.

— Na szatana z tą maxymą! czyś szalony, aby ją cytować wtedy, gdy się masz zaprezentować w świecie, jeszcze wojewodzie, człowiekowi, który tyle lubi wystawność?

Uśmiechnąłem się:— Wiem o tém, przypominam sobie że waszmość niejednokrotnie łajaleś go o to, mówiłeś że się rujnuje, że na dziadów wykieruje siebie i dzieci.

— Ja mówiłem? co gadasz! wykrzyknął przerażony pater.

— Ach! czyż to zapomniałeś *reverendissime*, że gdy był ostatnią razą w kollegium, kazałeś mi podsłuchiwać w alkowie swoje z nim rozmowę?

Tak było w istocie: wojewoda bowiem, o którego córkę konkurować miałem, należał właśnie do liczby tych panów, uległych rektorowi, łajanych często przez niego, o których w powyższym rozdziale wspominałem.

Pater przygryzł usta, moja uwaga niemiłą mu była zapewne. — Panie Stefanie, rzekł, zapomnij o tém co było; jeśli dawałem rady wojewodzie, to jako dobry przyjaciel, często tylko żartem; nie zapominaj że on magnat, senator, pierwsza osoba w województwie, że uszanowanie dla niego należy mieć; ale wracając do ubioru, nie sposób abyś w tym pojechał.

— Cóż zrobić? zkąd wziąć inny?...

— Przekłète zapomnienie... trzeba było krawca sprowadzić... podumał chwilę. — Ależ w szatni starosty powinien się jaki zbytni znaleźć.

Poszliśmy tam, ubioru było dość, cóż gdy nie modny, a do méj tuszy niestosowny; dobrało się przecież jako

tako... nigdy w życiu jeszcze równie okazale przystrojony nie byłem: miałem na sobie jedwabny granatowy kontusz, żupan papuzi w czerwone kwiaty, pas całkiem nowy, fioletowy w złote paski; na nogach czerwone salfianowe bóty, że nie na mnie robione, a za duże, utrudzały w chodzeniu.

Zadowolniony przecież byłem. Nie tyle pater; on choć duchowna osoba, że w świecie żył, znał się na stroju, mrucał...

— Dobrze to było przed dwunastu latami, teraz z mody wyszło, obawiam się nawet, aby nie poznano że nie twoje, lecz co robić, na drugi raz wystąpisz okazalęj, przysię krawca z Pułtuska, potrzebną materją sam obiorę i kupię.

Podziękowałem za obietnicę. Mówił dalej, poważną nastroiwszy minę:

— Panie Stefanie, pozwól że ci zrobię kilka uwag; spodziewam się że je przyjmiesz od dobrego przyjaciela i długoletniego mentora. Najprzód, pamiętaj że wchodząc w świat, trzeba abyś dał dobrą o sobie opinią, nie zepsuł sławy naszego kolegium: winienes pokazać się układnym, śmiałym, rozumnym. Przygotowałeś jaką oracyą na powitanie wojewody i jego córki, twój przyszłej żony?

— Nie, *reverendissime*.

Zachmurzył czoło... — Radziłem to przecież... Czemuś się zajmował wczoraj, przedwczoraj?

— Waszmość wiész, całe ranki trawiłem na polowaniu, potem jadłem obiad, dalej z panem ojcem obchodziłem gospodarstwo, stajnie, stodoły, czas szybko spływał.

— Trzeba przecież było i o perorze pamiętać, o Łacińskiej dla wojewody, a jakiej pochlebnej Polskiej dla wojewodzianki i jej matki.

— Jeśli o nie tylko rzecz idzie, nie miej waszmość kłopotu, umiem kilka oracyj na pamięć, nauczyłem się z Sekretarza dyskursów (*).

— Wyrecytuj je więc.

Recytowałem, pater kilka zmian zrobił, zresztą był zadowolniony.

— Powtóre, ciągnął swoją przemowę, staraj się aplikować wojewodzie, co zaś nadewszystko, broń Boże, abyś wspomniał o tém, że w kollegium byłeś świadkiem jego rozmowy ze mną: musisz mi dać uroczyste *verbum nobile* że, ni teraz, ni nigdy w życiu, nie wspomnisz o tém.

Uczyliem co chciał, czule uściskał. — Nigdy nie wątpiłem żeś dobry chłopiec, teraz przekonałem się o tém dowodnie, dlatego bądź pewny mojej i całego zgromadzenia przyjaźni, rachuj na nas w każdym zdarzeniu. Spodziewam się wiész o tém, że gdy chcemy umiemy i możemy dopomódz, przeciwnie (tu brwi zmarszczył), biada nieprzyjaciołom naszym, najpotężniejszego snadno ukorzyć potrafim.

Wiedziałem o tém, dlatego téż szczerze zapewniałem o méj dozgonnej wdzięczności, uległości i t. p. a wysłuchawszy cierpliwie kilkanaście jeszcze uwag, porad i admonicyj, poszedłem do ojca.

Ubrany już był, po raz piérwszy od śmierci nieboszczki matki, w jasnego koloru żupan i kontusz; za obowiązek miał sobie równie jak pater, dać mi mnóstwo rodzicielskich napomnień, zakończył zaś je słowami:

(*) Książka pod tym tytułem, układu któregoś z professorów Jezuiickich, zapelniona oracyami zastosowanemi do rozlicznych okoliczności.

— Bogu najwyzszemu dzięki, moje dziecię, wysłuchał on moich prośb, starożytny nasz ród nie skończy się na mnie, odżyje w twych dzieciach i wnukach dawnym splendorem na chwałę Rzeczypospolitej; ksiądz rektor zapewnia że z strony wojewody nie będzie przeszkody, że chętnie zgodzi się na twój związek z swą córką..... oby tak było, mógłbym umrzeć spokojny, bez kłopotu o twą przyszłość i szczęście. Wojewodzianka dobra partya, nie ma co mówić, parantele ogromne, a choć i naszej rodziny nie brak, przecież tym związkiem nabierze lustru, znaczenia. Inneć prawda miałem kiedyś dla ciebie widoki, inną naznaczałem małżonkę; ale..... tu pochmurzył czoło, Bóg nie chciał, niechaj się dzieje święta jego wola.

Ostatnie wyrazy starca i mnie zasępiły nieco..... Nie było jednak czasu oddawać się smutkowi, ani wspominkom przeszłości, przed gankiem zarzały rumaki, zawarczały koła ciężkiej karocy, i wbiegł jeden z pachółków donosząc że już wszystko gotowe, i że w sieni ksiądz rektor niecierpliwie oczekuje na nas.

Liczny i odpowiedni majątkowi i dostojenstwu starosty, był nasz orszak podróżny: najprzód, na dzielnych koniach jechało kilku hajduków, wszyscy w jednakową barwę ubrani, stosownie do kolorów herbowych w granatowe kontusze i żółte żupany; za nimi szła starożytna karoca o ogromném pudle, zawieszona na skórzanym pasach, w niej siedziałem ja z ojcem i z patrem, karocę ciągnęło pięć cugowych koni dobranej maści, gniade, kierował nimi forys z siodła i furman z kozła, piérwszy, chłopiec lat czternastu, ale nad swój wiek silny i zręczny; drugi, stary sługa wąsaty, pochmurny, z biczem hałaśliwie trzaskał niby kto z muskietu strzelał, kłął

gdy zła droga, gdy dobra, znaną antyfonę: Kto się w opiekę poda panu swemu, chrapliwie nucił.

Dwóch pacholków w galowym Węgierskim stroju, za karołą siedzieli, obok gdy szerokość drogi pozwalała, dwóch rezydentów szlachty, na smagłych kłusowało podjezdźkach, trzech innych z tyłu śpieszyło, za nimi łozak wiódł mego wierzchowca, konno bowiem jak obyczaj wymagał i jak na syna dawnego żołnierza przystało, przedstawić się wojewodzie miałem, koń zaś był dzielny i piękny, prawdziwy Turecki, mój ojciec kupił go od pana Alberta Chełmskiego za sto czerwonych złotych i wart był tej wysokości ceny; smagły, szyja i łeb suche, nogi cienkie, kopyta drobne, czaprak na nim axamitny karmazynowy, haftowany złotem, siodło kordybanowe, uzda z jedwabnego sznurka, także same cugle, grzywa spleciona w drobne warkoczyki, suto przystrojone różnokolorowemi wstążeczkami.

Dwie bryki wiozące kuchnię i pościel, i wóz pełny siana i owsa, uzupełniały orszak, który zwracał na siebie oczy, i do podziwu pobudzał wszystkich mieszkańców wiosek przez które jechaliśmy.

Droga nasza nie była daleką, pięć mil tylko, ale to droga prawdziwie Mazurska, trakt pełny wybojów, w jednym miejscu piasek koniom do pęcin, w drugim błoto za pęciny, gdzie jaki strumyk lub rzeczka, bieda, trzeba szukać brodu; bo po mostkach ani myśl jechać, to brakuje dyla, to poręczy, a gdy były, to tak spróchniały i zgniły, że się im bałeś powierzyć.

Otoż dlatych powodów, chociaż wcale nie oszczędzaliśmy koni, mrok już dobry zapadał, gdyśmy dojeżdżali do granicy dóbr wojewody, o milę od jego rezydencyonalnej wsi, konie były znużone, jeden bowiem tylko zro-

biliśmy popas, koniecznie trzeba wythnąć, chciał to mój ojciec w jednej z karczem uczynić, lecz rektor odradził.

— Tuż przy lesie a na granicy z wojewodą, mówił, mieszka jeden z znajomych mi szlachty, posiada własną zagrodę, folwarczek z kilku włók ziemi i dwóch chat złożony, przyjmie nas chętnie u siebie i lepsze da wygody niż żyd w swojej brudnej karczmie.

Zgodził się ojciec na projekt, zbliżamy się do lasu, pater kazał się furmanowi zatrzymać, pogląda pilnie przed siebie, przeciéra oczy, na twarzy znać niezwykle podziw; szepce na głos:

— Na Matkę Boską Częstochowską, pojąć tego nie mogę, czy kurza ślepotą przypadła na oczy? Zwrócił się do furmana:— Tu przy drodze musi być niedaleko szlachecka fortuna, dworzec, stodoły.... niewątpliwie musiałeś je przeminąć?

— Nie, dobrodzieju, odpowiada furman; uważałem pilnie, zresztą łatwo się przekonać, widzę przecież na pół mili wokoło, krom lasu, równe pole, nigdzie ni drzewa ni chaty.

Przeświadczył się rektor o prawdzie wysiadłszy z karcocy; coraz więcej dziwi się a do starosty mówi:

— Wyobraźcie sobie waszmość, znam dobrze trakt, tylokrotnie jechałem nim, temu tydzień jeszcze (wskazał ręką na prawo), ot w tém miejscu powinien być folwark mego krewniaka po matce, Jacka Zaliwskiego, znam go oddawna, wiem gdzie stoi który budynek, ogród téż był i pasieka, teraz to wszystko zniknęło, czyste pole i zasiane jak widzę, bujnie zieleni się owies.

Jeden i drugi z hajduków i dworzan znajdujących miejsce potwierdza słowa patra, dziwimy się, rozmaite do-

mysły tworząc, gdy, na znużonym koniu, pędem przez pole, nadbiega jakiś szlachcic; twarz jego blada, w oku łza, wąż niedbale ku podbródkowi zwiesza się.

Nie rzekłszy ni słowa, chciał nas przeminąć, kto wie, może nawet w swym smutku nie dojrzał, wstrzymał go pater wykrzykiem:

— Panie Jacku, panie bracie, dla Boga! co się dzieje u ciebie? powiedzże mi co się stało?

Szlachcic dosłyszawszy znajomy sobie głos, konia wstrzymał, oczy przetaił: — *Per Deum immortalem! reverendissime*, ja nie wiem!

— Jako nie wiesz, gdzie twoja zagroda? twój dworzec?

Szlachcic spojrział po polu: — Waszmość widzisz, nie ma jój.

— Cóżes z nią zrobił? gdzie się podziała?

— Bóg jeden wie, czart wie. Gruba łza po bladej popłynęła twarzy. — Istne niebieskie skaranie, ciężka za me grzechy kara; juźci nie co innego, chyba w ziemię zapadła się, z moją żoną, dziećmi, dobytkiem, ze wszystkiem.

— Ależ to nie sposób! podobne cuda nie przytrafiają się w tym wieku. Kiedyż to się stało wreszcie, musisz wiedzieć?

— Jakże mogę wiedzieć? od tygodnia nie byłem, przed godziną wróciłem dopiero, jeżdżę, szukam, ni śladu.

— Gdzieś był? co robiłeś? wstępowałem przed ośmią dniami do ciebie, nie myślałeś o żadnej podróży.

— Bo też nie wiedziałem o nićj, nie domyślałem się wcale, gdy oto, nazajutrz po wyjeździe waszmości, przybiega konny posłaniec od wojewody. Jasnie pan prosi, abym bezwzględnie udał się do niego, uczyniłem co chciał.

— Panie Jacku, mówi do mnie, masz ze trzy dni wolnego czasu? Ukłoniłem się nisko:— jesteście w domu robotą, czas jarzynę siać, jednak gdy jaśnie pan ma pilne jakie zatrudnienie, wypełnić mogę, siejba poczeka, lub zdam ją na parobczaków. — Dobrze, panie bracie, odpowiem, uściśniętą za rękę, wiedziałem żeś dobry sąsiad, i że przyjacielowi usługisz w potrzebie; chcę cię posłać do Wrocławka, sprzedaj tam moją pszenicę, dodam ci parę dworzaków za towarzyszków, możesz nagrodę. Nie było co rzec, podziękowałem za obietnicę, i dalej w drogę, nawet w domu nie byłem, aby żonę i dzieci pożegnać. Przyjeżdżam do Wrocławka, kupców mnóstwo, ale łotry targują nie kupują, czas zchodzi, nie trzy lecz cztery dni upłynęło zanim dobiłem sprzedaży, chcę wracać czemprowadzę do domu, dworscy wojewodzińscy wstrzymują. — Panie bracie, tak się nie godzi, warto litkup wypić; zaprowadzili do Węgrzyna, pijem, najprzód miód, potem wino, dzień przeszedł, za nim drugi, że ot ledwie dzisiaj koło południa mogłem powrócić; pokazuję wojewodzie kontrakt, sprawiam się z interesu, grzecznie dziękuje, ścisła, już to nie ma co mówić dobry pan, układny, nie tak jak drudzy, coto zadzierają nosów nad równość szlachecką; wdzięczny jestem aszeci, mówi, przeliczył zadatek, odłożył sto tynfów, to za twoją fatygę, wymawiam się, nie nie pomoże panie bracie, musisz przyjąć, albo rozgniewasz mnie na wieki; wziąłem więc pieniądze, do kieszeni chowam; żegnam się, hejże miły sąsiedzie, czy sposób żebyś bez obiadku dom mój opuścił? *per Deum*, nie zezwolę na to, czyto ja niegodny abys u mego stołu zasiadał? Bałem się uchybić, siadam więc, jem i piję z apetytem, wojewoda odjechał na polowanie, wielkie urządził w swych kniejach, ja do konia... nie ma, dworscy

zamknęli w stajni. Nie wyjedziesz, mówią, dopóki nie ugościsz się z nami, z podróży nie odpoczniesz; proszę, błagam, nic nie pomaga, prowadzą do kommissarza, pij lub bij się, piłem znowu, ponad wieczorem uwolnili wreszcie, jadę, szukam chudoby... ni śladu. Objechałem w prawo, w lewo, niewiadać nic, sądziłem że wino zakręciło w głowie, szatan opętał, że ja sam tylko bożkiem skaraniem oślepiłem, lecz i waszmość nie dopatrujesz jój, zginęła więc na prawdę, przepadła.

Pater słuchał z uwagą opowiadania szlachcica, zachmurzyło się oko i czoło, a rzekł po chwili namysłu:

— Jeśli się nie mylę, waszmość mi wspomniałeś, że wojewoda chciał nabyć twoje chudobę?

— A tak, kilkakrotnie tentował o to, propozycye mi robił, moja fortuna podobala mu się, chciał zaokrąglić dobra jój nabyciem, piękną ofiarował sumkę, lecz ja przyjmując nie chciałem, toż to wiek z wieka mojej familii dziedzictwo, tu ja i mój ojciec, dziad i pradziad urodziliśmy się, wychowali, sprzedać, byłoby niby szlachectwa wyprzecić się, swój rodzinny klejnot porzucić.

— A w tych czasach, nie ponawiałże propozycyi?

— Tak, i więcej niż kiedy. Kommissarz, chytry Niemiec pobudzał, przed dwoma tygodniami jeszcze chciał nabyć: jaśnie panie, przebacz mówiłem, ale nie mogę. „Lecz ja muszę ją mieć i będę miał” wykrzyknął; ukłoniłem się pokornie, tajnie śmiejąc się z pogróżki, wojewoda możny pan, wiele potrafi, lecz przecie nie pod Turckim rządem żyjemy, sprawiedliwość się znajdzie, a gdyby o zajezdzie myślał, od czego bracia częściowa szlachta w powiecie? Jedno rzekłbym słowo, a stu dosiadłoby koni, pomściło krzywdę krewniaka.

Pater milczał, lecz paznogie, jak to miał zwyczaj gdy o czém ważném rozmyślał, przygryzał, szlachetka biadała, płakał a mówił:

— Ojczy dobrodzieju daj radę, mnie głowy nie staje; może to jakie czary, może exorcyzmy zdadzą się. Sięgnął do kieszeni, wydobył woreczek z stem tynfów; otoż com od wojewody dostał, cały mój nateraz majątek, weź, daję chętnie, ale dopomóż.

Odsunął pieniądze rektor: — Schowaj je wasze, a dobrój bądź myśli, domyślam się co się stało z twoją fortuną, lecz *per Deum*, nagrodzony będziesz, siadaj zatem na konia i pojedź z nami.

Szlachcic zastosował się do rozkazu, ruszyliśmy w dalszą drogę, ksiądz Głuski nie był jakoś w swoim humorze, starosta o przyczynę zagadnął.

— Jakto? odparł, toż waszmość nie domyślasz się jeszcze, co się stało z fortuną mojego krewniaka?

— Wyznam szczerze że nie, dziwna historia niepodobną do wiary zdaje się.

— Mnie ona wcale nie dziwi; znam wojewodę, szlachcic nie chciał mu przedać chudoby, użył więc podstępu, wyprawił biédaka na tydzień w dalekie strony, a przez ten czas jego dworzec zajął, zniszczył, miejsce zorał i zasiał.

Ledwie że tych słów dokończył, gdy nagły wykrzyk gore! zwrócił naszą uwagę: roztworzyłem drzwi karocy: ponad lasem błyszczy łuna, pożar niedaleko być musi, widzę bowiem iskry gęsto lecące, tuman dymu, co więcéj, z wiatrem niesione dochodzą nas wykrzyki licznego tłumu, zebranego bez wątpienia na ratunek.

Siadłem na konia, wziąłem z sobą hajduków, pobiegłem na miejsce nieszczęsnego wypadku; wpół lasu stoi

karczma, naprzeciw niéj, po drugiéj stronie, był zajazd, ten się pali.

Pożar nie osobiwsza rzecz u nas, przytrafia się często, ale to szczególna, że nikt o ratunku nie myślał, a przecież w okrag karczmy zebrał się tłum ludzi, konno, pieszo, szlachta, wieśniacy, większa część z rusznicami, orszak myśliwski zapewne.

Dobiegłem do gęstszej gromady, z saméj szlachty złożonej; otoczyli jednego wilka, dwóch dzików, tyleż sarn, i kilkanaście zajęcy zabitych. Żwawo rozmawiają z sobą, rozpowiadają zapewne swoje myśliwskie zdarzenia, na ich czele wysoki dobréj tuszy lat pięćdziesięciu mężczyzna, postawa okazała, ubiór bogaty, u pasa w miejscu szabli, kordelas; uśmiech na ustach, radość w oku; poznałem go odrazu, to wojewoda.

Z uszanowaniem zatém, skoczywszy z konia, przystąpię do niego; poznał mnie téż, widział kilkakrotnie w kolegium, wykrzyknął:

— A bywajże szczęśliwie, jak się masz... od dwóch dni oczekuję na twój przyjazd. Rektor doniósł, lecz cóż to, przybywasz sam?.. Gdzie starosta?..

— Mój ojciec, odpartem, złoży za chwilę swoje uszanowanie waszmości dobrodziejowi; wyprzedziłem go, ujrzawszy pożar.

— Pożar? powtórzył zdziwiony... jakto? gdzie?

I ja byłem zdziwiony... stoi przy ogniu i nie widzi go! wskazałem ręką na gorejącą budowlę, domyślił się teraz. — A mości panie, bezpotrzebnie lękałeś się, wszakże to nasz sygnał...

— Sygnał? spalenie zajazdu!

— A tak, rozpierzchliśmy się daleko po lesie, trudno było zebrać się, dlatego aby każdy wiedział w której

znajdujemy się stronie, kazałem podpalić ten stary grat, strata niewielka, kilka talarów, odbuduje się żydowi.

Dziwną rzeczą zdały mi się podobne znaki myśliwskie odezwać się z tém przecież nie śmiałem, wojewoda dojrzał w mym orszaku szlachcica, który tak szczególnym sposobem stracił fortunę; uśmiechnął się domyślnie.

— A mości panie, waszeć tu! zawołał.

Szlachetka ukłonił się nisko: — Tak, jaśnie panie, wielkie spotkało mnie nieszczęście, okropna karystya.

— I cóż takiego? czy ci żona lub dzieci chore?

— Gorsza rzecz jeszcze, straciłem je.

— Straciłeś! czy sposób?

— I chudobę, mój dworzec, stodoły, obory, wszystko przepadło, zginęło.

Wojewoda zadziwienie udał, lecz uważałem, z trudnością śmiech taił, toż samo i dworzanie i przytomna szlachta, wiankiem okrążyli obudwu.

Pan Jacek Zaliwski, długo i szeroko opowiadał rzecz swoje, magnat wesa potarł: — Widzisz wasan, nie chciałeś mi sprzedać twojej fortuny, nie zważyłeś na prośbę sąsiada, pan Bóg skarał.

— O tak jaśnie panie! wielka prawda... Pan Bóg skarał, trzeba było sprzedać, ach! czemuż nie uczynilem tego! Zaczął płakać.

— No, no, dobrotliwie wojewoda wyrzekł; nie biadaj wasze. Bóg łaskawy zmiłuje się, żona i dzieci twoje żyją, dziś je ujrzysz jeszcze, znajdują się u mnie we dworze.

— Czy sposób! miłościwy dohrodzieju, a fortuna?

— Hm, co do téj, trudniejsza sprawa; téj ci wrócić *in natura* nie mogę, alez znajdzie się sposób wynagrodzenia, kazałem przemierzyć twe pola, razem trzy włóki

i kilkanaście morgów, grunt nieosobliwy, piasek, mniej-
sza o to, pszenną rolę dam, wybierzesz w moim majątku
gdzie zechcesz, dworzec ci wybuduję mym kosztem, pod-
danych osadzę, będziesz mym sąsiadem i przyjacielem
jak dotąd.

Uradowany szlachcic szczerze dziękował, kolano ma-
gnata ścisnął, ten śmiał się, śmieli się wszyscy przyto-
mni, znający zapewne historią zniknięcia chudoby, aż
téz mój ojciec nadjechał.

ROZDZIAŁ X.

*Dawne moje uczucia. Wojewoda i jego familia. Pan
Michał i Elżbięta. Chłop strzela Pan Bóg kule nosi.*

Przypomni sobie zapewne czytelnik, że pierwsze
a szczęśliwe lata dzieciństwa spędziłem pospołu z córką
pana Michała, Elżbiętką, żeśmy sobie za małżonków na-
znaczeni byli i że może ten związek byłby nastąpił, gdy-
by nie intrygi tych którzy teraz wielowładnie w rodzin-
nym moim domu rządzą.

I to wspomniałem, że piękném dziewczęciem była El-
żbięta, hożą rokowała dziewicę, lecz czy się tak stało,
wiedziéć nie mogłem, jeszcze przed śmiercią starościny,
wzięła ją na opiekę jedna z dalekich krewnych, oddała
na naukę do klasztoru, wkrótce potem porucznik opu-
ścił dom mego ojca, ja w kollegium nad książką truci-
łem czas; jakimże sposobem mogłem zejść się z tą którą
dziecko kochałem?

Obraz jednak pięknego dziewczęcia, nazbyt głęboko
utkwiał w pamięci, aby z niej snadno mógł być wyglu-
zowany. Cóż trwalszego w naszym życiu nad wrażenia

dziecinne? Wszystkie inne niweczy czas i okoliczności: te nie wzrosłszy z nami, częścią naszej duszy i serca niejako stają się; jedna śmierć zniszczyć tylko je może.

Otoż te przypominki młodości, nasuwające się co chwila wyobraźni, jedynym były kolcem w terażniejszém mém życiu. Bez nich całkowiec byłbym szczęśliwy, bez nich z zupełną radością zgodziłbym się na me przeznaczenie: przyjąłbym żonę jaką nastroczał los, tysiączne były powody zdania się na jego wolą, jeden tylko wspomnę. Doszedłem dojrzałych lat, niemiłą więc była zależność w której musiałem żyć; niedoświadczonego nęciła myśl, że ożeniwszy się, na własném gospodarstwie osiadę, wyrwę się mentorstwu ks. Jezuitów, będę miał znaczenie i poważanie w powiecie, stosownie do chęci i gustu życie moje wieść będę.

Dom téż wojewody podobał mi się, a najprzód on sam.

Nie starój bowiem daty był to człowiek, nie jeden z tych, którzy doszedłszy sędziwego wieku, z nim nabrali dziwacznych uprzedzeń, w swojej przeszłości wszystko dobrze widzą, pogardzając terażniejszą i za nie sobie nie mając młodzieży. Długie przebywanie na dworze królewskim, częste po Europie przejażdżki, otrząsnęły magnata z wrodzonej Sarmackiej szorstkości; greczny był, uprzejmy, miły w obcowaniu, wesoły w rozmowie, a jeśli niekiedy były podobno wybryki, jak np. z szlachcicem o którym w powyższym rozdziale wspomniałem, trafiały się rzadko, niby lekkie chmurki na pogodném wiosenném niebie, reputacyi nie psując, ni charakteru nie krzywiąc, kielichem téż nie gardził, i rad był, gdy kto mu jak mówił dotrzymywał placu. Jedném słowem było człowiek, wzór naszych magnatów, lubiony

od całego województwa, kochany tak od równych sobie majątkiem i znaczeniem, jak i od biédnej częściowej szlachty.

A jakim był naczelnik, taką i cała rodzina. Żona dobra kobieta, poczciwa Sarmatka, nikomu jak mówią nie zamąciła wody, a wszystkich serca podbiła szczerą uprzejmością, staropolską gością. Toż samo synowie, starszy równego prawie ze mną wieku, towarzysz pancerny chorągwi królewicza Alexandra, sposobnej tylko czekał okazji, aby dać pole animuszowi swojemu, spróbować się z Tatarem lub Turkiem; z nim szczególnie zaprzyjaźniłem się, jak wiek tak gusta i wyobrażenia nasze były podobne, wiele też winien mu byłem, jemu zawdzięczałem że się otrząsnął z przywar Jezuickiego wychowania, że przypomniiał sobie że szlachcic do korda i słowa, a nie do książki i różańca stworzony. Wziąwszy sobie za wzór jego postępowanie, jako tako umiałem zaprezentować się ludziom, pomówić z nimi o czémś ważniejszém jak o Alwarze lub pogodzie, że się nie zdawał dziwołgiem w wesołym domu wojewody.

Bo dom to był jak drugiego w okolicy nie znalazłeś; otwarty nie tylko dla przyjaciół i rodziny, ale dla każdego co chciał doń zawitać, dla każdego, byle tylko mógł się jako tako zaprezentować a szlacheckim klejnotem szczycił się. Co tydzień wojewoda, który z natury lubił zabawę i gwarne hulanki, bez towarzystwa obejść się nie mógł, wynajdywał jaką fetę: to były urodziny jego, żony lub którego dziecka, to anniwersarz tego lub owego zdarzenia, to wreszcie uczczenie jakiego sąsiada i przyjaciela; gdy tych pozorów zabrakło, ogłaszał polowanie, rybotóstwo, okrężne, lub też umyślnie żenił oficjalistę lub rezydenta swojego; a że żaden festyn nie mógł na

jednym dniu skończyć się, że nieraz trzy i cztery zabierał, w pałacu wojewody było, niby na odpuszcie w Częstochowie, ód Nowego Roku do drugiego ustawny gwar, gości tłum, wesele, zabawa.

Olśniony byłem podobnym życiem, przecież gdybym miał lepsze oko, większe doświadczenie, pojąłbym niezawodnie słuszność starego przysłowia: nie wszystko złoto co się świeci. Wesele w domu wojewody, zbytek, magnacka wystawa, blichtrzem tylko były, dobry humor gospodarstwa, maską pod którą nieraz obfite płynęły łzy.

Wojewoda przy ogromnym majątku, ogromnemi obciążony był długami; życie dworskie, usługi rzeczypospolitej niesione, a co nadewszystko niepomiarkowany zbytek, zgromadziły je, nieraz trudno im się było uwolnić, niejednokrotnie, ten lub ów, nie odebrawszy na termin nietylko kapitału ale i procentu, wodził po sądach, groził trybunałem, exdywizją, inny ostrzej prawdy słowa rzucał w oczy, trzeba się było brać na sposoby, starać, kłopotać, stare długi nowemi spychać, pieniać, nieraz z uszczerbkiem dla honoru, ujmą dla sumienia, lecz cóż? Tak silnie była zagnieżdżoną żądza zabawy w sercu magnata, że nią owładnięty, znosił chętniej różnorodne utrapienia, na nędze dzieci narażał, niżby miał ograniczyć wystawę domu, starannem gospodarstwem zrujnowany majątek do powinnej zamożności przywieść.

Na tém niedość.

I w dworcu wojewody, równie jak w naszym, zagnieżdżyły się czarne sukienki, i tu ksiądz rektor, dyrektora i kapelana narzucił, gdzie zaś wcisnęli się ojcowie, mógłże istnieć pokój domowy? Wojewoda nie był przecież człowiekiem, co łatwo komu ulegał, lub którego pobożnością jak starostę, można było otumanić. Przeważne

więc okoliczności tylko, mogły go poddać władzy zakonu, lecz jakie one były? trudno wiedzieć. Jedni utrzymywali, że księża ogromne summy mieli na dobrach, nabywając od pomniejszych wierzycieli kapitały, inni że pomocą byli magnatowi w osiągnięciu starostw, dzierżaw i innych oznak względów królewskich.

Co do mnie, głowy sobie nad odkryciem tajemnicy nie łamałem, brałem życie jak szło, bawiłem się, jadłem, piłem i słuchałem opowieści wojewody, przyjaźniłem się z jego synem Stanisławem, a konkurowałem o rękę panny Jadwigi.

Bez trudu zaś szły owe konkury, nie miałem powodu kłopotania się o względy panny, młode dziewczę, czternastoletnie zaledwie, miałoż swoją wolę? żywsze jakie uczucie mogło obudzić się w sercu? Dawano jej męża, przyjmowała go bez myśli, jaki wpływ ten związek wyrze na całe życie, czy szczęście lub zgryzotę przyniesie; dowodnie przekonałem się o tém przy oświadczeniach. Wojewoda i jego żona, szczerze uradowanemi byli; licząc obarczeni familią, nie mogli marzyć o magnackich kolidacjach, ja zaś miałem majątek niezawisły, i dość znaczny; przywołano pannę, upadła do nóg rodzicom, nauczono ją tego, powiedziała że się zgadza z ich wolą, i dosyć, żadnego żywszego uczucia nie dopatrzyłeś na twarzy; łza nawet ni radości ni smutku nie zabłysnęła w oku, wiązała się na życie całe równie obojętnie, jakby szło o chwilową zabawkę, kulig, taniec, i nie dziwiłbym się wcale, gdyby przyjąwszy oświadczyny, poszła lalkę ustroić, lub w ciuciubabkę pobawić się z dworskimi pannami.

Kto wie, może nawet tak było.

Ślub nasz oznaczono za dwa miesiące, nie gniewałem się o to, bo niecierpliwości obudzonej prawdziwem kochaniem, nie było, owszem, gdyby zależało ode mnie, termin przedłużyłbym jeszcze, rad napawać się słodyczą swobodnego życia, którą po raz pierwszy kosztowałem.

Jako oświadczony i przyjęty konkurent, więcej jeszcze niżli poprzednio uczęszczałem do domu wojewody. Pewnego dnia spytał się, czy lubię polowanie.

— Dosyć, odrzekłem, lecz mało mam wprawy.

— Co do wprawy, ta się znajdzie pod moim kierunkiem, zresztą, dowiemy się ile jej brak jeszcze; posiadam obszerne knieje w Ostrołęckim, pojedziemy tam, jest mnóstwo zwierzyny, zabawimy się dobrze.

Gdy projekt dotyczył zabawy, niewątpliwie wojewoda uskutecznił go; jakoż w trzy dni zebrawszy swoich rezydentów sąsiadów i służbę, łowy rozpoczął; miały one dwie doby trwać.

Pierwszy dzień zszedł przyjemnie, bez żadnego ważniejszego wypadku; ubiłem parę zajęcy, postrzeliłem dzika, to mi dodało animuszu i ochoty myśliwskiej.

Nazajutrz zapuszczono psy w obszerną knieję, w której według powieści strzelców, miały się znajdować jelenie i łosie. Postawiony byłem wspołem z przyjacielem Stanisławem, na dość odległym stanowisku; niedługo czekaliśmy, pędzone obławą jelenie zbliżyły się, daliśmy ognia dość niezręcznie, żaden nie padł, ale jeden postrzelony został.

Przyszły mój szwagier rzekł:

— Hańbą to dla nas byłoby, aby ktoś dobiwszy ranione zwierzę, miał się cieszyć tryumfem który słusznie nam przynależy. Panie Stefanie, chodźmy w trop jelenia, strzał był dobry, nie może znajdować się daleko.

Projekt chętnie przyjąłem, szliśmy jakiś czas za śladem zwierzyny, lecz że on zniknął, rozłączyliśmy się aby go prędzej wynaleźć.

Szukałem blisko pół godziny napróżno, wtém wysunął się głuszec, pobiegłem za nim, wodził kilkanaście minut po lesie, toż samo drugi i trzeci, że gdy ochłodniejszy nieco z myśliwskiego zapachu, chciałem się z przyjacielem połączyć, ze strachem poznałem iż drogę w puszczy straciłem.

Próżne były wszystkie usiłowania aby ją wynaleźć. Jak się to zwykle dzieje w podobnych okazyach, im więcej szukasz tém więcej błędzisz. Strawiwszy pół dnia na daremnój bieżaninie, nad wieczorem dopiero wyszedłem na pole, i co lepsza, o ćwierć mili od siebie, ujrzałem jakąś wioskę, długim rzędem drewnianych chat rozsiadłą u stóp zielonego wzgórza.

Szedłem więc do niej, gdy oto na połowie drogi zastąpiła zgraja psów: kundle, charty i wyżły; bronilem się strzelbą jak mogłem, bez nadziei ocalenia połów kontusza, gdy szczęściem dla mnie, zajadłą psiarnię ktoś przywołał, jakiś poważny starzec, w białym płóciennym żupanie, w ogromnym słomianym kapeluszu na głowie i z laską w ręku: wyszedłszy z poblizkiego parowu, wstrzymał się kilkanaście kroków ode mnie.

Rzucić się w objęcia tego starca, przycisnąć do serca, było dziełem jednéj sekundy, poznałem w nim bowiem pana Michała.

Któżby opisał mą radość!

Wzajemne uściski końca prawie nie miały, łzy nam obom z oczu płynęły, uspokoiwszy się nieco, opowiedziałem moje przygodę, traf któremu zawdzięczyłem ujrzienie dawnego przyjaciela. Starzec mówił:

— Bogu niech będą podziękki, jegoto łasce zawdzięczam, że choć raz jeszcze przed zgonem, widzieć cię mogę; lecz nie ja sam tylko uradowany będę, moja Elżbiętka chyba głowę straci z radości.

— Toż ona mieszka z wami, panie poruczniku?

— Gdzieby miała mieszkać jeśli nie przy ojcu? prawda, ciotka chciała zatrzymać przy sobie, w mieście byłoby weseliej, ale dobre dziewczę słuchać nie chciało.... lecz chodźmy, zobaczysz ją, nie wiem czy poznasz tę, którą... Lecz na co stare przypominać dzieje, inne już teraz twe myśli, inne jak słyszałem skłonności, widok jednak współwychowanki grzechem nie jest, nawet ojcowie Jezuci nie mogą się gniewać.

Poszliśmy, moje serce biło gwałtownie, nie pojmowałem przyczyny; wchodzimy na dziedziniec, zabieży nam drogę młode dziewczę, pan Michał radośnie wykrzyknął: — to ona.

Co się działo ze mną, dalipan, tego wyrazić nie sposób. Mówiłem już, że pamięć Elżbiętki zawsze drogą mi była, że jej obraz niejednokrotnie nasuwał się wyobraźni, ten obraz jednak jakże dalekim był od rzeczywistości! Piękną była dzieckiem Elżbiętka, lecz teraz dziewczyna, przewyższała wszystkie moje marzenia! Toż to był anioł istotny... wzrost bujny, włos czarny, oko także, twarzy czka istne malowanie, róża z lilią, cóż dopiero układ, kiści!

A poznała mnie odrazu, i równie jak ja zdawała się być wzruszoną. Cośmy zaś z sobą mówili, jakie było nasze powitanie, dalipan tego nie mogę sobie przypomnieć; niewiele zaś w słowach i postępowaniu naszym musiało być dowcipu i sensu, bo pan Michał wesoło zawołał:

— No, dzieci, a na biesa, co wy tam z sobą trzy po trzy pleciecie? ni ładu ni składu! Ty Elżbićtko nie rumień się, nie drzyj niby listek osiny, czyż to nie znasz Stefanku? po raz pićrwszy go widzisz? Wnać znowu czemuż tak szćroko oczy roztwierasz, jakbyś niemi moje dziewczćę chciał poćknąć, chodźmy ot lepiej do izby, czćm chata bogata tćm rada, a dla takiego goćcia jak staroćcie, przedewszystkićm hojnć być musi.

Cały wieczór do póżna w noc, jak najmilćj nam zeszedł, opowiadalićmy sobie nawzajem dzieje uplyńionych lat, wspominalićmy niewinne igraszki i zabawy dzieciństwa. Pan Michał wypytywał się o szczegóły mojego zycia i zwićzki z wojewodziankć, o ktćrych doszly go posłuchy, odpowiadalem jak mogłem, lecz się to nie kleiło, uważałem bowiem, iż na wspomnienie moich konkurów, Elżbićtki czoło zasepiło się, rumieniec znikł z pićknćj twarzyczki, a spojrzala na mnie.

O! nie zapomnę nigdy tego spojrzenia; był w nićm smutek, żal, łzy bolesnie zranionego serca.

Uczucia dziewicy, być może nie uszly i bacznego wzroku porucznika, bo potarł wćsa na dół, ściagnęly się nieco brwi i rzekł:

— Takie widno są zrzćdy hoskie, poddać im się w pokorze wypada... wola ojca, wola dziecka być powinna; zresztć Stefanek nie ma przyczyny skarżenia się, wojewodzianka dziewczćę dobre, młode, nieszpćtne, posag nie wielki ale parantele magnackie.

Odwiódłszy zaś mnie o dobrćj nocy do komnaty, mówił:

— No, panie Stefanie, wieczór dzisiejszy do nas należał, lecz jutro już tych powinno być, z ktćreymi żyjesz

obecnie, włość wojewody trzy mile tylko odległa, po śniadaniu pojedziesz, odeślę cię.

Nie odpowiedziałem nic na to, ale samo wspomnienie nowój rozłąki z dobrym starym przyjacielem i z Elżbiętką dręczyło, trzeba się jednak było poddać woli opatrności, wiedziałem o tém.

Nie opuściłem jednak tak prędko domu pana Michała.

W błakaniu się mojem po lesie, przedziurając się przez gęstwę krzaków, brodząc po mokradlach i bagnach, nieraz musiałem się postyrknąć, raz też szczególnie, uderzyłem się wtedy silnie w kolano.

Ból był wielki, ale nie zważałem na niego zajęty powabem wieczoru. W nocy powiększył się, spać nie dał, a nazajutrz rano, znalazłem nogę opuchłą, silna też febryczna gorączka dręczyła, nie sposób było o wyjeździe myśleć; przyznał to porucznik, mówił:

— Istotnie powinienem Panu Bogu dziękować, za ten smutny dla ciebie wypadek; pozwoli mi on kilka godzin dłużej cieszyć się z tobą, trzeba jednak posłać do wojewody z zawiadomieniem co się stało.

Byłem temu przeciwny: — Dzień spoczynku, mówiłem, powróci mnie do zdrowia; wtedy, gdy tak chcesz, odjadę.

— Nic, nic, odparł, to być nie może, jesteś gościem i *quasi* krewniakiem wojewody, twój los obchodzić go powinien. Coby rzekł, gdybym mu nie doniósł o twym tu pobycie i słabości? gotów dziwne rzeczy wnioskować, jeśli nie on to ojcowie Jezuici. Zmarszczył brwi. Aszmość nie wiesz jaki był powód rozłączenia się mego z twym ojcem?

— Nie wiem. odparłem, mówiono mi tylko to i owo... o lekkim poróżnieniu się, gniewie i t. p.

— Tak, lecz jaka przyczyna tego gniewu?.. (więcej jeszcze czoło zachmurzył) Panie bracie, strach wspomnieć, a zresztą czemu wspominać, zakłócać te kilka godzin w których Pan Bóg pozwala się oglądać, rzecz skończona w tej chwili napiszę do wojewody.

Jakoż uczynił to, magnat nie przybył aż wieczór, cały więc dzień mogłem spędzić z Elżbiatką, toż samo dwa następne; znalazłem przyczynę do spóźnienia wyjazdu w febrze i gorączce, która jak o zakład dolegała mi w nocy, opuszczając rano. Wojewoda nie gniwał się o to; poznavszy w poruczniku dawnego towarzysza broni, sam się o gościnę przymówił, potem na polowanie zaprosił.

Gdy zaś przyszło opuszczać dom starego przyjaciela, istotny żal był, łza błyszczała w oku.

Nie opuszczałem go bowiem w stanie serca w jakim przybyłem, ukrywać tego przed sobą nie mogłem, kochałem Elżbiatkę.

O! tak, kochałem ją, wszystkie wspomnienia dzieciinne w całej sile odżyły, serce upomniało się o swoje prawa, namiętnie biło w piersi. Trzy dni jeszcze strawiłem z wojewodą, ale już nie nęciła myśliwska zabawa; byłem posępny, roztarngiony, milczący, mało zważano na to, wszyscy obecny mój stan przypisywali niedawniej słabości.

Sam tylko przyjaciel Stanisław, choć w części odgadł moje uczucia, rzekł mi pewnego razu:

— Dalipan, mój Stefanie, od trzech dni nie mogę cię poznać, powiedzcie co się dzieje z tobą? unikasz zabawy, wszystko cię nudzi i trudzi.

— Noga jeszcze dolega, sucho odpartem, febra też pozostała.

— Febra! (bacznie spojrział w me oczy), Bógby dał aby tylko ten powód był, przebacz, ja mam inne domysły.

— Jakież one? z bojaźnią pytałem.

— Panna Elżbiętka tak piękna, ludzie mówią, żeś się z nią pospołu wychował, że rodzice za małżonków przeznaczali was, nie dziwiłbym się, gdyby chęć przyszła teraz ich woli zadość uczynić.

— Bałamucisz, panie Stanisławie, odrzękłem rumieniąc się, gdzieżby znowu!

— Powtarzam, nie byłoby dziwu, moja siostra dobre dziewczę, potulne, właśnie na żonę, ale na biesa, daleko jój od porucznikowny! To mi uroda, ręczę, na całym Mazowszu równiej nie znajdziesz! a dowcip jaki, a układ panie bracie, to szczęście dla mnie, że o niej nie myślisz.

— Dlaczegoż? zdziwiony zagadnąłem.

— Ach, odparł, śmiejąc się jako z natury wesoły; kto wie, czy kiedy, wkrótce nawet, nie wybiorę cię za swata.

— Mnie?

— A tak, ojciec a raczej księża Jezuitci, żonę rają, znaleźli gdzieś na Wołyniu czy też Podolu, cały klucz w posagu, jedynaczka, gotówka tóż ma być, a jak się z boku dowiedziałem, w dodatku do majątku zyz i garb. Lecz niech bies weźmie swaty rektora! nie mam wcale do nich ochoty, o innych myślę nateraz, otwarcie powiem ci, panna Elżbięta podoba mi się; kocham się w niej na śmierć, skoro tylko ożenisz się z mą siostrą, musisz mi być orędownikiem do jój uczuć, ułatwić ślub... spodziewam się wielkich przeszkód nie będzie. Ojciec pogniewa się, to prawda, lecz znam go, przyjmie mój związek jak deliberacye senatu, najprzód z hałasem, potem na wszystko zgodzi się; księży Jezuitów strach tylko,

ależ i oni uspokoją się z czasem, a gdy niemało dbam o to, wszakże nie mam powodu ulegania im jak wojewoda, nie mają na mnie pięćdziesięciu majątkowych kondemnat.

Pojmie czytelnik, ile podobne oświadczenia przyjaciela miłemi były dla mnie, gniów i zawiść wstrząsały sercem zarazem, spokojności nie dawały, a zarazem silném postanowieniem natchnęły, zerwania z wojewodzianką, wyznania starości swych uczuć. O następstwa nie dbałem wcale, młodemu, nierozważnemu zdawało się, że żyć bez Elżbićki nie może, i istotnie, gdyby ojciec do innych związków przymusił, kto wie czyby one wyrokiem zgonu dla mnie nie były.

Co postanowiłem to i uskutečniłem. Przybywszy do domu, udałem się do izby starosty, i mało po mału, wyznałem mu wszystko co się stało, a upadłszy do nóg, błagałem ze łzami, o połączenie mnie z Elżbićką.

Nie sposób wyobrazić sobie, jakie wrażenie podobna prośba wywarła na starcu: w związku z wojewodzianką widział wyłącznie moje szczęście, przyszłość rodu, pociechę dla siebie, strach też był obrażenia ks. Jezuitów, którzy go skojarzyli; ale kochał jedynaka, a ten przysięgał mu, że raczej sobie życie odbierze, niżli innemi ślubami zwiąże się, a nie z tą, którą serce wybrało. W kłopotcie nie wiedział co odpowiedzieć, czy nadzieję mi dać, czy też odepchnąć prośby, wreszcie po godzinie wahania się, oświadczył, że stanowczą odpowiedź da wtedy, gdy się z księdzem spowiednikiem naradzi.

Nie do smaku była mi podobna decyzja, próżno jednak o jej zmianę błagałem. Odpowiadał:

— Tak być musi, i być powinno; nie chcę obrażać moich dusznych przewodników, ale miej nadzieję, prosieć ich będą za tobą.

Nieszczęśliwy, tak poddał się jarzmu ojców, że bez ich woli, najświętszym skłonnościom serca nie śmiał za-
dość uczynić.

W parę godzin później, odwiedził ksiądz Anzelm. Czo-
ło jego było porznięte głębokimi marszczkami, gniew
błyszczał w oku.

— Jestże to prawda, mówił do mnie, waszmość pa-
nie Stefanie, chcesz zerwać z wojewodzianką? nie zważasz
na dane słowo, na ułożone małżeństwo?

— Tak, odparłem, nie mogę taić, prawda; i począłem
błagać patra na wszystko co ma najdroższego, aby się
do mych chęci przychylił.

Lecz błagać go, było to samo co chcieć aby mar-
twy głaz miał litość i serce. Sucho, obojętnie przyjmo-
wał prośby, a odpowiadał:

— To być nie może, waszmość związany jesteś oświad-
czynami! Coby rzekł świat, wojewoda! nie mianożby do
nas, do księdza rektora szczególnież urazy?... czyż nie on
zaprezentował waszmości, układał związek? Byłaby to
kompromitacya, narażenie się na posmiewiska jednych
a gniew drugich osób... *per Deum*, powtarzam, to być
nie może.

Tysiączne jeszcze dawał rady i napomnienia, słucha-
łem ich, silnie trwając w mém postanowieniu. Pater po
rektora posłał: przybył niezwłocznie.

Z początku łagodnością, rozumem i przebiegiem wal-
czył ze mną, lecz gdy przekonać nie mógł, puścił cugle
swemu gniewowi, strachem i groźbą chciał do swęj wo-
li nakłonić.

Ale nie byłem już drobném pacholęciem, które ła-
two mogłeś przestraszyć; kilka miesięcy swobody zahar-
towało umysł, wiek téż przyszedł, w którym człowiek

zaczyna czuć swoje siły, nie lada przeciwności ulegnie, reszty dokonała miłość. Jak wprzód prośby, tak teraz groźby patra odepchnąłem śmiało.

Ksiądz Głuski zanosił się od gniewu. — Ach! tak więc jest, wyrzekł, łagodność nasza, zbałamuciła waszności, nie zapominaj przecież że i władzę w rękę mamy, że niesforność ukarać, szalony upór złamać potrafić.

— Zobaczymy, odpowiedziałem zuchwale. Nawzajem bowiem, przypomnij sobie aszmość że już dzieckiem nie jestem, waszym dyscyplem, że kierować się według własnego rozsądku i chęci mogę.

Pater iskrzyste gniewem spojrzenie mi zwrócił, sztydersko uśmiechnął się, i mruczając jakieś pogrożki, wyszedł z komnaty.

Te pogrożki nie straszyły wcale; istotnie, czegoż się miałem obawiać? Moje postanowienie silnie było wzięte, nie zezwoli ojciec na mój ślub z Elżbiótką, myślałem, to żadną siłą świata nie skłoni abym się z wojewodzianką ożenił; gdyby zaś gwałtu chciał użyć, i na to miałem lekarstwo: siędę na konia, projektowałem sobie, ludzie mówią o wojnie z Turkiem, wyprawię się na nią, przedstawię królowi imci, Bóg da, odznaczę się w jakiej bitwie i mój los zapewniony; młody, niedoświadczony a co nadewszystko rozkończany człowiek, kiedyż się lęka o przyszłość?

Inaczej przecież stało się, a stosownie do starego naszego przysłowia, chłop strzela pan Bóg kule nosi.

Rozmowa z patrem rektorem, przeciągnęła się do późna w nocy, pomimo tego, gdy się udałem na spoczynek, długo usnąć nie mogłem; cierpkie jakieś myśli trapiły, jakieś bolesne przecucie, tęskno było, niemilo sercu i duszy, mało przed północą dopiero sen skleił po-

wieki, a i wtedy jakież utrafiwe widziadła wzburzona wyobraźnia nasuwała! Śniło mi się naprzykład, nie zapomnę tego..... że widziałem Elżbiętkę.... ubrana była w weselne szaty... w białą sukienkę, stałem z nią przed ołtarzem gotów do ślubu.... rektor miał go pobłogosławić, lecz gdy podaliśmy ręce aby je związał stółą, oko patra dziko zabłysnęło, odepchnął nas, mnie ujął za gardło, dusił, szamotał.

Dziwaczny sen o dreszcz przywiódł, obudził. Wyobraźcie sobie mój przestach, istotnie pierś moja ciężko była gniecioną, ktoś silnie ręce krępował, i nim zdołałem o pomoc zawołać, o obronie pomyśleć, zakryto mi usta, związane ramiona i nogi, i czterech pacholków, kreatur rektora, bezwładnego przenieśli do pobliskiego lamusa.

Cały wypadek dziełem był pary minut, i gdym z nagłego wstrząśnienia przyszedł nieco do siebie, już siepacze rozwiązawszy, zostawili mnie w izbie, drzwi na klucz zamknąwszy.

Z obawą nie do opisania wielką, oczekiwałem na zbliżenie się dnia coby dał objaśnienie jakie; nadszedł on. Ujrzałem się w izbie brudnej, biednej i pustej, mury jej grube, światło z trudnością przedziera się przez okienka żelazną opatrzone kratą, przy ścianie z jednej strony drewniany tarczan, na nim pęk słomy, z drugiej mały stoliczek, tam książka do nabożeństwa: „Wojsko affektów zarekrutowanych”, dzbanek z wodą i pół bochenka czarnego chleba, obok świstek papieru, wziąłem go, poznałem rękę ojca, pisał:

„Upór waszmości, pogarda rodzicielskiej władzy, wreszcie baczenie na honor familii, i co najważniejsza obawa gniewu boskiego, zmuszają mnie do postępku, który

jakkolwiek boli i krwawi serce ojcowskie, nieodzownym jest jednak. Podduj się mu zatem w pokorze, wyrzuć z serca pychę i grzeszne zamiary, przysięgłem bowiem na święty krucyfiks i zbawienie duszy, że dotąd z więzienia oswobodzony nie będziesz, dopóki nie zgodzisz się na przyjęcie żony którą ci daję. Nie miej żadnej nadziei, związkom twoim tylko z wojewodzianką a nie z kim innym pobłogosławię. To moja wola ostatnia, zastosuj się do niej”.

Co się działo w mém sercu, po przeczytaniu tych wyrazów, po przekonaniu się że zamknięty w więzieniu niby jaki zbrodniarz zostałem, ufam, każdy zrozumieć.

TABELLA

ruchu jesiennego ptactwa w roku 1845, uważanego
w Bychawce, położonej pod 51°3' szerokości geo-
graficznej i 40°12' długości.

PRZEZ

W. Taczanowskiego.

W tomie IV Bibl. Warsz. na r. 1844 od str. 134 wy-
łożone zostały korzyści dla nauk z dokładnego zapisy-
wania postrzeżeń nad zjawiskami peryodycznymi w na-
turze, a szczególności od str. 156 nad przelotami pta-
ków, i dodana tabella obejmująca tego rodzaju postrze-
żenia w Litwie przez hr. Tyzenhauza czynionc. Dla zwy-
czajnej nawet ciekawości naszej byłoby rzeczą przyjemną
dowiedzieć się o jaki czas ten lub ów gatunek ptaka,
prędzej lub później ukazał się albo zniknął, na różnych
punktach kraju. Dla nauki zbiera się ztąd materyał na-
der ważny, który z wielu lat nagromadzony, doprowadzi
do poznania zasad klimatologii, dziś domysłami tylko
chwytyanych. Dlatego pożądaną byłoby rzeczą, ażeby
z różnych stron kraju podawano postrzeżenia, jakie dziś,
z jednego tylko miejsca nadesłane, ogłosić możemy.

| Nazwisko ptaków. | Przepędzające lato w kraju | | Przelatujące dwa razy w roku | | Przylatujące na zimę | U W A G I. |
|---------------------------------|----------------------------------|----------------------|------------------------------|----------------------|------------------------|------------|
| | zaczęły opuszczać miejsca legowe | ostatni raz widziane | początek przelotu | ostatni raz widziane | pierwszy raz widziano. | |
| | d | n | i | a. | | |
| Falco milvus, Kanie | | 10 Sierpnia | | | | |
| Falco ater | | 13 Sierpnia | | | | |
| Falco cyaneus | | 24 Września | | | | |
| Falco subbuteo | | 20 Paździer. | | | | |
| Falco tinnunculus, Pustułki | | 11 Paździer. | | | | |
| Falco lagopus | | | | | 20 Paździer. | |
| Corvus frugilegus, Gawrony | | | 17 Paździer. | | | |
| Corvus monedula, Kawki | | | 12 Paździer. | | | |
| Corvus corone, Czarne wrony | | | 15 Paździer. | | | |
| Coracias garrulus, Kraski | | 24 Września | | | | |
| Bombycilla garrula, Jemioluszki | | | | | 1 Listop. | |
| Oriolus galbula, Wilgi | | 9 Września | | | | |
| Sturnus varius, Szpaki | | 2 Paździer. | | | | |
| Turdus musicus, Drózd | | 1 Listop. | | | | |
| Turdus merula, Kosy | | 4 Listop. | | | | |
| Turdus iliacus | | | 20 Paździer. | | | |
| Lanius collurio | | 18 Września | | | | |
| Sylvia trochilus | | 11 Paździer. | | | | |
| Sylvia suecica | | 5 Paździer. | | | | |
| Saxicola oenanthe, Białorzutki | | 15 Września | | | | |
| Saxicola rubetra, Pokląskwy | | 7 Września | | | | |
| Motacilla flava, Płazki | | 23 Września | | | | |
| Motacilla alba, Płazki | | 15 Paździer. | | | | |
| Anthus pratensis | | 24 Paździer. | | | | |
| Alauda arborea, Dzierlatki | | 7 Paździer. | | | | |
| Alauda arvensis, Skowronki | | 4 Listop. | | | | |
| Fringilla coelebs, Zięby | | 17 Paździer. | | | 11 Listop. | |
| Emberiza nivalis, Śnieguły | | | | | 24 Sierpnia | |
| Pyrrhula vulgaris, Gile | | | | | | |
| Hirundo riparia, Jaskółki | | 10 Września | | | | |
| Hirundo rustica, Jaskółki | | 4 Paździer. | | | | |
| Caprimulgus europaeus, Leleki | | 10 Paździer. | | | | |
| Columba turtur, Turkawki | | 19 Września | | | | |
| Columba palumbus, Grzywacze | | 5 Paździer. | | | | |
| Columba oenas, Siniaki | | 10 Paździer. | | | | |
| Perdix coturnix, Przepiórki | | 12 Paździer. | | | | |
| Vanellus cristatus, Czajki | 15 Lipca | 9 Września | | | | |
| Grus cinerea, Żorawie | 15 Września | | | | | |
| Ardea cinerea, Czaple | | 1 Listop. | | | | |
| Ciconia alba, Bociany | | 29 Sierpnia | | | | |
| Totanus glareola | 1 Lipca | 12 Sierpnia | | | | |
| Totanus ochropus | 12 Lipca | 20 Sierpnia | | | | |
| Totanus hypoleucos | 19 Lipca | 21 Września | | | | |
| Scelopax maior | 20 Lipca | 22 Września | | | | |
| Scelopax gallinago | 18 Lipca | 5 Listop. | | | | |
| Scelopax gallinula | | | 13 Września | 4 Listop. | | |
| Scelopax rusticola | | | 3 Listop. | | | |
| Charadrius pluvialis, Ślewiki | | | 14 Sierpnia | 20 Listop. | | |
| Gallinula aquatica, Kokooszki | | 10 Paździer. | | | | |
| Gallinula porzana | | 25 Paździer. | | | | |
| Crex pratensis, Dękraczo | | 19 Paździer. | | | | |
| Tringa cinerea | | 21 Paździer. | | | | |
| Fulica cinerea | | 14 Paździer. | | | | |
| Anas querquedula, Cyranki | 20 Lipca | 20 Paździer. | | | | |
| Anser ferus, Dzikie gęsi | | | 20 Września | 5 Listop. | | |

Uwaga. W dniu 3 listopada upadł śnieg, który ziemię pokrył, nazajutrz chwycił mróz i kłótni potwał, z nim reszta ptactwa, oprócz siewek pospolitych, odleciała. Orzechówki, których przeszłego lata i jesieni takie było mnóstwo, w tym roku również znikły, i stały się rzadkie jak zwykle. Ostatnia mocna zima tak wyniszczyła kurapatwy, że trzeba kilka przyjaznych lat, żeby się rozmnożyć mogły; za to też wszędzie jarząbków było więcej jak zwykle. Wszystkie ptaki zimowe bardzo wcześnie i obficie tej jesieni przylatywać zaczęły.

Ptaki te wracając, w żadnym z tych trzech oddziałów pomieszczeniemi być nie mogą; ponieważ jednak w okolicy tej wcale się nie lęga, a peryodycznie dwa razy do roku przelatują i, oprócz bardzo małej liczby kawek i wron czarnych, na zimę odlatują; za to większe pomieszczenie ich w tym oddziale uważam; tej jesieni nadzwyczajnie mała ich liczba przeleciała.

Bardzo widać obficie przeleciały; po kilku dniach skoro się powietrze znowu ociepliło przerzedziły się, z nastąpieniem jednak mrozu znowu powróca. Szpaki z przelotem w zwykłej ilości; zaraz po opuszczeniu gniazd znikły, i tak przez resztę lata były rzadkie, że w niektórych okolicach wcale ich nie widziano.

W tym dniu widziałem: od tego czasu w pierwszych dopiero dniach października gęściej się pokazywać zaczęły.

Przepiórki roku tak było mało, że ich w niektórych miejscach prawie nie widziano.

Żorawi tak, że tylko parę przelotów ich widziałem.

11 września jeszcze widziałem, ale to przypadkowo tylko zostały.

W ogólnym zaś było więcej jak w roku przeszłym, ale zapewne żeru dobrego nie miały, gdyż były ciągle chude, i w późnej nawet jesieni wszystkie się powypasały.

Tak z wiosem w jesieni było ich bardzo mało.

Nictyle od przelatywało.

Wiadomości chemiczno-gospodarskie, czyli opisanie najważniejszych potrzeb życia i t. d. przez Felixa Wojczyńskiego aptekarza, w Warszawie, nakładem i drukiem Orgelbranda 1845.

ROZBIÓR

PRZEZ

Severyna Łędzitowieckiego.

Dziółko to na 4 oddziały podzielone, w pierwszym daje wstępne wiadomości naukowe o niektórych ciałach, mianowicie o powietrzu, wodzie i gazach do ich składu wchodzących, podaje przytém sposoby zniszczenia w powietrzu szkodliwych wyziewów i czyszczenia wody; w drugim mówi o pokarmach, napojach i niektórych przyprawach; w trzecim o cukrze, w czwartym o naczyniach kuchennych.

Autor, jak widzimy, obrał przedmiot obszerny i ważny; zamierzył bowiem nietylko podać sposoby techniczne przyrządzania i ocenienia dobroci najważniejszych potrzeb życia, ale nadto podjął się wyłożyć wiadomości wstępne, do zrozumienia części technicznej konieczne. Jestto zamiar godny pochwały, dotąd bowiem literatura

nasza jest uboga w dzieła tego rodzaju; zważając jednak wszystkie jego trudności, najprzód wolno nam wątpić o podobieństwie jego uskutecznienia. Wprawdzie, autor jako aptekarz w Warszawie, jako członek towarzystwa, które wyższego usposobienia w naukach przyrodzonych wymaga, mógłby dziełko tego rodzaju wypracować; wszelako powtarzam, trudności są znakomite, i zdaje mi się że ich nie przewyciężył. Już sama objętość książki, na rozwinięcie tak obfitego przedmiotu nie wystarcza. Na ośmiu arkuszach obszernego druku, nie można porządnie rozwinąć tyle rozmaitych fabrykacyj; lecz gdy w szczupłym obrębie da się wiele treści zawrzeć, nie uprzedzajmy się więc myślą przedwczesną, ale przejdźmy do badania samej treści dzieła.

W przedmowie autor oświadcza że: *„przekonany jak ważną jest rzeczą w gospodarstwie domowém, przyrzękanie środków do utrzymania życia niezbędnie potrzebnych, przedsięwziął zebrać wszelkie wiadomości w tym względzie potrzebne, i takowe ogłosić. Ponieważ dla jaśniejszego zrozumienia tego przedmiotu, potrzebnymi są niektóre wstępne znajomości (sic), dlatego w tém dziełku poprzedzają najpotrzebniejsze wiadomości o powietrzu, wodzie i gazach do ich składu wchodzących, tudzież sposoby niszczenia w powietrzu szkodliwych wyziewów i czyszczenia wody”* i t. d.

W powyższym cytacie autor objaśnia jaki miał cel w napisaniu dzieła, do nas należy bliżej poznać jak go osiągnął.

Dzieło rozpoczyna od opisanie powietrza. Autor wyraża się następującymi słowami: *„Zpomiedzy wszystkich potrzeb służących do utrzymania życia tak ludzkiego jak i wszystkich jestestw żyjących, najgłówniejsze są*

powietrze i woda, dlatego przyrodzenie za najpiérwszy je pokarm przeznaczyło" (k. 1).

Jestto myśl fałszywa: powietrze i woda nie są pokarmem, ponieważ ani do powrócenia strat przez organizm poniesionych, ani téż do powiększenia jego massy w niczém się nie przyczyniają. Jakie o tém jest wyobrażenie nowszej fizyologii wyłożył *Liebig*, i czytelnicy znajdą w jego *Listach o chemii*.

Po téj myśli błédnej, autor objaśnia że powietrze mocno wpływa na nasze istnienie i najwięcej przykłada się do dobrego zdrowia; dlatego więc, aby w miejscach zamieszkałych mieć zawsze powietrze czyste do oddychania zdadne, należy takowe często odnawiać, co się skutecznie otwierając drzwi i okna zwłaszcza co ranek, aby nowe powietrze weszło.

Jestto całkowita treść o powietrzu, mogąca gospodarstwo domowe obchodzić; reszta jest wspomnieniem kiedy skład jego oznaczono i wyliczeniem gazów z których powstaje.

Przygotowanie to aż nadto krótkie, prawie nic nie naucza. Wszelako, powietrze ma tak wielki udział w rozległych działaniach naturalnych, że należało dokładniejszą podać o niem wiadomość. Autor wspomniał że się składa z trzech lotnych płynów (?) (gazów), to jest kwasorodu, saletrorodu i gazu kw. węglanego, lecz do uzupełnienia tego składu zapomniał dołączyć amoniaku, i wielu cząstek dla nas nieujętych, które jednak są źródłem nadzwyczaj ważnych dla ludzi wypadków. W powietrzu gromadzą się wszystkie wyziewy i produkta gnicia materij organicznych, tak nazwane *miasmata*, źródło chorób zarazliwych.

Takie rozwinięcie wiadomości o powietrzu, dałoby materiały do opisania środków czyszczenia powietrza. Wprawdzie w § 3 (k. 8) autor mówi, że bywają domieszkania szkodliwe, lecz tylko o jedném wspomina, to jest o gazie niedokwasie węgla, który fałszywie opisuje: „*Gaz niedokwas węgla wyciązuje się nietylko z tlejących nienależycie wypalonych węgli torfu...a który przy zatkanym ciągu pieca albo komina, rozszerza się po izbie w postaci gazu właściwego nieprzyjemnego zapachu*”; przeciwnie chemicy nas uczą, że się tworzy zawsze gdy węgle nawet najlepiej wypalone palą się w utrudnionym przystępie powietrza, czyli gdy węgiel jest w nadmiarze względem kwasorodu; że nie ma zapachu, to zaś co wydaje tak zwany *czad*, według *Hunefelda*, pochodzi od kwasu właściwego nazwanego *Kohlenbrandsäure*, który się znajduje między produktami suchej destylacji drzewa.

O kwasie węglanym autor mówi, że się „*w powietrzu znajduje w bardzo małej ilości, a ilość jego wraz z ilością pary wodnej ustawicznie się zmienia*”. To mogłoby naprowadzić na myśl, że ilość kw. węglanego może się nieskończenie pomnażać. Jednak przeciwnie się dzieje. Według doświadczeń *Ververa*, 10,000 ob. powietrza mają średnio 4,17 ob. kw. węglanego; maximum 5,35, minimum zaś 3,33 ob. Zmiany te pochodzą od wywiązywania się kw. węglanego na powierzchni ziemi, przy gniciu materij organicznych, przy oddychaniu; z powodu wpływów tego kwasu podziemnych; nakoniec od stanu wegetacji i pogody, ponieważ dęszcze wiele kw. węglanego z powietrza uprowadzają. Chociaż ilość kw. węglanego jest najmniejszą częścią składową powietrza, jednak masa jego w atmosferze o wiele przewyższa ilość węgla, zawartą w istotach organicznych na ziemi

i w morzu żyjących. On wreszcie, należało o tém nie zapominać, jest głównym pokarmem roślin. Amoniak, którego wysledzenie w powietrzu winniśmy *Liebigowi*, jest bardzo ważnym pierwiastkiem atmosfery; służy do wyrobienia materij roślinnych azotowych, które są pokarmem dla zwierząt (obacz Listy o chemii *Liebiga*).

W opisie własności fizycznych kw. węglanego, uderza wyrażenie: „jest zapachu szczypiącego w nozdrze kołącego”.

Opisanie kwasorodu (k. 4) nie może być mniej dokładne i skrócone. Gdy jednak zważymy ważne jego działania w paleniu, oddychaniu, gniciu i t. d. należało się spodziewać, że autor objaśnienia tych processów nie pominie. Co może być pożyteczniejszego w gospodarstwie domowém nad poznanie warunków kombustyj, przyczyn rdzewienia metalów, wytłómaczenie funkcji zwierzęcej oddychania, wyrabiania octu, zachowywania pokarmów i t. d? Autor ograniczył się na przytoczeniu, że jest bez smaku i zapachu, że wszystkich ciał najobfitszy, że w powietrzu jest 23⁰/₁₀₀ na wagę; ubytek jego sprawiać musi szkodliwe skutki, gdyż utrzymuje życie ludzi i zwierząt; że jest w wodzie i *wszystkich* ciałach zwierzęcych i roślinnych, tudzież w większej części mineralów. Są jednak materje roślinne w których kwasorodu nie ma. Podobnie opisany jest azot, przy którym autor zapomniał ostrzedz, że się znajduje nie we wszystkich ciałach zwierzęcych, że jest także w wielu ciałach roślinnych.

Do oczyszczenia powietrza autor podaje chlor. W istocie, jestto zdanie największej liczby chemików; zważając jednak iż nadzwyczaj silnie działa na materje organiczne, należałoby go unikać, i powietrza pierwiastkiem tak szkodliwym nie zarażać. W czynności tój, w największej

liczbie przypadków, zastąpić go mogą kw. solny, octowy, niekiedy saletrzany; one bowiem zobojętniają amoniak, który zdaje się jest pośrednikiem stanu lotnego cząstek zarazowych (contagium) (Die Chemie in ihrer Anwendung etc. von Liebig V. Aufl. 1843 k. 496).

Od § 6, autor mówi o wodzie, nazywając ją *plynem*, i najpospolitszym *rozpuszczalnikiem*. Dalej podaje: że *pięrcwszy Lavoisier rozłożył ją na dwa gazy palne, i dowiódł że 2 miary co do objętości wodorodu a 1. kwasorodu stanowią wodę* (k. 13). To jednak oznaczenie składu w objętościach, nie było jeszcze *Lavoisierowi* ze ścisłością znane. On wspólnie z *Meunierem* znalazł, że 23 ob. wodorodu łączą się z 12 ob. kwasorodu. *Fourcroy* i *Vauquelin* podali stosunek 205: 100; dopiero *Gay Lussac* i *Humboldt* przekonali się że prawdziwy stosunek jest bardzo prosty, tojest 2: 1. To dało powód *Gay Lussacowi* do zajęcia się badaniem związków i innych gazów, które doprowadziło go do ważnego prawa: że *gazy łączą się w bardzo prostych stosunkach objętości*. Tym sposobem zawiązała się teoria woluminów. *Lavoisier*, następnie *Vauquelin*, *Seguin* i *Fourcroy*, z doświadczeń na wielką skalę robionych, oznaczyli w wodzie 85 kwasorodu i 15 wodorodu; dopiero później doświadczenia *Berzeliusa* i *Dulonga*, podały skład rzeczywisty (88,904 O + 11,096 H).

Błąd ten w dziełku dla początkujących jest mały, lecz wspominając prace uczonych, sprawiedliwa jest rzecz, przyznać każdemu co należy.

Po nadzwyczaj skąpym opisie wody, następuje wodoród (k. 14) także niedokładnie opisany; szczególnież tłumaczenie jego zapalania się za pośrednictwem platyny jest niejasne, w końcu fałszywe; autor bowiem mówi,

że się „nie zapali skoro gąbka platynowa, którą stanowi wyprażony chlorek amoniaku i platyny, już jest zniszczoną.” Wiadomo, że platyna gąbkowa jest platyną w stanie wysokiego stopnia rozdrobnienia, i że nie może być zniszczona. Wiadomo dlaczego traci władzę zapalania wodorodu, i w dziele dla gospodarstwa domowego ważnym byłoby podanie środków które władzę tę powracają, zwłaszcza że nie są trudne, a użycie gazopiryonów wiele upowszechnione.

Opuszczam co powiedziano o wodzie, lecz czytając na k. 18 o odczynnikach do probowania czystości wody, zadawałem sobie pytanie: czy to jest właściwe w dziele, które autor przeznaczona dla osób tak mało w chemii usposobionych, że potrzebują przygotowań dla poznania co jest powietrze, kwasoród, woda, wodoród, chlor? i t. d. Zdaje mi się że to jest wielka niekonsekwencja; kto nie wie co jest kwasoród, wodoród, nie zrozumie co jest woda wapienna, roztwór octanu ołowiu, roztwór wodny kw. szczawiowego, saletranu baryty, wyciąg galasu, gaz wodorodny siarkowy lub likwor próbierczy *Hahnemana*; nadewszystko nie potrafi tych odczynników stosownie użyć, ażeby do pewnego dojść wypadku. Roboty analityczne chociaż proste i łatwe, wymagają szczegółowego postępowania; dlatego potrzeba początkujących o tém uprzedzić i szczegółową drogę wskazać.

Autor mylnie tłómaczy przyczynę obecności wodorodu siarkowego w wodach studziennych, ponieważ nie z samej zgnilizny istot organicznych, np. gnijącej cembrowiny, pochodzi, lecz konieczną jest do tego bytność siarczanów mianowicie gipsu, który redukuje się na siarczyk, ten zaś działaniem kw. węglanego wywiązuje wodoród siarkowy. Poznanie tego zachowania się jest ważne; na niem *Duflos*

oparł tłumaczenie działania gipsu na zasiewach roślin, szczególnie strąkowych, zawierających pierwiastki do których składu siarka wchodzi.

Na k. 27 jest opis destylacji, czyli jak autor mieć chce, przekroplenia wody, według którego nie potrafionoby wody przepędzić.

Dotąd przechodziliśmy dział pierwszy, obejmujący przygotowanie do następnych. Oceniając tę część można powiedzieć bez uprzedzenia, z całą sumiennością bezstronnego sprawozdawcy, że w treści panuje czczość niezwykła; wykład jest mniej niż początkowy, wysłowienie niewłaściwe, są przytém i usterki naukowe.

Autor, zdaje mi się, nie pojął charakteru dzieł mających podawać zasady nauki, a co większa nie pojął naszego stanowiska naukowego. W roku 1845 można się było spodziewać coś wznioślejszego w treści, w języku i w metodzie. Poznanie kilku lub kilkunastu ciał pojedynczych nie stanowi usposobienia w chemii, nie okazuje jej ważnego wpływu w przemyśle, chociaż nawet domowym, ale upowszechnienie zasad nauki, wyciągniętych z natury zachowania się ciał, określenie ważności przeznaczenia ich ze względu na udział jaki w fenomenach przyrodzenia mają, stanowi popularyzowane nauki. Zbiorki bez takiej treści, powierzchowne dotknięcie czy ciała czy fenomenu, jaką korzyść w życiu praktycznym przyniesie, kiedy każdy myślący zapyta, z kąd to pochodzi? dlaczego? Piszący dziełka dla ogółu przystępne, powinni się poprzednio ściśle z siłami swojemi obliczać. Potrzeba tu stopniowania, wyboru, jasności, a dzieła z takimi przymiotami, są płodem niewielu pisarzy.

W rozdziale który przeszedłem, spostrzegamy jeszcze jeden przedmiot który powinien uderzać. Autor zamie-

rzył sobie wskrzeszać i wywoływać potwory już zapomniane. Kwasoród nazywa *żywieniem*, wodoród *lżeniem*. Woda więc składa się z 1go stosunku *żywienia*, 2ch stosunków *lżenia*. Dziwnie to brzmi w mowie! ale też trafnie odbija wartość dzieła. Wyrazy nowe, nawet dobre, są uciążliwościami naukowemi, takie zaś należałoby zostawić w spoczynku, nie mówię dla dobra nauki ale i dla przyzwoitości.

Krótko przejdziemy działy następne; nie ma w nich nic naukowego, dlatego pod tak lekką sukienką wiadomości chemicznych, wszystkie mechaniczne roboty do otrzymania mąki, chleba, séra, masła, miodu, piwa, wódki i t. d. przedstawiają się w naturalnej prostocie, z jaką wykonywają je wszystkie jakiegokolwiek gospodynie wiejskie. Taki prostoduszny opis wyrabiania chleba, dla ciekawości przytaczam (k. 29 i następna). Po zrobieniu uwagi że jest podstawą żywności ludzkiej, autor mówi:

„Sposób przyrządzania chleba zależy na rozczynieniu mąki z wodą, mlekiem lub serwatką, zakiszeniu ugniecionego ciasta i następnie wypieczeniu. Zakisza się ciasto albo mlekiem, albo serwatką a najczęściej za pomocą drożdży, które powinny być piwne i ile można świeże. Do chleba żytnego używają kwasu z mąki, otrąb pszennych i wody, którąto mieszanina, gdy postoi kilka dni w ciepłej izbie, po wyfermentowaniu daje żądany kwas.

Gdy się ciasto należycie wyruszy, uformowane z niego bochenki, bulki, placki i t. d. wsadzają się w piecze i umiarkowanym ciepłem wypiekają.”

Przytoczyłem tu cały opis wyrabiania chleba, ażebym usprawiedliwił zdanie powyższej ogólnie wyrzeczone. Zda się że każdy mieszkaniec, nawet miejski, tyle już wiedział, nie potrzebując szukać objaśnienia w dziele noszą-

cém tytuł: *Wiadomości chemiczno-gospodarskie*. Przytaczam tu jeszcze tę uwagę, że nie pojmuje co znaczy wyrażenie: „zakisza się za pomocą drożdży” ponieważ czynność ich głównie na tém polega, ażeby cukier, działaniem glutenu na krochmal wyrobiony, zamienić na alkohol, i przez wywiązujący się w tej zmianie kw. węglany, nadać ciastu pewien stopień dziurkowatości.

Takim samym sposobem opisano wyrabianie séra. To co autor przytacza o truciznie sérowej, czyli kw. sérowym, mającym się tworzyć w sérze gnijącym, musi pozostać nierozwiązaném do dalszych badań chemicznych. Doświadczenia *Ilienka* i *Laskowskiego* nad sérem Limburskim, nie okazały w nim tak nazwanego kw. sérowego, lecz kw. masłowy, waleryanowy (baldryanowy), kapronowy, kaprylowy, kaprynowy, margarynowy, margaryn i kazein niezmieniony. *Wurtz* okazał, że w gniciu fibrynu tworzy się kw. masłowy; *Marchand* odkrył go w soku ogórków kiszonych i kapusty kwaszonej. Nakoniec wiadomo, że roztwór cukru, wpływem małej ilości zsiadłego białego twarogu, przy $+ 25^{\circ}$ — 30° , wydaje kw. masłowy, dlatego może być, że on jest jednym z głównych produktów tworzących się w czasie gnicia sérów, w których oprócz kazeinu, pozostały inne części składowe mléka.

Nie więcéj szczęśliwym był autor, w oddziale obejmującym fabrykacyą rozcieków alkoholowych; chociaż w tym przedmiocie mamy prace może niezupełnie celowi odpowiadające, wszelako nierównie wyższe od jego dziełka.

„Dobre piwo, mówi autor (k. 56), jest napojem pokarmowym, posila ono swojemi cukrowemi i klejkowatemi częściami.” Zdanie to szczególniej starano się upowszechnić w interesie konsumcyi. Dla ocenienia pożywności pi-

wa, *baron v. Gorup* oznaczył ilość azotu w wyciągu piwnym zawartego, a *Buchner* podaje, że 1 maas piwa Bawarskiego, zawiera 1,8 gran glutenu. W Bawaryi uważają za rzecz dowiedzioną i niezawodną, że piwo brunatne jest pożywne; lecz pożywność ta musi być w bardzo szczupłych granicach zamknięta, nawet według doświadczeń *Buchnera*. Przypuszczając że ktoś ma tak silną budowę, że codziennie $5 \frac{1}{2}$ maas piwa Bawarskiego wypić może, taki konsument w ciągu całego roku, spożywa tyle pierwiastków pożywnych, ile się w 1 bochenku chleba mieści. Gdyby zamiast piwa używał wody, do której na $5 \frac{1}{2}$ miar dosypano mąki na koniec noża, doznałby jednakowego skutku tuczącego. Przyjmując wypadki i obliczenia *Buchnera* jako prawdziwe, pożywność bochenka chleba 5funtowego, ma się do pożywności piwa = 1050 : 1. W istocie, pożywność piwa musi być bardzo małą, ponieważ dobroć jego i doskonałość zależy od zupełności oddalenia wszystkich pierwiastków krwi, w ziarnie jęczmienia zawartych; jeżeli one w piwie zostają, napój ten skłonny jest do kwaśnienia; zasób więc azotu w piwie znaleziony, pochodzi w części od drożdży w kw. octowym rozpuszczonych, od soli amoniakalnych tworzących się w czasie fermentacyi, tudzież od fosforanu magnezji i amoniaku który się w ziarnie jęczmienia znajduje; dlatego ze stosunku azotu nie można wnosić o pożywności piwa. Dalsze opisanie fabrykacyi piwa, jest ogółowe; brakuje w niém części najważniejszej, to jest wiadomości o fermentacyi, która od lat kilku była już rozbięraną i wyjaśnioną; umieszczenie zaś w dziele jakie autor napisać zamierzył, byłoby właściwém i koniecznym.

Należało w tém miejscu wytłómaczyć: jaki jest cel słodowania? z kąd pochodzi działanie siodu w zacierze? należało tu wypełnić ubogi opis mąki (k. 22) i rozwinąć proces przemiany jakiej krochmal doznaje, wpływem tak zwanego *dyastazu*, kwasu siarczanego, glutenu; to bowiem postawiłoby fabrykacyą piwa, porteru, w ogóle rozcieków alkoholowych, dla rolnictwa tak ważnych, w całej jasności z jaką teoria może ją przedstawić. Potrzeba upowszechnienia takich objaśnień, okazuje się konieczną szczególnie u nas, gdzie z całym uwielbieniem nowości wynalazku przyjmują i głoszą pomysły, które dzieła chemików obszernie opisują, jako zastosowanie nauki do praktyki już wprowadzone. Za przykład przytoczyć można wyrabianie piwa z kartolli (1).

(1) Wiele dzisiaj zajmuje pomysł wyrabiania piwa z kartolli, chociaż oddawna wszystkim wiadomo, że się w nich znajduje krochmal, który działaniem kwasu siarczanego i dyastazu można w dextryn i cukier zamienić, następnie przez fermentacyą z cukru alkohol wyrobić. *Liebig* w dziele: *Handbuch der Chemie mit Rücksicht auf Pharmacie* z r. 1843 (T. 2. k. 1327) przytacza: w wielu miejscach z korzyścią użyto mączki kartollanej, jako dodatek przy zaciastowaniu. Niektórzy piwowarzy dodają syropu kartolowego do breczki, przed wzbudzeniem w niej fermentacyi. Według podania *Saussura*, mąka pszenna do rzadkiego klejstru kartolowego dodana, w $+60^{\circ}$ — 70° czyni go rzadkim i stódkim. Rozciek ten z drożdżami przechodzi fermentacyą, wydaje alkohol i kwas węglany. (l. c. k. 1327).

Otrzymanie rozcieku służącego do wyrobienia piwa jest łatwiejsze, niż przyrządzanie zacieru w celu otrzymania wódki: ponieważ w piwie potrzeba część dextrynu zostawić niezmienioną (co byłoby szkodliwem dla gorzelni), i część tylko cukru na alkohol zamienić. Roztwór taki z chmielem przegotowany, nabywa właściwej goryczy, następnie drożdżami zadany, nasładuje piwo, którego tak są rozmaite odmiany, że i napój z kartolli może być za trunek tego rodzaju uważany. Kolor temu napojowi nadać można, za pomocą palonego jęczmienia.

Jestto skutek upowszechnienia dzieł popularnych, a tém samém zle kierowanego kształcenia się elemen-

Czy wyrabianie piwa z kartofli może być korzystne, jestto pytanie, które praktyka dokładniej rozwiąże. Teorya zaś następująca data podaje:

| | | |
|--|--------|--------------------|
| 100 cz. kartofli z Marymontu, w 100° suszon. dają: | | |
| — — — z Marymontu | 24,61% | materyi stałej |
| — — — z Woli | 23,476 | — — |
| — — — średnio | 25,115 | — — |
| zład 100 cz. kartofli zawierają | 75,6 | materyj stałych |
| Wydadają krochmalu | 11,48 | w + 100° suszonego |
| włókna | 6,201 | |
| białko i sole | | |

Jęczmienia przestworocznego, w powietrzu wyszłego:

| | | |
|--------------|-------|----------------|
| 100 cz. dają | 89,03 | mat. stałych |
| | 50,94 | krochmalu (*). |

Przyjmując korzec kartofli = 250 fun. ilość. w nim materyi

stałej = 62,78

— — — jęczm. = 200 fun. = 178,06

a zatem korzec jęczmienia = 2,836 korcy kartofli, co do wagi materyi stałej.

Ze względu na fabrykacyą rozcieków alkoholowych, można porównać ich wartość według zapasu krochmalu.

1 korz. jęczmienia = 94,00 fun. krochmalu

1 — kartofli = 28,70 fun. krochmalu

a zatem 1 korzec jęczmienia = 3,27 korcom kartofli.

Ze względu na pożywność, oceniano wartość stosownie do zasobu azotu.

100 cz. kartofli suszonych dają 1,052 azotu (**)

100 cz. jęczmienia 1,6255 azotu (***)

a zatem w korcu kartofli jest 0,6604 azotu

— — — jęczmienia 2,894 azotu

czyli 1 korzec jęczmienia = 4,4 korcom kartofli.

Nakoniec wspomnieć tu należy: że kartofle są powszechnie ulubioném pożywieniem, które lud bez innych przypraw spożywa; należałoby więc zostawić je na pokarm dla ubogiej ludności.

(*) 4,041 gram. jęczmienia, dają 2,046 krochmalu. Krochmal ten nie był zupełnie czysty, zawierał część glutenu, który osiadł w postaci kłaczków szarych. Dlatego przyjmujemy tu 47% krochmalu, jak zwykle średnio podają.

(**) 0,507 kartofli w 100° susz. dają 0,084 chloroplatynianu amoniu

0,513 jęczmienia

0,139 — —

(***) Rozbłory wykonano sposobem Warrentrappa i Willa.

tarne, w którym nauka nie może być tak rozwinięta, ażeby czytający poznał jej cel, jej środki; nadewszystko

Pozostałość po wyrobieniu piwa z kartofli, sposobem jak podają za pomocą kwasu siarczanego, jest nieprzydatna do żywienia bydła; przeciwnie pozostałości ze siodu piwnego (młoto, słodziny) jeszcze są dobrym pokarmem.

Data powyżej przytoczone, posłużą do oceniania stosunkowej wartości obu tych produktów rolniczych, i korzyści w użyciu ich do fabrykacji piwa. Wreszcie, z uwagi że w nich krochmal jest pierwiastkiem użytecznym do fabrykacji piwa i wódki, można więc dosyć ściśle oznaczyć stosunkową ich wartość, z ilością wódki otrzymywaną, co rolnicy łatwo wykonać mogą, bo fabrykacja ta, na nieszczęście ludu, doszła u nas wysokiego stopnia rozwinięcia i udoskonalenia.

Gdyby kto uważał za korzystne wyrabianie napoju z kartofli, możnaby taką postępować drogą:

1. Z kartofli wyrobić krochmal, ażeby pozostałość mogła służyć na pokarm dla bydła.

2. Krochmal zamienić na dextryn i cukier, przez ogrzewanie od 70—75°, w naczyniach miedzianych z wyciągiem słodowym, wodą letnią otrzymanym.

3. Roztwór słodki przegotować z chmielem i jęczmieniem upalonym, albo z syropem nieco zkaramelowanym, dla nadania koloru.

4. Zadać drożdże i fermentacją zwykłym sposobem przeprowadzić.

Najkorzystniej zaś byłoby, używać syropu fabrycznie na wielką skalę wyrabianego.

Do zczukrowania krochmalu, nie należy zalecać kwasu siarczanego; pozostałość bowiem staje się nieużyteczną, nadto oprócz obawy zanieczyszczenia miedzią (przy użyciu naczyń miedzianych i zaniedbanii ich czystości, albo w razie obecności kwasorodków, azotu w kwasie siarczanym) można przewidzieć naprzód, że piwo tą drogą otrzymane, będzie przeladowane siarczanem wapna. Dla przekonania się czy to rzeczywiście następuje, użyto piwa tą metodą wyrobionego (*) i poddano następującym próbom.

½ decylitra piwa spalone, wydały 0,254 popiołów (**).

a) ½ decylitra strącono chlorkiem baryum; osad=0,289.

(*) Piwo to pochodziło z kantoru p. Betzhold.

(**) Węgiel po spaleniu otrzymany, trudno się pali; popiół bowiem w części się topi, siarczan wapna doznaje zmiany; po uzupełnionej kalcynacji burzy się z kwasami, i wyziewa zapach wodorodu siarkowego.

zaś, ażeby nabył władzy rozumowania, któraby go postawiła w możności pojmovania działań naturalnych i wyprowadzania z nich wniosków.

b) Osad ten traktowano kw. solnym, po wymyciu ważył $0,280 = 0,0962$ kw. siarczanego.

c) Roztwór od a) z amoniakiem dał słabe zamęcenie, a zatem znajduje się nieco kwasu fosforycznego.

d) Z roztworu od a) oddalono barytę, następnie strącono go węglanem amoniaku, z dodatkiem amoniaku, opadły węglan wapna $= 0,194 = 0,109$ CaO.

e) Rozciek od d) odparowano do suchości i zwęglono: zpopiele nie szło trudno, dlatego przyspieszono je salc tranem amoniaku; pozostałość rozpuszczono w wodzie, część nierozpuszczalną zebra no na filtrze, roztwór odparowano do suchości, pozostałość $= 0,174$ powstawała z soli alkaliów.

f) Pozostałość na filtrze e) kwasem solnym obłana, data roz twór w którym amoniak bardzo małe zamęcenie sprawiał.

Z danych wyżej przytoczonych, wynika:

że w $\frac{1}{2}$ decylitrze piwa z kartofli, przez kwas siarczany zeukro wanych, znajduje się $0,164$ siarczanu wapna bezwodnego, czyli $0,207$ siarczanu krystalizowanego; a zatem w litrze $=$ kwarcie, $3,280$ gr. gipsu bezwodnego, $4,140$ krystalizowanego.

Ilość ta powinna zwrócić uwagę konsumentów; zdaje się ho wiew, że wprowadzenie do organizmu takiej ilości soli wapien nej, musi wpływ na zdrowie wywierać. To spowodowało do ha dania: czy zwyczajne piwo dubeltowe jest równie bogate w mate rye nieorganiczne?

a) 1 decylitr piwa kw. solnym zaostrzony, dał z chlorkiem ba rytu $0,043$ siarczanu baryty. $= 0,0148$ kwasu siarczanego.

b) Roztwór a) strącono amoniakiem gryzącym; osad kłaczkowa ty, brudny, spalono.

c) Osad ten w kwasie solnym rozpuszczony, zostawił nieco materyi czarnej (węgla).

W rozcieku zaś amoniak dawał osad obfity, biały, co dowodzi obecność kw. fosforycznego.

d) Z roztworu od b) oddalono barytę, i strącono szczawia nem potażu; osad szczawianu spalony, dał $0,024$ węglanu wapna $= 0,0135$ wapna; a zatem w 1 decylitrze piwa zwyczajnego, byłoby $0,0253$ siarczanu wapna bezwodnego, czyli w 1 litrze $= 0,253$ gipsu bezwodnego

$0,307$ krystalizowanego

$\frac{1}{2}$ decylitra piwa odparowane i spalone, dają $0,102$ popiołów...

Cały paragraf o winie, dla naszego kraju jest całkowicie nieużyteczny. Opisanie wyrabiania wódki, dla chcących trudnić się fabrykacją, jest zanadto krótkie i niedokładne; że zaś wyrabianie na małą skalę wzbronione przepisami obowiązującymi, ta więc część i w celu i w treści staje się niepożyteczną. Najważniejszym byłby opis wyrabiania octu (§ 39, k. 104), którego często używają do użycia kuchennego, do kadzenia, nakoniec w fabrykach do wyrabiania octanów. Autor rozpoczyna od podania ogólnego obrazu fermentacyi, mówiąc: „wszystkie płyny które w sobie zawierają cukier, będąc wystawione na działanie powietrza, przy stosownej temperaturze ulegają trzem gatunkom fermentacyi, a te są: 1) Wysokowa czyli winna, w skutek której pierwiastki cukru wychodzą z wolna z kombinacyi i zamieniają się w kw. węglowy i wyskok, z czego podług natury rozcieku powstaje wino, piwo, jabłecznik i t. d. a w których się wyskok jako widoczna część znajduje. 2) Octowa czyli kwaśna, w której z wyskoku tworzy się kw. octowy, i 3) zgnila będąca ostatecznym końcem wszystkich jestestw organicznych” (k. 105).

Taki sposób uważania przemian, których materye organiczne doznają, w dzisiejszym stanie nauki jest niedokładny, a wyrażenie mylne i nie na swoim miejscu. Ogólne wiadomości o fermentacyi powinny być na czele oddziału mówiącego o miodzie, piwie, winie, wódce i t. d. sąto bowiem napoje z odbytej fermentacyi

Ilość soli alkalicznych oznaczono przez strącenie wodą baryty, następnie odparowanie rozcieku do suchości, spalenie i wylugowanie wodą. Pozostałość po odparowaniu waży 0,067.

Z porównania wynika, że ilość gipsu w 1 kwarcie piwa zwyczajnego i z kartofli przez kwas siarczany robionego, mają się jak 0,307: 4,140 czyli jak 1: 13,45.

pochodzące. Lecz przypuśćmy że autor miał swoje powody do takiego porządku, należało przynajmniej, część naukową wyłożyć bez błędu. Do fermentacyi, nazwijmy ją ogólnie, do przemiany która ma wydać alkohol, nie dosyć jest ażeby roztwór cukru był w zetknięciu z powietrzem, ale potrzeba jeszcze obecności materyi będącej w stanie rozkładu, której ruch wewnętrzny atomów, ma się udzielić atomom cukru i zwichnąć równowagę w ich przyciąganiu. Następuje to za pomocą fermentu, czyli drożdży. O tém powszechnie wiadomo, wszelako w dziełku początkowém i popularném, nie należało o tém zapominać; kiedy autor inne wiadomości starannie przytacza, np. że piwo zwyczajne Warszawskie jest trojaki, tojest: marcowe, dubeltowe i ordynaryjne (k. 77), albo że mąka trze się, czyli miele w młynach, albo wodnych, albo wietrznych, albo końskich, pomiędzy kamieniami i t. d. (k. 23).

Do wyrabiania octu potrzeba alkoholu, lecz ferment nie jest koniecznym; o tém przekonywa działanie sadzy platynowej (Platinmohr) na alkohol, i wyrabianie przyspieszone octu. Potrzeba ażeby alkohol był zetknięty z butwiejącém drzewem; albo żeby zawierał łatwo przez kwasoród powietrza zamieniającą się materiją, która przez zetknięcie z kwasorodem przechodzi w butwienie, albo w gniciu i fermentacyi wydaje produkta własność tę posiadające (*Liebig*, *Chemie in ihrer Anwend.* wydanie 5te k. 393—394).

Nie pojmuje zasady, dlaczego ciemność w occiarni sprzyja tworzeniu się octu (k. 107), lecz czuje niewłaściwość następującego ustępu: „Przez ten sposób, istoty w których skład wodoród i węgiel wchodzi, kwasorodem atmosfery tak się nasycają, iż przechodzą do stanu kwaśnego

formując płyn octem nazwany." Można by więc tym sposobem (autor o nim tu mówi, lecz z opisu nie wiem który), olejek terpentynowy, jałowcowy, cytrynowy i t. d. na ocet zamienić, co jednak dotąd, ile wiadomo, nie dało się wykonać. Naukowo tłómacząc tworzenie się octu, cała fabrykacya okazuje się nadzwyczaj jasno; lecz wszystko co autor w swoim dziele napisał, jest niewystarczającym, ponieważ nie podał zasady. Zamiast niedokładnej wzmianki o wyrabianiu przyspieszonym octu, należało o nim mówić obszerniej; zwłaszcza że aparat przez prof. Göbla podany, jest tak mało kosztowny, że w każdym gospodarstwie może być z dogodnością użyty.

Oddział trzeci, obejmujący cukier, wyroby cukiernicze, marynaty owocowe i t. d. jest poprostu jakby wyciąg z książki kucharskiej; autor nie zrobił tém żadnej przysługi, ponieważ dzieła téj sztuce poświęcone, są przynajmniej zupełniejsze. Nakoniec corocznie kalendarze o takim upominku dla gospodyń niezapominają. Jak autor w téj części wiadomości chemiczne zastosował, posłuży za przykład kwaszenie ogórków, k. 179, w którym powiada: że trzeba ogórki w obu końcach oberznąć, opłókać, w barylki włożyć, przełożyć liśćmi winnemi, wiśniowemi i małą ilością kopru, poczem polać wodą osoloną, przegotowaną i ostudzoną, a gdy po kilku dniach zakisną, powprawiać dna w barylki, przez otwór szpuntowy podolewać octu (naco?) korkami pozatykać, i w zimnej piwnicy przechowywać. Jakie tu są wiadomości chemiczne? Podobnym sposobem są i inne przedmioty objaśnione. Autor mógł podać tłómaczenie processu kwaszenia kapusty, ogórków, jakie przez to następują zmiany w pierwiastkach materyj użytych, jakie są do tego warunki; należało tu podać wiadomości naukowe o cu-

krze owocowym, mlécznym, o pektynie, o doświadczeniach w celu przechowywania pokarmów i t. d. To przynajmniejby usprawiedliwiało tytuł temu dziełku nadany.

W oddziale 4 o naczyniach kuchennych i stołowych, wiadomości techniczne są nadzwyczaj powierzchowne. Co autor powiedział o porcelanie i fajansie, jest prawie niczém (k. 189). O naczyniach srebrnych, dowiedzieliśmy się tylko tyle, że srebro 12 próby, w 16 częściach zawiera 12 cz. srebra a 4 cz. miedzi. Przy wyrobach z srebra nowotnego autor napomina, ażeby je czysto utrzymywać; lecz tego przy wszystkich należy przestrzegać, nawet dla przyjemności w użyciu. Co mówi o naczyniach miedzianych, że *płyny kwaśne mogą je zniepokwasić*, jest mylne (k. 191), ponieważ wiadomo że metal ten nie rozkłada wody, a tém samém kwasy organiczne, nawet w nich gotowane, wcale na niego nie działają; z kwasów mineralnych, kw. saletrzany w t. zwyczajnej, kw. siarczany w wyższej, miedź ukwasorodniają; lecz w użyciu domowém one prawie nigdy nie mają sposobności do działania, jako materye do potraw nieużywane. W przypadkach tylko gdy ocet jest niemi zanieczyszczony, mogłoby nastąpić zatrucie solami miedzi. Jednak należało wyraźniej ostrzedz, że pozostawienie rozcieków kwaśnych w naczyniach miedzianych jest szkodliwe, ponieważ metal stykając się z roztworem kwaśnym, zostaje usposobionym do łączenia się z kwasorodem powietrza, i wydaje sól rozpuszczalną, która pokarm zatrzuwa. W oddziale tym autor przepomniał podać wiadomości o środkach czyszczenia naczyń srebrnych, o ochronieniu innych od rdzewienia, co byłoby korzystniejszém niż podawanie sposobów robienia poléwy i emalii, bo zajmujący się

gospodarstwem domowém, wyrobienia ich nie będą próbować i nie potrafią.

W uwagach które mi się tu nastęrczyły, nic nie mówiłem o środkach podawanych do prób analitycznych, w celu wykrycia zanieczyszczenia lub zafałszowania. Przedmiot ten wymagałby szczegółowego rozbioru; nie jest on dobrze rozwinięty; dlatego wiadomości udzielone, dla nieznających przedmiotu są całkowicie nieużyteczne, dla mających dobre zasady chemii są zanadto początkowe. Autor nie podał żadnego wyobrażenia o odczynnikach, o ich czystości, o sposobie ich użycia. Jak się postępuje w celu wykrycia ciał szukanych trzeba dać opis zupełny, albo naraża się działającego na grube błędy, ponieważ nie wie dlaczego te działania przedsiębierze. Gdyby np. chciano się przekonać czy chleb jest zafałszowany potażem, postępując według sposobu przez autora podanego, najczystszy nawet znalazłoby zanieczyszczonym, ponieważ popioły ziarn zbożowych zawierają wiele fosforanów alkalicznych, i chlorek platyny da osad jeżeli roztwory nie są zbyt rozwolnione.

Wynajdywanie alunu (k. 32) przez autora podane, jest niedobre, ponieważ osad przez *siarczyk wodorodny amoni* strącony, może być siarczykiem cynku. Na śledzenie bytności glinki nie używa się siarkowodnianu amonium, chociaż nie ma wątpliwości że ją z roztworów strąca.

Droga do wykrycia magnezji jest długa; podany przez autora dwuwęglan sody do strącenia téj ziemi nie okaże jój bytności, ponieważ w temperaturze zwyczajnej na sole magnezji nie działa; należało tu ostrzedz że strącenie następować powinno we wrzeniu (k. 23).

W ogólności, środki podane do wynajdywania zanieczyszczeń, nie zalecają się trafnością w wyborze dróg analitycznych. Żałować należy że autor nie trzymał się dzieła *Duflosa* i *Hirscha*, o którym w przedmowie wspomina. Gdyby poprostu przełożył je bez żadnych zmian, byłby uczynił nieporównanie większą przysługę, ponieważ dzieło to w swoim rodzaju jest dobre, obejmuje rozleglejszy zakres przedmiotów dotyczących się gospodarstwa domowego; a co do treści, układu i wiadomości naukowych, nie można go zniżyć do porównania z dziełkiem p. Wojczyńskiego.

W rozbiórce tej pracy jego, może byłem zanadto obszerny; jestto rzeczywiście zbyt obszerną, jednak nie bez celu. Samo dzieło nie zasługiwało na zajęcie się szczegółowym rozbiorem krytycznym, lecz wartość jego wewnętrzna daje powód do rzucenia myśli: jakiego rodzaju prace, odpowiadałyby dzisiejszemu stanowi naszej literatury, i potrzebom naszego przemysłu? Wprawdzie nie jesteśmy jeszcze bogaci w dzieła umiejętności ścisłych i stosowanych; wszelako nie stoimy na tym stopniu wykształcenia naukowego, ażeby jakakolwiek książka była dla nas pożądaną. Dlatego występujący z pracą naukową powinien ją sam ocenić, czy jaką korzyść przyniesie, czy nią literatury wstecz nie cofa? Dzieła bowiem przedstawiają obraz stanu naukowego w kraju, a kto w nich następnym pokoleniom przekazuje obraz wieku dziecinnego, kiedy już możemy sobie przyznać się młodzieńczą, czy nie wyrządza krzywdy zamiast przysługi? Niejeden może zapytać, dlaczego piszący zniżał naukę mając przed sobą wzory współczesnych jak *Liebig*, *Dumas*, mając własnych poprzedników jak *Chodkiewicz*, *Sniadecki*, *Fonberg*?

Jeżeli kto taki zarzut zrobi p. Wojczyńskiemu, możeby dały się znaleźć powody usprawiedliwiające. W dzisiejszym dążeniu do kształcenia się przemysłowego, kiedy uznano potrzebę ażeby każdy pojedynczy człowiek zdolnościami swojemi stawał się użytecznym, przyczyniał się do ogólnego dobra towarzystwa i był producentem, z zapałem rzucono się do znoszenia materyałów, na wspaniałą i różnorodną budowę przemysłu, na którym polega dobry byt i szczęście materyalne krajów. Wielkie i niespodziewane odkrycia chemii, które tyle wpłynęły na rolnictwo i przemysł, zadziwiające wypadki zastosowań mechaniki, która zastępuje pracę tysięcy rąk ludzkich, wykonywa dzieła zdumiewające wielkością lub wykończeniem; nieobliczone korzyści dróg żelaznych, które w pewnych punktach koncentrują ludności przedtém zaledwie sobie znajome, ułatwiają wzajemną wymianę płodów przyrodzenia i przemysłu; wszystko to przekonywa, jaka jest potęga umysłu żywionego nauką.

W obecnym stanie współubiegania, rutyna i praktyka nie są skarbcem wiadomości; lecz potrzeba je czerpać w pracach ludzi, którzy poświęcając się badaniom przyrodzenia, fenomenów i sił, potrafili w nich odkryć prawa ich objawiania się i działań.

Wpływ nauk przyrodzonych stał się dzisiaj widoczniejszym, i odtąd ludzie przemysłowi nie poprzestając na posiadaniu samych podań oderwanych, szukają wiadomości ściśle z ich zawodem połączonych. Poznano więc potrzebę kształcenia się naukowego; utworzono literaturę w dzieła zamożną; nakoniec zaczęły wychodzić pisma peryodyczne, które upowszechniały wynalazki mnożące się prawie codziennie; udzielano sobie wzajemnie

wypadków do których naukowe rozważanie doprowadziło. Odtąd znikają tak nazwane sekreta fabryczne, ponieważ naukowo wyjaśnione, stały się przystępnymi dla wszystkich znawców nauk matematycznych i przyrodzonych. Okazało się więc wielu pisarzy, mających na celu upowszechnienie tych wiadomości między ludem przemysłowym. Lecz kiedy dzisiejsze dążenie przemysłu takiego współdziałania nauk żąda, w faktach nagromadzonych przez teoretyków szuka rozwiązania zagadnień zachodzących w rolnictwie, w przemyśle, w fabrykach, czy każdemu godzi się narzucać siebie za przewodnika ludzi, bogatych w wiadomości przez codzienne uważanie swój pracy zebrane? Bez wątpienia nie. Prace naukowe do objaśnienia szczegółowych gałęzi przemysłowych zastosowane, mogą być silną pomocą do rozwinięcia i upowszechnienia przemysłu, gdy wychodzą zpod pióra ludzi w swym zawodzie biegłych, znających wszystkie trudności wielorakich processów, zchodzących się w fabrykacji. Kiedy *Liebig* pisał dzieło, w którym zastosował chemią do rolnictwa i fizyologii, dla sprostowania opinij przyjętych od agronomów i tak uporcezywie bronionych, oparł się na mnogich doświadczeniach, na wypadkach analizy, zdania swoje przeprowadził przez rozumowania i tłómaczenia w dzisiejszym stanie nauki przyjęte, i podał wzór jak się na rolnictwo zapatrywać, jak się go uczyć, zbierać w niem obserwacye i one objaśniać. Dlatego dzieło *Liebiga* będzie przewodnikiem dla chcących wykształcić się w tym zawodzie. Rolnictwo tak objaśnione, staje się dla każdego w środkach do prowadzenia go widoczném; podaje zasadę z której we wszystkich działaniach wychodzić należy. Jeżeli przeciw takiemu rozwinięciu niektórzy powstają, można to

uważać za wstręt do postępu; jeżeli gołosłownie czynią zarzuty, bez przytoczenia faktów popierających, dają przez to dowody, że nie pojmują wartości prac z całą ścisłością wykonanych, nie czują popędu do postępowania ze wzrostem wiadomości ludzkich. Takiego rozwinięcia wiadomości stosownych, jakie *Liebig* w rolnictwie okazał, życzyć należy dla wszystkich innych gałęzi przemysłowych. Chociaż bowiem w każdym niemal języku mamy dzieła traktujące o przemyśle, jednak nie wszystkie odpowiadają celowi. Są, jak w inném miejscu wspomniałem (Przegląd Warszawski zeszyt 1 z r. 1841), pisarze o rolnictwie, których dziedzictwem jest szczupłe mieszkanie, papier rolę, pióro pługiem; są autorowie piszący o fabrykach których nie widzieli. Dzieła takich pomocników przemysłu, nie przynoszą korzyści; niszczą zaufanie w teorii, są źródłem niechęci jaka się niekiedy między *przemysłowemi* przeciw wiadomościom naukowym zaszczepia. Owi miejscy agronomowie, książkowi fabrykanci więcéj szkodzą przemysłowi, niż gorliwi obrońcy czystej rutyny (k. 58 i 59).

Dlatego w literaturze przemysłowej, nie każdemu godzi się być pisarzem; bo nie „*jako kto może, niech dobru ogólnemu dopomoże*”, ale niech pracuje jak potrzeba i powinien, ażeby nie stał się bezużytecznym. Autorowie miernych powieści, ladajakich wiérszy, wkrótce zapomniani nikomu nie szkodzą; dzieła zaś techniczne, bez doświadczenia pisane, są jak fałszywa moneta; nie tylko narażają na stratę nominalnej wartości, ale większą krzywdę ogółowi wyrządzają; bo zamiast upowszechnienia przemysłu, jego postęp wstrzymują; zawodząc szukających rady, ściągają nieufność i podejrzenie: że każda pomoc naukowa jest podobnie dla przemysłu nieużyte-

czna (k. 60—61). Zarzut ten można uczynić niektórym
działom technicznym u nas znajomym, szczególnież wia-
domościom chemiczno-gospodarskim których nikt z ko-
rzyścią czytać nie będzie, ponieważ przy kaléctwie języka
nie ma w nich ani teoryi, ani praktyki. Jednak praca ta
nie jest bez użytku; może służyć za wzór: jak dzieła
popularne do użytku ogółu nie powinny być pisane.

Jakie skutki na tutejszy kraj wywrze zmiana taryfy do parlamentu Angielskiego wniesiona przez Roberta Peel, a mianowicie znizona opłata od zboża i drzewa, do Anglii wprowadzać się mającego?

Rząd Angielski już dawno przewidywał, że pomnażająca się coraz ludność Wielkiej Brytanii, a wcale nie zwiększająca się w tymże stosunku produkcyja zboża w Anglii, pomimo najstaranniejsze i arcykosztowne gospodarstwo, zniewala go z czasem, do przypuszczania obcego zboża za małą, albo téż żadną opłatą. W tymto celu w r. 1824 p. Jacob był wysłany do wszystkich krajów stałego lądu, aby powziął dokładną wiadomość, ile pszenicy każdy z nich rocznie wyprowadzić może?

Lubo Anglia zaczęła od tego, że zboże z jój osad pochodzące za opłatą tylko szyl. 5 od kwartera, wprowadzić dozwoliła, mimo ten znaczny zasitek, prawie co rok musiała jeszcze dokupować pszenicy ze stałego lądu na swą potrzebę, szczególniej téż w latach mniej obfitych urodzajów. Przed wystąpieniem Wigów z ministeryum w roku 1841, pragnął lord J. Russel zaprowadzić zmianę ważną w prawach zbożowych, ustanawiając cło stałe mierne protekcyjne od kwarteru, w miejsce skali rucho-

mój dawniej w użyciu będącej, ale znalazł opór w parlamencie złożonym w większej części z właścicieli gruntowych, który zniewolił lorda J. Russel do ustąpienia miejsca swego Robertowi Peel. Żadnej dziś nie podpada wątpliwości, że lord J. Russel, byłby zaczął od cła stałego miernego, a skończył na zupełnym jego usunięciu; ale wtedy jeszcze nie nadeszła chwila do ziszczenia jego chwalebego zamiaru.

R. Peel, objąwszy w r. 1841 rządy po lordzie J. Russel, czuł iż rzeczy tak jak dotąd, pozostać nadal nie mogły, gdyż opinia przeciwko istniejącemu prawu zbożowemu coraz się wzmacniała. Zaprowadził więc ruchomą skalę nieco niższą od dawniej, że zaś miał w myśli zmiany stopniowe następnie w niej czynić, zdawało się to zapowiadać niżenie opłaty celnój przez niego od kilkuset przedmiotów, z uchyleniem zakazu wprowadzenia do Anglii niektórych. Przecież uporczywe obstawanie za osobistą korzyścią członków parlamentu, oraz izby parów, złożonych z właścicieli ziemskich, nasuwało mniemanie, że skala ruchoma R. Peela, pomimo narzekania ludu na drogosc zboża, i dzielną agitacją towarzystwa przeciwko prawom zbożowym utworzonego, lat kilka potrwa.

Opatrzność inaczej zrzędziła. Nieurodzaj w królestwach połączonych kartosli w roku bieżącym, zmienił nagle postać rzeczy, i w miesiący kilka, zniewolił R. Peela wnieść do parlamentu nierównie większe zmiany w prawie zbożowym, aniżeli były owe, które przed wystąpieniem z ministerstwa J. Russel bezskutecznie przedstawił.

Upokorzonemu tym wypadkiem parlamentowi oddać należy tę sprawiedliwość, że umiał ocenić niebezpieczeństwo grożące, że zapewne skłoni się do przyjęcia wnio-

sków R. Peela, których odrzucenie mogłoby na Anglię sprowadzić niewyrachowane nieszczęścia.

R. Peel położył sobie wieczny pomnik rozwinięciem kolosalnego swego planu finansowego; śmiałość jego może zadziwi mniej z położeniem Anglii obeznanych; lecz ktokolwiek skrętnie kraj ten zwiedził i zastanowił się bacznie nad jego stosunkami, ten mógł już dawno dostrzedz jasno te 3 prawdy:

1. Że rękodzielnie jego, tuż stały wysoko udoskonaleniem machin w nich używanych, taniością kapitałów obrotowych i zręcznością pracujących w rękodzielniach; iż te z małemi tylko wyjątkami współubiegania się obcych, obawiać się nie potrzebowały, i że ten powód skłoni z czasem rząd, do znizienia cła wchodowego od wyrobów zagranicznych.

2. Że coraz wzrastająca ludność Anglii, dla swój za-
możności, spożywająca podług statystycznych wykazów, nierównie więcej wszelkich przedmiotów, mianowicie też zboża, aniżeli wypada rocznie na głowę w innych krajach, prędzej czy później, zniewoli rząd Angielski do utworzenia portów dla zboża obcego, aby nastęrczyć biedniejszemu ludowi sposobność mienia chleba taniego, tego niezbędnego do życia przedmiotu, którego cena dotąd nie była w stosunku do zarobku pracujących w rękodzielniach, kopalniach i t. d.

3. Że gdy doświadczenie wieloletnie dowiodło, iż okręty budowane z drzewa Kanadyjskiego nie tak są trwałe jak z drzewa Europejskiego, a większa taniość pierwszego, nie pokrywa niedogodności z nietrwałości okrętów stawianych z Kanadyjskiego drzewa dla marynarki wynikających, okoliczność ta spowoduje rząd Angielski do znizienia cła wchodowego od drzewa Europejskiego.

Wielkiemu narodowi, którego bogactwo i potęga spoczywa na wojennój i handlowej marynarce, przedewszystkiém o to iść powinno: aby okręty jego były mocne i trwałe, chociażby drożej kosztować miały.

Wszystko to ziściło się prędzej aniżeli się spodziewano, przez nieurodzaj kartolli w Anglii. R. Peel pojął to trafnie, iż należy korzystać z wypadku tego, i odrazu uporządkować wszelkie stosunki handlowe Wielkiej Brytanii z innymi narodami, przez zmianę opłat celnych wchodowych, tak od płodów rękodzielniczych jako też surowych obcych, z którychto ostatnich obchodzi nas szczególniej pszenica i drzewo. Zobaczymy, jakie skutki wynikną dla Polski z wolności wprowadzania tych przedmiotów do Anglii za zmniejszoną opłatą celną, a następnie bez jój opłacania.

Podług wniosku R. Peel, pszenica ma jeszcze ulegać przez lat 3 opłacie cła podług znacznie niższej skali ruchomój, to jest szylingów 4 od kwarteru, gdy pszenicy Angielskiej cena z przecięcia będzie wyżej szylingów 53 za kwarter, a po szylingów 9, gdy cena z przecięcia pszenicy Angielskiej za kwarter będzie szylingów 49. Zresztą podług tego wniosku, gdy cena Angielskiej pszenicy będzie: kwarter. 50, cło wyniesie szyl. 8.

— — — — — 51 — — — — — 7.

— — — — — 52 — — — — — 6.

— — — — — 53 — — — — — 5.

Mniemanie dziś upowszechnione jest, że opłata celna od pszenicy sprowadzanój do Anglii odtąd, w ciągu trzech lat nie będzie wyższą nad szylingów 4. Nie podzielam tego zdania; bo mam to przekonanie, że rolnicy Angielscy wszystko uczynią, aby opłatę od zboża obcego utrzymać jak można najwyżej, nawet gdyby im przyszło

dla dopięcia tego celu, własną ich pszenicę tanięj sprzedawać. Jeżeli w tych trzech latach, zdarzą się żniwa mokre, przez co zboże w Anglii porośnie; cena jego już przez to spadnie w Anglii, a tém samém opłata celna od obcego podskoczy. Dlatego więc sądzę, że cło od kwarteru pszenicy obcej, będzie w przecięciu około 6 szylingów, to jest prawie tyle, ile stałego cła zamierzał J. Russel pobierać od kwarteru zagranicznej pszenicy, przed wystąpieniem r. 1841 z ministerstwa. Jakkolwiek bądź, już to jest lepiej dla nas, aniżeli było dawniej; gdyż przedtém, opłata dwudziestu szylingów od kwarteru pszenicy, równała się zakazowi wprowadzania do Anglii obcej, i czyniła nader zawodnym handel nią, na którym w ostatnich 3ch latach, ogromne poniesiono straty.

Teraz, każdy właściciel ziemski, pszenicę uprawiający na łądach stałych, będzie mógł przez przybliżenie obliczyć, ile czystego grosza za kwarter jej dostanie, a po trzech latach, już z wszelką matematyczną dokładnością, będzie to mógł obrachowywać.

Jeżeli dla nas jest ważną rzeczą wiedzenie, za jaką cenę naszą pszenicę zpienięzać można; nierównie od niej ważniejszą jest *pewność*, iż w przyszłości mieć będziemy *ciągły odbyt* w Anglii na zboże nasze.

Tęto ostatnią okoliczność, uważam za najrzetelniejszą korzyść dla naszego kraju. Bez wątpienia i cena pszenicy będzie większa a tém samém wpłynie na podniesienie wartości dóbr pszenicę wydających, nie należy jednak wyobrazać sobie cen nadzwyczajnych, a to z tych powodów: Dopóki w Anglii służyła za podstawę do poboru cła od pszenicy, skala ruchoma, w chwili wydarzenia się tam potrzeby obcej pszenicy, mogły tylko z niej korzystać kraje najbliżej Anglii położone, z których prze-

wóz w krótkim czasie odbywał się, to jest Niemcy, Francya i my, jako posiadający znaczne składy pszenicy w Gdańsku.

Z krajów dalej leżących, tylko osady Angielskie mogły pszenicy ciągle dostarczać W. Brytanii, dla stałego niskiego cła, na pszenicę z osad Angielskich raz na zawsze ustanowionego.

Ale Ameryka dla swój odległości, z podniesienia się raptownego pszenicy w Anglii korzystać nie mogła.

Ustanie cła od zboża obcego w Anglii, postawi na równi wszelkie, chociażby najodleglejsze kraje, z Europą pod względem handlu pszenicą; stanowić między nimi będzie różnicę, tylko wyższa opłata za przewóz, ubezpieczenie i przeróbkę zboża za jego do Anglii przybyciem. Zresztą tak właściciel pszenicy w Ameryce, jak w Europie, będzie mógł obliczać z wszelką dokładnością, ile za nią dostanie, a tém samém nastąpi wielkie współubieganie się w przywozie do Anglii pszenicy ze wszystkich części świata, co koniecznie wpływać winno na zniżenie ceny pszenicy tamże. Powtarzam więc, iż nie należy w przyszłości mieć przesadzonych nadziei o cenach pszenicy w Anglii, i że nie tak wysokie ceny, jako raczej pewność *ciągłego odbytu* pszenicy naszej w Anglii, pozostanie dla nas korzyścią najrzeczywistszą z planu R. Peel wynikającą.

Co do drugiego ważnego przedmiotu dla nas, *drzewa*: opłata od niego, podług wniosku R. Peel, zniżoną zaraz będzie od każdych 50 stóp sześciennych, o szylingów 5; zaś po upływie miesiący sześciu, o szylingów 10, czyli w innych wyrazach: ktokolwiek w roku zeszłym nie sprzedał drzewa, otrzyma w bieżącym za 50 stóp sześć.

w pierwszych 6ciu miesiącach zł. 11 gr. 15, a po upływie 6 miesięcy zł. 21 więcj jak w roku zeszłym (*).

To jest niezaprzeczoną korzyścią dla Polski mającej najlepszy gatunek drzewa, z którą pod tym względem Ameryka nie może iść w zawód, ani dowozami swemi spowodzić znizenie ceny drzewa, bo ona takiego nie ma jak my. Ztąd wypływa, iż wszelkie dobra posiadające lasy zachowane, podniosą się w cenie znacznie, i nie można dosyć zachęcać właścicieli lasów, aby ze sprzedażą zakonserwowanych wstrzymali się; a wycięte, aby siali, sadzili i pielęgnowali starannie: aby tym sposobem swoim dzieciom skarby w puściźnie przekazali.

Jest nie do odżałowania, że właściciele lasów już od lat kilkunastu, uwzięli się na ich wytępienie. Gdyby drzewo wyplenione dziś stało na pniu, miliony wpłynęłyby do kraju z samėj niższej opłaty cła od niego w Anglii.

Jeżeli trudno odrobić to co się już stało, niechże przynajmniej przeszłość wskaże przyszłości konieczną potrzebę *postępowania przezorniejszego z lasami prywatnemi.*

Dnia 16 lutego 1846.

K. L. Wolicki.

(*) Opłata od drzewa rzniętego, zniżoną została zaraz o 6 szylingów na 50 stóp sześć. a o 12 szylingów po 6ciu miesiącach; ale że dotąd kraj nasz tylko ciosane a nie rznięte drzewo do Gdańska dostawiał, toż więc druga kategoria rzniętego drzewa (taty, bale, deski, murłaty, i t. d.), nateraz nie obchodzi nas.

O warzelnii soli i kąpielach w Ciechocinku.

„Et hoc meminisse juvabit.”

Wiele w kraju naszym znajduje się użytecznych zakładów, o których mało wiemy, tem mniej o nich piszemy. Zkąd takowa obojętność pochodzi, trudno odgadnąć; być może iż nawyknąwszy cenić obce rzeczy, własne zaniedbujemy, i dopiero to u nas nabiera wartości, co zyskało wziętość za granicą. Ze wiele innych pominię, zakład warzelnii soli w Ciechocinku, i uzdrawiające źródła tamże, zasługują na bliższe rozpoznanie.

Na lewym brzegu Wisły, w bliskości miast Torunia, Raciążka i Nieszawy, w okolicy piaszczystej, ciągnie się dolina, w połowie piaskami i bagnami przerznęta. Otaczające ją wzgórza, po większej części napływowe, nasuwają domysł, iż w odległej starożytności, całą tę przestrzeń wody pokrywały; i przypuszczenia Strabona i Ptolemeusza, względem istnienia morza w tej stronie, przestają niejako do rzędu hipotez należeć.

Na całej owej przestrzeni, w głębokości stóp kilkudziesiąt, znajduje się obficie solanka; cały pokład gruntu tak jest nią przesycony, iż przy dniu pogodnym, nietylko na pastwiskach, ale na każdym przydróżku, sól widocznie się pokazuje.

Długi czas leżały odłogiem owe skarby przyrodzenia, oczekując ręki ludzkiej, któraby je wydobywszy, przyswoiła ogółowi. W końcu panowania Stanisława Augusta, niejaki Rejchert, robił tu poszukiwania soli; za rządu Pruskiego takowe wznowiono, bez osiągnięcia zamierzonego skutku; dopiero w r. 1823, rząd Królestwa nabywszy na własność wieś Ciechocinek, urządził warzelnię soli, i przez odkrycie nowych źródeł słonych, produkcją soli o tyle podniósł, że dziś Ciechocinek stał się ważnym źródłem dochodów, i następnie może znakomite dla kraju zjednać korzyści.

Woda słona tutejsza, wydobywa się z pokładu wapienia, znajdującego się pod pokładem *kurzawką* zwanym, w głębokości od 80 do 700 stóp. Obfitość tych źródeł znaczna; według rozmiarów ówczesnie zrobionych, wydawały na minutę 23 stóp sześciennych wody, dziś za pomocą maszyn pompowane, do 36 stóp wydają. Machina parowa o sile 8 koni, w ciągłym ruchu zostająca, wydobytą solankę 3procentową, sprowadza żelaznymi rurami na tak zwane *teżnie*, które stanowią ścianę na 1500 łokci długą, 25 ł. wysoką, wypełnioną gęsto ubitym cierniem; na obu końcach tej wystawy urządzone skrzydła (jak u wiatraka), pompują solankę do żłobów na wierzchu umieszczonych, z kład drewnianymi rurkami sączy się przez pokład cierniowy, następnie dostaje się do budynku stanowiącego główny zbiór-wód (*réservoir*); tu machina parowa ułatwia jej przejście rurami żelaznymi do zakładu warzelni, gdzie się już dostaje zgęszczona do ciężkości gatunkowej 22 stopni. Stan powietrza wielki wpływ wywiera na ciężar gatunkowy wody, w dniu bowiem pogodnym woda większą ilość stopni okazuje. Powyższa solanka paruje się na ogniu

do krystalizacji. Silny ogień, do utrzymania którego 8 sążni drzewa dziennie wychodzi, przyspiesza robotę warów, i w krótkim czasie warzonka za pomocą suszarni staje się zdatną na sprzedaż. Pakują takową w beczki zawierające 220 f. i w stosownej porze holują statkami do Warszawy. Zakład tutejszy wyrabia do 100 tysięcy cet. warzonki, i przy następnych ulepszeniach możnaby wydatek w dwójnasób powiększyć. Połączenie szosą Ciechocinka z Krośniewicami, ułatwiłoby nie tylko dostawę drzewa z okolic, więcej w lasy uposażonych, ale nadto w razie niskiej wody na Wiśle, możnaby warzonki w każdej porze na użytek powszechny dostarczyć.

Niech mi tu wolno będzie uczynić uwagę względem tutejszego zakładu; bliższe rozpoznanie rzeczy wieleby ich nastroczyło, na jednej się ograniczę. Władza mająca sobie powierzony zwierzchni jego zarząd, nie poprzestając na odkrytych słonych źródłach, zapragnęła soli kamiennój. Zaprowadzono kosztowny główny otwór (Oberloch); przez półpięta roku dniem i nocą, siłą rąk ludzkich poruszane pracowały świdy.

Przebyto różne ziem pokłady, aż wreszcie w m. lipcu r. z. doszedłszy 1410 stóp, z powodu dobywającego się mułku, mającego tamować roboty, zaprzestano wiercenia. Atoli praca tanie pozostała bez użytku, gdyż otwór przewiercony wydaje solankę pięciu-procentową i znakomicie powiększy ilość produkowanej soli.

Zamierzone dalsze poszukiwania, pomiędzy tężniami, okażą jak dalece spodziwać się można znalezienia soli kamiennój w tém miejscu. Prędzójby się jój spodziwać należało na wzgórzach Raciążka, którego położenie bardzo jest przybliżone do Wieliczki. Brzegi Wi-

sły, mało co wzniesione nad jęj poziom, za kaźdęm występianiem rzęki zagrażają wylęwem, ktęrego skutki juź kilkakrotnie dały się uczuć okolicy. Przez zaprowadzenie tamy w dwóch wyznaczonych punktach, raz na zawsze zabezpieczonoby zakład kąpieli od grożęcego im niebezpieczeństwa, i zaspokoilo gości szukających ulepszenia zdrowia w ożywczycich wodach Ciechocinka.

Od Boerhavego znaną jest w sztuce lekarskiej, skuteczność leczenia za pomocą wód mineralnych. Sławny Hufeland uważa takową kuracyą za najdzielniejszą, tam gdzie inne środki lekarskie okazały się bezskutecznymi. Skład wody tutejszej ścięgnął na siebie uwagę nietylko krajowych, ale i cudzoziemskich lekarzy. Czynnione rozbiory w różnych epokach poniżej zamieszczone, najlepięj okażą ważność lekarską powyższych źródeł. Woda Ciechocińska jest bezfarbną, zapach wydaje podobny do chloru, a czasami w wieczornęj porze, do gazu wodorodno siarczystego; smak ma słono gorzkawy; przewozić się nie daje, i koniecznie na miejscu pić ją należy.

Pierwszy rozbiór, zrobiony przez professora *Kitajewskiego*, okazał w nięj:

| | |
|--|-------|
| Soli kuchennęj | 3,816 |
| Siarkanu sody | 0,186 |
| Wodochloranu magnezji | 0,111 |
| Wodochloranu wapna | 0,101 |
| Węglanu magnezji | 6,031 |
| Węglanu wapna | 6,014 |
| Materyi organicznęj, śladów gipsu i krzemionki | 0,137 |
| Podług dra <i>Heinrich</i> : | |
| Wodochloranu sody | 3,425 |
| Wodochloranu magnezji | 0,200 |

| | |
|---|----------|
| Wodochloranu wapna | 0,112 |
| Siarkanu wapna | 0,132 |
| Straty mechanicznej | 0,067 |
| Rozbiór <i>Celińskiego</i> . W 100 częściach soli suchej i solanki odparowanych, znalazło się: | |
| Soli kuchennej | 86,00 |
| Siarkanu wapna | 0,66 |
| Siarkanu magnezyi | 2,34 |
| Według rozbioru p. <i>Pusch</i> , woda ta składa się z | |
| Soli kuchennej | 90,90 |
| Siarkanu sody | 2,10 |
| Wodochloranu wapna | 5,20 |
| Wodochloranu magnezyi | 1,10 |
| Gipsu i śladu węglanu magnezyi | 0,64 |
| Rozbiór chemiczny, w 1838 przez prof. <i>Ant. Hann</i> dokonany, wykrył w téj wodzie: | |
| Sól kuchenną, | |
| Sól gorzką, | |
| Sól glauberską, | |
| Wodochloran magnezyi, | |
| Wodochloran wapna, | |
| Wodobromian magnezyi, | |
| Wodojodan magnezyi, | |
| Siarkan wapna. | |
| Nie poprzestając na tém staraniu Banku Polskiego, zrobiono w roku 1838 rozbiór chemiczny w Schoenebeck (gdzie istnieje warzelnia soli), który okazuje w 1000 gramach solanki: | |
| Chlorku sodu | 37,63193 |
| Chlorku wapna (calcium) | 31,90510 |
| Chlorku magnezynu | 2,12692 |
| Bromku magnezynu | 0,04464 |

| | |
|---------------------------------------|------------|
| Siarkanu sody | 0,50195 |
| Siarkanu potażu | 0,14600 |
| Żelaza | 0,01250 |
| Ślady węgłanu magnezyi i żywicy: wody | 955,62696. |

Z wzwyż przytoczonych rozbiorów wnosić należy, że panującą częścią w tych wodach, jest sól kuchenna; a brom i jod, stanowi jej niepospolitą zaletę lekarską. Używanie tych wód w piciu i kąpielach, zadziwiająco okazały skutki w leczeniu cierpień wątroby, zatkania trzewiów podbrzusnych, skrofulicznych, artrytycznych i paralitycznych i t. p. Doświadczenie z lat ubiegłych coraz więżność wód Ciechocińskich pomnaża, tak że i od cudzoziemców zaczynają być uczęszczanemi.

Kąpiele tutejsze w porównaniu do zagranicznych, nie przedstawiają dla przybywających chorych, owych dogodności, jakie każdy rad znajduje. Budowla łaźni jest za szczupłą, ale czynią nadzieję dokończenia nowych, których w roku zeszłym budowę rozpoczęto. Nie brakuje pomieszczeń zalecających się czystością i porządkiem; wynajmują je na czas kąpeli koloniści Niemcy, z których zamożniejsi oddzielne budują domy dla wygody podróży. Wszelkich przedmiotów do żywności służących, dostać można po cenach umiarkowanych; znajduje się dobra oberża, obok miejscowego teatru gdzie wystawiają dzieła sceniczne prowincjonalni aktorowie, z różnym powodzeniem. Dwa razy w tygodniu bywają liczne zebrania, na których ochocza młodzież z okolicy miejsce poświęcone Hygei, usiłuje zamienić w osadę Terpsychory. Zwolennik Galena z marszem na czołe pogląda na ten rodzaj zabawy; przygania płasom, mającym oznaczać wesołość kunsztowną, jak niejedno w życiu uczucie. Ra-

dość szczerą, raczej wewnętrzną jak pozorną, nie zwykła się objawiać skokami.

Jako świadek wielu pomyślnie odbytych kuracyj, i sam na sobie doświadczywszy dobroczynnego wpływu, z wdzięcznością wspominam o wodach w Ciechocinku, które tém są miłszemi, że na własnej ziemi ulgę w cierpieniach przynoszą niepotrzebującym udawać się do obcych, z widoczném oszczędzeniem wydatków.

Pisałem w Leśnowoli d. 30 stycznia 1846 r.

Jan Nep. Rostworowski.

KRONIKA LITERACKA.

Notatki z podróży muzycznej po Niemczech, odbytej w roku 1844 przez Wiktora Każyńskiego. Petersburg 1845 roku.

Jestto wiązka listów do przyjaciela muzycznego pisanych przez muzyka z powołania, podróżującego z myślą rozpatrzenia się we wszystkiem, co do jego sztuki należy a spotkać się zdarzy w Niemczech, kraju niewątpliwie najwyżej w Europie muzycznie ukształconym. Treść ich zatem lubo nie wyłącznie, najwięcej jednak muzyce jest poświęcona i tém godniejsza uwagi, że podobno piérwszy raz w naszym języku zajmuje się w osobnej książce sztuką nie ze strony teoretycznej mało pociągającej dla ogółu, ale ze strony, którąby estetyczną nazwać można niekiedy. Przecież do tego poważnego miana, brak jój głębokiego spojrzenia w naturę sztuki i potężnego rozumowania, które same tylko przekonac zdolają, skoro są wsparte na niewzruszonej podstawie teoryi filozoficznie i historycznie zgłębionej. Ów pogląd i rozumowanie przyrównałyby można do działań matematycznych dochodzącego prawdy badacza natury i znajdującego cyfry niemyłne. Często wierzy w nie ogół bez sprawdzania, bo nie ma do tego obrazu działań odbytych a sam odtworzyć ich nie zdoła; specyalność badacza jest mu prawdy rękomią. Ale niewątpliwie tym sposobem wypadek łatwo ucieknie z pamięci, albo co gorsza, mylnie pojętym

i zastosowanym zostanie. Niech los uchroni od tego większą część zdań i myśli o muzyce, w piśmie pana K. pomieszczonech; bo choć prawie wszędzie sąto cyfry ostateczne, (a nie mogło być inaczej w pobieżnej jak ją sam autor nazywa pracy), przecież dla znawcy są one prawdziwe, a tém samém i dla ogółu widoczną cechą prawdy noszą.

P. K. tu i owdzie w podróży się zatrzymując, spotykał znakomitych w świecie muzycznym ludzi, rozmawiał z nimi o sztuce swojej i rozmowę przytacza; słyszał to lub owo dzieło muzyczne i daje sąd swój o autorze, dziele, albo wykonaniu, a ztąd kilka razy porównywa stan muzyki w Niemczech ze stanem jój w Petersburgu i Wilnie, oddaje sprawiedliwość osobom (*), kareci rozpostarte u nas przesady poważnie lub humorystycznie, i swobodnie z miejsca na miejsce, od przedmiotu do przedmiotu przebiega. Rzadziej w ogóle, częściej w szczegółach zgodzić się nie możemy na zdanie autora Notatek; że jednak roztrząsanie wszystkich miejsc tego rodzaju na zbyt wielką naraziłoby czytelnika próbę, ograniczymy się na kilku, zdaniem naszym ważniejszych.

Wyborne jest miejsce opisujące pojęcia muzyczne pani sowieńnikowej w Wilnie; krótko ale trafnie i dowcipnie przedstawił autor typ wyobrażeń o muzyce w naszym kraju rozpostartych. Niemniej trafnie przedstawił wychowanie muzyczne w domach obywatelskich, dlatego do niczego nie prowadzące że nie gruntowne. Życzyłoby należało, by ten ustęp wszystkie matki zachowały w pamięci i pomyślały nad stratą nakładu, czasu i pracy swych córek. Prawdą jest bowiem co p. K. na str. 217 powiada, że „wiele męczarni muzycznój kończy się na odgrywaniu *tant bien que mal* fantazyek lub *pot-pourri Hüntena* z ulubionych motywów Łucyi z Lammermooru lub Anna Bolena, a czasem ledwo na walczykach lub kontradansach, w których nie ma dosyć wyrazu aby ich z przyjemnością słuchać, ani dosyć

(*) Z naszych artystów wspomina z uwielbieniem Elsnera i jego oratoryum: *Passio Domini nostri Jesu Christi*.

taktu, aby przy nich tańczyć można było." Jako jeden z powodów złego, podaje autor uczenie dzieci przez same matki; nam się zdaje, że to ogranicza się na wstępnych tylko szczegółach a i to bardzo rzadko. Częściej początkowej nauki kierunek powierzany bywa jak można najtańszemu nauczycielowi, bo się wszystkim zdaje, że do początków dobry byle jaki. Z jaką zdolnością ci nauczyciele, z jaką sumiennością zdolniejsi wypełniają przyjęte na się obowiązki, widzimy ze skutków. Każdy niemal stara się tylko o to, by uczeń jak najzwawiej palcami przebiegał: to nazywają grać dobrze. Grywanie z innymi instrumentami które p. K. proponuje, tak rzadko może mieć miejsce przy najlepszych nawet chęciach, że mało złemu zaradzi, a opieszałość lub niezdolność nauczyciela i ten środek bez skutku zostawi. Szkoła że p. K. ten wzgląd na nauczycieli pominął, byłby ugodził w samo siedlisko złego; prawda ta bowiem którą na innym miejscu przytacza, że artyści sami winni są sponiewieraniu swęj sztuki, do wychowania muzycznego w całej rozciągłości da się zastosować. Da ona i do kompozytorów się rozciągnąć, z których wielu istotną jest dla muzyki plagą. Autor Notatek zbyt ogólnie o tym ważnym przedmiocie mówi: tu jest nowy dowód lekkich pojęć wielu nauczycieli. Jakimiż wzorami kształcą młodych uczniów, którzy dorosłszy mają dawać sąd o sztuce i artystach? pytajcie w handlach muzycznych. Ladaż jakie lepianki Beyera, Rosellena, Hüntena i całej zgrai szarlatanów, lepianki jakie każdy skleci, kto tylko nótę przepisywać umie i ma cokolwiek zmysłu muzycznego, to znajduje pokup; nietylko Field, Hummel, Moscheles, leżą zapomniani, ale i nowsi jak Benedict i Bennet, Heller i Mendelsohn-Bartholdy, Schumann i Taubert, że innych pomijamy, z dzieł ledwie komu, największej liczbie z imienia nawet znani nie są. Cóż mówić o Hajdenie, Mozarcie, Bethowenie! A jednak rozprawiają o nich, że to aż śmiech bierze słuchać; nikt przecież grać ich nie chce, bo w nich nie ma efektów łoskotliwych, nie ma sposobności do popisywania się tanim kosztem, i nie ma melodyj Włoskich. Powiadają o nich że starzy, jak gdyby ludzie dawniej inaczej

czuli jak dzisiaj, jak gdyby Kochanowski nie był poetą, dlatego że żył trzysta lat temu.

Co p. K. mówi o operze Włoskiej, uważamy jako jeden z najlepszych, choć zarazem najwięcej rozrzuconych po jego dziełku szczegółów. Kompozytorom oddaje sprawiedliwość jako ludziom talentu, chłoszcze ich za brak nauki pojęć o sztuce i umyślne niekiedy suszerstwo dla pozyskania chwilowego poklasku. Ale jak gdyby się lękał narazić miłośnikom opery Włoskiej, tu i owdzie zostawił zdania łagodzące surowość znawczego sądu, znosząc go nawet. I tak, nie powinien był autor zostawić bez odpowiedzi, wyrazów Lipińskiego (str. 143), usprawiedliwiających poniekąd ich wady. Prawda, że klimat Włoski zdoła pobudzić człowieka do zmysłowości, chociaż to nie jedyny powód dzisiejszego letargu Włochów, bo w innych czasach przodkowali Europie w naukach i sztukach. Wzgląd na klimat, prowadzi nieznaną rzeczy historycznie, do prawdziwego zkądnąd rozumowania, że i charakter narodowy w nim rozwinięty, objawia się w sztuce prawdziwymi rysami. A jednak z muzyką Włoską rzecz się ma inaczej. Nie badając przyczyn, patrzmy na skutki; są one zbyt widoczne, by muzykę Włoską, do rzędu sztuk pięknych wliczyć dozwolity. Sztuka to prawda; któż ją znajdzie w muzyce Włoskiej, a przynajmniej jak często? sztuka to całość; myślaż o niej Włosi? sztuka to dzieło natchnienia i pracy nauką rządzonych; jakże mało pierwszego, jak pospolity brak ostatnich, jak widoczna ich pogarda? Jeśli teraz z kolei przejdziemy wszystkie rodzaje, należące do wielkiej dziedziny sztuki, i zapytamy co w nich Włosi mają, pokaże się jednostronność i ubóstwo niesłychane. W rodzaju kościelnym mieli dawniej wielkich mistrzów, którzy pod wieloma względami pozostaną jako wzory; ostatnim już był Cherubini (choć ten właściwie do szkoły Niemieckiej należy); dziś Rossini i Donizetti! W muzyce instrumentalnej istnieli: Scarlatti i Boccherini, że tylko te imiona jako przykład przytoczymy; któż je dziś przypomina? Jest wprawdzie kilka Włoskich nazwisk między Europejskimi wirtuozami, szczególnież skrzypkami, śpiewakami;

co do ostatnich sam p. K. przyznaje, że nie są tém dzisiaj, czém dawniej bywali, i lubo autor powodów nie zgaduje, zdaniem tém upadek muzyki Włoskiej potwierdza. Na miarę bowiem śpiewu, wirtouz instrumentalny swój smak kształci, i dążności kieruje. Czystość obojga zabijają fanfarnada, nieuctwo, i łatwo zdobywany poklask bezmyślnój publiczności: ztąd chętne dogadzanie jój przywidzeniom i kaprysom. I to bowiem jest prawdą, że wykształcenie artystyczne publiczności wpływa na kierunek artystów o słabych pojęciach, a ci oddziaływają na publiczność i sztukę. Od czasu jak Włosi rzucili się do samego śpiewu i oper, zrazu doskonalili ten rodzaj, wykrzywili go potem, a przesadzając jedni drugich, tém bardziej, im częściej wyniszczyli tę okolicę sztuki. Płodność jój podnieść nie zdolni wiadomemi nauce środkami, każdy zielony listek jako cud uważają. Już też się ich przebięra, i prawdopodobnie, wkrótce głód muzyczny zmusi Włochów do uprawiania innych rodzajów. Ale dziś można ich pytać o symfonię, gdy kwartetu nie rozumieją? To co p. K. mówi o pojmovaniu muzyki Niemieckiej przez Włochów, najlepiej dowodzi ich wykształcenia artystycznego; zaiste pod tym względem wyżej stoją dyletanci nawet w Polsce, gdzie zupełny brak stowarzyszeń i instytucyj muzyce poświęconych, wiedzie ogół publiczności do płytkich rozumowań i lada jakich gawędek.

Ustęp o operze od str. 197 do 199, w dziełku pana K. najwięcej zawiera owych zdań sprzecznych z resztą poglądu na operę. I tak gdy mówi: „gusta rozmaitych narodów we względzie poezyi i muzyki, różnią się jak ich charakter, pojęcia o rzeczach”, jest to prawda ale warunkowa, i do smaku estetycznego naciągnąć się nie da, który sam jeden obejmuje w sobie wszystko co jest prawdziwie piękne, zatem powszechne. Inaczéj nikt prócz Niemca, w sztuce Niemieckiej podobaćby sobie nie mógł, ani pewien rodzaj miałby powszechną i jednoczesną wziętość w świecie ukształconym. Wszakże, że poezyi za przykład użyjemy, niegdyś w całej Europie forma epepei za najszczytniejszą uważaną była,

dziś dramat jest zadaniem sztuki, a niedawno jeszcze ballady i sonety najulubieńsze były. Przecież forma sprowadzona bieżącymi pojęciami lub modą, nic nie stanowi; treść jeśli ma wartość istotną, zatrzyma ją we wszystkich miejscach, i po wszystkie czasy. Dalej p. K. mówi: „najdoskonalsza opera Włoska w obcym kraju przez obcych śpiewana, będzie zawsze pod względem muzycznym dramatycznym li tylko koncertem; tam gdzie Włoch będzie się rozplęwał, unosił, tam Niemiec będzie widział tylko zbiór motywow w mniej lub więcej szczęśliwe formy aryj, kawałyn, ductów, tercetów, wlnych, a często logicznego nawet z sobą związku niemających”. Co autor chce rozumieć przez „najdoskonalszą Włoską operę” zgadnąć trudno; wszakże sam przyznając jej niektóre zalety, tylokrotnie wykazuje wady daleko ją od doskonałości trzymające. Zdaniem naszym, doskonałej opery żaden naród jeszcze nie posiada w znaczeniu dramatu muzycznego, do którego drogę opuszczoną przez następców Gluck pokazał. Dopóki śpiewacy zechcą się popisywać z głosem jak z instrumentem, a kompozytorowie będą ulegać przewadze ich pośrednictwa między sobą a publicznością, poświęcać im prawdę dramatyczną, i bogate, choć proste swój sztuki środki; dopóki poeci nie będą filozoficznie patrzeć na muzykę mającą ich myśli objaśniać, opery prawdziwej i doskonałej nie będzie, ale zawsze mieć więcej koncert dramatyczny. Opera Włoska jest nim jeszcze najwięcej, i ani Włoch, ani Niemiec, ani Francuz inaczej jej nie pojmują. W tém między nimi różnica, że pierwszy więcej nie żąda, z powodu niewyrobionych pojęć o rzeczy, drudzy mając lepsze, i operę lepszą mają. Kawałtyna, duet, oddzielnie zachwyć mogą, ale dlatego że między częstkami związku nie ma, a nieraz i w pojedynczo uważanych brak prawdy, wpływ cząstkowy marnieje, wstrętem do fałszu choćby pięknego zatarty. Dramat muzyczny tém lepszy im więcej ma prawdy; że p. K. tę zaletę operze Niemieckiej przyznaje, nie rozumiemy czemu zaraz dodaje: „Włoska będzie miała zawsze przewagę nad innemi”. Wprawdzie mówi o dobrej operze Włoskiej; ale skądże jej wziąć?

Sam p. K. żadnej nie pokazał, i dlatego sam z sobą jest sprzeczny, gdy niżej mówi „że wszelkie dysputy, wszelkie spory o wyższość jednej muzyki nad drugą, są tylko śmiesznością i do niczego nie prowadzą. Podług mnie dwa są tylko rodzaje muzyki, dobra i zła, „*tous les genres sont bons, hors le genre ennuyeux* i t. d.”. To brzmi pozornie, ale sprzecznie ze zdaniem p. K. na innych miejscach objawioném; jestto gadanina nie nieznająca. Właśnie nudnej i wymuszonej muzyki, najwięcej w operze Włoskiej, ze wszystkich rodzajów muzyki modnej; niemal każdy słuchacz to czuje po kilkukrotném jednej sztuki wysłuchaniu, a porównawszy ich kilka, spostrzeże tylko nużącą pieśczołliwość. Tato jest ujemna strona muzyki, którą najczęściej w operze Włoskiej spotykamy a którą p. K. śpiewnością nazywa. Zbyt ogólnie jednak, bo śpiewność jest względna i różna dla różnego wykształcenia muzycznego. Mają ją i Niemcy we właściwym im duchu, tém więcej im więcej prawdy mają; prawda bowiem jest naturalną i śpiewność jest taką. Ale jest różnica między śpiewnością Włochów a śpiewnością Niemców; pierwsza jest fizyczna, świeci jak metal wypolerowany, powierzchnią ślepiący, druga charakterystyczna, duetowa, błyszczy jak dyament w kształty trygonometryczne ociosany; z której strony nań spojrzysz, ogień tryska łamiącemi się promieniami światła ciągle podsycany. Dowód tego co powiedziano, czerpiemy jeszcze z naszego autora, przytaczając jego wyrazy: „Podług mnie głos ludzki, dwojako może być uważany; raz jako *dźwięk*, drugi raz jako *mowa*. Zdaje się że Włosi szukają więcej pierwszego i dlatego śpiewność jest główną i *jedyną* zaletą, jest pierwszym ich oper wizerunkiem: lecz Niemcy idąc więcej za prawdą dramatyczną, częściej tworzą dramata muzyczne niż opery takie, któreśmy dziś przywykli tylko operami nazywać”. Któż tu nie widzi fizycznej strony głosu ludzkiego, i wcielenia go w determinowaną formę, za zgodą powszechną znaczeniem odzianą? Któż wątpić zechce o wyższości drugiego nad pierwszym? Że i tamta strona głosu zająć może częściej, czasem i silniej choć krótko, jako łatwiejsza do

zrozumienia, a konieczną jest do przesłania wrażeń duchowi, nie nie dowodzi na korzyść opery Włoskiej. Ma ona jeszcze tę wyższość nad innymi, że natura szczerze obdarzyła Włochów fizyczną pięknnością głosu i zdolnością jego do celów muzykalnych; i tento jest powód utrzymujący liche opery na scenie, i dający autorowi tu i owdzie zwycięstwo. Tém godniejsi nagany, im gorzej środków swych używają.

Z kompozytorów znakomitych jak Hajden, Händel, Gluck, Spontini i t. d. najchętniej bo najgłębiej oceniony jest Mendelsohn-Bartholdy. Zdanie o nim na str. 103 podzielamy w całości. Jest przecież w jego artystycznym działaniu szczyt, którego ocenienie spodziewaliśmy się znaleźć w dziełku pana K.; chcemy tu mówić o muzyce z Mendelsohna do Antygony Sofoklesa. Wspominać o niej nasz autor ale tylko ubocznie, zastanawiając się głównie nad dramatem. Tymczasem muzyką do Antygony, wprowadził Mendelsohn nowość wkrótce naśladowaną. Żeby tu się nie powtarzać (patrz Bibl. Warsz. z r. 1845 Tom II) powiemy tylko, że tak sam pomysł jak i wykonanie jego nowym jest dowodem rachunkowego umysłu Mendelsohna, jaki w nim p. K. postrzega. Że sam dramat nigdy na dzisiejszej scenie popularny nie będzie, łatwo było przewidzieć; że tak jest, dowodzą owe dziwne uczucia które podług pana K. opadają słuchacza, i rzadkie reprezentacje ho niewabiące publiczności, nie zaś dlatego że kosztowne. Mały to wzgląd dla dyrekcji teatru, skoro jest pewna że się jej nakład zwróci, boć go przy operach i baletach nie żałuje. Wracając do muzyki, słusznie nasz autor się dziwi tym którzy ganili Mendelsohna że do Antygony nie zastosował muzyki starożytnej. To byłoby niepodobieństwem, raz że ją tylko z teorii znamy, drugi raz że to co badacze historyi muzyki pokazują nam jako próby kompozycji starożytnej, jeśli jest prawdziwe, nadzwyczaj jest ubogie i nie może się podobać z powodu niezmierniej różnicy sztuki ówczesnej od dzisiejszej. Ale czemuż p. K. zarzuca Werdemu że w swoim Nabuchodonozrze wprowadzonym na scenę, Babilończykom, Hebrajczykom każę grać na fagotach, klarnetach i t. p.? Miałże użyć

narzędzi jak kinnor, asor, keren albo moanim ze wszystkimi ich rodzajami, których kształtu, własności i zażycia zaledwie domyślać się można z miejsc rozpiezchnionych po starożytnych autorach? Anachronizm jest tu mniejszy niż się zdaje, niż u Mendelsohna, bo gdy w Antygonie mamy dramat istotnie starożytny, Nabuchodonozor ma tylko ustęp historii dawniej podług dzisiejszych pojęć o dramacie obrobiony i do dzisiejszój zastosowany sceny.

Porównanie oratorya do epopei (str. 64) nie ma trafności, i wejściem w szczegóły poparte nie jest. Chybaby ogólnie się powiedziało że przedmiot obojga winien być wzniosły a więc i styl odpowiedni; ale wzniosłość muzyczna nie tylko w oratoryum, poetyczna nie tylko w epopei ma miejsce. Z innój strony rzecz uważając, pokaże się że dramat liryczny wsparciu muzyki oddany, nie tylko że obrazowań i epizodów, rodzajowi epicznemu właściwych, nie dozwala, ale nadto współdziałając, samoistność muzyce odbiera, i gdyby oratoryum epopeją być mogło, to tylko z pomocą textu. Formy muzyczne nie dadzą się żywcem z formami poezyi splątać; obie rozwijają się w czasie, ale pierwsze wyłącznie na miarę uczuć i ich rodzaj, drugie jeszcze i w stosunku wypadków i obrazów.

Ani zgodzić się można na to co p. K. o recytatywie powiada (str. 151). Nie jest ono „naśladowaniem mimowolném deklamacyi dramatów Greckich, deklamacyi podtrzymanej wówczas przez akorda ciągnione na dętych instrumentach (tibiae).” W tém tylko podobieństwo leży, że deklamacya miarowój Greków poezyi tak jak recytatywo dzisiejsze, podłożona była pod muzykę syllabiczną, to jest że na każdą zgłoskę jeden ton rytmicznie wypadł; w tém różnica że to dawniej tworzyło stopy metryczne, do czego *forma recitativa* nie wiąże się dzisiaj. Cóż mówić o modulacyach jakie dzisiejsze recytatywo przebiega, o różnościach rytmicznój tonów starożytnym nieznanój, o przygrywce znanój im tylko w jednogłosce (unisono), w oktawie (diapazon) lub w jój podwojeniu (disdiapazon)? Bo p. K. mylnie przypisuje starożytnym znajomość harmonii, mówiąc o akor-

dach podtrzymujących deklamacją. Harmonia najuboższa nawet niopodobieństwem była u Greków (a tém samym i u innych naśladowających ich ludów), a to skutkiem systemu tonów, dzielonego na tetrachordy różniące się od siebie układem, albo na podobnież różne oktawy; skutkiem rodzajów tonów (dyatoniczny, chromatyczny i euharmoniczny, z których dwa ostatnie czém inném były niż są dzisiaj), skutkiem niejednostajnego stroju instrumentów (pochodziło to ze zbyt niekiedy ścisłego, niekiedy mylnego obliczenia matematycznego interwallów): wszystko to przeszkadzało do wykształcenia (systematycznego) harmonii. Wreszcie niedokładność semejografii (sztuki notowania), jak w ogólności postępowi muzyki, tak w szczególności wynalezieniu harmonii zaporą była. Że ona nie istniała, świadczy brak wzmianki o niej u wszystkich starożytnych pisarzy zacząwszy od Pitagoresa, skończywszy na Boecyuszu. Mylne pojęcie spotykanego wyrazu *harmonia* wprowadziło w błąd niektórych komentatorów, do czego dopomogła niezajomość rzeczy muzycznych. Forkel, najznakomitszy podobno z historyków muzyki pokazał, że harmonią nazywano szereg pojedynczych tonów w gammie, a melodyą następstwo ich po sobie podług przepisów rytmopei.

Mylnie téż p. K. wszystkie dęte instrumenta starożytnych podciągnął pod wspólne nazwisko *tibiae*. Wyraz ten nazczył tylko rodzaj fletów. Oprócz nich używano jeszcze rogów (cornu), trąb (tuba, buccina, lituus) i piszczałek (calamus, fistula). Że te wszystkie narzędzia musiały być krzykliwe, wnosić należy z obszerności teatrów starożytnych, i zapewne wymagały pewnego wysilenia piersi ze strony grających; żeby jednak aż do pęknięcia żyły w piersiach dojsć ono mogło, trudno uwierzyć, choć na to p. K. Lucyana przytacza. Tém mniej aby dla zabezpieczenia głowy i twarzy od podobnego wypadku, muzycy ówczesni używali na nie przepasek (capistrum). To tylko było dla silniejszego zadęcia, jak p. K. powiada także, a może dla ochronienia głowy od bólu, a twarzy od zeszpecenia długim i silnym rozdymaniem;

wszakże już Minerva z tego ostatniego powodu flet przekłęta.

Mówiąc o historycznej części muzyki, nie możemy pominąć niedbałości autora, z jaką na str. 26 mówi o starych śpiewach kościelnych na dziewięciu a nawet ośmnastu liniach pisanych. Widział je w bibliotece Berlińskiej. Tak skąpa wiadomość nietylko nieobeznanych z dziejami semejografii muzycznej nie nauczy, ale nawet znajomszym rzeczy zagadką będzie. Byłto pewnie jeden z kilku rodzajów tabulatury muzycznej, mianowicie ten, którego kontrpunkciści do połowy XVI wieku używali w miejsce partytury dzisiejszej. Albo, gdyby p. K. nie mówił wyraźnie o śpiewach (zapewne z *textem*) przypuściłoby można, że to była kompozycja na jaki instrument z klawiaturą, dla którego znacznej liczby tonów, więcej téż linii używano jeszcze nawet w XVII wieku, co dzisiaj zastępują klucze i linie dodane. Przecież żaden historyk ani encyklopedysta muzyczny nam znany, nie wspomina o ośmnastu liniach, i prawdopodobnie p. K. się pomylił.

Żeby ostatnią uwagą skończyć o części muzykalnej, książki rozbiętej, powiemy że gdzie autor ogólnie o muzyce się wyraża, najlepiej mu się to udaje; gdzie w szczegóły wchodzi, jest drobiazgowym i bez interessu dla czytelnika. Takimi są niemal wszystkie uwagi o śpiewakach i aktorach różnych teatrów, iniejscowych tylko mieszkańców obchodzić mogące, tém bardziej, że nieraz dowcipnie i ostro napisane.

Co do części muzyką się niezajmującej, jakkolwiek ta w listach poufalitych obejmować może różne szczegóły, należało ją przedewszystkiém oczyścić ze wszystkiego co osobistości autora dotyczy, choćby mu nawet i pochlebiało. Z przypisów historycznych, cytat, dat i innych okoliczności, widzimy, że autor zajmował się przygotowaniem tych listów do druku, miał więc sposobność wykreślić niepotrzebne rzeczy, a ważniejsze dokładniej lub obszerniej wypracować. Szczegóły np. o nieznanym i lichym wierszoklecie, o lekarzach Maryenbadzkich i t. p. wygodnie mogły być pominię-

te. Zamiast nich wolelibyśmy spotkać objaśnienie czemu napis na bibliotece Berlińskiej: „*Nutrimendum spiritus*” położony, śmiesznym autor znajduje? bo nam stosownym być się zdaje.

Język pana K. odpowiada wewnętrznej dziełka wartości; często płynny, piękny, żywy; niekiedy zaniedbany i rozwlekły, a co najgorsze pełen makaronizmów. Czemu zamiast: flaucista, partye, sujet opery, frenetyczna agitacya, genre i t. p. nie używać Polskich wyrazów? W stwarzaniu nowych, lubo tego nadto probuje, nie jest nasz autor szczęśliwy; np. co znaczy: „śpiewaczka odciągała? coto jest muzyka motywowa? coto są instrumenta miedziane”? To ostatnie wyrażenie jest dosłowném tłumaczeniem Francuzkiego *de cuivre*, mającego może w dawniejszym zwyczaju zasadę; dziś miedziane są tylko kotły (tympani), a narzędzia dęte metalowe bywają mosiężne lub srebrne. Wyrażenie o śpiewaczce „w całym rejestrze jej dyapozonu” nietylko jest ciemne ale i sprzeczność zawiera. Dyapazon znać może objętość głosu, zatem z rejestrem nie wspólnego nie ma, bo głos ludzki ma kilka rejestrów. Jeszcze jedno uchybienie; zbyt ono często się powtarza i na zbyt wielką miarę byśmy je tu pominąć mogli. Autor przewidział zarzut, o częste i długie wtrącanie rozmów, listów w języku Francuzkim, ale słabo się broni mówiąc, że: „myśli i zdania ludzi znakomitych uważa za text historyczny, i nie ma potrzeby ani prawa ich tłumaczyć jeśli oryginalnie z ust lub zpod pióra wyszły w języku obcym.” Niezawsze jednak był tego zdania, np. cytując z historii Czeskiej, Eneasza Sylwiusza, albo wyrazy Tomaszka, muzyka w Pradze mieszkającego, i tylu innych. Niowszystko też wyszło od ludzi znakomitych, bo nie znamy tu innój znakomitości jak w sztuce lub nauce. Sam ten wzgląd, że niepodobnóm było autorowi spamiętać dosłownie rozmowę, że chcąc ją innym udzielać, pojęte myśli własnemi tłumaczył wyrazami, powinien był skłonić go do tłumaczenia ich po Polsku; po Polsku wszyscy rozumieją, nawet i ci co radzi z Francuszczyzną się popisywać, jakby czém osobliwém.

Mimo wszystkiego cośmy dotąd powiedzieli, i coby się jeszcze powiedzić dało, powtarzamy, że notatki te zawierają wiele godnego uwagi i pamięci czytelnika.

Nowe lub niedokładnie opisane gatunki skamieniałości Tatrowych, odkrył i opisał Ludwik Zejszner. Poszyt I z IV tablicami z natury litografowanemi. Warszawa. Nakład autora. W drukarni St. Strąbskiego, 1846.

W 4ce, stronnic 32. Tablice litografowane u E. Simon w Sztrasburgu; pierwsze dwie rysowane przez Hugona Troschel, dwie drugie przez C. Hohe.

Pod tym nadpisem wyszedł Iszy poszyt opisów i rysunków skamieniałości Tatrowych przez p. Zejsznera odkrytych, lub dotychczas dokładnie przez innych petrefaktologów nieopisanych. Drugi poszyt wyjść ma w lipcu r. b.

Po długim badaniu gór Tatrowych i utworów do ich systematu należących, p. Z. wydał w roku 1845 (u Schropa w Berlinie), mapę geologiczną Tatrów i wzniesień od nich równo-odległych; oczekujemy jeszcze ziemioznawczego opisanie tych krajów, tém ciekawszego, iż budowa geologiczna onych nie tyle dotychczas rozpoznawana była, jak innych stron Europy. Zanim ujrzymy to spodziewane dzieło p. Zejsznera, do wyjaśnienia części przynajmniej tej mapy, bo samych właściwych Tatrów, posłużyć może, objęty w tym poszycie: *Rzut oka na skały warstwowe wchodzące do budowy Tatrów i wzniesień od nich równoodległych*, poprzedzający opis 14stu nowych lub niedokładnie dotąd opisanych skamieniałości z rodzaju terebratul.

W tym rzucie oka (od str. 1 do 14) oznacza p. Z. skały Tatrowe jako równoczesne Alpom, i wskazuje w nich pokłady następujące:

1) *Piaskowiec czerwony*, spoczywający w właściwych i niższych Tatrach na skałach plutonicznych i metamorficznych, a który okazuje się również na Spiżu pod Łomnicą, pasmem od Żuberca i na Holach Turzańskich.

2) *Piaskowiec liasowy Alpejski*, leży poniżej w pasmach równoodległych od poprzedzającego, bardzo obszernie rozwinięty w Tatrach. Składa się on: a) z *wapienia szarego* a czasem czerwonego, b) *dolomitu*, c) *margłów łupkowych pstrych*, w odmianach rozmaitego koloru, i wreszcie d) *piaskowcu* niokiedy w konglomerat przechodzącego. Skamieniałości cechujące ten utwór, są: *Ammonites Bucklandii*, *Am. planicosta*, *Am. Walcotii*, *Am. serpentinus*, *Am. annularis*, *Nautilus aratus*, *Aptychus lamellosus*, *Spirifer Walcoti*, *Spir. rostratus*, *Terebratula biplicata*.

3) *Dolomit nummulitowy*, równoodległe od poprzedzających ciągnie się z strony południowego podnoża pasmem od Niemieckiej Lipczy do Łuczywna nad Czarnym Wągiem, a od północy pasmem od Leszczyny w hrabstwie Orawskim przez Zuberzec, Kościelisko, aż pod Zakopane.

Piaskowiec Karpatowy, według p. Zejsznera, jest tą samą skałą osadową piaskowcową, która się w Salzburgu pod Högłem znajduje, którą w Szwajcaryi Flysch, we Włoszech Macigno, a Francuzi, od znajdujących się skamieniałości porostów, *grès à fucoïdes* zowią. P. Z. dalej uważa iż piaskowce te w Karpatach, składają się z kilku utworów, a mianowicie: spodnich ogniwi Jura, kródy (greensand Anglików) i średnich pokładów trzeciorzędowych, i dlatego następnie rozbiiera:

4) *Piaskowiec fucoïdowy jurussowy*, w skamieniałości ubogi, i należące do niego wapienie ammonitowe i margle wapienne. Wapienie te w takiem okazują się następnym: a) wapień ziarnisty, b) w. jednostajny czerwony lub różowy, c) w. jednostajny szary lub czerwony, d) w. marglowy jasnoszary lub zielony, i e) czarny. Jako skamieniałości charakterystyczne, w tych wapieniach przytacza p. Z. *Ammonites Murchissonii*, *Am. radians*, *Am. Conybeari*, *Am. bîplex*, *Am. polylocus*, *Am. annularis*, *Aptychus lamellosus*,

Belemites brevis, *Bel. bicanalicatus*, *Pentacrinites subtiles*, oraz nowe *Terebratula sima*, *T. Stasziczi*, *T. diphoros*, i nowe *Ammonites acanthicus*, *Am. speciosus*, *Am. retroflexus*, *Am. taticus* i t. d.

5) *Piaskowiec krédowej formacyi*. Na mapie oznacza go p. Z. pasmem nad biegiem Orawy pod Orawską Magorą, w linii od czarnego Dunajca przez Czorsztyń do Krościenka, dalej ku Popradowi w ziemię Spiską przez Lubowię i Lipiany do Preszowa (Eperies); nadto w opisie za obrębem karty oznacza uposażenie piasków krédowych w hrabstwie Trenczyńskiem. Skamieniałości charakteryzujące: *Ezogyrus columba*, *Pholadomya Esmarkii*.

6) *Formacje trzeciorzędowe* wreszcie, mianowicie zaś średnie ich ogniwa, u obu podnóż południowego i północnego Karpat spoczywają. Spodnie takowych warstwy w Karpatach, zawierają potężne pokłady soli a miejscami i siarki, wierzch składają piaski i ropy. Pokładom soli Karpackiej, których budowa w kilku punktach tylko dokładniej poznana została, towarzyszą szare ropy, anhydryt i gips, przedzielające odmiany soli; pokrywają je zaś czarne ropy. Spotrzągać się dające osady dawniejsze, utawicone na nowszych w Wieliczce i w wielu punktach Galicyi wschodniej, są skutkiem przewalenia się warstw przypadkowego. Same skamieniałości napotymane w kopalniach Wieliczki i Bochni, właściwe utworom trzeciorzędowym, wiek ich wskazują, jakoto: *Pecten cristatus*, *Natica millepunctata*, *Pedipes buccinea*.

Z właściwymi osadami Alpejskimi Karpat, spotyka się pod Krakowem *formacya północnego systemu wapienia jura, nad brzegami Wisły*; wyraźne są trzy ogniwa tego utworu, a w szczególności:

1) *Wapień koralowy* (coralrag Anglików), jako wierzchni pokład formacyi jura.

2) *Margiel biały* gruboładkowy pod tymże spoczywający, które obydwie odpowiadają podobnymże osadom w Alpie Szwabskiej, o sto mil przeszło odległej, a mało są podobne do bliższych nich osadów Alpejskich w Karpatach.

3) Wierzchnie warstwy średniego pokładu formacji jura, to jest wapien żółty ziarnisty, a pod nim lotny piasek lub piaskowiec brunatny drobnoziarnisty.

Prawie poziome ułożenie tych pokładów jurassowych, nigdzie znacznie jak pod 5 stopniem ku wschodowi, różni je nadzwyczajnie od osadów Alpejskich (w Karpatach), których warstwy pod znacznym kątem spadają.

Po takim obrazie formacji Tatrowych następuje: *Opis nowych lub niedokładnie poznanych gatunków skamieniałości Tatrowych* (od str. 15 do 32), który w tym 1szym poszycie zawiera tylko jeden rodzaj terebratul z familii przepasanych, *Terebratulae cinctae*, które w środku są przedziurawione albo rozszepione, i tóm się odróżniają od wszystkich dwuskorupnych. P. Z. rozdziela je na uchowe, i bezuchowe.

a. Uchowe: 1. *Terebratula diphya*. Colonna. (Tabl. I fig. 1—8,) niedokładnie dotąd opisana przez Colonnę, Bronna, Bucha.

2. *Terebratula diphoros* (Tabl. I fig. 9—13).

3. *Terebratula rogoznicensis* (Tabl. I fig. 14 i 15).

4. *Terebratula sima* (Tabl. I fig. 16—19 i Tabl. II fig. 1—3).

Te trzy ostatnie gatunki są nowo przez P. Z. odkryte i opisane.

b. Bezuchowe. 5. *Terebratula Staszicii* (Tabl. II. fig. 4—7).

6. *Terebratula axine* (Tabl. II. fig. 8—10).

7. *Terebratula expansa* (Tabl. II. fig. 11 i 12).

8. *Terebratula planulata* (Tabl. II. fig. 13 do 17).

9. *Terebratula tatica* (Tabl. II. fig. 18 do 20).

10. *Terebratula Agassizii* (Tabl. II. fig. 21—25).

11. *Terebratula Haussmanii* (Tabl. III. fig. 3 a—c).

wszystkie nowo odkryte i opisane.

12. *Terebratula Bouéi* (Tabl. III. fig. 1 a—f).
dotychczas jako *Terebr. resupinata* przez
Sowerbyego, Bucha, Pusa i Girarda
opisana (Tabl. III. fig. 1 a—f).

13. *Terebratula Wahlenbergii* (Tabl. VIII.
fig. 1—5) gatunek nowy przez P. Z. od-
kryty i opisany.

14. *Terebratula Zietheii*. Bronn (Tabl. III,
fig. 4 a—e, 5 a—e, 6 a—e).

Opisy obejmują, przy dwóch niedokładnie dotąd przez
innych autorów oznaczonych gatunkach (1 i 12), przytocze-
nia autorów i miejsce z ich dzieł, oraz historią opisanych
skamieniałości, przy wszystkich zaś 14tu, wymiary w mili-
metrach tak całej wielkości skorup, jak i szczegółów, okrę-
ślenie kształtu, podobieństwo i różnice kształtu z opisane-
mi przez innych autorów skamieniałościami, miejscowość
gdzie są napotymane, wreszcie opis figur.

Co do tablic, z tych I, II, i III odnoszą się do opisów
w tym poszycie zawartych; gatunek *T. Wahlenbergii* będzie
dopiero przedstawiony w 2gim poszycie na Tablicy VIII.
Oprócz tego tablica III fig. 7 a—d obejmuje gatunek *Dy-
saster altissimus*, a tablica IV ammonity, jakoto: *Am. cara-
chteis*. Z. *Am. simplus d'Orbigny*, *Am. Staszicü*. Z. i *Am. ro-
goznicensis*. Z., których opisów w 2gim poszycie oczekujemy.

Tablice są litografowane nader pięknie i dokładnie.

P. Zejsner ogłosił już drukiem dotychczas wiele szczegóło-
wych rozpraw monograficznych, ściągających się do Tatrów,
umieszczając je od r. 1832 w pismach czasowych krajowych
i zagranicznych, jakoto: Opis geognostyczny Czorsztyna (C.
C. v. Leonhard, Jahrbuch für Mineralogie i t. d. z r. 1832
str. 7 i 408. Roczniki Tow. nauk Krak. Tom XV. str. 80).
O Tatrach i opis okolicy Sanki (Leonharda, Jahrbuch f. Min.
1833 str. 371 i 534). O dyorycie Cieszyńskim (tamże 1834 str.
16). O konglomeratach Kościeliskich (tamże 1840 str. 70).
O formacji jura nad Wisłą (Roczniki wydz. lekarsk. Krak.
T. IV. r. 1841, i Annales des mines z 1841, serya IV. tom 2,
oraz Karstens archiv. T. 19 r. 1845). O budowie geologi-

cznej Tatrzów (Bibl. Warsz. marzec 1842 str. 88). O skałach metamorficznych koło Dobszyny (Bibl. Warsz. sierpień 1842 str. 324). Opis geognostyczny pokładu solnego Wielickiego, (Leonharda Jahrbuch i t. d. 1844 str. 513). Opis geologiczny Wieliczki 1844 u Behra w Berlinie. Także do tych opisów odnoszą się opisy paleontologiczne w części z 12 tablicami przy Bibl. Warsz. z r. 1845 wydane, wreszcie i w wyszłych poszytach Dzwona z r. 1846 umieszczona rozprawa: O budowie Tatrzów i wzniesień od nich równoodległych.

Zebranie tych wszystkich rozpraw w jedną całość, i utworzenia tyle z natury swój zajmującego dzieła o całym systemie formacji Tatrowych, któreby problematyczne dotąd kwestye usunęło i wyjaśniło budowę tego utworu i jego rozciągłości i granice, wskazując oraz znajdowanie się i rozległość w łonie ziemi skarbów kopalnych w dawniejszych jego uławiceniach, a nadewszystko bogactw solnych w trzeciorzędowych jego pokładach, jest zadaniem równie ważnem jak godnem pracy badacza, który tyle lat wyłącznie poznaniu tych krain poświęcił. Spodziewamy się iż niedługo p. Z. z tego się uiszc, a teraz niemniej z upragnieniem oczekujemy drugiego poszytu, opisu nowych lub niedokładnie dotąd poznanych skamieniałości Tatrowych.

H. Łab.

Komplet wzorów na budowę włościańskie.

Pod tym tytułem wyszły z litografii p. Fleck et comp. plany zabudowań włościańskich, wraz z wyrachowaniem potrzebnych ilości materyałów i roboty. Plany te przedstawiają budowę jak są wykonane w dobrach Żarki, powiecie Olkuskim, gdzie widzieć się dają nietylko szczegółowe budowy, ale nadto ich całkowite położenie. Składają się one z trzech budyneków: 1) z domu mieszkalnego dla dwóch włościan, 2) stajni i chlewków, 3) stodoły tak urządzone

iz pomimo że są dla dwóch gospodarstw, wszelako są one zupełnie oddzielone. Pomiedzy temi budynkami, znajduja się ogrody fruktowe i warzywne. Wzory przedstawiaja budowle murowane z cegły, kamieni polnych lub z drzewa, na kazden rodzaj są oddzielne plany.

Juz dawno w kraju naszym požadanemi byly tego rodzaju wzory, aby i budowle wiejskie mogły przecież otrzymać pewne ulepszenie wpośród postępu ogólnego innych dzieł epoki naszój. Wielką więc zrobił przystugę dziedzie Żarek, iż nietylko wybudował ulepszone budowle swpim włościanom, ale nadto iż takowe polecit wysztychować dla użytku właścicieli wiejskich. Z planów tych okazuje się, iż przy najoszczędniejszém użyciu rozległości miejsca, materyałów i wydatków, można jednak otrzymać nieporównanie wygodniejsze, trwalsze i ozdobniejsze budowle anizeli zwyyczajnie stawiane.

Plany te w dwojakim wzgledzie uważać możemy: 1) jako wzory rzeczywiste przedmiotów juz wykonanych; 2) jako wzory stanowiące tło do nowych pomysłów.

Co do pierwszego, plany te zrobione z dokładnością, z elewacyami i przecięciami, są juz gotowemi wzorami, ktokolwiek z nich chciałby uczynić zastosowanie; łatwo mu nawet wyrachować kosza położywszy tylko ceny miejscowe na wyrachowanych ilościach roboty i materyałów, a tym sposobem widzié każdy może, nietylko jaka będzie jego budowa, ale nadto co ona może kosztować.

Co do drugiego, kształty budowli jako téz ich wzgledne do siebie położenie, mogą być bardzo rozmaite; komu więc podobałoby się szukać téj rozmaitości, łatwo ją urzeczywistnić może za pomocą tychże samych planów. Kiedy bowiem plan sytuacyjny czyli rozpołożenia budowli, znajduje się na pokratkowanym papierze, jak są wzory, i każda kratka ma swój wymiar oznaczony, łatwo można wprowadzić zmiany podług upodobania lub wyrozumowania. I tak: niejednemu może obywatelowi zdawać się może ozdobniej i wygodniej, gdy ogród fruktowy zamiast z tyłu, znajduje się będzie obok domu, od ulicy, w miejscu gdzie na planie

oznaczony jest ogród warzywny. Ponieważ stajnia i chlewki są w budynku oddzielnym, mogłoby być również dogodnie, aby i obora zamiast przy domie, była razem z tą stajnią i chlewkami. Stodoły obie wieśniaków mogłyby być połączone również jak i ich mieszkanie, przez co oszczędzi się jedną ścianę i szczyt, a dogodność ta sama pozostanie. Może również komu zdawać się dogodniejszym, aby wejście do sieni nie było wprost z ulicy, lecz raczej z drugiej strony węgła do téż sieni z podwórza. Wieśniak wtedy wyszedłszy z mieszkania, znajdowałby się na swoim podwórzu bez potrzeby wychodzenia na ulicę, a następnie otwierania i zamykania częstego wrót, które rzeczywiście w porządnym gospodarstwie starannie powinny być zamykane. Te i tym podobne uwagi mogą być bardzo stosowne w miarę upodobania, ale nie zapominajmy, iż one powstać mogły przy pomocy planów które mamy przed oczami. Co do mnie, z mojej strony żądałbym tylko, aby w izbie wieśniaka okna nieco większego mogły być wymiaru, gdyż dwa okna żelazne obok siebie umieszczone, wysokie $1\frac{1}{2}$ łok. a szerokie cali 18, zdają mi się być za mało oświetlającemi izbę dziesięć łokci mającą długości i tyleż prawie szerokości. Wymiar ten w oknach możnaby rozciągnąć przynajmniej do 2 łokci wysokości a $1\frac{1}{4}$ szerokości, szczególnie w budowlach murowanych. Sądziłbym oraz za dogodniejsze, aby okna nie były obok siebie, ale więcej oddalone, przez co środek izby regularniejsze miałby światło. Nie żałujmy naszym wieśniakom światła, wszakże to tak mało kosztuje, kiedy bowiem jedno okno żelazne lane powyższego wymiaru, kosztuje w składzie p. Steinkellera rubel 1, to powiększone 10 złotych wynosić nawet nie będzie. Co do budowli z drzewa ohociaż byłoby rzeczą pożądaną, aby ile możności najwięcej starano się o murowanie, wszelako gdy dotąd bez budowli drewnianych obejść się nie możemy, usiłować więc należy, aby im zapewnić ile możności większą trwałość; przeto téż dobrze, że budynki we wzorach drewniane, znajdują się na podmurowaniu. Zrobić tylko tu należy uwagę, iż budynki mieszkalne lepiej jest wiązać w węzły, aniżeli

dawać je w słupy, a to z powodu jednakowego osiadania budowli, przez co nie tworzą się szpary jak w budowlach robionych w słupy. W budowach innych, jak dla inwentarza, składów i t. p. budowa w słupy jest bardzo dobrą, tylko pamiętać należy, aby dawać zawsze wiązanie wewnętrzne czyli opory zwane pospolicie sztabami, bez czego budynki byłyby bardzo słabe, i przez wiatr obalone być mogą. Ponieważ plany pod tytułem *Komplet wzorów na budowle włościańskie*, okazują widoczne ulepszenie pod względem trwałości budowy, ozdoby, wygody i korzystnemi być mogą z powodu łatwego i ulepszanego zastosowania do praktyki, życzyłoby więc należało, aby obywatele więcej bliżej z niemi zapoznać się mogli.

A. Idzkowski.

Dawid Mścislawicz, książę na Łucku, czyli smutne zwycięstwo odniesione nad Mogolami. Powieść Wołyńska z XIII wieku, przez M. Z. Tomów 3.

Oto treść: Dysław, jedyny potomek starego, zamożnego i poważnego bojara, którego autor starym posiadnikiem nazywa, kocha się szalenie w Maryi Słobodziance, córce poległego niegdyś w boju z Tatarami, Mikity Owady. Przygotowania do wojny z Tatarami, na Litwie, Rusi, a więc i na Łuckim dworze, gdzie włada książę Dawid Mścislawicz, wiedzą Dysława do tego ostatniego. Tam poznaje jego wychowanicę Wandę, ona go usidla w miłosne więzy z pomocą bojarów i służalca. Ślub naznaczono przed rozpoczęciem wojny, a to w siedzibie ojca Dysława; bo książę już z Łucka wyruszył na radę książąt związkowych. Zhańbiona Marya zakłóca radość biesiadników, zjawieniem się z zawiniątkiem w którym ciekawa Wanda znajduje dziecię. Pejęła ona dobrze co się święci, ale pozwala sobie wmówić, że to dziecię możnej opiece ojca Dysława polecono. Marya się wymknęła aby się znów ukazać w chwili spodziewanego ślubu, ale już w trumnie złożona. Przerażony Dysław mieczem tłumi

rozpędza i ucieka, pachotek za nim,—i przepadli. Rozpacz i gniew Wandy, która się do klasztoru wybiera, rozpacz starego ojca Dysława, o którym nakoniec przychodzi wiadomość że poległ w walce z Tatarami. Tu się pokazuje, że Wanda i Marya, były siostry.

Już z treści widać, że opowiadanie wcale historyczne nie jest, jak to tytuł zapowiadać się zdaje. Smutne zwycięstwo nad Mogołami, kosztowało życie kniazia Dawida, i głównego bohatera powieści, Dysława; jednak to się stało jakby za kulisami, i dopiero w końcu tomu ostatniego, a w ciągu powieści zaledwie wzmiankę kilka razy czytamy, że się do wojny z Tatarami zabięra. Osoby główną w tój powieści grające rolę, żadne są w historii, ani jej wypadki z chwila mi dziejowemi się zbiegają, prócz kilku małoważnych okoliczności które bez szkody dla ciągu dramatycznego, zmieniły można. Tu są tylko w ogólnych zarysach ludzie, jakimi zawsze być mogą, a to wypływa z ich natury, i chwila dziejową spowodowane nie jest. Inaczć każdą scenę życia potocznego do historii liczyćby trzeba. Wprawdzie każdy krok pojedynczego człowieka na drodze życia, mniej więcej poprzedzającemi go czasami jest przygotowany, w towarzyszące mu okoliczności powity, razem z niemi w przeszłość się zanięcia, i do historii należy. Boć historia nie samym tylko zbiorem czynów i zdarzeń pamiętnych, ale one stanowią epoki historyczne, przedziały, między którymi zawarte ustępy, właściwą każdemu świecą barwą, będącą niejako odbiciem barwy owych wydatniejszych krawędzi. Ztąd powieść z trzynastego wieku, i powieść Wołyńska, winna mieć właściwy koloryt czasu i miejsca, i pod tym dwojakim względem jeszcze historyczności w niej szukać trzeba. Tu zarazem widać trudności zadania; ogołocony z wypadków historycznych obraz odległych czasów, nie ma ich odblasku, coby pozorną prawdą okrył ludzi i działania. Prawda historyczna charakterów i obyczajów, z niezajmujących szczegółów potocznego życia wypłynąć musi. Na to mistrza, artysty, i archeologa potrzeba. Panu M. Z. do tego obojga bardzo daleko. Włusnie cechy czasu i miej-

sca w całej powieści ani za złamany grosz nie ma. Skrócone przedstawienie pierwszego tomu najlepiej to okaże, a wtrącone tu i owdzie, własne autora wyrazy, wszechstronnie wypracowanie treści okażą.

Krasiwy molojec Dysław, którego także panem Dysławem nazywają, powiada, że jego *stary* „zezwoił nareszcie aby się zaciągnął w jakie *hufy*, boć i pies broni swój budy i swego pana”. Był więc u kniazia Andrzeja (syn Dawida), w Żytomierzu, „który go nie chciał przyjąć za prostego żołnierza dla zasług ojca”. Więc wrócił z niczem, i jedzie do Łucka w towarzystwie „sześciu *zakupników* (?) w płócienko niebieskie przybranych”. Jedzie a *sumuje* (smuci się), nie go pocieszyć nie zdoła, nawet skrzek gęsi i kaczek dzikich radujących się moczarom i dębom na których postrzegają resztki gniazd swoich (1). Nudzily go równiny i bory, i zajęchał na nocleg do domku *białego jak mleko*. W drugim dniu podróży, dosłyszano tentent; otoczono więc Dysława dla bezpieczeństwa jego osoby, ale on widząc że tylko jeden przybywa jeździec, śmiało naprzód wyskoczył. Zdarzenie to do niczego nie prowadzi; widać chciał niemi autor mężstwo swego rycerza pokazać. Przyjechawszy do Łucka, został *ciałostraznikiem* syna książęcego, i dostał miecz w podarunku; przypasywaniem go się bawi, *mruczy* o Maryi, i tak sobie myśli: jeśli mi ojciec nie pozwoli pojąć Maryi, to mu pogrozę, że nie będę się starał o sławę własnego rodu. Wtém przychodzi do niego służący kozak na gawędkę, baje mu o krasistój wychowance kniazia, ale on się oburza, bo dla niego najkrasiejsza Marya; to mu jednak nie przeszkadza marzyć o krasiwych Łuczczankach, które ma jutro widzieć, bo jutro gala. Otoż jeden z niój ustęp. Jakiś bojar *znad Bugu* tańczy z Wandą, „jój twarz *rysuje* się między długimi *nausznicami*”. Dysław stał nieporuszony. I oto panna

(1) Ciekawy to szczegół do historii obyczajów i instynktu ptaków. Oto inne: ptak umiera z tęsknoty, gdy go osadzą w żelaznej klatce; str. 24. Sęp się przechadza po mogile, w której spodziewa się swą głowę położyć, str. 206.

Wanda „po raz drugi okrążając salę, nie zaniedbała obdarzyć go swoim miłym spojrzeniem; za trzecim kręgiem wypadła jej z tuniki róża, jakby umyślnie; Dysław ją podniósł, i przypatrywał się jej, a gdy czwarty raz taniec obiegał, bojar znad Bugu zatrzymał się przy nim, połączył jego rękę z Wandą” (ma się rozumieć z jej ręką) i nie mówiąc, „poszedł się lubować ogólną wesołością z kniazem Dawidem”. Dysław tańczy, prowadzi Wandę do jej krzesła, i podając jej różę, to własność pani, wybąknął, uklonił się i odszedł. (A cóż nie galant?) Poznała się też na nim Wanda, bo: „rzekła do jednej z szatnic: co to za grzeszny mołojec? czy go nie znasz? — Nie znam, ma to być syn starego posadnika z Trojanowa.—Ach jak on krasiwyy! wspomniały! on całą młodzież swemi przymiotami ciała zaćmięwa”. I tak się panna Wanda swoim dandym zajęła, że ciągle na niego patrzy, odmawia synom najdostojniejszych bojarów by z nim tylko tańczyć, a nikt choć na nim obrażonej miłości własnej nie pokaże. Słowem, młodzież bałwany, panny kopia zepsuta dzisiejszych pokojówek, i bal ogródkowy.

W takim tonie opowiadanie ciągnie się i przez resztę powieści; nie tylko czeze gadaniny, płochy tańce i mgłe czułości. Gdzież tu życie czasom owym właściwe? gdzie typy w których się zbiega charakter narodu i wieku? Patrzymy na inne figury.

Kniaź Dawid, choć „stary i ponury” daje jednak się namówić do balów, by wydać za mąż grymaśną wychowanicę! Podnosi Dysława do coraz wyższych godności nie wiadomo za co, i nakoniec sam mu ofiaruje rękę Wandy „bo to był wielki mąż w boju, łaskawy władzca narodu, i troskliwy opiekun” dodaje autor.

Kniaź Andrzej blady i smutny nie wiadomo dlaczego, ale proteguje Dysława i żarty z niego stroi.

Artemon najznakomitszy w kraju bojar, prawa ręka kniazia Dawida i drugi opiekun Wandy, nie robi tylko wspiera jak może miłość wychowanki, całym wpływem popiera plany ułożone przez słuźalca Dysława, i dla ukojenia tęsknoty „wywierając zło następstwa na piękną powierz-

chowność" chodzi codziennie do Wandy z teorbanem, gra i śpiewa, „a mimo cichego i chrapliwego głosu, rozczula.” Wprowadza Dysława do komnat Wandy, aby tam pędził godziny. Bo tóż to cała jego robota.

Służący Dysława Wiarusa mianem ochrzczony, to czysty Lafleur z jakiej komedyi Francuzkiój, krętarz, gaduła i przekora.

Jordanek brat Maryi, niby kozaczek wiecznie się wierci i kurczy, na Tatara się wydziera, co chwila klnie „do stu sotni” a płacze że mu *babcia* nie pozwala w nowy się ubiór przystroić. Ma kochankę Krasnorodę, której jakby Hidalgo Hiszpański, przygrywa na teorbanie pod oknem, a ta wychodzi z płaczem bo jój krowę ukradli. *On*: „Co! gdzie! jak! ha podaj mi do stu sotni tu z nich którego, z pazurami i zębami wpiję się aż do kości w niegodziwca cialo!” *Ona*: „Jabym sama przerzedziła im czuprynę.” A jednak ta dziewczyna, prosta wieśniaczka, jest przyjaciółką Wandy na książęcym dworze i rozprawia z nią o strojach!

Cóż tu pytać o barwę historyczną, gdy Rusinów kozakami autor porobił; każe im tańczyć szumkę i przysiudy, a drogę na wiorsty rozmierza? Tu nawet żadnego charakteru nie ma któryby się na jakiegokolwiek czasy przydał, bo nie tylko że podłe lub głupie, ale i nieprawdziwe, co większa nieutrzymane. Wandę autor raz robi niewinną dziewczicą, drugi raz wywieszoną zalotnicą; Dysława podłym przeniwiercą i pieczeniarem, drugi raz szlachetnym młodzieńcem pełnym dobrych chęci i zacnych uczuć; kniaź i bojar wielcy ludzie podług niektórych ustępów, a w innych niedołączni. Pobratał stany, ponaciągał okoliczności do niczego niewiodące, np. skradzenie krowy, a całość wodnistym dyalogiem zatopił. Być może że ta dwoistość charakterów pochodzi z przyłożenia się dwóch indywidualności do dziełka. W tém mniemaniu zdaje się potwierdzać język czasem niezgrabny, zapchany obcemi wyrazami i wyrażeniami, a czasem lubo bardzo rzadko, nienaganny i ozdobny. Wzór pierwszego dały już niektóre miejsca wyżej przytoczone; tutaj ich więcej: hrywnęła, ziemiodzierzca, był szwankowany, gotowi się (za-

miast gotuje), cofnąć się w rozhovorze (uciąć rozmowę), harna (piękna) sierota, krasota, krydenki (?), pokłonniki (załotnicy), przeciwrzeczyć, władnica (stolica), przedwieszczenia, duszewnie (z duszy), para szmyrgała po sali, wyczeporzyć się (wystroić się), bałakać, homon, płomienista wiosna, i wiele innych. Na błędach grammatycznych też nie zbywa, np. odwiedzać wiernego sługi, zamiast sługę; słuchać powtarzane rady, zamiast powtarzanych rad, i t. p.

Sprawiedliwość nakazuje, by przy tylu wadach i błędach, o dobrém nie zapomnieć. Dwa przykłady niżej przytoczone i porównane z powyższemi, najlepiej pozór dwoistości autorów poprą. „Młoda para gdy się z sobą zdybie, to jak dwoje gołąbków, z początku się przypatruje sobie, potem okręża, następnie szeleści skrzydełkami, dalej dziobkiem się traca, a nakoniec jak się zagrucha to i końca nie ma.” Albo ten drugi, wyjęty z najlepszego z całej powieści ustępu, pokazujący biędną Maryę w kościółku Trojanowskim. Nabożeństwo się skończyło, wszyscy pobożni wyszli, proszą Maryi i zakrystyan niecierpliwy dzwonił kluczami. „Osoba modląca się, tak była silnie Bogiem zajęta, iż nie słyszała tego zwiastuna ziemskiej niecierpliwości. Oczy jój łzami zalane, były na święty wizerunek zwrócone, a ręce wzniesione do nieba, dokąd dusza na skrzydłach myśli wzleciała”.

To piękne bo niewymuszone.

Dokładna nauka czyszczenia i naprawiania obrazów, olejnych, woskowemi, wodnymi i suchymi farbami malowanych; tudzież płaskorzeźby, przedmioty gipsowe, suszone owady, ryciny i mapy z dodatkiem o czyszczeniu, bieleniu, wyciąganiu i oprawianiu w ramy rycin, litografj, drzeworytów i t. d. z Niemieckiego. Lwów, w księgarni K. Jabłońskiego, 1845.

Tłómacz niniejszego dziełka dobrą uczynił przystługę nie tylko artystom malarzom, ale nawet tym wszystkim, co z za-

miłowania radzi obrazy kupują i zbiorki u siebie zakładają. Częstokroć dają się postrzegać w handlu malowidła, bądź na płótnie, bądź na drzewie wykonane, stare, zczerniałe, podziurawione, albo téż popękane: a niekiedy tak zbutwiały, że ich prawie do rąk wziąć nie można bez narażenia się na całkowite zepsucie: jak zaś w takim razie postąpić, jak się wziąć do tego, aby zniszczonej robocie jużto czasem, już przez złe powlekanie werniksem, nadać pierwotną świeżość i świetność, jest rzeczą dosyć trudną, i niekażdy artysta potrafi, choćby był najlepiej z olejem i farbami obeznany. W obcych krajach, gdzie upodobanie w obrazach jest powszechną i panującą namiętnością, gdzie poszukiwanie starych malowideł nigdy nie jest wyczerpane, tam są tacy artyści, którzy wyłącznie się poświęcają samemu tylko naprawianiu, a niektórzy z nich takię wprawę nabierają, iż z obrazów na pastwę płomieni przeznaczonych, cudów dokazują, doprowadzając je do pierwiastkowego stanu i wyrazistości. U nas tego spodziewać się nie można, a ten co nowe obrazy maluje, musi koniecznie i stare naprawiać. Lecz gdzie jeszcze idzie o zatatanie dziur, domalowanie odpadłych farb, zdjęcie werniksu, to przy cierpliwości można temu zaradzić, ale ze starego płótna przeniesie malowanie na nowe, albo co większa z drzewa na płótno, to na to trzeba długoletniej wprawę i doświadczenia. W Petersburgu przy galerji Ermitażu, był znakomity restaurator nazwiskiem *Mitrochin*, który z tego rodzaju prac wielce słynął. Onto kilka obrazów Rubensa z drzewa na płótno tak dobrze przeniósł, iż najmocniej wpatrując się, przypuścić niepodobna, aby one początkowo na drzewie malowane były. U nas czy był kiedykolwiek podobnie zręczny restaurator, wiedzieć nie można, wszelako poświęcać się dziś jedynie tego rodzaju pracy, byłoby niebaczością, kiedy i zwyczajnego artysty praca niezawsze bywa nagrodzoną. Z tego przeto względu dziełko terazniejsze dla artystów naszych i dla tych wszystkich co z olejnemi farbami mają do czynienia, bardzo jest korzystne. Szkoda tylko że tłómacz w wyliczeniu i opisywaniu sposobów postępowania, jest za nad-

to rozciąglým: bo można było tylko o niektórych jako mniej używanych wspomnieć, a opisać najlepsze i doświadczeniem za najpewniejsze uznane. Nadto co do języka technicznego, niektóre wyrazy niewłaściwie użyte, słuszny powód dają do sądzenia, że tłumacz tego dziełka nie jest artysta z powołania. Tak na stronicy 2 i 31, użyte wyrazy *lazuruja*, *lazury* są nieprawdziwe; mówi się bowiem *laserują*, *laserunki*, od wyrazu Francuzkiego *glucis*, *glacer*. Na stron. 4 o *fundamentach* i *gruntach*, te dwa wyrazy są wcale niepotrzebnie użyte, kiedy nierównie lepiej i zrozumialej powiedzieć można: o *drzewie*, *plótnie*, *blacie* i o *powłokach* na nich; na stron. 1, nie mówi się *tlustym* pędzlem ale *pełnym*; na stron. 2 zamiast *maczanym* albo *dziobanym* (*pointillé*) trzeba mówić *kropkowanym*. Najszcześliwiej zaś udało się wytłumaczyć wyraz Francuzki *terne* na *ślepy*; kolory przechodzą w mat, ślepną, *les couleurs deviennent ternes*.

S.

Niezapominajki, powieści moralne dla dzieci przez M. K. Monikowską, z dwiema rycinami. Warszawa. Nakładem Gustawa Senewald. 1846 r.

Pisać dla dzieci, nie tak łatwą jest rzeczą jak się wydaje. Kto chce dla dzieci pisać z korzyścią, powinien przede wszystkim zastosować się do wieku tych dla których pisze, powinien trafić do ich przekonania, powinien starać się zabawić, zająć, nauczyć. Kto tych dopełnił warunków, ten dopiął swojego celu, a korzyść wynikła z czytania tego co napisał, będzie dla niego sowitą za pracę nagrodą.

Powyżej wymienionych warunków dopełniła M. K. Monikowska, w czterech powiastkach poświęconych dzieciom: *Cnoty Anusi*, *Poprawa złośliwej Emilki*, *Przykład Maryi i Karolka*, *Julisia z grymasów przez brata i siostrę wyleczona*, spełnią życzenia autorki, która przypisując dzieciom powiastki swoje, pragnie, aby w ich sercach obudziły te wszystkie doskonałe przymioty które im to dziełko wskazuje.

Styl prosty i łatwy, język poprawny; życzylibyśmy jednak, aby autorka w drugiej powiastce, *Podróż do Krakowa*, opisując miasta i czarodziejskie jego okolice, mogła być cokolwiek jaśniejszą i mniej wymuszoną, zwłaszcza gdy pisze dla dzieci.

L. P.

Cnota chłopczyka wynagrodzona, powieść dla dobrych dzieci, ozdobiona 4 rycinami. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, 1846.

Opis cnót młodego Wilda, który po upadku domu handlowego ojca swojego, gdy ten dla probowania szczęśliwszego losu przymuszony był udać się do Ameryki, sam zostawszy przy matce, był jój pociechą, stał się jój podporą, jest pełen zajęcia i prawdy. Charakter pana Falter, dziwaka lecz poczciwego człowieka, któren dobrocią własnego serca wiedziony przychodzi w pomoc matce i synowi, wydobywa ich z nędzy, staje się ich dobroczyńcą, zachowując jednak zawsze całą szorstkość i oryginalność sobie właściwą, jest jak najtrafniej utrzymany.

Treść powieści zajmująca, cel moralny, język czasami treści Francuszczyzną; zresztą bezimienny autor dopiął swego celu, gdyż napisał książkę dla starszych już dzieci, pełną zajęcia i pożyteczną.

L. P.

ROZMAITOŚCI.

Hrabia Walicki i książe Fr. Sap.

(Wyjątek z tomu IIgo, str. 88 — 125, Pamiętników Tadeusza Bułharyna.)

W owym czasie, między rokiem 1804 i 1806, ukazał się w wyższém towarzystwie Petersburskiém człowiek pod każdym względem niepospolity i który do dziś dnia pozostał zagadką. Winienem o nim wspomnieć, jako o rzadkiem zjawisku.

Za dni naszych, kiedy społeczeństwo po gwałtowném wstrząśnieniu znowu się uspokoiło, kiedy prasa nad wszystkiém czuwa argusowém okiem, fenomen tego rodzaju stał się niepodobnym; dzisiaj świat wszystko wió lub chce wiedzieć; gdzie nie zdoła przeniknąć istoty rzeczy, sieje kłamstwa i potwarze, byle tylko przymiotowi wszystkowiedza zadosyć uczynić; wtedy zaś ludzie byli więcej wyrozumiali, mniej ostrożni; śpieszyli używać życia; każdy zajęty własną przyjemnością, dawał innym pokój, i towarzystwo nie było podobne do kasty Indyjskiej, dostępnej jedynie dla istot jednegoż plemienia. Szlachta wszystkich krajów uznawała wszelką szlachtę za równą sobie. Lecz wróćmy do człowieka, który mógłby zostać bohaterem nader zajmującego romansu, gdyby cały bieg jego życia był wiadomy.

Walicki, szlachcic Polski, dobrej i dawniej ale podupadłej familii, spokrewniony (nie wiem w jakim stopniu) z Bu-

czynskimi, pobierał nauki w Mohilewie, na koszcie wuja mojego, krajczego Litewskiego Buczyńskiego, starszego brata mojej matki, i okazał wielką zdolność do nauk a obok tego dużo naturalnego rozsądku. Po ukończeniu edukacji, wuj mój, zwyczajem owego czasu, podarował Walickiemu hryczkę, cztery konie, karabelę, strzelbę, parę pistoletów; dał mu woźnicę i chłopca do usług; dał pościel, bieliznę, nieco odzienia, do tego jeszcze sto dukatów i kilka listów rekomendacyjnych do Wilna i Warszawy, i wyprawił młodego człowieka w świat, gdzie oczy poniosą, na cztery wiatry. Takto bywało w dawniej Polsce. Biedna szlachta, czy spokrewniona czy też nie, wychowywała się na koszcie bogatych ludzi, a potem, opatrzoną w ten sposób, wysyłano w świat, w umizgi do fortuny. Był jeszcze zwyczaj u starych Polaków, że przed wyprawieniem wychowanka, kazawszy go rozciągnąć na kobiercu, wsyпали mu sto bizunów, choć na taki upominek bynajmniej nie zasłużył, jedynie tylko dla wrażenia mu uszanowania i pokory. To wszakże nie spotkało Walickiego: otrzymawszy błogosławieństwo i dobre rady, puścił się w drogę (niedługo po przyłączeniu Białej Rusi do Rossyi). Miał wtedy osiemnaście lat wieku. Od tego czasu zginął bez wieści, znikł jak kamień rzucony w wodę i dopiero we dwadzieścia lat później zjawił się w Warszawie, w początku rewolucyi Polskiej, jako hrabia i bogacz. Tytuł hrabiowski kupił sobie był w jakimś państwie Włoskiem, a Stanisław August przyznał mu tę godność: nie był więc *samozwanećem*, jak niektórzy utrzymywali. Król, za ofiarę znakomitęj summy na zakłady szkolne, obdarzył go orderem ś. Stanisława 1ej klasy. Lecz niedosyć że był hrabią, że miał miliony; zostawał jeszcze w stosunkach ścisłej przyjaźni z piérwszemi domami Włoch, Francyi, Anglii i Niemiec, i u wielu dworów dobrze był przyjmowany. Mowa, ton, obejście, sposób życia, wszystko w Walickim okazywało człowieka z wyższego towarzystwa; żył też jak prawdziwy książę z czasów Ludwika XIVgo. Gubiono się w domysłach zkąd przyszedł do majątku, i wszyscy starali się o jego przyjaźń albo łaskę, bo obiady jego były sławne

w całej Europie, hojność zadziwiająca, obejście najprzyjemniejsze, gust we wszystkiém wytworny, czarująca wymowa, humor najweselszy i pełen życia. Chociaż bezzenny, przyjmował jednak u siebie i damy, wybierając na każdy bal inną gospodynię z pań wyższego towarzystwa. Grywano u niego w karty; on sam grał doskonale we wszystkie gry; wygrywał summy znaczne, czasem przegrywał: grał honorowo, uczciwie i przyjemnie, słowem był co Francuzi nazywają *beau joueur*, a to wtedy liczyło się do ważnych przymiotów towarzyskich. Powszechnie utrzymywano że Walicki zbożacił się grą, ale gdzie i jak, tego nikt powiedzieć nie umiał. Słyszałem że wytrawne szulery nieraz zastawiali nań sidła aby go ograć *na pewno*, ale zawsze źle na tém wyszli. *Contre coquin, coquin et demi*, mawiał Walicki, i karał zuchwałe szulerów zamiary, obierając ich do grosza. Czasami, gdy który z szulerów mu się podobał, Walicki oddawał mu pieniądze, częściej jednak przeznaczał wygraną na ubogich, bo jak sam mówił, nie chciał pożytkować ze *sztuk*, których jedynie użył na upokorzenie nieprzyjaciół.

Nie wiem czy Walicki był takim *zawsze*, to jest i wtenczas gdy jeszcze był biędny; lecz odkąd wystąpił na teatr świata jak pan, grał, według powszechnego zdania, uczciwie, ale nadwyzczaj dobrze i *szczęśliwie*, i każdy mający siebie za dobrego gracza, śmiało do kart z nim siadał. W ciągu lat dwudziestu po powrocie Walickiego do kraju, zawiść nie zdołała rzucić nawet cienia na jego postępowanie. Trucizna potwarzy sięgała tylko epoki tajemniczej, nieznannej życia Walickiego, ale o niej nie pewnego nie widziano zgoła.

Utrzymują, że w późnej już starości, osiadłszy w Wilnie, odkrył wszystkie koleje swego losu gienarłowi Kossakowskiemu, z którym łączyła go ścisła przyjaźń. Lecz tajemnice te razem z obu przyjaciółmi zeszyły do mogiły. Niektóre jednakowoż *dane*, zachowały się w pamięci ludzi, i sposobem matematycznym, z kilku ilości wiadomych dochodząc ilości niewiadomój, cośkolwiek odkryto. Znaleźli się tacy, co widywali Walickiego w różnych epokach i w rozmaitych

krajach; on sam także nie wypierał się gdy mu o tém wspomiano, nie lubił jednak wchodzić w szczegóły i nie wdawał się w żadne dłuższe opowiadania. Pytano go naprzykład: „Czy prawda że książę Fr. Sap. znalazł pana w Galicyi w ostatniej nędzy?” „Prawda, odpowiedział Walicki, byłem wtedy bez kawałka chleba i bez grosza pieniędzy, i książę wyświadczył mi dobrodziejstwo, którego nigdy w życiu nie zapomnę”. „Jakże to było?” Na to Walicki już nie odpowiadając pytającemu, zbywał go ogólnikami: że to nikogo obcego zajmować nie może, a dla niego niemiłe wspomnienie i t. p.

Rzecz pewna że Walicki od pierwszej młodości miał namiętność i niepospolity dar do gry kartowej, a gdy wtedy wszyscy i wszędzie grali, gdy gry azardowe nie były zabronione, we wszystkich więc traktyerach i kawiarniach, w małych i wielkich miastach, grano w faraona i sztosa; wszędzie snuły się bandy szulerów, uczęszczające na jarmarki, jak kupcy z towarami, wlokły się za wojskiem jak markietani, miały po miastach otwarte sale i nie wstydzily się swojego rzemiosła. Pamiętam w Wilnie tak zwaną *srebrną salę*, w domu Fitynghofowej, a w Werszawie (kiedy po pokoju Paryzkim znajdowała się tam główna kwatera księcia Barclaya de Tolly, przed ogłoszeniem królestwa Polskiego) salę pani Nejmanowej w hotelu Hamburgskim, gdzie co wieczór ciągniono bank i grano w sztosa na kilku stolikach, i gdzie krocie przechodziły z rąk do rąk. Walicki, poszedłszy w świat szukać szczęścia, zaczął grać w karty, wygrywał, przegrywał, i nakoniec stanął na tym punkcie, że we Lwowie zgołał zupełnie, do tego stopnia, że dla zarobienia na chleb codzienny, musiał w traktyerze przyjąć służbę markiera. Między bogatemi znakomitemi panami było wtedy wielu oryginalnych, albo jak dziś zowią *excentrycznych* ludzi, to jest takich, co wbrew urodzeniu swemu i majątkowi wiedli życie dziwne, wszędzie szukali awantur, i większą część lat swoich przepędzali na włóczędze, *incognito* przestawając z osobami wszelkiego stanu, znajdując rozkosz w silnych wrażeniach, których dostarczały przypadki niespodzia-

ne, szczególnie, niekiedy nawet z niebezpieczeństwem związane. Takim był i książę Fr. Sap., jeden ze znakomitszych panów Polskich z urodzenia i majątku. W pierwszej młodości już był generałem artylerji Litewskiej, a wysoki ten stopień nie zyskał zasługą, gdyż wcale nie służył, ale otrzymał go skutkiem łaski króla, pragnącego przeciwną na swą stronę możną partją Sapieżyńską. Ojciec księcia Fr. Sap. był kanclerzem. W czasie zaburzeń ówczesnych książę Fr. Sap. oświadczył, iż czuje się niezdolnym do sprawowania tak ważnego obowiązku, i zaproponowawszy aby wybrać generała artylerji, odpowiedniego temu stopniowi, sam przestał na randze kapitana. Już sam ten postępek maluje jego charakter. Znałem go osobiście w Paryżu, bywałem u niego i w Wilnie, i w dobrach jego w gubernii Grodzieńskiej. Byłto człowiek niepospolitego światła i ukształcenia, rozumny, dowcipny, miły, uprzejmy, bez cienia dumy, prostoduszny i dobry—ale dziwak! Nienawidził wszelką wystawność i etykietę; rzadko, mimojazdem tylko przebywał w pysznym swoim pałacu, i bez ustanku wędrował po Europie, z jednym kamerdynerem, z zapasem wexli bankierskich, i zwiedzał domy gry i wszystkie tajne kryjówki wielkich miast. Zdawałoby się że Eugeniusz Sue z niego brał wzór, kreśląc charakter księcia Rudolfa w *Tajemnicach Paryża*. Rzeczywiście też książę Fr. Sap. w ciągu życia swego zrobił tajemnie wiele dobrego, wielu nieszczęśliwców pogrążonych w przepaści zepsucia ocalił od zguby, wielu powściągnął od występku. Dam tu przykład, na jakie narażał się niebezpieczeństwa, by dogodzić namiętności swój do awantur. Sam mi to zdarzenie opowiedział. W jednej ze swoich podróży do Francji zabrał w dyliżansie znajomość z Francuzem, człowiekiem przyjemnego ułożenia, dobrego tonu, pięknie ukształconym. Przyjechawszy do Paryża rozstali się, lecz szczególnym jakimś trafem, książę bardzo często spotykał go to w restauracyi, to na spacerze, to na teatrze, a niekiedy przy takim spotkaniu, przepędzał z nim dzień cały, mając upodobanie w jego towarzystwie. Chociaż wzajemnie znali się po nazwisku, nie powiedzieli

sobie jednak nigdy gdzie mieszkają. Francuz mienił się być hrabią dawniej arystokracji. Jednego razu, gdy ksiązę wieczorem przed teatrem do domu wrócił, zastał bilecik od dawniejszego towarzysza podróży, w którym ten upraszał, aby ksiązę chciał go odwiedzić na kwadrans, w ważnym nader interesie, niecierpiącym najmniejszej zwłoki; wymawiając się zarazem, że z powodu słabości sam przybyć nie może, wynurzył nadzieję, że ksiązę w dobroci swojej prośbie nie odmówi. Książę myślał, że ważnym interesem jest :zapewne pomoc piéniężna, o którą się do niego już nieraz udawano; wziąwszy więc z sobą kilkaset franków, natychmiast udał się na oznaczone miejsce. Zastał tam znajomego swego w szlafroku, w pokoju gustownie ubranym. W przedpokoju znajdowali się dwaj lokaje. Poprosiwszy księcia siedzieć, przyjaciel powiedział bez ogródki, z wesołym uśmiechem: „Dawno już, mości ksiązę, chodzę za tobą, i nakoniec dopiąłem celu. Jesteś bogaty, ja jestem biédny. Wiadomo mi że masz w szkatułce kilkakroć sto tysięcy franków; napisz więc natychmiast rozkaz do swojego kamerdynera aby szkatułkę wydał mojemu posłańcowi, inaczéj ztąd żywy nie wyjdiesz.” To mówiąc zadzwonił, dwaj lokaje wbiegli z przedpokoju, z drugiej izby wypadło dwóch urwiszów strasznej fizjonomii, wszyscy uzbrojeni. Opór był niepodobny, ksiązę więc, jakkolwiek był odważny, wypełnił nie ociągając się żądanie rozbójników. Jeden z nich natychmiast pośpieszył do jego mieszkania, a tymczasem były towarzysz podróży tak dalej do niego mówił: „Wyznaję że to niegrzecznie, ależ summa ta przecie niezupełnie zrujnuje ciebie, mój ksiązę, nam zaś da możność schronienia się do Ameryki, przed dokuczającą sprawiedliwością tutejszą. Znam cię, mości ksiązę, jeszcze od ostatniej bytności twojej w Paryżu, i wtenczas już chciałem cię poprosić żebyś się ze mną podzielił tém co masz do zbytku, ale mi się wtedy nie udało, bo musiałem uciekać aby się uwolnić od natarczywości tutejszej policji. Nie uwierzysz jak się uradowałem gdy cię znów spotkał w Paryżu i dowiedział się że jedziesz do Sedan, dla oglądania fabryki sukna barona Ne-

flize; wyprzedziłem cię w Sedan, aby mieć przyjemność poznać się z tobą gdy nazad pojedziesz.”— „Ale czyliż pan, tak dobrze wychowany, nie mogłeś obrać lepszego i bezpieczniejszego sposobu do życia? rzekł książę; chętniebym ci nawet pomógł z mojej strony...”— „Właśnie to teraz czynisz, przerwał rozbójnik ze śmiechem; już próbowałem rozlicznych sposobów dorobienia się czegoś; żaden się nie udał, a teraz jestem związany i nie mogę odstąpić kochanych towarzyszków moich”; dodał wskazując na spółników. „Zresztą, mówił dalej, choć rzemiosło niebezpieczne, przecież jest korzystne, jak książę sam widzisz. Nie jesteśmy zli ludzie, i nie zabijemy cię, bo nie dałeś się długo prosić, a zresztą za godzinę już nas nie będzie w Paryżu.” Wtém wrócił posłaniec ze szkatułką. „Brawo!” zawołał herszt zbrodniarzy i obracając się do księcia, dodał: „Wiele dla nas uczyniłeś, bądźże już do reszty łaskawy. Zwiążemy cię, ale tak ostrożnie żeby cię niebołało, położymy cię do łóżka, zawiążemy usta abyś nie mógł krzyczeć, i oddalim się; za ośm godzin, przyjaciel nasz pozostający w Paryżu, uwiadomi twego kamerdynera aby cię uwolnił. Choć to trochę nieprzyjemnie, zawsze lepiej niż gdybyśmy cię zarzneli.”W téj chwili mocno zakołatano do drzwi. Herszt zbrojców wyjrzał do przedpokoju i krzyknąwszy: „zdrada!” wyskoczył do drugiej izby, towarzysze za nim. Przez drzwi wywalone wbiegł kamerdynier księcia, z pistoletami w ręku, a z nim kilku uzbrojonych policyantów. Kommissarz policyi uwiadomiony od właściciela domu, że do tego mieszkania prowadzi dwoje wschodów, postawił był wartę u drugiego wyjścia, i pięciu zbrodniarzy, zbiegłych galerników, dawno od policyi ściganych, wszystkich uwięziono. Rozbrojono ich, powiązano, a księciu oddano szkatułkę, radząc mu aby nadal był ostrożniejszy w zabiéraniu nowych znajomości.

Owoż jakim sposobem książę wyszedł z niebezpieczeństwa: kamerdynier jego, Francuz, otrzymawszy na piśmie rozkaz żeby szkatułkę oddać w ręce obcego człowieka, wnet domyślił się że w tém jakaś się niegodziwość kryje. Zrazu chciał

zatrzymać posłańca, lecz lękał się czy złąd nie wyniknie co złego, ponieważ książę napisał żeby szkatułkę przysłać natychmiast, nie pytając. Wydał ją więc, lecz wzięwszy z sobą drugiego znajomego lokaja, biegł dopóty w ślad za posłańcem, który wsiadł do fiakra, póki na ulicy nie znaleźli próżnego pojazdu do najęcia. Dojechawszy do domu gdzie się scena powyższa odegrywała, kamerdyner porучzył lokajowi wysledzić jakimi schodami posłaniec szkatułkę zanieśie, sam zaś pośpieszył do kommissarza policyi. Szczególny i szczęśliwy traf zdarzył że tam właśnie zgromadziła się cała brygada policyjna, dla rewizyi składu towarów pomówionego o kontrabandę: policya mogła więc natychmiast nieść księciu pomoc, i przybyła w tym celu w samą porę. Zdarzenie to jednak nie odstręczyło go bynajmniej od ubiegania się za awanturami; mówił nawet, że liczy je do najprzyjemniejszych wspomnień swego życia. „Nie wyobrazicie sobie, mówił do nas, jak rozkosznego doznałem uczucia wy dobywszy się z téj łotrowskiej jaskini! Takie chwile milionami nie dadzą się opłacić; jużto najprzód pieniądze w szkatule uważałem jakby za wygrane; powtóre poznałem cenę życia, będąc na włosk od śmierci; nakoniec zyskałem przyjaciela w moim wiernym kamerdynerze.” Książę przeliczywszy pieniądze będące w szkatulce, zniewolił kamerdynera do przyjęcia wexlu na taką sumę i wypłacił mu ją po powrocie swoim do kraju.

Takito pan, bogaty i dziwak, znalazł Walickiego we Lwowie służącego za markiera. Rozmówiwszy się z nim sam na sam, wywiedziawszy się o jego pochodzeniu i kolejach, książę, znający dobrze Buczyńskich, gdyż i sam na Białej Rusi, gdzie tamci mieszkali, ogromne posiadał dobra, ofiarował mu swą pomoc, i wziął go z sobą do Wiednia. Następnie książę wyjechał za interesami z Wiednia do Polski, Walicki został. Namiętności do gry książę nie uważał za wadę, tym więcej że sam w wysokim stopniu ję ulegał, i dlatego, polubiwszy Walickiego, dał mu pieniądze, jak to mówią, *na szczęście*.

W Wiedniu, w jakimś tam pokątnym traktyerze, Walicki, będący w spółce z kilku drobnymi szulerami, ciągnął bank. Już było po północy, szczęście sprzyjało bankierowi, kieszenie poniterów wypróżniły się, i gra miała się ku końcowi, gdy wszedł mężczyzna w wieku, wysoki, chudy, z długimi wąsami, w Węgierskiej czapce futrzanej, obwinięty szerokim Węgierskim płaszczem. Uważnie przypatrywał się grze, nakoniec podjął kartę ze stołu, podsunął i rzekł: *va banque!* Spólnicy Walickiego zmieszały się, lecz on dodał im serca i oświadczył że ciągnąć będzie. „Proszę wprzód przeliczyć pieniądze; niech pan odpowiednią summę na stole położy,” odezwał się jeden ze spółników banku. Żądanie było słuszne, ale Węgier nie zgadzał się na nie, powiedział nawet że nie ma z sobą pieniędzy, lecz że jeśli są uczciwymi ludźmi, powinni mu wierzyć na słowo. Towarzysze Walickiego opierali się, ale on, wpatrzywszy się w Węgra, wy czytał w jego twarzy tyle szlachetności i powagi, że odwracając się do spółników: „Odsuńcie, rzekł, panowie bank na stronę: ja sam odpowiadam temu panu *na słowo*, jeśli on wyzywa mnie *na honor*.” „Tak cię lubię, zawołał Węgier; ciągnij!” Walicki pociągnął i ubił kartę. Przeliczono pieniądze, było wszystkiego około pięćset dukatów. „Czy nie łaska teraz pójść ze mną dla odebrania wygranej?” rzekł Węgier. „Jak się podoba,” odpowiedział Walicki. Spólnicy chcieli iść z nim razem, ale Węgier nie pozwalając na to, żądał żeby Walicki poszedł z nim tylko sam; Walicki i w tym jeszcze ustąpił życzeniu nieznanego, nie uważając na upomnienia swoich towarzyszków. Kilka przeszli ulic, wtém Węgier stanął przed wielkim pałacem, zadzwonił, a szwajcar w liberyi otworzywszy, usunął się na bok z głębokim ukłonem. Węgier poprowadził Walickiego przez szereg wspaniałych komnat do gabinetu; dwóch galonowanych lokajów szło przed nimi ze światłem.—„Proszę usiąść,” rzekł Węgier. Walicki usiadł.—„Kto pan jesteś?” zapytał nieznanomy.—„Pretendent do korony Polskiej;” odpowiedział zreźnie Walicki, widząc że ma do czynienia z dziwakiem.—„A to jakim prawem?” spytał Węgier.—„Prawem urodzenia, odpo-

wiedział Walicki; jestem szlachcic Polski, nazywam się Walicki, a wiadomo panu że każdy szlachcic Polski może być królem obrany." Węgier uśmiechnął się:—,Mam honor rekomendować się panu wzajemnie, jestem księżę E., magnat Węgierski. Panu, jako pretendentowi do korony Polskiej, i mnie, jako magnatowi Węgierskiemu, niebardzo przystoi odwiedzać takie miejsca, jak to, gdzieśmy się spotkali... ale czasami zachodzę do podobnych kątów dla zabicia czasu."—,Jaz aś chodzę tam z potrzeby", odparł Walicki i opowiedział mu całą swą historią. Szczerść, rozsądek i ukształcenie młodzieńca podobały się magnatowi, który poczytał sobie za obowiązek wynagrodzić mu okazane zaufanie. Oddawszy pieniądze, magnat rozstał się z nowym znajomym, zapisawszy sobie jego adres. W kilka dni później, księżę E., wywiedziawszy się zapewne o Walickim w biurze policyi albo u posta rzeczypospolitej, zaprosił go do siebie na obiad, i przedstawił krewnym i znajomym jako swego przyjaciela, względem którego ma obowiązki, i którego los najmocniej go obchodzi. Walicki potrafił tak się prowadzić, że zyskał przychyłność wszystkich i został domownikiem magnata, który go do tego stopnia polubił, że nie mógł obejść się bez niego. Po niejakiem czasie wypadło księciu E. jechać do Paryża w missyi dyplomatycznej; wziął z sobą Walickiego, otworzył mu wstęp do wszystkich domów w których sam bywał, a między innymi wprowadził go do księżnej Polignac, ulubionej przyjaciółki królowej Maryi Antoanetty. Wszystko to opowiedział mi Francuz Deronne, który przez wiele lat zarządzał domem Walickiego i posiadał całe jego zaufanie. Od téj chwili żadnych już szczegółów nie mamy o dalszych Walickiego losach. Wiadomo tylko że był przedstawiony na dworze Francuzkim, bywał na wieczorach u królowej, i wiele widziany w pierwszych domach Paryzkich, zawiązał stosunki przyjaźni z wielu znamienitemi cudzoziemcami bawiącemi w Paryżu, i z członkami ciała dyplomatycznego. Zwiedził Anglią, Włochy, całe Niemcy podróżując po pańsku, *en grand seigneur*, i wrócił do Paryża w po-

czątkach rewolucyi Francuzkiej. Słyszałem nawet że miał sposobność wyświadczenia wielu usług rodzinie królewskiej, która po powrocie jego do Paryża znajdowała się w smutném położeniu, że mianowicie królowa Marya Antoanetta zaszczycała go szczególném zaufaniem. Walicki nigdy nie mieszał się do spraw politycznych i rzadko nawet o polityce rozmawiał, ale oczywiście był arystokratą w duszy, a zwolennikiem rządu monarchicznego z przekonania. Znajdując się w Paryżu podczas rewolucyi, poznał wielu głównych jej aktorów, i sam słyszałem jak kiedyś wspominając o Mirabeau, powiedział o nim: *Mauvais plaisant et mauvais joueur*. Szczerze ubolewał nad wywróceniem dawnego porządku rzeczy we Francyi, i w ogólności nienawidził rewolucjonistów. Gdy raz przy nim odezwano się, że Lafayette mógłby ocalić tron i monarchią, Walicki zawołał z żywością: — „Nigdy! znam dobrze Lafayette'a, poczciwy człowiek, ale słabego charakteru”.

Powróciwszy hrabią do kraju, Walicki kupił znaczne dobra w gubernii Wileńskiej i Grodzieńskiej, a między innymi piękną majątność Jezioro pod Grodnem. Bawił na przemiany w Grodnie i Wilnie, a po wstąpieniu na tron cesarza Alexandra zjechał na mieszkanie do Petersburga, gdzie miał wielu znajomych, z którymi dawniej za granicą pozawierał stosunki. Z początku najał obszernie mieszkanie, później zaś, dlatego tylko że tam nie miał dosyć słońca, kupił sobie dom na własność, i umeblował go wytwornie i bogato. Po powrocie Krusensterna z podróży naokoło ziemi, towary przywiezione na okrętach *Nadežda* i *Newa* sprzedawano z licytacji w biurach kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej, i cały wielki świat codziennie tam się zbierał dla kupienia lub oglądania wyrobów Chin i Japonii. Walicki zakupił co było najlepszego: Chińskie obicie jedwabne do kilku pokojów, mnóstwo naczyń Chińskich i Japońskich, wiele porcelany, którymi ozdobił swe mieszkanie. Prócz tego posiadał znaczną liczbę obrazów wielkich artystów. Prawdziwym zaś jego skarbem był zbiór drogich kamieni i rozmaitych kosztowności; te umieszczone w pudełkach, w sza-

fach za szkłem, znajdowały się w jego gabinecie. Jego zbiór złotych tabakierek emaliowanych słusznie poczytywano za pierwszy w Europie, a między temi znajdowało się dwanaście znanych w całym świecie, malowanych przez sławnego Petitot. Należały one niegdyś, jak powszechnie wiadomo, do króla Francuzkiego. Rozmaicie o nabyciu ich gadało; wiadomo wszelako, że w czasie rewolucyi mnóstwo kosztowności królewskich przeszło w ręce prywatne. Kilka serwisów stołowych Walickiego zadziwiało tak bogactwem jak doskonałością wyrobienia; między innemi serwis złoty, z wprawionemi drogiemi kamieniami, do którego były noże i widelce z rączkami z koralu. Hrabia Walicki, w liczbie innych rzadkości, miał sławny szafir, zmieniający kolor po zachodzie słońca, którego pani Genlis użyła za osnowę do jednej ze swoich powieści. Któż opisze zbiór jego szalów, kosztownych koronek, i t. p. Gdyby nawet i nie był tak przyjemnym w obcowaniu, sama ciekawość byłaby już dostatecznym powodem do odwiedzania go, by oglądać jego zbiory. Niedziw zatem, że całe wyższe towarzystwo Petersburga bywało u niego, i że go wszędzie mile widziano. Ktokolwiek znał ówczesny Petersburg, zapewne pamięta i Walickiego, jego przyjemne, żywe, zajmujące rozmowy. Znajomy z pierwszemi w Europie osobami, świadek nadzwyczajnych zdarzeń, miał zapas anegdot i wspomnień, które wybornie opowiadał, umiejac i poważnym nawet przedmiotom nadawać lekką barwę satyry. Damy bawił opowiadaniem o Wersalu, Trianonie, o balach Maryi Antoanetty, o życiu towarzyskiem w Paryżu przed rewolucją. Prócz tego posiadał jeszcze dwa ważne talenta, które w świecie wywierają potęgę czarownych talizmanów: doskonale umiał przyjmować gości u siebie, i w porę umiał podarować. Osoby które nigdy od nikogo nie nie przyjęły, nie mogły czasem wymówić się od podarunku z rąk hrabiego Walickiego. Wytworny jego smak był prawidłem dla ludzi najwyższego ukształcenia, słuchali jego rady przy umeblowaniu domu, przy urządzaniu balów i uroczystości.

Obok takich przymiotów światowych, był niepospolicie hojny, lubił wspierać biednych, i szczerze uposażał wszelkie zakłady dobroczynne. Podarował uniwersytetowi Wileńskiemu znakomity zbiór drogich kamieni i minerałów, który przez wdzięczność dla dawcy nazwano *Zbiorem Walickiego*, a który dostał się uniwersytetowi św. Włodzimierza w Kijowie; prócz tego ustanowił w Wilnie fundusz dla ośmiu biednych uczniów. Taki człowiek nie należy już do tłumu ludzi pospolitych...

Gdy rozważam liczne domysły o źródłach dostatków Walickiego, zdaje mi się, iż bliższym będę prawdy niż inni, gdy powiem, że zbożycił się prowadząc handel kosztowności, drogich kamieni, obrazów, antyków i t. p. Bywając u niego o każdej porze dnia, znając dobrze jego domowników, przypatrując się ich czynnościom, przekonałem się o tém. Wszyscy jubilerowie Petersburscy, mianowicie p. Duval, często przychodzili do niego rankami, i raz przynosili mu rzeczy, to znowu brali je z pudełek jego. Tremont prowadził w tym przedmiocie jego korespondencją z Paryżem, Londynem, Amsterdamem, nawet ze Stambułem, a bankier Roll wysyłał dla niego i odbierał z zagranicy ogromne summy. Wszystko to miało postać handlu, który Walicki prowadził za pośrednictwem tych osób, a prowadził tajemnie, bo wtedy chętniej przyjmowano w towarzystwie szulera i utalentowanego awanturnika, niż kupca. Wtedy nieodzowném było prawidłem, że szlachcic winien trzymać się pióra i szpady, kupiec łockia i szalki, a obie te klasy w interesach tylko wchodziły z sobą w stosunki. Wtenczas arystokracja sądziła niegodnemi siebie liwerunki, licytacje, spekulacje, a porządniejsza szlachta naśladowała ją w tém. Dziś, we Francyi *arystokracja pieniężna* wzięła górę nad urodzeniem, i zbożyceni kramarze zagasili potomków rycerzy krzyżowych i dzieci bohaterów Napoleońskich. Północna Europa zawdy Francją naśladowuje, i teraz, u nas, szlachta nietylko nie wstydzi się kupczyć, przeciwnie tak chlubi się z liwerunków i spekulacji, jak niegdyś przodkowie szukali chluby z czynów wojennych lub obywatel-

skich. Czy powszechne to rozkrzewienie ducha kupieckiego we wszystkich klasach społeczeństwa jest pożyteczne? ważne to pytanie czeka jeszcze od moralistów rozwiązania. Dawnemi czasy, w wielu państwach, szlachcie tracił swe prawa, gdy się jakim bądź zajął *rzemiosłem*. Alboż *rzemiosło*, dające uczciwy sposób do życia, niższe od kupiectwa? Wszystko to są dziwactwa rozumu ludzkiego, *bigarrures de l'esprit humain*, którym duch wieku nadaje ważność. Wchodząc w grunt rzeczy, pracowity rzemieślnik łatwiej może zachować moralne przymioty, niż kupiec, bo zyski zawiodą człowieka daleko, daleko! Co bądź, z duchem czasu wojować niepodobna. Dzisiaj hrabia Walicki mógłby otwarcie handlować brylantami, większej jeszcze ztąd nabyłby wziętości; wtedy zaś zezwalał, aby rozumiano iż majątku nabył grą, dlatego jedynie aby nie był poczytywany za kupca.

Będąc jeszcze kadetem, widziałem w domu jego prawie wszystkie, ówczesne znakomitości wszystkich ludzi wyższego towarzystwa. Mniemałem w dziecinniej prostocie mojej, że pod każdym upudrowanym tupetem mieści się świątymia rozumu. Z natężeniem słuchałem ich rozmów, gniewałem się często że nie umiem w nich doszukać się głębokiej mądrości, i to na karb własnego głupstwa kładłem. Później dopiero poznałem istotne znaczenie Francuzkiego przysłowia: *Thabit ne fait pas le moine*, t. j. poznałem, że nie wszystko złoto co się świeci z góry— i urok znikł.

Czy można robić piwo z kartofli bez dodatku słodu?

Kartofle, podobnie jak i ziarna zbożowe, zawierają mączkę, której ilość około 17% względem ich wagi wynosi. Od czasu więc, jak znaleziono sposób za pomocą właściwych działaczy, mączkę takową na cukier i gumę, takąż samą jaką się wjęczmieniu w czasie słodowania tworzy, prze-

istoczyć, nie pozostała żadna wątpliwość, iż z kartofli piwo wyrobioném być może.

I w rzeczy samej już oddawna we Francji, a w ostatnich czasach także i w Niemczech, zaczęto dodawać do brzezki cukier z kartofli dla otrzymania piwa lepszego. Cukier ten stał się artykułem handlowym, i w pierwszym szczególnie z dopiero wspomnianych krajów, ogromne zakłady na ten cel urządzone, wielkie massy takowego produktu, bo około 5 milionów kilogram. (12½ milion. funtów nowopolskich) rocznie wyrabiają. Używany on jest także do wzmocnienia lekkich win takich okolic, w których winogrona należycie dojrzewać nie mogą, tudzież do słodzenia wódek, przy wypiekaniu rozmaitych ciast i t. d.

Cukier takowy dwojakim sposobem może być zrobiony. Albo się mączka kartoflana sypie częściami do poczwórnej przynajmniej, co do wagi, ilości wody, kwasem siarczanym zaostrzonej, i to na wrząco, aż się wszystka zupełnie rozpuści; poczem dla zubożenia kwasu, który w tym razie żadnej nie uległ zmianie, dodaje się kręda, a następnie odcedzony roztwór węglem się czyści, i przez odparowanie do gęstości doprowadza:

Albo też do zcukrowania mączki używa się siodu: a tu głównie dyastaz, w czasie kiełkowania ziarn powstały, wpływem swoim spowodowuje rozkład, w skutku którego pierwiastki mączki, w odmienne wchodząc z sobą związki, tworzą cukier i gumę dextrynową. Pod względem ilości wody, jej temperatury, i całego postępowania, takiéże saméj w tym razie trzymać się należy zasady, jak przy sporządzaniu zacierów w gorzelniach, tudzież w browarach przy robieniu brzezki. Wszelako przy powiększonym stosunku wody, skoro nadto roztwór przez dłuższy przeciąg czasu we właściwej, bez niżenia utrzymany będzie temperaturze, ilość utworzonego cukru, w równych okolicznościach, daleko się znaczniejszą okaże.

Na wszystkie wyżej wymienione użytki, służyć może cukier za pomocą kwasu siarczanego otrzymany, a zatém i do piwa, ale tylko w pewnym dodatku, i to, jeżeli zupełnie jest

czysty; wyrobienie go jednak w takim stanie, nie jest tak łatwem dla zakładów wiejskich, jakby się zdawać mogło. Bo któżto będzie kierował tą czynnością w browarach? Oto piwowar, lub który z oficyalistów ekonomicznych, nieobeznany z chemią, a tém samém już lekceważący zachodzące przy robieniu cukru takowego manipulacye; ztąd ani na korzystne zcukrowanie mączki, ani téż na dokładne nasycenie kwasu, rachować z pewnością nie można.

Do zubożenia kwasu, jak powiedzieliśmy, używa się kréda, której ilość dobrze utrafioną być powinna, to jest ani za mała, ani téż zbyt wielka; w pierwszym bowiem razie zostałby kwas wolny, w drugim nie tylko powiększyłby się wydatek na krédę, ale zarazem i koszta na wydzielenie cukru, gdyż do wypłókania znacznego osadu, wielka masa wody wychodzi, którą następnie, przy zagęszczaniu syropu, odparować potrzeba.

Wprawdzie próbując roztworu farbą niebieską z lakmusu, którą kwasy na czerwoną zamieniają, można się przekonać, kiedy dodawania krédy zaprzestać należy; ale że i wywiązujący się w tym razie kwas węglowy, téż samą co i siarczany posiada własność, i lubo jest w stanie gazu, pomimo tego jednak w tworzącej się obficie pianie, i w samej cieczy, z powodu pewnego stopnia lekkości, jaką takowa posiada, utrzymuje się; ztąd kierujący tą czynnością *empiryk* może bardzo przesadzić dozę krédy, zwłaszcza, jeżeli takowa w znacznych naraz dosypywać się będzie massach.

Tém mniej potrafi sobie radzić, jeżeliby do cukrowania mączki (jak to w wielu miejscach się trafia), miedziane było użyte naczynie: co wszakże niebezpieczne za sobą pociągnęłoby skutki, gdyż w razie niedopilnowania się w zubożeniu kwasu, ten ostatni, rozpuściwszy nieco miedzi, utworzyłby sól, która szkodliwie na zdrowie działa.

Przypuściwszy nawet, że przy użyciu kwasu siarczanego dobry otrzymał się cukier, to i tak piwo dobre i na czas długi zachować się mogące, nie da z niego się wyrobić; roztwór bowiem zawierać będzie po zagęszczeniu, tylko cu-

kier, gumnę dextrynową, solo w krédzie znajdujące się i gips którego mała ilość dostateczną jest do zepsucia smaku piwa, lecz wcale ani białka, ani glutenu: a ciała te właśnie przez zetknięcie z kwasorodem zwolna w ferment się zamieniają, i po zbeczkowaniu piwa, nie tylko chronią je od zepsucia, ale nadto do podwyższenia dobroci napoju tego, bardzo wiele się przyczyniają.

W rzeczy samej, głównym warunkiem do utrzymania piwa w dobroci, jest usunięcie całej jego masy od zetknięcia z powietrzem, co się w beczkach, choćby najcieplej zatkanych, ze ścisłością skutecznie nie da, i jedynym do tego środkiem zaradczym, w niemożności niższenia temperatury, jest nasycenie kwasem węglowym; to zaś skutecznia się niewidzialnie przez rozkład cukru, jeżeli ferment świeży, jaki się tworzy z glutenu w czasie fermentacji piwa, znajduje się w tym roztworze.

A ponieważ glutenu ani białka nie ma w piwie na powyższy sposób z mączki kartoflanej wyrobioném, przeto i fermentacja niewidzialna, w skutku której kwas węglowy się wywiązuje, nie może się odbywać po zbeczkowaniu: bo drożdże dodane, które fermentacją widzialną, to jest stwarzoną z mocnym wywiązywaniem się gazu kwasu węglowego, tudzież burzeniem się i podwyższeniem temperatury w kadzi i beczkach, przed zatknięciem, wznieciły i utrzymywały; uległszy same w czasie takowego procesu zmianie, już nadal cukru na alkohol i kwas węglowy przetworzyć nie mogą, i do tego stopnia doszły rozkładu, że bytność ich w piwie, przy zetknięciu z powietrzem, kwaśnienie tej cieczy i zupełne psucie za sobą pociąga.

Wreszcie chociażby po zczukrowaniu mączki kartoflanej przez kwas siarczany, można było piwo z właściwym temu napojowi smakiem otrzymać (co wszakże podług tego, cośmy wyżej powiedzieli, jest niepodobnem), sposób ten nie przyniósłby korzyści właścicielom browarów, jak to z następującego wyrachowania jasno się wykazuje. Jakoż karczec kartofli 250 funt. wazący, zawiera mączki, licząc po 17%, 43 funt. do której jeden funt kwasu złączonego wy-

chodzi, a jeżeli idzie o prędkie zcukrowanie, nawet więcej użyć potrzeba. Funt kwasu siarczanego, na 60° areom. B. kosztuje gr. 24, policzywszy zaś krédę, która, gdyby była czysta, w równiej co i kwas używa się ilości, a w znaczuie większej skoro jest zanieczyszczona, na każdy korzec kartolli, pomijając nawet koszta, jakie wypłókanie osadu za sobą pociąga, złoty jeden rachować można. W browarze przeto, gdzieby 30 korcy kartolli dziennie przerabiano na piwo, trzydzieści złp. niepotrzebnego przyczyniłoby się wydatku.

Inaczej rzecz się ma z cukrowaniem za pomocą słodcu, który chociaż się weźmie w takiéjże jak i mączka wadze, a tém samém więcej niż kwas siarczany będzie kosztować, ale produkt ten, prócz głównego działacza, jakim jest dya-staz, zawiera nadto gotowy cukier i gummę dextrynową, jako téż znaczną ilość mączki, która, wraz z tą jaka się w kartollach znajduje, przeistoczywszy się przy zacierze na cukier i gummę, znacznie gęstość brzezki powiększy, i piwo z niej wyrobione będzie eseneyonalniejsze, bogatsze w al-kohol i lepszego smaku.

Smak ten charakterystyczny piwa, i właściwy napojowi temu aromat, pochodzi w znacznej części od olejku, jaki się w słodzie w czasie wyrastania i suszenia, przez wystawienie go na wyższą temperaturę, w małej ilości tworzy. A to jest nowy dowód, że chcąc z kartolli, takiéj zupełnie jak ze zboża dobroci piwo wyrobić, nie przez kwas siarczany, ale za pomocą słodcu cukrować mączkę należy.

Otrzymując cukier z mączki na użytek browarów za pomocą kwasu siarczanego, nie tylko że nie będzie w syropie dopiero wspomnianych istot, które dobroć piwa podwyższają, ale przeciwnie gips i sole w krédzie znajdujące się, smak napojowi temu mniej więcej nieprzyjemny nadadzą (*).

(*) Gips na jedną część 400 czę. wody do rozpuszczenia się potrzebuje, lecz w roztworach cukrowych w nierównie większej rozpuszcza się ilości. Takież samo jest i wapna zachowanie się: bo woda czysta rozpuszcza go tylko $\frac{1}{1000}$ swój wagi na zimno, a jeszcze mniej na gorąco, syrop zaś połowę swój wagi, to jest $\frac{500}{1000}$ wapna, rozpuścić może.

Nie ma nawet potrzeby wydzielać mączki dla otrzymania z niej piwa, gdyż napój takowy może także być wyrobiony z samych kartofli, po utarciu ich na surowo i trzykrotném oplotkaniu. Poczém zarobiwszy tak utartą miazgę z potrzebną ilością wody stosownej temperatury, dodaje się sól w ilości 12stu garncy na korzec kartofli.

Szczegółowy opis postępowania, jakiego w téj mierze trzymać się należy, jako zanadto obszerny, nie może być przedmiotem pisma niniejszego, które głównie ma na celu wykazanie, iż z kartofli może być piwo dobre, i z właściwym temu napojowi smakiem otrzymane, ale jedynie przy użyciu sodu, nie zaś kwasu siarczanego do cukrowania.

Życzyćby należało, aby zastąpienie części sodu kartoflami, jak najprędzej upowszechniło się po browarach, gdyż ztąd bardzo ważne dla kraju spłynęłyby korzyści: z jednéj bowiem strony piwo tym sposobem wyrobione, przy równéj dobroci, mogłoby być taniej, a tém samém po cenie przystępnej dla niezamożnej klasy mieszkańców sprzedawane, i zajęłoby miejsce wódki; z drugićj zaś utworzyłoby się nowe źródło odbytu na kartofle, przez co uprawa téj rośliny, która tak ważną gra rolę w gospodarstwie płodozmienném, bo spulchnia i przysposabia grunt pod następne zasiewy, pomimo zamknięcia wielu gorzeliń, nie zostałaby ścieśnioną.

W Warszawie dnia 24 lutego 1846 r.

J. Koncewicz.

Pomnożenie się król. biblioteki w Berlinie w r. z.

Do biblioteki królewskiej w Berlinie przybyło w ciągu upłynionego roku 1845, 1) 7377 książek drukowanych (a pomiędzy temi 22 na pergaminie lub na welinie) nie licząc znacznej liczby broszur, 2) 145 rękopisów, 3) 511 dzieł muzycznych, 4) 145 atlasów, mapp, planów i t. p.

Taż biblioteka utrzymywała w ciągu 1844 roku 390, a w ciągu 1845 roku 423 pism peryodycznych, z liczby których wszelkie pisma polityczne peryodyczne i gazety najściślej wyłączone były.

Z liczby 423 pism peryodycznych, pod względem przedmiotu było: 60 teologicznych, 40 prawnych, 1 filozoficzne, 20 pedagogicznych, 9 do filologii i starożytności, 5 dla sztuk pięknych, 7 do matematyki, astronomii i architektury, 7 do nauk wojskowych, 55 do historii naturalnej, 48 do medycyny, 34 do technologii i ekonomii politycznej, 78 do historii, geografii i statystyki, a 59 do krytyki literackiej i muzyki.

Pod względem języków, z liczby 423 tychże pism, było: w języku Niemieckim 299, Francuzkim 55, Angielskim 41, Włoskim 11, Holenderskim 9, Duńskim 3, Szwedzkim 2, Polskim 2 i w Czeskim 1.

W ciągu całego roku wypożyczyła do czytania taż biblioteka przeszło 30 tysięcy tomów.

Journal de l'Instruction publique Nr. 9.

Towarzystwo geograficzne Rossyjskie.

Niedawno zawiązane Towarzystwo geograficzne Rossyjskie, ma za cel zbierać i rozszerzać w Rossyi wiadomości geograficzne, etnograficzne i statystyczne w ogólności, a w szczególności odnoszące się do kraju. Opiewa to pierwszy paragraf tymczasowych ustaw tego towarzystwa, ogłoszonych w języku Francuzkim, a których exemplarz mamy przed sobą. Będzie jeszcze staraniem Towarzystwa upowszechniać w obcych krajach autentyczne wiadomości o Rossyi. Przy niém, jako przy ognisku zgromadzać się mają zewsząd wiadomości ściągające się nadewszystko do Rossyi, lecz także i do krajów obcych pod postacią dzieł tak pisanych jako i drukowanych, kart, przedmiotów etnograficznych, starożytności i t. d. Na ten koniec wejdzie w związku z ilu tylko można osobami rozproszonemi po państwie, a od których może się spodziewać zajmujących udzielen. Towarzystwo będą stanowiły sekcyje czyli wydziały, jakoto wydział geografii powszechniej, wydział geogra-

fii Rossyjskiej, wydział statystyki Rossyjskiej, i wydział etnografii Rossyjskiej. Zatrudnieniem tego ostatniego wydziału, będzie poznawanie dawnego i teraźniejszego stanu narodów składających ludność państwa, a to pod względem fizycznym, moralnym i towarzyskim, jako tóż pod względem języków. Wydziały tymczasowo połączone, mogą się w przyszłości, gdy liczba współpracowników wzrośnie, tak rozdzielić, że każdy będzie się osobno swoim przedmiotem zatrudniał. Posiedzenia Towarzystwa będą się odbywały w Petersburgu. Na posiedzeniach będą czytane lub udzielane ustnie wiadomości, składające sferę działań Towarzystwa. Zresztą, pomienione Towarzystwo, urządza się na sposób innych naukowych; przedsięwzięcie ogłaszać drukiem prace swoich członków, wyznaczać nagrody za rozwiązanie zadań które poda, i t. p. a nawet zamierza w przyszłości wyprawiać swoim kosztem podróże w naukowych widokach. Rząd wyznacza 10,000 rubli sr. rocznie na potrzeby Towarzystwa, a kotyzacya od członka ustanawia się na 10 rubli sr. corocznie lub 100 rubli sr. raz na zawsze. W liście pierwotnych Towarzystwa członków, mieszczą się dostojne imiona tak wojskowego jako i cywilnego stanu osób, niemniej wstawione zasługami w dziedzinie umiejętności i nauk. Dnia $\frac{1}{10}$ października r. z. Towarzystwo geograficzne Rossyjskie uroczysto otworzonem zostało w wielkiej sali konferencyalnej Cesarskiej Akademii umiejętności w Petersburgu.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszytcie Biblioteki Warsz. na miesiąc luty r. b. na stronie 417, znajduje się ciekawy artykuł o urnach i świeżo odkrytych kościach pod miastem Pilicą, literami podawcy X. O. oznaczony. Artykuł pomieniony zdaje się obejmować rzeczy ważne, ale dokładniejszego objaśnienia ze strony podawcy wymagające. I tak mówi on, że *dzierżawca miejsc-*

wy, odkrył pierwotną czarną i tłustą ziemię zwaną humus, i tą użyźnia płonne swoje grunta i t. d. Nie wiadomo więc coto jest pierwotna ziemia zwana humus, bo to co nazywamy ziemią organiczną, ziemią czarną, czarnoziem, a po Łacinie *humus*, tworzy się dziś i to tylko na czas, zatem nie może być pierwotne, to jest zachowane od pierwiastków stworzenia, kiedy w pierwiastkach stworzenia, takiej ziemi nie było jeszcze. Uznawszy tu podawca czarną ziemię za pierwotną, niżej znowu zdaje się ją mieć za *napływową, nagromadzoną przez potopowe wody*. Przypuszczając iż podawca chciał w tych błędnych wyrażeniach zawrzec, że to jest czarna ziemia, zsypana do wielkiej głębi, w której się utrzymuje od bardzo dawnego (starożytnego) czasu, to jeszcze jest wątpliwość czy i ziemia czarna może tak długo leżeć bez ulegnienia rozkładowi. Bacząc na wyrażenie podawcy, że ta ziemia jest *czarna i tłusta*, możnaby wnosić że to jest torf, gdyby znowu nie stawało na przeszkodzie temu mniemaniu, co powiedział wyżej, że skład ziemi odkryty został w *gruncie okolicy górzystej i tuż pod stromą skalą*, zatem w miejscu, w którym trudno wyobrazić sobie położenie torfu. Wszystkie te okoliczności same z siebie dość ciekawe, potrzebują zatem opowiedzenia dokładniejszego. Ze wszystkiego jednak w podaniu pana X. O. najciekawszym jest szczegół, że w głębszej warstwie tej ziemi, znalazło się *mnóstwo ogromnych zębów*. Jakie to zęby? wszak z zęba nie trudno poznać zwierzę do którego on należał. Ogromny ząb należeć musiał do zwierzęcia ogromnego. A że podawca dowodzi niżej iż to zagrzebanie nastąpiło w czasach historycznych, w których zatem nie było mastodonów i mamutów, czyjeżto zatem te ogromne zęby? Czynię te zapytania upoważniony końcem artykułu samego podawcy, ośmielając się zarazem upraszać go przez Bibliotekę Warszawską o nadesłanie choć jednego zęba do jej redakcyi, ażeby nam ogłosiła przez swoje pismo, jakichto zwierząt szczątki pod miastem Pilicą odkryto?

Kielce 18 lutego 1846 r.

M. Z.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

Kometa perydyczna, znana pod nazwiskiem *Biela*, w teraźniejszym powrocie przedstawiła obserwatorom nadzwyczajne zjawisko, przez rozdzielenie się na dwie części i utworzenie dwóch komet oddzielnych. W dniu 28 listopada r. z. postrzeżoną była najprzód w Berlinie, w postaci obłoczku mglistego pojedynczego, który zachował ten sam kształt aż do dnia 20 stycznia r. b., lecz w dniu 27 stycznia r. b. w obserwatoryum Paryżkiem, zamiast jednej postrzeżono dwie komety, oddalone od siebie na 2 minuty w łuku, co wynosi 15 tysięcy mil geogr. (*). Ten rozdział na dwie części, nastąpił między d. 20 a 27 stycznia r. b. Arago otrzymał kilka zawiadomień o tém zjawisku z Marsylii, Berlina i Altony. Odległość utworzonych dwóch komet, nie pozostała jednaką, lecz się zmieniła; od d. 27 stycznia do 12 lutego r. b. odległość ta powiększyła się o 9 tysięcy mil geogr. Uważano nadto, iż dwie komety, z których jedna, południowa czyli dolna, była świetniejsza i okazalsza, przemieniły

(*) Być jednak może, iż druga kometa nowa, zbliżyła się do pierwszej i utworzyła komety podwójną.

swój blask względny. Wszystkie te zmiany dostrzegane w tak wielkich odległościach okazują, że i wśród samych komet zachodzą nadzwyczajne przestoczenia, które trudno jest wytłómaczyć. (*Journal des Débats*, 18 Février 1846).

* *Chmury słoneczne.* Podczas zaćmienia całkowitego słońca, które d. 8 lipca 1842 r. przypadło, postrzeżono szczególne i nieprzewidziane zjawisko, którego wyjaśnienie wielkim trudnościom podlega. W chwili gdy księżyc zakrył zupełnie słońce i utworzył się biały wieniec naokoło ciemnej tarczy księżyca, widziano przy dolnym brzegu księżyca (w lunecie astronomicznej, zatem odwrotnie) kilka wyniosłości świetnych w kolorze różowym, w postaci gór, wyraźnie zakończonych jak szczyty Alp śnieżnych, oświetlonych promieniami wschodzącego słońca. Wyniosłości te nie są to góry księżycowe, ani góry słoneczne, jak niektórzy z początku mniemali; nie mogły też być szczytami w brzegu księżyca przez któreby światło słoneczne przechodziło, ani odbiciem promieni od gór księżyca, ani złamaniem się promieni w atmosferze księżycowej, słowem wszystkie przypuszczenia dla wytłómaczenia tego zjawiska, okazały się niedostatecznymi; jedno tylko które Arago podaje, najlepiej zgadza się z obserwacją, a to nam daje poznać bytność trzeciej warstwy atmosfery słonecznej w postaci chmur ciemnych lub napół przezroczystych, tylko podczas zaćmienia całkowitego widzialnych. Według dzisiejszej teorii zgodnej z obserwacją, słońce składa się najprzód z jądra stałego czyli kuli środkowej, ciemnej tak jak nasza ziemia, powtórę z atmosfery złożonej z dwóch warstw czyli pokładów; pierwszy pokład tworzy ogromną atmosferę obłoczkową w pewnej odległości otaczającą kulę słoneczną, drugą warstwę stanowi właściwa atmosfera świecąca, opasująca zewsząd obłoczkową, tak jak pierwsza otacza jądro ciemne. Oprócz tych jest trzeci pokład, złożony z chmur napół ciemnych albo słabo świecących, położonych powyżej atmosfery świetnej, których bytność obserwacja zaćmienia d. 8 lipca 1842 r. dała nam poznać. Za pomocą tych chmur otaczających słońce, dają się wytłómaczyć owe wyniosłości

czyli światelka czerwone, które w czasie zaćmienia, za brzegiem ciemnym księżyca dały się widzieć. Ze tej trzeciej atmosfery nie widzimy, pochodzi to z blasku słońca, który nam tego nie dozwala, podobnie jak widzenia gwiazd i planet podczas dnia; lecz jak tylko tarcza słońca zakryta zostanie, wtenczas gwiazdy, planety i chmurki ostatniej atmosfery stają się widzialnymi. Dwie pierwsze atmosfery, bliższe środkowej kuli słonecznej, to jest obłoczkowa i świecąca, zostają w ciągłym ruchu, niekiedy się rozdzielają obiedwie, i wtenczas widzimy jądro słońca w postaci plam czarnych. Ze trzecia warstwa, chmurzysta, otacza słońce, to zdają się potwierdzać częste i liczne zmiany postrzegane na jasnej tarczy słońca; widzimy na niej często różne cieniowania, smugi, prążki, miejsca jedne białe inne ciemniejsze, które astronomowie zwykle *fakulami* zowią. Według zdania Arago, te chmury słoneczne, mogą być źródłem wielu zmian i niejednostajności, niekiedy tak uderzających, które w atmosferze naszej dostrzegamy. Odstąpienia bowiem od stanu normalnego i różnice w odmianach atmosfery w niektórych porach i miesiącach zachodzące, w dzisiejszym stanie meteorologii, żadną teorią wytłómaczyć się nie dadzą; chmury słoneczne w ruchu swym wirowym, przybywszy naprzeciwko ziemi, mogą wstrzymać lub zmniejszyć siłę ogrzewającą promieni słonecznych idących do nas, i sprawić przez to zmianę w atmosferze dostrzeganą. Arago podaje nawet sposób, jakby można te chmury słoneczne każdego dnia widzieć. Wiadomo że na wysokich bardzo górach, gdzie powietrze jest znacznie rozrzedzone, błękit nieba jest tak ciemnym, iż na słońce patrzeć a gwiazdy gotem okiem, jak podczas zaćmienia, widzieć można. Przeniosłszy się na tak wysoką górę z lunetą, mającą w ognisku swém krążek ciemny takiej wielkości, iżby mógł zasłonić tarczę słońca, i uważając pilnie brzegi krążka, wtedy dostrzedz będzie można takie same wyniosłości i chmurki świetne naokoło słońca, jakie niekiedy widzimy podczas zaćmienia całkowitego, naokoło ciemnej tarczy księżyca; nadto możnaby oznaczyć czy chmury te są stałe lub zmienne, uważać pe-

ryody ich niknienia i pokazywania się, słowem zebrać wszystkie okoliczności, które z czasem mogłyby wielkie światło rzucić na przedmioty najzawilsze w meteorologii. Ustawienie praktyczne lunety, połączonej z mechanizmem do poruszania nią w kierunku obrotu dziennego ziemi, ułatwiłoby tego rodzaju obserwacje, dotąd przez nikogo jeszcze niewykonywane. (*Annuaire du Bureau des Longitudes, l'an 1846*).

* *Gwiazdy przelatujące.* Żaden z miłośników nauk przyrodzonych nie poświęcił tyle pracy na uważanie gwiazd przelatujących, ile *Coulter-Gravier* we Francji. Niezbyt dawno mniemano, iż są pewne stałe epoki w roku, w których gwiazdy przelatujące zjawiają się nierównie liczniej niż w nocach zwyczajnych, lecz mniemane peryody przelotu gwiazd w sierpniu i listopadzie, zaczynają być wątpliwymi, i możeby wcale ich nie ustalano, gdyby obserwatorowie częściej porównywali liczbę zjawiających się gwiazd każdej nocy. Wspomniany uczony od roku 1841 utrzymywał i prowadził ciągle dziennik swych postrzeżeń; do pomocy przybrał współpracownika *Chartiaux*, który uważał jedną połowę nieba. w czasie gdy on zwracał uwagę na drugą i przytém zapisywał czas zjawiania się gwiazdy i inne okoliczności towarzyszące. Poprzednio inni obserwatorowie, do uważania gwiazd przelatujących, obierali sobie pewne epoki w roku; zaś *Coulter-Gravier* wraz ze swoim pomocnikiem, uważali ciągle niebo każdej nocy, blisko przez lat 4; tylko chmury i niepogoda mogły przerwać ich postrzeżenia, do których zaraz wracali w której bądź godzinie nocy, gdy tylko niebo dozwalało. „Dzienniki moje, mówi on, dały poznać następujące wypadki: Poczynając od miesiąca lipca 1841 r. do lutego 1845 r. uważano 5302 gwiazd przelatujących w 1054 godzinach; obserwacje ułożyłem i uporządkowałem w różne tabelle tak: iż z nich łatwo wyprowadzić wniośki co do częstszego lub rzadszego jawienia się tych meteorów, a to według godzin, miesięcy i lat. W jaki sposób zjawisko następuje pod względem lat, nie mogę jeszcze nie stanowczego wnosić, gdyż obserwacje obejmują nie więcej

nad cztery lata; lecz co się tyczy odmian w godzinach i miesiącach, sędzę iż doszedłem do dwóch praw ogólnych. Jakoż, w każdym miesiącu w półroczu pierwszym, między przesileniem zimowym a przesileniem letnim, średnia liczba gwiazd przelatujących w jednej godzinie jest prawie jednaka; toż samo ma miejsce i dla sześciu innych miesięcy, z tą jednak uderzającą różnicą, że w tych ostatnich średnia liczba gwiazd w jednej godzinie, jest prawie dwa razy większa niż w pierwszych; przejście to jest widoczne i prawie nagłe. Przeciwnie co do zmian godzinowych, zachodzi przejście stopniowe tak, iż od godziny 6 wieczór, w której najmniej gwiazd przelatuje, liczba takowych ciągle wzrasta, aż do godziny 6 z rana, w której najwięcej gwiazd widać." (*Comptes Rendus T. XX, N. 18, z r. 1845*).

J. B.

FIZYKA.

Najważniejszy element w teorii zjawisk ciepłika, przewodnictwo ciał, dotąd oznaczano w następujący sposób: jeden koniec cienkiego jednorodnego walca lub sztaby graniasto-stupowej, przytykano do ciała mającego pewną stałą temperaturę, i obserwowano temperatury sztaby w różnych odstępach od ciała ogrzewającego. Przewyżki obserwowanych temperatur nad temperaturę otaczającego powietrza, winny się zmniejszać w stosunku geometrycznym, gdy odległości od ciała ogrzewającego rosną w stosunku arytmetycznym. Prawo to pierwotnie przez Fourier i Poissona wywiedzione analitycznie, Biot i Despretz usiłowali empirycznie stwierdzić. Wypadki jednak ich doświadczeń niezupełnie odpowiedziały oczekiwaniu; temperatury obserwowane nie zmniejszały się w stosunku geometrycznym.

Despretz w swych poszukiwaniach, użył sztaby pryzmatycznej, mającej w odstępach co 5 linii, małe wyżłobie-

nia napełnione merkuryszem; w te otwory wstawiał termometry przeznaczone do wskazywania temperatur przecięcia sztaby.

Metoda ta wszakże zbyt wielu podlega zarzutom, i nie odpowiada warunkom teorii, dlatego trudno wyrzec, czy różnice otrzymanych z doświadczeń wypadków od teorii, przypisać należy błędnej metodzie doświadczenia, czyli też błędnej teorii.

Ważność wyżej nadmienionego prawa, będącego podstawą całej teorii ciepłika, spowodowała p. Langberg (z Chrystyanii) do urządzenia doświadczeń nowym sposobem, godniejszym zaufania od poprzednio przytoczonego. Wybrał on do tego celu termostos (stos termiczny) najzdolniejszy do wykrycia w ciałach bardzo małej ilości swobodnego ciepłika. Najprzód przekonał się, że zboczenie igły na multiplikatorze pozostawało niezmienném, skoro jeden koniec stosa (o małej liczbie par) przytykanym był z jednostajną siłą do ciała mającego zawsze też samą temperaturę. Stos Langberga, złożony z dwóch tylko sztabek, jednej bizmutu, drugiej antymonu, przyciskany był do sztaby doświadczonej za pomocą sprężyny, a od wpływu promieniującego ciepłika zabezpieczony był przez dwie miedziane przegrody. Sztaby doświadczone, przesunięte przez środek korka, wchodziły w środek naczynia napełnionego gorącą wodą. Langberg doświadczał drótów miedzianych, sztab cynkowych, ołowianych i stalowych; wypadki obserwowane i obliczone według teorii Biota, prowadzą do następujących wniosków: Że prawa Biota, zmniejszania się temperatur w geometrycznym stosunku, wtedy, gdy odległości miejsc obserwowanych rosną w arytmetycznym, w ogólności doświadczenia nie potwierdzają, i jedynie dla bardzo małych różnic w temperaturach obu końców sztaby, to prawo jest rzetelném. Jedną tylko międz ze wszystkich probowanych metalów zachowuje to prawo, nawet przy różnicy temperatur wynoszącej 30° C. Że wyprowadzone wartości na przewodnictwo różnych metalów przez inszych fizyków, jako oparte na prawie Biota, są nieprawdziwe, i zaledwie jako grube przybliżenia uwa-

żanemi być winny. Że używany dotąd sposób mierzenia temperatur za pomocą termometrów, w podobnych pracach jest niedokładny, i że jego miejsce termostos bardzo korzystnie zastąpić może, w poszukiwaniach małych różnic temperatur ciał stałych.

* Ogrzewanie płynów przewodzących elektryczność, zmniejszając ich gęstość z jednej, a zwiększając łatwość rozkładu z drugiej strony, wywiera dwa przeciwne wpływy na ich przewodnictwo, a tém samém i na siłę stosu. Ważném jest pytanie, która z tych dwóch przyczyn przeważa? F. Henrici w zamiarze rozwiązania tej kwestyi, wykonał następane doświadczenie: Zbudował stos z drótu miedzianego i żelaznego; piérwszy zanurzonym był w roztworze koperwasu miedzianego, drugi w wodzie zakwaszonej kwasem siarkowym, oba zaś płyny były przedzielone korkiem, szczelnie w rurkę wchodzącym. Użyte naczynie miało formę rurki w cztery ramiona zgiętej, z tych średnie ramię dość długie, otoczone było blaszaną rurą, ogrzewaną za pomocą lampy spirytusowej.

Ten stos zachowywał siłę bardzo długo niezmienną, i zaledwie po upływie kilku godzin okazywał zmniejszenie jej o $\frac{1}{10}$ stopnia moltiplikatora.

Ogrzewając rurę blaszaną, a tém samém i wodę zakwaszoną, od 17° do 80° R., igła galwanometru z 38° zboczenia, przechodziła na 41° ; po usunięciu zaś lampy, igła po pewnym czasie wróciła na 39° . Zwiększenie siły stosu, po zupełném ostudzeniu płynu, o 1 stopień, zapewne przypisać należy oswobodzeniu płynu od wielkiej ilości bulek powietrza w nim zawartego. Doświadczenie to przekonywa o zwiększeniu przewodnictwa płynów, jakkolwiek matém, w skutek podniesienia się temperatury.

S. P.

CHEMIA.

Postępowanie w celu wykrycia krochmalu kartoflanego w mące pszennej. Podług p. Redwood, czysty krochmal psze-

nicy rozcierany w moździerzyku z wodą przepędną, a ciecz zład powstała następnie precedzona, z roztworem jodu zafarbuje się na żółto lub też na czerwono-żółto. Gdyby zaś w powyższym krochmalu znajdował się i kartoflany, ciecz o której była mowa, przybrałaby kolor ciemno błękitny.

Tym sposobem odkryć można krochmal kartoflany i w pieknej pszenicznej mące. (*Archiv d. Pharmacie v. Wackerroder. December 1845*).

* P. M. R. Warington udzielił towarzystwu chemicznemu Londyńskiemu następującej wiadomości o działaniu węgla zwierzęcego: Z powodu znacznego wywozu piwa jasnego (ale) do Indyj, starał się p. W. odfarbować zwyczajne piwo mocne węglem zwierzęcym, i przez to zamienić jego kolor w bursztynowy, jako do handlu poszukiwany. W pracy niniejszej nie tylko skutek został osiągnięty, ale nadto spostrzeżono, że piwo tak odfarbowane straciło całą gorycz czy to chmielową, czyli też innych zapraw używanych przez piwowarów Londyńskich do fałszowania tego trunku. Wypadek niniejszy naprowadził p. W. na myśl zastosowania tej własności węgla zwierzęcego (z kości) w chemii; pomnąc na dotychczasowe doświadczenia, okazujące iż węgiel ten nie psuje w niczem pierwiastków organicznych alkalicznych, osądzono że powinien tylko odjąć gorycz strychninie, morfinie i innym alkaloidom. Rozumowanie niniejsze poparł autor doświadczeniem z dwiema powyższymi istotami, mianowicie z wyciągiem wroniego oka (kulczyby) i wyciągiem markowym, mieszając je na zimno z węglem. Później robił doświadczenia z korą z *Cinchona cordifolia*, lecz już z odwarrem gorącym i węglem zwyczajnym rafinerskim, wytrawionym kwasem solnym. Powtarzając to na odwarze aloesu, takż sam otrzymał wypadek.

W ciągu powyższej pracy powziął p. W. wiadomość, że pp. Duflos i Hirsch już dawniej zrobili powyższe spostrzeżenie, a odbierając tym sposobem gorycz wielu istotom, jakoto chmielowi, goryczce (*Gentiana*) a nawet aloesowi, osądzili iż węgiel nie działa na gorycz wroniego oka, używanego w Anglii do naśladowania goryczy piwa. W skutku

swych poszukiwań przekonał się na nowo p. W. że przez węgiel z kości nietylko traci swą gorycz octan morfiny, strychnina, ale nawet na zimno wymocz wroniego oka.

Powyższy chemik dziwi się słusznie, że w czasie dzisiejszym, w którym wykonywają tak wielką liczbę rozbiórów organicznych, nie starano się oznaczyć téj własności węgla zwierzęcego, i nie zastosowano jéj właściwie, np. w farmacyi.

Opierając się na rozumowaniu i podobieństwie, p. W. robił doświadczenia z węglem i solami nieorganicznymi, i wykrył że także i tu działanie jest podobne; to jest że węgiel strącił z roztworów znaczną ilość siarkanu magnezji, chloroku barytu, siarkanu sodu, siarkanu wapna, i inne sole. (*L'Institut* 10 Décembre 1845).

* *Spostrzeżenia tyczące się popiołów roślin.* P. Johnston zwraca uwagę na niejednakową ilość popiołów wydawanych nietylko przez rozmaite części roślin, lecz także różne cząstki tychże samych części. Tak np. donosi że popiołów z słomy pszennej bywa od 3 do 18 na sto, a z słomy owsianej od 3 do 10 na sto. Ważniejsza jest jednak ta okoliczność, że ilość popiołów z różnych części słomy nie jest jednakowa. Z słomy pszennej otrzymano ich więcéj jak powyżej podano. Powyższe doświadczenia zasługują na wzgląd, tak pod względem fizyologicznym jak praktycznym. (*Tamże*).

* *O nawozach mineralnych przez p. Liebig, słownie udzielone towarzystwu naukowemu w Cambridge przez p. Diefenbach.* Nasamprzód autor zastanawia się nad różnemi warunkami gruntu, ze względu na położenie geologiczne i geograficzne, a dalej okazuje korzyści z używania mieszanin zastosowanych do powyższych okoliczności. W klimacie np. wilgotnym, należy koniecznie przygotować nawóz solny, w ten sposób, aby pomimo powolnego rozkładu, przed dopełnieniem warunków potrzebnych do roślinności, ten nawóz nie był tyle rozpuszczalny, iżby przez dżdżycę z gruntu został spłókaný i uniesiony. To zamysła zrobić Liebig, a po przekonaniu się o częściach składowych mineralnych

zabranych ziemi, poleca fabrykantowi nawozu zastąpić je także częściami mineralnemi. Z tego się pokazuje, że podług powyższego sposobu widzenia, różnych potrzeba nawozów pod pszenicę, owies, ziemniaki i t. d. a fabrykant przy przyrządzeniu nawozu, ściśle baczyć musi na rodzaj rośliny pod której uprawę tenże ma być przeznaczony.

Z powodu powyższych rolniczych udzielen, oświadczył p. Daubeny, iż okoliczność tycząca się zmieniającego się stosunku części nieorganicznych, nie była mu dotąd znaną, i że byłoby rzeczą ciekawą, czyli oprócz krzemionki podobna różnica zachodzi między innemi cząstkami, gdyż on krzemionkę uważa poprostu jako wydzielenie (*excretion*). Zrobił zarazem uwagę, że rośliny w różnych miejscach zebrane, nie różnią się tak między sobą jak p. Liebig zdaje się przypuszczać. Rozbiórał bowiem (p. D.) rośliny z brzegów morza, i nie znalazł w nich większej ilości sody, jak w roślinach zebranych w środku Anglii; co nawet szczególniejsza, razu jednego wykrył jęj daleko więcej w roślinach ze środka kraju pochodzących. (*Tamże*).

* P. Lassaigne udzielił Akademii umiejętności Paryżkiej, wiadomości o użyciu jodu, w celu rozróżnienia najmniej-szych plam arsenikalnych od antymonialnych, w śledztwach odnoszących się do chemii policyjno-prawnęj. Sposób jego polega na wystawieniu plam arsenikalnych lub antymonialnych, pod działanie małej ilości pary jodowej w temperaturze $+ 12^{\circ}$ do $+ 15^{\circ}$ C. Plamy arsenikalne farbują się na blade-żółto-brunatno, przechodząc w kolor cytrynowy w powietrzu po upływie kilku minut; zafarbowanie to jednak znika przez dłuższe pozostawienie plam w powietrzu, lub ich lekkie ogrzewanie. Plamy antymonialne w tychże samych okolicznościach, farbują się na kolor ciemny żółto-karmelicki, ten zaś w powietrzu zmienia się w pomarańczowy, i nie niknie. Powyższe doświadczenia wykonywają się w temperaturze zwyczajnej w przeciągu 10 do 15 minut, za pośrednictwem przewróconego talérzka porcelanowego, w którym znajdują się plamy zrobione

aparatem Marsha, na miseczkę zawierającą małą ilość jodu suchego w kryształach blaszkowatych. (*Tamże*).

* Na posiedzeniu Akademii umiejętności Paryżkiej w dniu 24 grudnia 1845, czytał p. Baval rozprawę o tytoniu; ważniejsze wyimki z téj pracy, wzięte w treści z pisma *L'Institut* N. 625 z r. 1845, przytaczamy:

Autor zebrał wiele gatunków liści, korzeni, łodyg, i nasion tytoniowych, i to z rozmaitych krajów. Stosunek popiołów w liczbach okrągłych, podaje on 7 na 100 w korzeniach, 10 w łodygach, 22 w żeberkach liściowych, 23 w liściach, a 4 w ziarnach. Najważniejszą w rozbiórce jest ta okoliczność, że korzenie tytoniowe miały ogromną ilość krzemionki, bo przynajmniej 8 razy tyle, co inne części rośliny. Oprócz tego tytuń jest rośliną najwięcej w sobie zawierającą saletrorodu; w nasionach jego znajduje się oleju bezbarwnego 10 na sto. Sok powstający z liści tytoniowych, po ich wytrawieniu z wodą, jest mocno kwaśny; Vauquelin sądził, że to pochodzi od kwasu jabłkowego, p. Baval jednak uznał go za kwas osobny, rozpuszczalny w wodzie, i nazwał go kwasem tytoniowym (*acide nicotique*).

* *Journal de Pharmacie et de Chimie*, Janvier 1846, czyni bardzo ważne spostrzeżenie fizyologiczno-chemiczne, że skoro w organizmie zwierzęcym jednocześnie znajdować się będzie chlorek 1^{szy} merkuryusza (kalomel), i sól kuchenna; może się utworzyć chlorek drugi merkuryusza (sublimat), i ztąd powstać otrucie.

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Mineralogia.

Żelazo meteoryczne z hrabstwa Cocke, w państwie Tennessee. Massa tego żelaza znaleziona w Cocke, leżała na powierzchni ziemi, i ważyła 7 do 8 cotnarów. Układ jej był krysta-

staliczny; prawie szosta jej część składała się z żył i kłębow piryty magnetycznego, oprócz tego zawierała jeszcze w sobie kłęby węgliste, w których rozproszone były ziarna srebrnej białosci, do cyny podobne. Ciężkość gatunkowa tego żelaza, jest = 6,222. Analiza Sheparda podaje skład następujący:

| | |
|---|---------------|
| Zelaza. | 93,80. |
| Niklu. | 4,66. |
| Węgla, krzemionki i fosforu. | 0,10. |
| Siarczanu żelaza, siarki, wody i straty | 1,44. |
| | <hr/> 100,00. |

Znalezioną została również mała ilość chloru; ponieważ jednak żelazo długo w wodzie morskiej lub ziemi leżące zawiera w sobie zawsze chlor, można go więc uważać za przypadkowo znajdujący się w meteorze.

Części węgliste zawierały w sobie:

| | |
|------------------|------------|
| Węgla. | 93,0. |
| Zelaza | 6,0. |
| | <hr/> 99,0 |

* Żelazo meteoryczne z Grasse, które dotąd nie było rozbiérane, jest tém szczególniej zajmujące, że ma skład bardzo pojedynczy. Książę de Luynes znalazł w nim tylko:

| | |
|------------------|--------------|
| Zelaza | 87,73 i |
| Niklu | 17,37 |
| | <hr/> 105,00 |

ze śladami manganu i miedzi. Innych części, jak kobaltu, krzemionki i t. d. zwyczajnie żelazu meteorycznemu towarzyszących, śladu nawet wynaleźć nie można było. (*Annales des Mines IV Sér. Tom. V*).

* W kopalniach Chilijskich Chanarcillo odkrył Domejko chlorobromek srebra, już rozproszony w złożu w bardzo cienkich żyłkach, już też w żyłach 5 do 9 linii grubych. Różni się on od chlorku srebra kolorem zielono-żółtym.

W przecięciu zawiera srebra 0,667 odpowiadającego:

| |
|------------------------|
| 0,630 chlorku srebra i |
| 0,370 bromku srebra |
| <hr/> 1,000. |



Odmiana z cienkich żyłek pochodząca zapewne, zawiera po jednym atomie chlorku i bromku srebra. Chlorobromek jest daleko częstszy aniżeli czysty bromek, który także Domejko w kopalniach Chilijskich odkrył.

Jodek srebra, w niewielkiej tylko ilości w tychże kopalniach co i poprzedzający znaleziony, jest siarczysto-żółtego lub cytrynowego koloru, czasem zielonkawatego; koloru tego nie zmienia, nawet przez znaczny przeciąg czasu na działanie promieni słonecznych wystawiony, przez co różni się od sztucznego jodku. Blask ma wosku, układ blaszkowy; zdaje się nawet posiadać łupliwość, oprócz rys we wszystkich kierunkach go przecinających. Niektóre odłamki przedstawiały kształty romboedryczne. Miększy cokolwiek od chlorku srebra, da się nożem strugać, jest przytém kruchy, gdyż się łatwo daje zproszkować; jest przejrzysty; ciężkość gatunkowa = 5,504. Żelazo, przez tarcie jodku nożem suchym lub wilgotnym, nie redukuje go, ale bardzo łatwo również jak cynk, w wodzie cokolwiek skwaszonej. Kwas saletrowy zgęszczony wrzący rozkłada go, jeszcze łatwiej kwas siarczany. Mocny wrzący kwas solny rozpuszcza go, ale zdaje się bez rozkładu, gdyż jod wcale się wtedy nie wywiązuje. Domejko znalazł w nim 0,6425 srebra. (*Ann. d. M. IV S. T. VI*).

* *Wolfram i kolumbit*. Z poznawania kształtów krystalicznych obu tych minerałów przez Gustawa Rose skutecznego, okazują się tak małe różnice pomiędzy nimi, że ciała te można za izomorficzne uważać. Skład chemiczny nie zdaje się sprzeciwiać temu sposobowi uważania, gdyż oba minerały będąc solami tychże samych zasad, to jest niedokwasu Igo żelaza i manganu, różnią się tylko ich częściami elektroujemnymi; wolfram bowiem zawiera w sobie kwas tunstenowy, kolumbit zaś niedawno przez Henryka Rose odkryty, kwas niobowy. Utwierdzenie więc izomorfii pomiędzy dwoma temi minerałami, jest tym więcej zajmującym, że dowodzi przez to izomorfii kwasu tunstenowego z kwasem niobowym, a tém samym do bliższego poznania go prowadzi. (*Berg. u. Hütt. Zei. 4 J. Nr. 17*).

* *Rozbiór szelitu z Ekaterinenburga.* Ciężkość gatunkowa tego szelitu na kwarcu się znajdujacego, jest = 6,0711. Jest on przezroczysty, bardzo kruchy, koloru żółtego, blasku szklatego. Podług Szubina składa się:

| | |
|------------------|--------|
| z kwasu tunstenu | 48,71 |
| z wapna | 18,88 |
| z magnezyi | 0,65 |
| | <hr/> |
| | 97,94. |

(*Ann. d. M. IV S. T. V.*)

* Apjohn znalazł że pirop (granat czerwony przezroczysty) zawiera 3% itryi. (*Tamże.*)

* Żupa solna w Cardona w Hiszpanii, leży pod samem miastem. Jestto prawdziwa góra z soli, prawie na 500 stóp wysoka. Te składy soli różnią się od innych w Minglanelli tém, że leżą na powierzchni. Stogi soli sterczą z brunatnego gruntu, jakby blok marmuru roztrzaskany prochem. Są one niewyczerpnięte, i stanowią prawdziwe dobrodziejstwo dla nieudolnych właścicieli, którzy bez żadnej pracy, biorą tylko co im przygotowała opatrność. Kolory tych ślizgawic solnych i blask, mocno się zmieniają, stosownie do jasności powietrza. Kiedy słońce świeci, wyglądają wtedy jakby od góry do dołu zwrócone nacieki, i są doskonale przyzmatyczne z czerwonym i błękitnym kolorem tęczy. (*Fror. n. N. 1845 nr. 791 z Murray's Spain.*)

J. Bo.

Zoologia.

Przedsięwzięto założenie wielkiej menażeryi w Algierze, w którejby żywe zwierzęta Afrykańskie utrzymywane i uważane być mogły. Nietylko uczeni Algierscy, lecz także oddziały Akademii umiejętności i Towarzystwo zoologiczne w Paryżu zajmują się tą myślą. (*Fror. n. N. 1846 nr. 794.*)

* Thomson, w swojej *Note-book of a Naturalist*, tak wyraża się w przedmiocie rozmaitości sposobu, jakim zwierzęta miejsce odmieniają: Anatomia odslania nam mechanizm po-

ruszania się zwierząt, lecz ażeby wytłómaczyć dlaczego rozmaite zwierzęta, a nawet gatunki jednego rodzaju, w tak rozmaity sposób miejsce odmieniają, potrzeba na to dalszych postrzeżeń. Przyczyna jest częstokroć utajona, lubo zawsze i niewątpliwie musi się ona wiązać z potrzebami zwierzęcia. U wielu zwierząt sposób poruszania się, widocznie ze sposobem żywienia się w zgodności zostaje. Zające, z krótką szyją a długimi nogami zadniemi, nie mogłyby jeść innym sposobem, tylko zchylając się; a ponieważ one ucieczką jedynie chronią się przed nieprzyjaciółmi, postawa ta przeto tym właściwszą jest dla nich, że w takiej najdogodniej im w ruch się wprowadzić. Poruszenia zwierząt czworonożnych, szczególnie w stawianiu kroków okazują się rozmaitemi. Koń i jelenń zmieniają naprzemian prawą nogę przednią i lewą tylną, z lewą przednią i prawą tylną, gdy przeciwnie bydlę i żerafa człapią, to jest obiedwie nogi po jednej stronie ciała, jednocześnie posuwają. Ta jednakże różnaitość chodu nie ma widocznie nic zależnego ze sposobem żywienia się tych zwierząt. Pies Nowoholandzki ma chód chwiejący się, od chodu innych psów bardzo odmienny, pływa jednakże jak psy inne. Trudnoby było dojść przyczyny tego wyjątku. Słoń jedynym jest zwierzęciem, mogącym na tylne nogi tak przykłękać, że mu kolano zgina się naprzód; lecz przyczyna tego jest jasna; inne bowiem zwierzęta ssące, gdy się chcą położyć, spadają zaraz na przednie kolana, czego słoń dla swęj ciężkości i długich kłów nie mógłby uczynić. Wielbłąd, który się nigdy na bok nie kładzie, lecz tylko sypia z wyciągniętymi pod ciałem nogami, i z opartymi o ziemię pierśiami, opatrzony jest w tych miejscach siedmiu odciskami, to jest, jednym na piersiach, dwoma na każdej z nóg przednich, i jednym na każdej tylnej. Niektórzy inniemali, że te odciski skutkiem są ciężkiej pracy, do której to zwierzę przynaglone bywa; jestto wszakże błąd, bo już je przy urodzeniu ma wielbłąd. (*F. n. N.* 1846 nr. 793).

* Tenże, tamże przytacza kilka ciekawych przykładów zmyślności psa. Tak, na polowaniu w gajach w Surrey, jego ulubiony chart, na wierzchołku najwyższego pagórka, jaki

mógł wynaleźć, zasadził się z podniesionemi w górę uszami i z palającemi żądzą oczami, śledząc w ten sposób zające pomiędzy gajem a wrzosami; ten zatem pies takie położenie wybrał, w jakim mógł najdzielniejszy użytek z oczu swoich uczynić.—Miał także nader zmyślnego wyżyła, któremu jednego razu kazał aportować z morza kawałek drzewa, uwiązany dla pływania nad kotwicą pewnego statku. Długo pies nadaremnie kąsał drzewo, ponurzył się wreszcie dla przegryzienia sznurka, na którym uwiązane było, przyczém tyle zaciętości okazał, że p. Thompson, którego głos zatłumiał szelest bałwanów, zmuszony był popłynąć łódką do miejsca, gdyż inaczej byłby mu pies nieochybnie utonął. (*Ib.* nr. 794).

* Odkrycie kangura w Nowej Gwinei, zdaje się na szczególną zasługiwać uwagę, ponieważ dotąd utrzymywano, że kangury tylko w Australii się znajdują. (*Ib.* nr. 796).

* Thompson, w wyżej przytoczonym dziele, następującą podaje wiadomość o wędrówkach niemego łabędzia (*Anas olor*). Niżeli pękną lody na Finnickiej odnodze, przylatują tam wielkimi stadami łabędzie, i czekają nad brzegiem zupełnego stopnienia lodu; widać je wtedy krociami pożywienia szukające. Są one lekkawe, i bardzo trudno zbliżyć się do nich: raz jednakże udało mi się prawie w środek pomiędzy nie przybyć. Znajdowałem się na odnodze w połowie maja, wybrany z przyjacielem na kaczki, w statku wyrządzonym podług sposobu półkownika Hawker, to jest opatrzonym obracającą się strzelbą, gdy wtém usłyszeliśmy zdaleka wrzask łabędzi. Zbliżyliśmy się ku nim z ostrożnością i wnet postrzegliśmy stado, najmniej ze 150 sztuk złożone; a lubośmy pokładli się w łódce i zostawili ją prawie sobie samą, łabędzie jednak widocznie nas czuły: że zaś nie było stanowiska do nabijania, musieliśmy podstąpić bardzo blisko ptaków, ażeby skutecznie do nich wystrzelić. Zerwały się nakoniec, a gdym wystrzelił, słyszałem wyraźnie obicie się śrótu o nie, żaden jednak nie upadł. Pysznyto był widok ulatujących, i przez ciąg wielu kroków skrzydłami wodę smagających. Koła 20stu statków parowych mniej-

by hałas zrzędały. Skoro się ociepli, łabędzie posuwają się dalej na północ, i tam się gnieźdzą. (*Ib. nr. 795*).

* W *Literary Gazette* z 29 listop. z. r. znajduje się wyjęta z *Melbourne Courier*, lecz potrzebująca sprawdzenia, wiadomość o olbrzymim płazie w Australii, przez krajowców *bunyip* zwanym. Zwierzę to ma, jak żaba, w wodzie pływać, lecz także i po lądzie na tylnych nogach ze szponami, w prostej postawie chodzić, być w tój postawie na 12 do 13 stóp wysokości i zabijać zdobycz ściskaniem jój szponami. Ma przytém nieść jaja wielkości kazuarowycb! (*F. n. N. 1846, nr. 793*).

* *Justin Goudot. Nowy gatunek gza (Cuterebra noxialis)*. Ten dwuskrzydły owad, czyli raczej gąsienicę jego, mieszkający Nowój Grenady znają pod imieniem *gusano* albo *nuche*. Nie znajduje się on na pastewnikach okolic górzystych, a na niskich i ciepłych pokazuje się tylko w sąsiedztwie lasów wielkich i na *rastrojos*, tojest na łąkach które w części zaroślami są pokryte.

W miejscach takich niezmiernie się pomieniony owad rozmnaża, zwłaszcza gdy pora dżdżu tak się przedłuży, że osychanie łąk wstrzyma. Dlatego pastwiska takie uważają się za niezdatne dla rogacizny; a trzoda na nie wypędzona, woli większą część dnia przebyć na piaszczystych i najniższych miejscach, aniżeli paść się w cieniu na łąkach, gdzie ten jój nieprzyjaciel przemieszkuje. Niekiedy kłócia gąsienic do szalonego ją skłaniają rozbiegu, co zwłaszcza po południu widywałem. Niekórych lat tyle gąsienic tych bywa, że ich sta na jednóm bydłęciu naliczyć można. Okrywają bydłęciu okolice łopatek, zrzędzając pod skórą guzy, z których licznemi otworami ropa wypływa. Otwory te, gdy gąsienice niemi powychodzą, służą nieraz innym muchom za miejsca na zniesienie jaj, z czego powstają niebezpieczne rany, zawsze do zagojenia trudne. Można te gąsienice gżów znaleźć i na głowie, na bokach, przy ogonie, wzdłuż grzbietu; ale najulubieńszém ich siedliskiem są zawsze łopatki, jako miejsce w którém się zwierzę najmiej z nich rogami i ogonem oswobodzić może. W krajach

w których licznie się znajdują, skóra zabitego bydłęcia jest jak przetak podziurawiona, tak iż mógłby kto sądzić, że ją wystrzał śrótem przeniknął. Skóry tak poprzebijane, mniejszej są bez wątpienia wartości niż inne.

Gież ten z równą natarczywością i psy napada; nie mogłem wszakże dostać owadu dojrzałego z tych gąsienic które się na psach znajdują; lecz są zupełnie takie jak na bydłe, i wcale nie wątpię, że jedne i drugie do tegoż należą gatunku. Przekonanie moje, którego pewnie wielu naturalistów nie podzielią, ta okoliczność wspiera, że psy, na tychże co i bydło miejscach, gąsienicami oblegane bywają. W prowincyi Cauca, warzelnia soli którąm się zajmował, otoczona była tłustemi pastewnikami, wybornemi dla mułów i koni, lecz żadnego na nie bydłęcia nie przypędzano, ponieważ się tam bardzo licznie gzy znajdowały; owoż wszystkie tam psy w najstraszliwszy sposób gąsienicami temi uciemieżone były. Coś podobnego nawet człowieka napastuje w tych miejscach; czego sam na sobie doświadczyłem, kiedy raz wszystkie nieokryte części ciała obległy mi gąsienice nakształt tych, które się na psach i bydłętach znajdują. Dozwoiliłem jednej około 14 dni w udzie moim pobyc, uważając że z rana między 5 a 6 godziną i ku wieczorowi, najdolegliwiej ssala, i takie zrządała uczucie, jak zakłócie skóry igłą.

Mimo wszelkiej uwagi, nie widziałem nigdy ażeby latał jaki owad, któryby jaja swoje na obnażone części mojego ciała składał; a gdym powiedział wyżej, że bydłę niebezpiecznego dla siebie pastwiska unika, nie rozumiałem przez to, ażeby ten dwuskrzydły owad większą mu niż inny dolegliwość sprawiał. Komary, baki, ślepaki są niezawodnie przykrzejszemi dla niego, i zdaje się w tym przypadku raczej za gatunkiem zmyślności działać.

Zresztą na żadnym inném, tak krajowém jako i z Europy sprowadzoném zwierzęciu domowém, nie znalazłem tego gza; zdaje mi się wszakże, że wchodzi na lisy i małe gatunki kottów, które ze wszystkich tamecznych zwierząt ssących najczęściej zatrzymują się w miejscach przez te owady zajmo-

wanych. Wyjaśnienie tego przedmiotu, czasowi zostawić musimy: to jednak i chwilowej uniknąć nie może uwagi, że gdy pasorzytne dwuskrzydłego owada gąsienice, z pewnością nie znajdują się licznie na przeznaczonych sobie od natury krajowych zwierzętach, tymczasem na dwóch wprowadzonych, a tak między sobą dalekich, okazują się w mnogości przerażającej, i prawie wyłącznie im właściwymi się stały (1).

Tylko największa troskliwość tamę położyć może rozmnożaniu się tego owada, lecz i ta byłaby daremną miłą, gdyż tameczne bydło jest wół dziki. Może ona być skuteczną jedynie względem psów i cieląt, ostatnie bowiem chwytają się i wychowują w bliskości mieszkań ludzkich.

(1) W tym miejscu czyjś uwagę autor, że chociaż jego *Cuterebra* w stanie gąsienicy ma sposób życia zupełnie ten sam co *Hypoderma bovis*, to jest gęz zwyczajny, owady te jednak nie są wcale temi samymi, bo gąsienica *Cuterebry* ma dwa haki przy pyszczku, czego niedostaje gąsienicy gza, i obydwa w stanie dojrzałym (much) znacznie się od siebie różnią.

Na dowód że owady miejscowe mogą osiadać w zwierzęta z obcych stron przybyłe, przytacza iż wnikwa (*Pulex penetrans*), która pierwiastkowo wyłącznie pewnie na człowieku Amerykańskim przebywała, dziś znajduje się niekiedy pomiędzy palcami psów, a szczególnie licznie pomiędzy racicami świni, któreto zwierzę rzeczywiście przyczynia się teraz do rozmnożenia tego robactwa.

Uważa także p. Macquart, że *Cephencmyia trompe*, której gąsienica w Laponii w zatoce czotowej renifera żyje, znajduje się także w Saxonii gdzie reniferów nie ma, i że się ta sama i w innych czworonożnych zwierzętach (może np. w jeleniu), wylega.

Przytoczyłem (mówi dalej) te postrzeżenia, ponieważ one zbijają powszechne mniemanie jakoby każdy pasorzyt był jednemu tylko gatunkowi zwierzęcia właściwy. A jeżeli koń i muł nie cierpią ze strony gąsienicy rodz. *Cuterebra*, to pochodzić może złąd, że skóra tych zwierząt jest za mocna, ażeby młode gąsienice przegryźć się mogły przez nią.

Froriep dodał jeszcze do powyższego: o czém wielu wędrowników zapewnia, że gdy Moskity, które roją się nad rzekami w Ameryce, nader chciwie rzucają się na człowieka przypadkowo tylko zabodzącego w te strony, tymczasem zwyczajne tych miejscowości mieszkańce, długo-włose małpy i pancierzem uzbrojone kajmany, bezpieczne są przed niemi.

Dla uwolnienia zwierzęcia od gąsienic, obala się je na ziemię i naciska właściwym sposobem skórę, podczas czego albo się one całkiem na wierzch wyciskają, albo też rozniciają pod skórą i mieszają się z ropą. Wkrótce w tę ropę niosą się inne much gatunki, i sprawiają często nader jątrzące się wrzody. Nierzadko jednym otworem 3—5 gąsienic wychodzi.

Po skończeniu operacyi, skaleczone części omywają się wodą słoną, ażeby skłonić zwierzę do lizania ich i zebrania tym sposobem jaj, które muchy ustawicznie niosą. Omywanie to musi być przynajmniej dwa razy co dzień powtórzone, a nieraz i mimo tego, na zwierzęciu rano oczyszczonem, wieczór już znajduje się niezliczona moc robaków, które tylko wlaniem w otwory wyciągu tabacznego albo wysypaniem proszku z owocu rośliny *Asagrea officinalis* Lindley, pozabijać można (2).

Jeżeli w Europie muchy dokuczają podczas upałów, to w gorącej strefie Ameryki, a mianowicie w nizinach, są one nieustającą plagą. W najmniejszej ranie zjawia się zaraz mnóstwo jaj, które w kilka godzin są już gąsienicami, a te, jeśli natychmiast nie zapobieżono, zamieniają ranę w niebezpieczny, często nieuleczony gatunek wrzoda. Nie sposób przed klęską tego rodzaju ocalić każde bydło z licznój trzody, wypędzonej na obszerny pastewnik, przerywany zarosłami. Jeśli w pierwszych dwóch dniach nie dostrzeżono ocielenia krowy, cielę zdycha częstokroć z przyczyny rany, którą mu gąsienice much (*Lucilia*, *Calliphora* i t. d.) zadały, zalągłszy się w sznurku pępkowym. Nierzadko ludzie nawet cierpią od tych owadów; widziałem nieraz osoby, które posypywały sobie proszkiem rośliny *Asagrea* rany, w które się gąsienice much wdały.

(2) Nawet i te gąsienice, wdawszy się w ranę, zrzadzają co chwila nagle zakłócia, i wtedy najlepiej dozwolić im przez kilka dni rosnąć; większe bowiem łatwiej się wyciągnąć dadzą. Kto by je chciał zawczasem wyciągnąć, dalekoby dłużej nosił je w sobie, bo jeśli przy pierwszym naciśnięciu nie wyjdą, powstaje nabrzmiatość, a w tej gąsienica ma daleko wygodniejsze i pewniejsze siedlisko.

P. Izidor Geoffroy Saint-Hilaire, w skutok trzech podań, przez pp. Roulin, Guérin i Vallot uczynionych Akademii, ogłosił w Rocznikach Towarzystwa entomologicznego Francuzkiego z r. 1833 artykuł, w którym się powołuje na przypadki znajdowania gąsienic owadów muchowatych w człowieku; wszakże, jak ten uczony uważa, nie byłoby zdarzenia postrzegane z taką dokładnością, ażeby z nich coś stanowczego wyprowadzić można; nigdy bowiem nie przyszło do otrzymania dojrzałego owadu, a czego dowiedziano się w tej mierze, w ogólności mało pewnym było.

Inaczej się ma z niektórymi innymi zdarzeniami, i trzeba uznać że postrzeżenia pp^{ów} Say, Howship i Roulin, są dokładne, jednozgodne, i okazują iż jest gąsienica pod skórą człowieka żyjąca, a która z zewnątrz pod nią wgryzać się musi. Ani wątpię, że gąsienica przez dra Roulin opisaną, należy do owadu, który jest mojej pracy przedmiotem.

P. Roulin podaje Akademii bardzo dokładną wiadomość o sposobie życia gąsienic, które w człowieku i czworonożnych zwierzętach postrzegał. Czyni nadto uwagę, że ją znalazł w młodym jaguarze, z czego się okazuje, że bywa także i w mięsożernych zwierzętach, chociaż długo sądzono, że się tylko w roślinożernych znajduje.

Przytoczywszy p. Roulin entomologów, którzy przypuszczają istnienie gąsienic gza w człowieku, i namieniwszy o wątpliwościach jakie jeszcze w tym względzie usunąć wypada, wchodzi na zapytanie, czy czasem kilku gatunków gąsienicom nie podlega człowiek? Sądzi, że tak jest w samej rzeczy, a postrzeżenia moje każą mi to zdanie jego za ugruntowane uznać; zresztą nie mogę zgodzić się z nim na to, ażeby gąsienice o których mówi ojciec Simon, w swojej Historii południowo-Amerykańskich zdobyczy, były to same, które opisuje p. Guérin. Gąsienice te należée muszą do kilku rodzajów; piórsza do owadu gzwatego, ostatnia do musznego (*muscide*).

Powiemy nakoniec słówko o owadzie, który p. Guérin przyłącza do dwóch gatunków gza (do wspomnianego przez Gmelina, i do innego o którym namienia Rudolphi), jakie

niedawno na człowieku znaleźć miano, a który on z góry *Oestrus humanus* nazywa, nader nietrafnie, ponieważ to nazwisko i do dwóch innych gatunków równem prawem stosować się może. Owad ten, który według podania, wylęgnąć się ma z gąsienicy gza, nie mógłby do rodziny gzowatych należeć (3). Zresztą familia ta, jak się z powyższego okazuje, żyje pasorzytnie tylko na zwierzętach czworonoznych, a na człowieku przypadkowo się jedynie zdarza.

Mniemam, że z tego co inni dotąd postrzegali i co ja uważałem, następujące okoliczności za dowiedzione uważać można. 1. Rozmaite gatunki much, których gąsienice żywią się pasorzytnie mięsem, i należą do rodzajów *Lucilia* i *Calliphora* Macquart, w stanie gąsienic żyją po większej części w mięsie nieżywych zwierząt; ale mogą, jeżeli je rany lub wrzody zwabiają, nieść jaja i na żywych ludzi lub na żywe zwierzęta, tak że i na nich powstają gąsienice i w dojrzałe zamieniają się owady. Różne przypadki od historyków i podróżopisarzy przywiedzione, ściągają się niewątpliwie do gatunków ze dwóch wyżej przytoczonych rodzajów, mniemanie, które już gruntowny entomolog Latreille oznajmił.

2. Trzy *Oestri humani*, które ustanowili pp. Gmelin, Rudolphi i Guérin, jeden po drugim ale wszyscy podług nader niedokładnych postrzeżeń, uważać należy za gatunki wyobraźnią utworzone, o ile przynajmniej gatunkowa ich nazwa do tego prowadzi, że człowiek w familii gzowatych ma właściwe sobie pasorzytne zwierzę. Trzeba je wszakże albo do gzowatych, albo do dwóch wyżej wspomnianych rodzajów much należącemi uznać.

(3) Zważywszy iż gąsienice, o których p. Guérin mówi, miały się znaleźć w wielkiem mnóstwie na Murzynie podczas gdy nań wyrzucita ospa, wypadaloby raczej mniemać, że należą do jakiego gatunku muchy, albo do owadu który na zakrwawioną lub na gnijącą zwierzęcą materją jaja znosi. Z całego zresztą postrzeżenia tego nie można osądzić z pewnością jaki to był owad; potrzeba na to nierównie więcej stanowiących wypadków, a bez tych ginie się w labiryncie domysłów.

3. Robaki, o których wspominają rozmaici historycy i podróżopisarze, jakoto: brat Pedro-Simon (4), który je zle *gusanos* (robakami) nazywa; La Condamine, który im daje nazwisko *Macaques*, używane przez krajowców w Kajennie, i *Suglacuru* używane przez Indyan Maynas; (5) lekarz Arthur, który je również *Macaques* nazywa, jako też i pp^{wie} Say, Howship i Roulin, sąto gąsienice z rodzaju *Cuterebra* i należą zapewne do gatunku uważanego przeze mnie.

4. Na człowieku, skutkiem szczególnych okoliczności, powstać i rozwinąć się mogą zarówno gąsienice rodz. *Lucilia* i *Calliphora*, jak i gąsienice rodz. *Cuterebra*: pierwsze w skutek ran na skórze w które te muchy jaja składają; ostatnie w skutek przegryzienia skóry przez gąsienice gdy owad jaja na nią złożył, jak to postrzegał Réaumur we względzie za *Hypoderma bovis*.

5. Tenże sam gatunek rodz. *Cuterebra*, zdarzyć się może na zwierzętach różnego gatunku.

Zresztą nie sądzę bynajmniej, ażeby się nie miały na człowieku znaleźć żadne inne gąsienice prócz należących do trzech rodzajów muchowatych, wyżej wspomnianych. Małośmy jeszcze poznali entomologią krajów obcych i historią opierającą się na jój poznaniu, ażeby podobne pyta-

(4) *Noticias historiales de la Conquista de Tierra firme*. T. II, p. 108, nader szacowny rękopis, należący do biblioteki dra Rouliu, który mi go pożyczyć był łaskaw. Autor ten mówi o pomienionych robakach, jako o krajowej klęsce, która nader dokuczliwym pierwszym zdobywcem Hiszpańskim na sawannach i w lasach nad rzeką Magdaleny, jako też i tym, którzy później w r. 1509, z Adelantadonem Xymenezem de Quesado, dla znalezienia kraju złota, równinami na wschód od Andów poszli.

(5) „Robak, który Majnascy Indyanie *Suglacuru*, a Kajeńscy *Macaque* nazywają, rośnie w mięsie zwierząt i człowieka do wielkości bobu i sprawia nieznośne boleści. Jest on dosyć rzadki. Jedyny exemplarz jego, który mi się nadarzył, w Kajennie wyrysowałem i w spirytusie go zachowałem. Mówią, że powstaje w ranie zadanej ukłóciem Moskita czyli gatunku komara; ale dotąd nieznanne jest zwierzę jaje w to miejsce niosące”. *Relation abrégée d'un voyage fait dans l'Amérique méridionale*, p. 166.

nie teraz już rozwiązać się dało. Chciałem tu tylko ukazać wypadki, do jakich dojść możemy za pomocą bezstronnego rozważania dotąd ogłoszonych, zaprzeczeniu nieuległych zdarzeń.

Cuterebra noxialis Goudot. C. abdomine cyaneo, basi pilis albidis.

Dług. 1 cent. 7 milim. (7 — 8 linij Franc.). Różki żółte, pierwszy ich staw opatrzony wiązką krótkich, czarnych włosów, trzeci przynajmniej tak długi jak dwa inne razem wzięte; szczecinka (*stylus*) brunatnawa, u góry tylko rzęsa-
mi osadzona; oczy brunatne, z czarniawym pasem na środku; czoło wystające, tępe, brunatne, czarniawymi okryte włosami; twarz i wklęsłość czoła płowa, osadzona drobnymi puchowatymi włoskami, które tym częściom jedwabisty połysk nadają; tułów brunatny, niebieskawo marmoryzowany, z idącymi wzdłuż liniami popielatych i czarnych kropek, i okryty bardzo krótkimi czarnymi włoskami; piersi jak tułów; odwłok groszkowaty, pięknie błękitny, pokryty bardzo krótkimi czarnymi włoskami; pierwszy pierścień, równie jak i przedni brzeg drugiego brudno-biały, okryty włoskami tegoż koloru; nogi płowe z płowymi włoskami; skrzydła brunatne; samiec.

Brudno-biała gąsienica dochodzi długości prawie 3 cent. (1 cala); jest naga, a pierwsze trzy pierścienie jej osadzone są czarnymi chropowatościami i nader małymi haczykami; trzy następne mają znowu dwa koliste rzędy większych, również czarnych, w tył podanych haczyków. Pięć ostatnich działów są gładkie; u pyszczka styrczą dwa haki.

Poczwarka ma 1 cent. 7 milim. długości, a 4 milim. średnicy na środku. Rozumić się, że zachowuje na twardej skórze dopiero wspomniane haki. Owad wylazi z niej odłamując przedni koniec ukośnie, jak to i zwyczajny giez wołowy czyni.

Znalazłem z rana kilka tych gąsienic na ziemi, w miejscu, na którym odbyły nocleg obarczone niemi krowy. Wkopują się one w piasek. Ta, z której otrzymałem wyżej opisany owad dwuskrzydły, znalezioną była w środku czerwca,

a owad dojrzały wyszedł z niej 4 sierpnia. Stało się to w okręgu górniczym Marmato, którego roczna średnia temperatura wynosi, podług Boussingault, 20, 4^o C.

Mieszka w Nowej Grenadzie.

Uwaga. Ten gatunek nader jest blizki opisanego przez Macquarta (Diptères exotiques. T. II, p. 22) pod nazwiskiem *Cuterebra cyaniventris*; różni się jednak od niego odwołaniem drobnymi, czarnymi włoskami okrytym, i że pierwszy jego pierścień ma białawą kosmatość. Co do reszty, opisanie Macquarta dosyćby przypadało i do naszego gatunku. (*Ib.* nr. 773, z *Annales des sciences naturelles*, Avril 1845, dołączone wizerunki).

* W gipsowych pokładach przy Aix, we Francyi, znadowano oddawna wyciski na marglu rozmaitych skamieniałości, częstokroć w zadziwiający sposób wyraźne. Jednym z najciekawszych jest wycisk motyla dziennego, wprawdzie tylko strona prawa (skrzydło przednie i tylne, a jedynie ślad tułowiu i odwołka), ale tak wyraźna że wydaje się na minerał, jakby litografia. Dochowały się nawet kolory. P. Coquand, właściciel tego okazu, przed opisaniem oddał go panu Boisduval do oznaczenia gatunku. P. Boisduval, nizeli okaz zobaczył, wierzyć nie chciał ażeby się w tej formacji dzienny motyl znalazł; tymczasem z całą pewnością rozeznał rodzaj *Cyllo*, ubogi w gatunki, żyjący tylko na wyspach archipelagu Indyjskiego i w najgorętszych krajach stałego lądu Azji. Gatunek kopalny, któremu p. Coquand nazwisko *sepulta* nadał, różni się od znanych żyjących, a przystępuje najbliżej do *Rohria* i *Camnus*. P. Coquand ma inny ciekawy z tychże kopalni okaz, z wyciskiem żaby, której nazwisko *Rana aquensis* nadaje. (*Ib.* 1846, nr. 795.)

* *Nowe odkrycia w organizacyi zwierząt miękkliwych.* Jeszcze Cuvier w swojej rozprawie o ożadzie (*Aplysia*) (*) naucza „że u tego ślimaka kanały prowadzące krew wenalną do skrzeli, nie mają żadnych innych ścian nad sąsiednie pa-

(*) *Mémoires pour servir à l'histoire et à l'anatomie des Mollusques*, Paris, 1817, i *Annales du Muséum*, T. II.

sma mięśni, i że znajdujące się pomiędzy temi pasmami przestrzenie, tworzą prosty związek pomiędzy węskawami albo skrzelowcami arteryami (bo można im zarówno to jak i tamto dać nazwisko) a jamą odwłokową; że nawet te znacznej objętości naczynia wychodzą przedniemi końcami do ogólnej jamy ciała, i że ciecze w nich zawarte, bez przeskody dostają się w system krążenia, i odwrotnie.

Związek ten, mówi Cuvier, tak mało zgadza się z tém co u kręgowych zwierząt znajdujemy, że długo mu wierzyć nie śmiałem, a nawet zawiadomiwszy o nim przed kilku laty Instytut, lękałem się dla całej publiczności drukiem go ogłaszać. Wszakże mogąc się odwołać do świadectwa oczu moich, i przekonawszy się na niezliczonej liczbie ośad o prawdziwości czynu, nie ociągam się dłużej z dopełnieniem tego. Pewną więc jest rzecz:

1^{da} że krew nie żadnem inném naczyniem do skrzeli dochodzi, tylko temi dwoma wielkimi, przez mięski przechodzącemi i od nich bezpośrednio ograniczonymi kanałami;

2^{ro} że wszystkie weny ciała pośrednio lub bezpośrednio do tych wielkich kanałów wychodzą.

Gdy więc związek ich z jamą odwłokową jest oczywisty i dotykalny, jasna zatem rzecz, że, czyto one są węskawom, czy arteryom skrzelowym, czy komórkom serca odpowiedniemi wydrążeniami (gdyż oczywiście tych trojga organów funkcye wypełniają), znajdujące się w jamie odwłokowej ciecze, bezpośrednio z masą krwi się mieszają i do skrzeli dostawać się mogą, i że weny sprawują zarazem obowiązek naczyń wysysających.

Ten nadzwyczajny, wolny związek tworzy bez zaprzeczenia przejście do innego, mniej jeszcze ograniczonego, który postrzegamy u owadów, a u których nawet szczególnych naczyń dla ożywiającej cieczy nie widać."

P. Milne-Edwards zastanowiwszy się nad tém podaniem Kiuwiera, zważywszy oraz że Owen i Valenciennes znaleźli u łodzika (*Nautilus*) znaczną liczbę wielkich ujść, z węskawy prosto w odwłokową jamę wiodących, tudzież że Delle Chiaje u ośmiornic (*Octopus*), u przegrzebków (*Pecten*) i wie-

lu innych miękliwych zwierząt podobnoż rozporządzenie systematu cyrkulacyjnego okazał, postanowił badać czy odrębność ta nie jest powszechném prawidłem dla wszystkich miękliwych zwierząt. Badaniom tym poświęcił się nade wszystko w czasie swojego pobytu na brzegach Sycylii.

Kiuwier w swoim Królestwie zwierzęcem (*Le règne animal*), Meckel w swojej Anatomii porównawczej, Blainville na wielu miejscach swoich pism o zwierzętach miękliwych, wyrażają: że u wszystkich miękliwych zwierząt, przyrząd krążenia jest zupełny. P. Milne-Edwards wyznaje, że i sam temu powszechnie rozszerzonemu błędowi hołdował, lecz mniema że teraz dowiódł:

1^o iż przyrząd krążenia u żadnego miękliwego zwierzęcia nie jest zupełny;

2^{re} iż w mniejszej lub większej części okręgu cyrkulacyjnego, zawsze wen brakuje, i że je zastępują szpary czyli wielkie jamy ciała;

3^{cie} iż bardzo często wen wcale nie ma, a w takim razie krew przez arterye do wszystkich części ciała zaniesiona, tylko dopiero wspomnianemi szparami wraca się do powierzchni organów oddychalnych.

Dla poparcia tych twierdzeń, p. Milne-Edwards wtryskiwał mléko, roztwór galarety zafarbowany mocno chromianem ołowiu, roztwór farby Berlińskiej i t. p. w jamę odwłokową zwyczajnego ogrodowego ślimaka, wielkiego ślimaka morskiego (*Triton*), i t. d. i przekonał się, że każda ciecz taka pomieszawszy się z przybywającą tamże od różnych części ciała krwią wenalną, wchodzi do wen płucnych i nareszcie dostaje się do serca, które ją, za każdym ściśnieniem się komórki, w arteryo wpędza.

Pisma ogłosiły teraz list Owena do p. Milne-Edwards, zakończony wyrażeniem: „Odkrycie to poczytuję za najważniejsze ze wszystkich, jakie w naszych czasach we względzie organizacyi zwierząt miękliwych uczyniono.”

Ale przedmiotem rzeczzonego listu Owena, jest opisanie przyrządu krążenia u zwierząt miękliwych, z gromady ramionoplawów (*Brachiopoda*), a w szczególności dwóch ro-

dzajów: wiesionek (*Lingula*) i przewiertek (*Terebratula*) (1). Obudwu anatomia objaśniona jest dodaniem wizerunkami, i popiera prawdopodobieństwo, że odkrycie p. Milne-Edwards ściąga się do wszystkich bez wyjątku zwierząt miękkliwych.

Należy się wdzięczność Owenowi nietylko że zbadał i wyjaśnił w ważnych szczegółach budowę wewnętrzną przewiertek (*Terebratula*), wyobrażających jeden z najdawniejszych zoologicznych typów stworzenia, ale nadto, że zapobiegł tém samém iżby kto z zoologów nie przypisał téj gromadzie wyższego między zwierzętami miękkliwemi szczebla organizacyi, uwiedziony tém, że ramionoplawy dwa serca mają. Jużto i dawniej bowiem Owen okazał (2), że rozdzielone serca u wiesionek i przewiertek powtarzają tylko tę samą czynność na obudwu stronach ciała, nie zaś, jak dwie komórki i uszka u zwierząt ssących, wypełniają funkcyę oddzielne, które przeciwstronnie uzupełniają a wspólnie tworzą jedną, złożoną funkcyę. (*Fror. n. N. 1845, nr. 732 i 1846 nr. 793*).

Kiedy p. Milne-Edwards okazał, że system wenalny u zwierząt miękkliwych przedstawia szpary, naturalista Belgijski Van Beneden rzucił zarazem światło na przyczynę, dla której ta odłomność w budowie wewnętrznej zwierząt niższej organizacyi zachodzi. Jeszcze w r. 1835 zajmując się on rozpoznawaniem budowy różnych morskich zwierząt, doszedł i oznajmił, że prawie u wszystkich niekręgowych dostaje się do środka organizmu woda; że w nich, nie jak w zwierzętach organizacyi wyższej, osobna, szczególnemi fizycznemi i chemicznemi cechami uposażona ciecz, pierwiastki żywienia i oddychania po organizmie roznosi, lecz krąży w naczyniach mieszanina krwi i wody, albo też wody saméj, która dochodzi z zewnątrz, i zamiast krwi wprost na tkankę działa; że jedném słowem u tych zwierząt jest

(1) Badania czynił na gatunkach *Terebratula flavescens* i *Lingula anatina*.

(2) *Lectures on Invertebrata*, 8vo London 1843, p. 365.

albo krążenie krwi, albo krążenie płynu w połowie ze krwi a w połowie z wody złożonego, albo naostatek krążenie samej wody. Tym sposobem Van Beneden pogodził i to zarazem, co już Delle Chiaje, w skutek zastanowienia się nad organizacją ożad (*Aplysia*), pod nazwiskiem *wodonośnego systematu* wyraził. Van Beneden mówi: „U ożad system wen i system wodonośny Delle Chiajego, ztapiają się z sobą.” W wenie skrzelowej i we wszystkich jamach ożady, Van Beneden znajdował samą wodę morską. Przytacza jeszcze swój wykład krążenia w rodzajach *Aeolidia*, *Limax*, *Doris*, *Teredo*, *Ascidia*, u wielu polipów, a w szczególności z fam. *Bryozoaryów*, *Actinia*, *Tubularia* i t. d. którychto zwierząt organizacją, nawet w postępie ich rozwijania się śledzi, i kończy naostatek wywód ogólnym wyznaniem, że im głębiej rozpoznajemy ich budowę i rozwijanie się, tym mooniejszego nabywamy przekonania, że zwierzęta miękkie i promieniste, *jeden tylko* wielki dział stanowią. Wszędzie gdzie odwłokowa jama nie ma osobnych ścian, wpadają do niej naczyniowate kanały, które wprost z zewnątrz wodę przyjmują (*Sertularia*, *Medusa*, *Hydra*). Skoro zaś te ściany pokazują się, jest naokoło trzewiów jama, wypełniająca się cieczą, a żadnych jeszcze naczyń nie widać (*Actinia*, *Bryozoaires*). Ta trzewia otaczająca jama, u zwierząt miękkich zdaje się pozostawać; ukształca się naczynie podległe ściskaniom, które staje się sercem, i tę ciecz, stosownie do zawiłania organizmu, w rozmaite kierunki pędzi. Anatomia porównawcza idzie tu zupełnie spałem z embryologią. (*Fror. n. N. 1846, nr. 797*). A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1845.

WARSZAWA.

396. Czytelnia chrześcijańska dla dzieci przez Zenonima Ancyporowicza. Z godtem:

Wiara, najlepszą jest przewodniczką w chaosie burzliwych dni naszego istnienia na tej ziemi x.

8ka. Warszawa. 1845. Druk St. Strąbskiego. Str XVII, i 180. Złp. 4.

397. Żyd wieczny tułacz, dzieło Eugeniusza Sue, na język polski przełożone. Ozdobione rycinami na stali rytymi. 10 tomików. 12ka. Warszawa. 1845. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I. kart 2 i str. 229. II. 290. III. 262. IV. 439. V. 183. VI. 247. VII. 176. VIII. 266. IX. 257. X. 287. (Z 40 rycinami na stali). Złp. 42.

398. Sprawozdanie Arcybractwa nieustającej adoracji Przenajświętszego Sakramentu, przy kościele PP. Sakramentek Warszawskich, z roku 18⁴⁴/₄₅. Na dochód wstydzących się żebrać. 4ka. Warszawa. 1845. Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Str. 7.

W I L N O.

Do nru 382 z r. 1845:

Świstek C, przez Spirydona Wędzgi. Z godtem:

Choć się miotać złość będzie

I chytrność bezczelna,

Ty mów prawdę, mów śmiało,

Satyro rzetelna.

12ka. Wilno, 1845. Nakład wydawcy. Druk T. Glücksberga. Str. 62 i rejestru karta 1. Złp. 2.

1846.

WARSZAWA.

54. Chemia z zastosowaniem do rolnictwa i fizjologii, przez Barona Justusa Liebig Dra Medycyny i Filozofii, Prof. Chemii w Uniwersyt. Giessen etc. etc. Z piątego przerobionego i pomnożonego wydania, przełożył J. Seweryn Zdzitowiecki. 12ka. Warszawa. 1846. Druk S. Orgelbranda (Komis księgarni I. Klukowskiego). Str. IV. i 603. Złp.

55. Dzieje panowania Jana Kazimierza od roku 1656 do jego abdykacyi w roku 1668, przez ks(iędza) Michała Krajewskiego. 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1846. Nakład i druk Orgelbranda. Tom I. Napisów i przedmowy kart 4. i str. 338. Spisu rzeczy karta 1. Tom II str. 256 i tytułów kart 2. Złp. 20.

56. Nauka urządzania, szacowania i oceniania lasów, przez Karola Fryderyka Gustawa Henke, urzędnika do szczególnych poruczeń w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu, profesora leśnictwa w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa, Członka Kommissyi Examinacyjnej Gubernii Warszawskiej, kawalera orderów ś. Anny i ś. Stanisława klasy 3. 8ka. Warszawa 1846. Druk S. Orgelbranda. Napisów i rejestru kart 6. str. VII, i 405. Złp. 13 gr. 10.

57. Pamiętka dla Eryczka, przez Stanisława Jachowicza. Tomik pierwszy. 12ka. Warszawa. 1846. Druk J. Ungra. kart 2 i str. 92. (Z ryciną) Złp. 2.

58. Pięć osiar, powieść współczesna, napisana oryginalnie przez Alexandra Wiernikowskiego. 12ka. Warszawa. 1846. Druk Jana Jaworskiego. Kart 2 i str. 294. Złp. 4.

59. Poezyc Gustawa Zielińskiego. 16ka. Warszawa. 1846. Druk St. Strąbskiego. Str. 224. Złp. 5. (Komis księgarni I. Klukowskiego).

60. Rachunkowość handlowa w ważniejszych jój zastosowaniach, przez Floryana Alexandra Zubelewicza, autora dzieła O papierach publicznych. 8ka. Warszawa. 1846. Druk Banku Polskiego. Kart 4 i str. 384. Złp. 13 gr. 10.

61. Trzech muszkieterów, przez Alexandra Dumas, tłómaczył L. Sygietyński. 7 tomów. 12ka. Warszawa. 1846. Druk S. Orgelbranda. Tom I. kart napisowych 2. Przedmowy str. V. i 216. II. 212. III. 216. IV. 189. V. 201. VI. 211. VII. 159. W każdym tomie kart napis, 2. Złp. 20.

62. Wojażer Igarz, powieść humorystyczna wierszem, przez Kalixta Pawłowskiego, oryginalnie napisana. 8ka. Warszawa. 1846. Druk S. Nowakowskiego. Str. 15. Złp. 1.

WILNO.

63. Dzieciątko Jezus, opowiadanie X. (Ignacego) Hołowińskiego. 8ka wielka. Wilno 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 280. (Z wizerunkiem autora). Złp. 20.

Do nru 121 z r. 1845:

64. Pamiętniki umysłowe, zawierające: 1. Przypomnienie ze starój daty. 2. Obrys żywota błogosławionego Wita, przez Teodora Narbutta. 3. X. Alojzy Osieński przez J. ze S. 4. Ułamki z Tragedyi Szyllera Fiesko i t. d. Wydawca Jan ze Sliwina, (Adam Kirkor). Tom III. 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 3. i str. 214.

65. Pomniki do dziejów Litewskich pod względem historycznym, dyplomatycznym, geograficznym, statystycznym, obyczajowym, archeograficznym i t. p. Z różnych rękopisnych lub rząd-

kich wydań dziejopisów, tudzież dyplomatów i dalszych zabytków przeszłości odkrytych w archiwach tajnych królewieckich, tudzież w archiwach ryskich i innych krajowych. Zebrane przez Teodora Narbutta. Z ryciną i facsimile. 4ka. Wilno: 1846. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk M. Zymelowicza. (Rycina wystawia widok starożytnej fasady Ostrzej Bramy w Wilnie od wjazdu do miasta.) Złp. 10.

66. Praktyczne najnowsze postrzeżenia niektórych lekarzy, zebrane przez A(dama) F. Adamowicza. Z godłem:

Służmy pocziwój sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

12ka. Wilno. 1846. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk M. Zymelowicza. Napisów i przedmowy kart 3 i str. 130. Rejestru karta 1. Złp. 5.

67. Rewizor, czyli podróż bez pieniędzy. Komedya w pięciu aktach z rossyjskiego N. Gogola, tłumaczona przez Jana Chetmickowskiego Art(ystę) Dram(atycznego) 12ka. Wilno. 1846. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk M. Zymelowicza. Str. 192. Złp. 5.

Do nru 123 r. 1845.

68. Tajkury, powieść narodowa, przez Edwarda Tarszę, autora Koliszczyzny, Stannicy i t. d. (Michała Grabowskiego) Tom III. IV. 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom III str. 201. Tom IV. 199. Cena 4 tomów złp. 26 gr. 20.

WROCŁAW.

69. Nowy słownik podręczny języka polskiego i francuzkiego przez Piotra Dahlmanna. Część francuzko-polska. 16ka. Wrocław. 1846. Nakład Zygmunta Schlettera. Druk Henryka Rychtera. Kart 3 i str. podwójnie liczbowanych 1000. Złp. 7.

70. Nowy słownik podręczny języka polskiego i francuzkiego, przez Piotra Dahlmanna. Część polsko-francuzka. 16ka. Wrocław. 1846. Nakład Zygmunta Schlettera. Druk Henryka Rychtera. Napisów kart 3 i str. podwójnie liczbowanych 804. Złp. 6.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarnia Orgelbranda niezadługo wyda: „Pamiętniki do panowania Zygmunta III. Władysława IV i Jana Kazimierza” z dawnego rękopisu.

W drukarni tegoż rozpoczął się druk nowój powieści J. I. Kraśzewskiego, pod napisem: Pamiętniki nieznanego.

Druk ważnego do dziejów naszych dzieła Łukasza Gołębiowskiego: *Panowanie Władysława Jagiełły i Władysława Warneńczyka*, we dwóch tomach, już się rozpoczął.

Nakładem księgarni Ig. Klukowskiego wyjdzie: *Szkola na Forte-plano*, przez Józefa Sikorskiego. Będzie to wydanie tania a razem ozdobne. Druk tekstu z nutami czcionkowymi już się kończy w drukarni St. Strąbskiego.

Z drukarni tegoż oprócz innych, wkrótce się ukażą: *Tłumaczenie Jeruzolimy wyzwolonej Torquata Tassa*, przez Ludwika Kamińskiego, we dwóch tomach i *Nowa grammatyka języka Angielskiego* podług Robertsona, przez Bull.

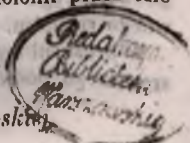
W I L N O.

Nateraz, następcze dzieła zajmują prassy drukarskie T. Glücksburga: 1. Nowe wydanie *Ołtarzyka*. 2. *Odpowiedzi X. Stanisława Chotonińskiego na dwa pytania i Legenda wschodnia*. 3. *Kronika B. Wapowskiego*. 4. *Ornitologia hr. Konst. Tyzenhauza*, tom 3ci. 5. *Athenaeum Oddział VI*. 6. *Pomysły o wychowaniu człowieka*, czyli poszyt IVty *Obrazu myśli mojej* przez Florjana Bochwica. 7. *Powieści z podań gminnych Żegoty Kostrowca*. (X. Ig. Hotowińskiego).

Księgarnia Józefa Zawadzkiego, wydała tom IIgi i ostatni, czwartej seryi „*Obrazów Litewskich Ig. Chodźki*.” Serja ta zawiera: *Jubileusz*, *Duch opiekuńczy*, *Autor światem*, i *Panna respektowa*.

PETERSBURG.

Tom IIIci *Rocznika literackiego* wydawanego przez Romualda Podbreskiego zawierać będzie: 1. *Rzut oka na pierwotne dzieje Litwy*, przez Żegotę O'Nacewicza. 2. *Śty Stanisław Biskup Krakowski*, przez x. Moszyńskiego. 3. *Wypis z archiwów domowych Hrab. Unruha w W. K. Poznańskim*. 4. *Tradycje powieści narodowych*, przez Michała Grabowskiego. 5. *Wybór poezyi Włod. Strzelnickiego*. 6. *Dwaj Uzdeni*, powieść z dziejów Kaukaskich przez tegoż. 7. *Sprawa Mozarowskich z Kapitułą Wileńską*, pamiętnik historyczno-prawny, z rękopisów bibl. M. Grabowskiego. 8. *Powieść*, przez autora *Bigosu hultajskiego*. 9. *Przekład całkowitego poematu Puszkina, Graf Łoś*, i t. d. i t. d. Oprócz tego, wydanie to ozdobią: *Wesele białoruskie*, muzyka z narodowych motywów białoruskich, przez Antoniego Abramowicza, i portrety: O'Nacewicza, Józefa Korzeniowskiego, hr. Henryka Rzewuskiego, oraz Nagrobek królowej Ryxy, znaleziony w Kolonii przez Alexandra Mohuczego Półkownika.



Księga dostrzeżeń wzmiankowana jest 11 200 razy i ma 11 200 stron
 w roku 1841-42, na 11 200 stron

| TERMO-METR skala Reaumura | | BAROMETR w milimetrach słupkowych | | WINDMETR w milimetrach słupkowych | | WINDMETR w milimetrach słupkowych | |
|------------------------------|-----|--------------------------------------|-----|--------------------------------------|-----|--------------------------------------|-----|
| 10 | 10 | 10 | 10 | 10 | 10 | 10 | 10 |
| 1.0 | 1.0 | 1.0 | 1.0 | 1.0 | 1.0 | 1.0 | 1.0 |
| 1.1 | 1.1 | 1.1 | 1.1 | 1.1 | 1.1 | 1.1 | 1.1 |
| 1.2 | 1.2 | 1.2 | 1.2 | 1.2 | 1.2 | 1.2 | 1.2 |
| 1.3 | 1.3 | 1.3 | 1.3 | 1.3 | 1.3 | 1.3 | 1.3 |
| 1.4 | 1.4 | 1.4 | 1.4 | 1.4 | 1.4 | 1.4 | 1.4 |
| 1.5 | 1.5 | 1.5 | 1.5 | 1.5 | 1.5 | 1.5 | 1.5 |
| 1.6 | 1.6 | 1.6 | 1.6 | 1.6 | 1.6 | 1.6 | 1.6 |
| 1.7 | 1.7 | 1.7 | 1.7 | 1.7 | 1.7 | 1.7 | 1.7 |
| 1.8 | 1.8 | 1.8 | 1.8 | 1.8 | 1.8 | 1.8 | 1.8 |
| 1.9 | 1.9 | 1.9 | 1.9 | 1.9 | 1.9 | 1.9 | 1.9 |
| 2.0 | 2.0 | 2.0 | 2.0 | 2.0 | 2.0 | 2.0 | 2.0 |
| 2.1 | 2.1 | 2.1 | 2.1 | 2.1 | 2.1 | 2.1 | 2.1 |
| 2.2 | 2.2 | 2.2 | 2.2 | 2.2 | 2.2 | 2.2 | 2.2 |
| 2.3 | 2.3 | 2.3 | 2.3 | 2.3 | 2.3 | 2.3 | 2.3 |
| 2.4 | 2.4 | 2.4 | 2.4 | 2.4 | 2.4 | 2.4 | 2.4 |
| 2.5 | 2.5 | 2.5 | 2.5 | 2.5 | 2.5 | 2.5 | 2.5 |
| 2.6 | 2.6 | 2.6 | 2.6 | 2.6 | 2.6 | 2.6 | 2.6 |
| 2.7 | 2.7 | 2.7 | 2.7 | 2.7 | 2.7 | 2.7 | 2.7 |
| 2.8 | 2.8 | 2.8 | 2.8 | 2.8 | 2.8 | 2.8 | 2.8 |
| 2.9 | 2.9 | 2.9 | 2.9 | 2.9 | 2.9 | 2.9 | 2.9 |
| 3.0 | 3.0 | 3.0 | 3.0 | 3.0 | 3.0 | 3.0 | 3.0 |

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Luty 1846.

Luty 1846.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'45", na wschód

Kronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 47^s.
z względem południka Paryzkiego.

| Data | Odmiany Księżyca. | BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0° | | | | TERMOMETR s t u s t o p n i o w y | | | | PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Sredn. dzienna | STAN NIEBA | | | | KIERUNEK WIATRU | | | | wysokość wody spadłej w milim. z | |
|------|-------------------|--|-----------|-------------|-------------|--------------------------------------|-----------|-------------|-------------|--|-------------|--------------|--------------|--------------|-----------------|---------|---------|---------|--|-------|
| | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | | 6 | 10 | 4 | 10 | 6 | 10 | 4 | 10 | dé- | śnie- |
| | | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | god. rano | god. rano | god. wiecz. | god. wiecz. | | godz. rano | godz. rano | godz. wiecz. | godz. wiecz. | god. r. | god. r. | god. w. | god. w. | szczy | gu |
| 1 | | 740.30 | 735.51 | 730.88 | 734.90 | - 6.9 | - 1.5 | + 2.7 | + 1.4 | 100. | śnieg drob. | śnieg drob. | dészcz zna. | pochmurny | PdW. | PdW. | Z. | Z. | 8.00 | |
| 2 | | 734.44 | 735.01 | 734.22 | 733.62 | + 0.8 | + 1.4 | + 0.8 | + 0.6 | 79.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | 2.20 | |
| 3 | ☾ | 734.55 | 739.66 | 744.63 | 749.03 | + 0.1 | + 0.7 | - 1.1 | - 2.7 | 83.5 | śnieg | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | PnZ. | PnZ. | PnZ. | | 4.40 |
| 4 | | 749.71 | 748.02 | 741.92 | 743.88 | - 2.7 | - 1.1 | - 0.8 | + 0.8 | 90.0 | pochmurny | pochmurny | śnieg | pochmurny | PnZ. | PdZ. | PdZ. | Z. | | 3.20 |
| 5 | | 746.09 | 746.73 | 744.11 | 743.76 | + 1.0 | + 1.3 | + 1.1 | + 1.2 | 90.5 | pochmurny | pochmurny | dészcz | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 6 | | 740.72 | 740.23 | 741.39 | 743.06 | 0.0 | + 1.2 | + 1.6 | + 1.0 | 90.5 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PdZ. | Z. | Z. | Z. | | |
| 7 | | 743.72 | 744.78 | 739.59 | 736.85 | + 0.6 | + 1.4 | + 0.6 | + 2.7 | 91.5 | pochmurny | pochmurny | śnieg | dészcz | Z. | Z. | PdZ. | Z. | 4.00 | |
| 8 | | 734.67 | 733.00 | 733.97 | 739.80 | + 2.0 | + 1.3 | + 0.2 | - 4.6 | 96.0 | pochmurny | dészcz drob. | śnieg | pochmurny | PdZ. | PdZ. | Z. | PnZ. | 5.60 | |
| 9 | | 744.22 | 747.25 | 749.70 | 751.18 | - 7.6 | - 9.4 | - 7.6 | - 10.1 | 90.5 | pochmurny | pochmurny | pogodny | pochmurny | Pn. | Pn. | Pn. | Pn. | 3.20 | |
| 10 | | 752.10 | 752.63 | 751.05 | 750.00 | - 10.8 | - 8.2 | - 5.9 | - 8.4 | 86.2 | napót pog. | napót pog. | pogodny | na pół pog. | Pn. | Pn. | PnZ. | Z. | | |
| 11 | ☽ | 744.48 | 740.00 | 735.81 | 734.93 | - 7.4 | - 4.4 | - 4.0 | - 3.6 | 90.7 | pochmurny | zadymka | zadymka | zadymka | PdZ. | PdZ. | PdZ. | Z. | 1.80 | |
| 12 | | 735.06 | 735.92 | 739.46 | 742.08 | - 3.3 | - 1.3 | - 3.1 | - 8.4 | 86.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | napót pog. | Z. | Z. | PnZ. | Z. | 1.60 | |
| 13 | | 731.64 | 727.15 | 730.15 | 738.03 | - 3.8 | + 0.9 | + 1.6 | - 3.1 | 88.2 | zadymka | zadymka | pochmurny | pogodny | PdZ. | Z. | Z. | PnZ. | 2.40 | |
| 14 | | 737.39 | 735.05 | 729.59 | 742.02 | - 2.3 | - 1.2 | - 2.3 | - 7.4 | 94.0 | pochmurny | śnieg drob. | zadymka | napót pog. | Z. | PdZ. | Pn. | PnZ. | 6.00 | |
| 15 | | 748.52 | 749.96 | 747.90 | 747.12 | - 13.2 | - 8.6 | - 4.6 | - 7.6 | 90.2 | pochmurny | pogodny | pochmurny | pogodny | PnZ. | Z. | Z. | Pn. | | |
| 16 | | 739.00 | 742.56 | 748.23 | 751.00 | - 1.0 | - 1.7 | - 7.3 | - 14.0 | 89.7 | zadymka | pochmurny | pochmurny | pogodny | Z. | Pn | PnW. | PnW. | 4.00 | |
| 17 | | 746.50 | 742.47 | 734.58 | 734.91 | - 18.3 | - 11.4 | - 3.7 | - 1.1 | 94.0 | pochmurny | napót pog. | śnieg drob. | pochmurny | PdW. | PdW. | Pd. | Z. | 1.80 | |
| 18 | | 729.83 | 726.53 | 734.17 | 740.56 | - 1.7 | - 0.4 | - 5.5 | - 7.8 | 90.7 | pochmurny | śnieg | pochmurny | pochmurny | Z. | PdW. | PnZ. | PnZ. | 3.40 | |
| 19 | ☾ | 745.53 | 746.92 | 746.74 | 742.84 | - 11.6 | - 10.3 | - 6.5 | - 6.5 | 89.5 | pochmurny | pogodny | pochmurny | śnieg drob. | PnZ. | PnZ. | Z. | Z. | | |
| 20 | | 741.40 | 744.87 | 749.72 | 753.94 | - 0.4 | - 0.4 | + 1.0 | - 1.3 | 93.5 | śnieg | pochmurny | pochmurny | pochmurny | PnZ. | PnZ. | Z. | Z. | 1.80 | |
| 21 | | 756.80 | 757.45 | 757.55 | 758.11 | - 3.3 | + 0.6 | + 1.5 | + 1.2 | 90.0 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 22 | | 758.15 | 759.18 | 758.94 | 759.67 | + 1.2 | + 1.9 | + 2.1 | + 1.6 | 84.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 23 | | 758.82 | 758.99 | 756.03 | 753.95 | + 0.6 | + 2.7 | + 4.5 | + 2.2 | 84.5 | pochmurny | napót pog. | napót pog. | pochmurny | Z. | Pd. | Pd. | Pd. | | |
| 24 | | 751.01 | 751.69 | 752.70 | 754.01 | + 2.1 | + 4.0 | + 3.1 | + 2.7 | 90.7 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | pochmurny | Pd. | Z. | Z. | Z. | | |
| 25 | ☽ | 753.58 | 753.59 | 751.16 | 750.60 | + 1.8 | + 2.7 | + 5.0 | + 1.9 | 92.0 | mgła gruba | mgła b. gr. | pochmurny | pochmurny | Pd. | PdW. | PdW. | PdW. | | |
| 26 | | 750.33 | 750.83 | 751.69 | 752.79 | + 3.1 | + 5.2 | + 4.8 | + 2.9 | 98.2 | pochmurny | pochmurny | pochmurny | mgła grub. | PdZ. | PdZ. | Z. | Z. | | |
| 27 | | 754.11 | 754.91 | 755.31 | 756.11 | + 1.2 | + 4.2 | + 6.2 | + 2.5 | 96.8 | mgła b. gr. | pr. pogodny | pogodny | pogodny | Z. | Z. | Z. | Z. | | |
| 28 | | 758.93 | 757.83 | 757.17 | 757.12 | - 2.3 | + 1.6 | + 6.1 | + 0.4 | 93.5 | mgła b. gr. | pogodny | pogodny | pogodny | Pd. | Pd. | Pd. | Pd. | | |
| Sre. | | 745.03 | 744.95 | 744.58 | 746.28 | - 2.86 | - 1.03 | - 0.34 | - 2.26 | 90.5 | | | | | | | | | 10.20 | 43.20 |

| | | | |
|--|------------|----|---------|
| | mm. | c. | l. |
| Średnia wysokość barom. miesiąc. | 745.21 | 27 | 6.348 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 22 o g. 10 w. | 759.67 | 28 | 0.759 |
| Najniżej " " d. 18 o g. 10 r. | 726.53 | 26 | 10.068 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 5.85 | | 2.59 |
| Największa zmiana dzienna d. 14—15 o 4 g. w. | 20.39 | | 9.03 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o | 5.78 | | 2.563 |
| od stanu normalnego z 20 lat poprz. | 750.991 | 27 | 8.911 |
| Średnia temperatura Lutego wynosi | - 1° 63 C. | - | 1.30 R. |
| i ta jest wyższa o | 1 .89 „ | | 1.52 „ |
| od stanu normalnego z 20 lat poprz. | - 3 .52 „ | - | 2.82 „ |
| Najwyższa temperatura d. 27 o 4 w. | + 6 .2 „ | + | 5.0 „ |
| Najniższa d. 17 o 6 r. | - 18.3 „ | - | 14.6 „ |
| (Termometrograf wskazał Maximum | | | |
| + 7° 0 R. d. 27 wieczór; Minimum: | | | |
| - 15,9 R. d. 17 r.). | | | |

Średnia zmiana dzienna temperatury 3.46 „ 2.77 „
 Największa zmiana dzienna d. 16—17 17.3 „ 13.8 „
 Średnia wilgotność miesięczna wynosi 90.5 biorąc 100 za zupełne nasylenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 4.43 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 2; napót pogodnych 4; pochmurnych 22:
 — dęszczu 5 (d. 1, 5, 7, 8, 13).
 — śniegu 14 (d. 1, 2, 3, 4, 7, 8, 11, 13, 14, 16, 17, 18, 19, 20).
 — mgły 6 (d. 10, 24, 25, 26, 27, 28).

Wody z dęszczu spadło 10.20 mil. czyli 4,52 linij z śniegu 43.20 mil. czyli 19.15 linij; razem 53.40 mil. czyli 23,67 lin. to jest przeszło dwa razy więcej niż zwykle w lutym spada.

Luty r. b., był niepogodny, wilgotny, bardzo śnieżny, o półtora stopnia cieplejszy, niż zwykle. Pierwsze ośm dni miesiąca były ciepłe lecz dżdżyste. Środek miesiąca mroźny; koniec ciepły jak w porze wiosennej lecz mglisty. Nadzwyczajna obfitość śniegów, częste zadymki śnieżne połączone z wichrami odznaczają szczególnie Luty w tym roku.

Wiatr panujący Z.

Wichrów i wiatrów mocnych było 14; t. j. Z.=5; PnZ.=5; PdZ.=4; Pn.=2.

PANOWANIE KONSTANTYNA WIELKIEGO.

Wyjątek z tomu III^o Historji Rzymskiej

Jana Szwaynica.

Po złożeniu roku 305 rządów przez Dyoklecjana i Maxymiana, dotychczasowi podcesarze Konstancyusz i Galeryusz, wstąpili na tron państwa, i utwierdziwszy się na nim, sam Galeryusz, bez uwagi na Konstancyusza lub Dyoklecjana, mianował cesarów. Maxencyusz syn Maxymiana, i Konstantyn syn Konstancyusza, najbliższe zdawali się mieć prawo do władzy, ale ojciec osądził Maxencyusza niegodnym tronu dla braku męstwa, a Konstantyn sprzyjał chrześcianom. Było to w oczach Galeryusza, nieprzyjaciela ich, niezwykłą przeszkodą, lubo Konstantyn posiadał zaufanie Dyoklecjana, i na polu bitwy dosłużył się w wojsku wysokich stopni. Za wpływem Dyoklecjana i Galeryusza został Sewerus cesarzem Afryki i Italii, Maxymin otrzymał lennictwo Syryi i Egiptu. Nowych cesarów prawie nie znał naród; lepiej znało ich wojsko, zwłaszcza hufce Giermańskie przez Dyoklecjana do wojska Rzymskiego powołane. Spowinowaceni z niem namiętnościami, posiadali jego zaufanie.

Tylko Konstantyn przez oświatę, uprzejme i piękne obyczaje był godnym tronu; jego obawiał się Galeryusz, dlatego pod różnemi pozorami zatrzymał go u siebie. Konstantyn dla usunięcia podejrzliwości Galeryusza, usilnie starał się o przyjaźń jego, zwłaszcza że słabe zdrowie Konstancyusza ojca i niebezpieczeństwo od nieprzyjaciół ze wszystkich stron państwu zagrażające, doradzało ostrożności. W takim położeniu gotował Konstancyusz wielką wyprawę do Brytanii, chcąc zabezpieczyć spokojnych jej mieszkańców od łupieżkich napadów Szkotów i Walijszyków, wycieczkami swojemi kraj trapiących. Konstantyn korzystał z pory, i prosił Galeryusza o wolność towarzyszenia ojcu na téj wyprawie. Cesarz, który mimo podejrzliwość nie uważał go za zwyczajnego zakładnika wierności i zgody, dał żądane zezwolenie. Po otrzymaném przyzwoleniu spiesznie zdążył do ojca, aby Galeryusz nie żałował kroku swojego i zatrzymać go w drodze nie kazał. Konstancyusz zachorował w Brytanii, lecz przed śmiercią porucił synowi r. 306 opiekę nad pasierbnym rodzeństwem i polecił go wojsku, zwłaszcza hulcom Alemańskim, którym szczególniej ufał. Tym krokiem ułatwił mu drogę do władzy. Załodwie Konstancyusz umarł, a już wojsko okrzyknęło Konstantyna cesarzem, Augustem. Wiadomość o tym wypadku zatrwożyła Galeryusza inne mającego plany. Zamierzywszy po śmierci Konstancyusza mianować cesarzem Licyniusza, dawnego przyjaciela i towarzysza broni, chciał całkiem pominąć Konstantyna. Ogłoszenie przez wojsko Konstantyna Augustem, skrzyżowało widoki cesarskie. Galeryusz jednak nie użył oręża dla popierania woli swojej, a gdy i Konstantyn rozważnie poprzestał na dostojństwie pomocnika, cezara, i Sewerowi, jako starszemu

zostawił pierwszeństwo, uznał go także Galeryusz na przybraném dostojenstwie.

Tymczasem wybuchnął w Rzymie rozruch, który pociągnął za sobą zmianę w całym państwie. Konstantyn bez użycia oręża lub innych starań, został panem kraju przez nierozsądek i winę współwładców. Galeryusz umyślił podatek od własności, który zarazem był do pewnego stopnia pogłównem, powiększyć, i rozciągnąć go do miast, dotąd od niego wolnych, a mianowicie do Rzymu, któremu równie jak Dyoklecyan nie sprzyjał. W tym celu nakazał dokładne obliczenie majątku, czém Rzymian mocno oburzył. Jednocześnie, chcąc Rzymowi odebrać nawet pozór stolicy, polecił, aby szczątki preto-ryanów, utrzymujących się dotąd jeszcze w bliskości tego miasta, na zawsze ztąd oddalić. Żołnierz odebraniem namiotów i swobód obrażony, złączył się z zagniewanym ludem, i spólnie zapraszali Maxencyusza do objęcia rządu. Maxencyusz, lubo miernych zdolności, usłuchał głosu wojska i ludu. Na poskromienie rokoszu i ukaranie winowajców, wyruszył na rozkaz Galeryusza Sewer na czele licznych chorągwi. Sewer w stosunkach swoich względem Galeryusza, czy jako wódz, czy jako cesarz, był tylko narzędziem dla wykonania postanowień. Zapewno i stary Maxymian nudząc się w Lukanii, miał ważny udział w powstaniu, o czém tém mniej wątpić należy, gdy pod koniec tegoż roku, już przywdział purpurę w Rzymie. Na widok niebezpieczeństwa, bo Sewer zbliżał się z znaczném wojskiem, wezwali go na pomoc Maxencyusz i stronnicy jego. Wojsko Sewerowe służyło niegdyś pod znakami Maxymiana; teraz kiedy się dowiedziało, że je wódz nie na Maxencyusza, ale na Maxymiana prowadzi, podniosło rokosz, i na czele namiestnika

Sewerowego, złączyło chorągwie swoje z nieprzyjacielem. Sewerus chciał pozostałe wojsko zwrócić przeciw Maxymianowi, kiedy ten z nielicznym zbrojnym rycerstwem poczetem z Kampanii nadchodził. I ten zamiar nie powiódł się wodzowi: opuszczony od wojska, po wielu trudach dostał się do Rawenny. Miasto to sztuką i położeniem warowne, dostatecznie od napadów nieprzyjacielskich zabezpieczone było, i Galeryusz mógł mu śpieszyć na odsiecz; ale Maxymian uwiódł przeciwnika, a Sewer złożył dostojęństwo cesarskie, dla uratowania życia, które mu niedługo, gdyż już w roku następnym, niegodnie wydarło zostało. Po śmierci Sewera, potężny i najstraszniejszy był Konstantyn. Gdyby się połączył z Galeryuszem, prowadzącym właśnie wojsko do Italii, niebezpieczne byłoby dwóch cesarzów położenie w Rzymie. Sam Galeryusz nie był dla nich groźny, gdyż legiony jego sarkaly na surowość wodza, a służyły dawniej pod Maxymianem. Dla niedopuszczenia przymierza, stary cesarz udał się do Konstantyna do Gallii, i zaślubiwszy mu córkę Faustę, przyznał zarazem dostojęństwo Augusta, którego mu dotąd Galeryusz odmawiał. Maxencyusz pozostał w Italii dla odparcia Galeryusza. Galeryusz nadciągnął wprawdzie z wojskiem, ale bez mała nie doświadczył losu Sewerowego. Rzymianie, lękając się pogróżek jego i okrucieństwa, starannie obwarowali miasto, i zarazem przeciągnęli na swoją stronę legiony Latyńskie, służące na żołdzie pod chorągwią Galeryusza. Gdy część ich złączyła się z nieprzyjacielem, cesarz spostrzegł niebezpieczeństwo, i przez usilne tylko prośby, odwiódł resztę od jawnego rokoszu. W takim położeniu Galeryusz już nie podstał pod Rzym i wracał od Narni. Nie udał się jednak wprost do Azji, lecz przez rok cały bawił

w Pannonii, a opuszczając Italię, dozwolił wojsku straszniejszego rabunku, przez co imię swoje na większą jeszcze podał wżgardę. Maxymian nadaremnie poduszczał zięcia na Galeryusza, a za powrotem do Rzymu poróżnił się z synem i władzę utracił. Wygnaniec szukał w Gallii pomocy u Konstantyna, ale jak przed chwilą płonne były jego starania o chorągwie na Galeryusza, tak teraz daremnie prosił o posiłki przeciw synowi. Po bezskutecznych zabiegach, jakby w rozpacz do Galeryusza się udał. Zdaniem dwóch pisarzy, chrześcijańskiego i pogańskiego, obie podróże Maxymiana, równie jak spór z synem, umówione tylko były, aby jednego z przeciwników wprowadzić w zasadzkę. Podaniu temu trudno wierzyć, a przynajmniej wybieg ten, w każdym razie, bez skutku pozostał, owszem Galeryusz korzystał z obecności Maxymiana w Pannonii, a sprowadziwszy prośbami i groźbą Dyoklecjana z Karnutum, wobec ich mianował r. 307 Licyniusza Augustem.

W ciągu tych odmian Konstantyn zajmował się troskliwie dobrem poruczonych mu dzielnic; spokojność jego, szlachetne postępowanie i ojcowskie starania o szczęście poddanych, zasługują na uwielbienie. Za powrotem teścia do Gallii, nietylko gościnnie przyjął starca, ale i do udziału w zarządzie przypuścił. W wojnach z potężnymi Frankami, nad dolnym Renem zamieszkałymi, zaraz za powrotem z Brytanii odznaczył się Konstantyn, i co już oddawna nie bywało, w własnym ich kraju ścigał. Na nieszczęście dla Rzymian, całe społeczne urządzenie ludów Giermańskich tchnęło wojną i pokój z nimi trwały być nie mógł. Z tych powodów obecność Konstantyna nad niższym Renem, gdzie nowy most wybudować kazał, stała się od czasu do czasu potrzebną.

W ciągu tych wojen, kiedy sam przywoził wojsku, poruczał teściowi rządy w południowej Gallii. Ten w Artezyi miał stolicę, dwór, pałac i należał do wszystkich obrad. Maxymian stracił, zdaje się skutkiem wieku, dużo z przenikliwości swojej, inaczój trudno odgadnąć, jak mógł przypuścić, że wojsko Konstantina, prawie całkiem z chrześcian złożone, jego nad cesarza i swego wodza przeniesie. Rzecz tak się miała: Długą nie było wiadomości od Konstantina kiedy był na wojnie za Renem; rozbiegła się nawet pogłoska o śmierci jego. Maxymian, bez przekonania o rzeczywistości, rozkazał wojsku ogłosić siebie wyłącznym rządzcą Gallii. Krótka trwała radość; Konstytut uwiadomiony o nierozważnym kroku teścia, spiesźnie na czele wybranych hufców zdążył niezwykłą drogą do Artezyi, gdzie Maxymiana bez przygotowań wojennych zastał. Uszedł wprawdzie szczęśliwie starzec z stolicy swojej i nie ufając jej mieszkańcom, szukał przytułku w Massylii, ale i tu wkrótce się przekonał, że ani wojsko ani mieszczenie nie są skłonni do podniesienia oręża w sprawie jego. Kiedy bowiem z zięciem rozmawiał z muru, otworzono z przeciwnej strony wojskom Konstantina bramy miasta i Maxymian zehwytany został. Zwycięzca puścił i tą razą w niepamięć nieprawy postępek teścia, i dopiero po dwóch latach (310) kiedy tenże, nowém szaleństwem wiedziony, czynił zamach na życie Konstantina i zamiast zięcia zabił szambelana, niespodzianie bez hałasu uduszony został. Ledwie zniknął jeden ze szczętu cesarzy, a już w Afryce nowy się zjawił, i między dawniejszemi nie było zgody z powodu mianowania Licyniusza. Maxymian, rachując na przywiązanie wojsku, przyjął dostojęństwo Augusta bez znieśienia się z Galeryuszom, i uciemieżył

poddanych. Niczém w oczach jego było szczęście rodzin, zakłócał je przez okrutną rozpustę; gwałtem uprowadzał żony i córki znakomitych obywateli, wzbogacał dzikich dowódców kosztem zamożnych domów, wymierzał samowolne i okrutne kary.

Liczba chrześcian znaczną podówczas była we wszystkich częściach państwa; pod troskliwą pieczę hierarchii i soborów silni byli jednością, kiedy przeciwnie pogaństwo wraz z senatem swoim i obradami, jeżeli się jeszcze odbywały, z każdym dniem upadało. W nienawiści ku chrześcianom zgodni poganie, w innych widokach bez hierarchii i silnej spójni, zupełnie między sobą się różnili.

W takim położeniu władzca posiadający przychylność chrześcian, prędej czy później mógł spodziewać się pierwszeństwa przed innymi współrządcami. Czuł to podobno Maxencyusz, dlatego skoro tylko został panem Rzymu, niebawem ogłosił edykt tolerancyjny dla chrześcian; ale pogardliwy charakter jego, samowolność w działaniach, surowe obchodzenie się z senatem, zabobonna wiara w wyrocznie i całe postępowanie względem chrześcian, przeciwne było z łagodniejszymi postanowieniami tegoż władzcy. I Galeryusz żałował przed śmiercią okrucieństwa względem chrześcian; w swoim i współrządców imieniu zniósł prześladowanie, ale woli jego na wschodzie wcale nie wykonano.

Jeden tylko Konstantyn zdawał się szczerze sprzyjać chrześcianom. Służył on wprawdzie jeszcze bogom pogańskim, chociaż znak krzyża był już godłem państwa. Konstantyn został panem Rzymu; jednakże zaraz po śmierci ojca znaleźli w nim chrześcianie opiekuna; znakomite także niewiasty, Fausta cesarzowa, Eutropia jej matka, a przede-

wszystkiem Helena, matka Konstantyna, czynnie przyłożyły się do powodzenia chrześcian. Helenę rodem Brytanke, czule kochał Konstancyusz, ale zostawszy cesarzem, musiał się z nią rozwieść, ponieważ była niższego stanu, a zaślubił pasierbicę cesarską; dopiero syn wyrwał ją z zapomnienia i nadał stopień i godność panującej cesarzowej czyli Augusty. Jeden tylko Konstantyn okazywał zaraz po objęciu rządów ducha porządku i uległości dla prawa, inni dopuszczali się samowolności i gwałtów; jeden tylko przestał na przekazanym dziale, kiedy inni, kosztem współrządców, rozszerzali granicę dzielnic swoich. Zaraz po śmierci Galeryusza wszczął się spór między Licyniuszem i Maxyminem o podział kraju. Maxymin nie tylko Nikomedyą osadził, ale także i dzielnice Azyatyckie aż do Propontydy. Po długich zatargach stanął w końcu układ stanowiący Bosfor dwóch państw granicą. Przeciw Maxencyuszowi podniósł rękę w Afryce Alexander, mąż nieudolny, podeszły wiekiem, bez ducha i waleczności, a jednak trzy lata na przywłaszczonem dostojenstwie się utrzymał. Roku 311 wysłał Maxencyusz naczelnika swoich gwardyj z innym jeszcze ulubionym wodzem, z małym wprawdzie, ale wyborowem wojskiem, na pokonanie przywłaszczyciela. Jedna bitwa rozstrzygnęła los Afryki. Alexander śpiesznie na czele rozbitków uchodził, lecz dościgniony, ręką życia przypłacił.

Zwycięzca nadużył pomyślności oręża, uciemniał za możnych właścicieli tej kwitnącej dzielnicy, nakładał ciężkie podatki na miasta, a z Cyrta i Kartaginą, zapewne dlatego, że mieszkani tam sarkali na samowolność, obchodził się jak ze zdobytymi miastami. Wreszcie zdobycie Afryki przyspieszyło upadek Maxencyusza: dumny

ze zwycięstwa przesadzone powziął wyobrażenie o potędze swojej. Na podłe okrucieństwo Maxencyusza, wszyscy, bez różnicy wiary i wyznania, przyjaciele i nieprzyjaciele, narzekali. Gwardye tylko były mu przychylnie, równie jak niewielka liczba wojska, po większej części barbarzyńcy z bogaceni majątkiem obywateli a nawet senatorów Rzymskich. Usny w wojsko i zdolność kilku dowódców, zamierzył uderzyć na samego Konstantyna, ale na nieszczęście swoje, pod chorągwie zaciągał liczne rotę w Turcyi, Italii niższej, i Afryce. Według Zozymusa 40000 było z Afryki; całe wojsko liczyło 170000 piechoty i 18000 jazdy; część jednak większa nie była wprawna do boju i nieprzychylna Maxencyuszowi. Maxencyusz miał pod pewnym względem sprawiedliwy pozór do wojny, jeżeli, jak głosił, pomścić się chciał śmierci ojca na rozkaz Konstantyna r. 310 zabitego. W tym celu złączył się z Maxyminem, bo i Konstantyn wszedł w ścisłejsze związki z Licyniuszem, zwłaszcza że Maxymin zamierzał wyprawę na Licyniusza. Konstantyn unikał z początku wojny, lecz kiedy przeciwnik odrzucił warunki zgody, postanowił korzystać z nieżyczliwości ku Maxencyuszowi, Italczyków, a zwłaszcza Rzymian. Maxencyusz nie wyrównywał przeciwnikowi swojemu co do zdolności wojennych; bez potrzeby i rozważenia gotował się do walki, która dla Konstantyna, do boju przywykłego, zwycięstwo rokowała. Nigdy Maxencyusz nie stawał na czele wojska; życie beczynne w rozpuszczeniu spędził, kiedy przeciwnie Konstantyn sprawom państwa oddany, powściągnął namiętność i ciągle się ćwiczył. Najprzód chlubnie walczył pod znakami Dyoklecjana, później ojcu na wyprawie do Brytanii towarzyszył, następnie długo nad Renem wiódł krwawe boje, i przez okrutny ale po-

trzebny środek, zatrwożył równie ludy Frankskie, jak ich wodzów. Kiedy ani pokój, ani umowy nie wstrzymywały Franków od wycieczek do państwa Rzymskiego, ogłosił, że dowódców pustoszących z zgwałceniem pokoju niwy Rzymskie, jak rozbójników ukarze, i słowa dotrzymał. Pojmanych skazywano na śmierć, a okrutny zgon dwóch królów, Askarysa i Ragnisa, szerzył między Frankami trwogę. Przez takie postępowania używały w końcu okolice Renu i Mozeli pokoju. W ciągu następnym wypadków przeszedł Ren, wtargnął głęboko w kraj Westfalski, i tu dopuszczali się Rzymianie okrucieństw, na które wzdyga się ludzkość, chociaż napozór, ludy do krwi i mordów przywykłe, tylko surowemi środkami najskuteczniej do spokojności i szanowania praw przywiedzione być mogły. Po udaremnieniu zamysłów Maxymiana pragnącego mu wydrzeć dostojęstwo cesarskie, Konstantyn wybudował most na Renie, uzbroidł flotę i rozdzielił w stosownych miejscach załogi nad Renem, poczem rolnik znów uprawiał ziemię, i mieszkańiec do siedzib wracał. Maxencyusz zgromadził liczne wojska swoje w okolice Rzymu; wybór jednak chorągwi, w części przynajmniej, wysłał ku wschodowi dla zagrożenia Licyniuszowi, i do Piemontu na Galię.

Konstantyn uprzedził kroki Maxencyusza; na czele wyborczego wojska, czterdziestu tysięcy, czwartą część chorągwi, przeszedł górę Cenis, stanął niespodzianie pod Suzą, i miasto szturmem zdobył. Pod Turynem stanęli wodzowie Maxencyusza do walnej rozprawy; los bitwy długo był niepewny, w końcu odniósł Konstantyn świetne zwycięstwo, poczem bez oporu Lombardya zajął. Medyolan, stolica pod panowaniem Maxencyusza, z ży-

wą radością witał zwycięzcę. Za Adygą uszykowali wodzowie Maxencyusza wojsko do boju, a za nadciągnięciem nieprzyjaciela, przyszło pod Brescyą do krwawej i niebezpiecznej walki. Na sposób Perski, jazda w pancerze zbrojną, przeważała jazdę Konstantina, póki nie odkrył dla niej bezpiecznego stanowiska, a obrót szczęśliwie wykonany, znaczną mu korzyść przyniósł. Weronny mężnie bronił Ruryk, rodem Gota, za co gród i mieszkanie po zdobyciu miasta okrutnie cierpiał. Maxencyusz nie korzystał z położenia; kiedy Konstantyn pokonywał chorągwie jego w Italii wyższej, on nieczynnie siedział w Rzymie, zamiast wyruszyć z wojskiem nad rzekę Padus (Po) dla bronienia przeciwnikowi przejścia wąwozów; nawet Apeninu nie obsadził, spokojnie czekając na przybycie nieprzyjaciela. Wreszcie postawił niżej most łyżwowy na Tybrze i wyszedł o dziewięć mil na spotkanie Konstantina, gdy po tylu stratach właśnie za Tybrem należało mu zająć stanowisko i stawić opór wojskom nieprzyjacielskim. Niebaczny tym krokiem przyspieszył swój upadek, i podał kilku nieprzychylnym chorągwiom sposobność złączenia się z zastępami przeciwnika. Między Tybrem i wojskiem Konstantina stanął obozem. Konstantyn czuł całą ważność zagrażającej bitwy. Dniem przed stanowczą rozprawą, ukazało się godło zbawienia, krzyż na chorągwi cesarskiej. Godło to ujrzał Konstantyn w obłokach, i w tym znaku zwiastowane miał zwycięstwo. Wiadomość o cudzie wzmogła zapał chrześcian w wojsku cesarskiem, a chrześcian chorągwie, pod dowództwem Maxencyusza, braciom swoim życzyły powodzenia. Maxencyusz nierozwagą swoją ułatwił jeszcze nieprzyjacielowi zwycięstwo. Po daném hasle do boju, wojsko rzuciło się do oręża, ale nowo za-

ciężne hufce Maxencyusza, pierzchły za pierwszym natarciem nieprzyjaciela; stary żołnierz potykał się męźnie, póki jazda nie złamała szyku jego. Na widok przegranej Maxencyusz uchodził z pola bitwy, a kiedy, w gestym tłumie uciekających, przez nowy most śpieszył do Rzymu, wpadł, nie wiadomo jakim sposobem, w Tyber. Dopiero nazajutrz zwłoki z rzeki wydobyte zostały, a głowa poległego cesarza zdołała wjazd tryumfalny zwycięzcy do Rzymu. Pretoryanów i legiony Maxencyusza rozdzielił Konstantyn między wojsko swoje, inne stare hufce rozbroił, a po niejakiem czasie znów powoławszy do służby, posłał je nad brzegi Renu.

Po zwycięstwie nad Maxencyuszem, Konstantyn pomnożył, za przykładem Trajana, senat Rzymski, chociaż ten już oddawna nie stanowił rady państwa i w sprawach krajowych nie był uczestnikiem. Senat pochlebiając próżności zwycięzcy, nie wiedziąc jakim prawem przyznał mu pierwszeństwo nad Licyniuszem i Maxyminem. I Konstantyn pochlebiał Rzymianom; oni naprędce wystawili mu łuk tryumfalny, którego szczątki nie dają korzystnego wyobrażenia o doskonałości sztuki. Po dwóch miesiącach opuścił zwycięzca stolicę, wyprowadziwszy z sobą wszystkie wojska, prócz straży bezpieczeństwa.

Odniosłszy za pomocą chrześcian walne nad przeciwnikiem zwycięstwo, gorliwie wspierał ich szerzenie się po całym kraju, znak wiary chrześcijańskiej jaśniał na chorągwiach państwa, Konstantyn budował kościoły, dozwolił czynić im zapisy, burzył świątynię pogaństwa, a jednakże sam, zapewne z powodu ówczesnych stosunków, długo pełnił jeszcze obowiązki arcykapłana, radził się wyroczni i dopiero na łożu śmiertelném, chociaż już był wyznawcą Chrystusa, przyjął z rąk Euzebiusza bi-

skupa, chrzest święty, aby podług nauki wiary, stanąć bez winy przed obliczem najwyższego sędziego.

Bezpośrednio po zajęciu Rzymu, wpadały ludy Germańskie do Gallii. Konstantyn postanowił ukarać niebawem ich najazdy, i w tym celu jak najspieszniej wybie-
rał się do Rzymu, którego, równie jak Dyoklecyan, nie lubił. Przed przejściem jednakże Alp, obchodził wesele siostry z Licyniuszem. W tym samym czasie, kiedy plemiona Germańskie napadami swojemi niszczyły ziemię Gallicką, Maxymin wojną zagrażał Licyniuszowi, i dla odwrócenia jęj Licyniusz na czele trzydziestu tysięcy, porą zimową, śpieszył na pole bitwy. Maxymin, dwakroć liczniejsze mając zastępy, odrzucił korzystne warunki pokoju przez Licyniusza ofiarowane, i zdobywszy po krótkim oblężeniu Bizancyum i Herakłę, stanął obozem między Heraklą i Adryanopolem, kiedy Licyniusz na czele rycerstwa ku niemu się zbliżał. Nie wiedział snać Maxymin, że nieprzyjaciel prowadzi wojsko, na którego wierności mógł polegać, a spodziewał się, że całe wojsko porzuci chorągiew swojego władzcy, i dlatego właśnie nie przystał na warunki przez Licyniusza podane. Położenie Licyniusza było niebezpieczne, ale w trwodze, piszą chrześcianie, uciekł się do Boga. Anioł z dopuszczenia Bożego nauczył go we śnie modlitwy, którą, po przebudzeniu się, spisał i między wojsko rozdał. Rycerstwo stanęło do boju, i zmówiwszy modlitwę odniosło zwycięztwo. Bitwa r. 313 w kwietniu stoczona, była uparta; obie strony potykały się z zapalem; wątpliwy na chwilę był los walki, w końcu przemógł Licyniusz, wódz na polu bitwy niepospolity. Maxymin potęgą zaslepiony, liczył na pewne tryumfy, a kiedy zbity na głowę, ani Bosforu ani Hellespontu obronić nie zdołał, zamierzył

w Egipcie szukać przytułku i bronić się za Nilem. Daremne zamiary! Już w drodze do kraju Faraonów uznał niemożność skutecznego odporu, i nie chcąc dostać się w ręce Licyniusza, w Tarsus wypił truciznę, która niezaraz skutkowałą, a nieszczęśliwy sprowadziwszy tym krokiem rozpacz ciężką na siebie chorobę, później w okrutnych bólach życie zakończył. Zwycięzca nie przestał na śmierci przeciwnika; srogość swoje nie tylko do rodziny jego ale do krewnych także, Galeryusza, Dyoklecjana i Sewera, rozciągnął. Przeszło rok ukrywały się biedne ofiary, a kiedy je w Tessalonice odkryto, Licyniusz na śmierć skazał nieszczęśliwych, i wyrok wykonany w miejscu, gdzie w dziesięć lat później z rozkazu Konstantyna, padnie pod toporem głowa Licyniusza.

Bezpośrednio po odniesioném zwycięztwie nad Maxyminem i opanowaniu dzielnic wschodnich, zaszyły nieporozumienia między dwoma powinowatemi cesarzami. Zapewne Licyniusz przez nabycie rozległych krajów, zbyt potężnym zdawał się Konstantynowi. Konstantyn mianował Bassyana, męża Anastazyi, siostry swojej, cesarzem Italii, żądając wedle podobieństwa, aby i Licyniusz ustąpił dla niego jakąś dzielnicę. Nie zgadzało się to z widokami Licyniusza, który przez zręczne zabiegi zawarł przyjaźń z Bassyanem, przekonawszy go, że jest tylko narzędziem w ręku Konstantyna. Pośrednikiem tych układów był Senecyon brat Bassyana. Konstantyn uwiadomiony o tém niegodném postępowaniu, powziął gwałtowną urazę do Licyniusza, a kiedy tenże po pociągnięciu Bassyana do sądowej odpowiedzialności, nie chciał wydać Senecyona, który schronił się pod opiekę władcy Wschodu, i prócz tego posągi Konstantyna w Karyntyi obalono, oręż rozstrzygnąć musiał spór między

stronami. Oba jednak cesarze nie byli do wyprawy należycie przygotowani, jeżeli o tém z wielości wojsk na wojnę wyprowadzonych sądzić można. Roku 314, pod Cybalis niedaleko ujścia Drawy do Dunaju, stanęło pięćdziesiąt tysięcy rycerstwa do boju. Konstantyn odniósł zwycięstwo, ale Licyniusz zgromadził wkrótce w Tracyi nowe hufce i stoczył, po odrzuceniu przez Konstantyna warunków, krwawą bitwę. Szczęście posłużyło wprawdzie orężowi Konstantyna, tak wielką jednak poniósł w wojsku stratę, że po walnej rozprawie, zgodził się na świeżo odrzucone warunki. Pomimo straty licznego rycerstwa, zwycięzca pozyskał Pannonią, Mezę zachodnią, Grecyą, Macedonią i Illiryą, a Walens, którego Licyniusz dla męstwa pod Cybalis mianował cezarem, i któremu sam Konstantyn zasług nie odmawiał, złożył poruczone sobie dostojenstwo. Zupelne stron pogodzenie nastąpiło roku 317, w którym Konstantyn zezwolił w Sardyce na mianowanie młodocianego jeszcze syna Licyniuszowego cezarem, kiedy jednocześnie dwom synom swoim, Kryspowi i Konstantynowi, podobną godność nadał.

W czasie pokoju niejednakie było cesarzów postępowanie; Licyniusz uciemniał poddanych, gromadził skarby, prześladował chrześcian, Konstantyn został prawodawcą narodu, gromił nieprzyjaciół państwa, wspierał religią chrześciańską, roztropnie znosząc pogaństwo i judaizm. Może niepotrzebnie mieszał się do sporów teologicznych, ale to wypływało z ówczesnych stosunków i ze stanowiska, jakie cesarz w przymiocie głównego opiekuna kościoła chrześciańskiego zajmował. W przedziale piérwszej i ostatniej wojny z Licyniuszem, już na tym już na owym krańcu państwa porażał wrogów, i ludy barbarzyńskie w karbach utrzymywał, a po odniesio-

nych korzyściach odwiedzał Rzym, obchodził uroczystości i zabawy, nigdy długo w nim nie bawiąc. Przed wybuchnięciem ostatniej wojny z Licyniuszem, dosyć często gościł we wschodnich dzielnicach państwa swojego, a podług Eutropiusza, już kilkakrotnie przed słowną walką pod Adrianopolem i Chrysopolis, przyszło do krwawych rozpraw między dwoma cesarzami (1).

Nadchodząca wojna miała styczność z walkami Konstantyna nad Dunajem. Cesarz gromiąc Sarmatów trapiących wycieczkami państwo Rzymskie, niekiedy samowolnie prowadził chorągwie przez dzierżawy Licyniusza, a gdy przełożenia z tego powodu zostały bez skutku, władca Wschodu gromadził liczne wojska w Tracji dla rozstrzygnięcia sporu. Obie strony oddawna zapewne przewidywały wojnę, jak o tém z wielości wojsk, do boju prowadzonych, wnosić można.

Dla zdobycia zwycięstwa, Licyniusz niezmiernie zebrał skarby, które zwycięzca na uposażenie chrześcian obróci. Licyniusz niedaleko Adrianopolu za Hebruzem obrał warowne i bezpieczne, jak mniemał, stanowisko, ale nieprzyjaciel odkrywszy bród, bez oporu i straty przeprowadził wojsko przez rzekę, i szczęśliwym obrotem udaremniał nadzieję swojego przeciwnika. Licyniusz roku 323 na głowę porażony. Konstantyn nie tylko znakomitszym był wodzem, ale i szczęście mu sprzyjało. Licyniusz przeważał na morzu, i póki morza był panem, mógł długo jeszcze trzymać się w Bizancyum, do którego znaczne siły zgromadził i bronić Konstantynowi przeprawy do Azji zamierzył. Gwałtowna burza pędząc nawy jego ku brzegom, posilkowała flotę nieprzyjaciel-

(1) X. 4. Varia inter eos bella et pax reconciliata ruptaque est.

ską pod wodzą Kryspa, i zniweczyła najpiękniejsze nadzieje cesarza. Część okrętów roztrąciła burza o brzegi i skały, część poraził wódz naczelny Kryspus syn Konstantyna. Po przegranej Licyniusz musiał opuścić Bizancjum, dla bronienia zwycięzcy wylądowania na półwyspie Azyatyckim. W nieszczęściu mianował Marcyana, któremu najwięcej ufał, cesarem, przyrzekł dzielić z nim korzyści oręża, jeżeli mu do zwycięstwa dopomogę. Marcyan wyruszył z wojskiem do Lampsaku, a Licyniusz bronił Bosforu. I to usiłowanie nie powiodło się cesarzom; Konstantyn wylądował o kilka mil od Chryzopolu, poczem Licyniusz odwołał Marcyana i stoczył niepomyślną bitwę. Po odniesionej porażce schronił się do Nikomedyi w nadziei dalszego oporu, lecz kiedy zwycięzca zionie Licyniusza, a siostrze swojej, przyrzekł ocalenie cesarza, jeżeli dobrowolnie złoży rządy, Licyniusz poddał się r. 323 Konstantynowi. Dostojny jeńiec, równie jak Marcyan doznali napozór uprzejmiej gościnności, wkrótce jednak na ustroniu życia pozbawieni zostali. Podobnież we dwa lata później zginie z woli zwycięzcy, syn małoletni Licyniusz.

Tym sposobem został Konstantyn po siedemnastu latach zamieszani wewnętrznych, wojen domowych, okrucieństw i wiarołomstwa, jednowładczą państwa Rzymskiego. Na przydomek Wielkiego, w pospolitem znaczeniu wyrazu, zapewne zasłużył, bo krwawe przetrwał boje, odnosił znakomite zwycięstwa, w niebezpieczeństwie zachowywał przytomność umysłu, zdobywał się na pamiętne przedsięwzięcia, a w wyborze środków był w ogólności szczęśliwy.

Dwa znakomitsze zdarzenia przedstawia panowanie Konstantyna: ogłoszenie religii chrześcijańskiej religią

państwa, i zupełny na przyszłość podział cesarstwa przez założenie nowej stolicy.

Już dawniej Konstantyn wspierał, za przykładem ojca, chrześcian w Gallii i Brytanii, a na wyprawie przeciw Maxencyuszowi, widzeniem niebieskim zachęcony, jawnie oświadczył się za nimi (1). Skutkiem tego wydał w Medyolanie r. 313 edykt pozwalający każdemu wolnego wyznania wiary (2). Zabrane majątki odzyskali chrześcianie, otrzymali wolność ubiegania się o urzędy i budowania kościołów. Tym sposobem religia chrześciańska została religią państwa, a pogańska przestarzała w formach, nie odpowiadając monarchii, upadła. Oddawna ludy, wyrosłe z dziecinnych pojęć o bogach, znuzone długimi klęskami, pragnęły pociechy, uspokojenia duszy. Naprózno szukano tego w pogaństwie; wyroczenie zaniemiały; świątynie bogów opuszczone, wszędzie dookoła dawne religie upadały, a bogi i obrzędy, satyry stały się celem. W takim położeniu wykształcił się ów mnogobozny panteizm, który nie przestając na religii Rzymian, wszystkich bez różnicy bogów uczynił przedmiotem czci i hołdu. Pierwszy Hadryan jawną dał mu otuchę; za przykładem jego wspierali go następni cesarze; zwłaszcza Alexander Sewerus, Gallien i Julian. Ale nadaremnie starał się, wszystkie religie chłoniący panteizm, o zlewek wiecznie z sobą sprzecznych żywiołów; nadaremnie szukały ludy zaspokojenia w filozofii pogaństwa. Skołatanę serca znalazły w chrześcijaństwie uszczęśliwiającą spokojność duszy i wzniosłe nadzieje; chwyciły się więc nauki Chrystusa, bo ta zadowolniała ich umysł, pokrzepiała siły. I chwianie się rządu między

(1) Euseb. Vit. Const. l. 22 seqq.

(2) Lactant. de mort. persec. 48.

tolerancją a prześladowaniem, pokój i wojna naprzemian w kościele od pierwszego prześladowania chrześcian za Nerona r. 64, do ostatniego za Dyoklecjana r. 303, które Galeryusz wywołał, przyczyniły się do wzrostu kościoła chrześcijańskiego, i pomimo prześladowań, religia chrześcijańska krzewiła się po wszystkich krajach państwa Rzymskiego, a nim jeszcze Konstantyn objął rządy, liczyła od Gangiesu aż do morza Gallickiego, miliony żarliwych wyznawców, ogniwem wspólnej wiary i obrzędami ściśle złączonych. Tym sposobem wczesnie rozwinęły się towarzyskie stosunki chrześcian, a im większa była społeczność, tém dokładniejsze nastąpiło rozwinięcie. Widok tak licznych wyznawców Boskiej wiary, skłonił Konstantyna do dawania im opieki, a przy ich pomocy łatwiej mu było pokonać przeciwników, i otrzymać jednowładztwo, do którego dążył. Spory o pochodzenie i spólistność Chrystusa z Bogiem, między Aryuszem prezbiterem i Anastazym biskupem w Alexandryi wybuchły, które całym wschodem zatrzęsły, dały r. 325 cesarzowi powód mieszania się na soborze powszechnym w Nicei, do prawodawstwa religijnego. Od czasu soboru tego, często brała władza świecka udział w sprawach religijnych; władza biskupów wzrastała, kościół osiągnął znaczne swobody, darowizny, sądownictwo, nauczycieli od rządu płatnych, okazałe obrządki, obrazy świętych i relikwie. Na czele kościoła biskup Rzymski, papież, którego władza z każdym dniem powiększała się, a ludy Giermańskie w zachodnich dzielnicach państwa, wczesnie potęgę Rzymu katolickiego uznali.

10 Śród takich stosunków zamierzył Konstantyn zupełnie przekształcenie państwa i utworzenie nowego życia na ruinach przestarzałych form; lecz do ukształcenia tak

wielkich celów Rzym nie zdawał się miejscem stosownym. Obumarły podobny był do spróchniałego drzewa, któremu niepodobna przywrócić życia. Dumni i zamożni panowie, po większej części zwolennicy pogaństwa, żyli wspomnieniami świetnej niegdyś przeszłości; senat, chociaż głęboko podupadł i był bezsilny, pamiętał jeszcze upłynioną wielkość; kapłani pogańscy, nie pojmując ducha czasu, upornie służyli bogom bez znaczenia; lud nawet patrząc na pomniki Rzymu, starożytne świątynie i obrazy bogów, mógł stawić opór zamysłom cesarza, a to wszystko nie odpowiadało zamierzonemu dworowi chrześcijańskiego cesarza (1). Prócz tego od wschodu, od Gotów i Partów groziło państwu największe niebezpieczeństwo. Połączone okoliczności skłoniły Konstantyna do przeniesienia stolicy do Bizancyum. Bizancyum, miasto starożytne i zamożne, środek wielkiego państwa, sztuką i położeniem warowne, odpowiadało potrzebom i życzeniom cesarza. Przebudowane na rozkaz jego w ciągu lat ośmiu czy dziewięciu, od r. 325 do 334, stanął nowy Rzym od imienia założyciela Konstantynopolem zwany. Już roku 330 na stolicę poświęcony, zadziwiał równie wspaniałymi gmachami jak Rzym, a nagromadzone w nim z rozkazu cesarskiego zabytki i pomniki dawniej sztuki, dawały mu pozór starożytnego miasta. Lud pospolity żywiony był w początkach kosztem skarbu, a gdy wszystkie dochody krajowe, bogactwa rodzin przesiadlonych z dworem, pomniki i sztuki spływały do nowego Rzymu, starożytny w miarę tego tracił dawny blask i znaczenie. Po wybudowaniu stolicy i zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej, nastąpiło zupełnie przekształ-

(1) Marcellinus XIV. 6. XXVIII, 4.

cenie rządu; państwo Konstantyna przybierało postać i charakter państw wschodnich. Cesarz zamierzwszy utwierdzić jedność monarchii, naczelny kierunek władz chciał mieć złączony z tronem, jako środkowym punktem całości. W tym celu podzielił państwo na cztery namiestnictwa (1); trzynaście ziem (2), i sto siedemnaście dzielnic. Pierwsze namiestnictwo wschodu, zawierało pięć ziem: Wschód, Egipt, Azyą, Pont i Tracyą, czterdzieści ośm dzielnic. Drugie namiestnictwo: Illirya, liczyło dwie ziemie, Macedonią i Dacę, jedenaście dzielnic, do których Grecya i Macedonia należały. Namiestnictwo Italskie miało trzy ziemie: Italią zachodnią, Illiryą z krajami na południe Dunaju, Afrykę z wyspami morza Śródziemnego, dzielnic dwadzieścia dziewięć. Czwarte namiestnictwo Gallia, liczyło trzy ziemie: Gallią, Hiszpanią i Brytanią, dzielnic dwadzieścia ośm. Rzym i Konstantynopol, jako stolice, mając oddzielny zarząd, nie należały do namiestnictw. W namiestnictwach sprawowali zarząd prefekci pretorscy, w ziemiach wikaryusze, w dzielnicach rządcy pod nazwą prokonsulów, konsularnych, korektorów i prezesów. Urzędnicy bez wyjątku wykonywali tylko władzę cywilną. Rozłączenie władzy cywilnej i wojskowej, dało powód do utworzenia nowych dostojenstw wojskowych. Na czele całej siły zbrojnej był wódz pod mianem hetmana obojga wojska (3); pod rozkazami jego stali dowódcy piechoty i jazdy (4), a pod ich znakami komesi i niżsi przywódcy (5). Wojsko po większej części skła-

(1) Prefektury.

(2) Dyecezyj.

(3) Magister utriusque militiae.

(4) Magistri peditum et equitum.

(5) Comites, duces.

dali cudzoziemcy, mianowicie Giermanowie w państwie Rzymskiem zamieszkali. Najemne stało załogą na granicach państwa, legiony po dzielnicach były rozłożone. Dwór urządził Konstantyn na sposób Perski; liczny był poczet dworzan wedle dostojenstwa na stopnie podzielonych. Na czele było siedmiu ministrów, którym głównie zarząd kraju był powierzony; szambelan dworu (1) zwykle rzezaniec; kanclerz, dyrektor (2), właściwie nadzorca służby cesarskiej (3); sto czterdziestu pisarzy, na cztery wydziały, bióra (4), podzielonych, pod nim pracowało; minister sprawiedliwości, sekretarz stanu, zastępca władzy prawodawczej (5); minister skarbu (6); minister skarbu cesarskiego (7); dwóch dowódców wojska cesarskiego (8). Wojsko to składało 3500 Armeńczyków, na siedm oddziałów (9) podzielone. Prócz tego był główny marszałek dworu, pod którym mnóstwo mniejszych stało urzędników. Liczni urzędnicy we wszystkich odnogach zarządu krajowego, podzieleni na stopnie, byli poczęści ciężarem kraju, zwłaszcza, że uciążliwy systemat podatkowania niszczył przemysł i zamożność mieszkańców. Najuciążliwszy był podatek gruntowy w naturze lub w pieniądzach składony. Przed upływem roku, powiatami wnoszono go do skarbu. Posiadacze ziemscy płacili go w stosunku przychodów pod

(1) Comes sacri palatii.

(2) Magister officiorum.

(3) Officia.

(4) Scrinia.

(5) Quaestor.

(6) Comes sacrarum largitionum.

(7) Comes rerum privatarum principis.

(8) Comites domestici.

(9) Scholae.

imieniem łanowego, ponieważ na łany był rozłożony (1). Wyłącznie posiadłości ziemskich dotykał; cesarz co rok ilość wypisywał (2). W dzielnicach rozkładali go między właścicieli ziemskich urzędnicy wyżsi i dziesiętnicy (3). Poglówne (4) uiszczali rzemieślnicy, zarobnicy, osadnicy i niewolnicy. Za niewolników płacili panowie, właściciele. Prócz tego był podatek od przychodów i towarów (5); podatek koronny (6); dał mu początek zwyczaj składania cesarzowi podarków w złocie, z powodu ważnych w ciągu panowania wypadków. Do skarbu wpływały jeszcze dochody dominialne, z rozmaitych rękodzieł cesarskich, dziesięcina z kopalń wszelkiego rodzaju, dzierzawa ceł, dwudziesty grosz wyzwalania i spadku, w końcu liczne konfiskaty. Duchowieństwo i kościoły, dobrami miejskimi uposażone, wolne były od podatków. A zatem ciężary spadały na mieszczan i właścicieli ziemskich.

Po zwycięstwie nad Licyniuszem, prowadził Konstantyn wojnę z Gotami. Lękając się groźnego ich sąsiedztwa, stanął w obronie Sarmatów, których oręż Gotów wyparł z krajów między Cissą i Dunajem. Zwyciężywszy Gotów (Taifalów), przepisał im roku 322 warunki pokoju, a Sarmatom przez uzbrojonych niewolników wygnanym, przeznaczył siedziby w Pannonii, Tracji i Macedonii. Zamierzył jeszcze wyprawę na Persów, lecz kiedy zajmował się przygotowaniem wojennymi, śmierć zaskoczyła go w Nikomedii r. 337. Tak zakończył czynne ży-

(1) Jugatio albo capitatio, gdyż pojedyncze łany mianowano capita.

(2) Indicebatur, ztąd indictio.

(3) Decuriones.

(4) Capitalio, plebeja albo humana.

(5) Aurum lustrale, lustralis collatio albo chryzargyrum.

(6) Aurum coronarium.

cie Konstantyn Wielki, po trzydziestu jednym roku pa-
nowania, a pięćdziesiątym szóstym wieku swego. W osta-
tnich latach sprzyjał za wpływem Euzebiusza, biskupa
w Nikomedyi, Aryanom, których naukę dawniej potępiał.
Z rąk tegoż biskupa przyjął przed samym zgonem chrzest
święty, aby niezmazanym stanąć przed sądem Boga Przed-
wiecznego.

Przez tego był podał od przychodzących
row. (3); podał kotony (6); dal mu podał zwrócił
składania cesarzowi podatków w złocie, z powodu wst-
nych w ciągu panowania ~~tych~~. Do skarbca wpływały
języcze dochody dominialne, z rozmaitych rękodzielni-
sotskich, dziesięcina z kopania wszelkiego rodzaju, dzier-
żawa ciał, dwudziesty gros wywabiania i spadku, w kon-
ca łazne koniarskie. Duchowieństwo i kościoły, dobra-
mi miastkami uposażone, wolne były od podatków. A za-
tem ciżmy spadały na mieszczan i właścicieli ziemskich.
Po zwycięstwie nad Licymiaszem, prowadził Konstan-
tin wojnę z Gotami. Łękając się groźnego ich sąsiedztwa,
stał w obronie Sarmatów, którzy ówczesni Gotów wyparli
z krajów między Gieją i Dunajem. Zwyciężywszy Go-
tów (Tatlarów), przepisał im roku 332 warunki pokoju,
a Sarmatom przez uchylonych niewolników wynagrodzić
przeznaczony siedzieli w Pannoni, Tracji i Macedonii.
Kamierzył jeszcze wyprawę na Persów, lecz kiedy zaj-
mował się przygotowaniami wojennymi, śmierć zaszkoc-
ła go w Nikomedyi r. 337. Tak zakończył życie ty-

- (1) Jugatio albo capitatio. Której podobny jest łany mianowane
- capita.
- (2) Indictio, tzn. indiction, czyli rok podatkowy.
- (3) Decuriones.
- (4) Capitatio, tzn. podatek albo danina.
- (5) Annui locatib. tzn. renta albo czynsz.
- (6) Annui censurib.

ŻYCIE I SYSTEMAT

JANA-CHRZCICIELA VICO.

Przełlad z Micheleta.

Wpółród gwałtownego ruchu krytycznego, w jaki Dekart wprowadził filozofią, świat naukowy nie mógł zwracać uwagi na to, cokolwiek nie miało udziału w tym ruchu. I dlatego imię Vico jest jeszcze tak mało znane z tej strony Alp. Podczas gdy jedni bronili systematu Kartezjusza, drudzy przeciw niemu powstawali, geniusz samotny tworzył filozofią historyi. Nie powstawajmy na obojętność współczesnych Janowi Vico; starajmy się raczej wytkłómaczyć ją, i pokazać że nowa nauka dlatego tylko była zaniedbaną w ostatniem stuleciu, że dopiero nasz wiek mógł ją należycie ocenić.

Bo taki jest naturalny pochod ducha człowieczego: poznawać naprzód a potem sądzić, rozprzestrzeniać się w świecie zewnętrznym a później wchodzić w siebie samego, odnosić się do pospolitego sądu i poddawać go pod rozwagę sądu indywidualnego. Uprawiany w pierwszym peryodzie przez religią, poezją i sztuki, duch ludzki nagromadza fakty, za które kiedyś ma się wziąć

filozofia. Poczłwa on już prawd wiele, ale ich jeszcze nie uznaje. Potrzeba aby jaki Sokrates lub Dekart, spytał się go, jakim prawem on je posiada, i aby uporczywe napady nielitościwego sceptycyzmu zmusiły go do przyswojenia ich sobie, przez ciągle stawanie w ich obronie. Duch ludzki niepokojony tak i niepewny posiadania mniemań, które bliżej dotykają jego istoty, pogardza przez niejaki czas wszelką wiadomością, której nie może mu potwierdzić uczucie jego wewnętrzne; ale raz się ustaliwszy, wyjdzie ze świata wewnętrznego z nowemi siłami, aby się chwycić znowu nauki faktów historycznych: szukając ciągle prawdy, nie odrzuci i prawdopodobieństwa, a filozofia porównywając i sprawdzając sąd indywidualny przez sąd pospolity, zawrze w nauce człowieka naukę całej ludzkości.

Ta ostatnia epoka zaczyna się dla nas. Dążenie historyczne jest naszą wybitną cechą. Już pragniemy aby fakty były prawdziwe w najdrobniejszych szczegółach; taż sama miłość prawdy powinna nas prowadzić, do odszukiwania związku między faktami, do upatrywania praw, które rządzą niemi, i nareszcie do zastanowienia się czyli historia nie może być ujętą w formę naukową.

Gieniusz proroczy Vico, już dawno oznaczył ten cel, do którego się codziennie zbliżamy. Jego systemat z końca ostatniego stulecia, wydaje się jako dziwna protestacya tej części ducha człowieczego, co spoczywa na mądrości przeszłych czasów przechowanej w religii, w językach i w historii, na tej mądrości ogólnej, matce filozofii, choć często nieocenananej przez nią dostatecznie. Protestacya ta musiała powstać w Italii. Mimo subtelność Cardana i Jordana Bruno, sceptycyzm niebędący kierowany przez reformę w swym rozwoju, nie mógł tam

sobie zapewnić trwałego i ogólnego powodzenia. Przeszłość ściśle złączona z religią, zachowała swą władzę. Religia katolicka broniła się swą odwiecznością przeciw różnowiercom, a tém samém zalecała naukę historii i języków. Nauki które w średnich wiekach znalazły schronienie i połączyły się na łonie religii, w Italii mniej niż gdzieindziej doświadczyły dobrych i złych skutków specjalnego się niemi zajęcia; jeżeli większa ich część nie tak znaczne uczyniła postępy, za to związek między nimi nie został rozerwany. Południowa Italia szczególnie zachowała ten popęd do uniwersalności, który kiedyś cechował wielką Grecyą. W starożytności szkoła Pytagorejska łączyła metafizykę z geometryą, moralność z polityką, muzykę z poezją.

W XIII wieku szkoła przebiegła całe koło wiadomości ludzkich, aby pogodzić naukę Arystotelesa z nauką kościoła. Nareszcie w XVII wieku sami tylko prawnicy Neapolitańskiego królestwa, pozostali wierni temu starożytnemu określeniu prawnictwa: *scientia rerum divinarum atque humanarum*. W takimto kraju musiano się po raz pierwszy pokusić ztopić wszystkie umiejętności, mające za cel człowieka, w jeden obszerny systemat, któryby zbliżył historią faktów do historii języków, oświecając obie za pomocą nowiej krytyki, i któryby pogodził filozofią z historią, wiedzę z religią.

W każdym razie trudno byłoby zrozumieć to zjawisko, gdyby Vico sam nie objawił nam, jakie prace ułatwiły mu zbudowanie jego systematu. (Życie Vico przez niego samego opisane). Następujące szczegóły wyjęte są z tego nieoszacowanego pomnika:

Jan-Chrzyciel Vico, syn biednego księgarza, urodzony w Neapolu w r. 1668, odebrał wychowanie właściwe

tamtym czasom: składało się ono z nauki języków starożytnych, scholastyki, teologii i prawa. Ale zanadto lubił on widoki ogólne, aby z zamiłowaniem zająć się praktyką prawa. W jednej tylko stawał sprawie, w obronie ojca, wygrał ją i porzucił sądy; miał wtedy lat szesnaście. Wkrótce potem z potrzeby przyjął na siebie obowiązek nauczania prawa siostrzeńców biskupa d'Ischia. Mieszka-
jąc przez lat 9 w rozkosznym ustroniu Vatolla, poszedł swobodnie po drodze, którą mu wytknął gieniusz jego, i podzielił prace swoje między poezyą, filozofią i prawo. Nauczycielami jego byli: prawnicy Rzymscy, boski Plato, i ten Dante, do którego tak dużo miał podobieństwa, przez swój charakter melancholiczny i ognisty. Dotąd jeszcze pokazują w klasztorze małą bibliotekę, gdzie on pracował i gdzie może być, powziął pierwszy, myśl nowej nauki.

„Gdy Vico wrócił do Neapolu (mówi on sam o sobie, był jakby cudzoziemcem w swój ojczyźnie. Filozofii uczono się tylko z rozmyślań Dekarta i z jego rozprawy o metodzie, gdzie odrzuca uprawę poezyi, historii i wymowy. Platonizm, który tak szczęśliwie tchnął w nie w XVI wieku, który wskrzesił jak gdyby starą Grecyą w Italii, leżał pokryty kurzem klasztornym. W nauce prawa komentatorowie nowsi więcej cenieni od tłumaczy starożytnych, poezya skazona przesadą, przestała czerpać w potokach Danta i w przezroczystych strumykach Petrarcki. Nawet Łacińskim językiem mało się zajmowano; nauki, umiejętności również słabły”.

Bo ludy równie jak oddzielni ludzie nie wyrzekają się bezkarnie swój oryginalności. Duch Italski chciał pójść za popędem filozoficznym Francyi i Anglii, i sam się wycieńczał. Umysł prawdziwie Italski nie mógł się poddać

temu nowemu najazdowi cudzoziemców na Italią. I wtedy właśnie, kiedy cały wiek chciwie oczy zwracał na przyszłość i rzucał się na nową drogę, którą mu odkrywała filozofia, Vico miał dosyć odwagi cofnąć się do tej starożytności tak wzgardzonej, i wcielić się w nią zupełnie. Zamknął komentatorów i krytyków, i wziął się do studyowania oryginałów, jak robiono w czasie odrodzenia nauk. Pokrzepiony przez te studia głębokie, odważył się zacząć kartezyanizm nietylko w jego części dogmatycznej, ale nawet w jego metodzie, której się chwycili sami przeciwnicy Dekarta, i przez którą jój autor pawał nad Europą. I właśnie w rozprawie, w której Vico porównywając metodę nauczania starożytnych z metodą której się nowsi trzymają, wykazuje niestosowności i niedogodności téj ostatniej, przenikliwość jego doskonale się wyraziła (1). Nigdzie nie uderzono na nadużycia nowój filozofii z większą siłą i umiarkowaniem: na odstrychnięcie się od nauk historycznych, lekceważenie sądu pospolitego ludzkości, na manią uchwycenia w prawidła sztuczne tego, co wypada zostawić indywidualnej oględności, na zastosowanie wreszcie metody geometrycznej do rzeczy, które nie wytrzymują ścisłego dowodzenia i t. d. Ale z drugiej strony ten wielki duch, nie staje w szeregach tych ludzi, co ślepo potępiają systemat Kartezjusza, ale przyznaje głośno dobroczynne jego skutki. „Winniśmy wiele Descart'owi, który przyjął sąd indywidualny za miarę prawdy; wszystko na powadze gruntować, było za zbyt ponizającym niewolnictwem. Winni-

(1) Zadaje on tam następujące pytanie: Czy nie możnaby ożywić jedynym duchem wszeźwiedzy boskiej i ludzkiej, połączyć wszystkie nauki i przedstawić teraz Platona albo Arystotelesa z całą przewyżką wiedzy jaką mamy nad starożytnymi?

śmy mu wiele za to, że chciał ująć myśl w metodę; porządek scholastyków, było istny nieład. Ale chcieć aby sąd indywidualny sam panował, chcieć wszystko poddać pod geometryczną metodę, jestto wpaść w drugą ostateczność. Czasby już średniej chwycić się drogi, iść za indywidualnym sądem, nie uwłaczając powadze; używać metody, ale metody rozmaitej stosownie do natury rzeczy”.

Ten co naznacza prawdzie podwójne kryterium: sądu indywidualnego i sądu pospolitego, tém samém na odrębnej stanął drodze. Dzieła później ogłoszone, nie mają już charakteru polemicznego. Sąto rozprawy publiczne lub małe dzieła, gdzie Vico rozwija pojedynczo mniemania rozmaite, które miał później połączyć w jeden rozległy systemat. Jedno z tych dzieł ma tytuł: Rys systematu prawa, przez który objaśniłby można prawo cywilne Rzymian, za pomocą zmian w ich rządzie. W inném zamierza dowieść: „że starożytna mądrość Italska da się odszukać w etymologiach Łatyńskich”. Jestto zupełny traktat metafizyki wysnutej z historii języka. Te prace pokazują, jaką jeszcze drogę miał przebieść Vico, aby dojść do nowój nauki. Mądrość jaką napotyka w prawie Rzymskiém i w języku dawnych Italów, odnosi on do mądrości prawników i filozofów, zamiast tłómaczyć ją przez mądrość instynktową, którą Bóg obdarzył narody; jak to robi później. Mniema on nadto, że cywilizacya Italska, że prawodawstwo Rzymskie, przeniesione były do Italii z Egiptu lub Grecyi.

Aż do roku 1719 nie było jedności w badaniach Vico, a ulubieni jego autorowie Platon, Tacyt i Bakon, nie mogli mu jój udzielić: „Tacyt zastanawia się nad człowiekiem takim jakim on jest, Platon jakim być po-

winiem. Plato rozważa dobre z mądrością spekulacyjną, Tacyt bada użyteczne z mądrością praktyczną. Bacon łączy te dwa charaktery (*cogitare, videre*). Ale Platon w pospolitej mądrości Homera, szuka raczej ozdoby aniżeli podstawy dla swój filozofii, Tacyta mądrość rozprasza się w ciągu wypadków; Bacon w tém co dotyczy prawa, nie dosyć robi abstrakcyi od czasu i miejsca i nie dochodzi do wysokiego ogółu; Grotius ma to na czém im zbywa wszystkim; on zamyka w swoim systemacie prawa powszechnego filozofią i teologią, opierając obie na historii faktów, bądź prawdziwych bądź bajecznych, i na historii języków."

Czytanie Grotiusa ustaliło jego myśli i zadecydowało poczęcie jego systematu. W rozprawie czytanój r. 1719 traktował on następujący przedmiot: Pierwianki wszędywiedzy Bożkiej i ludzkiej, można sprowadzić do trzech: *poznać, chcieć, móc*; jedyną ich zasadą jest: myśl (*mens*); oko jego, rozum, odbiera od Boga światło prawdy wieczystej. Wszelka wiadomość pochodzi od Boga, wraca do Boga, jest w Bogu. Dalej stara się dowieść fałszywość wszystkiego, co się nie godzi z tą nauką. Byłoby więcej obiecywać, mówili niektórzy, aniżeli *Pic de la Mirandole*, kiedy ogłosił swoje tezy: *de omni scibili*. W samój rzeczy, w rozprawie swojej Vico mógł tylko pokazać część filozoficzną swego systematu, nie tykając dowodów, to jest całej części filologicznej. Zmuszony niejako tym sposobem rozwinąć dalej myśli swoje, ogłosił wkrótce dwa dzieła pod tytułem: Jedność zasady prawa powszechnego 1720, i o jednolitości wiadomości prawnika (*de constantia jurisprudentis*) to jest pogodzenie filozofii z filologią 1721. Wkrótce potem ogłosił objaśnienia do tych dwóch dzieł, w których zastoso-

wał do Homera nową krytykę, której zasady wyłożył poprzednio. Jednakowoż te rozmaite rozprawy nie stanowiły jednego ciała nauki; zamiarem jego było zjednoczyć je w jednym dziele, które też wyszło w r. 1725 pod tytułem: *Zasady nowej nauki, mającej na celu wspólną naturę narodów, za pomocą których odkrywają się nowe zasady naturalnego prawa narodów*. To pierwsze wydanie nowej nauki, jest zarazem ostatnim wyrazem autora ze względu na grunt jego myśli. Ale w następnych wydaniach forma zupełnie zmieniona. W pierwszym autor trzyma się metody analitycznej; i ona ma nieskończoną wyższość pod względem jasności. A jednakże właśnie w wydaniach z r. 1730 i 1740, chciano upatrywać szczególnie wyrażenie się gieniuszu Vico. W nich zaczyna on od axyomatów, włączając w nie wszystkie myśli szczegółowe, i przymusza się do metody geometrycznej, niewiele stosownej do przedmiotu. Mimo wynikający ztąd brak jasności, mimo dziwaczną terminologią, której autor często nie objaśnia, w całości systemu w ten sposób przedstawionego, jest jakaś wspinałość, nakazująca i ponura poezya przypominająca Danta.

W nieskończonej różnorodności czynów i myśli, obyczajów i języków, którą nam historia przedstawia, znajdujemy nieraz też same rysy, też same cechy. Narody najbardziej oddalone miejscem i czasem, odbywają w zmianach językowych i politycznych pochod szczególnie analogiczny. I właśnie przedmiotem nowej nauki jest: odłączyć zjawisko regularne od przypadkowych i oznaczyć prawa ogólne co rządzą nimi; skreślić historią powszechną wieczną, która się objawia w czasie pod formą historii cząstkowej, i opisać koło idealne, w którym krąży

świat rzeczywisty. Jest więc ona zarazem filozofią i historią ludzkości.

Religia, zasada twórcza i zachowawcza wszystkich towarzystw, nadaje jej jedność. Dotąd mówiono tylko o teologii naturalnej; nowa nauka jest teologią socyalną, świadectwem opatrności w historii, historią wyroków, przez które ona rządzi wielkim narodem rodzaju ludzkiego, bez wiedzy ludzi, często mimo ich wolę.

Któż nie uczuje Bożkiej rozkoszy, w tém śmiertelném ciele, rozważając ten świat narodów, tak urozmaicony w charakterach, czasie i miejscu, w jedni myśli Bożkich?

Inne nauki chcą kierować człowiekiem i starają się doskonalic go, ale żadna jeszcze nie obrała sobie za przedmiot poznanie zasad cywilizacyi, która właśnie jest wspólnym ich wszystkich początkiem. Nauka, która nam wyświeci te zasady, da nam możność wymierzyć drogę, którą przebiegają narody w ich postępie lub upadku, wyrachować czas ich życia. Wtedy poznamy sposoby, przez które towarzystwo może się wznieść i osiągnąć najwyższy stopień cywilizacyi, do jakiej jest zdolne, wtedy teoria i praktyka podadzą sobie ręce, uczeni filozofowie i mędrzy, mądrość spekulacyjna i mądrość instynktowa, pogodzą się wtedy z sobą; a od zasad téj nauki uczyłowienia, będzie się można oddalić, chyba zrzekając się charakteru człowieka, wyłączając się z ludzkości.

Nowa nauka czerpie z dwóch źródeł: z filozofii i filologii. Filozofia śledzi prawdę za pomocą rozumu; filologia lada rzeczywistość; jestto nauka faktów i języków. Filozofia musi opierać swe teorie na pewności faktów;

filologia musi pożyczać od filozofii teorii, aby podnieść fakty do charakteru prawd powszechnych, wieczystych.

Jaka filozofia będzie żywotną? — ta właśnie, która podniesie i kierować będzie upadłym i wiecznie słabym człowiekiem, nie odrywając go od jego natury, nie oddając go na łup zepsuciu. Dlatego niechaj do szkoły nowej nauki nie wchodzi Stoicy, którzy opowiadają śmierć zmysłów, ani Epikurejczycy, którzy ster człowieka w ręce zmysłów oddają; tamci wprzegają się w jarzmo przeznaczenia, ci przypadkowości; i jedni i drudzy odrzucają opatrność. Te dwie nauki izolują człowieka, i powinny się nazywać filozofiami samotniczymi. I przeciwnie, niech wejdą do naszej szkoły filozofowie politycy, a szczególnie Platonieści, bo oni są w zgodzie ze wszystkimi prawnikami, co do trzech naszych zasadniczych pierwiastków, wierząc: w istnienie Bożkiej opatrności, w konieczność miarkowania namiętności i przerabiania ich na cnoty ludzkie, w nieśmiertelność duszy. Te trzy prawdy filozoficzne odpowiadają trzem faktom historycznym: powszechnemu ustanowieniu religii, małżeństw, i pogrzebów. Wszystkie narody oblokły te trzy rzeczy charakterem świętości: nazywano je *humanitatis commercia* (Tacyt), albo używając jeszcze wznioślejszego wyrażenia: *foedera generis humani*.

Filologia, nauka rzeczywistości, nauka faktów historycznych i języków, dostarczy materiałów nauce prawdy, filozofii. Ale faktyczność, dzieło indywidualnej wolności, niepewnej jest natury. Jakież będzie kryterium, za pomocą którego odszukamy w jego zmienności niezmienny charakter prawdy? — Sąd pospolity, to jest sąd bez uznania, wydany przez pewną klasę ludzi, przez naród, przez ludzkość; powszechna zgoda sądu ogólnego ludów

stanowi mądrość rodu ludzkiego. Sąd pospolity, mądrość powszechną dał Bóg za modłę towarzyskiemu światu. Mądrość ta objawiając się w podwójnej formie: czynów i języków, nie traci swój jedności, przy całej ich różnorodności, pochodzącej z przyczyn miejscowych; i jedność ta wyciska na nich charakter analogiczny u narodów najbardziej odosobnionych. Ten charakter najjaśniej spotrzącać się daje w tém, co dotyczy prawa natury. Zapytajmy wszystkie narody o pojęcia, jakie sobie tworzą o stosunkach towarzyskich; zobaczymy, że je jednakowo rozumieją, choć je wyrażają rozmaicie; toż samo w przysłowia, które są pewnikami mądrości narodu. Napróźnobyśmy się starali wytłómaczyć tę jednakowość prawa natury, przypuszczając, że jeden naród udzielił go wszystkim. Wszędzie ono jest rodzime, wszędzie wszczepione przez opatrność w obyczaje narodów.

Ta tożsamość myśli ludzkiej, uznana w czynach i mowie, rozwiązuje wielkie zadanie w towarzyskości człowieka, które tak niepokoiło filozofów; i gdyby węzeł nie był rozplątany, moglibyśmy go rozciąć jednym wyrazem: żadna rzecz nie zostaje długo w nienaturalnym stanie; człowiek jest towarzyski, bo żyje w towarzystwie.

W rozwoju społeczności ludzkiej, w pochodzie cywilizacji, dają się odróżnić trzy wieki, trzy okresy: wiek Bozki czyli teokratyczny, wiek bohaterów czyli heroiczny, i wiek ludzki czyli ucywilizowania. Temu podziałowi odpowiada podział na czasy: ciemne, bajeczne, historyczne. Dokładność tej klasyfikacji szczególnie się okazuje w historii języków. Język którym mówimy, musiał być poprzedzony przez język metaforyczny i poetyczny, a ten znowu przez język hieroglificzny czyli święty. Zajmiemy się głównie dwoma pierwszymi okresami.

Przyczyn tej cywilizacji, z której tak dumni jesteśmy, szukać trzeba w wiekach nazywanych zwykle barbarzyńskimi, którym stosowniejsza należałaby się nazwa, wieków religijnych i poetycznych. Cała mądrość rodu ludzkiego, zawierała się w nich już w zarodku. Ale ileż trudności staje nam na zawadzie, gdy zechcemy się cofnąć w te czasy tak od nas odległe? Większa część pomników zaginęła; przesąd wieków następnych przemienił, albo zeszpecił te, co pozostały. Nie mogąc odszukać początków społeczności, a nie chcąc być zupełnie w tym względzie nieświadomymi, wystawiano sobie starożytną ciennotę według nowej cywilizacji; próżność uczonych, co lubią oddalać początek ulubionej nauki, pomagała próżności narodów. Uderzeni szczęśliwym instynktem, który przewodniczył pierwszym ludziom, uczeni wynosili ich oświatę, zaszczycali ich mądrością, która się Bogu należy. My będąc przekonani, że we wszystkim początki są grube i proste, będziemy uważać Zoroastrów, Hermesów, Orfeuszów, nie tak za twórców jako raczej za wynikiłości i wypadek starożytnej cywilizacji, a początek bałwochwalczej społeczności odniesiemy do wrodzonego uczucia, które zbliżyło do siebie jeszcze nieokrzesanych ludzi pierwszych wieków. Założycielami towarzystw ludzkich są dla nas te Cyklopy, o których mówi Homer, te olbrzymy od których zaczyna się historia pogańska, równie jak historia święta. Po potopie, pierwsi ludzie, wyjąwszy patryarchów przodków ludu Bożkiego, musieli powrócić do dzikiego życia, i przez twarde wychowanie nabrać olbrzymich postaci ludzi przedpotopowych. (*Nudi ac sordidi in hos artus, in haec corpora, quae miramur, excrescunt. Tac. Germ.*). Rozproszyli się po lasach, co pokrywały całą ziemię, odda-

ni całkowicie potrzebom fizycznym, dzicy, bez prawa, bez Boga. Napróżno natura otaczała ich cudami; im więcéj zjawiska jéj miały regularności a tém samém godne były podziwu, tém więcéj ludzie ci, przez przyzwyczajenie, stawali się obojętnymi na nie. Kto mógł przepowiedzié w jaki sposób przebudzi się myśl ludzka? Ale grzmot dał się słyszeć, jego straszne skutki spostrzeżono, przestraszone olbrzymy uznają po raz piérwszy wyższą potęgę, i nazywają ją Jupiterem; tym sposobem w podaniach wszystkich ludów, Jupiter ściele olbrzymy. Taki jest początek pogaństwa, które zrodziła łatwowierność a nie oszustwo, jak to tyle razy powtarzano.

Bałwochwalstwo było konieczném dla świata *pod względem towarzyskim*: bo jakaż potęga mogła lepiej uskromić tę bezrozumną dumę siły, co odosobniała ludzi, jeżeli nie religia pełna postrachu? *pod względem religijnym*: bo czyż nie musiał człowiek przejść przez tę religią zmysłową, aby dojść do religii rozumu, a z niéj znowu przejść do religii wiary? Ale jakże wytłómaczyć ten piérwszy krok ducha ludzkiego, to przejście stanowcze od zwierzęcości do ludzkości? Jakim sposobem w stanie cywilizacyi tak wysokiéj jak nasza, w którój duch za pomocą używania mowy, pisma i rachunku, nabrał nieprzewycięzionej skłonności do abstrakcyi, jakim sposobem zdołamy przenieść się do wyobraźni tych ludzi, wcale oddanych zmysłom, i jak gdyby zagrzebanych w materyi? Na szczęście posiadamy o dzieciństwie i piérwszém rozwinięciu się rodzaju, najpewniejsze i najszacowniejsze świadectwo: dzieciństwo indywiduów. Dziecię dziwi się wszystkiemu, bo nic nie zna, a posiadając imaginacyą potężną w miarę słabości abstrakcyi, przy wyłączném rozwinięciu się pamięci, naśladowuje w najwyższym stopniu.

Ono sądzi o wszystkiém wedle siebie samego, i przypuszcza chęć wszędzie, gdzie widzi ruch. Tacy byli i pierwsi ludzie. Całą naturę przedstawiali sobie, jako rozległe ciało, żywe, namiętne, jak oni sami. Mówili często za pomocą znaków; i sądzili że błyskawica, pioruny, były znakami téj strasznej istoty. Nowe uwagi pomnożyły symbole Jupitera, a połączenie ich utworzyło język tajemniczy, za pomocą którego, on raczył objawiać ludziom swą wolę. Wyrozumienie tego języka stało się nauką pod imieniem wieszczby, teologii mistycznej, mitologii, muzy.

Powoli wszystkie zjawiska natury, wszystkie jej stosunki do człowieka, i ludzi do siebie, zostały ubóstwione. Bo przypisywać życie nieżywotnym istotom, zamykać w ciało rzeczy niematerialne, tworzyć istoty nicistniejące w rzeczywistości, to właśnie stanowi potrójną kreacją fantastycznego świata bałwochwalstwa.

Bóg pojmowany jako czysta abstrakcja, tworzy istoty przez to, że je zna; pierwsi ludzie, potężni niewiedomością, tworzyli po swojemu, za pomocą siły imaginacji, jeśli rzecz można, zupełnie materialnej. *Poeta* znaczy twórce; oni więc byli poetami; a taka była wzniosłość ich twórców, że się ulekli ich sami, i padli ze drżeniem przed własnym dziełem. (*Fingunt simul creduntque. Tac.*).

Dla téjto właśnie poezji Bożkiej, która tworzyła i tłumaczyła świat niewidzialny, wynaleziono imię *magdrości*, o które się później upomniała filozofia. W rzeczy samej, poezja stanowiła, już dla pierwszych wieków filozofią bez abstrakcji, filozofią imaginacji i uczucia. Poeci *czuli* to, co filozofowie *pojeli* później; a jeżeli jak mówi szkoła: nic nie ma w myśli czego nie było w zmysłach, poeci stanowili zmysły, filozofowie myśl ludzkości.

Też same ubóstwione przedmioty, służyły także w początkach, do wyrażenia myśli ludzkich. Zamiast powiedzieć: *morze*, ukazywano na nie ręką, później mówiono *Neptun*; jestto właśnie język bogów, o którym mówi Homer. Imiona trzydziestu tysięcy bogów Łatyńskich, zebrane przez Warrona, i Greckich niemniejsza liczba, tworzyły słownik Bozki tych dwóch narodów. Ponieważ pierwsiastkowo, za pomocą czynów tylko można było mówić językiem Bozkim, przeto każda czynność była uświęcona.

Życie było nieprzerwanym ciągiem niemych obrządków religijnych. Ztąd powstały w prawie Rzymskiem *acta legitima*, *pantomimy*, towarzyszące wszystkim umowom cywilnym. Hieroglify były pismem, właściwem temu nieudolnemu językowi, a nie wynalazkiem filozofów dla przechowania głębokich tajemnic mądrości. Wszystkie narody barbarzyńskie musiały od tego zaczynać, zanim utworzyły sobie lepszy systemat mowy i pisma. I ta mowa niema była stosowna do wieku w którym panowała religia, bo ona chce być szanowaną raczej aniżeli roztrząsaną.

W wieku heroicznym, język Bozki trwał ciągle, język ludzki byt swój zaczynał; ale był język właściwy temu wiekowi: sęto emblemata, dewizy, nowy rodzaj znaków mających pośredni do myśli stosunek. Do tego rodzaju należą herby bohaterów; język ten przeniesiony do języka ludzkiego (artykułowanego), musiał dać początek porównaniom, metaforom i t. d. W ogóle metafora stanowi tło języka.

Pochód myśli odpowiada pochodowi czynów: to będzie pierwszą zasadą, której się trzymać będziemy w badaniach etymologicznych. Teraz stopnie cywilizacji mo-

gą być tak oznaczone: lasy, chaty, wsie, miasta, to jest towarzystwa obywateli; akademie, to jest towarzystwa uczonych; ludzie mieszkają najprzód na górach, później na równinach, a nareszcie po wybrzeżach. Myśl i udoskonalenie mowy, musiało iść tym samym porządkiem. Ta zasada etymologiczna wystarcza szczególnie dla języków rodzimych, dla języków tych narodów, do których cudzoziemcy wstępu nie mają, dopóki go sobie orężem albo za pomocą handlu nie zrobią. Ona pokazuje o ile mylili się filologowie, utrzymując, że znaczenie języka jest dowolne. Początek języka jest naturalny; znaczenie musiało się gruntować na naturze. Można uważać, że Łaciński język jest więcej heroiczny, nie tak subtelny jak Grecki; wszystkie jego wyrazy są pożyczone od przedmiotów wieśniaczych i dzikich.

Język heroiczny zamiast imion pospolitych, używał imion własnych i nazwisk ludów; starożytni Rzymianie nazywali Tarentynem człowieka wyperfumowanego, wszystkie ludy starożytności mówiły: *Herkules* zamiast *heros*. To tworzenie charakterów idealnych, coby się zdawało wysileniem sztuki, było potrzebą dla ducha ludzkiego. Spójrzjmy na dziecię. Imiona pierwszych osób, pierwszych rzeczy, które widziało, nadaje ono wszystkim tym osobom i rzeczom, w których jakąkolwiek upatruje analogią. Podobnymże sposobem pierwsi ludzie, niezdolni do utworzenia abstrakcyjnego pojęcia *poety*, *bohatera* (*herois*), nazwali wszystkich bohaterów imieniem pierwszego bohatera, wszystkich poetów imieniem pierwszego poety. Za pomocą instynktowej skłonności do jednakowości, dodali do tych pierwiastkowych pojęć wymysły szczególnie godzące się z rzeczywistością; i pomalu imiona *heros*, *poeta*, które z początku indywidualum

szczególne oznaczały, zawarły w sobie wszystkie charakterystyki doskonałości, które mogły się pomieścić w typie idealnym heroizmu, poezyi. Prawda poetyczna, wypadek tój podwójnej roboty, była istotniejszą od prawdy rzeczywistój. Jakiż bohater historii wypełni tak doskonale charakter heroiczny, jak Achilles w Iliadzie?

To dążenie ludzi do umieszczania typów idealnych pod imionami własnymi, nappełniło początki historii trudnościami i pozornymi sprzecznościami. Typy te brano za indywidualia. Dlatego wszystkie wynalazki starożytnych Egipcyan, należą się Hermesowi. Pierwsza konstytucya Rzymu, nawet ta jej część moralna, co zdaje się wynikać ze zwyczajów, wychodzi już doskonałą z głowy Romulusa. Wszystkie czyny, wszystkie prace heroicznój Grecyi, składają życie Herkulesa; Homer nareszcie, stojący na granicy czasów heroiczych i historii, sam jeden jest przedstawicielem całej cywilizacji. I przez dziwny przywilej, ludzi tych nie zrodziły powoli czas i okoliczności; sami się rodzą i zda się że są twórcami swego wieku i ojczyzny. Uważajmy imiona Hermesa, Romulusa, Herkulesa i Homera, jako wyrazy pewnych charakterów narodowych pewnej epoki, jako oznakę typu wynalazczego ducha w Egipcie, społeczności Rzymskiej w jej związkach, heroizmu Greckiego i poezyi narodowej pierwszych wieków tegoż narodu; wtedy trudności nikną, sprzeczności tłómaczą się same, jasność niezwykła błysnie wśród ciemnej starożytności.

Weźmy Homera i zobaczmy jak wszystkie nieprawdopodobieństwa, do prawdy życia jego i charakteru stają się naturalnemi, koniecznemi.

Dlaczego wszystkie ludy Greckie o jego urodzenie spór wiodły, i wszystkie za swego obywatela go mieć

chciały?—bo każde pokolenie widziało w nim swój charakter, bo Grecya cała poznawała się w nim, bo ona sama była Homerem.

Dlaczego tyle jest zdań rozmaitych o czasie jego życia?—bo on żył rzeczywiście w ustach i pamięci narodu, całe pięć wieków po wojnie Trojańskiej. *W młodości napisał Iliadę*: Grecya młoda wtedy, cała trawiona ogniem namiętności wzniosłych, gwałtownych ale szlachetnych, stworzyła swego bohatera Achillesa, bohatera sily. *W starości napisał Odyseę*: Grecya dojrzalsza, daleko później poczęła charakter Ulissesa, bohatera mądrości. *Homer był biedny i ślepy*: w osobie rapsodów, co zbierali pieśni narodowe, i chodzili z miasta do miasta powtarzając je bądź na placach publicznych, bądź na uroczystościach bogów. I wtedy, jak dziś, ślepi musieli najczęściej prowadzić życie żebrackie i tułacze; zresztą przewaga ich pamięci, czyniła ich zdolniejszymi do z pamiętania tylu tysięcy wierszy.

Homer, nie będąc człowiekiem, ale oznaczając zbiór pieśni improwizowanych przez cały naród a zebranych przez rapsodów, jest tém samém usprawiedliwiony ze wszystkich zarzutów jakie mu czyniono: z trywialności obrazów, wolności i mieszaniny dyalektów. Któż może się dziwić temu, że on podniósł ludzi do wysokości bogów, a zniżył bóstwo aż do słabości człowieczych? Czyż naród nie tworzy sobie bogów na swój obraz? Duch Homera tłómaczy się z równą łatwością; niezrównana potęga wynaleźnienia, którą podziwiają w jego charakterach, dzika oryginalność porównań, żywość w malowaniu śmierci i bitew, jego patetyczność wzniosła, wszystko to nie może być tworem jednego człowieka, ale całego wieku heroicznego. Bo jakąż wtedy siłę posiada

imaginacya, pamięć, namiętności, które tchnieniem swoim tworzą poezyą?

Trzy główne tytuły Homera, lepiej odtąd są wyjaśnione: on jest istotnie początkiem cywilizacyi w Grecyi, ojcem poetów, źródłem wszęej Greckiej filozofii. To ostatnie miano wymaga objaśnienia: filozofowie nie wyjęli swoich systematów z Homera; chociaż starają się dodać im więcej powagi za pomocą jego powieści; ale znaleźli tam powód do badań i łatwość wyłożenia i upowszechnienia swych nauk.

Jednakże można nastawać na to: przypuściwszy, że cały naród był poetą, jakim sposobem mógł on wynaleźć sztukę stylu, epizody, te obroty szczęśliwe, ten rytm poetyczny? A jakżeby mógł nie wynaleźć tego wszystkiego? obroty powstały z trudności wyrażenia się; ustępy z niezręczności, która nie umie wyróżnić i usunąć tego, co nie prowadzi do celu. Co się zaś tyczy rytmu poetycznego i muzycznego, rytm ten jest właściwy człowiekowi; jakliwi starają się mówić śpiewając; w napaździe namiętności głos się zmienia i zbliża się do śpiewu. Wszędzie więrsz poprzedził prozę.

Przejsć z poezyi do prozy, było to abstrahować i uogólniać; bo język poezyi jest wcale konkretny, szczegółowy. Sama nawet poezya, chociaż wyszła już z użycia pospolitego, przyjęła wyrażenie ogólne. Zamiast imion własnych, które w czasie ubóstwa języka służyły jej do oznaczenia charakterów, zaczęła używać imion wymyślonych, i poczęła charaktery czysto idealne. Było właśnie początek trzeciego wieku, wieku ludzkiego poezyi.

Odkrywszy początek religii, poezyi i języków, znamy początek bałwochwalczych społeczeństw. Głównym ich pomnikiem są poemata Homera; do tego dodać należy

historią pierwszych wieków Rzymu, która przedstawia nam najlepszy komentarz bajecznej historii Grecyi. W rzeczy samej, ponieważ Rzym był założony wtedy, kiedy język narodów Łatyńskich znaczne już uczynił postępy, dlatego też heroizm Rzymski, młody jeszcze wpośród ludów już dojrzałych, przemówił językiem zwykłym, gdy tymczasem heroizm Grecki, używał i języka heroicznego.

Początek religii jest początkiem towarzystw; olbrzymie przestraszone piorunem, który im odkrył wyższą potęgę, skryli się w grotach. Stan zwierzęcy skończył się z życiem tułaczem. Zapewniają sobie stałe schronienie, zatrzymują siłę towarzyską, i familia powstaje. Pierwsi ojcowie familii są pierwszymi kapłanami i pierwszymi mędrcami, ponieważ cała mądrość zawiera się w religii. Będąc panami niezawisłymi swój familii, są oni także pierwszymi królami; ztąd imię *patryarcha* (ojciec i król). Wpółród tak wielkiego barbarzyństwa jurzmo musiało być okrutne i twarde. Polifem Homera, jest w oczach Platona obrazem pierwszych ojców familii. I koniecznie musiało być tak, aby ludzie upokorzeni przez rząd familii, łatwiej się ugięli pod prawem rządu obywatelskiego, który miał nastąpić.

Ale ci niezawisli królowie familii, podlegają sami potędze bogów, których rozkazy żonom swym i dzieciom tłómaczą; a ponieważ wtedy czynność każda poddana była Bogu, dlatego rząd był w rzeczy samej teokratyczny.

I otożto jest ów wiek złoty, tak rozśławiony przez poetów, wiek w którym bogi rządzą na ziemi. Całą cnotę wieku tego stanowi barbarzyński zabobon, który jednak dzielnie służy do powściąganiania ludzi, mimo ich zwierzęcość i dziką zuchwałość. A jakkolwiek drżeniem

nas przejmują te krwawe religie, nie zapominajmy nigdy, że to pod ich opieką powstały najslawniejsze społeczeństwa w świecie. Bezbożność nic nie stworzyła.

Wkrótce familia nie składała się z osób tylko krwią połączonych. Nieszczęśliwi co pozostali przy wspólności dóbr i kobiet, oddani wiecznym klótniom, nieochybnie ztąd wynikającym, chcąc ująć przemocy gwałtownych przeciwników, przybiegli do ołtarzów, co stały na wysokościach, oddając się pod opiekę silniejszym. I to było pierwsze *asylum*, *vetus urbes condentium consilium*, mówi Liwiusz. Silni gromili napastników, i brali pod opiekę tych co się do nich schronili.

Potomkowie Jupitera, to jest zrodzeni pod jego wróżbą, z pochodzenia i z cnoty byli bohaterami. W ten sposób utworzył się charakter idealny starożytnego Herkulesa; *herōes* byli Heraklidami, t. j. dziećmi Herkulesa, tak jak mędracy nazywali się dziećmi mądrości &c. Nowi przybysze, których interes, a nie religia, pociągnął do społeczeństwa, nie podzielali prerogatyw bohaterów, szczególnie uroczystego małżeństwa; oni byli przyjęci, pod warunkiem służenia swemu obrońcy jako niewolnicy; ale gdy ich liczba urosła, oburzyło ich to własne poniżenie, i zażądali części téj ziemi którą uprawiali. Wszędzie gdzie bohaterowie zwyciężeni zostali, ustąpili im ziemi, które zawsze jednak od nich zależeć miały. To było pierwsze prawo polne, to był początek klienteli i len, tak urosło *miasto*. Ojcowie familii stanowili klasę szlachty, patrycyuszów, i zachowali potrójny charakter: królów, w własnym domu; kapłanów i mędrców, to jest przechowywaczów i tłumaczów wróżby. Szukający schronienia, utworzyli klasę plebejuszów, towarzyszków, klientów, wazalów i używali jednego tylko prawa, dzierżenia ziemi, którą otrzymywali od szlachty.

Wszystkie miasta heroiczne, rządziły się arystokratycznie; królowie famulii poddali władzę swoją pod władzę swęj klasy, a pierwsi z pomiędzy bohaterów, byli nazwani królami miast i rządzili sprawami pospolitemi w rzeczach religii i wojny.

Te małe towarzystwa były głównie wojenne (πολις-πολεμος). Cudzoziemiec (hospes-hostis) w ich mowie był synonimem nieprzyjaciela. Bohaterowie szczylic się imieniem rozbójników (Thucyd.), i w rzeczy samęj trudnili się rozbojem na lądzie albo na morzu. Wewnątrz, miasta heroiczne również były hurzliwe. Stara szlachta, mówi Arystoteles w polityce, poprzysięgła wieczną nienawiść ku plebejuszom. Historia Rzymska potwierdza to zupełnie: plebejusze walczyli za sprawę szlachty o swoim koszcie; a oni niszczyli ich procentami, zamykali w więzieniach prywatnych, smagali różgami.

Dla uzupełnienia obrazu wieku Bożkiego i heroicznego, zbliżmy historią prawa cywilnego i politycznego. W pierwszej napotkamy wszystkie koleje drugiej. Jeżeli rządy są wypadkiem obyczajów, prawo odmienia się stosownie do kształtu rządu. To właśnie uszło haczności i historyków i prawników: oni tłómaczą nam prawa, przypominają ich ustanowienie, nie zwracając uwagi na związek ich ze zmianami politycznemi; i dlatego przedstawiają nam fakty odłączone od ich przyczyn.

Spytajcie się ich dlaczego prawodawstwo Rzymskie było otoczone tylu uroczystościami, tylu tajemnicami? oni tylko powstają ciągle na oszukaństwo patrycyuszów.

W pierwszych wiekach prawo uważało się za rozkaz nieba, bogowie właśnie objawiali je przez wieszczby, wyrocznie i inne znaki materialne. Prawo zasadzone jest na powadze Bożkiej. Żądać najmniejszego objaśnie-

nia byłoby bluźnierstwem. Podziwiamy opatrność, która dozwoliła, aby w epoce w której ludzie niezdolni jeszcze byli do rozpoznania prawa, rozumu prawdziwego, aby w téj epoce znaleźli w samej niewiadomości zasadę porządku i postępowania. Prawnictwo, znajomość tego prawa Bożkiego, musiało być poznaniem obrzędów religijnych. Sprawiedliwość leżała w wykonaniu pewnych ceremonij, pewnych obrządków. Ztąd zabobonne uszanowanie Rzymian dla *acta legitima*; u nich ślub, testament, mogły być nazwane *justa* dopiero wtedy, gdy przepisane ceremonie były dopełnione. Bogowie na pierwszym zasiadali trybunale; do nich odwoływali się pokrzywdzeni, ich wzywano na świadków i sędziów. Skoro sądy religijne uorganizowały się, winnych anatemoowano, na zasadzie tego wyroku musieli karę śmierci ponosić. Kara ta mogła być wyrzeczona przeciw ludowi całemu, równie jak przeciw pojedynczemu człowiekowi. Wojny (*pura et pia bella*) były także wyrokami Bożkimi. I dlatego one miały całkiem religijny charakter. Heroldowie, wypowiadając wojnę, oddawali nieprzyjaciół na zemstę Bogów, wyzywali Bogów ich z miasta. Królowie prowadzeni za wozem, tryumf odprawiającego wodza, byli poświęceni w kapitolu Jowiszowi Feretryjskiemu i dlatego na ofiarę mu oddawani. Pojedynki były także rodzajem sądów Bożkich. Starożytne republiki, mówi Arystoteles w polityce, nie miały praw dla karania zbrodni i powściągnięcia gwałtów. Pojedynek był jedynym środkiem, mogącym przeszkodzić wiecznym wojnom indywiduów. Ludzie nie mogąc poznać, która strona ma słuszość za sobą, sądzili, że ta właśnie której nieba pomocy swéj użyczą.

Szacunek dla słowa danego, najdzielniej poskramiał tę gwałtowność bohaterów. Raz wyrzeczone słowo było dla nich święte jak religia, niezmiennie jako przeszłość, (*fas, fatum, od fari*).

Formuły słowa zajęły miejsce obrzędów religijnych składających całą sprawiedliwość Bożką, które możnaby nazwać formułami w czynie. Te formuły, w równym jak pierwsze były poszanowaniu, a powaga ich była uświęcona przesądem, nieugiętym, niezmiennym. *Ut lingua nuncupasset ita jus esto* (pr. 12 tab.). Agamemnon wyrzekł, że poświęci na ofiarę córkę swoją, i poświęcić ją musiał. Nie wołajmy jak Lukrecyusz: *tantum religio potuit suadere malorum!* Ta straszna wierność słowu swemu konieczną była w tych czasach gwałtów; słabi, podlegli silniejszym, musieli się lękać najmniejszych ich kaprysów, słuszność więc tych wieków, nie jest słusznością *naturalną*, ale słusznością *obywatelską*; stanowi ona w prawie to, co rozum stanu w polityce, zasadę użyteczności, zachowania towarzystwa.

Mądrość leżała wtedy w zręcznym użyciu wyrazów, w zastosowaniu określonym mowy do celu sprawy. W tém cała mądrość Ulissesa, w tém cała mądrość prawników Rzymskich, z ich sławną oględnością (*cavere*). Odpowiadać na zasadzie prawa, było to dla nich ostrzedz klientów i przygotować ich do opisania przed trybunałem, wszystkich okoliczności sporu, aby formuły mogły być pomału zastosowane, i aby potępiony nie mógł się opierać ich zastosowaniu. Na wzór formuł religijnych, formuły prawne heroicznego wieku osłonięte były podobną tajemnicą; bo tajemniczość, przywiązanie do ustaw, jest duszą arystokratycznych republik.

Formuły religijne składając się z faktów, nie miały nic ogólnego; formuły prawne z początku mają na celu jeden tylko czyn, jedno indywiduum; sąto proste wzory, wedle których sądzono przypadki analogiczne. Prawo zupełnie przypadkowe jeszcze, ma tylko powagę za sobą (*dura sed scripta est*); nie opiera się jeszcze na zasadzie stałej, na prawdzie. Dotąd istnieje tylko prawo cywilne; z wiekiem ludzkim zaczyna się prawo natury, prawo ludzkości rozumnej. Sprawiedliwość tego wieku ocenia wartość czynów i osób; sprawiedliwość ślepa byłaby fałszywie bezstronna; jej pozorna równość byłaby w istocie nierównością. Wyjątki, przywileje, powstają często na żądanie słuszności naturalnej, dlatego rządy ludzkie umieją nagiąć prawo w widokach saméjże równości.

Ważność prawa cywilnego, nabiera przewagi nad prawem politycznym, w miarę jak demokracje i monarchie zastępują miejsce arystokracji heroiczych. Pod rządem arystokratycznym, prywatne sprawy obywateli, zawarte były w sprawie pospolitej; pod rządem ludzkim a szczególnie monarchicznym, sprawy pospolite zajmują umysły tylko w miarę interesu prywatnego; zresztą obyczaj się łagodzi, popędy szczególne nabierają więcej mocy i zastępują miłość rodzimą, a obywatele są najprzód jako władcy miasta, potem jako poddani jednego monarchy, który jeden wyróżniony od innych, dyktuje dla wszystkich jedne i te same prawa.

Monarchowie szczerą się nazwą *łaskawych*, miarkują srogość kar, zmniejszają tę straszną władzę ojcowską pierwszych wieków. Łaska prawa zniża się aż do niewolników, nawet z nieprzyjaciółmi lepiej się obchodzą, nie odzierają ich z praw wszystkich. Prawo obywatel-

stwa tak skąpo udzielane w republikach, nabywa się bardzo łatwo; a Antonin Pobożny chce, aby świat cały stanowił jego *miasto*.

Takie jest życie całe narodów polityczne i cywilne, dopóki zachowują niepodległość. Zostają one z kolei pod trzema rządami: prawo Bożkie tworzy monarchią domową i daje początek ludzkości; prawo heroiczne czyli arystokratyczne tworzy miasto i ogranicza nadużycia siły; prawo ludu uświęca w społeczności słuszność naturalną; nareszcie monarchia powinna powstrzymać anarchią i zepsucie publiczne, główną jej przyczynę.

Kiedy środek ten nie ma dosyć mocy, inny potężniejszy, przychodzi koniecznie z zewnątrz. Lud zepsuty był niewolnikiem rozuzdanych namiętności, i będzie niewolnikiem narodu lepszego, który go pokonywa orężem, i pokonywając ocala go właśnie. Bo to są dwie wielkie ustawy natury: kto nie umie się rządzić, będzie słuchał innych; i lepsi panować będą światu.

Niech więc ginie ta społeczność, przez szaleństwo stronnictw, przez rozpaczliwość wojen domowych; niechaj miasta znowu staną się lasami, niech lasy będą znowu schronieniem ludzi, i niech z upływem wieku ich dociepna złośliwość i przewrotność zniknie pod rdzą barbarzyństwa. Wtedy niedołężni, zezwierzęceni, nieczuli na udelikatnienie życia, które ich właśnie zgubiło, troszczą się tylko o zaspokojenie pierwszych i niezbędnych potrzeb. Są oni znowu zdolni do uprawy; z starą prostotą wkrótce zjawi się pobożność, prawdziwość, dobra wiara, na których zasadza się sprawiedliwość, i które razem wzięte tworzą całą piękność porządku, ustanowionego przez opatrność.

I po takim dopiero surowém oczyszczeniu, podobało się Bogu, na ruinach Rzymskiego cesarstwa, wskrzesić społeczność Europejską. Kierując rzeczami ludzkimi w widokach niewymownej łaski swojej, Bóg postawił chrześcijaństwo i cnotę męczenników naprzeciw potęgi Rzymskiej; cuda i naukę ojców naprzeciw próżnej mądrości Greków. Ale trzeba było powściągnąć nowych nieprzyjaciół, zagrażających nauce Chrystusa i cywilizacji; z północy Gotów, Aryan, z południa Arabów, Mahometan, którzy zarówno przeczyli Bożkiego charakteru nauczycielowi świętej religii.

Widzimy znowu odrodzenie wieku Bożkiego i rządu teokratycznego. Widzimy jak królowie katolicycy przywdziewają duchowne suknie, kładą krzyż na zbroi, na koronie, i tworzą zakony religijno-wojenne dla walczenia z niewiernymi. Powróciły pobożne wojny starożytności (*pura et pia bella*); też same obrzędy przy ich wypowiedaniu. Wyzywano świętych, opiekunów nieprzyjaciół z obleżonego miasta; starano się zdobyć ich relikwie. Sądy Bożkie wróciły pod nazwą oczyszczeń kanonicznych. Pojedynki, chociaż nie uznane przez kanon, były rodzajem tych sądów. Powtórzyły się rozboje i odwet starożytny i twardość niewoli heroicznej, szczególnie między niewiernymi a chrześcianami. Azyla świata starożytnego otworzyły się u biskupów i opatów, i potrzeba takiej protekcji objaśnia po większej części ustanowienie len. Dlaczego tyle miejsc stromych i odosobnionych nosi nazwiska świętych? — bo tam były ich kaplice służące za schronienia. Wznowił się wiek niemy pierwotnych czasów: zwycięzcy i zwyciężeni nie rozumieli się wcale. Znaków hieroglificznych używano do oznaczenia praw senioralnych na zamkach, na grobach, na wojskach i na

ziemiach. Tym sposobem w wiekach średnich spotykamy znowu większą część charakterów, któreśmy uważali w odległej starożytności.

Gdyby wszystkie uwagi poprzednie nad historią rodu ludzkiego, nie były nawet stwierdzone świadectwami filozofów i historyków, grammatyków i prawników, czyżby i wtedy nawet nie doprowadziły nas do uznania w tym świecie wielkiego miasta narodów, założonego i rządzonego przez Boga samego? Wynoszą nam pod nieba mądrość prawodawczą Likurgów, Solonów i decemwirów, którym przypisują ustanowienie porządku tak słynnego, trzech najznakomitszych państw na świecie, w których cnota obywatelska wygórowała, a przecież o ile są niższe w porównaniu z rzecząpospolitą świata całego! Cud jej ustawy w tém właśnie leży, że ona za każdą zmianą gwałtowną, znajduje zbawcze żywioły nowej formy, nawet w zepsuciu poprzedniego stanu. Musi być mądrość wyższa od ludzkiej.....

Mądrość ta nie zmusza nas za pomocą praw stałych, ale do rządzenia nami używa zwyczajów, za któremi swobodnie idziemy. Powtórzmy tu pierwszą zasadę nowej nauki: ludzie sami stworzyli świat towarzyski taki jaki jest, niemniej przeto świat ten jest wynikiem myśli, często przeciwniej, a zawsze wyższej od celów częściowych, jakie sobie ludzie zakładali. Cele te, krótkiego wzroku, są dla niej środkami do osiągnięcia celów wyższych, bardziej oddalonych. Tym sposobem, ludzie rozproszeni żądają tylko rozkoszy zwierzęcia, a wynika ztąd świętość małżeństwa i ustanowienie rodziny; ojcowie rodziny pragną nadużywać swęj władzy względem sług swoich, i powstaje miasto.

Taki jest wykład, bez wątpienia niedokładny tego rozległego systematu; pozostawiamy go rozmyślaniu czytelników. Zbyt długą byłoby rzeczą śledzić Vico, w trafnych zastosowaniach własnych zasad. Dodamy tylko słów kilka o losie autora tego dzieła.

Nowa nauka miała niejaki powodzenie we Włoszech, i pierwsze wydanie wyczerpało się w przeciągu lat trzech. Od wielu znakomitych osób, między innymi od papieża Klemensa XII, odebrał Vico pochlebne listy. Uczni Weneccy, pragnąc przedrukować dzieło jego w Wenecyi, namówili Vico, aby sam napisał życie swoje, mając je umieścić w zbiorze biografij najznakomitszych uczonych Włoskich. Ale w reszcie Europy, nie sprawiło wielkie dzieło Vico żadnego wrażenia. Lecrec, który w Bibliotece powszechnéj zdał sprawę z dzieła: „de uno universi juris principio” nie wspomniał o nowéj nauce. Dziennik Trevoux robi o niéj prostą wzmiankę. Dziennik Lipski umieścił złośliwy artykuł, nadesłany z Neapolu.

Vice-król Hiszpański i Austryacki, używali nieraz Vico do pisania rozpraw, wierszy, napisów na wydarzone okoliczności, a mimo to pozostał on w biédnym stanie, w jakim się urodził; szczupłą pensyą, jaką pobiérał zajmując katedrę w uniwersytecie Neapolitańskim, musiał powiększać, dając u siebie lekcye Łacińskiego języka. Wtedy nawet, kiedy kończył nową naukę, starał się o katedrę prawa i nie otrzymał jéj. W tak przykrym stanie, całą jego pociechą było wychowanie dwóch córek, które kochał bardzo, i z których jedna miała niejaki powodzenie w poczui. Byłto, mówi wydawca dzieł Vico, któremu syn tego wielkiego człowieka ten szczegóół objawił, byłto tkliwy widok, kiedy filozof bawił się z córkami swemi, w godziny wolne od nudzących zatrudnień.

Przyjaciel jego, zastawszy go raz z niemi, nie mógł nie powtórzyć tego miejsca Tassa: to Alcyd, co z kądzielą w ręku, bawi powiastkami córki Meonii. Ale to samo szczęście nie próżne było goryczy. Jedno z jego dzieci podległo długiej i niebezpiecznej chorobie; drugie przez złe postępowanie, splamiło familią, i Vico zamknięcia go żądać musiał.

Za wstąpieniem na tron Burbonów, zdało się, że się stan jego polepszy: został mianowany historyografem króla, i otrzymał zezwolenie, aby syn jego, Gennaro Vico, człowiek znaný zasługi i uczciwości, zajął jego katedrę. Ale te łaski przybywały za późno. Już on słabnął pod ciężarem wieku i cierpień bolesnych. Wreszcie za ciągłym zmniejszaniem się mocy, pozostawał czternaście miesięcy bez mowy, nie poznając własnych dzieci. Z tego stanu wyszedł tylko dlatego, aby przekonać się o bliżkiej śmierci, i dopełniwszy powinności chrześcianina, umarł odnawiając psalmy Dawidowe, 20 stycznia 1744 roku; miał 76 lat skończonych.

Nie opuszczajmy tego rzadkiego człowieka, nie dowiedziawszy się od niego samego, jak znosił nieszczęścia własne: „Niechaj na wieki pochwaloną będzie Opatrzność (pisze on w liście), która wtedy nawet, kiedy słabym oczom naszym wydaje się surową sprawiedliwością, jest zawsze pełna miłości i dobroci. Odtąd jakem ukończył moje wielkie dzieło, czujeżem się stał innym człowiekiem. Nie doświadczam już pokusy uskarżania się na zepsuty smak wieku, bo odrzucając mię od miejsca o które się starałem, dano mi możność stworzenia nowej nauki. Mamże powiedzieć? Może się mylę, ale szczerze pragnę, nie mylić się tutaj, stworzenie tego dzieła ożywiło mię bohatérskim duchem i postawiło wyżej bojaźni śmierci

i oszczerstwa współzawodników. Zda mi się, że jestem na dyamentowej skale, gdy myślę o sędzie bożym, który czyni sprawiedliwość gieniuszom, jednając im szacunek mędrców... 1726." Dodamy jeszcze ostatnie jego wyrazy: „Teraz Vico niczego się nie spodziewa na świecie. Przyciśniony wiekiem i trudami, zużyty przez troski domowe, dręczony konwulsyjnymi boleściami w nogach, podległy chorobie trawiącej, co pożarła już znaczną część głowy, musiał on wyrzec się zupełnie pracy, i posłał ojcu Ludwikowi dominikanowi, znanemu z dobroci i talentu w elegiackiej poezji, rękopism uwag nad pierwszym wydaniem nowój nauki, z następującym napisem:

„Chrześciańskiemu Tybulowi
Ojcu Ludwikowi dominikanowi,
Jan-Chrzyciel Vico,

prześladowany i znękany ciągłą burzą nieprzyjaznego losu, posyła te nieszczęsne szczątki nowój nauki; oby mogły u niego znaleźć przystań i miejsce wypoczynku.”

Wspomniawszy o przeszkodach, o trudnościach, jakie napotykał, dodaje: „Vico błogosławił tym przeciwnościami, które wracały go do pracy. Oddalony, w ustroju, jakby w niedobytj twierdzy myślał, pisał jakie nowe dzieło, i mścił się nad nieprzyjaciołmi, zemstą szlachetną. Tak doszedł do nowój nauki. Od téj chwili zdało mu się, że nie ma czego zazdrościć Sokratesowi o którym Fedr powiedział: zawiść potępiła go za życia, ale popioły wolne są; dajcie mi sławę jego, a nie ulęknę się śmierci (*).!”

(*) Cujus non fugio mortem, si famam assequar, et cedo invidiae, dummodo absolvar cinis.

i okazywało się, że jestam na dyktando, gdyż miałem o sędzię, który...
 1720. Dostałem jednakże ostatnie jego wyznanie...
 1720. Dostałem jednakże ostatnie jego wyznanie...
 1720. Dostałem jednakże ostatnie jego wyznanie...

PAMIĘTNIKI SZLACHCICA Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Ad. Am. Hosińskiego.

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ XI.

Moje uwięzienie. Środki ratunku. Kasztelanie.

Moje uwięzienie trwało przeszło dwa tygodnie; zrazu sądziłem, że wszystko na pogrózkach skończy się, że widząc mój opór, lękając się powszechnego oburzenia pater, przestanie na dwóch lub trzech dniach aresztu; inaczej przecież stało się. Ludzie w których ręce popadłem, nie zważali na środki aby dojść do celu; maksymą ich zakonu w najdrobniejszych nawet okazyach było: „zwyciężyć lub zginąć.”

A przez cały czas uwięzienia traktowany byłem, niby przekonany i potępiony prawem zbrodniarz; nie pozwalano mi świeżem powietrzem odetchnąć, ni zająć się czem bądź, żywiono zaś suchym chlebem i wodą.

Raz na dzień tylko rankiem, odwiedzał pater Anzelm, chętnie jednak byłbym się obył bez jego wizyty. Przy-
nosząc strawę na dzień następny, nie zaniedbywał dłu-
giem i nudnym kazaniem, walczyć mój upór, grzeszny
jak nazywał kaprys, groził gniewem Bozkim i ludzkim;
pozwalałem mu mówić ile chciał, bo przeszkodzić nie
mogłem, ale wiernie trwałem w mojem postanowieniu,
nieprzyjęcia za małżonkę innę niewiasty jak Elżbiétki.

Na ciężką jednak próbę to postanowienie narazoném
było.

Już po tygodniu zamknięcia, nuda, samotność, brak
ruchu i głód, osłabiły zarówno ciało i ducha, zwątpilem
nietylko w szczęście przyszłości ale i obecny ratunek.

Rzeczywiście któż mi go mógł przynieść? W ro-
dzicielskim domu prawie obcy byłem: służba, wszystkie
kreatury Jezuitów, ich tylko wypełniali rozkazy; krewni
po matce, wujowie i ciotki, sprzedawszy po śmierci
wojskiego rodzinną fortunę, przenieśli się w odległe
strony kraju; z dobrze życzących, sam tylko pan Michał
pozostał, lecz ten bez związków i znaczenia w powiecie,
mógłże mierzyć się z potężnym zakonem? z resztą, ja-
kimże sposobem mogłem go zawiadomić o mém uwię-
zieniu?

Strzeżony bowiem byłem ściśle; przy drzwiach la-
musa, dniem i nocą stała straż, podobna przy oknie izby,
z nikim widzieć się ani mówić nie mogłem.

Bóg wie zatem, jaki koniec miałby rygor podobny,
i czy rad lub nie, po jakimś czasie nie musiałbym uleść,
gdy niespodziewane zdarzenie, pokrzepiło ducha, obu-
dziło nadzieję.

W ósmym dniu aresztu, ówczesnym poranku, gdy dla
odetchnienia świeższym powietrzem, zbliżyłem się do

kraty jedyne go okna méj izby, doszedł ucha harmonijny śpiew znanego hymnu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu.”

Spojrzałem zdziwiony ktoby nucił? Byłto jakiś wędrowny żebrak, siedział na polnym kamieniu wprost okna, rysy jego twarzy nie były mi obce, długa tylko broda i odzież w łachmanach myliły, bez nich wziąłbym go za jednego z dworskiej szlachty, w czasie krótkiej słabości w domu pana Michała, dodanego mi do usług.

Pachołkowi trzymającemu straż przy oknie, bytność i śpiew żebraka nie podobały się; do odejścia go naglił.

Dziadek nie chciał tego uczynić, za przyczynę znużenie i potrzebę odpoczynku dawał, a zapytany zkądby szedł, odpowiedział głośniej niż trzeba, a zapewne dla zwrócenia mojej uwagi, że idzie z stron dalekich, zpod Ostrołęki ze wsi zwanéj Grądy.

Byłato więc porucznika.

Naturalnie że od téj chwili większą bacność zwróciłem na całe zdarzenie, myśl nawet przyszła, kto wie ażali pan Michał, dowiedziawszy się o méj biédzie, nie użył tego człowieka aby mi jaką pomoc przynieść.

Ta nadzieja płonną nie była.

Stróż nie mogąc do odejścia skłonić żebraka, oddalił się na kilka kroków ku dziedzińcowi, aby kogo z służby do pomocy przywołać. Korzystał z tego mniemany dziadek, szybko sięgnął za nadrze, wydobyl jakiś papier, rzucił go ku mnie w okno; w papierze był zawinięty drobny kanyk, nie chybił więc celu, i zanim strażnik zdołał odwrócić się, dojrząc wypadek, już bilet miałem w rękę, a żebrak niby lękając się pogróżek, odszedł szybko.

Z jakże chciwą niespokojnością rozwinąłem papier lecz téż jaka straszna odluda!

List był duży półarkuszowy, zapisany cały, przeczytać jednak, zrozumieć wątku ni treści nie mogłem.

Najprzód, skreślony był ołówkiem, długie więc noszenie za pazuchą starło litery, kamyk téż znajdujący się w środku, przetarł w kilku miejscach, pojedyncze tylko wyrazy a i tych nie było wiele. Odcyfrować mogłem:

„Pomoc, łotry, wojewodzie, nadzieja” i t. p.

Ale te wyrazy, kręślone były ręką pana Michała, trudno było nie poznać pisma właściwego staremu żołnierzowi, liter zamaszystych, grubych, olbrzymich, niby końcem karabeli rytych a nie piórem pisanych. Ta pewność, pocieszyła nieco w smutku, dodała otuchy, nadzieja téż była, że dobry przyjaciel nie poprzestanie na tym jednym liście. Jakoż istotnie już następnej nocy posłyszałem cichą pod oknem lamusa rozmowę, prowadził ją z stróżem jakiś żyd, po dyalekcie poznałem, oto jej koniec:

— A więc z Ostrołęki jesteś? mówił pacholek.

— Nu tak, z samego miasta, z téj karczmy coto pierwsza od mostu na lewo; aszmość znać musisz, czerwona z goncianym dachem.

— Czemuż tak późno chcesz się widzieć z naszym sadowym?

— Ny czemu? powiedziałem już jegomości, koń ustał w piasku, prędzej ściągnąć nie mogłem, a mam pilny interes, *ein geschaeft*, jegomość wiész. Herszek mieszkał w naszym mieście, ma dużo gield po ludziach, ja odbieram za niego, i dlatego chciałbym się z nim zobaczyć, pogadać, a pilno mi w drogę, jutro muszę być w domu.

— I co mi dasz, gdy pójdę po niego?

— Nu co? ja mówił już, kwaterkę wódki, i Herszek co doda, parę jabłek, garść śliwek.

— Patrz go, za kwaterkę wódki, chce ażebym naraził skórę i służbę! Nie, żydzie, daj tyńfa, inaczej nie pójdę.

— *Herst du tyńfa?* za dwadzieścia kroków? za nic? Czy jegomość myśli że ja sieje pieniądze? *A Goim!*

— Czekaj zatem do jutra, lub spróbuj pójść sam, zobacz jak się psom opędzisz.

— Psom? *weh mir!* a ja mam taki pilny interes! Nu jegomość, zmiłuj się, ja poczciwy żydek, już ja to jegomości odslużę, dam srebrnik, a szwarc juhr!

Domyśliłem się snadno, że Izraelita, jak wczoraj żebrak, posłańcem był pana Michała. Nie omyliłem się znowu w nadziei; gdy stróż pieniędzmi skuszony pobiegł do sadu, mriemany żyd zręcznie wdrapał się po murze do okna lamusa.

— Panie starościcu, jesteś pan? szepnął.

— Ach to ty, Janie! wyrzekłem uradowany, poznawszy po głosie szlachcica, dworzana porucznika, o którym już wspomniałem. — Co tu robisz?

— Cóż mam robić? przybyłem z poselstwem od mojego pana, gram komedią nie gorszą od tych, jakie księża Jezuici na Wielkanoc wyprawiają w Łomży w kolegium; wczoraj byłem dziadem. dziś jestem arendarzem żydem. Kto wie, może jeszcze na jakiego jaśnie wielmożnego wyjdę (podał mi małe zawiniątko); oto, co mój pan przysłała; weź panicz, życzę szczęśliwego uśpiechu.

Chciałem mu zadać jeszcze kilka pytań, ale odbiegł szybko, od strony ogrodu bowiem, lekki szmer rozległ się, zapewne stróż wracał.

Każdy pojmie z jaką niecierpliwością oczekiwałem na pierwszy brzask dzionka, aby dowiedzieć się, co w sobie mieściło podane mi zawinięcie.

Znalazłem w niem parę pilników, nóż, dłuto i bilet pana Michała, w następnych wyrazach:

„Bóg pozwolił, że pierwsza część planu udała się szczęśliwie; odebrałeś list w którym cię zawiadomilem o projekcie ratunku, a zarazem i środkach do tego użytych. Starajże się zastosować do nich, nadewszystko pamiętaj hasło i termin, aby gdy czas przyjdzie, nie było zawodu. Bądź więc dobrej myśli, i miej ufność w Bogu, że twoja niewola niezadługo się skończy”.

Ten bilet znowu, jak radość tak i strapienie mi przyniósł; nie mogłem już wątpić o zajęciu się mym losem poręcznika, ależ na kiedy termin naznaczył? jakie hasło dał, o toż czego dla zniszczenia pierwszego listu, wiedzieć nie mogłem, i co wielce trapiło.

Przysłane instrumenta przecież, były mi niejaką skazówką planu, użyłem ich bez zwłoki, zajmawszy się piłowaniem krat okna. To zatrudnienie jednak nie szło pośpiesznie, ostrożność wzbraniała, po trzech dniach przecież, jako tako podciąłem żelazo, obruszyłem kratę, że łatwo, w razie potrzeby, mogłem się wydobyć na zewnątrz.

Z utęsknieniem teraz oczekiwałem na pomoc, dwie doby zeszło a jój nie było. Przez ten czas prawie nie zmrużyłem oka, w dzień tęsknota, w nocy oczekiwanie budziły; na trzeci dzień dłuższej bezsenności niepodobna znieść, koło południa umyśliłem nieco zdrzemnąć się, z mocnym postanowieniem obudzenia się o zachodzie słońca.

Nie o jego zachodzie przecież, ale o następnym wschodzie byłbym się niezawodnie obudził, tak mój sen był głębokim, gdyby w nocy, koło dwunastej nie ocucił gwałtowny hałas od strony pola, z szcękami szabel a nawet wystrzałami muszkietowemi zmieszany.

Nagle obudzony, nie mogłem zebrać, jak się to zwykle dzieje w podobnych zdarzeniach, mojej uwagi; a gdy nieco przyszedłem do siebie, gdy pojąłem że zapewne porucznik przybył z pomocą i do okna pobiegłem, już było za późno, drzwi więzienia roztworzyły się i wszedł a raczej wbiegł z kilkoma pachołkami kapelan.

Nie zapomnę nigdy wyrazu jego twarzy w owęj chwili; gniew i obawa malowały się na niej pospołem, wkrótce jednak pocieszył się, gdy mnie ujrzał. — Panu Bogu niech będą dzięki, wykrzyknął: aszmość jesteś, łotrzy nie dopięli swego zamiaru.

Wpół jeszcze byłem senny: — Co to znaczy? pytałem, zkąd ten zgiełk? wrzawa?

— Ach! więc aszmość nie wiesz o niczym? nie domyślasz się? odparł, nie wiesz o napadzie na lamus? Oswobodzić cię chciano, zpod méj władzy uwolnić.

— Pan Michał więc przybył wykrzyknąłem w rozpaczy. Pobiegłem znowu do okna, roztrąciłem kratę. Nie czas był, łatwo wstrzymali pachołcy, wrzawa też ucichła, zdaleka tylko rozlegał się turkot kopyt końskich na trakcie.

Moję boleść łatwo pojmie czytelnik, puściłem jój wodze, przeklinałem los, letargiczny mój sen, może nawet wyszło jakie słowo zdradzające pana Michała, bo pater, który bacznie uważał co mówiłem, zwrócił się do jednego z pachołków i rzekł mu:

— Nie omyliłem się w domysłach. Porucznikto kierował całą sprawą; siadaj na konia, zbierz co można zbrojnej służby i pójdz w pogoń, dziesięć, dwadzieścia złotych dostaniesz, gdy żywego lub umarłego dostawisz; odpowiedzialność biorę na siebie.

Pacholek wyszedł, pater badać mnie zaczął, ale już pierwsze wzburzenie umysłu przeszło; pojąłem, że zdradzając zamiary pana Michała, narażę go na zemstę zakonu, na surową odpowiedzialność o gwałt, najazd i t. p. Milczałem więc uporczywie, spowiednik gniewał się, groził, a nie mogąc niczego dowiedzieć się, kazał okno podwójną kratą opatrzeć, podwoił straż, a wychodząc mówił ponuro.

— Na Boga, prędzej czy później muszę się o wszystkiém dowiedzieć, nie ujdzie porucznikowi na sucho jego postępek, turmą go przypląci. Co do waszmości, widzę że dwutygodniowy areszt, niewiele pomaga, trzeba innych użyć środków, złe więc skutki uporu, sam sobie przypisać winienesz.

I niezawodnie ta pogróżka byłaby w wypełnienie przyszła, gdyby głód, bezsenność, a co nadewszystko, zawód miłych nadziei, o ciężką nie przywiodły mnie jeszcze tego samego dnia, słabość.

Że zaś ta słabość rzeczywiście była ważną, z tego przekona się czytelnik, że przestraszony pater już nazajutrz wyswobodził z lamusa, kazał przenieść do dworu.

Nie pocieszyło to wiele, niepewność losu zakończoną nie była, okoliczności nic się nie zmieniły, gdy odwiedził wojewodzie Stanisław.

Kiedys przyjąłbym z radością jego wizytę; wspomniałem bowiem w poprzednim rozdziale, że to był człowiek z którym przyjacielsko żyłem, zgadzałem się humorem

i charakterem; lecz w obecnych stosunkach z jego domem naturalnie, dobre zaufanie musiało mieć koniec; obawiałem się téż skarg, wyrzutów, a może i rad podobnych tym jakie dawał kapelan.

Jakżem się przecież zadziwił, gdy wojewodzie, korzystając z chwilowego oddalenia się patra, rzekł do mnie:

— Panie Stefanie, zgadnieszże poco tutaj przybyłem?

Że nie, musiałem wyznać; on mówił:

— Przyrzekłem iż ci pomoc jaką będzie można dam, wyzwobodzę z rąk Jezuitów.

Z podziwem i niedowierzaniem spojrziałem mu w oczy. Młodzian wy dobył z kieszeni żupana mały bilet: — Przeczytaj go, wyrzekł, a spodziewam się wierzyć mi będziesz.

List był od pana Michała.

„Jeżeli chcesz waszmość, pisał, koniec kłopotom swoim położyć, zawierz wojewodzie, jest on szczerym twoim przyjacielem, i myśli o twym ratunku. Mam nadzieję że jego usiłowania pomysłniejszy mieć będą skutek, jak niedawno moje”.

Przy tych wyrazach znalazłem inne, a następujące:

„Nie pojmiesz, panie Stefanie, ile mnie dotknęła wiadomość twoich cierpień obecnych, lecz miej ufność w miłosierdziu Bożkiem; tyle się modłę na twą intencją, tyle wylałam łez, że spodziewam się niebo wysłucha prośb moich, da ci wolność i szczęście, których jako krewna i współwychowanka, życzę ci z serca”.

Czytelne, okrągłe i na podziw piękne pismo, więcej jeszcze niż jego treść i litera *E* podpisu, dało mi poznać zpod czyjjej wyszło ręki. Przycisnąłem je do ust, niby talizman zbawienia, odczytałem jeszcze parę razy, a przy-

jaciela badałem, jakim sposobem z porucznikiem i jego rodziną znajduje się w związkach?

— Najprostszym w świecie odparł mi. Wiész że majątek mego ojca w Ostrołęckim graniczy z wioską pana Michała; odwiedziłem go parę razy, a dowiedziawszy się o twém uwięzieniu i jego przyczynie, zawiadomiłem go o tém, wspólnie téż ułożyliśmy plan ratunku, który się nie udał. Zagadnął o powód.

Opowiedziałem wszystko jak było. Mówił:

— Jednakże gdyby nie nieszczęśliwe zniszczenie pierwszego listu, już byłbyś wolny: plan bowiem dobrze był pomyślany i prowadzony, chcieliśmy gwałtem wydobyć cię z lamusa, dlatego o naznaczonej nocy pan Michał dawszy hasło, a było niém zapalenie latarni pod lasem, podjechał pod dom, pachołka będącego na straży rozbroił, i gdybyś tylko wydobył się oknem, wsadzony na łóznego konia, byłbyś uszedł szczęśliwie; przeciwnie jednak stało się. Twoja nieobecność popsuła wszystko, wykrzyk stróża, rzenie i tupot koni zwróciły bacność innych strażników, wybiegli z dworu, powstała bitwa, szczęściem nikt szwanku nie poniósł, lecz pan Michał straciwszy nadzieję oswobodzenia cię, musiał uchodźić. Ależ, co się przewlekło to nie uciekło, przysiągłem porucznikowi i panie Elżbiécie że będziesz za tydzień najdalej wolny.... spodziewam się dotrzymam słowa, rzecz od tego tylko zawisała, abyś w przyszłą sobotę, Bóg da doczekać, był zdrow jeśli niezupełnie to przynajmniej tyle, żebyś bez niebezpieczeństwa, kilkomiłową podróż znieść zdołał.

— Ależ ocalając mnie, sam się narażasz; nadto, znasz moje stosunki z twym domem, wyrzekłem.

— Przeklęte owe stosunki, odparł brwi marszcząc; mało braknęło, byłyby zakłóciły na zawsze twoje i mój siostry życie; mogliścież bowiem być szczęśliwemi bez wzajemnej miłości? Niech co chce mówi świat, zrywając wasz związek, sądzę że postąpię sobie jak na człowieka honoru i dobrego brata wypada: ocalę szczęście dwóch istot, tyle drogich mojemu sercu. Prawda że wojewoda gniewać się będzie, że na jakiś czas zamknę sobie dom rodzicielski, obrazę Jezuitów, ich gniew przecie mało mnie obchodzi. P. wojewoda Pomorski, rodzinny brat mój matki, lubi mnie, pisał właśnie abym przyjechał do niego do Warszawy, obiecuje jako bezdzietny zapisać mi swoją fortunę; on też spodziewam się z rodzicami prędzej lub później pogodzi, a od gniewu Jezuitów zasłoni. Mimo tego jednak, czy sądzisz żebym się wahał narazić własne dla szczęścia twego i mój biednej siostry?

Uścisnąłem serdecznie pocziwego młodziana, a zostawiając na później obeznanie się z jego planem ratunku, jako prawdziwie zakochany, innych zażądałem objaśnień. Wojewodzie znał Elżbiętkę, widział się z nią, o nią pytałem się zatem, chciałem znać wszystkie szczegóły jej życia, rozmowy które mnie dotyczyły; jakże rad poznałbym nawet gdyby można i jej myśli?

Ależ skąpym w tych objaśnieniach był młodzian, dawał je, dziwnie jakoś brzmącym głosem, roztargniony, niby one bolały serce, krwawiły je, kilkakrotnie nawet na inny przedmiot chciał zwrócić rozmowę, lecz ja przylgnąłem do niej z uporem, z namiętną ciekawością kochanka.

Wejście patra przerwało naszą poufną gadankę; wojewodzie oddalił się, przy pożegnaniu jednak, znalazł sposobność szepnienia mi w ucho:

— Pamiętaj o sobie, staraj się być zdrowym, resztę biorę na siebie.

Nic równie jak nadzieja, choćby nawet wąta, nie pokrzepia człowieka. W oznaczonym dniu przyszedłem jeśli nie całkowicie do zdrowia to przynajmniej tyle, że mogłem znieść trudy najdłuższej podróży; los jednak do ostatniej chwili, jak mi się zdawało, uwziął się aby mnie prześladować.

W sobotę rano, wcześniej niż zwykle, odwiedził pater. Z pochmurnego czoła, niepokoju w oku łatwo pojąłem, że go coś dolega; z roztagnieniem badał o me zdrowie, zapisał lekarstwo, przy rozstaniu się zaś mówił:

— Gdyby przecież stan waszmości dziś lub jutro miał się pogorszyć, dałem stosowne polecenie kommissarzowi, ma mnie zawiadomić o tém, na parę dni bowiem wyjechać muszę.

— I gdzie to? obojętnie spytałem.

Więcej jeszcze pochmurzył czoło:— Jadę do wojewody, przed kwadransem przybiegł posłaniec, donosząc że dzisiejszej nocy ciężko zapadł, boją się apoplexyi.

Strwożyła mnie ta wiadomość, choroba ojca, niezawodnie będzie przeszkodą wojewodzicowi do przyniesienia mi obiecanéj pomocy. Pater mówił:

— A tę słabość, jeśli czego Boże broń, nie śmierć wojewody, powinieneś aszmość mieć na swém sumieniu; twój szalony postępek zirytował go, zmartwił.

Ze tak nie było, po wyjściu patra objawił dworzannin, zostawiony mi do usług i do straży. Prawdziwą przyczyną choroby wojewody, była pijatyka wczorajsza. Magnat przyjmując w swym domu jednego z kolegów kasztelana B..... słynnego na całą koronę zwolennika ba-

chusowych libacyj; tyle pił, że wzburzona krew uderzyła do głowy.

Jakikolwiek przecie był powód, zostawała rzecz sama, wstrzymując wojewodzica; niemało przeto zadziwiłem się, ujrawszy go koło południa, wchodzącego do méj izby.

Twarz zaś jego była pogodna, mina tryumfująca, uściślał mi rękę a wyrzekł:

— No, panie Stefanie, dotrzymałem słowa, ocalony będziesz.

Podniosłem się z łóżka: — Czy sposób!

— Tak, widzę bowiem że zdrow jesteś prawie zupełnie, ubierz się więc, moja karoca czeka na dziedzińcu, za kwadrans wyjechać musimy.

Choroba wojewody przysłała na myśl, sądziłem że młodzian nie wie o niéj, pytałem się zatem.

— Lecz zkądże przybywasz? byłżeś dziś lub wczoraj w domu?

— Ma się rozumieć, jadę ztamtąd prosto, choć bocznym traktem.

— Ojciec twój więc, nie jest tak niebezpiecznie chorym jak mówiono?

— Mój ojciec nigdy nie był zdrowszym jak dzisiaj, jak w ciągu tego miesiąca; zostawiłem go, układającego biesiadę na uczczenie przyjaciół.

— Był przecież posłaniec, doniósł o niebezpiecznej chorobie, o apoplexyi; pater Anzelm z lekarstwami pojechał.

— Kapelan, odparł śmiejąc się, chociaż szczywany lis, bo Jezuita, dał się oszukać. Nie domyślał się, iż cała wiadomość była tylko udaniem, stratagemem na wy-

wiedzenie go ztąd? Mógłbym cię uwolnić przy jego bytności? Bogu dzięki, przebieg się udał.

— Lecz czy służba pozwoli?

— Najmniejszej nie stawi przeszkody, działam bowiem w imieniu patra; z jego niby rozkazu, mam cię przewieźć do nas. Komu przyjdzie na myśl, że ja, co miałem być twym szwagrem, dopomagam ci do ucieczki? Lecz śpiesz się, za parę godzin musim się złączyć z panem Michałem.

— A więc on jest niedaleko ztąd?

— Tak, a oczekuje z niecierpliwością na ciebie.

Ubrałem się co żywo, za kilka minut znajdowałem się już w karocy przyjaciela, służba istotnie żadnego nie stawiała oporu, już furman miał zaciąć konie, gdy pojrząwszy na dom, w jedném z okien, ujrzałem mojego ojca.

Twarz jego była blada, smutna, oko posępne, zdało mi się nawet, że lzy w niém błyszczą.

Ścisnęło się serce; miałem go opuszczać, a Bog wie na jak długo, bez pożegnania? nie byłże to grzech przed Bogiem i własnym sumieniem? Wstrzymałem odjazd, przycielowi wyrzekłem:

— Pozwolisz, panie Stanisławie, że pójde go pożegnać.

— Kogoż? spytał zdziwiony.

— Mojego ojca.

— Ależ to być nie może, stracisz czas, a każda minuta tyle nam drogą; pater może powrócić, w tej chwili niezawodnie wie już o naszym podstępie.

Błagałem jednak, dwóch minut tylko żądałem, zgodził się wreszcie. Pobiegłem do starosty, upadłem w jego

objęcia, ucałowałem ręce i nogi; smutnie pożegnał, a gdy się oddalał, mówił:

„Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko, powracaj szczęśliwie i prędko.”

Te wyrazy przyjąłem jako błogosławieństwo ucieczki; bolesny jednak wpływ wywarły na humor; wyrzuty i słuszne sobie robiłem, że śmiało oszukiwać ojca, stan też jego zdrowia niepokoił, był blady, widocznie cierpiący, kto wie ażali nie po raz ostatni widziałem go!

Mógłłem przecież pozostać mógłłem dłużej cierpieć niewolę i przymus, któremi Jezuici dręczyli?

Smutne i utrapliwe myśli wtedy dopiero koniec miały, gdy po dwóch godzinach szybkiej jazdy, ujrzałem się całkowicie bezpiecznym, i w objęciach pocziwego pana Michała.

ROZDZIAŁ XII.

Adam Szmigielski. Dwór magnata. Floryan Rzewuski. Stanisław Potocki. Albert Chełmski. Poeta. Stanisław Jabłonowski wielki hetman koronny.

Fortuna kołem się toczy, mówi stare przysłowie; doświadczyłem jego prawdy mało tysiąckrotnie na sobie. Ileż bowiem razy, najmilsze nadzieje, rozflukiwały się niby wielkie mydlane bańki, któremi dziecko bawi się? Ileż razy śmiech od płaczu, wesołą piosnkę od łez i naodwrot, jedna tylko chwila dzielita?

Zmiana przecież losu, szczególnież szybko i niespodziewanie nastąpiła w tym czasie mojego życia, który właśnie opisuję teraz.

Więziem rozpaczający o swój przyszłości szczęścia a nawet ratunku, igraszka woli ludzi bez sumienia i prawości a swój własny interes tylko mających na celu, w dwa tygodnie później widziałem się wolnym, bezpiecznym, co więcej mogącym marzyć nie bez podstawy o pięknej przyszłości, świetnej karierze. Byłem bowiem towarzyszem pancernej chorągwi królewicza Alexandra, dobrze widzianym od króla i królowej a więc i od wszystkich osób ich majestat okrążających; co zaś nadewszystko, stałem się ulubieńcem, klientem a nawet zbawcą honoru człowieka, po królu Imci Janie Sobieskim pierwsze miejsce zajmującego w kraju, człowieka, którego imię najpóźniejszych wieków bez wątpienia dojdzie, jako zapisane na kartach historii mnogimi zwycięstwami, obroną Wiednia, bitwą pod Granem, Chocimem, Jussami, Kamieńcem.

Tym zaś protektorem moim był nie kto inny, jak jeden z pierwszych magnatów, senatorów i dygnitarzy kraju, Stanisław Jabłonowski wojewoda Ruski, wielki hetman koronny.

Przebaczy łaskawie czytelnik, że zostawiając nieco a później opis mojego przybycia do Warszawy, wrażenia ówczesne, powód faworów królestwa Ichmość i rozliczne, to śmieszne to poważne wypadki, skreślę pierwszą wizytę jaką wspólnie z panem Michałem hetmanowi oddałem.

Oswobodzenie przez wojewodzica nie było zupełnym, dopóki nie znalazł się możny jaki protektor, co by wziął moją stronę, od dalszych prześladowań ks. Jezuitów zasłonił, inaczej, działając w imieniu starosty, mogli żądać mego powrotu, przemocą skłonić do niego; pan Michał też na oczywiste narażony był niebezpieczeństwo, mógł

być obwiniony o gwałt, zajazd, skorrumpowanie dziecka, wszystko według prawa kryminalne występki, ciężką karę pociągające za sobą. Wiedział o tém porucznik, dlatego, przybywszy do Warszawy, u tego i tamtego z magnatów, z dawnych lat sobie znajomych, szukał protekcyi, ależ wtedy, więcej niż kiedy bądź przeświadczyłem się jaką potężną władzę groźny zakon na wszystkie umysły wywierał. Nikt nie śmiał stanąć w mojej obronie, a jeśli obietnicę pomocy lub wstawienia się dał, już było wiele.

Pewnego dnia, po wizycie u pana Alexandra Polanowskiego regimentarza (1), wizycie daremnj jak wszystkie poprzednie, gdy smutni wracaliśmy do kwatery, zaszedł nam drogę urodny, wysokiego wzrostu, przystojnie ubrany mężczyzna; postawa jego marsowa, długa ciemno-ruda broda zapadała szeroko na pierś; rozpuszczona na paskach karabela, groźnie brzęczała po kamieniach bruku.

— Jakem sodalis Maryanus, wykrzyknął wstrzymując się przed porucznikiem, jeśli się nie mylę, toż dawnego dowódcę, pana Michała Czerkasa, widzę przed sobą?

Porucznik spojrział na niego zdziwiony. — Panie bracie, nie mam honoru znać.

— Ejże mój dobrodzieju! gdzież znowu, nie znasz Adamka Szmigielskiego, towarzysza niegdyś twojej chorągwi (2)?

(1) Alex. Polanowski, znakomity wojownik i towarzysz Stefana Czarnieckiego, był kandydatem do tronu po śmierci Jana Kazimierza; za Sobieskiego oddalił się od dworu, i przemieszkiwał w wiosce założonej przez siebie w województwie Lubelskiem zwanj Polanówka, blisko Kazimierza.

(2) Adam Szmigielski, znakomity wojownik, znany w naszej historii jako nieulekty stronnik Stanisława Leszczyńskiego, lecz

Pan Michał rozjaśnił czoło zasępione skutkiem daremnych starań: — Ach! wasze to więc jesteście ów Adamek którego koledzy *zawieruchą* zwali? Per Deum, nigdybym cię nie poznał; broda do pasa, wzrost Goliata, postać zamaszysta marsowa; gdzież ów piękny młody chłopczyzna, którego kiedyś każdy za przebrane w męskie suknie brał dziewczę (3)?

— Pacholę w męża wyrosło, i jak widzisz aszmość nie w babę lub tchórza, ale chłopca do korda i kopii. Waszmości zaś najwięcej tę odmianę winieniem, odparł Szmigielski, tyś bowiem do wojennych trudów zahartował ciało, z rzemiosłem Bellony zapoznał.

— Tak, to prawda, mówił z lekką dumą własnej miłości porucznik, pod moimto przywodem, *anno Domini* 1666, szedłeś do boju w owęj wiekopomnej na Litwie rozprawie; piętnaście lat liczyłeś sobie wtedy za ledwie, ale Bogiem a prawdą dzielność wiek uprzedziła, gracko stawileś się; z początku prawda, świst kul, brzęk szabel jakoś zastraszył.

Rozśmiał się Szmigielski: — Przypominam sobie dokładnie naukę jakąś wtedy dał aszmość, wzięłeś za uszy, do czerwona zatarłeś, potem płazem nielekko na grzbiet karabełę spuścileś. Oto mości panie rzekłeś, pasuje cię

człowiek zmiennego charakteru, burzliwy i rubaszny w obejściu się swoim; jego życie wyborny historyczny romans mogłoby nastroczyć... Dzieckiem będąc jeszcze, na wiadomość o wzięciu przez Turków Kamieńca, przysiągł że brody golić nie będzie, i dożgonnie wiernym temu zostanie, kto to miasto odzyska.... dlatego w początkach wojny Szwedzkiej partyzantem był Augusta IIgo który jak wiemy, przez pokój Karłowicki odzyskał Kamieniec; później przecież pokochawszy się w wojewodziance Potockiej (córce Józefa wojewody Kijowskiego), przeszedł na stronę Leśzczyńskiego.

(3) Szmigielski istotnie niepospolitej był urody, jak to można z portretu jego poznać.

na rycerza; idź więc, bij się a nie drzyj niby baba, gdy ją ożogiem zaczepisz. Wstyd dodał odwagi; znamieniem krzyża świętego uzbroilem ramioną, i dalej naprzód. Jakiś bojar poczęstował prawy bok ostrzem kopii; nie zważałem na to, w jassyr wzięłem, i summa summarum aszmość po skończonej batalii, przedstawiłeś świętej pamięci wojewodzie Czarnieckiemu jako niepośledniego żołnierza.

— I pokazałeś się nim w następnych okazjach; po rycerskim chrzcie wprawileś się do szabli, jakby do niej stworzony. Lecz powiedzże mi, jesteś zawsze taki zawadyaka jak niegdyś? baby straszyć, chłopów biczować, żydom brody osmalać, z kolegami byle o co rąbać się, szło ci jak z płatka?

— Te przymioty znajdują się i teraz; czém skorupa napije się za młodu, tém trąci na starość.

— A jak ci się powodzi? czém się zatrudniasz?

— Powodzi się jako tako; król imé łaskaw na mnie, po Chocimskiej rozprawie porucznikiem, a po Żwanieckiej rotmistrzem mianował; byłyby i inne łaski jeszcze, może starostwo, może i co lepszego, ale cóż, człek tylko do szabli zda się; gdy wojna, dobrze wszystko idzie, gdy pokój, z nudów głupstwo się robi. Teraz nawet jak mnie waszmość widzisz, pod kondemnata i prawną bannicyą zostaje.

— Jakto? pod kondemnata? dlaczego?

— Ach! mości dobrodzieju, długa to historia, opowiem ci ją przecież w kilku słowach. Aszmość wiiesz, że mój ś. p. rodzic, zostawił nieskape w Wielkiej Polsce dziedzictwo, lecz cóż, gospodarować nie miałem ochoty, żyło się téż nad miarę, nie lubiło krédki, zaszargało się więc fortunę, trzeba było solwark po solwarku prze-

dawać, że z ośmiu dwa tylko zostały. Rzekłem wtedy do siebie: panie Adamie, uszatkować się czas; teraz gdyś młody, szablą na kęs chleba zarobisz, lecz gdy przyjdzie starość, co poczniesz? Wstyd dla szlachcica umrzeć gdzie za piecem u żyda; ostatnie dwie wioski zostaw sobie, jako zapas na przyszłość. Żyłem więc niby mnich w karceresie, broń Boże hulatyk, kuligów, imienin, długów i &c., ale, otoż mi przysmak. Pewnego dnia, gdy jestem przy królu jmci w Żółkwi, ni zład, ni zowąd odbieram zapozwy, czytam, wielki Boże! a toż wyrok Piotrkowskiego trybunału, ni mniej ni więcej, tylko odsądzający mnie od ojczystej fortuny. A wiesz aszmość kto go wyrobił, wyprocesował? Księża Jezuici mieli jakąś sumkę na méj chudobie, niezadowolnieni procentem, zagarnęli wioski. Hola mości panowie! rzekłem do siebie, ja Adam Szmigielski, mogęz na podobne bezprawia zezwolić? Siadłem na konia, biorę łozaków, do wsi przybyłem, zwołam gromadę, ejże chamy! powiedzcie mi, pytam, pod którym rządem miléj wam żyć: pod sutanną czy pod pałaszem? Oni suną mi się do nóg: „Wielmożny rotmistrzu, tyś nam pan, tyś nam dobrodziej i ojciec, my tobie chcemy służyć, tobie pracować”. Kiedy tak to i dobrze, wyrzekłem, chodźcie więc do dworu; we dworze usadowiło się trzech patrów, wyrzucę ichmościów z ich pacholkami i manatkami, pieszo do kollegium wypędzę, owszem temu i owemu, przyłoży się na pamiątkę coś na grzbiet.

— Lecz co na to księża Jezuici? co prawo?

— Księża grozili klątwą, obwiniali o herezję, śmiałem się im w oczy, każdy wie że'm dobry katolik, do kościoła co niedziela chodzę, spowiadam się raz w rok koło Wielkiejnocy. Co do prawa, z tém gorsza rzecz. Nie uwierzysz aszmość ile zapozwów, manifestów, recessów

i wyroków sypnęło się za jednym razem! miałem czém wszystkie wybite okna we dworze, a było ich niemało, zakleić.

— Jakż przecie koniec sprawy? Aszeć o kondemnacjie wspomniałeś.

— Była i ona, tak mnie mój mecenas powiedział, i jako poczciwy człowiek, radził zgodę, chciał abym konwentowi ustąpił folwarków, a wziął na rękę parę tysięcy tynfów gotówką. Dałem palestrantowi po uchu; łotr, był wspólnie z wielebnemi ojcami, zrozumiałem to snadno, sam zaś, zleciwszy obronę chudoby krewniakom, przypasałem szablę do boku, dosiadłem konia, i przyjechałem ot tu do Warszawy, właśnie trzy dni temu.

— Do kogoż się udał? kto ci dopomógł?

— Jako rotmistrz i towarzysz króla jmci, naturalnie że się udałem do niego; przyjął łaskawie, ale gdy się o sprawie dowiedział, wąsa na dół pomusknął: — Że też waść, panie Adamie, rzekł mi, ciągle jakie brewerye dokozywać musisz; na licha z Jezuitami zadzięrać. Obiecał przecież protekcyą, podziękowałem za obietnicę, ale czegoś substancyjalniejszego pragnąłem (4), dlatego nie tracąc czasu, udałem się do hetmana: to mi pan, to żołnierz, on obietnicą nie łudził, ale wręcz dopomógł, do

(4) Król Jan III niezawsze przecież pobłażał nadużyciom Jezuitów, jakkolwiek smakował w ich nauce i towarzystwie. Gdy przebrali miarękę w swoich postępkach, umiał być i groźnym. Oto list jaki do ich generała pisał, a który zachowały nam dzieje: „Żywią boleścią widzę, że przez niepohamowaną żądę waszą ku rozszerzaniu dóbr waszych z obrazą wszelkich praw i przejściem granic, gwałt zadajecie przywiązaniu, jakie, wić świat cały, wielkie zastugi towarzystwa względem kościoła bożego wzbudziły we mnie. Nie chcę odbywać sądu nad bracią waszą z Jarosławia w czasie sejmu, lękam się bowiem więcej jeszcze rozjątrzyć umystów i gniewu i tak mocnego, jaki ku wam chowają stany królestwa.

ojców napisał list, kondemnatę zawiesił, o bannicy wspomnieć nie daje, że ja wolny, swobodny niby ptaszek w powietrzu, mogę się bawić do woli, i ot właśnie teraz idę na przyjacielską biesiadę. Obchodzimy imieniny pana Atanazego Miączyńskiego, towarzysza królewicza Alexandra (5); punkt o 12ej ma się zacząć hulanka (spojrzał na zegar ratuszowy); a dalipan! to już kwadrans na pierwszą, uściśnął porucznika za rękę, do widzenia z waszmością, śpieszyć się muszę, ufam jednak że się wkrótce zejdziemy. Moję gospodę pokaże ci każdy żyd, co ma tylko do pożyczania pieniędzy; wszyscy mnie znają, bo wszystkim jestem coś dłużnym.

Odszedł, pan Michał tarł węża, sprawa rotmistrza z moją, wielkie podobieństwo miała. — Dalipan, rzekł, ten szalapat dobrą drogę nam wskazał; pana hetmana znam z dawnych lat, było się razem nie w jednej okazji, może też da jaką pomoc, warto spróbować.

Przybyliśmy do pałacu wojewody; na dziedzińcu uwiijało się mnóstwo pachołków w jednakowej barwie, niebieska z żółtą; kilkunastu kwarcianego rycerstwa z berdyszami i halabardami pilnowało wchodowych drzwi,

Przez życzliwość i przywiązanie mam za powinność przestrzedz Waszę Wielbność, abys przyniósł lekarstwo wzrastającemu złemu, i wykorzenit w Jezuitach Polskich zbyt jawną zarazę chciwości i pychy. Zaniechajcie nadto częstiej zmiany rektorów w waszych kolegiach, z obawy aby niestracić względów towarzystwa i nie zostawić pamiątek. Idą z sobą na wyścig w zbogacaniu tychże kolegiów, bez względu na środki; o to się jedynie troszczą, nad tem pracują. Rozkażcież im złożyć swe prawa przed dwoma kommissarzami których naznacze, aby się wszystko skończyło bez zgorzenia. Pozdrowienie, nie zapominaj że jestem królem.

Jan król."

(5) Atanazy Miączyński, później starosta Wieluński, odznaczył się w bitwie pod Wiedniem; król Jan w swych listach (edycyi Edw. Raczyńskiego) kilkakrotnie wzmiankuje o nim.

hajducy z Węgierska strojnie ubrani, wszystko ludzie bujnego wzrostu i marsowej postaci, stali w sieni i na schodach do górnych pokojów wiodących. Dwie pierwsze izby które przeszliśmy, dworską służbą i domownikami napelnione były; w trzeciej spotkaliśmy mnóstwo szlachty najwięcej z Ruskich ziem, do swego wojewody przybyłych już z złożeniem powinnego respektu, już też za interesem; czwarta izba równie napelnioną była jak inne, tylko że już dystyngwowańszemi osobami. Znalazł się jeden i drugi dygnitarz, np. pan Matczyński koniuszy koronny (6), Samuel Straż podkomorzy Sandomirski, Gałecki kuchmistrz koronny (7), kilku półkowników i rotmistrzów kwarcianego i huzarskiego wojska.

Jeden z tych ostatnich zbliżył się do nas, urodny zaś to był młodzian, wzrost piękny, ubiór bogaty, cały od atłasu, klejnotów i złota, bogata karabela u boku.

Kto on był, dowiedziałem się później, niejednokrotnie zaś w dalszém opowiadaniu przyjdzie mi wspomnieć o nim, pan z panów, rycerz z rycerzy, członek familii która jak rzadko inna, a może jak żadna druga, sławną stała się w koronie. Stanisław Potocki herbu Piława, syn Andrzeja Krakowskiego wojewody a wnuk imiennika swojego hetmana, którego pamięć uzacniona przydomkiem Rewery, drogą stała się sercu każdego Polaka (8);

(6) Przyczynił się do ocalenia króla pod Parkanami, umarł wojewodą Ruskim w 1697 roku.

(7) Podpółkownik dragonów regimentu królowej, umarł wojewodą Poznańskim w 1709 r. W wojnach Szwedzkich odznaczył się chlubnie.

(8) Stanisław Rewera Potocki, wielki hetman koronny, wojewoda Krakowski, syn Jędrzeja kasztelana Kamienieckiego, do najznakomitszych wojowników Polskich należy. Odznaczył się w kilkunastu potyczkach, w wielu dowodząc, nieprzyjaciół pokonał. On to zawiązkiem konfederacyi Tyszowieckiej zbawił kraj od Szwecji.

przy swym krewnym hetmanie Jabłonowskim pełnił właśnie służbę tego oficera, co w cudzoziemskich wojskach adjutantem się zowie.

Otoż rotmistrz, widząc nas wchodzących, zastępując pana domu, zbliżył się grzecznie; pan z panów, siwej głowie porucznika niski oddał pokłon, a mówił:

— Zapewne waszmość pan brat, chcesz się widzieć z hetmanem jegomością?

— Tak, jestto moje życzenie, odparł porucznik.

— Pan hetman jest w téj chwili zajęty z kilkoma senatorami, lecz dowiedziawszy się o przybyciu waszmości, niezawodnie stawi się na jego rozkazy; mamże go zawiadomić?

Porucznik podziękował uprzejmie za propozycją, wołał jednak nie przerywać wojewodzie i czekać. Młodzian widocznie był tém zadowolniony, co do mnie korzystałem z nieobecności wojewody, przyglądając się komnacie w której znajdowałem się; obszerną ona była, bez wątpienia stołową, poznałem to po szalach przy ścianach stojących, w nich za szkłem stopy talérzy po największej części srebrnych, dalej roztruchany z podobnego metalu, puzderko i kosze z łyżkami i nożami, wreszcie bielizna, Holenderskie obrusy, serwety i kolorowe jedwabne podścielki, duży stół w kłamrę zastawiony, ławki czerwonym sukniem pokryte i kilka krzesel złoci-

dów, a Jana Kazimierza do tronu przywrócił; umarł w późnej starości 1667 roku. Ile familia Potockich w ostatniej epoce bytu naszej krainy odznaczała się, to przekonywa, że w ciągu lat 120 (od 1600 do 1720) wydała 3 wielkich hetmanów (Mikołaja, Stanisława i Felixa), trzech kasztelanów Krakowskich, piętnastu wojewodów, kilku kasztelanów, i wysokich dygnitarzy, nadto arcybiskupa prymasa Teodora. Jest też godną uwagi rzeczą, iż niewielu z członków téj familii, duchownemu stanowi poświęcało się, a każdy niemal służył wojskowo.

stym kordybanem wybitych, dokończyły przystrojenia izby, na której ścianach wisały familjne portrety; niewiele ich przecie, a i na tych co były, mało znaków wysokich dostojęństw, buław, pieczęci i inful; każdy o tém wie bowiem, że ród hetmana, jakkolwiek znakomity, magnackim nie był. Niedawne to lata, gdy Pan Bóg poszczęściwszy, z równości szlacheckiej do wysokich dostojęństw wyniósł i majątkiem opatrzył; długo o nim jak o wielu innych można rzec było: poczciwości i zasługi wiele, ale blasku mało (9).

Gdy zaś ja, zajmowałem się przeglądem komnaty, lepić użył, a przynajmniej milój, swego czasu pan Michał. Między obcemi w izbie znalazł wielu znajomych, zawiązał z nimi rozmowę, z kilkoma zaś mnie poznał. O trzech wspomnę.

Pierwszym był Michał Floryan herbu Krzywda Rzewuski, regimentarz koronny, półkownik królewski (10), człowiek do dzieł rycerskich jakby stworzony, niemi się też a nie urodzeniem, dobił fortuny i godności które posiada. W chudopacholskim urodzony domu, szesnaście lat liczył sobie za ledwie, gdy już dał chlubne męztwa zadatki; było to w owój pod Gołębiem rozprawie, w której wojewoda Czarniecki tak fortunnie Szwedów roz-

(9) Książęca familia Jabtonowskich, herbu Prus 3^o albo Nagody, pochodzi z Mazowsza z wsi Jabtonny zpod Łomży. Obszerniejszą dam później o niej wiadomość, teraz wspomnieć winienem że jej świetność podniósł i ustalił hetman wielki koronny Stanisław, o którym tu mowa (umart w 1702 kasztelanem Krakowskim).

(10) Znaczenie familii Rzewuskich, datuje się istotnie od tego Floryana, znakomitego wojownika; umart podskarbin koronnym; syn jego starszy, Stanisław, był hetmanem wielkim koronnym, wnuk Wacław także hetmanem, prawnuk Seweryn, hetman polny za Stanisława Augusta, jeden z głównych twórców konfederacji Targowickiej, zmarły na początku tego stulecia.

gromił. Młodzian w pierwszym stojąc szyku, ciężki postrzał w twarz otrzymał; Czarniecki widząc to mówi: „Panie Floryanie, jesteś raniony, ustąp więc w tył lub do cerulika pójdz aby ranę opatrzył.” „Nie, regimentarzu, odpowie żwawe pacholę, srom byłby wieczny dla mnie, gdybym bez pomsty miał zejść z pola; jak mnie teraz tak waszmość kiedyś poczęstował nieprzyjaciel, a jednak ustąpić nie chciałeś, dopóki nie odniosłeś zwycięstwa; pójdę za twym przykładem (11).” Jakoż tak gracko, mimo swój rany, stawiał się, że jemu przed wszystkiemi dank zwycięstwa wojewoda przyznał. Od tego czasu, Rzewuski w ciągłych bojach wiódł życie, w każdym odznaczył się chlubnie, o jednym tylko wspomnę, a to Chocimskim. Turcy usadowili się w obozie na wysokości górze; strach do nich pójść, bo i fosami otoczyli się, armatami razili nas; wały i skała tóż, że mróz i śnieg, śliską była. Król Jan, jeszcze wtedy hetman, przybiegnie przed front wojska; szło mu wiele o zaczepkę obozu: — Mości panowie, do rotmistrzów wyrzeknie, któryż z was tyle w sobie animuszu czuje, że wejdzie na tę górę? Jeden na drugiego spojrzy; iść tam, toż na pewną biedz zgubę, sam tylko Floryan nie strwożył się. — Panie hetmanie, odpowie, opiece Bożkiej i waszmościńej polecam, jeśli zginę, moje żonę i dzieci, a co chcesz uczynię. Do chorągwi której dowodził, przystąpi, o życzeniu Sobieskiego i swój obietnicy powie, towarzysze jednak nie podzielali animuszu rotmistrza. — Panie bracie, wyrzekną, jeśli aszmości życie nie miłe, możesz pójść, my tu zostaniem; kto widział aby nieprzyjacielski obóz na górze siedzący tak zdobywać! to

(11) Było to w bitwie pod Stawiszczami z kozakami; raniony w twarz Czarniecki, nie ustąpił z pola dopóki miasta nie zdobył.

rzecz piechoty nie nasza. Próżno prosi i zaklina rotmistrz. Nic nie pomaga, żaden z miejsca ruszyć się nie chce. — A kiedyż tak jest, wykrzyknie w rycerskim zapale, kiedy asaństwo zapominacie coście winni ojczyźnie i własnej sławie, zostańcież; ja pójdę sam, ale że chorągwi na srom nie chcę wystawić, więc ją z sobą zabiorę. Jakoż wyrwawszy proporzec z rąk towarzysza, przeżegnawszy się krzyżem świętym, w całym pędzie konia skoczył na skałę. Bisurman kule jak grad sypie z obozu, nasz bohater nie trwoży się, ubiegł z pół staja drogi, wszyscy pogładają na niego jak na jakie dziwowisko, toż on niby Rzymski Scewola lub Horacyusz Kokles, poświęca się dobrowolnie *pro bono publico*, panom towarzyszom wstyd jakoś że swego dowódcę zostawiają samego, kopną się za nim czwałem, bitwa wtedy gieneralną stała się bo i inne półki nabrały odwagi. Ile zaś dokazywał pan Floryan, ile Turków nasiekał lub do niewoli zabrał, wspominać nie chcę, dość że gdy hetman zdawał sprawę z zwycięztwa które od haniebnego haraczu uwolniło kraj, a jemu utorowało do korony drogę, Rzewuskiego, pierwszego z rotmistrzów armii, względem rzeczypospolitęj polecał.

Drugi wojownik, którego wtedy poznałem, był Albert Chelmski, rotmistrz pancerny, a wkrótce i podpółkownik (12); młody jeszcze był to człowiek, wątpię czy dzieciątkiem lat starszy ode mnie, lecz co za statura! doprawdy nie wiem czy Grecki Herkules lub żydowski Samson bujniejszego był wzrostu. W izbie znajdowało się mnóstwo rosłych osób, on jednak wszystkich głową przewyższał; co zaś do siły, zleby ten wyszedł coby chciał mierzyć się z owym olbrzymem; wszakże to niczém dla niego

(12) K. W. Wójcicki robi o nim wzmiankę w swoich Starych gawędach. Umarł regimentarzem kor. za Augusta 2go.

trzy szyny żelaza razem złożone giąć, podkowę łamał w dwóch palcach, najsilniejszego chłopca stawiał i podnosił na dłoni. Raz nawet, rok temu właśnie, król Imć, co się w dzikich zwierzętach kochał, i miał ich mnóstwo w swoim zwierzyńcu w Złoczowie, dowiedziawszy się o ogromnym niedźwiedziu w pobliskich lasach, chciał go zdobyć do swego ogrodu dla kompanii innym; lecz cóż? zwierzę bronilo się zajadle, ostrożne też nie dało się ująć w sieci; król Imć kłopotał się wielce, gdy pan Chełmski aby przypodobać się monarsze, najprzód kaze ukuć silny kaganiec jakich zwykle używają niedźwiedznicy, potem skrecił batożek alias dyscyplinę z grubych drótów. Wszyscy pytają ciekawie co z tym przyborem czynić zamysłą? — Pójdę na niedźwiedzia, odpowie spokojnie; ten i ów w śmiech, inny w odrady: aści widać skóra świerzbi, życie sprzykrzyło się; któż widział aby pojedynczy człowiek taką ogromną bestyą pokonał? Nie odpowiadał nic Chełmski, ale jednego rana wyprawil się na łów; jakim sposobem ujął niedźwiedzia, o tém nie chciał wspominać, dość że go przyprowadził na kagańcu żywego, a osmaganego do krwi dróciwym biczem. Nazajutrz jednak zaniemógł, wszyscy się bali aby niezwykłych zapasów nie przyplacił życiem. Król przysłał doktora, Chełmski Niemca odesłał, a leczył się na swój sposób; kazał się wysmarować słoniną, potem wypil podwojną miarkę swego ulepku, to jest grzanego wina z imbirem i cynamonem dwie kwarty, ten lek powtórzywszy przez trzy dni rano i wieczór, zdrów był i silny jak przedtém.

Trzecia osoba, z którą mnie poznał pan Michał, inną była professyi. Gdy mnie jęj przedstawiał, mówił: — Bądź wasze rad z tęg znajomości, niełatwo bowiem zdarzy ci się sposobność zejścia się z drugą personą ró-

wnie znakomitą jak pan Wespazyan Kochowski. Z ojcem służyło się wojskowo, jegomości samego od dziecka znam, piastowałem nieraz na rękach, nie przeczuwając abym w drobném pacholęciu ujrzał kiedyś lumen kraju, wiekopomnego poetę.

Wyraz poeta, miło w uszach zadzwonił. Nieraz gdy w kolegium czytałem piękne wiersze Owidyusza lub Horacego, przychodziła chęć poznania którego z wierszopisów; nieraz nawet uniesiony fantazyą tworzyłem sobie jego wizerunek; w prostocie ducha i niedoświadczenia sądziłem, że to być musi gatunek ludzi całkiem od zwyczajnych różnych, że inaczej żyć, myśleć i mówić powinni; przekonałem się jednak prędko o pomyłce. Pan Wespazyan, chociaż ulubieniec Muz, wielki poeta, niczém się od nas zwyczajnych ludzkich istot nie różnił, smętny tylko był trochę i hipokondryk, przecież gdy się trafiła okazyja, a wino, którém wcale nie gardził, zaszumiło w głowie, jak każdy i my bawił się, hulał, śpiewał i gadał nie do rzeczy. Poznawszy się zaś z nim lepiej, przeświadczyłem się że ma i wady wcale pospolite: tak np. gaduła był wielki, broń Boże powierz mu jaki sekret, niezawodnie tego samego dnia wszyscy o nim wiedzieli; więcćj tóż jak przystało o względy panów ubiegał się, rad im kadził w swych wierszach, z prawdą także mijał się często, że ksiądz prymas Wydziga, wielki jowialista, rad go prześladował o to.

Hetman niedługo dał czekać na siebie; w pół godziny po naszym przybyciu wyszedł ze swojej komnaty w towarzystwie trzech panów; byli oni: Marcin Kątski generał artylerji koronnej, Mikołaj Sieniawski hetman polny, i Jędrzej Zaluski biskup Płocki. Mało przecież zwracałem na nich uwagi, wolałem przyglądać się het-

manowi; ubrany on był po Polsku, a jak na znakomitego dygnitarza i magnata wypadło, okazale; w granatowy kontusz, w żółty adamaszkowy żupan, guziki bogato drogiemi kamieniami wyłożone, spinka przy białej namięczy ogromnej wartości, z jednego bowiem brylantu; szabla w karmazynowej axamitnej pochwie u boku, na jej rękojeści turkusów i innych drogich kamieni mnóstwo. Do parady jedna tylko ta szabla służyła; w czasie wojny przypasywał inną, dostał ją w podarunku od ś. p. Józefa Lubomirskiego (13), w dank ostatniej bitwy z Rakoczym; prosta była, mało srebra na pochwie, ale za to hart wyśmienity, a szczerb na głowni kilkanaście. Nie oszczędzał jej bowiem hetman, jak wie o tém świat cały.

Lecz więcej od stroju, zajęła mnie postać wojewody; niepozorną była ona, wzrost średni, twarz Mazurska więcej okrągła niż ściągła, czoło wysokie, oko ciemnozielone, przenikliwe; teraz pogodne i wesołe, umiało zapewne i groźnym stać się, zwłaszcza gdy je pokryły dwa łuki brwi, nadzwyczaj szerokich i gęstych; wąs długi, ręka właśnie jak dla żołnierza przystało, szorstka, koścista, żyłasta.

A miałem dość czasu przyglądać się bohaterowi do woli, odprowadziwszy bowiem do drzwi i pożegnawszy towarzyszących sobie panów, zajął się gośćmi, znajdującymi się w izbie; nie przepomniął o żadnym, każdemu jakie miłe słówko powiedział, zbliżywszy się zaś do pana Kochowskiego, uderzył go zlekka po ramieniu a mówił:

— *Quomodo vales*, panie Wespazyanie? cóż mi nowego przynosisz? bez wątpienia jaki *carmen*; jużto nigdy

(13) Hetman i marszałek wielki koronny.

twoja muza nie spoczywa, co dzień jaki nowy owoc wydaje.

Poeta skłonił się nisko: — Zgadł wmość dobrodziej. Siegnął za nadrze, wydobyl papier w oktawkę złożony: — W domowém zaciszu napisało się właśnie nowy wiérzyk; ośmieliłem się zadedykować go waszmości memu dobrodziejowi.

Hetman przyjął papier: — Dziękuję ci uprzejmie, miły Kochowski, już to niech kto co chce mówi, Polska długo oczekiwać będzie na równego tobie wierszopisa; sam pan z Czarnego lasu, gdyby żył, musiałby ci jeżeli nie ustąpić pierwszeństwa, to winny dank oddać. Lecz, dawno już nie widzieliśmy się z sobą. Co słyhać u ciebie? jak idzie gospodarstwo?

— Nicosobliwie panie hetmanie, Bóg srogo doświadcza, troska za troską, za łzami łzy.

— Ach to twoja natura skarżyć się zawsze! nigdy jeszcze nie posłyszał czego innego od ciebie, lecz i cóż ci dolega?

— Nieurodzaj, pomor bydła, suchy był rok, moja wioska na wzgórzach, wszystko zboże przepadło, jeszcze jak na złość woda łąki zalała.

— Prześladują cię więc wcale różnorodne żywioły, woda i ogień.

— Waszmość żartujesz, a komu bieda to bieda, dali-pan nie wiem jak przebyć przednowek.

— Jak? a mój dobrodziej, najłatwiejszym w świecie sposobem: gdy ciebie fortuna doświadcza, na mnie jakoś łaskawa; urodzaj był, znajdzie się zatem dość zboża w stodole nietylko na własną potrzebę lecz i dla dobrych przyjaciół jakim waśc jesteś.

— Nie chciałbym nadużywać względów jegomości.

— Ależ nie bądź tak skrupulatnym! Poszedł do stolika, wziął pióro, napisał na dwóch kartkach papieru po kilka słów; przyjm to wasze ode mnie, jest tu kwit do rządcy mego starostwa na zboże, a z tym drugim do marszałka udasz się, wypłaci 1000 tynfów bezzwłocznie.

Poeta uściskał pańskie kolano:— Hojność waszmości, Bóg widzi, przechodzi wszystkie moje oczekiwania... jakże ją zdołam odwdzięczyć?

— Dobrém sercem i przyjacielskim animuszem, przerwał wojewoda; toż mi największa wdzięczność; zresztą, nic sobie nie jesteśmy dłużni (wskazał na papier), ty imię moje potomności podajesz, słusznie więc abym myślał o twój terażniejszości; *carmen* zatém daję za *carmen*.

Kochowski coś szeptał, podzięką zapewne, ale już zważać na nie czasu nie było, bo hetman zwrócił się do nas, a szczególnie do pana Michała, który z uszanowaniem stał na uboczu, blisko drzwi.

Gdy go ujrzał wojewoda, zastanowił się trochę, niby znaną osobę przypominając sobie, wątpił przecie czy się nie myli.

— Na Matkę Boską Częstochowską! rzekł wreszcie, panie bracie, znamy się oddawna, spostrzegam to, lecz gdzie i jak, przebacz słabój pamięci, nie pomnę.

Skłonił się czapką porucznik: — Nie dziw mnie wielce mościwy dobrodzieju i hetmanie, jużto dawne lata jak nie miałem fortunnej okazji przypomnienia się względem waszmości; inni ludzie, świeże wypadki, łącznie zacierają dawne.

— Ależ, przerwał wojewoda, i głos waszmości jest mi znajomy, i twoja szeroka szrama przez czoło; już tylko nazwisko myli się.

Powiedział je pan Michał, hetman podał mu rękę, przyjacielsko uścisnął: — Bywajże stary towarzyszu broni, dawny kolego! lecz na Boga w niebiesiech, zmieniłeś się do niepoznania, łys na czole, siwizna wąsy osiadła.

— Starość nie radość panie hetmanie, 60 lat z górą.

— To prawda, lata biegną (pomusknął wąsa), i mnie już deresz napada, a to gorszy nieprzyjaciel od Tatara lub Turka; nie opędzisz mu się kopią, nie zasłonisz pawczą. No, mości dobrodzieju (odwiódł go nieco na stronę), powiedzże mi jak się masz? jak ci się powodzi? nie taj niczego dawnemu koledze, może Bóg pozwoli w czém usłużyć

Oddał znów ukłon porucznik: — Istotnie przychodzę z prośbą do waszmości mojego pana, lecz nie dla siebie, ale ot, dla tego wyrostka (wskazał na mnie); jestto syn mego rotmistrza, znanego panu hetmanowi. Powiedział nazwisko.

Baczném okiem zmierzył mnie wojewoda: — Chłopak nie ma co mówić, dziarski i zapewne jak był ojciec kiedyś, do karabeli pochopny; chcesz go zapisać do której chorągwi? Czas mu już, miejsce się znajdzie.

— Pokornie dziękuję waszmości, będzie z czasem prośba i o to, teraz inna ważniejsza doskwiera; chłopiec chce się udać pod protekcją jegomością, ciężkie bowiem przypadły na niego karystye, ot, ledwie się z więzienia wydobył.

— Aha, rozumiem odparł hetman wesoło, ichmość gorączka: młoda, więc burzliwa krew, poswarzyło się z jakim sąsiadem, nadržębało ucho, z tego proces i kryminał o gwałt.

— Nie to mości dobrodzieju, lecz jeszcze gorzej, ichmość zadarł z Jezuitami.

— Z Jezuitami! powtórzył wojewoda (dotychczasowa wesołość odbiegła go); jakże to być może? chłopiec tak młody!

Pan Michał całą sprawę opowiadać zaczął, lecz że mu nie szło gładko, a nie szczędził komu należało epitetów: lotry, szalbierze, wydrwigrosze i t. p., wojewoda wziął go pod ramię, odwiódł do następnej izby, drzwi zamknąwszy za sobą.

Blizko pół godziny tak sam na sam rozmawiali ze sobą, gdy zaś wyszli, porucznik igrał z wąsem pocierając go raczej na dół, niż w górę; hetman zbliżył się do mnie a mówił półgłosem:

— Chrzestny ojciec waszmości powiedział mi wszystko co twego interesu dotyczy; delikatna to sprawa za katy, Bóg wie jaki obrót wziąć może. Z temi, z którymi żyjesz w niezgodzie, rzadko kto wygrał, nie żartem mówić przysłowie: ognia, księdza, doktora i wody strzeż się, ale nie trać fantazyi, zrobi się co będzie można; gdyby zaś w jakim niebezpieczeństwie widziałeś się, znasz drogę do mojego domu, dam pomoc na jaką się zdobęde.

Odszedł do pierwszej izby, aby z resztą oczekujących na siebie gości i suplikantów pomówić. Ja z panem Michałem opuściliśmy pałac.

ZKĄD POCHODZĄ ZMIANY TEMPERATURY?

PRZEZ

Alexandra Tolwinińskiego.

Wrażenia, jakie odbieramy od otaczającego nas powietrza, są podobno główną przyczyną dla której w towarzystwach, tak często mówi się o pogodzie. Rozmowy podobnego rodzaju, chociaż dla częstego ich powtarzania stać się mogą przyczyną ironicznego uśmiechu, nigdy jednak nie będą zapomniane; jużto dlatego że są skutkiem naturalnego usposobienia umysłu naszego, wyrażają bowiem myśl najbardziej nas zajmującą (w chwili mówienia o pogodzie), już dlatego że mogą nastreczyć każdemu szereg myśli, które rozwijając można zastosować do przedmiotu, zdolnego zająć zebrane towarzystwo, i zgodzić się z zatrudnieniami jego. Ja także chcę mówić o pogodzie, i zdaje mi się że znajdę przychylnych słuchaczy, że każdy z zajęciem przeczyta o tych powodach, które zupełnie od nas niezależnie, raz sprawują obfitość plonów, szczęście i dobry byt najpracowitszej klasy ludzi, drugi raz pogrążają ich w niedostatku i nędzy, zawodzą nadzieje i są przyczyną głodu całych okolic.

Przyczyną tego jest temperatura. Z jej zmianą zmienia się ilość parowania wód, powstają wiatry unoszące wodę w kształcie obłoków, i tym sposobem przenoszą ją w miejsca nieraz bardzo odległe od tych, z których podniosły się w górę, zmienia się wegetacja, i wszystkie zwykłe w atmosferze zjawiska. Temperatura ma także wpływ na utrzymanie się zwierząt i roślin w pewnych stronach, bo potrzeba pewnej stałej ilości ciepła dla każdej istoty, którego jeśli jej brakuje, wtedy albo niszczeje zupełnie, albo nie dochodzi dojrzałości, umiera przed czasem.

Wiadomo powszechnie że przy tych samych zjawiskach okolicznościach, temperatura zmniejsza się od równika ku biegunom; wiadomo także że słońce ma bardzo wielki wpływ na ogrzewanie ziemi; lecz gdy słońce corocznie powtarza tenże sam obieg, dlaczego nie powtarzają się z nim razem zmiany powietrza? dlaczego te tak są zmienne że wpływem swoim zmieniają urodzaje zboża i owoców? dlaczego w różnych latach, nagrzewanie téjże części ziemi tak rozmaite, że raz wszystko na polach od gorąca wysycha, drugi raz znowu od zbyt małego ogrzewania, owoce nędznieją a zboże na polach od zbytniej wilgoci gnije?

Przyczyn tych zmian w powietrzu, pomimo usilnych badań, pomimo licznych i utrudzających obserwacji, które w ostatnich szczególnież czasach przedsięwzięto, nie odkryto dotąd; lecz z powiększającą się liczbą obserwacji, pomnażają się wiadomości o temperaturze i klimacie rozmaitych krajów i okolic, a znajomość w tym względzie rozmaitych części ziemi, zdoła z czasem dać poznać dokładniej przyczyny zmian temperatury, a może i same zmiany w powietrzu.

Zastanówmy się więc nad klimatem rozmaitych miejsc na kuli ziemskiej.

Klimat fizyczny danego miejsca, obejmuje stan powietrza, ciepło i wilgoć jego. Własności te istnieją w atmosferze tego miejsca i wpływają na zdrowie ludzi i zwierząt, na roślinność i życie. Klimat więc pod każdym względem godzien, aby zastanowić się nad nim.

Z określenia klimatu widzimy już, że chcąc się wszechstronnie nad nim zastanowić, potrzeba nam rozważyć przyczyny zmieniające stan ciepła, wpływające na pogodę, wilgoć i wszystkie zmiany, które w atmosferze przestrzegać się dają.

Nie podpada żadnej wątpliwości, że słońce bardzo wielki ma wpływ na zmianę ciepła na ziemi: lecz wiedząc że liczne powody domniemywać się nam każą, iż wewnątrz ziemi cieplejsze jest niż jej powierzchnia, iż wprzód ziemia była w stanie daleko od dzisiejszego cieplejszym, iż wreszcie gwiazdy mając własne światło, rzucić mogą na powierzchnię ziemi i promienie ciepła; słusznie wnosić możemy, że nie samo tylko słońce jest przyczyną ciepła na ziemi.

Aby o tych różnych przyczynach ciepła lepsze mieć pojęcie, przypuśćmy na chwilę że ziemia, zawieszona w przestrzeni niebios, nie jest ogrzewana ani przez promienie słońca, ani przez żaden inny promień ciepła, i śledźmy zjawiska któreby ztąd powstały.

Wszystkie cząsteczki powietrza atmosferycznego podległy własności oddawania ciepła wtedy, gdy się znajdują w miejscu mającém mniejszą od nich temperaturę, a tém bardziej w przestrzeni niemającej żadnego ciepła, równie jak i wszystkie inne cząsteczki materialne, pro-

mieniowałyby swój ciepłik we wszystkie strony i oziębiałyby się coraz więcej, bo ich straty nie byłyby nadgradzane; ich ciężkość gatunkowa powiększyłaby się przez to oziębienie; cząsteczki te zatem opadałyby ku ziemi; inne cząsteczki, któreby ich miejsce zajęły, podobnemu uległyby prawu. Tym sposobem wszystkie warstwy atmosfery, po pewnym przeciągu czasu oziębiłyby się do tego stopnia, o jakim nie mamy żadnego wyobrażenia. Podobnie byłoby i na ziemi. Warstwy jęj powierzchni promieniowałyby ciepło w atmosferę, a prędko oziębione przez te straty niewynagradzane, przyjmowałyby ciepło od warstw wewnętrznych, i ciepło to podobnymże sposobem byłoby stracone. Tak więc po pewnym czasie, wszystko ciepło ziemi, równie pierwotne w jęj łonie zawarte, jak i ciepło jęj powierzchni, rozproszyłoby się w przestrzeni. Rozproszenie się ciepła, byłoby więcej lub mniej nagłe, podług tego jak powierzchnia ziemi zdolnaby była więcej lub mniej promieniować, i stosownie do przewodniczości wewnętrznych warstw ziemi.

Rozważmy teraz ziemię otoczoną niezliczonemi gwiazdami, które zajmują rozmaite okolice nieba. Wszystko każe nam się domniemywać, że te gwiazdy nie są pozbawione ciepła; od nich więc cała przestrzeń nieba ma pewną temperaturę, i kula ziemsku zawieszona w środku tęg przestrzeni przestałaby się oziębiać, gdyby przyszła z nią do równowagi. Tak więc gwiazdy mają wielki wpływ na temperaturę ziemi; nie możemy tylko uczuć tego zmysłami naszymi, bo wpływ ten jest stały, niezmienny, nie da się żadnemi aparatami obserwować i dlatego oznaczyć go bardzo trudno.

Ztądto jedną z najtrudniejszych do rozwiązania kwestyj fizyki, jest oznaczenie wpływu jaki wywierá ciepło

przestrzeni na powierzchni ziemi, czyli wyznaczenie temperatury przestrzeni poza granicami atmosfery ziemskiej.

Fizycy przybliżonym przynajmniej sposobem starali się rozwiązać to pytanie, lecz tu nie miejsce opisywać sposoby jakich do tego używali; nie będziemy tu zastanawiać się nad ich pracami, wskażemy tylko rezultaty do których doszli.

Pouillet, za pomocą licznych obserwacji narzędziem przez siebie na ten cel wynalezioném wykonanych, oznaczył temperaturę przestrzeni — 142° (*). Przeciwnie Fourier, z praw promieniowania ciepła oznacza ją około — 50° . Swanberg z przypuszczenia że przestrzeń planetarna nie doznaje żadnych zmian temperatury i że te zmiany istnieć mogą tylko w granicach atmosfery, otrzymał — $49,85^{\circ}$ na temperaturę przestrzeni. Lambert porównyując ilości ciepła które do nas dochodzą od słońca gdy to znajduje się w zenicie, gdy zatem promienie jego przechodzą najmniejszą warstwę atmosfery, z ilością ciepła od słońca w inném jego położeniu, wyrachowuje wielkość ogrzewania ziemi promieniami słońca, i dochodzi do temperatury przestrzeni — $50,35^{\circ}$. Trzy ostatnie wypadki tak bliskie siebie, wielkie mają podobieństwo do prawdy; lecz sprzeciwiając się obserwacyom Rossa w Port-Elisabeth, któren obserwował tam pewnego razu temperaturę — $50,8$ i obserwacyi Backa w Fort-Réliance, któren twierdzi, że w jednéj jego obserwacyi termometr wskazywał — $56,7$. Jeżeli obserwacye te są sprawiedliwe, to temperatura przestrzeni nie mogąc być wyższą od temperatur na ziemi obserwowanych, musi być niższą od tój, którą Fourier, Swanberg, i Lambert oznaczyli.

(*) Wszystkie temperatury liczone są na stopnie termometru słustopniowego Celsyusza.

Co się tyczy temperatury wnętrza ziemi, ta zdaje się być bardzo znaczną. Rozważając sferoidalny kształt ziemi, powiększającą się jej ciężkość gatunkową z głębokością, znajdujące się wewnątrz ziemi szczątki zwierząt i roślin, których utrzymanie potrzebowało wielkiego ciepła a dla braku którego zniknęły one z powierzchni ziemi; zastanawiając się dalej nad przyczynami wybuchu wulkanów, powiększaniem się temperatury w niższych warstwach ziemi i powiększaniem się tém większém, im bardziej się w ziemię zagłębiamy; słusznie wniesić możemy, że wewnątrz ziemi jest w stanie daleko cieplejszym niż jej powierzchnia. Różnica ta może mieć wpływ na stopniowe zmniejszanie się temperatury powierzchni ziemi. Żeby się przekonać czy średnia temperatura rozmaitych miejsc na ziemi zmniejsza się z postępem czasu, czy téż zostaje niezmienną, potrzebaby porównać temperatury różnych miejsc w odległych od siebie czasach. Porównania tego w obecnym stanie wiadomości naszych zrobić nie możemy, bo obserwacje nad temperaturą i wynajdywanie średnich temperatur rozmaitych miejsc na ziemi, bardzo niedawno zwróciło na siebie uwagę uczonych; ważnego więc tego pytania rozwiązać teraz nie można. Wspomnieć tu tylko możemy, iż Fourier ze swych matematycznych wywodów czyni wniosek, że ziemia doszła już prawie granicy swego oziębienia, że zatem jej powierzchnia nie może już doznać znacznych zmian w temperaturze, jeżeli te zmiany tylko od oziębienia wnętrza ziemi pochodzą.

Zastanówmy się teraz nad ostatnią przyczyną ciepła, które ziemia otrzymuje, to jest nad ogrzewaniem ziemi promieniami słońca.

Wprzód nim promienie słońca dojdą do powierzchni ziemi, przejść muszą całą atmosferę. W tym przechodzie

tracą wielką ilość ciepła i oczywiście tém większą, im grubszą warstwę atmosfery przechodzą. Dlatego słońce w południe bardziej ogrzewa ziemię, niż w czasie wschodu lub zachodu, dlatego więcej ją ogrzewa w lecie, niż w zimie. Aby mieć dokładniejsze pojęcie o téj różnicy, dość jest powiedzieć, że wtedy gdy słońce znajduje się w zenicie, $\frac{3}{4}$ tylko jego promieni ciepła do nas dochodzi, $\frac{1}{4}$ więc część ich, jest pochłonięta lub odbita od atmosfery. Gdy słońce ma wysokość $40^{\circ} 30'$, $\frac{2}{3}$ tylko promieni dochodzi do ziemi; przy wysokości słońca $21^{\circ} 30'$ dochodzi ich tylko połowa; $\frac{1}{4}$ część tylko przy 7° , a $\frac{1}{2000}$ przy poziomém ich położeniu. Wiedząc to, łatwo już wytłómaczyć przyczynę gorąca krajów podzwrotnikowych, i umniejszanie się jego z powiększaniem szerokości geograficznój. Łatwo także pojąć dlaczego są cztery pory roku w krajach od równika odległych, a dwie tylko pod zwrotnikami; dlaczego w dzień temperatura zawsze wyższa niż w nocy. Wszystko to bowiem tłumaczy się kierunkiem padania promieni słonecznych i długością czasu, przez jaki dane miejsce ogrzewaném jest od słońca. Jeden tylko fakt zdaje się odstępować od prawidła, jakie z dopięro co przytoczonych prawd wypływa, a tém jest ta okoliczność, że najwyższa temperatura dzienna nie jest, w ogólności mówiąc, w południe, ale około godziny drugiej w zimie, a około trzeciej po południu w lecie; pochodzi to ztąd, że promienie słońca padając na powierzchnię ziemi, częścią się odbijają, częścią zaś przechodząc ją, są przyczyną ogrzania; przed południem, gdy ziemia nie jest jeszcze bardzo ogrzana, więcej przyjmuje ciepła niż go traci, i dlatego temperatura się wznosi; toż samo ma jeszcze miejsce w południe, a nawet przez czas niejaki po południu, i dlatego ziemia

wtedy jeszcze się ogrzewa. To wznoszenie się temperatury ustaje wtedy dopiero, gdy ziemia mniej otrzymuje ciepła od promieni słonecznych, niż go traci przez promieniowanie w atmosferę mniej już od słońca ogrzewaną; wtedy więc dopiero zaczyna się zniżanie temperatury.

O zmianach ciepła. Z prawd, dotąd objaśnionych, wnieśćby wypadło, że jakiegokolwiek miejsce na ziemi, tem jest zimniejsze, im więcej oddala się od równika; że miejsce położone pod mniejszą szerokością geograficzną, cieplejsze jest od miejsca większą szerokość mającego; że upały w lecie i zimna w zimie podług tegoż prawa się zmieniają; bo chociaż w krajach bardziej od równika odległych, dzień w lecie jest dłuższy niż pod równikiem, lecz za to tam promienie słońca nawet i w południe padając bardzo ukośnie, mało ogrzewają ziemię. Doświadczenie jednak przekonywa: że prawo zmniejszania się temperatury zbliżając się do biegunów, nie jest ogólne; że dwa miejsca też szerokość mające, nie mają w ogólności téżże średniej temperatury. Zwróćmy uwagę na te przyczyny, które wpływem swoim zmieniają klimat miejsca, i oceńmy ważność zmiany od nich pochodzącej. Przyczyny te są:

1. Wyniosłość miejsca nad poziom morza.
2. Położenie i bliskość jego względem wielkich mórz.
3. Pochyłość miejsca.
4. Położenie miejsca i kierunek gór sąsiednich jemu.
5. Własność gruntu i natura jego.
6. Stopień uprawy i zaludnienie.
7. Panujące wiatry.

Zastanówmy się nad każdą z tych przyczyn w szczególności.

1. *Wyniesienie miejsca nad poziom morza.* Na wysokich górach temperatura jest daleko niższa, niżeli na dolinach, a różnica ta jest tém znaczniejsza im góry wyższe. Prawo to jest powszechne. Pod zwrotnikami nawet w wysokości 15,000 stóp nad powierzchnią morza, śniegi nigdy nie topnieją. Granica tu wiecznych śniegów zniża się posuwając się ku biegunom; tak np. pod szerokością 40^o wieczne śniegi zaczynają się w wysokości 9,000 stóp: pod szerokością 60^o, w wysokości 3,800 stóp. Prawo podług którego temperatura zmniejsza się aż do granic atmosfery, nieznane jeszcze: zawsze jednak, wnosząc z dotychczas obserwowanych wysokości, nie popełnimy wielkiego błędu przypuszczając, że tymże samym różnicom w wysokości od poziomu, odpowiadają także różnice w temperaturze. Z licznych, w tym celu robionych obserwacyj pokazuje się, że średnio, potrzeba się wznieść na górę na 700 stóp, żeby temperatura zniżyła się na 1 stopień. Lecz przy rozmaitych obserwacjach, wysokość ta jest różna w różnych miejscach, pojedyncze zaś spostrzeżenia nie zgadzają się z sobą w ogólności; zdarzyć się może, że wzniosłszy się na dość znaczną wysokość, nie uczujemy żadnego znizenia temperatury; w szczególnych nawet przypadkach cieplej będzie na górze niż nisko w témże miejscu. Lecz przypadki takie są rzadkie i zależą najczęściej od wiatrów. Niekiedy bowiem południowe i ciepłe wiatry panują wysoko, gdy przeciwnie nisko północny wiatr zniża temperaturę.

Porównywając obserwacje czynione w miejscach mających znacznie różną wysokość, spostrzegamy że zniżanie się temperatury z wysokością, zmienia się z porami roku, a nawet z godzinami dnia. Z obserwacyj Saussura i Kaemtzta jasno widzieć możemy, że około piątej godzi-

ny wieczór, czyli raczej w parę godzin po największej temperaturze dnia, zniżanie się temperatury jest najgwałtowniejsze; najwolniejsze zaś około wschodu słońca, i że w lecie wznosząc się do znacznych wysokości, termometr daleko prędzej się zniża niż w zimie. Słońce więc daleko więcej działa na ogrzanie równin niż gór, bardziej ogrzewa ziemię niż powietrze; w przeciwnym bowiem przypadku na górach cieplej być powinno niż przy powierzchni morza, bo tam promienie słoneczne więcej mają mocy i ciepła; przechodząc bowiem przez atmosferę, tracą w każdej chwili pewną ilość swego ciepła, ustępowaną cząsteczkom powietrza przez które przechodzą. Doświadczenie jednak przekonywa nas, że większa część jego dochodzi jeszcze do ziemi którą ogrzewa.

Zniżanie się temperatury z wysokością, zdaje się być przeciwnem uczuciu jakie sprawdzają na sobie podróżni. Gdy bowiem wejdziemy na górę w pogodny i cichy dzień letni, doświadczamy unuzającego gorąca. Pochodzi ono od energicznego działania promieni słonecznych, mających więcej ciepła niż też promienie w niższych warstwach; lecz nie mogą one rozgrzać rozrzedzonego na górach powietrza, o czém przekonać się możemy z wielkiej różnicy w stopniach ciepła, jakie pokazują dwa termometry, jeden zawieszony na słońcu, drugi w cieniu. Różnica ta daleko jest większa niż nisko.

Wspomnieliśmy, iż z przyczyny zniżania się temperatury z wysokością, jest daleko większe działanie promieni słonecznych na ziemię niż na powietrze; lecz ta jedna przyczyna nie byłaby dostateczną do sprawienia takich skutków, jakie postrzegamy. W rzeczy samej, tylko powierzchnia ziemi powinna być wtedy cieplejsza niż powietrze; temperatura zaś powietrza, powinna być

wszędzie jednakowa, a nawet u góry powinny być warstwy cieplejsze; prócz tego na górach i nisko, nie powinno być tak wielkiej zmiany w temperaturze, bo i ziemia na górach powinna być ogrzana. Oprócz więc téj przyczyny nad którą dotąd zastanawialiśmy się, są jeszcze i inne, sprawiające ten skutek.

Jedną z nich jest *promieniowanie*; gdyby ziemia nie oddawała za pomocą promieniowania tego ciepła, który od promieni słonecznych odbiera, i gdyby gęstość powietrza była wszędzie jednakową, wtedy temperatura wyższych warstw powinna być większą od temperatury warstw niższych, bo promienie słoneczne które wyższe odbierają, są mniej osłabione. Lecz promieniowanie ciepła zupełnie odwraca fenomen. Bo promienie ciepła które ziemia oddaje, nie będąc światłami, są pochłonięte przez niższe warstwy atmosfery, które przez to więcj się ogrzewają.

Gęstość powietrza nie jest jednostajną; zmniejsza się ona z powiększaniem wysokości. Nietylko więc w jednakowej objętości niższe warstwy pochłaniają więcj ciepła (bo więcj jest cząstek powietrza), lecz przyjmują także pierwsze promienie wychodzące z ziemi. Każda cząsteczka powietrza promieniuje także ciepłik we wszystkie strony jak i ziemia sama; promienie, które idą na dół, pochłonięte są przez niższe warstwy atmosfery i przez ziemię; gdy tymczasem te, które są skierowane w górę, giną po więcjszj części w przestrzeni niebieskiej.

Na górach, gdzie z przyczyny rozrzedzonego już powietrza, promieniowanie w górę odbywa się swobodniej, ciepłik nie pochłonywa się przez powietrze, lecz swobodnie unosi się w przestrzeń, i mało działa na ogrzanie

tych wysokich warstw powietrza. Promieniowaniu więc ciepłaka i mniejszej zdolności rozrzedzonego powietrza, przypisać należy umniejszanie się ciepła w wyższych warstwach atmosfery.

Wspomnieć tu nam jeszcze należy o temperaturze miejsca potrzebnej do tego, aby śniegi które wiecznie na wysokich górach istnieją, utrzymały się nie niknąc. Długo mniemano, że tam, gdzie zaczynają się wieczne śniegi, temperatura średnia roku jest zupełnie też sama co i temperatura lodu topniejącego; lecz Humboldt dowiódł mylność tego zdania, a obserwacje Leopolda Bucha nad wiecznymi śniegami Norwegii i Laponii, potwierdziły zupełnie to zdanie Humboldta. W krajach gorących, temperatura średnia powietrza na granicy wiecznych śniegów jest $1^{\circ},5$, gdy tymczasem w Norwegii pomiędzy 60° i 70° szerokości, ta średnia temperatura zniża się do -6° . Nietrudno zdać sobie sprawę z tego zjawiska; bo podług uwagi Bucha, granica wiecznych śniegów zawisła szczególnież od temperatury miesięcy najcieplejszych w roku; wznosi się ona gdy temperatura tych miesięcy jest wyższa, a zniża się ze zmniejszeniem się jej. Ponieważ zaś temperatura najcieplejszych miesięcy zależy, jak to niżej zobaczymy, od stanu atmosfery, więcej lub mniej czystego, od natury gruntu i jego pochyłości, od panujących wiatrów i t. p. okoliczności, łatwo więc pojąć, że przy tych samych okolicznościach, granica wiecznych śniegów tem będzie wyższą, im massa ich mniejsza.

Wielka massa śniegów dłużej może się opierać działaniu cieplejszego powietrza, otaczającego góry podczas lata i tem samém być przyczyną utrzymania na nich wiecznych śniegów; przeciwnie góry wązkie, jakiemi one są zwy-

kle przy wierzchołkach, ogrzewają się prędziej w całej massie, i przy wierzchołku ich większe jest ciepło niż w górach wielką mających przestrzeń w tój wysokości, gdzie jest granica wiecznych śniegów. Stosunkowo więc uważając, większe powinno być ciepło u wierzchołków gór wysokich i wąskich w krajach podzwrotnikowych, niż w górach podobnych bardziej od równika odległych, bo tu większa massa śniegów zniza temperaturę.

2. *Położenie miejsca i bliskość wielkich wód*, bardzo wiele ma wpływu na łagodzenie temperatury. Przyczyna ta działa w ten sposób, że w miejscach blizkich morza, różnica temperatury w zimie i w lecie daleko jest mniejsza, niż w miejscach odległych od morza. Pochodzi to od tój własności wód, że największy ich ciężar gatunkowy jest przy $4^{\circ},108$ i zmniejsza się z powiększeniem temperatury; cieplejsze więc jój części wypływają na powierzchnią, a zimniejsze zajmują większe głębokości. Gdy więc powietrze się oziębia, oziębia się i woda, lecz oziębiona idzie na dno, a miejsce jój zajmuje cieplejsza, która znowu się oziębia i t. d. dopóty, dopóki cała massa nie nabędzie temperatury $4,108$. Wtedy dopiero temperatura wody zniza się, podobnie do zniżania temperatury ładu stałego, aż do 0° . Przy tój temperaturze zdaje się, że woda daleko wolniej się oziębia niż ład stały, bo wiele ciepłika musi utracić woda przy przechodzeniu ze stanu ciekłego w stały. Oprócz tój własności wody, że cząstki jój wznoszą się i opadają, a tём samém są przyczyną złagodzenia temperatury, wielkie powierzchnie wód łagodzą jeszcze powietrze przez swą ruchawość, skutkiem której wody podrównikowe mieszają się i równoważą z wodami stron odległych od równika. Ruchawość ta wody pochodzi od trzech przyczyn: 1) od bał-

wanów morskich tworzonych przez wiatry, 2) od wznoszenia się i opadania morza (przyczyną czego jest przyciąganie księżyca i słońca), 3) od prądów morskich, tych szczególnież które idą od biegunów do równika. Prądy te nie są bardzo bystre, lecz istnienia ich dowodzą masy lodu często dające się spostrzedz pod 45° a czasem nawet pod 40° szerokości geograficznej. Teto polarne prądy były główną przyczyną, że kapitan Parry w swojej wyprawie, celem której było osiągnięcie północnego bieguna, zaniechać musiał tego przedsięwzięcia gdy się przekonał, że lody prędzej płyną ku południowi, niż okręt jego mógł się przez nie przedzierać ku północy. Przyczyną tych prądów jest siła odśrodkowa, większa ciężkość wód przy biegunach i większe parowanie wód pod równikiem.

Wspomniane własności wód na kuli ziemskiej w wielkich massach zebranych dowodzą, że woda łagodniejszą ma temperaturę niż ląd stały pod tąż szerokością będący; bliskość więc wielkich wód, łagodzi temperaturę lądu stałego. Łagodzenie to temperatury lądu przyległego morzu tém jeszcze jest znaczniejsze, że wiatry przechodząc morze, tracą swą ostrość, a tém samém łagodzą temperaturę miejsc, przez które później przechodzą.

3. *Pochylenie miejsca.* Że pochylenie miejsca wielki ma wpływ na zmianę jego temperatury, możemy przekonać się już i z tego, cośmy wprzód powiedzieli o działaniu promieni słonecznych na ogrzewanie ziemi, a mianowicie że ogrzewanie tém jest silniejsze, im mniej pochyło padają promienie słońca. W samej rzeczy wystawmy sobie, że słońce wzniesione jest nad poziom na 45° i że pochyłość góry także 45° do poziomu obrócona jest na południe; promienie więc słońca w czasie

południa, padają na taką pochyłość prostopadle; daleko więc ją bardziej ogrzewają niż płaszczyznę, w tychże samych zkądinąd okolicznościach znajdującą się. Przeciwnie zaś gdyby pochyłość góry była obrócona na północ, natenczas promienie słoneczne w południe nawet będą tylko równoległe do téj pochyłości; ogrzewanie więc takiej płaszczyzny od promieni słonecznych, byłoby zupełnie nieznaczne. Góra zaś większą jeszcze pochyłość mająca, będzie zawsze w cieniu.

Przypuszczenie to tłumaczy nam widocznie zależność temperatury od pochylenia miejsca. Dlatego w naszych klimatach, winnice utrzymać się mogą tylko na pochyłościach na południe obróconych; dlatego Alpy na południowej stronie mają wina i najdelikatniejsze owocowe drzewa wtedy, gdy w téjże wysokości północnej ich strona pokryta jest lodem.

4. *Położenie miejsca i kierunek gór sąsiednich.* Góry, nie samą tylko pochyłością działają na zmianę klimatu. Przyciągają one jeszcze wilgoć z atmosfery, zgęszczają parę wodną w powietrzu będącą, i dają początek tym silnym deszczom, które padają często w miejscach przyległych wysokim góróm. Nadto góry wstrzymują i zmieniają kierunek wiatrów. Jedną z przyczyn, dla których średnia i południowa Rossya Europejska, jest zimniejsza niżby być powinna ze względu na swoje położenie i pochyłość na południe, jest brak gór wysokich, któreby zasłaniały te części Rossyi od zimnych wiatrów wiejących z Białego morza i gór Uralskich, i bez wątpienia cała Rossya byłaby cieplejszą, gdyby kierunek gór Uralskich był wschodnio-zachodni. Przyczyną ostrego klimatu Syberyi, jest pochyłość jój na północ, i zupełne otwarcie na wiatry z morza Lodowatego wiejące, gdy tymczasem

wysokie grzbiety na południe Syberyi nie dopuszczają do niej południowych wiatrów, które mogłyby złagodzić klimat téj ziemi.

Góry odbijając promienie słoneczne w doliny, ze wsząd górami otoczone, są niekiedy przyczyną nieznośnego upału w stronach, które powinny mieć klimat umiarkowany; przykłady tego mamy w niektórych miejscach Szwajcaryi.

5. *Własność gruntu i natura jego*, wielki ma wpływ na zmianę klimatu. Przekonywają nas o tém piaszczyste pustynie, które dla wielkiego gorąca nie mogą być zamieszkałe. Wiadomo także, że grunta pulchne, które z łatwością przyjmują w siebie wilgoć, mniej jęj oddają przez parowanie niż te, które wody z dęszczu na powierzchni swęj zatrzymują. Dlategoto grunt lekki, kamienisty lub wapnisty, czyni powietrze zdrowém, gliniasty zaś i błotnisty zniżają temperaturę, i zarażają powietrze szkodliwemi wyziewami, osobliwie w klimacie gorącym. Wielkie zimna i niezdrowe powietrze Astrachańskiéj gubernii, widocznie nas o tém przekonywają.

6. *Stopień uprawy i zaludnienie*. Mało jest miejsc które, naturze tylko zostawione, to jest takie około których uprawy ręka ludzka żadnego nie miała udziału, mają klimat zdrowy i przyjemny; mało z nich ma powietrze czyste, niezarażone żadnemi szkodliwemi dla człowieka wyziewami. W takichto stronach rzeki rozlewając się po miejscach niskich, tworzą błota wyziewające szkodliwe gazy, tam w lasach trudne do przejścia cierniska i dzikie trawy tak są zwyczajne i gęste, że nie dopuszczają do ziemi koniecznie dla nięj potrzebnych słonecznych promieni. Tam więc wody napełnione są zgnilizną, obrzydliwemi i jadowitemi gadami, a niepełodne

пустynie zamieniły się w trudne do przebycia piaszczyste morza; tam w dolinach zwyczajne są bagna i tundrawy, a góry i wzgórza pokryte cierniem, zarosłe wijąciami się roślinami, przeszkadzają wzrostowi drzew okazałych i użytecznych.

Jakże odmienny przedstawia widok ziemia uprawna ręką cywilizowanego i pracowitego człowieka! Ziemia, na której każdym miejscu widać, że ona przez trudy, przemysł i pracę, stała się własnością dbających o dobro swoje ludzi! Tu, nieprzybyte wprzód trzęsawiska i błota, zamienione zostały w okazałe i pożyteczne łąki, w urodzajne pola, bogatym plonem obficie wynagradzające trudy rolnika. Tu rzeki ujęte w koryta, przedstawiają miły dla oka widok, dla handlu zaś wygodę; oczyszczają nadto wielkie miasta, i inne tysiączne czynią kozyści.

Tu ziemia wzruszona plugiem, wystawiona na działanie słońca i wiatru; zamiast nieużytecznych i szkodliwych chwastów, wydaje posilne i użyteczne rośliny i ziola.

Pracą więc i usilnością człowiek zamienił miejsca niezdrowe, na przyjemne i wygodne mieszkanie dla siebie; miejsca wilgotne osuszył, zimne nawet ocieplił, i uczynił zdawnymi do wygodnego życia.

Nie możemy wątpić że wiele części Europy mają teraz daleko przyjemniejszy klimat niż w czasach Rzymian, niż nawet w czasach mniej od nas oddalonych. Niektóre części północnej Ameryki doświadczyły podobnego ulepszenia w klimacie, od czasu większego zaludnienia się i oświecenia.

Chociaż w ogólności praca około ulepszenia gruntu i osuszenia miejsc wilgotnych, wiele się przyczynia do

ocieplenia temperatury w stronach umiarkowanych, jednak największy wpływ na to wywiera zmniejszenie wielkiej powierzchni lasów. Wyniszczenie ich podwyższa temperaturę okolicy, bo przestrzeń, która była wprzód zupełnie pozbawiona wpływu promieni słonecznych, wystawiona jest teraz na ich działanie. Lasy oziębiają miejsca, bo wyziewają za pomocą liści wielką ilość wilgotnego i chłodnego powietrza; przeciwnie zaś wyniszczenie ich, pozwala swobodniej komunikować się rozmaitym częściom powietrza. Wyniszczenie jednak lasów może być doprowadzone do takiego stopnia, że wywrze szkodliwy wpływ na klimat; ma to miejsce wtedy, gdy przez to okolica pozbawioną zostanie zasłony, która wprzód nie dopuszczała do niej szkodliwych wiatrów, lub gdy przez to, zbyt się umniejszy wilgoć strony (ma to szczególnie miejsce w stronach gorących i piaszczystych). Nieznośny żar i spieka na wyspach Zielonego przylądka, są skutkiem wyniszczenia tam lasów; klimat Grecyi, Włoch i innych stron, stał się mniej przyjemnym dla tójże przyczyny. Południowa część Islandyi, ostrzejszy zdaje się mieć klimat dla wyniszczenia lasów na tój wyspie, gdyż przez to ta strona wyspy bardziej jest wystawiona na zimne wiatry, wiejące z oceanu podbiegunowego.

7. *Panujące wiatry.* Każdy z nas pewno uważał, że w zimie, wiatry z południa wiejące są ciepłe, północne zaś bardzo zimne. Jeżeli spostrzeżenia tego rodzaju zechcemy rozszerzyć, dać im pewną ścisłość i ogólność, potrzeba uważać zmianę temperatury przy rozmaitych wiatrach. Przy obserwacyach tego rodzaju, należy nam usunąć wpływ, jaki mają na zmianę temperatury różne inne okoliczności; dlatego szukać nam należy średniej

temperatury miejsc, w przypuszczeniu panowania jednego ciągle wiatru; co znajdziemy biorąc średnie wywody z wieloletnich obserwacji zrobionych w czasie panowania jednego wiatru. Otto Ejsenlohr, z 34letnich obserwacji meteorologicznych czynionych w Karlsruhe, i porównania ich z obserwacjami robionemi w Paryżu, Londynie, Hamburgu i Moskwie, podał następną tablicę, którą ułożył biorąc prosto średnie temperatury, obserwowane przy rozmaitych kierunkach wiatru.

Kierunki wiatru.

| Miasta. | N. | NE. | E. | SE. | S. | SO. | O. | NO. |
|-------------|-------|-------|-------|-------|-------|-------|-------|-------|
| Paryż..... | 12°03 | 11°76 | 13°50 | 15°25 | 15°43 | 14°93 | 13°04 | 12°39 |
| Karlsruhe.. | 9,88 | 8,30 | 8,51 | 12,20 | 12,61 | 11,00 | 12,20 | 11,50 |
| Londyn | 7,65 | 8,08 | 9,63 | 10,58 | 11,35 | 10,86 | 10,24 | 8,71 |
| Hamburg.... | 8,00 | 7,65 | 8,38 | 9,50 | 10,00 | 10,13 | 9,25 | 8,38 |
| Moskwa..... | 1,21 | 1,44 | 3,53 | 4,63 | 5,96 | 5,69 | 5,40 | 3,33. |

Podobna tablica podana przez Kaemtza, daje następujące rezultaty:

| Wiatr. | Londyn. | Hamburg. | Hala. | Pest. | Moskwa. | Sztokolm. |
|--------|---------|----------|-------|-------|---------|-----------|
| N. | 9°14 | 7°75 | 7°50 | 9°15 | 0°59 | 3,74 |
| NE. | 10,53 | 7,75 | 6,80 | 9,55 | —0,68 | 5,51 |
| E. | 11,03 | 8,75 | 7,59 | 10,10 | 2,78 | 8,23 |
| SE. | 11,97 | 9,12 | 9,54 | 10,64 | 3,91 | 9,51 |
| S. | 11,32 | 10,13 | 10,57 | 12,44 | 4,14 | 8,78 |
| SO. | 11,77 | 10,62 | 10,31 | 12,62 | 3,51 | 8,46 |
| O. | 10,42 | 9,88 | 9,66 | 10,40 | 3,30 | 7,21 |
| NO. | 9,86 | 9,12 | 7,38 | 9,55 | 1,04 | 3,13. |

Nie można zapewnić, aby w tych temperaturach zupełnie były usunięte obce wpływy, mogące średnie temperatury zmienić; zawsze jednak pokazują one widocznie że wiatry północne zniżają, południowe zaś podwyższają temperaturę. Termometr wznosi się dość regularnie wtedy, gdy wiatr z północnego zmienia się stopniowo w południowy.

Jeżeli ścisłej jeszcze zechcemy oznaczyć związek, jaki zachodzi pomiędzy kierunkiem wiatru a temperaturą, na-

leży nam szukać na poziomie punktów najzimniejszych i odpowiadających im stopni temperatury. Kaemtz podaje na to następną tablicę:

| Miejsce. | Wiatr najzimniejszy. | Wiatr najcieplejszy. |
|----------|----------------------|----------------------|
| Londyn | N | S 12 ⁰⁰ . |
| Hamburg | N 30 ⁰ E | S 16 0. |
| Hala | N 30 E | S 17 0. |
| Pest | N 16 O | S 11 0. |
| Moskwa | N 19 E | S 42 0. |
| Sztokolm | N 2 E | S 26 0. |

Tak więc wszędzie prawie wiatr najzimniejszy wieje w kierunku między północą a wschodem; kierunek więc wiatru NNE można uważać za najzimniejszy. Buda czyni tu dość znaczny wyjątek, lecz pochodzi to widać z jakiegoś pobocznego wpływu.

W ogólności także rzec można, że kierunek najcieplejszego wiatru jest SSO, i że ten przybliża się coraz więcej ku zachodowi, zagłębiając się wewnątrz lądu stałego.

Kierunki wiatrów najzimniejszego i najcieplejszego, zależą także od pory roku; gdyż, wtedy gdy w zimie NE jest najzimniejszy a SO najcieplejszy, w lecie kierunki tych wiatrów są NNO i SE.

Jeżeli w ciągu dnia kierunek wiatru zmienia się, doznaje także zmiany i temperatura dzienna.

Tak np. gdy z rana wieje wiatr północny, a potem obraca się ku wschodowi, termometr się wznosi, dopóki wiatr nie przejdzie na południowy lub SO. t. j. w stronę, z której wieje wiatr najcieplejszy i potem termometr, we względzie na wiatr, nie zmienia się; lecz gdy wiatr z północnego przechodzi ku zachodowi, przychodzi on natenczas ze stron zimniejszych, i można się spodziewać

że temperatura średnia tego dnia będzie niższa, niż w poprzednim przypadku.

Przyczyna tych zmian łatwa do wytłómaczenia: wiatry zachowują w sobie własności, których nabyły przechodząc przez okolice którą przebiegły; dlatego wiatry północne są zimniejsze niż południowe; dlatego gdy podczas zimy wieje wiatr SO, przyprowadza on powietrze wilgotne i ciepłe, które ogrzawszy ziemię ciepłem swoim, zachmurza niebo, i nie pozwala ciepłu ziemi promieniować w górę. Ciepłej więc będzie wtedy, niż gdy wieje wiatr południowy; bo ten, wiejąc z ładu stałego, przynosi powietrze suche, które zmusza wodę do parowania, a niebo pogodne wtedy pozwala swobodnie promieniować ciepłu, temperatura więc wtedy jest niższa.

Kaemtz, który się wiele zajmował temi zmianami temperatury które od wiatrów pochodzą, przekonał się że wiatry na pewne szczególniejsze miejsca wielki wpływ wywierają. Od tego idąc miejsca, temperatura stosunkowo mniejszych zmian doznaje; miejsca te nazwał on *biegunami czasowemi*.

Tak np. gdy w zimie wieje wiatr wschodni, temperatura ładu stałego Europy niższą jest od średniej, i biegun czasowy zimna znajduje się wtedy niedaleko Warszawy. Zajmuje on środek powierzchni eliptycznej, mającej niedaleko granic swoich miasta: Królewiec, Gdańsk, Berlin, Drezno, Wrocław, Kraków, Mińsk i Wilno. Hała, gdzie ten uczoney robił obserwacye, znajduje się już za granicą tego pasu. W téj przestrzeni temperatura jest wtedy około 5^o niższa, niż średnia zwyczajna w tychże miejscach. W drugim pasie, koncentrycznym z pierwszym, gdzie się znajdują miasta Ryga, Hamburg, Hannover, Praga, Lwów, Kijów i Smoleńsk, temperatura

jest 4^o niższa od średniej. W trzecim pasie, gdzie miasta: Rewel, Gottenburg, Amsterdam, Bruxella, Stugard, Munich, Wiedeń, Pest, Odessa, Charków, Moskwa i Nowogród, temperatura o trzy stopnie niższa od średniej. Wązki pas zajmujący Petersburg, Helsingfors, Sztokolm, Chrystyanią, Londyn, Lille, Rouen, Paryż, Sztrazburg, Tryest, Bukarest, Krym, ma temperaturę tylko o jeden stopień niższą od średniej. Nakoniec w stronie nieregularnie oznaczonej, gdzie się znajdują Hebrydy, Irlandya, Bretania, Nantes, Bordeaux, Tuluza, Barcelona, Marsylia, Korsyka, Florencya, Rzym, Neapol; wiatry wschodnie nie zmieniają średniej temperatury.

Tak więc udając się z Warszawy jako ze środka, i kierując się po jakimkolwiek promieniu, znajdziemy, przy wschodnim wietrze, temperatury wzrastające względnie do średniej.

Bieguny te nie są stałe, lecz zmieniają się ustawicznie ze zmianą kierunku wiatru i zmianami ciśnienia atmosfery. Gdy wiatr wieje z zachodu, temperatura łądu stałego Europy wyższa jest od średniej, i biegun ciepła znajduje się na wschód od Hali i w środku powierzchni na granicach której są miasta Memel, Warszawa, Gdańsk, Królewiec.

Wszystko co poprzedza, daje nam dowód tej prawdy, że w meteorologii każdy fenomen ma swoje następstwa; wszystkie zjawiska działają i oddziałują wspólnie. Naprzykład wiatr SO w naszych okolicach, działa na zmianę temperatury nietylko swém ciepłem, lecz i wilgocią, napełniającą wtedy powietrze i sprowadzającą chmury na niebo.

W zimie zachodnie wiatry są ciepłe, bo będąc wilgotnymi, pokrywają niebo chmurami i nie dopuszczają pro-

mieniować ciepła ziemi; w lecie zaś są mniej ciepłe, bo przeszkadzają promieniom słońca dochodzić do ziemi.

Tak więc miesiące, w których panują południowe wiatry, będą miały temperaturę cieplejszą od tychże miesięcy w innym roku, w którym wieją wiatry północne.

Powiedzieliśmy, że ze zmianą wiatru, zmienia się i temperatura; lecz przy rozważaniu tej zmiany pamiętać potrzeba na tę okoliczność, że temperatura przy zmianie wiatru jest złożonym skutkiem z ciepła które wiatr przynosi, i ciepła powietrza będącego w spoczynku przed przybyciem wiatru. Przypuśćmy że w zimie wiał ciągle wiatr zachodni bardzo ciepły; gdy on przejdzie nagle we wschodni, temperatura się niższy, lecz ciepło ziemi i powietrza nie pozwoli termometrowi niżzyć się odrazu, tak jakby powinien od samego tylko wpływu wiatru E.

Zboczenia te częstych doznają zmian od stanu nieba, szczególnie w zimie. Wtedy obserwować niekiedy można zmiany zupełnie przeciwne tym, o których mówiliśmy przy wpływie wiatrów. Gdy wieje wiatr zachodni, powietrze napełnione jest parą wodną, gdy więc wiatr ten zmieni się w N lub NE, tworzą się od skraplania pary gęste obłoki, te przeszkadzają promieniowaniu ciepła od ziemi, i termometr nie niża się.

Gdy barometr nagle się niża i wiatr przechodzi w południowy lub SE, niebo się wyjaśnia, od wielkiego wtedy parowania i na czas pewien, w miejsce ciepła powstaje przenikliwe zimno.

Poznawszy przyczyny zmieniające temperaturę, przytoczmy jeszcze wypadki długiej pracy pana Dove, które są owocem porównywania temperatury rozmaitych stron. Miejsca których temperatury porównywał z sobą, znajdują się i w stronach podrównikowych, w umiarkowanych

i zimnych, w Europie i Ameryce; temperatura wielu z nich porównywana była z długiego przeciągu czasu, bo od 1782 do 1839 roku.

Wypadki te są następujące:

1. Ziemia odbiera corocznie tę samą ilość ciepła, rozłożonego coraz innym sposobem na jej powierzchni (*).

2. Atmosfera podrównikowa morza Indyjskiego, nie zdaje się mieć żadnego znacznego wpływu na zmiany atmosferyczne w Europie.

3. Zmiany termometryczne w krainie wiatrów peryodycznych na oceanie Atlantyckim, ściśle są związane ze zmianami meteorologicznemi pasa umiarkowanego, który jest mu odpowiedni.

4. Zimno w zimie rozszerza się w ogólności z północy na południe, a ciepło w lecie ma kierunek rozszerzania się przeciwny.

5. Częściej znaleźć można podobny stan atmosfery pod tymże samym południkiem, niż pod tymże równoleżnikiem. Tak w grudniu 1829 r. wielkie zimno było w Paryżu, dość znaczne w Kazaniu, a bardzo umiarkowane w Irkucku, a ciepło, jakiego nie pamiętają mieszkańcy, w téj porze roku panowało w Ameryce północnej. Zima w 1794 na 1795, wstawiona przez podbicie Holandyi, i zima 1809 r. tak mroźne w Europie, były bardzo lekkie w Ameryce; przeciwnie zima z 1790 na 1792 lekka w Europie, była bardzo przykra w Ameryce. Duńczycy uważali, że zimy niezwyczajnie lekkie w Islandyi, są bardzo zimne w Kopenhadze.

(*) Niezupełnie zgadzamy się na ten wypadek Dovego; zdaje się, że plamy na słońcu są przyczyną zmian ilości odbieranego od niego ciepła. Schwabe i Gotier dowiedli bowiem, że lata w których więcej jest plam na słońcu, pokazują się w ogólności zimniejszemi od lat, w których mniejsza liczba plam jest widziana.

6. Pod temiż samemi szerokościami średnie zmiany temperatury mniejsze są w Europie niż w Ameryce.

Jakkolwiek liczne i bardzo różne są przyczyny zmieniające temperaturę, nie mogą one jednakże być dostateczne do ocenienia klimatu jakiegokolwiek miejsca na ziemi. Dla dokładnego ocenienia jego, potrzeba długoletnich obserwacyj, z których średnia temperatura, będzie temperaturą tego miejsca.

Praca ta jest bardzo mozolna i utrudzająca, jednakże podjęta i wykonana była w znacznej liczbie miejsc na ziemi, jak to wskazuje tablica Mahlmana, w której oznaczone są z dokładnością temperatury średnie i wzniesienia nad morzem 305 znakomitszych miast, położonych w rozmaitych stronach i częściach świata; położenie tych miast jest także z dokładnością oznaczone.

Ta tablica, zgodnie z roztrząśniętymi przyczynami zmian ciepła, przekonywa nas dowodnie, że kąt pod którym promienie słoneczne padają na ziemię, nie jest dostatecznym do ocenienia temperatury, lecz zależy ona od wielu okoliczności, z których każda wielki ma wpływ na zmianę temperatury; a połączenie rozmaitych przyczyn, potężny wpływ wywiera na te powody, które w jednym roku sprowadzają wilgoć, deszcze i choroby, w drugim zaś obfitość plonów i szczęście mieszkańców.

ORATORYUM KOŚCIELNE

męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, czyli tryumf Ewangelii, ułożone z muzyką Józefa Elsner, rektora b. konserwatorium muzycznego, profesora kontrapunktu i kompozycyi muzycznej w b. królewsko Aleksandrowskim uniwersytecie w Warszawie.

PRZEZ

Karola Milewskiego.

Przyjęliśmy jako zasadę, że wyobrażeniem doskonałości w sztuce jest piękność. Uczucie jój pochodzi z wyższego natchnienia. Muzyka z jednego prawie co i poezya wpływając źródła, to jest: z uczucia człowieka, umiść w utworach swoich do niego przemawiać, i czyto sama oddzielnie, czy téż z poezyą się łącząc, zawsze działa na niego, podnosi wyobraźnię, i językiem serca do serca przemawia. Tém większy zaś przyznawamy jój wpływ i działalność, jeżeli odrywa nas od widomych obrazów i na skrzydłach melodyi i harmonii w niewidzialną unosi sferę. Wspólném jest natchnienie w sztukach pięknych i powinowactwo między nimi stanowi; bo kiedy malarz śmiałym pędzlem kolorami na płótno swoje pomysły rzuca, a rzeźbiarz za pomocą dłóta, z martwego

głazu wydobywa życie dla objawienia poezyi swój duszy; kompozytor muzyczny objawia ją melodyą i harmonią. W kompozycyi muzycznej najwydatniej maluje się przewaga uczuć. Kompozytor niejako wywołuje z siebie ducha, któryby wieszczem uczuciem go natchnął. Nie raz jedna myśl melodyi, zajmuje całą duszę jego; to jak gdyby z instrumentu wydobyta iskra elektryczna, roznieca w nim gorejące uczucie i coraz silniejszy płomień wzmaga, to znowu łagodna, jakby go wodą przytłumia, to wreszcie lekkim połyskuje płomykiem, stopniowo wzrasta, póki się w ognisty słup nie zamieni. Wówczas oblicze mistrza ogarnia blask bóstwa; płyną melodye, już to tkliwe, jak czuły śpiew niewinnych ptasząt wśród wiosennego poranku, już też burzliwe jak wściekłość rozhukanego orkanu.

Jeżeli przyjmiemy tę zasadę, że epepeja jest najpiękniejszym i najwspanialszym rodzajem poezyi, który śmiało nazwać możemy panem poematów, dlatego że w nim z największą okazałością jasniją wszystkie skarby poezyi; tedy śmiało go porównać możemy w rodzaju kompozycyi muzycznej z Oratoryum, bo w niém najdokładniej przebija się potrzeba, ażeby kompozytor postępując za duchem poezyi, rozwinął całą moc swojej wyobraźni i genialnych zdolności. Józef Elsner w układzie swego Oratoryum, stwierdził to najlepiej dowodami. Mógłże szczytniejszy obrać przedmiot? mógłże wynaleźć myśl zdolniejszą poruszyć serce, wymowniej przemówić do duszy, jak opisując mękę Zbawiciela świata i tryumf Bożkiej religii jego? Sam już pomysł tego dzieła zjednałby niemałą chwałę autorowi; tym większą zjednywa szczęśliwy układ, prowadzenie, rozwinięcie i z pomyslnym skutkiem dokonanie. Elsner pierwszy wielkim

pomysłem duszy, natchnieniem poetycznym bogatej imaginacji, w szczęśliwym, a nawet wzniosłym obrazie, odmalował nam historią męki i śmierci Zbawiciela świata.

Dziwną jest rzeczą, że krytyka krajowych znawców i miłośników muzyki, nie wykazała dotąd w szczegółowym rozbiórce, jakie Oratorium Elsnera między innymi w tym rodzaju dziełami, zajmuje miejsce. Powiększa się to zadziwienie, gdy krytyka zagraniczna, przyznała mu już cechę niezaprzeczonej doskonałości (*). Przyjdzie może chwila, że krytyka Europejska oceni je zasłużenie, ale wtenczas może nam się zarumienić wypadnie, kiedy w wierszu przez obce dłonie dla ziomka naszego uwitym, nie ujrzymy rodzinnego listka, lubo zasługa jego krajowa, nadewszystko pod względem muzyki kościelnej, niezaprzeczone do tego nadała mu prawo (**). Oprócz

(*) Obacz Nową Gazetę muzyczną Lipską, z r. 1840, Gazetę teatralną Wiedeńską z r. 1842. Gazetę Petersburską pod tytułem: Sztuki piękne, z dnia 14 lipca r. 1840. Rozbiór ten przepol-szczony przez W. Mikołaja Biernackiego, umieszczony był w Piśmiennictwie krajowym. dodawanem do Gazety porannej, z roku 1840 N. 37.

(**) Józef Elsner urodzony w Grodku, miasteczku Szląskiem w r. 1769, wychowanie swoje odebrał w Wrocławiu, gdzie ukończył wydział filozoficzny w tamecznym uniwersytecie. Zwiedził Brunn i Wiedeń, zkąd przybył do Lwowa. Kompozycje jego drukowane były w Offenbach, Wiedniu, Paryżu, Wrocławiu i Lipsku. Ze Lwowa z tameczną trupą artystów scenicznych przybywszy do Warszawy w roku 1799, jako dyrektor opery, poświęcił pracę swoje scenie Polskiej. On pierwszy założył w Warszawie drukarnią nót muzycznych, za której pomocą, mógłby uczącym się muzyki, podawać jej przepisy, i ogłaszać dzieła napisane w Polsce. Pierwszy w kościele ks. Piarów w Warszawie, zebrał towarzystwo muzyczne amatorów, któreby dokładniej wykonywało muzykę kościelną, a razem rozszerzało zamiętowanie tej sztuki. Chcąc zaś obcym zaszczytnie wystawić poświęcenie się dla niej ziomków naszych, przesłał do pism peryodycznych Kotzebuego, wiadomość o łatwości użycia języka Polskiego do muzyki, i umieścić ar-

bowiem ogólnych pochwał, umieszczonych w pismach publicznych, w czasie wykonywania tego Oratoryum, nie znaleźliśmy dotąd szczegółowego rozbioru jego, lubo nie możemy się żalić, że nie ma pomiędzy ziomkami naszymi, znakomitych znawców i miłośników muzyki. Pomimo tego jednak przyznać musimy, że dzieło to w późne lata, będzie miało na polu sztuki nie zaprzeczoną wartość, i dopóki chrześcijaństwo rozważać go nie przestanie, dopóty pomiędzy utworami sztuki, niosącemi hołd wiary i uwielbienia świętej religii, zawsze jedno z pierwszych miejsc zajmować będzie. Znakomitych bowiem wrażeń doświadczać ci, którzy w widoku estetycznym dzieło to pojmują. Powtórzmy tu ze znakomitym znawcą (*), który niepłonnie wyrzekł: że sława nie nabywa

tykuł w Gazecie muzycznej Lipskiej pod tytułem: *Dzieje opery Polskiej*. W r. 1805 odbył podróż do Paryża. Za powrotem swoim do kraju, napisał dziełko: *O rytmiczności i metryczności języka Polskiego*, tudzież *Początki muzyki dla uczących się śpiewu*, z rozłożeniem ich na 3 klasy, które własnym swoim nakładem wydrukował. Rząd uznawszy je za odpowiednie celowi swemu, przeznaczył za elementarne, dla uczących się muzyki. W r. 1814 Elsner wezwany został do udzielania muzyki w Szkole dramatycznej. Następnie zalecono mu ułożenie projektu organizacyi szkoły elementarnej muzyki, która w r. 1818 otrzymała zatwierdzenie rządu. W r. 1821 pod jego kierunkiem założone zostało h. konserwatorium muzyczne w Warszawie, w którym miał poruczone obowiązki rektora. Pierwszą myśl i pierwsze początki tego zakładu winniśmy Elsnerowi. W roku 1827 powołany został na profesora kontrapunktu i kompozycyi muzycznej w byłym królewsko Warszawskim uniwersytecie. Napisał on 18 oper, 9 melodram, 1 balet, 41 muzyk na orkiestrę, i 48 kantat. W muzyce kościelnej, której szczególniej się poświęcał, napisał 87 dzieł religijnych. Udarowany został pierścieniem brylantowym, przez wielkopomnej pamięci w Bogu spoczywającego Alexandra cesarza wszech Rosyji i króla Polskiego, króla Pruskiego, króla Saskiego, jako też Najjaśniejszego dziś nam panującego cesarza Mikołaja I. Nadto zaszczycony orderem śgo Stanisława 3ciej klasy.

(*) Nestor Kukulnik.

się łatwo, że Oratoryum to przewyższa wszystkie czytane i słyszane o niem pochwały i wymaga naukowego zgłębienia, tak pod względem nowości rodzaju przez Elsnera wprowadzonego, jako téż wysokich zalet wzoru, który w nim mistrz ten wskazać nam umiał. Zwróćmy uwagę czém były dotąd oratorya? oto, albo dowolną zbiieraniną pojedynczych miejsc z pisma ś. klejone nudnym recytatywo i gdzie niegdzie dla lirycznego porządku upstrzone chórami, albo téż stanowiły je długie i nużące chóry, złożone po większej części z kontrapunktowych trudności, przeciążone upiększeniami kunsztownego zinstrumentowania, któremu smutna konieczność zbyt wysokie miejsce w dziedzinie muzyki nadała. Hendel dopiéro pierwszy i ostatni, był na prawdziwej drodze epopei religijnej. On głęboko pojął w tym rodzaju wzniosły charakter poematu bohatérskiego, który nieśmiertelnił znamienite jego dzieło *Święto Alexandra*. Oratorya Hajdena wcale już inne wzory i inne zasady przedstawiają, stanowiąc bibliotekę najprzyjemniejszych motywów muzycznych, porywających pomysłów i zwrotów. Ale oratorya te nie były właściwie epopejami religijnymi, lecz raczój sielankami, czyli wyborowemi kwiatami gienialnej jego imaginacyi. Albowiem epopeja muzyczna jest opowiadaniem wypadków ducha, nie zaś poezją opisującą świat materyalny. To przeznaczenie muzyki najwięcej okazało się w nieśmiertelnym Mozarcie i wielkim Bethowenie. Mozart jednak zanadto był jeszcze młodym, dla utworzenia oratoryum, nadto pełnym żywych wrażeń poziomu, lecz za to obrazy namiętności wychodziły zpod pióra jego w prawdziwym świetle prawdy, i równały się sławie Rafaela i Szekspira.

Ostatnie dzieło Mozarta, sławne jego *Requiem*, dało dopiero poznać światu właściwe znaczenie religijno-bogatérskiej poezyi. Niepowetowaną stratę, jaką przez zbyt wczesną śmierć Mozarta, świat muzyczny poniósł, wynagrodził Bethowen, wprowadziwszy massy dźwięków dla pieszczoného ucha lubowników muzyki. Pióro Bethowena dało nam uczuć, co znaczą massy głosów i instrumentów, i jakich właściwie farb dobiérać powinien twórca epopei; lecz z drugiéj strony uwodzi on się niekiedy dążnością czasu, i niezupełnie zdaje się być oswojony ze wszystkimi tajnikami głosu ludzkiego. Bethowen pozostał w odkrytéj przez siebie krainie symfonii filozoficznój, i dał nam tylko próbę epopei religijnój w dziele swojém *Chrystus na górze Oliwnój*, genialnie w szczegółach rozwiniętéj, lecz w ogóle niezupełnie trafnie do przedmiotu zastosowanój. Następca muzycznego Bethowena, Mendelson Bartoldi, niedawnemi czasy napisał oratoryum *Paulus*, które uważać należy więcéj za utwór kunsztowny, aniżeli za epopeję. Albowiem kompozytor ten nie skreślił w niém ani wypadków, ani téż charakteru przedmiotu który sobie obrał, lecz obok twórczój wyobraźni, pod względem mechanizmu muzycznego dowiódł rozległój erudycyi. Zamileczymy tu o utworach epopei lirycznój mistrzów kaplicy Syxtusa, dlatego że w nich po większój części miano na celu wprowadzenie i upowszechnienie bogactwa i giętkości głosów, chociaż dzieła ich mało nam są znane i więcéj do historii muzyki należą. Niemniej atoli są one ważne pod względem wpływu, jaki na kompozytorów Niemieckich, a nawet na sam styl muzyki kościelnój wywarły. Elsner głębiéj pojął ciąg historycznój muzyki, dążność wieku, rozciągłość i granice poezyi muzycznój w ogólności, jako téż chara-

którą epopei religijnej w szczegółach. Udowodnił znajomość kompozycyi muzyki kościelnej w utworzeniu tego Oratorium, i ściśle się ze swego obowiązku wywiązał. Ona była środkiem do osiągnięcia zamierzonego efektu. Elsner, pominawszy w tej gałęzi drogę przez znanych kompozytorów już utworzoną, nadał swemu dziełu plan nierównie naturalniejszy, nową zupełnie formę, nowe żywioły, obalające nudzącą monotonią muzycznego układu oratorium; nakoniec pod względem sztuki, wypracowanie charakterystyczne, pełne niezliczonych odcieni, z rozbiorem których możnaby utworzyć obszerną i nader użyteczną księgę.

Ogólny plan Oratorium Elsnera, zadziwiającym jest pod względem swojej naturalności i prostoty. Znając historią muzyki, jak z jednej strony wiemy dokładnie, że wiele ona winna jest kościołowi katolickiemu, tak z drugiej nie zaprzeczamy, że kompozytor muzyki religijnej, potrzebuje głębokiej i gruntownej znajomości jej zasad. Niedosyć jest znać teorią akordów, umieć składać różnobrzmiące tony, wynaleźć właściwy bas fundamentalny, niedosyć posiadać znajomość kontrapunktu, znać przymioty głosu, śpiewność i naturę instrumentów, czuć charakter i przyzwoitość wymiarów, jako też i modulacyi, znać nawet wziętość i smak dobry; ale oprócz powyższych wiadomości, które są tylko że tak powiem przygotowaniem do kompozycyi, potrzeba jeszcze mieć w sobie obfite źródło pięknej i bogatej imaginacyi, zgodnej harmonii, umieć tworzyć rozliczne obrazy, posiadać wrodzony dar objęcia całości dzieła, aby w tworzeniu myśli postępować za duchem poezyi, nie zmieniając powagi stylu religijnego. W Oratorium Elsnera ciągle docho-

waną jest prostota, szlachetność i powaga w myślach, szczytność w oddaniu uczuć, żywość w obrazach, śmiałość w postaciach. Jak wszystkie utwory muzyki kościelnej tego kompozytora, tak szczególnież to Oratorium jego, odznacza się tkliwą śpiewnością, poważną i uroczystą siłą harmonii, szczególnież też majestatyczném skręśleniem saméj męki Zbawiciela świata. Gienialny kompozytor umiał się przejąć wielkością swego przedmiotu. Jest on w układzie téj partycyi zupełnie oryginalnym, żadne w niéj miejsce nie przypomina nam nietylko innych autorów, ale nawet ani jednéj myśli z poprzednich jego kompozycyj. Nie od rzeczy tu będzie zwrócić uwagę na rozkład orkiestry i chórów. Po obudwóch stronach, zajmują miejsca chóry wyznawców i świadków męki Jezusa Chrystusa. Onito są niejako widzami wypadków i wynurzają uczucia przez nie wzbudzone. W środku umieszczoną jest orkiestra instrumentalna, stanowiąca mechaniczną pomoc muzykalną. Za orkiestrą mieści się chór Izraelitów, niewiernych i czynnych przeciwników nauki Chrystusa. Wyżej samotni czteréj psalmiści, głosiciele wypadków; oni prowadzą porządek i następstwo całego Oratorium. Oddzielni znowu śpiewacy objawiają słowa wyrzeczone przez Jezusa Chrystusa, a oddzielni pytania Piłata i Heroda. Za psalmistami mieszczą się arfy, znowu prosta pomoc mechaniczna, dla utrzymania regularnéj toniki. Nad niemi chór aniołów. Podobny rozkład w wykonaniu nie jest dowolném dziwactwem, lecz koniecznością wynikającą z samego dzieła, a to ze względu na różność działań każdego oddziału orkiestry, różność textu poezyi i uczuć przez nią malowanych. Niepodobna bowiem jednym chórem oddać uczuć wyznawców Chrystusa i tych łagodnych, żalonych wzruszeń

serca, jużto ubolewającego, już téż przejętego uczuciem wdzięczności i obok tego, dzikiego fanatyzmu i ciemnoty zaślepionego żydostwa. Wypadało znowu wprowadzić gatunek koryfeusza Greckiego, czyli ociemniałego żebraka, śpiewającego smętną legiendę w przysionku świątyni, którego tu obowiązek spełniają psalmiści. Uczestnictwo aniołów, témbardziej nie może być oddaném przez jedną z trzech części muzyki głosowej. Organ, arfy i orkiestra, jakieśmy już wyżej wspomnieli, są tylko mechaniczną pomocą muzyki, i udzielają się stosownie do okoliczności. Orkiestra umieszczona między chórem chrześcian a chórem Izraelitów, towarzyszy obudwom. Arfy pomiędzy psalmistami i chórem aniołów, są przewodnikiem dla pierwszych pod względem toniki, a pomagają ostatnim przy śpiewie, wraz z dzwonami i organami, wyobrażającemi, podług tradycyi kościoła katolickiego, instrumenta niebieskie.

Jeżeli ogół tego dzieła, pod względem jego planu i rozkładu, zasługuje aby mu przyznać znamię szczytnego pomysłu, tedy układ pojedynczych jego części, niemniej zwraca na siebie uwagę znawców i miłośników muzyki. Psalmodyjnym, opowiadającym sposobem, w połączeniu z dramatyczném dyalogowaniem, prowadzone są w niem historyczne wypadki męki, śmierci, i zmartwychwstania Zbawiciela świata. W opowiadaniu psalmodyjnym, śpiewają, czyli raczój deklamują śpiewając: Jezus Chrystus (tenorem), Judasz, książe kapłanicy; Piłat i Herod (basem), również jak i chór żydostwa i pogan. Przejdźmy porządkiem pojedyncze dzieła części, a przysądźmy autorowi jego, znamienitą zasługę i co do układu.

Część pierwsza opowiada, jak Jezus Chrystus z uczniami swemi na górze Oliwnój, przygotowywał się do spełnienia wielkiej ofiary odkupienia rodu ludzkiego, i jak modlił się do ojca swego, aby odwrócił od niego kielich goryczy. Chór, czyli introdukcya: *Pange lingua &c. &c., Sław języku zwycięstwo walki i opiewaj tryumf odniesiony na krzyżu, jako zamordowany Zbawiciel świata, pokonał śmierć i grzech.* Nadto rozrzewnia nas tkliwością i pięknością melodyi ariya na sopran: *Deus meus eripe me &c. &c., Boże mój, wyrwij mnie z rąk grzesznika i z rąk czyniącego przeciw prawu Twemu.*

Część druga przedstawia wydanie Jezusa Chrystusa żydom, przez Judasza. W tej części rozwinął autor skarby poczui. Duet na tenor i sopran: *Domine exaudi &c. &c., Panie wysłuchaj modlitwę moję,* ariya na sopran: *Domine deduc me &c. &c., Panie prowadź mnie w sprawiedliwości Twojej dla nieprzyjaciół moich, urządzaj w obliczu Twojem drogę moję,* nakoniec chór i fuga: *Illuminare his &c. &c., Oświeć tych, którzy w ciemnościach i wśród cieni śmierci siedzą, do kierowania nóg naszych na drogę pokoju,* stanowią celniejsze tej części ozdoby.

W trzeciej części opiewa autor wprowadzenie sprawy Jezusa Chrystusa, przed sądem kapłanów żydowskich i Pilata. Ta część prawie cała przeplatana jest chórem; mieści oprócz tego tercet na sopran, tenor i bas: *Usque quo exaltabitur &c. &c., Dopókiż uragać się będzie mój nieprzyjaciel ze mnie? Wejrzyj i wysłuchaj mnie Panie Boże mój; ci którzy mnie uciskają, natrzęsać się będą, jeśli się trwożę,* i ariyą na sopran, z towarzyszeniem wiolonczelli: *Deus meus &c. &c., Ty jesteś Bogiem moim, nie odstępuj ode mnie, bo strapienie blisko jest,*

a nie masz ktoby mi dał pomoc. Ty zaś, Panie, nie zwlekaj Twojej pomocy, i na obronę moję wejrzyj. Wiolonczella, instrument w naturze dźwięku swego mający charakter rzewny, poważny i religijny, nie maluje namiętności, lecz łagodnymi tonami uspokajając je, unosi duszę do krainy niebieskiej. Po tój pięknej aryi, przerażają nas po dwakroć, dzikie okrzyki zaślepionego błędem i zaciętością żydowstwa: *Crucifige eum &c. &c., Ukrzyżować go.* Jaka dokładność w oddaniu dwóch tych sprzeczności! Nakoniec chór: *Deus noster refugium &c. &c., Boże, ucieczko nasza i obrońo, wspomóżycielu w utrapieniach, które nas bardzo zgnębiły, dlatego nie będziemy się lękać, gdy się wstrząśnie ziemia i przeniosą się góry w łono morza.* Wszystkie te numera w tój części, tu wymienione, odznaczają się wdziękiem i mocą kompozycyi.

Najpiękniejszą jest część czwarta Oratoryum, opiewająca mękę, śmierć, i zmartwychwstanie Zbawiciela. Co tylko zdoła moc i władza muzyki, co tylko utworzyć może szczytna kompozycya pod względem szczęśliwej kombinacyi głosów i instrumentów, to wszystko zebrał tu autor w najszcześniejszym połączeniu, i wszystkie źródła wymowy muzycznej natchnieniem twórczego gieniuszu, skierował ku wzniosłemu wydaniu szczytnego obrazu: wielkiej tajemnicy Odkupienia. Nie trzeba tu być wielkim znawcą muzyki, nie trzeba rozumieć wyrazów śpiewu, aby przejąć się wielkością myśli i pojąć akcyą, którą ta część przedstawia. Żalobny marsz rozpoczyna ją. Psalmodya opiewa, jak Jezus Chrystus wiedziony był na śmierć i potem ukrzyżowany. Następuje dalej arya na bas, z towarzyszeniem puzonu: *Afflictus sum &c. &c., Zasmucony i upokorzony jestem bardzo; ryczałem w je-*

kach serca mego, Panie; wszystkie chęci moje, nie są przed Tobą zakryte. Kompozytor, chcąc z całą rzewnością a razem powagą religijną, oddać żal prawego chrześcianina, użył wspaniałych a razem smutnych tonów puzonu, towarzyszącego śpiewowi z najpomyślniejszym skutkiem. Ponieważ głos jego jest pełny i wzniosły, dlatego też śpiewowi wiele mocy i wspaniałości dodaje (*). Dalszy ciąg psalmodyi opisuje ostatnią chwilę Jezusa Chrystusa na krzyżu i zgon Jego. W tém miejscu najdokładniej przemawia muzyka, wyrażając spełnienie się okropnych znaków, które przepowiedzieli prorocy, i to wymienia psalmodya. Aż oto rozdarła się zasłona kościelna na dwie części, słońce pokrywa się ciemnością, ziemia drży w swojej posadzie, skały się rozpadają, groby otwierają się, powstają umarli. Niepodobna skreślić wrażeń, jakie sprawia ten utwór poetyczny. Natężenie uczuć stopniowo wzrasta, i dochodzi do najwyższego kresu. Chwilowego odetchnienia dozwala nam pełna melodyi arya na sopran, i niejako przygotowuje nas do tryumfalnego finału zmartwychwstania Pańskiego. Tu po raz ostatni powtarza chór: *Qui passus est pro nobis, Któryś za nas cierpiał rany*, i ten zakończy każdy główny ustęp w Oratoryum. Odcienia uczuć, zasadzają się na modyfikacyi dźwięków i wypracowania pod względem sztuki. Siedm

(*) Mozart w nieśmiertelném *Requiem*, z wielkiém powodzeniem użył tego instrumentu, jako panującego w orkiestrze, dla wydania wzniosłego pomystu, użytego w żałobnym hymnie:

W dzień Sądu Pańskiego
Trąba głosu ogromnego,
Wzbudzi z umarłych każdego.

Ktokolwiek słyszając ten wielki utwór, rozważy pojedyncze części jego, ten przyzna że w miejscu, w którém trąba przerażającym odgłosem powołuje z grobu śmiertelnych przed Sąd Bozki, użycie puzonu było jednym z nader szczęśliwych pomystów.

razy powtarza się ta myśl, malując żalność chrześcian, wzrastając jednak za każdym razem w uczuciach, smutku i żalu. Każdy wypadek miał swoje symboliczne znaczenie, i objawia się w modlitwach. Modlitwy te stanowią niejaką tkankę aryi, duetu i tercetu. *Stało się!* i trzęsienie ziemi, połączone z zaćmieniem słońca i gromem niebieskim, oznajmiło światu, że stało się. Kielich goryczy spełniony został, ale w tém co się stało, zawiera się odkupienie, zmartwychwstanie i życie świata.

Umilkli psalmiści, a chrześcianie pojęli wielką tajemnicę śmierci Chrystusa. Ztąd opowiadanie, przechodzi w uroczyste oznajmienie: *Ego sum resurrectio et vita &c.*, *Ja jestem zmartwychwstanie i życie; kto we mnie uwierzy, chociażby umarł, żyć będzie, i każdy kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki.* Wtenczasto aniołowie głoszą uroczystie *Consummatum est.*, *Spełniło się*, a w miejsce smutku i żalu, grzmi tryumfalny chór, na ziemi *Alleluja*, a na niebiosach *Gloria in excelsis Deo &c. &c.*, *Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.* Dwa nowe żywioły, jeden epopei rozwijającej wypadki nie recytatywem wymuszoném, lecz prostém opowiadaniem, drugi zaś liryczny, otwierający dla słuchaczów udział w samém Oratoryum, a to przez objawienie uczuć swoich w chórze chrześcian, uderzają wynalazkiem i prawdą. Oneto właściwie nadały Oratoryum z jednej strony powagę epopei i prostotę, z drugiej zapal uczuć i rozmaitość, samemu zaś Oratoryum znaczenie jego właściwe. Wszystkie tu przywiedzione powyżej względy, musiały dać dziełu formę zupełnie nową, i usprawiedliwiają tytuł jego: *Novam musicam in Oratorium ecclesiasticum, Passio Dei nostri Jesu Christi, seu triumphus Evangelii.* Oto są niewzruszone zalety Oratoryum Elsne-

ra pod względem poetycznym. Utwór ten uważany znowu w znaczeniu ściśle muzykalnym, zajmuje jedno z cenniejszych miejsc w literaturze muzyki kościelnej, bo charakteryzują go wzorowe piękności i głęboka uczoność. Krytyk nieskończono napotka trudności, chcąc przyznać pierwszeństwo wyłącznie jakiemu szczegółowi, jeśli nie zwróci uwagi na akord (*), w zupełności nowy z całą do niego przynależną kombinacją, i wzorowe prowadzenie fug i kanonów: pod względem zaś instrumentowania, na szczęśliwe użycie obojga, nakoniec na ogólny styl, znamionujący wszystkie odcienia muzyczne téj olbrzymiej partycyi. Muzyka religijna, będąc daleką od uczuć namiętności światowych, wyłącza wszelkie mocne czyli dobitne poruszenia zwrotów muzycznych, prócz tego ogranicza się na pomysłach, o ile tylko możność dozwala więcej wzniosłego uczucia, dalekiego jednak od namiętnych wzruszeń. Tu raczej niewinność z synowskiém zaufaniem, unoszenie się ku Najwyższemu, powinny szukać dla siebie języka muzycznego w naturze, we wzruszeniach duszy modlącej się, w melodii ducha, co się trudno da wyrazić nótami. Przypomnijmy sobie, jak jest szczupłym zakres pomysłów muzycznych dla religijnego poety, a razem zwróćmy uwagę na zadziwiającą różnorodność tych pomysłów w Oratorjum Elsnera, wpatrzmy się w nie bliżej, a hędziemy musieli uznać, że je autor brał z intonaeyi mowy człowieka w chwili, kiedy modlitwa zajmowała serce jego, i na niéjto dopiero zbudował swoje elegie jednogłosowe, swoje ody chórowe, słowem całą stronę liryczną dzieła. Słyszac np. duet: *Domine exaudi me*, zda-

(*) Zob. obok dotychczasowy przypis.

Przypis. Akord, albo nowa kombinacya akordowa: co do sluchu kiedy ucho niejako sądzić będzie, jestto akord septymowy, i zostaje się tylko rozwiązanie nowe, tojest: na akord sextowy, gdy bas zstepuje pół tonu niżej, np.

Część 2. Nr. 8. W duecie in ES.

Domine exaudi orationem meam.

Panie wysłuchaj modlitwę moję.

Flauto Clarinetto

Violino 1mo. 2do.

Alto

Tenore

Corni

Basso

Fagotti *Basso*

et cla - mor ad Te ve - - ni - - at.

et cla - mor ad Te ve - - ni - - at.

NB. NB. NB. NB.

it.d. *it.d.* *it.d.* *it.d.* *it.d.* *it.d.*

Tę kombinacyi pierwszy raz użył Elsner w inném dziele swoim (wiolinowym Kwartecie) w postaci Tercwartowego akordu, w rodzaju niby enharmonicznym, jakoto:

NB. NB.

it.d. *it.d.*

Dlatego Elsner używał tego rozwiązania w takim samym kształcie, jeszcze w trzeciej części Oratorium w chórze F minor, w Nrze 18, jakoto:

Część 3. Nr. 18. W chórze F minor.

Deus noster refugium et virtus adiutor in tribulationibus quae invenerunt nos nimis: propterea non timebimus, dum turbabitur terra, et transferentur montes in cor maris.

Bóg naszą ucieczką i mocą, wsparciem w utrapieniach które ucisnęły nas bardzo; dlatego nie będziemy się lękać, gdy wzruszy się ziemia i przeniosą się góry na dno morza.

1mo.
Violino —
2do.

Soprano
Alto

Tenore
Basso

Viola

Basso

1mo.
Violino —
2do.

Soprano
Alto

Tenore
Basso

Basso

et trans fe - ren tur et trans fe

et trans fe - ren tur

de cre - - - - - scen do sem - pre

ren tur et trans fe - ren tur mon - tes in cor - ma - - ris.

tur et trans fe ren tur in cor et transfo ren tur ma in cor - ma - - ris.

je się nam że widzimy dziecię ze złożonemi rączkami, wzdychające do Stwórcy, jako ojca swego, w całej niewinności i prostocie. Również w aryi basowej *Afflictus sum*, słyszymy tylko mowę głębokiego żalu i pokory chrześcijańskiej. W aryi *Ego sum resurrectio*, daje się słyszeć uroczyste zapewnienie Tego, który włada niebiosy i ziemią. Nakoniec pozostaje nam jeszcze nadmienić o jedynj z zalet, która właściwie z poprzedzających wypływa, że oratoryum to, jest dostępnem pojęciu każdego, działając bezpośrednio na smak w sztukach pięknych, nie zaś na ciekawość uczoną, którą mnogie tego rodzaju utwory powszechnie wzbudzają. Dopelnąć tego trudnego zadania, jestto jedno, co przepłynąć szczęśliwie pomiędzy potworami, zagnieżdżonemi na rozległym morzu muzyki Niemieckiej, i pozbawiającemi ją właściwej prostoty wielu nader uczonych, czyli raczej trudnych kompozycyj. Niepodobna zresztą wymienić wszystkich szczegółów tego mistrzowskiego dzieła. Ogół jest wzniosły, nacechowany wyższm natchnieniem i twórczym gieniuszem. Jestto dzieło, które koronuje świetny zawód kompozycyi muzycznej, tyle zasłużonego u nas weterana. Nie mógł on wzniosłej zamknąć szeregu prac swoich poświęconych muzyce kościelnej, tak powszechnie uwielbianej. To też było powodem, że panujący monarcha raczywszy przyjąć dedykacyą dzieła, zaszczycił jego autora kosztownym darem.

Po ogólnem i szczegółowem ocenieniu oratoryum we wzglądzie estetycznym, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o wykonaniu go u nas w Warszawie. Nigdy jeszcze nie słyszano lirycznego dzieła w oddaniu go przez taką liczbę artystów i lubowników, a w tak korzystnym ich rozkła-

dzie, jaki nastęrcza rotunda kościoła ewangelickiego, która pod względem akustyki, może jest jedyném w Warszawie miejscem. Trzy razy wykonano je w roku 1838, a dochód przez samego autora przeznaczony został:

1. Na starców płci obojój.
2. Na towarzystwo wsparcia podupadłych artystów.
3. Na mieszkańców nadwiślańskich, powodzią zniszczonych.

Serce, uczucie, chęć przyniesienia ulgi cierpiącym tłumnie wiodły publiczność na wykonanie tego dzieła. Z ochotą śpieszono, aby się poić urokiem melodyi i harmonii, tudzież przyjsć datkiem w pomoc nieszczęśliwym. Idźcie, słuchajcie, a doznacie podwójnej przyjemności.

Głównie dyrygowali sam autor Józef Elsner, i Karol Kurpiński kapelmistrz dworu Jego C. K. Mości i dyrektor opery Warszawskiej, przewodnicząc licznemu zebraniu amatorów i artystów muzyki. Grających na skrzypcach było osób 54, altówkach 16, wiolonczellach 9, kontrabasach 8, puzonach 6, klarynetach 10, obojach 6, fagotach 6, fletrowersach 6, waltorniach 6, trąbach 6, arfach 2, fortepianach 2, organach 1, kotłach 2, tułumbasie 1, tamtam (dzwon Chiński) 1; śpiewaków było dyskantów 75, altów 20, tenorów 54, basów 45; oprócz tego oddzielny chór z 27 osób i inny jeszcze, tak zwany chór Aniołów, z 24 osób złożony. Sola śpiewane były przez celniejszych amatorów i artystów w liczbie 14, a więc w ogóle należało do wykonania tego mistrzowskiego dzieła przeszło 400 osób, czego w Warszawie, pod względem exekucyi muzyki kościelnej lub koncertowej, nie było dotąd przykładu. Psalmodye, arye, duety, tercety rozdzielone zostały między znanych z talentu i zamiłowania muzyki amatorów i amatorki, arty-

stów i artystki opery Warszawskiej. Precyzya ogółu orkiestry i chórów, nie nam do życzenia nie zostawiła. Usiłowania ich w odśpiewaniu *solo* głosów, dały im niezaprzeczone prawo do wdzięczności lubowników muzyki (*). Gdyby nie świętość miejsca, niezawodnie tak tłumnie zebrana publiczność, obejmująca przeszło 2000 osób, w długich a ponawianych oklaskach lub okrzykach

(*) Dzięczynne te uczucia, złożył sam autor osobom które się do wykonania tego oratorium przyłożyły, a mianowicie szanownym dyrektorom opery: WW. Karolowi Kurpińskiemu i Tomaszowi Nideckiemu, za udział jaki przyjąć raczyli w przewodniczeniu ogółowi chórów i orkiestry. W. Janowi Braun, półkownikowi b. wojska Polskiego, znanemu z wytrwałej gorliwości amatorowi, który dając piękny przykład z szczerą życzliwością, i prowadząc pierwsze skrzypce, wiele się do wykonania tego dzieła przyłożył. W. kapelmistrzowi Pohlens, za wyuczenie i dyrekcją oddzielnego chóru śpiewaków. P. Frajerowi, sławnemu organizście i nauczycielowi muzyki, odznaczającemu się wzorową nauką swego chóru, za przyjście w pomoc, jak również pp. Maurycemu Erneman i Józefowi Krogulskiemu, grającym w czasie Oratorium na fortepianach, szczególnież zaś ostatniemu, który swój chór, od dawna złożony z amatorów i znany z dobrej eksekucyi w kościele ks. Piarów, wyuczył i przybył z nim do pomocy. Pannom Kochanowskim, grającym na arfach. PP. Walentemu Kratzer i Janowi Sandman, znakomitym artystom, za wyuczenie swoich uczniów i uczennic. Podobnież śpiewającym solo, jakoto: WW. Józefie Bansemer, Grabowskiej, Laskowskiej, Naimskiej, Józefie Turowskiej, i Aleksandrze Kokular, oraz p. Teichman, wybornemu nauczycielowi śpiewu, Żylińskiemu, Stolpemu, Markowskiemu, Germanowi, Gładyszowi i Lanckorońskiemu. Nadto W. Molsdorf, znakomitemu amatorowi i Szablińskiemu, znanym z pięknego talentu grania na wiolonczeli, tudzież Müllerowi na puzonie, jak niemniej wszystkim amatorom i artystom, za przyłożenie się do wykonania tego dzieła. „Jeżeli dopięliśmy (mówi autor) celu, wsparcia ludzkości, tak miłego Bogu, i wam szanowni mężowie, głos publiczny sprawiedliwą część zaszczytu i pochwały, za otarcie łez nieszczęśliwym przysądzi, chociaż już przez dobry uczynek poświęcenia swoich talentów, najpiękniejszą nagrodę we własnych sercach znajdziecie”. *Obacz Kuryera Warszawskiego z dnia 28 czerwca r. 1838, Ner 326.*

uniesień, objawiłaby zadowolenie swoje. Ale świątyni, nie przystały te światowe oznaki; natomiast zabłysła nie w jednym oku łza rozczulenia, stanowiąca ożywną rosę wieńca, uwitego dla sędziwego mistrza; wieńca który zapewne nie tak prędko zwiędnie. Mieszkańcy znad brzegów odległej Newy, we wspaniałej stolicy carów, słyszeli to piękne dzieło. Przez 800 osób przeszło wykonane w r. 1839, pod dyrekcją samego autora, w cesarskim korpusie śpiewaków w Petersburgu, wprawiło w najgłębsze zachwycenie i podziwienie obecnych kompozytorów, znawców i miłośników muzyki. To ciągle powodzenie utworu, napisanego z całym zapalem i przejęciem się wielkością przedmiotu, z całą znajomością klasycznej muzyki, w którym szczególnie podziwiać należy powagę melodyi, jedrność harmonii, poprawność form, wzniosłość stylu i staranne rozwinięcie myśli, są celniejszymi znamionami tej partycyi, przynoszącej zaszczyt gieniuszowi autora, a razem dowodzą znakomitego postępu i zamiłowania muzyki w słuchaczach. Słowem, arcydzieło Józefa Elsnera, zostawiło po sobie uczucie powszechnego zadowolenia duszy i serca, nietylko w znawcach, ale w każdym, kto jest od natury usposobiony do pojmowania piękności w sztuce. Dzieło to zatem, jak zawyrokowali już prawdziwi znawcy, będzie stanowiło epokę w utworach muzyki kościelnej. Zakończmy wiadomość tę o niem powtórzeniem poezyi, pod tytułem: *Wrażenie z okoliczności wykonania tego Oratoryum w Warszawie*, przez K. K.

Jak cię godnie uwielbić? gdy w uczuć potoku,
 Wzbierającym co chwila harmonią twych pieni,
 Toną myśli—jak tonie zdumionemu oku
 Rój gwiazd, w potokach blasku słonecznych promieni!
 Patrz! na falach powietrza zstępują anieli
 W przybytek święty, słuchać dźwięku świętych tonów.

Patrz! ołtarz pański hołdem uczcili pokłonów,
 Lecz twych pieśni z ziemskimi pomieszać nie śmieli.
 Widziałem, jak zebrawszy w nieśmiertelną czarę
 Łzy, które pobożnych uroniło oko;
 Na westchnieniach dusz czułych wzbili się wysoko,
 Zanieść panu tę czystą czystych serc ofiarę.
 O! tam oni powiedzą, ogłoszą po niebie,
 Że Ty czarownym wdziękiem religijnych tonów
 Rozrzewniasz po świątyniach serca milionów (*),
 Że te łzy i westchnienia należą do ciebie (**).

(*) Wiadomo że msze układu pp. *Elsnera i Kurpińskiego*, zalecające się
 rzewną i prostą melodyą, śpiewa lud wiejski, po wszystkich prawie para-
 fiach kraju naszego.

(**) Obacz *Gazetę Poranną* z dnia 28 czerwca r. 1838, Nr. 160.

KRONIKA LITERACKA.

Pod Włoskiem niebem fantazyja, [wydanie J. N. Bobrowicza. Lipsk 1845, rok. 16.

Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku. Dziennik przejażdżki w roku 1843. J. I. Kraszewskiego. Wilno, nakładem T. Glücksberga. Tomów II in 8.

Dziwne zdawać się może komu połączenie rozbioru dwóch, tak różnorodnych napozór płodów literatury. Uprzedzamy wszakże czytelnika, że gdyby dziennik podróży do Odessy odpowiadał pod każdym względem warunkom podróży-pisarstwa, i czynił zadosyć nadziejom oraz przekonaniu o rzeczywistym talencie i zasługach Kraszewskiego, rozbiór byłby oddzielny, i bez wątpienia obszerny. Położyliśmy pierwój w tytule Fantazyją pod Włoskiem niebem, bo płód ten jest niezaprzeczenie szczęśliwém odbiciem talentu Kraszewskiego; bo w nim imaginacya i przenikliwe oko badacza, widne na każdój karcie; niżój stoi Dziennik podróży do Odessy pod tymże samym względem przenikliwości i trafności spojrzenia podróżnika; a gdziekolwiek imaginacya powinna przyjsć w pomoc opisom miejsc które przebiegał Kraszewski, tam oschtość, powszedniość, rozwlektłość, i brak zupełny życia panuje. W'powieści fantastycznój *Pod Włoskiem niebem*, umieć być wszędzie Kraszewski poetą, malarzem i badaczem; w podróży do Odessy jeśli jest malarzem,

to obrazów zwykłych i niedość szczęśliwie ugrupowanych; jeśli chce być poetą, to nigdzie polot imaginacyi nie wznosi go wyżej nad powszednich, dzienniki podróży swych notujących pisarzy. Zdawałoby się wtedy, że być powinien i historykiem; i ten jednak warunek, niedostatecznie choć pracowicie spełniony, nie nadaje téj pracy cechy właściwej i koniecznej, jak to w końcu pokrótce wskażemy.

Przejdźmy do fantazyi Pod Włoskiem niebem: Jan Polak, Paolo Włoch, Pepita jego wychowanica, i Luccią kochanek i rywal Jana a potem mąż Pepity: te są cztery osoby działające w tym żywym, płomiennym dramacie, który Kraszewski w formie powieściowej przedstawił. Treścią naturalnie téj powieści, musi być romans, bo jest i dwóch kochanków i groźny opiekun, i piękna Włoszka; ale myślą panującą i celową takiego przedmiotu, nie jest bynajmniej sama intryga romansowa. Myśl ta bez wątpienia nie nowa: powtórzona nieraz, i nie dziesięć razy. Poeta chce przekonać z jednej strony, że uczucie miłości zarówno całym ogniem i świetnością kwitnąć może pod lodową strefą, jak płomienistym niebem Zachodu i Południa, różne są tylko cechy jój objawienia życia i skonu; różne nawet i samo życie, znaczenie jednak i pierwiastek zawsze jeden i nigdy nie spożyty, nigdy dość dokładnie zbadany, zrozumiany i rozwinięty. To jedna strona myśli celowej fantazyi Kraszewskiego; druga nie powiemy że wyższa, że wznioślejsza, ale że bardziej charakterowi naszemu i chmurnej atmosferze naszej wtorująca. A chcecie wiedziéć wyraźniej, jaką jest w rzeczy ta myśl druga? oto tak proste, w przysłowiu narodowym zawarte zdanie: że wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. Jan kochał Emilią, zimnego klimatu, jak powiadał, córkę, gdzie kobiety podług jego zdania, dzielą się na dwie kategorie: na zimno poczciwe, i zimno występne; on zaś, pragnął miłości choćby występnej, byle gwałtownej i gorącej jak ośmnastoletnia imaginacya. Rzucił więc rodzioną strzechę, opuścił zimną poczciwą Emilią, a pobiegł do Włoch, gdzie niebo życzliwsze miłości, i miłość gorętsza od poczciwości; żył kilka miesięcy z początku najrozkoszniej;

zdawało mu się, że wszystkie ideały zimnego nieba znalazł tu w rzeczywistości; z początku był rzeczywiście szczęśliwym, dalej pragnął to co posiadał za szczęście uważać, w końcu po brudnej zdradzie, której pod Włoskiem niebem nawet zdradą nie nazywają, doznał chwilowej rozpaczki, a po téj rozpaczki błogiego uspokojenia, i tego przekonania, że tylko u siebie, tylko w własnym domu, tylko w rodzinnym progu, można znaleźć prawdziwe, ziemskie wszakże, szczęście; można znaleźć miłość, chociaż mniej namiętną, ale więcej trwałą, szlachetną i uszczęśliwiającą. Prześliczne są wszystkie ustępy, w których poeta maluje tęsknotę do kraju i wartość téj tęsknoty; ostatnia scena spotkania z mnichem, ziomkiem także, wzniosła i pełna myśli; z całej zaś powieści nauka dla potrzebujących jój, zbawienna i obfita; cztery charaktery, o których wspomnieliśmy na początku, oddane z prawdą, a przynajmniej dobrze celowi odpowiadają. Historia życia, krótkiego ale pełnego wzruszeń, Jana, wyczerpaną się zdaje we wszystkich, najmniejszych, a przecież zajmujących odcieniach. Historia wiarołomnej kochanki, początku tylko życia dotykająca, zdaje się zapowiadać dzieje podobne, i dalej aż do końca, wiarołomstwo i tylko wiarołomstwo, które Włosi lekkością tylko nazywają, namiętność sama, namiętność bez poświęcenia, wytrwałości, i myśli o końcu, to cecha i charakter bohaterki powieści; może kto zarzuci zbyt wiele nieprzyzwoitości w scenach miłosnych i życiu miłosném pomiędzy Włoską dziewczicą a ziomkiem naszym; my wszakże sądziemy, iż trudno większą przyzwoitością i delikatnością osłonić sceny namiętne. Zwracamy wreszcie uwagę sędziów, że tam gdzie męczyzna ideał ukochał, a kobieta namiętność uczuła, żadnej niedelikatności wyszukiwać i domyślać się nie godzi. Jan kochał nie Włoską dziewczicę, ale ideał Włoskiej miłości; Pepita kochała Jana namiętnie wprawdzie, ale nie żywiej od kochanka. Opuściliśmy drobne szczegóły powieści, któremi autor chciał dowieść że zna Rzym jak Rzymianin, pomijamy pomocnicze charaktery do fantazyi wprowadzone; wszystkie one dążą do uformowania pięknej całości, i dobrze pomagają rozwinię-

ciu celu. Ogólna wada Kraszewskiego powieści: rozwlekłość i gadatliwość, mniej tu uderza. Zarzucilibyśmy tylko zbyt jednotonne powtarzania w początku o piękności Włoskiego nieba, o pragnieniu i samotności cudzoziemca w obcej stronie, o charakterze i znaczeniu uczucia które miłością nazywamy; małe to są usterki, a powieść zawsze należeć musi do lepszych Kraszewskiego utworów, i po *Ulanie* i *Świat* i *Poeta*, fantazyi tej dajemy miejsce.

Tak wiele Kraszewski rozwinął tu poetyckiego talentu, tyle rozlał uczucia, tyle przenikliwości i głębokości w spojrzeniu w głąb' ludzkiego serca, że trudno nam dociec powodów, czemu w podróży po własnej ziemi, do krainy pełnej znaczenia i pamiątek jak *Odessa*, sama rozwlekłość i bezbarwność panuje? Zdaje się że Kraszewski, kiedy potrafił przenieść się duchem pod obce niebo i oderwać od domu, żywił piękność tego domu pojąć i uczuć umiał, niż gdy wśród swoich i między swojemi, zbierał wspomnienia, pamiątki i wglądał w ich serca. Cała przestrzeń kraju od *Gródka*, siedziby Kraszewskiego, aż do ostatnich granic *Ukrainy*, przebieżona i obejrzana napół martwym i w letargu uśpionem okiem. Oddział badań historycznych, ma wartość pracy i troskliwego zbierania, ale nie ma wartości krytycznej jaką w tym razie miećby powinna. Obszerne rozdziały poświęcone historii *Siczy Zaporowskiej*, są wprost tłómaczeniem, jak sam wyznaje, z *Rossyjskich*, niewydanych dotąd na widok publiczny, dzieł historyi. W obejrzeniu handlu *Odeskiego*, nic nie widzimy oprócz liczb mnogo nagromadzonych; żadnych wniosków, żadnego poglądu ani na charakter i stan tego handlu, ani na charakter i różnobarwną ludność *Odessy*. Trzeci tom, zapowiedziany po tak długiej przerwie, więcej może życia i więcej widoku podróżnika badacza okaże. Dotąd praca ta nie wzbogaca niczém wiadomości krążących o *Odessie* a wspomnianych w kilku dziennikach, o których w swoim czasie jużemy mówili.

K. W.

Chorał Gregoriański rytualny, historycznie objaśniony i na terażniejsze nóty przelożony dla użytku chórów kościelnych z akkomp. organu lub fortepianu, przez ks. Jana Jarmusiewicza, pleb. Zaczerskiego (w Galicyi). Wiedeń, w druk. Ant. Straussa.

Chorallbuch zu dem, zum Gottesdienstlichen Gebrauche für die evangelische Gemeinde in Pohlen von einem hohen Consistorium bestimmten und genehmigten Gesangbuche, mit Einleitung's-Accorden Vor-Zwischen-Nachspielen und Schlüssen für die Orgel oder Pianoforte &c. herausgegeben von An. Freyer, Organisten &c. (gestochen von Płachecki). Warschau 1845.

Jakkolwiek oba wymienione tu dzieła, dla różnych wyznań religii chrześcijańskiej są wypracowane, treścią z tytułów widoczną dosyć do siebie są zbliżone, by wspólnemu przeglądowi uleż mogły. Różnica na tém polega, że Kancyonał Freyera wyłącznie dla użytku organistów ułożony, organ ma jedynie na celu i textu nie obejmuje. Ks. Jarmusiewicz, Chorały katolickie z textem nam daje może dlatego, że dla obcego ludowi języka, sam organista wiele ich śpiewać musi po parafiach wiojskich, czém znając język cała gmina ewangelicka się zajmuje. Że ks. Jar. i dla duchowieństwa bezpośrednią chciał zrobić przysługę, dowodzą wyrazy tytułu: „dla użytku chórów kościelnych.” Nie możemy tu rozumieć innych chórów jak z duchownych osób złożonych, które (gdzie są) same śpiewają co do liturgii należy, zostawiając muzykę figuralną chórom świeckim, tak rzadkim w kraju naszym że ich prawie nie ma. Przecież duchowieństwo posiada dosyć znajomości muzyki do wykonania śpiewów Gregoriańskich, ma własny notowania ich sposób i dzieł podostatkiem praktycznych; nie rozumiemy więc na co mu się praca ks. J. przyda. Nie cała téż i dla organistów użyteczną być może, bo harmonia nie wszędzie się znajduje. Autor tłumaczy się dosyć błahym powodem, że tam tylko harmonię dorobił, gdzie ją uważał za potrzebną, ku zrozu-

mieniu melodyi. Przecież pienia Gregoryjańskie przede-wszystkiem nacechowane są prostotą, łatwe zatem do po-jęcia; bliższe rozpatrzenie się w nich i w dziełku ks. J. po-każe nam czemu trudności spotyka gdzie ich inni nie wi-dzą, i że licząc coś na zdolności organistów, chciał im niekie-dy przyjść w pomoc. Jakkolwiek bądź, oba wymienione dziełka ważne są pod względem muzyczno-religijnym, tém ważniejsze że jedyne.

Ale pracę ks. J. i do dydaktycznych policzyć należy, z po-wodu załączonego objaśnienia muzyki starożytniej history-cznie i naukowo, nadto objaśnienia systematu muzyki dzi-siejszej. To ostatnie niestosownie tu miejsce znalazło, bo przedmiot jego powszechnie jest znany, i nie brak na spe-cyalnych do tego dziełkach. Zdawało się przecież autorowi że przepisując dawną muzykę na sposób nowożytny, wi-nien był wskazać zachodzące między niemi różnice, i piér-wszą za pomocą drugiej objaśnić. Mógł też mieć na celu przygotowanie naukowe organistów do wykonania doro-bionej przygrywki; w mniemaniu tém utwierdzają „ele-mentarne początki na fortepian lub organ” wyjątek ze szkoły Kurpińskiego na fortepian edycya Isza, poprzedzony ogólnym i mechanicznym obrazem systematu muzyki dzi-siejszej. Ale tu się pokazuje, że szanowny autor uważa za to samo grać na fortepianie i organach, a całe wypracowa-nie przygrywek dowodzi, jak liche są pojęcia jego pod tym względem (1); same nawet owe początki nic wspólnego ze stylem kościelnym nie mają. Teorya do nich należąca le-dwie znawcy zrozumiała być może, taka w niej mieszanina

(1) Przecież podobieństwo dwóch tych narzędzi muzycznych leży tylko w powierzchowném ich używaniu to jest w klawiaturze; ich natura, skład, przeznaczenie nadzwyczaj je rozróżnia, a zład i zażycie ich różne być musi. Wiadomo jest powszechnie, że ton fortepianu ustaje z końcem drgania metalowej strony, uderzeniem młotka w ruch wprawionój, a ton organu jest ciągły, bo ciałem brzmiącym jest przedewszystkiem kolumna powietrza działa-niem miechów w ustawiczném utrzymywana drganiu. I tato cią-głość tonu, nadaje mu uroczystość, której żaden inny instrument

i niedokładność, niezdolna więc do nauczania. Nie lepiej rzecz się ma z wykładem muzyki starożytniej. Przedsięwzięwszy autor objaśnić melode Gregoriańskie, dotknął systemu Greckiego, podług którego zrobione nie były; w objaśnieniu pisowni dziwnie poplątał pierwsze, średnie i niedawno ubiegłe wieki chrześcijańskiej ery, z pisownią używaną dzisiaj przez duchowieństwo. Przy sposobności wdał się w historią muzyki, którą widać czytał, ale bez sądu i studyów. Z tego wszystkiego urosło kilkanaście kart, pełnych uchybień i grubych błędów. Naprzykład Gwidona z Arezzo mnicha Benedyktyńskiego z XI wieku, zrobił wyłazką nót o których ten nic nie wiedział, bo jego zasługa wielka polega na ułatwieniu notowania dodaniem dwóch linii do innych dwóch dawniej znanych, i pomieszczeniem na nich i między niemi znaków muzycznych wówczas używanych, jak głosek alfabetu i n umów (1), z których pier-

nie zastąpi. Dodajmy tu jeszcze potęgę jego, różne w kolorycie odmiany (regiestra i rozmaite ich mieszanie ważną część sztuki organistów stanowiące), rozległość skali, szczególniej w stronę basu za pomocą pedatu, który jest nową dla nóg klawiaturą, a zład potęgę i rozmaitość brzmienia, a pojmiemy czemu powszechnie organ, królem instrumentów muzycznych jest nazywany. Organ z całym bogactwem swoim nie tak jest często spotykany, jako nadzwyczaj kosztowny; w Warszawie organy u śgo Jana i w kościele ewangelickim pierwsze miejsce trzymają. Ale rzadszy jeszcze organista, któryby w całej wielkości organ pojmował i używać go umiał, bo do tego potrzeba głębokiej nauki w rzeczach muzycznych. P. Freyer, autor jednego z dziełek których rozbiór nas zajmuje, niewątpliwie pierwsze miejsce trzyma między organistami kraju naszego, w ludzi tego rodzaju zbyt ubożego. Czemu ich więcej nie ma? powody są liczne i niektóre trudne do usunięcia. Ale wszystkie do tego prowadzą, że organista uważa organ i fortepian za jedno i to samo, jak się o tém przekonywamy z piosnek i biegaczów, które często na organach słyszeć się dają. Bliższe w szczegóły wejście byłoby zbyt drażliwe nietylko dla pojedynczych osób, ale i całych zgromadzeń, aby dorywczo przedmiot ten roztrząsać można było.

(1) Neuma (nota romana) pismo złożone z punktów, haczyków kulasków i t. p. a znaczące nieraz całe frazesy, a raczej formuły muzyczne; dziś nieużywane, i do odcyfrowania prawie niepodobne.

wsze uważał za najdokładniejsze pismo muzyczne (1). Ułatwienie to notowania znaczne korzyści dla muzyki przyniosło, za które wdzięczna potomność do osoby Gwidona przywiązała wiele ulepszeń i wynalazków, z których, jak dziś wiadomo, niektóre już przed nim, inne dopiero po nim znane były. Dla wykazania innych błędów księdza J. trzebawy pisać historią muzyki, taka ich mnogość; ograniczymy się zatem na jednym szczególe, który stanowiąc jądro muzyki starożytniej, najlepiej pokaże co o niej autor trzyma. Szczegół ten tém stosowniej miejsce tu znajdzie, że związany mocno z praktyczną częścią dziełka w mowie będącego, w połowie zepsuł wszystko co w niem dobrego być mogło. Chcemy tu mówić o tonach czyli tonacyach, jak je autor nazywa, co za jedynie dobre w jego dziełku uważamy: chociaż i to wyraz nie Polski. Pojęcie tonacyi obejmuje w sobie materyał muzyczny, złożony z szeregu dyatonicznego pojedynczych tonów w oktawie w pewnym do siebie stosunku będących, któryto szereg zwie się pospolicie *gamma*, np. *c, d, e, f, g, a, h, c*. Z tych tonów do tonacyi *C* należących, można utworzyć mnóstwo melodyj zawsze w téj tonacyi będących. Każdy muzykalny wie o tém, że różnica brzmienia między *e* i *f*, między *h* i *c*, zwana jest półtonem, i mniejsza jest niż różnica między brzmieniem innych tonów, całym tonem nazywana. A od któregokolwiek z dwunastu w oktawie różnych dźwięków, *gamma* wywieść, czyli nową tonację zechcemy, zawsze między tonem 3cim i 4tym, oraz 7mym i 8mym, półtony być muszą. Wszystkie zatem tonacje i *gamma*, są do siebie podobne, i tylko wysokością względną tonu początkowego (*toniki*) różnią się między sobą. Jestto system muzyki dzisiejszej, zapewniający jęj foremność w częściach, i pozwalający jęj rozwijać się na wszystkie strony, z równą mocą i łatwością.

- (1) *Solis litteris notare optimum probavimus,
Quibus ad discendum cantum nihil est facilius,
Si assidue utentur saltem tribus mensibus.*

Musicae Guidonis regulae rhythmicae in antiphonarii sui prologum prolatae. Gerbert: *Scriptores ecclesiastici de musica sacra.*

Zupełnie inaczej było z muzyką dawniejszą; nie wdając się już w Grecką, na którą wielu teoretyków chciało wszczepić muzykę ery chrześcijańskiej, wyłożył tu pokrótce system tonacyj kościelnych, podług których są zrobione melodie Gregoriańskie.

Pod koniec wieku IV po Chr., święty Ambroży biskup Medyolański, wprowadził do śpiewu kościelnego cztery typy muzyczne czyli tonacje, nadając im nazwy pierwszjej, drugiej, trzeciej i czwartej. Ich objętość w oktawie jest następująca:

1szy $\overbrace{d, e, f, g, a, h, c, d}$,

2gi $\overbrace{e, f, g, a, h, c, d, c}$,

3ci $\overbrace{f, g, a, h, c, d, c, f}$,

4ty $\overbrace{g, a, h, c, d, c, f, g}$.

Widać tutaj, że to nie były podobne naszym tonacje, ale różne oktawy jednej, różniące się miejscem, które półtony zajmowały (jak to łuki wskazują). Powszechném jest mniemanie, że święty Grzegorz papież, od roku 591 do 604 kościołem władający, przydał jeszcze cztery inne tonacje:

a, h, c, d, e, f, g, a,

h, c, d, e, f, g, a, h,

c, d, e, f, g, a, h, c,

d, e, f, g, a, h, c, d.

Odtąd tonacje dawniejsze zwano: *toni authentici*, nowe *plagales*. Są one z tych samych tonów złożone, ale różnica między pierwszemi i drugimi w tém leży, że tony autentyczne od toniki do toniki, plagalne od kwinty (później dominantą zwanéj), do kwinty się rozciągają. Różnica ta pozornie nie nieznaczająca, znakomicie wpływa na charakter melodyi, co znającym wartość toniki i dominanty w tonacji nie jest tajno. Teto ośm tonów kościelnymi zwanymi, i dotąd w liturgii Rzymskiego kościoła używanych (1) przerobił ks. J. na nasze zwyczajne tonacje; i tak ton autentyczny:

(1) *Instructio ad cantum choralem in Cationale ecclesialicum. Varsaviae MDCCCXXXIII.*

D, e, f, g, a, b, c, d, i jego plagalny a, h, c, D, e, f, g, a, zmienił na

D, e, fis, g, a, h, cis, d, a za plagalny mu daje: a, h, cis, D, e, fis, gis, a. zatem kościelny ton autentyczny D (z małą tercją, wielką sextą, i małą septymą), zmienił na dzisiejszy D major (*durum*); a miasto dać mu za plagalny ten sam, rozpoczęty tylko od A, dał dzisiejszy A major. Zniósł zatem wszelkie różnice, jakie istniały między tonami w ogólności, i między autentycznymi i plagalnymi w szczególe. W taki sam sposób wszystkie tony kościelne ponakręcał, których stosownie do rozwiniętego w XIV i XV wieku systematu dwanaście podaje. Nazwiska jakie im przydał, z muzyki Greckiej wzięte, nie tylko że za czasów Grzegorza śgo znane, a raczej używane nie były (1), ale nadto są mylne, bo nie ton C był pierwszym i Doryjskim, ale D, tutaj wyżej podany. I tak dalej tony: Lidyjski, Ioński, Frygijski, Mixolidyjski i t. d. Nie dosyć; by większemu podobieństwu stare tonacye do nowych zaszczyścić, wynalazł w pierwszych dwa rodzaje: *dur* i *moll*, złudzony podobieństwem wyrazów do *genus durum* i *molle*, zupełnie w innem znaczeniu dawniej używanych, albo terminami: *cantus duralis et bemollaris*, dzisiaj w śpiewie liturgicznym Rzymskim znanemi; i znów co innego znaczącymi (2).

Jak niedorzeczne ztąd wysnuł sobie autor przepisy poznawania tonacyi w psalmach i hymnach Gregoryjańskich, łatwo zrozumieć, i dlatego je tu pomijamy, wszystkie oraz bałamuctwa tego rodzaju. Że one w zastosowaniu do chóralu, musiały popsuć wyłączny jego charakter i zepsuły, przykład niżej podany przekona.

Nie wszystkie chorały sięgają odległych śgo Grzegorza czasów; znać to po ich fakturze. Przecież jak muzyka ciągle

(1) Że pierwsi chrześciance starannie unikali wszystkiego co pogańskie było, naturalną jest rzeczą i poświadczone przez wielu autorów. I nazwiska więc Greckie do tonów kościelnych używane nie były, bo jak mówi Kiesewetter (*Geschichte der europaisch-abendländischen Musik*), śty Grzegorz pewnoby takiego grzechu się nie dopuścił.

(2) *Instructio ad cantum choraalem.*

się w tym samym duchu rozwijała, dopóki przelévając się zwolna w dzisiejszy system, zupełnie w nim nie utonęła, tak i melodye podług tamtego systemu tworzone, mają jeden charakter z owemi, które pierwotne były. Śpiew Gregoryański składał się z nót równej długości, i to go najwięcej różniło od pieśni Ambrozyańskich, w których nóty długie, na takżeż zgłoski textu padały, a krótkie, o pół krótsze dostawały tony (1). Inna własność śpiewu Ambrozyańskiego, prawdopodobnie polegała na jednotonności, jakiej przykład spotykamy w modlitwach rytuału Greckiego, i w responsoryach Rzymskiego. Reforma jaką Grzegórz papież do śpiewu kościelnego wprowadził i na tém między innymi polegała, że melodye przezeń zebrane, oczyszczone, urozmaicone, nowemi pomnożone, i jak już mówiono pod tony równej długości podciągnięte zostały, zatém bez względu na iloczás języka. Samo wyrażenie: *Cantus firmus vel planus*, dokładnie jego naturę przedstawia, bo że tu o niezmienności w tonie, mowy być nie może, dowodzą i wzmianki dawnych autorów i wzór jaki do dziś dnia między duchowieństwem katolickim się utrzymuje. Z postępem muzyki (która długo wyłącznie a zawsze najwięcej dla kościoła się kształciła), z wynalezieniem i kształceniem harmonii i kontrpunktu, gdy jeden głos (tenor) równemi krokami chorał rozmierzał, a inne głosy rozmaicie od niego odstępowały (2), zatém na jeden ton chorału kilka ich, niekiedy kilkanaście składały, okazała się potrzeba znaków na opisanie względnej nót wartości. Ztąd urosła tak zwana muzyka mensuralna, którą stopniowe rozwijanie, i dodatki w różnych epokach, tak zwikły, że muzycy ówczesni długo pracować musieli, za-

(1) Forkel's Geschichte der Musik 2tes Band. Universal-Lexicon der Tonkunst Art. Gregorianischer Gesang.

(2) Nazywano to *discantus*. J. J. Rousseau w swoim Dykeyonarzu muzycznym pod artykuletem: *Discant*, przytacza objaśnienie tego wyrazu ze *Speculum musicae Joanni de Muris* w połowie XIV wieku żyjącego. „Discantat, qui simul cum uno vel pluribus dulciter cantat, ut ex distinctis sonis sonus unus fiat, non unitate simplicitatis sed dulcis concordisque mixtionis unione.”

nim pojąć i zatrzymać w pamięci zdołali, przepisy w tym względzie liczne, i mnogie od nich zboczenia. Dostyć powiedzić że dzisiaj, gdy nad objaśnieniem muzyki mensuralnej tyłu już pracowało, trudności są w pojęciu jój niezmiernie, bo zbyt wielka komplikacja. Nasz takt dzisiejszy tak prosty, jest wypadkiem kilkowiekowej pracy kompozytorów i teoretyków. Otoż chorał Gregoryański, jakkolwiek do dziś dnia wiele zachował prostoty dawniejszej, coś jednak z niej utracił i utracić musiał, podkopywany wciąż coraz rozmaitszą i ozdobniejszą muzyką, i uganianiem się śpiewaków kościelnych za nowością, godną tego zaiste. Ślady tego widać w hymnach, antyfonach, psalmach, słowem wszystkich pieniach dzisiejszych kościoła Rzymskiego. W pisowni jego, chociaż skromnie i bez wybitnego znaczenia, używane są znaki muzyki mensuralnej, a przysłuchiwanie się melodyom wykazuje rytmiczne w tonach różnice, lubo rzadko znakomite. Przecież w śpiewie jednogłosowym (unisono), jakim jest chorał Gregoryański, mniejsza zachodzi potrzeba pomienionego stosunku nót jednych do drugich, i dlatego w przepisach do śpiewu choralnego, nie ma nawet wzmianki o wartości względnej nót różnej postaci, bo to równie jak i przestanki zostawiono dowolności śpiewających, solennością nabożeństwa i tradycyjną nauką miarkowaną (1). Największe różnice płyną z iloczasu tekstu Łacińskiego, nie tak systematycznie rozwijanego jednak, jak to ze śpiewem Ambrozyańskim miało miejsce. Lekkie napomknięcie dzisiaj jest dostateczne, a pojęcie śpiewającego o ważności wymawianego wyrazu, może więcej niż iloczas,

(1) Oto co o postaci nót znajduje się w *Instructio ad cantum choralem*: *In cantu choralis notae caudatae non habent syllabas suas sed ad syllabas praecedentes pertinent*. Przestanki czyli pauzy są nieznanne i tylko koniecznością oddychania spowodowane. *Respiria sine quibus cantus longius protendi nequit, sunt majora et minora. Majora in meditatione psalmorum, in cantilenae partibus, in quas divisa est, in periodis. Minora in commatibus, aliisque incis, tum etiam in verbis singularibus majori circuitu notarum signatis, aliquando etiam in syllabis longius productis.*

długością tonu rozrządza. Ta swoboda i płynący z niej właściwy melodyom Gregoryańskim charakter, po całym kościele katolickim upowszechnione, nie dadzą się zamknąć w granicach taktu w muzyce dzisiejszej używanego, który raz istniejąc, do pewnego pomiaru peryodycznego muzykę wciąga, i jest jednym z jej najpotężniejszych i najfilozoficzniejszych żywiołów. Wszelkie około podobnego przerebienia chorałów podjęte prace daremne zostaną, bo zepsują właściwość melodyi i w powszechności kościoła się nie przyjmą: chybały te zmiany od głowy jego nakazane i stopniową nauką młodego pokolenia duchowieństwa przygotowane być musiały. Cóż się więc stanie z pracą ks. J. który obsadzeniem chorału w ramki taktu dzisiejszego chciał się ogółowi przysłużyć? Widocznie nie pojmował co robi, co niech przykład następujący wyświeci; posłuży on zarazem do pojęcia różnic co do tonacyi oryginalnego śpiewu Gregoryańskiego i tych jakie ks. J. za nie podaje. Jestto początek hymnu do ś. Stanisława wyjęty z *Cantionale ecclesiasticum* i tutaj dla łatwiejszego porównania na dzisiejsze nóty przepisany. Wiersz dolny wyjęty jest z dziełka ks. J.

Vir in cly — — — te

Sta — — — ni — — — sla — — — e.

Pojedyncze tony dwóch przykładów są prawie jedne i te same; różnica polega na jednym lub dwóch tonach, i może wypływać z różnego sposobu śpiewania, co się zdarza nie tylko w oddzielnych prowincjach, ale i między zgromadzeniami różnej reguły, choć w jednym mieście. Ale któż tu nie widzi ile charakter melodyi zmieniony jest przerobieniem jój na nasze E dur? Przecież gdyby tylko to jedno dwa przykłady różniło, podobieństwo zostałoby jakie takie, przynajmniej co do wznoszenia się i spadku melodyi; ale wsrubowanie w takt do niepoznania ją zmieniło. Któż nie widzi w tych ozdobach i szybkich nótach piosenki świeckiej? Coby to było, gdyby organista podług ks. J. przygrywał duchowieństwu swoją melodyą śpiewającemu? Ten jeden przykład pokazuje pojęcia zacnego plebana o rzeczach muzyki dotyczących, które z obowiązku lepijby znać powinien, by przynajmniej nie psuć tego, co nie tylko powagą kościoła jest uswięcone, ale nadto posiada wyłączny i wzniosłości nabożeństwa bardzo odpowiedni charakter.

Zbierzmy teraz sąd nasz o pracy ks. J. w jedno miejsce i dopełnijmy go co się tyczy harmonii. Uroiwszy sobie w starą muzykę te same tonacje któremi się dzisiejsza posługuje, gwałtem do nich melodye innej natury naciąga. Dodaje znak i jak ♯ i ♭ gdzie ich nie potrzeba (czytał widać że dawniejsi śpiewacy używali ich niekiedy w wykonaniu choć oznaczone nie były, ale to podług przepisów modulacyi harmonicznój, z której ks. J. nic nie rozumie), i co nigdy mierzone nie było, w takt dzisiejszy uwięził. Dla objaśnienia melodyj zawitych, jak mówi (1), dorobił harmonię; i oto człowiek który nie wie co to jest system dawny, który widać nie zna harmonii dzisiejszej (chyba ze słuchu) ani sztuki grania na organach, ani jak to widać ze wszystkiego, nie gruntownie nie pojął, dorobił harmonię. Cóż ztąd wynikło? trudno wypowiedzieć; stosownie do nakręconej melodyi, potworzywszy sobie przepisy z jakiej która tonacyi być mu-

(1) Że one są w istocie zawite, wątpliwości nie ma, dla tych tylko jednak, którzy starych tonacyj nie znają, jakim właśnie jest ks. J.

si, napchał akkordów, dziwiących się że się obok siebie znajdują; gdzie sobie rady dać nie może, pisze przygrywkę i śpiew *unisono*; gdzieindziej dwa głosy, tu jeden, tam cztery, tu sześć dorabia, a najwięcej trywialnie. Prowadzenia głosów nie pojmuje; niczém mu są kwinty i oktawy najokropniejsze. Słowem wszystko na nic się nie zdało.

Chęci jednak miał dobre i czuł potrzebę dziełka podobnego. Wygotowane umiejętnie i z bacznością na liczne względy, przyszłoby w pomoc nieuetwu lub niezdloności organistów, a rozszerzone pomogłoby do powagi nabożeństwa. Takiego dziełka czekają nietylko pienia liturgijne, ale gwałtowniej jeszcze potrzebują go pieśni pobożne Polskie przez lud śpiewane. To samo co do przegrywek na organ, zastępowanych dziś piosenką. Wszystko to zebrane, uporządkowane i polecane do użycia organistom być powinno, jeśli ma odpowiadać godności miejsca, zacności nabożeństwa i wartości pieśni samych. *Qui cantat bis orat*: zdanie to już w przystawie przeszło, nie dlatego jednak jest prawdziwe, że użycie do modlitwy fizycznego głosu podwójną stanowi zasługę, ale głębokość uczuć koniecznie śpiewem szczerym rozbudzoną być musi, co ze znanego wpływu muzyki na czucie, jest konieczne. W tém sztuka organisty, by umiał nadać kierunek właściwy uczuciu, które nieraz jedynym jest człowieka ratunkiem w ziemskim utrapieniu. Wiedzieli o tém ojcowie kościoła zachęcając do śpiewu gminy pobożne. Ś. Ambroży mówi (1): „psalmy mogą śpiewać cesarze i króle i lud z niemi; łatwo się ich nauczyć, i zatrzymać je w pamięci; one godzą zwaśnionych i zacierają obrazę. Któż nie przebaczy temu z którego głosem, głos swój do Boga podnosi?” I w inném miejscu (2): „śpiew nie niszczy ciała, a wzmacnia ducha;” Orygenes (3) nawracał poganą za pośrednictwem świętego śpiewu; to samo inni. W ich dziełach mnogie znajdują się miejsca, dające świadectwo o uznanej

(1) Opera. T. I, pag. 740.

(2) Ibid.

(3) Gerbert, de musica sacra.

potrzebie i wielkości wpływu śpiewu kościelnego, ale i narzekające niekiedy na zaniedbanie i nieład, które się doń wkradają (1). Bo muzyka w kościele jest podobno najpotężniejszą formą obrzędów, cóż więc za złe musi sprawdzić, gdy od skupienia się ducha odwodzi charakterem światowym? I dlatego żałować musimy że dobre chęci ks. J. tak niedojrzały wydały owoc; tém więcéj, że między pieniami Gregoryańskimi znajdują się niektóre w Polskim języku między ludem upowszechnione podług téj samej melodyi, np. Krzyżu sty między wszystkie drzewa najszlachetniejsze (*CruX fidelis, inter omnes arbor una nobilis i t. d.*). Pieśń ta w jednym z tonów kościelnych (Doryskim) zrobiona (a jest podobnych więcéj), pokazuje że zwyczajny organista nie zdoła stosownej dlań wynaleźć harmonii, różniąc się od dzisiejszej naturą modulacyi, podług tego cośmy wyżej pokrótce wykazali co do tonacyi, zatém najistotniejszej części każdego systematu.

Chorał protestancki ten sam ma początek i często wspólną naturę z pieniami w liturgii Rzymskiej używanemi; to jest chorał Gregoryański. Wackernagel w swoim dziele *Das Kirchenlied* (2) etc. przyznaje że wiele chorałów protestanckich przeszło do tego wyznania z Łacińskiego. Kniewel (3), pomiędzy katolickimi w Niemczech pieśniami, pomieścił wiele melodyj u protestantów upowszechnionych, i to zdaje się być najlepszym dowodem wspólnego ich źródła. Niepodobieństwem téż było, by ludy które reformacyę przyjęły, odrzuciły pieśni pobożne do owego czasu używane, tém bardziej że innych nie miały, a zapał religijny niczém tak chętnie jak pieśnią się nie tłómaczy. Początek reformacyi więcéj co do formy jak istoty odróżniał się od kościoła Łacińskiego, a choć to dostateczne było do odpadnięcia krajów reformowanych od Rzymskiej hierarchii, nie mogło od-

(1) Dlatego i papieże nieraz, ale bezskutecznie przeciw temu powstawali.

(2) Stuttgart bei Liesching 1841.

(3) Choralbuch für katholische Kirchen. Vierstimmig mit Zwischenspielen. Paderborn.

razu zatrzcć wrażeń i pamiątek ludu pod nią wzrosłego. Sam Luter przełożył ze śgo Ambrożego chorał: *Nun kommt der Heiden Heiland*; melodya przecież tak odległej starożytności śladów nie nosi. Jak Luter wysoko cenił muzykę i wpływ jęj na umysły poważał, świadczą jego pisma i pieśni do których sam melodye, niekiedy szczytne dorabiał np. *Ein' feste Burg ist unserer Herr*. Wiele też melodyj za jego czasów różni potworzyli autorowie, wiele nawet świątowych pieśni, nieraz od rozpustnego textu odjętych i w stylu choralnym przerobionych, do kościoła przeniesiono, i dziś liczba ich przechodzi 2000. Z czasem tu i owdzie wkrały się niektóre do melodyj odmiany: jednych więcej tu, innych owdzie używano, i do tego przyszło, że dziś nietylko kraj każdy, ale i każda prowincya ma swoje śpiewy oddzielne i oddzielnego potrzebuje kancyonału (Choralbuch). Gorliwość protestancka o znaczenie i piękność śpiewu kościelnego, sprowadziła harmoniczne wypracowanie chorałów na organ, i liczbę dzieł tego rodzaju ciągle się mnożącą, można podobno już dziś na seciny rachować.

W Polsce reformacya za Zygmunta Augusta rozszerzona, za Zygmunta III przytłumiona w ostatnich czasach przez licznie osiadających Niemców rolników i fabrykantów, więcej liczyć poczęła wyznawców. Z Niemiec też przyszły do Polski chorały, i znów niektórym uledz musiały odmianom, tym większym, że gminy ewangelickie po dzisiejszém królestwie rozpiezchniono (około sześćdziesięciu w liczbie), nie mając przepisanego sobie wspólnego kancyonału, różnemi się posługiwały, co oczywiście dla wyznawców liczne sprowadza niedogodności. Pan Freyer zatem wygodził potrzebę wydaniem swęj pracy na widok publiczny. Czy do redakcyi melodyi zasięgał rady innych autorów, nie jest nam wiadomo; prawdopodobnie trzymał się tych, jakie w gminie Warszawskiej są w użyciu. Zdaje się nawet że do niektórych zatrzymał i harmonię (jak to porównanie z niektórymi chorałami Hillera pokazuje), jako już od ludu znaną, co przy jęj stosowności i prostocie zupełnie jest na miejscu. Jedna z rzetelnych zasług muzyków protestanckich, w muzyce ko-

ścielnój, jest troskliwe pielęgnowanie chorałów i urabianie ich na głosy; nie pominął tego i p. F. i dlatego i przygrywka organu tak jest ułożona, że rozdzielona na głosy ludzkie, dokładny chór stanowić może, co nawet w Warszawie już jest w praktykę wprowadzone. Wątpimy jednak by to gdzieindziej zastosować się dało, bo do tego trzebaby całej gminy muzykalnój, albo oddzielnego chóru uczonych śpiewaków, co długo będzie niepodobieństwem. Zdaniem też naszym nigdy chór taki nie zastąpi potężnego *unisono*, płynącego wspólnym głosem z piersi licznie zebranych mężów, niewiast i dzieci. Wypracowanie pod względem muzycznym pracy p. F. jest jak najdokładniejsze, a przy trudnościach, jakie autor spotykał, ze względu na urozmaicenie, śpiewność i granice głosów ludzkich, oraz przystępność mało biegłym organistom, zaszczyt mu przynosi. Przedgrywki chorału (praeludium) pokazują nam autora jako muzyka gruntownego, i znającego styl organom właściwy. Tworzenie ich z pierwszych uót samego chorału, nie tylko przypominać musi gminie melodyę mającą być śpiewaną, ale nadto wpływa na zgodność ducha w przedgrywce i chorale, i w jedną wiąże je całość. Tylko przeciw niektórym przegrywkom (Zwischenspiele) oświadczyć się musimy, jako nie stosownym do następującej harmonii. I tak np. w chorale nr. 3ci (z tonu A *dur*) przegrywka między wiérsem 5tym (skończonym w II *moll*) a 6tym, zawiera dwa razy *dis*; raz w alcie drugi raz w ostatniej nócie basu, i widocznie prowadzi do E (porównaj przykład pod a). Tak téż wiérz 6ty się zaczyna, ale zaraz 3ci akord jest D *dur* poparty altowém G w akordzie 5tym. Przegradzający E i D, jeden tylko akord A, słuch przyjmuje jako subdominante w tonie E, bo nie było akordu ⁷/_e, któryby A tonem samoistnym uczynił, i dlatego przejście z E do D jest gwałtowne, tém bardziej że w trzech posobnych akordach się odbywa. Podobnych przegrywek jest więcéj, np. w nr. 29 (pod b), między wiérsem 1ym a 2gim tony chromatyczne *cis*, *eis*, *cis* usposobiły słuch do tonu D, który wprawdzie nadszedł ale na chwilę

tylko, bo ustępuje miejsca tonowi G, i nacierającemu C. Do podobnież niekonsekwentnej harmonii wliczamy inne miejsca, np. akord C *moll* w nr. 16 wiersz 5ty między dwoma akordami Es *dur* zamknięty (przy c); akord Fis *moll* między dwoma A *dur* nr. 19 wiersz 1szy (przy d). Autor starając się o urozmaicenie harmonii, przepomniał niekiedy o prawach jakie każdy dotknięty akord z sobą niesie, żądając iść naprzód a nie cofać się, na co szczególnież w muzyce kościelnej i spokojnie płynącym chorale, baczyć należy.

a)

b)

c) d)

Obok 105 chorałów pomieścił p.F. w swém dziełku wszystko, co organicznie jest potrzebne jako *responsoria*, pogrywki (postludium) a nawet podwójny rejestr chorałów i odnoszących się do nich pieśni śpiewnika (Gesangbuch). Życzyć zatem należy by praca jego w powszechnie weszła użycie. J. S.

Zbiór wiadomości historycznych i aktów dotyczących dziesięcin kościelnych na Rusi powagą metryk królewskich, koronnych i Litewskich, tudzież dekretów Roty Rzymskiej, zbioru praw Volumina legum zwanych, i innych wiarogodnych dokumentów wsparty, rozwiązaniem niektórych w tym przedmiocie zarzutów objaśniony i chronologicznie ułożony, przez ks. Jana Pocięja, kan. kat. Chełm. asses. duch. wyzn. G. U. przy K. R. S. W. D. Warszawa w drukarni Józefa Unger. 1845, str. 104.

Dziełko to jest szacownym przydatkiem do wiadomości naszych o dziesięcinach kościelnych na Rusi, szacownym mianowicie ztąd, że autor korzystał z ksiąg metryk koronnych i z odpisu metryk Litewskich w archiwum królestwa znajdującego się.

Zaniedbane były dawniej przez historyków źródła archiwalne, dziś rzadko która praca historyczna bez nich obejść się może. Obszerniejsze ich użycie stanowi cechę odróżniającą współczesnych nam dziejopisów, i zapewnia im wyższość nad poprzednikami ilekroć do znajomości niedostępnych tamtych źródeł autentycznych, łączą czytanie się w kronikach, w literaturze swego przedmiotu.

Pierwszy rodzaj źródeł historycznych, występuje przeważnie w dziełku księdza Pocięja. Niektóre jego rozdziały są prawie tylko wyciągiem z akt urzędowych; tok opowiadania zastępują w nich skrętnie zestawione urywki. W ta-

kiej mnogości przywiedzionych różnorodnych świadectw, niepodobna aby każda materya w należytem świetle wystawioną została. Co do arcybiskupstwa Lwowskiego np. przytoczone są dwa przywileje z r. 1423 i 1509, kiedy tymczasem stosunki dwóch wyznań w Halickiej stronie, długo jeszcze potem władzę królewską zatrudniały, jak tego doczytać się można w kronice miasta Lwowa p. Zubrzyckiego pod r. 1539 str. 189, pod r. 1549, str. 170, i t. d. (1).

Po krótkiej wzmiance o początku dziesięcin, przystępuje autor do wykazania śladów istnienia ich na Rusi, uznając za prawdopodobne zaprowadzenie ich przez Włodzimierza. Przytoczywszy następnie kilkanaście nadań i wzmianek w aktach urzędowych o dziesięcinach na Rusi, zdanie swoje autor zamyka w wyrazach:

„Jeżeli Hippyacy Pociój, Czacki, lub inni pisarze mówią częstokroć o nieistnieniu dziesięcin na Rusi, to rzecz tę nie inaczej rozumiałbym, jak tylko iż Ruś kapłanom swoim nie oddawała dziesięciny wytycznej, czyli w ścisłem znaczeniu dziesiątego snopa lub dziesiątej kopy” (str. 89).

W istocie z przywiedzionych przez księdza Pocięja nadań, dwa tylko wyraźnie odnoszą się do dziesięciny wytycznej, a i te pochodzą z Jagiellońskiej epoki, kiedy przykład sąsiedniej Polski na Ruś wpływać począł (2). Przywilej Świdrygajły, potwierdzony przez króla Zygmunta I w r. 1516, ogólnie tylko wymienia „danie i dziesięciny i też sady i winy i rozpusty i pojemszczyny i smirszczyny” zdawna do kościoła Greckiego Matki Boskiej Włodzimięrskiej oddawane. Podobnież nie wiadomo czyli dziesięcina Mściławska, w przywileju 1506 r. wzmiankowana, była pobieraną w naturze.

Z innych dokumentów, dwa tylko jeszcze sięgają dawniejszych czasów: jeden pochodzący od księcia Halickiego Lwa w r. 1291, dochowany w przekładzie Polskim w konfirma-

(1) Za to przywilej z r. 1423 nie był znany p. Zubrzyckiemu.

(2) Nadania te są: jedno księżnej Siemienowiczowej Kobryńskiej, drugie pisarza króla Alexandra, Petraszki Chomicza Lubicza.

cy Zygmunta Augusta z r. 1549, wspomina danie i dziesięciny miodowe i z winogradów „ij smithij,” (z myta), drugi dekret z r. 1456, przysądza dań miodową Jerzemu władcyce Chełmskiemu.

Ani w tych, ani w późniejszych dokumentach nie masz mowy o dziesięcinie wytycznej. Przychodzi jeszcze w pomoc zdaniu ks. Pocieja świadectwo wydane przez b. Przemyskiego Macieja w r. 1406 (u Zubrzyckiego str. 71, 72), w którym tenże biskup przyznaje że w dyecezyi Przemyskiej i Halickiej, dziesięcina snopowa nie ma miejsca, że zamiast niej pobierają biskupi pewne kwoty piędzięno, proboszczowie zaś meszne albo w zbożu, albo stosownie do układu w pieniądzach. Dokument ten ściąga się do duchowieństwa obrządku Łacińskiego, wątpić przecież nie można, że nie oddawanie dziesięciny wytycznej przez Rusinów w Halickiej i Przemyskiej dyecezyach, było piérwszym powodem uwolnienia od tego ciężaru Łacińskiego obrządku wyznawców.

Jeżeli przeto niebezpieczną, niedopuszczalną jest rzeczą wywodzić należność dziesięciny wytycznej z ogólnej ustawy przez Mieczysława wydanęj, tam nawet gdzie się panowanie jego niewątpliwie rozciągało, to dowodzenie tym sposobem dziesięciny wytycznej na Rusi byłoby pozbawione wszelkiej zasady.

Głównym wypadkiem badań ks. Pocieja, jest znaczna modyfikacya twierdzeń dawniejszych pisarzy o nieistnieniu dziesięcin na Rusi; większą część przecież książki jego zajmuje historia sporów, toczonych w dyecezyi Chełmskiej między obudwu obrządków duchowieństwem, o prawo do pobierania dziesięcin od Greckiego obrzędu wyznawców.

Aby te spory z właściwego stanowiska ocenić, i wydobyć z nich plon dla dziejów miejscowości której się dotyczą, musimy tu zamieścić niektóre przedwstępne wiadomości.

Kiedy w trzynastym wieku książęta Halicy na pustych pograniczach swojego władztwa, zwanych od latopisa Wołyńskiego Ukrainą, zakładali liczne miasta i grody, dla zasiedlenia ich zwoływali ludność różnych wyznań i narodów

jak o tém co do Chełma, wyraźne mamy świadectwo tegoż latopisa pod r. 1259 (*).

Dokumenty cytowane przez księdza Pocioja, pozwalają nam rzucić głębsze spojrzenie na stosunki tej różnoplemiennej ludności. Okazuje się z nich, że każdy naród który przy zakładaniu miasta w niém osiadł, miał wyznaczoną sobie dzielnicę czyli *ziemię* (po łacinie *ager*); że do tej dzielnicy były przywiązane prawa i obowiązki osiedlającemu się narodowi właściwe, i że obcego nawet narodu ludzie przechodzili pod prawa dzielnicy na której zamieszkali. Obok dzielnic osadników, była jeszcze dzielnica książęca później zwana królewską, *ager regalis*.

Pierwotkowo dziesięcinę duchowieństwu Łacińskiemu składała tylko dzielnica Polska, *zemia Ladskaja*; później kiedy kraj ten przeszedł pod panowanie królów Polskich, nadawali oni duchowieństwu swemu dziesięcinę i z ziemi królewskiej.

O takich stosunkach zaświadcza wyraźnie przywilej króla Zygmunta z r. 1519, dla Marcina Ostrowskiego proboszcza o. ł. w Chełmie (str. 26 i 27), w słowach:

„Decernimus per praesentes, quod omnes et singuli cives Chelmenses cujusque ritus et sectae fuerint, includendo etiam Judaeos, agros nostros regales castris Chelmensis et Lechitarum colentes, *hoc est illos agros quos a primaeva fundatione et locatione oppidi Chelmensis possidebant Lechitae sive homines ritus Romani*, solvere ex iisdem agris decimam manipularem omnis grani ipsi plebano Chelmensi moderno et pro tempore existentibus plebanis debeant et teneantur, nec non quatuor tempora ex domibus Lechitarum hoc est ex illis domibus quas ab antiquo possidebant Lechitae sive homines catholici”.

O takiej samej ziemi Lackiej w mieście Łosicach, pod nazwą *Woloki Ladskije*, wspomina przywilej Zygmunta I z r. 1506, potwierdzający dawniejszy przywilej króla Alexandra (str. 26). Tłómaczą się mieszczanie Sarażscy (Su-

(*) P. Bibl. Warsz. za rok 1845. Październik str. 5.

rażscy?) w r. 1525, że król Alexander nadał „im ziemi Ladskuju” i oni z téj ziemi dziesięcinę dawali a z otczyn swoich nie dawali (str. 29). Później co do tegoż miasta Sazażu zapadł wyrok określający granice ziemi z której powinna na kościół iść dziesięcina. Że potrzebowano określać granice téj ziemi, dowodzi, iż pierwotne jej znaczenie zupełnie się zatarło. Była to bowiem niezawodnie ziemia Lacka.

Kiedy wszakże dawniejszy porządek rzeczy ustał? czyli i jakie pozostawił dotąd po sobie ślady? tego jak tylu innych historycznych zagadnień, w dzisiejszym stanie naszych wiadomości objaśnić nie potrafimy.

Że tych stosunków nie rozumiano u nas już w XVII wieku, o tém przekonywa historia sporów między duchowieństwem dwóch wyznań o dziesięciny toczonych.

Hasłem do tych sporów był wyrok z r. 1436 przez księdza Bobrowskiego kommandarza kościoła parafialnego o. ł. w Chelmie, w aktach Grodzkich tamecznych w roku 1633 oblatowany, następnie Janu Kazimiierzowi do potwierdzenia przedstawiony, który tu dosłownie umieszczamy:

„Actum in Krasnystaw feria quinta post festum s. Francisci, in praesentia Regiae Majestatis et ejusdem Consiliariorum, anno Domini 1436. Praesentibus Głowacz Marschalcone, Joanne alias Thaszka Cancellario, Reverendo Domino Joanne Dei gratia Episcopo Chelmensi, Hrickone Castellano Leopoliensi et Capitaneo Chelmensi Ginskone, Vexillifero Chelmensi Gnievosio, honorabilis Dominus Vislaus plebanus Chelmensis lucratus est decimam in omnibus agris cultis et rudibus in Chelm, quaecunque in agro regali seminantur, de quolibet grano decimam aeviterne praedicto plebano solvant, tam schismatici quam catholici et in domibus christianorum ubi Rutheni degunt, quatuor tempora solvant aeviterne quilibet ipsorum, cum poena trium marcarum.”

O autentyczności tego dekretu wątpiła już w roku 1666 Rota Rzymska, tém więcej ksiądz Pociąg za wiarogodny go nie uznaje: dowody jednak któremi zdanie swoje wesprzeć

usiłuje, nie są przekonywujące, jak to rozbiór dekretu i uczynionych mu zarzutów wyjaśni.

Z czego zyskał dziesięcinę pleban Chełmski w roku 1436?

Oto ze wszystkich ról uprawnych i *nowin* (1), na ziemi królewskiej obsiewanych, czyto przez Greckiego czy przez Łacińskiego obrządku ludzi posiadanych, oraz kantopory (opłata za suchedni, *quatuor tempora*) z domów chrześcian w których Rusini mieszkali.

W takiej rozciągłości przyznana dziesięcina, nie przedstawia niczego co by nas zastanawiać mogło. Dawano dziesięcinę z ziemi królewskiej w Chełmie, bo król był katolikiem; należały się kantopory z domów katolickich (2), bez względu na wyznanie mieszkańców, bo jak wyżej powiedzieliśmy, prawo każdemu narodowi w miastach różnoplemiennych osiadłemu służące, było przywiązane do dzielnicy nadanej mu pierwiastkowo.

Dlaczegożby więc dekret z r. 1436 miał być podrobiony? Wszakże gdyby go kto do swoich widoków dowolnie układał, byłby go niezawodnie w inny i dogodniejszy dla siebie sposób ułożył. Lecz w siedemnastym wieku nie było potrzeby nietylko podrabiać dekretu, ale nawet podawać go do potwierdzenia królewskiego, kiedy istniał późniejszy przywilejony przez nas przywilój Zygmunta Igo, obejmujący w sobie więcej nawet niż dekret powołany. Dekret bowiem dotyczył się tylko ziemi królewskiej, za czasów książąt Halickich do dawania dziesięciny nie pociąganej, i domów w dzielnicy Lackiej w posiadanie Rusinów przeszłych. Przywilój zaś z 1519 roku, prócz tych dwóch przedmiotów sporu, obejmuje jeszcze przyznanie dziesięciny z ziemi Lackiej, *ex agris Lechitarum*.

(1) Tak tłómaczymy wyraz „rudera” nie zaś przez *rudera* jak to czyni ks. Pociąg, który użycie tego wyrazu za myłkę poczytuje. U Diukanza *rudis* znaczy tyle co *recens, novus*, ztąd *rudera* tyle co *novalia*. Zresztą mamy wyrazy *roda*, *rudunek*, z Niemieckiego *roden*, *ausroden* pochodzące i dotąd jeszcze używane. Może je przełaciniono na *rudera*.

(2) Że przez wyraz *domy chrześcian* znaczą się tylko *domy katolików*, patrz na dowód wyrok Jana Alberta z r. 1497 str. 9.

Obok wyłożonego przez nas znaczenia dekretu z r. 1436, upadają wszystkie zarzuty jakie ksiądz Pociąg z treści jego wywodzi, i tak:

a. Dekret nie jest uciążliwy ani sprzeczny z ogólnemi przywilejami Władysława Warneńczyka. Że w XVII wieku użyto go za tytuł do niesłusznych uroszczeń, dowodzi tylko, iż w owym czasie, z powodu zaciemnionych stosunków historycznych, treści jego nie rozumiano, lecz nie osłabia bynajmniej jego autentyczności.

b. Cytacya osób przytomnych na początku, niezwykłą się wydaje. Przyjąwszy jednak że te osoby należały do wydania wyroku, takie ich umieszczenie nie będzie bez przykładu. Dla porównania przywodem w przypisku dekret z r. 1399, dotąd nigdzie niedrukowany a dla badaczy prawa Polskiego z wielu względów ciekawy (1).

(1) *Decreti Copia ex originali transumpta D. D. Arbitrorum ratione Lacus ad Monasterium Brdoviense pertinentis 1399.*

Nos Chebda de Stupeza, Nicolaus de Gagowo, Joannes de Luben et Petrus de Grochowiska Haeredes, Notum facimus tam praesentibus quam futuris, praesentium Notitiam habituris. Quomodo Dominus Jacobus Plebanus in Brdow parte ab una et Nobiles Viri Pacoslaus, Debeslaus cum Fribus omnibus germanis haeredes in Mudzurowo parte ex altera ad Nostram Venientes praesentiam, in Nos tanquam in Veros Amicos et Arbitros in Causa et Causis quae inter ipsos vertebantur et oriebantur de Lacu, super quo Lacu Swanthopek Frater Germanus ipsius Domini Jacobi fecerat limitationem ac granitias, expellens Conventionem eodem Domino Jacobo absente, super qua limitatione poena Centum Marcarum fuit Vallata pro qua poena fidejussores fuerunt ex una parte. Vit pro Fratre Plebani et pro Plebano Dominus Stephanus haeres in Brzyszwenna; et pro parte altera Nobilis Vir Debeslaus Venator Brzestensis haeres in Korzecznik, de alto et Basso Compromisserunt. Tandem Veniens Dominus Plebanus de studio citavit praedictum Nobilem Dobeslaum de Korzecznik Fidejussorem pro Centum marcis et Nobiles de Modzurowo pro Laminis (*) pro quincenis et quinque excisis et magnis Vulgarter dictis Rosniathy, praedicti vero nobiles dygravatos se Videntes in Jure Terestri pro poenis praedictis Venientes Compromiserunt super hos Una cum Domino Plebano.

(*) *Lamina u Diukanża znaczy trzcinę.*

Lecz nadto imiona osób jako przytomne wymienionych, najmocniej mnie skłaniają do oświadczenia się za autentycznością wyroku.

Marszałka Głowacza znajduję jako Jana Głowacza de Oleśnica, pod edyktem Władysława Jagiełły z roku 1433, u Bandtkiego Jus Polonicum str. 248.

Jan biskup Chełmski, zajmował tę katedrę do 1440 roku. Trudnięj było wynaleźć kanclerza Jana inaczćj Taszkę. Nie ma Taszki ani w Niesieckim, ani w Bandtkiem, ani w Długoszu. Do r. 1433 był kanclerzem Jan Szafraniec biskup Kujawski (Niesiecki str. 256, Damalewicz str. 303) zmarły według Damalewicza na d. 28 lipca t. r. bawiąc na dworze królewskim (1).

Nos vero sedentes et audientes propositionem Domini Plebani, sive actionem ac etiam responsionem fidejussorum ac Nobilium praedictorum ponderavimus, statuimus, invenimus cum Nobilibus aliis ac conspicuis Viris infrascriptis, Tali sub Conditione quod latum Lacum Ecclae restituendo a monte Vulgariter dicto Łysagóra ad ripam Nomine Krowica ad (at) omnes poenas priores Vit Centum Marcas et alias poenas quas erga Dominum Jacobum ratione excisionis Laminarum in jure Terrestri contraxerunt in nihilum redigimus. De Lacu Vero praedicto eisdem Nobilibusque de Modzurowo perpetuum silentium imponentes sub poena per Nos statua ac posita Centum Sexagenarum latorum Grossorum sub qua poena signa ac palos pridicti Nobiles debent euellere sive extirpare sub poena praedicta. Etiam Statuimus quod si alicui parti Videretur *in uria* in paludibus vel in Borra. extunc debent accedere Dominum Regem et petere limitationem, Nullam de Lacu facientes mentionem ut prius dictum est. Super quo Sigilla Nostra apposuimus praesentibus Nobili Viro Dunino Alexio Dapifero Lanciensi haerede de Dzczna, Nicolao haerede de Lubetowo, Joanno herede de Lubranez, Suanthomiro haerede de Grochowiska, Joanne haerede de Polanis. Datum et actum in Brdowo in domo Domini Cristini Castellani Sandeciensis sub anno Domini Millesimo Trecentesimo Nonagesimo Nono.

Extat sub sigillis quatuor in pargameno (zgodność z produkowanym ekstraktem urzędowym zaświadczył urzędnik sądowy).

(1) W zbiorze Bandtkiego jest on wymieniony na przywileju Jedlińskim, datowanym w piątek po trzech królach 1433. Wszakże

Po Szafrąncu nastął Jan z Konicypola herbu Pobóg, zmarły w r. 1455. Akta za jego kanclerstwa zdziałane, w zbiorze Bandtkiego zamieszczone, są: konfirmacya z roku 1438 (str. 251), prawo o kardynalstwie z r. 1451 (str. 260), przywilej Nieszawski z r. 1454 (str. 291). Wreszcie edykt z r. 1433 *Sabbatho ante festum purificationis B. V. M.* a zatem przed śmiercią Jana Szafrąncu datowany, dany był na ręce Władysława z Oporowa podkanclerzego, *ad relationem ejusdem magnifici Joannis de Conyeczpole* (B. str. 248). Na czas jego kanclerstwa wypada wyrok z r. 1436, równie jak dwie z pomiędzy trzech innych wzmianek, jakie o kanclerzu Taszce wynaleźć nam się udało. Wszystkie one pochodzą z akt miejskich Lwowskich, i znajdują się u p. Zubrzyckiego pod r. 1430 (str. 94), pod r. 1435 (str. 97), pod r. 1439 (str. 99). Pierwszy rok miesza rachubę; zważając wszakże że Szafranec b. Kujawski, w aktach miejskich Lwowskich wyraźnie pod tym rokiem jest wymieniony bez tytułu kanclerza, że Jan z Konicypola już za Szafrąncu był w kancelaryi królewskiej jak się z edyktu 1433 r. okazuje, że p. Zubrzycki nigdzie nie przywodzi Jana z Konicypola, wolałbym raczej tego ostatniego uznać za jedną osobę z Janem alias Tazką, niż widzieć w Taszce, jak to p. Zubrzycki czyni, nieznanego dotąd nikomu kanclerza (*).

W każdym razie znajdowanie się przydomku Tazka w dekrete z r. 1436, silnie za jego autentycznością przemawia, bo trudno przypuścić aby fałszerz XVIIgo wieku, posiadał wiadomość tajną wszystkim współczesnym.

tak statut ten jak i inne w zbiorze Bandtkiego zamieszczone, nie są wydane z oryginałów. P. Zubrzycki zaś (str. 93) cytuje dokument rzeczony z datą 1432, powołując się na oryginał jego w archiwie miasta Lwowa zachowany.

(*) P. Zubrzycki nie wiedział że Tazka był tylko przydomek kanclerza imieniem Jana, bo to dopiero z dekretu 1436 r. się wykryło. Jan z Konicypola mógł być przezwany Tazką, tak jak podkanclerzy Piotr ze Szczekocin (Bandtkie str. 251 r. 1438), w aktach Lwowskich jest Piotrem Wodą (pod r. 1439).

c. Dekret nie jest nadaniem; motywów zaś czyli zasad których żąda ksiądz Pociąg, nie pisano wówczas w wyrokach.

d. Trafnie ksiądz Pociąg naznacza przyczynę dla której w wieku XVII podano do confirmacji królewskiej raczój dekret z r. 1436 w wyrażeniach swoich wówczas niezrozumiały, niż przywilej z roku 1519, lecz to autentyczności dekretu nie osłabia.

e. Król Władysław był w r. 1436 nietylko w Brześciu ale i we Lwowie w jesieni (p. Zubrzycki str. 97). Mógł zatem znajdować się w Krasnymstawie w początku października. Że zaś Krasnystaw w r. 1436 znany był już pod tym nazwiskiem, p. Starożytna Polska t. II str. 783.

f i g. Confirmacja nie ma nic wspólnego z dekretem, co zaś do stylu, ten w dekretach nigdy nie był tak „kwiecisty” jak w przywilejach. Dowodzą tego wyroki które weszły w skład zwyczajnego tekstu statutu Wiślickiego; zwięzłym tokiem swojej redakcyi przypominają one dosyć dekret z r. 1436, niewiele od nich późniejszy.

Cożkolwiek bądź dekret z roku 1436, wbrew wyraźnej swojej osnowie, posłużył za hasło do pobierania dziesięcin od Rusi przez duchownych obrządku Łacińskiego. Wiekowe w tym przedmiocie spory toczyły się w Rzymie i w instancyach krajowych, a nawet odbiły się w piśmiennictwie.

Stan rzeczy obecny jest taki: w 59 parafiach biorą dziesięcinę od Unitów kapłani Łacińscy, w 111 innych idzie ona na korzyść duchownych Unickich.

F. Z.

Dykcjonarz biograficzno-historyczny, czyli krótkie wspomnienia żywotów ludzi wstawionych cnotą, nauką, przemysłem, mężstwem, wynalazkami, błędami. Warszawa, nakładem G. Leona Glücksberga 1844, 8, tom I, od A. — K. 642 str.

Znaczną bibliotekę utworzyćby można, z samych dykcjonarzy biograficznych, bądź w języku Niemieckim, bądź

w Francuzkim lub Angielskim wydanych. W Polskim zaś języku jedno tylko, tak jest rzeczywiście, jedno tylko tego rodzaju dzieło posiadamy: Nowy dykcyonarz historyczny z Francuzkiego przełożony przez Józ. Ig. *Boelkiego*, w Warszawie u Diufura 1783—1787 in 8vo w 8 tomach wydany. Znający piśmiennictwo i księgarstwo krajowe, wynajdą łatwo powody tego rażącego niedostatku, mimo mnóstwa tytułów pism rozmaitych w samej Warszawie wychodzących. Wielce się przeto ucieszył przed kilku laty, ujrzawszy prospekt księgarni L. Glücksberga, na Dykcyonarz biograficzny ogłoszony. Ostygła wprawdzie pierwotna radość, gdym przeczytał, iż tylko we dwóch tomach cała biograficzność ma być zawarta; lecz przypomniawszy sobie, że w naszym piśmiennictwie na wzór Kuryera Warszawskiego, epitomatorstwo bardzo jest polubioném, pocieszyłem się nieco myślą, że po dwutomowym zbiorze, znajdzie się przecież autor czyli tłómacz i zbieracz, a przytém i wydawca 8 lub 10tomowego przynajmniej dykcyonarza biograficznego. Aliści w ciągu prawie dwóch lat, wyszedł poszytami zaledwie tom 1szy, litery A.—K. obejmujący. Prenumeratorowie, po 50 zł. za oba tomy popłaciwszy, od roku już napróżno wyglądają nowych poszytów tomu IIgo. Jestto wielki zawód publiczności, któremu przedsiębiorca starać się powinien o zaradzenie, dla własnej reputacyi, i dla całego księgarstwa, gdy prenumeratorowie zawiedzeni ostygają w wspieraniu przedsięwzięć wymagających znacznych nakładów. Lecz zobaczmy stan tego pierwszego tomu.

Sam tytuł zawiera pleonazm w dodaniu wyrazu *historyczny*; bo *biograficzny dykcyonarz* nie może być ani matematycznym, ani teologicznym, ani filozoficznym, tylko historycznym. Przyzwoitszém byłoby dodanie wyrazu *powszechny*, aby nie myślano iż samych Polaków, lub Niemców ma obejmować.

Przy wielkiej obfitości dykcyonarzów biograficznych w obcych językach, łatwo dał się napisać niniejszy, skracaając artykuły o osobach cudzoziemskich. Trudniejsze było zbieranie co do krajowców. Posłużyły zapewne autorowi

dzieła Niesieckiego, Starowolskiego, Krasieckiego, Bielskiego Szymona i wielu nowszych zbieraczy, a o osobach żyjących wiadomości z ustnych podań. Jak na zbiór tego rodzaju dwutomowy, żywoty są treściwie zebrane co do główniejszych wiadomości. Przyjemną osobliwie mi było okolicznością, widzieć wielu rodaków o których w dykcyonarzach biograficznych cudzoziemskich żadnej nie ma wzmianki, a między innemi o świeżo zmarłych lub jeszcze żyjących, np. o Bogusławskim Woj., o Bandtkiem starszym i młodszym, o Kontrymie, Kraszewskim, i wielu innych, lecz o ileż liczba ich ze względu na ważność historyczną lub naukową, przy innych okolicznościach pomnożyłaby się dała!

Prenumeratorowie z niecierpliwością wyglądają zapłaconego już drugiego tomu, w nadziei że za tak długie czekanie wynagrodzeni będą obfitością biografij, mianowicie krajowców, i nie postrzegą tam pomyłek i uchybień jak w tym tomie pierwszym, np. pod *Bulestraszyckim*, *Gostomskim* Stan. nie powiedziano w którym wieku żyli; *Chodkiewicz* Karol urodzony 1560, miał słuchać w Wittenbergu Melanchtona, kiedy ten jak wiadomo, w r. 1560 już umarł; *Goethego* wliczone urzędy na które się posuwał i ordery jakie otrzymał; zresztą tak zimno i kuso zbyty ten genialny poeta, bez wzmianki o jego wpływie na swój naród, jakby to był jeden z tuzinkowych więrszokletów. Podobnie i wielkomyślny i dla narodu Hiszpańskiego bardzo ważny *Farinelli*, wystawiony nakształt zwyczajnego śpiewaka, gdy tymczasem aktor Francuzki *Granger* obszerny zajmuje artykuł. Wspomniany jest *Kozmian* Edward autor *Dwóch dni* w Szwajcaryi *Saskiej* i t. d. a *Kajetan* ojciec jego, autor *Ziemiaństwa*, opuszczony zupełnie. O *Joubercie* Piotrze powiedziano, że zaczął nauki w kollegium *doktrynerów* (jaki to zakon czy zgromadzenie?...)... oddał się nauce języków wschodnich *żywotnych* (ma być *żyjących*) i t. d.

F. B.

ROZMAITOŚCI.

*Poetyczna historia Rzymu, ze zwrotem na pieśni
wszystkich ludów.*

(Z Francuzkiego).

Okres historii Rzymskiej, nazywany historią królów i pierwszych konsulów, zwykle uważany bywa za bajeczny. Od czasu zjawienia się w 1738 r. dzieła Beauforta: *Dissertation sur l'incertitude des cinq premiers siècles de l'histoire romaine*, nie wielu uczonych ośmieliło się zbijać tę prawdę. Rzeczywiście, więcej jak w trzysta sześćdziesiąt lat po domniemanem założeniu wiecznego grodu, Gallowie zniszczyli prawie wszystkie publiczne archiwa. Potem, w przeciągu stu pięćdziesięciu lat, nikt ani pomyślał o pisaniu kronik. Znakomitsi pisarze z czasów późniejszych, nie mieli pod ręką materyałów, z którychby mogli utworzyć prawdziwą historią o początku i dziecinnym wieku rzeczypospolitej. Sami przyznają, że kroniki, których się trzymali, były pełne opowiadań o wątpliwych walkach i konsulach którzy nigdy nie istnieli. Oprócz tego, te kroniki wystawiały w fałszywóm świetle wypadki, jak naprzykład skutek wynikły z walki Rzymian z Porseną, albo téż koniec wojny z Gallami. Biorąc na uwagę takie okoliczności, nie powinniśmy ślepo wierzyć doszłym do nas legiendom. Mamy więc prawo patrzeć na królów, którym przypisują ustawy socyalne i religijne Rzymu, na syna Marsa i męża Egieryi, jedynie jako na postacie mitologiczne jednakowej kategorii z Per-

scuszem lub Ixyonem. Ale, w miarę stykania się z krańcami prawdziwej historii, wątpliwość nasza zmniejszać się zaczyna. Przypuszczając, że główne fakta mają pewną podstawę, winniśmy tylko odrzucać szczegóły, ponieważ z jednej strony takowe rzadko bywają sprawiedliwe i oparte na dowodach pewnych, a z drugiej, zawsze się odznaczają, pomimo swego podobieństwa do prawdy, tą szczególną cechą, która wyraźnie okazuje różnicę między tworam i wyobraźni, a rzeczywistością.

W całym piśmiennictwie Łacińskim, zjawiskiem najwybitniejszym, poetycznym, jest historia pierwszych wieków Rzymu. Miłosne przypadki Westalki i Boga wojny, kolébka w sitowiu Tybru, wilczyca, chatka pastérzy, bratobójstwo, porwanie Sabine, śmierć Tarpei, upadek Tulla Hostyliusza, walka Meczysza Kurcyusza w błocie, rezygnacya kobiet rzucających się w poszarpanych sukniach i z rozchwanieniami włosy pomiędzy swych ojców i mężów, nocne rozmowy Numy z nimfą Egierą (1) u źródła świętego gaju, udane pomieszanie zmysłów Brutusa, bitwa trzech Rzymian i trzech Albanów, odkrycie ksiąg Sybilskich, występki Tulli, dwuznaczna wyroczeni Delfickiej odpowiedź dana Tarkwiniuszom, zniewaga Lukrecy, bohaterkie czyny Horacyusza Koklesa, Scewoli, i Klelii, walka przy Regiliskim jeziorze, wygrana za pomocą Kastora i Polluxa, tkliwa powieść o Koryolanie, jeszcze tkliwsze podanie o Wirginii, dziwna legiend a o wyschnięciu Albańskiego jeziora, pojedynki między Waleryanem Korwem i Galskim olbrzymem, oto są niektóre z licznych przykładów, wiadomych każdemu oświeconemu czytelnikowi.

Titus Livius często za prawdę bierze rzeczy zmyślone. W jego dziele wszystkie różnorodne wypadki częstokroć zachowują właściwe sobie piętno. Dyonizyzus Halikarnaski, nie poprzestając na zwichnieniu podań, skreślił takowe nędzną prozą. Bez względu jednak na to, poezya, ożywiająca same fakta, przebija niekiedy swemi bozkiami pro-

(1) Które zprofanował Floryan, w romansie: *Numa Pompiliusz*.
P. T.

mieñmi gęstą pomrokę jego jedenastu ksiąg Rzymskich starożytności (*Antiquitates Romanae*). Ona się wyświeca w ciężkich i czczych utworach nowój epoki; ożywia historią powszechną; nadaje jakiś wdzięk suchym skróceniom Goldschmidta.

Za życia Plutarcha, niektórzy krytycy nie chcieli wierzyć w podania ludu o założeniu Rzymu. „Ta historia, mówili, podobna jest do romansu lub téż do dramy.” Ich niedowierzanie tworzyło Plutarcha. Starał się więc obalić takowe argumenta. „Przypadek, mówi on, częstokroć bywa poetą; tworzy wypadki tak dziwne i tak rozmaite, że żadna wyobraźnia na nie zdobyćby się nie mogła.” Ale pomimo, iż dawno upatrywano pierwiastek poetycki w historii ranych lat wiecznego grodu, przecież Jakób Perisionius, jeden z najuczeńszych krytyków siedmnastego wieku, piérwszy odkrył źródło tego elementu. Za czasów Peryzoniusza nowa teoria nie zwróciła na siebie uwagi powszechnój, lecz w naszym wieku została wznowioną przez pewnego Niemieckiego profesora, który byłby piérwszym pisarzem w Europie, gdyby styl jego odpowiadał jego erudycyi. Wielu z Angielskich uczonych, a między innemi biskup Saint Dawid, profesorowie Malden i Arnold, podzielali zdanie Peryzoniusza i Nibura. Ich teorią przyjęli teraz wszyscy, którzy wyłącznie zagłębiali się w starożytności klassycznej, a która rzeczywiście zasadza się na tyłu prawdziwych dowodach, że trudno byłoby je obalić. Popularny rozbiór tego systematu i faktów będących jego podstawą, może zająć nawet takich czytelników, którzy są mało oznamieni ze starożytnymi językami.

Piśmiennictwo Łacińskie, doszłe do nas, późniejsze aniżeli druga Punicka wojna, składa się wyłącznie z dzieł utworzonych z naśladowania Greckich pisarzów. Metry Łacińskie, heroiczne, elegijne, liryczne i dramatyczne, pochodzą od Hellenów. Wzorowy płód Łacińskiej epopei, jestto słabe echo Iliady i Odyssei. Najlepsze Łacińskie sielanki, są kopią z Teokryta. Hezyod podał plan autorowi tego dydaktycznego poematu, który w Łacińskim języku uważany jest

za najlepsze. Seneka, Plaut i Terencyusz, byli tylko naśladowcami tragedyj Sofoklesa i Eurypida, komedyj Demofila, Menandra i Apollodora, albo je tłómaczyli. Zkądże filozofowie Rzymu czerpali swoje idee, jeżeli nie z dzieł portyku i akademii? Nawet wielcy mówcy forum, ciągle trzykali się wzorowych mów Demostenesa i Liwiusza.

Jednakowoż, przed pierwszą wojną Punicką, istniała prawdziwa literatura Łacińska, po której żadnych nie zostało pamiętników; może ona już zupełnie zaginęła była wtenczas, kiedy przychodzili na świat najznakomitsi pisarze Rzymu. Ta literatura składała się z romansów wierszem pisanych, jakie istnieją u wszystkich narodów, obdarzonych umysłem bystrym, ciekawym, lecz jeszcze nieukształconym. Ludzie, wychodząc ze stanu pierwotnego, starają się poznać przeszłe wypadki, i szczególnie zajmują się opowiadaniem; ono bowiem działa na ich imaginacyą obrazami malowniczymi, ożywionemi. Książki są już własnością towarzystw oświeconych. W narodzie, którego zdolności umysłowe dostatecznie nie rozwinęły się, poezya stanowi przedmiot rozkoszy. Przeciwnie, lud napół oświecony uważa ją za nieodbitą potrzebę życia. Pojmuje wdzięk rymu, lecz ceni go jedynie jako środek, stający się pomocą jego pamięci. Jeżeli poeta potrafi utworzyć albo upiękzyć ciekawą powieść, wydać ją w formie przystępnej dla ogółu, taki poeta nabiera wielkiej wziętości u narodu, potrzebującego wiadomości, rozrywki, ale nie mającego książnic. Ztąd początek ballady, utworu poetycznego, który rodzi się i żyje we wszystkich towarzystwach, w pewnej epoce ich bytu. „Niemcy, mówi Tacyt, zachowują w narodowych pieśniach wspomnienie o zdarzeniach przeszłości”. Podług słów Lukana i Ammiana Marcellina, bardy opowiadali wierszami bohaterskie czyny starożytnych Gallów. Stulecia przepadły w wieczności, wiele nastąpiło zmian, lecz ballada ocalała swój wpływ w narodach Teutońskich i Celtyckich. Poeta, którym aż dotąd szczerą się Niemcy, opiewa zemstę, okazaną przez żonę Attyli za śmierć Zygryda. Anglo-Saksoni i Duńczycy podobnie wierszem wychwalali czyny Atelstana i Kanuta. Ułom-

ki tych nieogładzonych poematów, doszły do naszych czasów. Pieśni Francuzkich bardów, nie zważając na zamgloną przeszłość, zachowały nieokreślone, wątpliwe wspomnienie o Arturze. W północnej Szkocyi dotychczas utrzymują się wyjątki z rymowanych panegiryków Kutulina i Fingala. Pieśni ludu, pełne wojennego ognia, zawierają w sobie ożywione powieści o długotrwałych walkach Serbów z Otomanami. Herrera mówi, że po śmierci jednego Peruwiańskiego Inkasa, polecono było sławnym poetom, wychwalać wiérszem jego zdolności i czyny. Tenże dodaje: „Cały naród uczy się na pamięć tych wiérszy, i śpiewa je publicznie w dni świąteczne”. Wszyscy mieszkańcy północnej Persyi wiedzą o czynach Kurroglu, znakomitego rycerza Turkiestanu, ponieważ on sam utworzył w tym zajmującym przedmiocie wiele ballad, później upowszechnionych w narodzie. Kapitan Bitzy słyszał jak bardy na wyspach ś. Dziewicy, ogromnym głosem nauczali o nieśmiertelnych czynach Tamachamszy, najslawniejszego z ich królów. Mungo-Park znalazł w środku Afryki piewców, jedynych kronikarzy dzikich Afrykańskich plemion, którzy w jego obecności obchodzili dzień wielkiego zwycięstwa, otrzymanego przez Damlema, czarnego księcia Jalofów, nad Abdulkaderem, Muzułmańskim tyranem Futy-Tory. Podobny rodzaj poezyi szczególnie kwitnął u Kastylijczyków wprzód, nim ci zaczęli naśladować wzory Toskańskie. Anglicy i Szkoci, mieszkający w dolinach, kształcili go z uwagi godnym postępowaniem, w przeciągu czternastego, piętnastego i szesnastego wieku. Ale Grecy rozwinęli go w najwyższym stopniu; wątpić bowiem nie należy, ażeby poemata Homera, nie były pierwotkowo balladami, które różniły się ważnością przedmiotu nietylko od innych ballad, ale nawet od wszystkich utworów poetyckich (2).

(2) Mimowolnie tu nastrecza się myśl, jak niedotężne tłumaczenia Iliady i Odysei posiada literatura Europejska. Języki wykształcone, ujęte w karby grammatyczne, a niemogące mieć tej dźwięczności, szorstkości i prostoty, jakimi się odznaczał pierwotkowy dyalekt Grecki, napróżno siliły się na wydanie napóć dzi-

W miarę przecież oświecenia narodu, ballada traci w jego oczach uprzedni wdzięk i ważność. Zakres wiadomości rozszerza się; obyczaje zmieniają się; naród przyswaja wielkie zagraniczne dzieła, naśladowując je; język dawnych poetów zmienia się; wersyfikacja, jedynie zasadzająca się na rymie, okazuje swe niedostatki; bardzo jest wolna, wydaje się więc barbarzyńską. W porównaniu z delikatną formą, albo też z pięknym kolorytem artystów, jakimi są: Kowlej i Honhora, prostota starożytnych poetów zacięra się, wzbudzając nieprzyjemne uczucie. Dawne narodowe pieśni, niesprawiedliwie poniewierane przez niektórych uczonych i magnatów, żyją czasowo w pamięci ludu, potem umierają i zupełnie giną z pokoleniami, które zachowały jeszcze o nich słabe wspomnienie. Czyliż potrzeba się dziwić, że nie ma żadnych urywków ze starych ballad Rzymskich? Nie zważając na wynalazek druku, czyż ballady Angielskie i Hiszpańskie, nie powinny były doznać podobnego losu? Anglicy i Hiszpanie zapewne stracili pieśni ludowe, w rodzaju poematów ogłoszonych przez biskupa Percy, i te, których piękne tłómaczenie wydał niedawno Lokhart. Przed ośmudzięciemi laty Wielka Brytania miała tylko jeden zepsuty exemplarz Childe'a Waters'a i Cauline'a. Podobnie w Hiszpanii był zaledwie jeden exemplarz, w stanie niepierwiastkowym, pięknego poematu o Cydzie. Mało znaczący przypadek mógł odjąć ludzkości te nadobne utwory (3). Walter-Skot, jedno-

kiego, lecz swobodnego ludu myśli. Blizkie nawet tłómaczenie jest niepodobne, i na zawsze zostanie tylko parodia. Epopeja Hellady ma wielkie podobieństwo do kassyd Perskich, z tą jedynie różnicą, że pierwsza, po ułożeniu na muzykę, jest wspaniałym hymnem, drugie zaś mazurem bardzo jednotonnym. Ztąd pewny uczony wnioskował, iż Sarmaci muszą być koniecznie pochodzenia Kaukazkiego, to jest tego samego co i Persowie. Jednakowej kategorii z wielkimi poematami Grecyi, są utwory Indyjskie: *Ramajana* i *Machabarata*. O bajkach Pilpaja, stworzonych w czasie drugiego stopnia oświaty, jak pokazuje poniekąd sam ich tytuł: *Bite Pades* (Zbiór bajek), powiedzieć tego nie można. P. T.

(3) Zapewne także przypadek tylko mógł odkryć drogi zabytek Słowiańskiej literatury *Igorowe boje* (Пѣсьнь о полку Игоревы)

czący w sobie ognistą duszę poety z przenikliwością umysłu i cierpliwym charakterem starożytnika, zaledwo ocalał drogie zabytki poezyi Szkockiego barda (border). Niemcy pewnoby straciły na zawsze pieśni Nibelungów, gdyby one w zeszłym wieku nie były wydane z rękopisu, znalezionego w księżnicy jednego zamku. Ze wszystkich staro- i nowożytnych narodów, jedni tylko Grecy zachowali ciągłą namiętność, ciągle zapal do starych ludowych ballad (4).

Starożytni więc Rzymianie mieli narodową poezyą. Ta poezya zginęła w pewnym czasie. Czyż można powątpiewać o tym wypadku? Czyliż takowy nie opiera się na zasadach niezbytych?

Za Augusta, ojcem Łacińskiej poezyi nazywano Enniusza, który żył w czasie drugiej Punickiej wojny. Rzeczywiście Enniusz był ojcem drugiej szkoły poezyi Łacińskiej, téj jedynej szkoły, której utwory wiadome są wszystkim. Ale on sam mówi, że poprzedzili go inni poeci. Wspomina o wiérzszach, śpiewanych przez faunów i wieszczów (vates) w pierwszych czasach Rzymu, kiedy język nie był jeszcze ani powszechnym, ani obrobionym; kiedy jeszcze żaden z poetów nie odważył się drapać na wierzchołki, poświęcane bóstwom Greckim. „Gdzie? woła zasmucony Cycero, gdzie teraz nasze dawne wiérwsze?”

z dwunastego wieku, jeżeli o jego oryginalne nie ma wątpliwości, jakąś objawił uczony Sękowski. To poema znalezione zostało w 1795 r. a wydane po raz pierwszy w 1800, w Moskwie. Rękopism miał zaginać w czasie pożaru 1812 r. O charakterze i ortografii znaleźć można wiadomość w dziele Jermołajewa, który widział pomieniony rękopism przed jego zniszczeniem. Dzięki pracom Wójcickiego, Maciejowskiego, Żegoty Pauli, Waclawa z Oleska, Erazma Izopolskiego, Rheza-Weilanda, profesora Królewieckiej wszechnicy, Fryderyka Kurschata, Wilhelma Jordana i innych, mamy dosyć znaczny zbiór pieśni naszego ludu. P. T.

(4) Ta chęć poznania siebie ze swój przeszłości w utworach literackich, godna wszelkich pochwał i naśladowania, objawia się u synów Hellady w najwyższym stopniu. W szkołach i uniwersytetach Greckich, z zapalem uczą się teraz dzielnego przodków języka. P. T.

Quid? nostri veteres versus ubi sunt?

. . . Quos olim faunes, vatesque canebant,
Cum neque musarum scopulos quisquam superarat,
Nec dieti studiosus erat? (Cic. in Brut. cap. XVIII).

Muzy, jak wiadomo, byłyto Greckie bóstwa. W Rzymie boginie poezyi najprzód zwały się kamenami (Camoenae); potem zaczęto używać bez wyjątku obu wyrazów: *muzy* i *kameny*, lecz za czasów Enniusza ta różnica jeszcze utrzymywała się. W grobowym wierszu Newiusza, założyciela stariej szkoły Włoskiej poezyi, kameny oplakują zgon swojego ucznia. *Musarum scopuli* (skały muz), oczywista wiérzchołki Parnasu. Skaligier w uwagach nad Warronem (de lingua latina lib. VI) powiada, że fauny, z przesądu wieków przeszłych uważane za straszdyła, półbogi i półzwierzęta, były w rzeczywistości ludźmi, którzy w bardzo dawnych czasach sprawowali obrządki, podobno obrzędom magów Perskich i bardów Galskich.

Quintus Fabius, najstarożytniejszy z wszystkich kronikarzy Rzymskich, był współczesnym Enniusza. Dyonizyusz zachował jego historią o dzieciństwie i młodości Romula i Rema. W tém właśnie opowiadaniu znajduje się ważne miejsce dla historii dawniej Łacińskiej poezyi. Fabiusz mówi, że za jego pamięci, jego ziomkowie śpiewali ballady o bliźniętach Rei. „Nawet w szafasie Faustulusa, powiedziano w tych dawnych balladach, synowie Rei i Marsa, ani fizycznie ani moralnie nie byli podobni do pastérzy. Patrząc na nich, powszechnie sądzono, iż muszą być dziećmi króla lub bożka”.

Kato cenzor, podobnież żyjący podczas drugiej Punickiej wojny, wspomina o najdawniejszej literaturze, w swoim dziele o starożytnościach ojczystych, które już zaginęło. „Przed kilku wiekami, mówi on, istniały ballady na pochwałę znakomitych mężów. Na wszystkich ucztach zebrani, zwykle je śpiewali przy muzyce piszczałek”. „Jaka szkoda, woła Cycero, że u nas już nie ma dawnych ballad, o których czyni wzmiankę Kato!”

Valerius Maximus przywodzi zupełnie podobny wypadek, nie powołując się jednak na żadnego autora. Według jego domysłu, dawne ballady większy wpływ wywierały na młodzież, aniżeli wszystkie lekcye Ateńskich professorów. Dzięki narodowej poezyi! Rzym wydał Kamilla, Fabrycyusza, Scypiona, Marcellego i Fabiusza.

Warro, na którego słowach w każdej kwestyi tyczącej się Rzymskich starożytności, można śmiało polegać, powiada, że długo utrzymywała się moda zachęcania małych chłopców do śpiewania w czasie obiadu, staroświeckich ballad na pochwałę dawnych bohaterów, z towarzyszeniem albo też bez towarzyszenia instrumentów. Ci młodzi śpiewacy, dodaje, mieli nienajlepszą reputacyą. Dlatego Warro wspomina o tém, że niegdyś w Grecyi, a za jego czasów w Rzymie, młodzieńcy zajmujący się poezyą, niebardzo byli uważani.

Świadectwo Horacyusza, choć niezupełnie jasne, potwierdza słowa Katona, Waleryusza Maxyma i Warrona. Poeta przepowiada, że w czasie spokojnego panowania Augusta, Rzymianie będą śpiewać z kubkami w ręku, napętionem winem, według zwyczaju przodków, o czynach mężnych wojowników i o założeniu Rzymu, w starożytnych legendach.

Nietylko więc sprawiedliwem jest, ale nawet dowiedzionem niezbitemi faktami, iż Rzym miał narodową poezyą przed drugą wojną Punicką. Ztąd łatwo pojąć, dlaczego historia pierwszych czasów wiecznego grodu, okazuje się tak bardzo sprzeczna ze wszystkimi innemi przedmiotami literatury Łacińskiej oryginalnej, kiedy takowe wymyślono są lub przyswojone od innych narodów; idealnej i poetycznej, kiedy reszta jest prozą. Powiem stanowczo, że przesłiczne patetyczne ludowe legendy, bardzo się różniące od wszystkich zabytków Rzymskiego języka, są tylko odgłosem tej pierwiastkowej poezyi, która już była dawno za czasów Katona cenzora, a której Cycero nie słyszał ani jednego więrsza.

Poezya ta zginęła; lecz cóż w tém dziwnego, jeżeli weźmiemy na uwagę zupełny tryumf gieniuszu Greckiego nad

socyalnym gustem we Włoszech? Homer, Archiloch, Herodot powinni byli zaopatrzyć w idee starożytnych Łacińskich poetów; ale poczya dawnego Rzymu zaczęła tracić swój Auzoński charakter zaledwo po wojnie z Pirrusem. „Zwycięzeni, mowi Horacyusz, ujarzmili zwycięzców (5)”. Wówczas kiedy Rzymianie podbijali stary świat, zarazem tracili swoje umysłową niepodległość. Grecya poddała się jarzmu Italii, lecz jój literatura i sztuki panowały wszędzie bez granic. Tam przesilenie skuteczniło się bez walki. Niewiuz zamyka, zda się, listę starożytnych poetów. Enniusz był założycielem nowej dynastyi. Niewiuz opiewa piérwszą wojnę Punicką saturnalskimi wierszami, starożytnym rymem Italii. Enniusz w opisie drugiej Punickiej wojny, użył rozmiaru Homerowej Iliady (6). Niewiuz w swoim wierszu grobowym, który można uważać za szczególny wzór stylu pierwiastkowej poezyi Rzymian, pochlebiając sobie żałuje, że razem z nim umrze język Łaciński; a zatem to, co Horacyusz przyjmuje za najpiérwszy promyk jutrzeńki Rzymskiego piśmiennictwa, Niewiuz uważał jako ostatnie światelko zinroku. Jedna literatura rodziła się, druga umierała.

Snak zagraniczny otrzymał zupełne zwycięztwo. Nie można ganić Rzymian za to, że porzucili dawne pieśni, stanowiące pociechę ich przodków (?), a gwałtownie rzucili się do nieśmiertelnych utworów Grecyi. Pieśni ludu, pogardzane przez wyższą klasę, która kończyła nauki w Rodos albo też w Atenach, nie przestały jednakże zachwycać wielu pokoleń włosciańskich. Kiedy Wirgiliusz opisywał pięknym i słodko - dźwięcznym hexametrem przyjemności wiejskie, rolnicy śpiewali swoje dawne ballady, i gdyby wtenczas kiedy Cycero oplakiwał niepowetowaną stratę poematów, wspomnianych przez Katona, jakikolwiek uczo-

(5) Czyż mało podobnych temu przykładów? Anglo-Saksoni i Brytańcy najpiérwszy. P. T.

(6) Myli się w tym względzie autor. Enniusz naśladował rozmiar Homera, lecz nie mógł go zupełnie przyswoić, jak o tém przekonac się można z dopisku mego o Iliadzie i Odyssei. P. T.

ny antyk waryusz zajął się w najsamotniejszych Apenińskich dolinach poszukiwaniami, jakie czynił Walter-Skot między potomkami Ledesdalskich maroderów, zapewneby wynalazł zabytki pierwiastkowej poezji. Na nieszczęście nikt o tém nie pomyślał, i Łacińskie ballady zaginęły na zawsze. Jednak dowcipni krytycy, w historii pierwszych czasów Rzymu upatrują ułomki zaginionego piśmiennictwa. Nawet podróżni, zwiedzający ziemię klassycyzmu, postrzegają niekiedy, wśród grubych ścian fortecy lub klasztoru, kolumny upiększone liściami, albo fryzy z amazonkami i bachantkami, zdającymi się oddychać. Teatra i świątynie Greków i Rzymian stały się zdobyczą Turków i Gotów. Wielu mówców i kronikarzy wzięło się do starożytniej, saturnalskiej poezji, i zaczęło w niej szukać materiałów do swojej prozy.

Może kto zapyta się: jakim sposobem dawne pieśni ludu przyjęły formę, którą mają dotychczas? Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna. Panegiryki na grobach i kroniki służyły za związek między zaginionymi balladami a istniejącą historią. Podług bardzo dawnego zwyczaju, nad zmarłym Rzymianinem zwykle prawiono oracye. Mówca, jak upewnia Polibiusz, był obowiązany wyszczególnić wszystkie zasługi, okazane dla rzeczypospolitej przez zmarłego, nawet zasługi jego przodków, počawszy od założenia Rzymu. Nie ma tedy wątpliwości, iż oratorowie wyjmowali z narodowych pieśni wszystkie opowiadania, jakie tylko mogły posłużyć im do zadosyć uczynienia obowiązku. Krewni sławnych mężów, zachowywali jeden lub kilka exemplarzy takich mów pogrzebowych. Piérwsi autorowie kronik zasięgaliby wiadomości z takowych dokumentów, zasługujących na ufność, a wielcy historycy późniejszych czasów, po większej części przepisywali te kroniki.

Weźmijmy jakąkolwiek prywatną historią, i zastanówmy się nad jój wszystkimi zmianami. W piérwszych księgach Liwiusza najbardziej zajmującym jest opowiadanie o przesiedleniu rodziny Fabiusza do Kremery. Konsul odziany zbroją, staje na ganku swojego domu, poglądając na swój

ród, składający się z trzystu sześćdziesięciu wojaków, którzy pochodzą ze krwi patrycyuszów, godni być liktorami i naczelnikami legionów. Niezliczony tłum zasmuconych, niespokojnych przyjaciół, dąży przez ulice za szukającymi wypadków. Okrzyki zapału ogólnego wkrótce głośną głos indywidualnego smutku. Kiedy processya mija Kapitolium, cały Rzym wznosi dłonie ku niebu.... Daremne błaganie! Oddział, zostawiając na prawo świątynię Janusa, z rezygnacją dąży do własnej zguby przez bramę okropnego losu. Okazawszy cuda waleczności w potyczce z daleko liczniejszym nieprzyjacielem, wszyscy bohaterowie zginęli, oprócz jednego dziecięcia, od którego potem rozrodzi się plemię Fabiuszowe dla chwały i szczęścia Rzeczypospolitej. Ta rozrzucająca historia, której szczegóły, pełne poetyckiej prawdy, nie mają nawet zwykłych przymiotów prawdy historycznej, zapewne wzięta jest z jakiegokolwiek pieśni ludu, upowszechnionój podczas uct. Można wyjaśnić takowe przejście. Znakomity Quintus Fabius Maximus, zesły ze świata przed pierwszą wojną Punięką i przed czterdziestu z górą laty nim się narodził Ennius, był, jak mówią, pogrzebany z nadzwyczajnym przepychem. Orator, mający mowę, nad jego mogiłą, opowiedział, zapewne nie bez powiększenia, czyny jego przodków. Pieśni wówczas istniejące, zawierały ożywiony, czarujący opis najsmutniejszego i zarazem najchwalebniejszego wypadku w historii domu Fabiusza. Dlaczegożby więc mówca nie miał korzystać z najlepszych urywków ballad, dla upiększenia swój mowy? Po wygaśnięciu kilku pokoleń, może pieśni te były zapomniane, albo żyły tylko w pamięci pasterzy i winiarzów. Ale potomkowie wielkiego Fabiusza, pewno zachowali tę mowę w swoich archiwach. Fabius Pictor musiał wiedzieć o tym dokumencie, bardzo ważnym dla niego, i wyjątkami z niego wzbogacił swoje obszerną kronikę. Ta ostatnia, jak wiadomo z pewnością, była najdawniejszą ze wszystkich, jakie się znajdowały pod ręką Liwiusza. Jednym rzutem oka Titus Livius odróżnił święte ostatki starożytniej poezyi, od zinnój i czeźej prozy, w której one były zagrzebane. Ostrożnie

i śmiało oczyścić je, i tym sposobem unieśmiertelnił przypadek.

To co się działo w Rzymie, powtórzyło się w innych krajach, a szczególnie w Anglii. Na potwierdzenie teoryi Peryzoniusza, dostatecznym będzie okazać, że fakta, które, według jego mniemania, winny były pochodzić ze starożytności, wznowiły się w wiekach średnich i w czasach najnowszych.

„Historya, mówi Hume, przywiązując największą wagę do słów swoich, zachowała niektóre wyjątki z miłosnych wypadków Edgara. Te niezupełne zabytki pozwalają nam dojsć reszty.” Potém pięknie opowiada wypadki Ellledy i Elfrydy. Te wątpliwéj wiary historye, w istocie bardzo są podobne do wielu legend z pierwszych czasów Rzymu. Jedyném źródłem, z którego czerpie Hume, jest kronika Wilhelma Malmesburskiego, latopisarza żyjącego za panowania króla Stefana. Ale Wilhelm, opowiadając podobne wypadki, sam nie ręczy za ich autentyczność, oraz poznaje się, iż dawne ballady w tym względzie dostarczały mu materyałów.

Powieści o wydarzeniach Ellledy i Elfrydy, z początku miały formę poetycką, potém zaś z narodowych ballad przeszły do starożytnej kroniki. Ballady zaginęły, kronika pozostała. Zapomniano już o balladach w przeciągu kilku wieków, kiedy wielki historyk wynalazł kronikę. Ponętny koloryst wyobraźni uderza jego oczy. Przepisuje więc bajki i zapełnia niemi swoje dzieło. Tym sposobem, jako wiarogodne fakta, weszły w księgę, zapewne tak długotrwałą jak język Angielski, fantazyę narodowego poety, którego utwory nigdy nie były pisane, a którego nawet imię zostało pokryte niewiadomością. Legiendy o Romulusie i Remusie, o Horacyuszach i Kuryacyuszach, mogły, albo też powinny były mieć podobne źródło (7).

(7) Tegoż samego pochodzenia muszą być w naszej historyi: bajki o Wandzie, Krakusie, smoku, Popielu; u Czechów, o Libusie, założeniu Pragi; jak równie wszystkie pierwiastkowe dzieje ludów, powszechnie zwane czasami bajecznymi.

P. T.

Literatura Kastylska służy za przykład, podobny do wyżej rzeczzonego. Maryana, klassyczny historyk Hiszpanii, opowiada o fatalnym związku, który, z rozkazu króla don Alfonsa, został zawarty między następcami Karryona, a córkami Cyda. Cyd dał swym córkom posag książęcy. Młodzi mężowie, dumni, podli i okrutni, nie zasługiwali na to. W czasie niebezpieczeństwa stali się bojaźliwymi: uciekali przed Arabami, chowali się przed lwem, kiedy ten wyszedł ze swego legowiska (8). Wiedząc, że tak podle postępowanie może wzbudzić ku nim wzdarcę powszechną, powzięli zamiar zemścić się za siebie. Pożegnali swego teścia i puścili się w podróż z żonami, donną Elwirą i donną Sol. Przybywszy w najsamotniejsze miejsce, mężowie rzucili się na żony, zbili je i zostawili napót umarłemi. Tymczasem sługa Biwara, mając podejrzenie o tym piekielnym zamiarze, przebrany śledził ich i przyprowadził wyleczone córki Cyda do ich ojca. Ojciec oskarżył zięciów przed królem. Dekretem kortezów, Cyd otrzymał pełnomocnictwo odebrania uprzednio im danego posagu; a następcy Karryona musieli pojedynkować się, przybrawszy jednego ze swoich krewniaków, z trzema rycerzami ze strony Cyda. Napróżno zbrodniarze nie przystawali na pojedynek. Przymuszeni wejść do areny, zostali zwyciężeni od przeciwników i na zawsze zhańbieni, a wielcy książęta pojęli za żony niewinne ofiary zemsty.

Niektórzy pisarze Hiszpańscy starali się dowieść, przez drobiazgowe zastanawianie się nad czasem i okolicznościami

(8) Najwięcej romantyczny okres historii półwyspu Pirenejskiego, zaczyna się od przywołania Arabów, dla utrzymania dumy kilku biskupów i możnych, z Afryki, a kończy się na wypędzeniu ich z kraju. Mnóstwo ballad i podań ludu krąży o tém dotychczas w Hiszpanii; przykłady podobnego przyzwania powtórzyły się później i gdzieindziej. Rossya ma kilka pieśni z czasów wyswobodzenia się zpod jarzma Mongolów. W takimże rodzaju są niektóre legendy Amerykanów. Mieszkańcy Polinezyi, oraz ludy Afrykańskie, muszą mieć również swoje podania, lecz których Europejczycy nie znają dokładnie.

P. T.

mi, że ta historia jest zmyślona. Praca ta wcale nie była potrzebna, ponieważ opowiadanie Maryany ma wszystkie cechy romansu. Hiszpański kronikarz sam przyznaje, że w wielu miejscach naśladował starożytne podanie. Zapewne także miał pod ręką kronikę znakomitego rycerza Cyda Ruj Dyeza Kampeadora (*Cronica du famoso cavallero Cid Ruy Diez Campeador*), wydrukowaną w 1552 r. Nie domyślał się autor, że główne miejsca tej kroniki były wyjęte z poematu dwunastego wieku, w którymto utworze styl i wersyfikacya w kilkunastu ustępach, równające się nieśmiertelnym płodom Homera, wyszły z mody. W sto pięćdziesiąt lat po śmierci Maryany, pierwszy raz ta starożytna ballada została wydrukowaną z rękopisu, znalezionej w Biwarze, na pergaminie, który był napisany przed czterystu z górą latami. Prawda wyświeciła się: wymowny jezuita interesujące szczegóły historii potomków Karryona wyjął z narodowej pieśni, o której istnieniu na piśmie nie wiedział, a którą ułożył niewiadomy minstrel.

Takim, albo przynajmniej takimi być mogącym przemianom, uległy gminne Rzymskie (i innych narodów) ballady, nim ze wspomnień ludu, przeszły do kronik pisarzy historycznych.

Jan Szymański.

Vigilie za umarłe tyudzye duszom woczytzu bardzo pomoczne (*).

Kiedy w literaturze jakaś nowość szerzyć się zaczyna, to choć nawet dla wielu ona dziwną się zdaje, niewartą zajęcia umysłu; zdrowy rozsądek radzi pójść w ślad za nowością, i dopóty ją wystawiać na widok publiczny ze wszy-

(*) objaśnienia p. M. na osobliwszy zabytek językowy, będący własnością p. *Romualda Hube* (art. udzielony p. *Romualda Podbereskiego* z Petersburga).

stkich stron, dopóki albo wartość jój rzetelna wykrytą nie będzie i w prawdę pospolitą dla piszących się nie zamieni, albo, jeżeli nowość z matki mody poczęta, dopóki użyciem nie zbrzydnie, nie znudzi się sama i nie umrze.

Te i tym podobne myśli krążyły nam po głowie, kiedyśmy przeglądali rękopis zawierający w sobie wigilie za umarłych i inne ułamki nabożnych notatek; chcieliśmy bowiem wiedzieć, czy warto dać o nim wiadomość? I otrzymaliśmy na odpowiedź, że nietylko warto ale koniecznie trzeba wszystko ogłaszać, co tylko się ściąga do dawnych czasów Słowiańszczyzny. Rozbiór dawnych pomników piśmiennictwa, może zapobiedz temu zakłóceniu i wywołać ściśle dyalektów rozgraniczenie. A cóż mówić o nieoczońionych korzyściach z innej strony! Skazani na uczenie się wszystkich na świecie języków, nie treści filozoficznej po Polsku wyrazić nie umiemy.

Wigilie nasze znajdują się w książeczce, której kształt i pismo samych wigilij, odnieść można do drugiej połowy XV wieku; reszta nabożeństwa tam znajdującego się, należy do wieku XVI. Wigilie nasze są przekładem tego co się w języku duchownych nazywa *Officium defunctorum*, począwszy od *Invitorium ad Matutinam*, aż do końca. Oto jest tłumaczenie jednej z modlitw: dołączamy zarazem text Łaciński z dzisiaj używanego brewiarza.

Boże, którysz myędzy pa-
pyeskim kapłansztwem slu-
gy twoje byszkupyą albo ka-
planską czezyą zrządził bicz,
proszymy czyą daj abi szyą
zebrały ku gych vycernemu to-
varzistwu.

*Deus, qui inter Apostolicos
sacerdotes famulos tuos Pon-
tificali seu Sacerdotali fecisti
dignitate vigere, praesta
quaesumus ut eorum quoque
perpetuo aggregentur consor-
tio.*

Że *perpetuus* w przekładzie znaczy *wierny* nie *wieczny*, to może być omyłka; lecz że *vigere*, znaczące w tém miejscu *żyć*, w przekładzie mamy *być*, to już nie omyłka. W Słowiańskich tylko językach słowo *być* i wszystkie zawierające w sobie jego znaczenie, rządzą przypadkiem szóstym; lubo ta okoliczność nie jest w żadnej, o ile pamiętam, gramma-

tyce wyjaśnioną należycie. Mówiąc o rzeczach żywotnych, o ich *bycie*, często mamy potrzebę wyrazić ich przymioty, które zwykle środkiem są bytu lub zyskiem: przymioty takowe położone ze słowem *być*, stać muszą w szóstym przypadku, którego znaczenie dobrze wyraża Łacińskie nazwanie *instrumentalis casus*; Rossyjskie zaś творительный падежъ.

Tłomacz nasz umiał po Polsku bardzo dobrze i dlatego, przelożywszy *sacerdotali dignitate*, Polskiem *kapłańską czią*, wolał *vigere* przetłomaczyć słowem *być*, jak *żyć* któremu właściwsze są inne formy. Tak my to objaśniamy grammatycznie; nie śmiejąc naprzód wyrzec, że w rzeczy samej, przegląd rozgałęzienia w naszym języku pierwiastku słowa *być*, koniecznie równa je całkiem co do znaczenia z Łacińskiem *vigere*, użytym dla wyrażenia naszego *żyć*. Obszerniejsze rozwinięcie tej myśli, zmieni znacznie nasz staby układ konjugacyi słowa, obierze z tajemniczości słowo *być*, która mu już nadała nazwisko filozoficznego, zapewne dla niezrozumiałości, i sprostuje wiele niewłaściwych obrotów mowy. Na ilużto miejscach, przy lekkim nawet badaniu języka naszego, przekonywamy się, że ojcowie nasi, jakby umyślnie, tak nam go urobionym zostawili!

Otoż jeden z wielu przykład, jakiej Wigilie nasze wartości być mogą, same przez się, dla kodexu języka. Teraz dla pokazania jakie zajmują miejsce między innemi pomnikami, umieszczamy kilka wierszy z psalmu 5, dołączając zarazem dla porównania, przekład z Psalterza *Malgorzaty*, przekład Wujka, i text Łaciński.

Z Psalterza *Malgorzaty*.

Z naszych *Wigilij*.

1. (*) Wnydą w dom twój,
podoną se u kosczola swąte-
go twego w bojazni twoioy.

1. Wnidą w dom twoy y bą-
dą modlą czynyl w koszczyele
swyątem twoyem w boyaszny
twy.

(*) Liczby przy wierszach nie są liczbami Biblii: lecz położone dla ułatwienia rozbioru.

2. Bo ne w gich uszczeh prawdy, serce gich prozne iest. 2. Bo ne w gych uszczeh prawdi, szercze gych prozne yest.

3. I weselicz se bądą wsitczy gisz ymaią nadzieą w tobe, na weky weselicz se bądą y przebiwacz bądzesz w nich. 3. Veszelycz szyą bądą wszysci ktorzy mayą w tobye nadzieą, na weky uradnyą szyą y przebiwacz bądzyesz w nich.

4. Gospodne, iaco szcziem dobrej woley twoiey coronawal ies nas. 4. Panye jako szczytem dobrej woley twoey ukoronowalesz nasz.

Przekład Wujka.

Po Łacinie.

1. Wnidę do domu twego; pokłonię się ku kościołowi twemu świętemu w boiaźni twoiey.

1. Introibo in domum tuam, adorabo ad templum sanctum tuum, in timore tuo.

2. Albowiem niemasz w usćiech ich prawdy; serce ich iest mårne.

2. Quoniam non est in ore eorum veritas; cor eorum vanum est.

3. Y niech się rozweselą wszyscy ktorzy nadzieię mają w tobie: ná wieki radować się bądą, y bądziesz mieszkał w nich.

3. Et laetentur omnes, qui sperant in te, in aeternum exultabunt, et habitabis in eis.

4. Panie, iáką tarczą dobrej woley twej obtoczyłeś nas.

4. Domine, ut scuto bonae voluntatis tuae coronasti nos.

Wszystkie te tłumaczenia są podobne między sobą. I tłumacz Wigilij i Wujek mieli, jak widać, przed sobą ten przekład z którego wypisany Psalterz; różnica między niemi ta tylko, że Wujek więcej go się trzymał, Wigilie zaś zdają się być swobodniejszej ręki.

Tak, żaden z nich nie rozumiał co znaczy *templum*; jednak tłumacz Wigilij chciał przynajmniej oddać myśl, jeżeli nie mógł obrazu. Porównać Nr. 1.

Pod Nr. 3 Łacińskie *in aeternum exultabunt* w Psalterzu znaczy *na wieki weselić się bądą*, u Wujka *na wieki radować*

się będą; każdy widzi że to nie jest po Polsku, i tylko przyzwyczajenie się do téj formuły zasłania niewłaściwości wyrażenia.

Powiedziałem przyzwyczajenie; bo nie można mówić: *żyć będą na godzinę, na rok*, a w modlitwie powtarzamy bez grzechu *żyć będą na wieki, na zawsze*. Po Polsku dobrze: *weselić się, żyć będą godzinę, dzień, rok, wieki, zawsze, po wszystkie wieki* i t. d. Tłómacz Wigilij umiał, widać, dobrze po Polsku, kiedy Łacińskie *in aeternum exultabunt* wołał przełożyć Polskiém *na wieki uradują się*; jak gdyby chciał wyrazić: *radować się będą tyle, że radość na wieki wystarczy*.

Na dowód walki tłómacza naszego z języka właściwością, bojaźnią zgrzeszenia przeciwko dosłowności przekładu, przytaczamy jeszcze jedno miejsce z psalmu 94:

| | |
|----------------------------|----------------------------------|
| Przyjdźcie weselmy się | Venite exultemus Domino, |
| Pana, spyevaymy Bogu Szba- | jubilemus Deo salutari no- |
| vyczyelyu naszemu, ogar- | stro, praeoccupemus faciem |
| nyaymy oblicze yego w po- | ejus in confessione, et in psal- |
| kayanyu, y w psalmovim | mis jubilemus ei. |
| spyevanym veselmy się | |
| yemu. | |

Praeoccupemus faciem ejus in confessione, trudno wiedzieć co znaczy w rzeczy samej. W Psalterzu jest: *przejdźmy oblicze jego w zpowiedzi*; u Wujka: *uprzedźmy oblicze jego z wyznawaniem*. Jedno i drugie albo niezupełnie, albo coś grzesznego znaczyć może. Najlepsze chęci miał nasz tłómacz; bo *ogarniać oblicze Boskie w pokajaniu*, jasno pokazuje swoje znaczenie, i dowodzi rozsądku tłómacza, który dla jasności wołał *confessio* przełożyć Polskiém *pokajanie* (pokuta, skrucha i t. p.).

Tyle o przekładzie: teraz o formach grammatycznych języka i o innych osobliwościach.

W Psalterzu zamiast *pan* używa się *gospodyn, gospodzin*, naprzemian prawie używane dwie formy czasu przeszłego: złożona ze słowem posiłkowym *być*, i pojedyncza niezupełnie jeszcze zformowana; nie masz różnicy między *ą* i *ę*; obie

samogłoski wydane za pomocą *o* z kreską u góry i u dołu (*).

Resztę pomijam, bo wszakże to tylko wiadomość nie zaś rozbiór ścisły.

W Wigiliach wszędzie używa się *pan*, nigdy *gospodyn*; czas przeszły złożony bardzo rzadki, pojedynczy zaś zupełnie zformowany; *q* i *ę* także nie rozróżniane ale wydawane z pomocą *a* z kreską u dołu.

Maciejowski utrzymuje, że wyraz *pan* przejęty jest od Niemców, że dopiero w XIII wieku wchodzić zaczął w użycie powszednie. Co do pokrewieństwa wyrazu *pan* z *von*, *van*, zgodzić się niepodobna. W ogóle filolodzy dziś bardzo ostrożnie, w ostatecznych tylko razach i na dowodach bardzo oczywistych stanowią, że wyraz przejęty jest od obcych. W tém zaś miejscu łatwiej dowieść że *pan* swojski, jak obcy. Żo nie odrazu natrafiamy go w pomnikach, że innym długo zastępowany był; to wcale nie dowodzi jakoby się i w języku nie znajdował: inna jest przyczyna wywyższania się jednych, upadku drugich wyrazów. Wyrazy *Bóg*, *pospolity*, *dziad*, *stolec* (tron), *rzeczpospolita* jasnym tego dowodem. Pierwiastek *pa*, spółny wszystkim językom Indyjskiego szczepu, wszystkim udziela się do wyrażenia stosunków opieki jednej osoby nad drugą, któreto stosunki u nas dwa wyrazy zaczynają: *wspaniałość* albo *pieszczota*. Że zaś wyraz ten później wszedł w użycie pospolite, wycisnął pierwotnego gospodyna, zostawił mu tylko zarząd domu i inne gospodarstwo, a sam zagarnął wszystkie prawa publiczne i do mody się stosował; najlepszym dowodem Psalterz, który, mojem zdaniem, jest mało co zmienione pierwotne tłumaczenie pisma świętego na Polski język. Tu niezawodnie są pomniki języka naszego z X lub XI wieku, z czasów reformy religijnej.

Czas przeszły ze słowem *być* złożony, nie tylko jest właściwy zupełnie Słowiańskiemu językom, ale w każdym dotąd się znajduje. Odpowiada on Greckiemu *perfectum*, tak jak

(*) Drukarnia nie mając takiego, zastąpiła je w powyższych z Psalterza wyjątkach, samogłoską *q*. P. R.

czas przeszły niezłożony Greckiemu *oristum*. W grammatykach zwykle nie wspomina się o tej różnicy; to wszakże zrażać nie powinno pomnąc, że Słowianie nie mają jeszcze dobrej grammatyki. W Psalterzu oba te czasy używają się prawie bez różnicy: to nas naprowadza na wniosek, że tłumacz albo nie rozumiał oryginału, albo nieszczególnie umiał po Polsku. Najpewniej było jedno i drugie; bo co do pierwszego okazaliśmy wyżej, a co do drugiego, tłumacz był zapewne Niemiec, kiedy Psalterz ma pełno obrotów Niemieckiemu językowi właściwych. Czas ten w dzisiejszym języku, z małym wyjątkiem i dodatkiem, pozostał tylko w słowach zwanych w grammatyce *intransitiva*.

Wracając się jeszcze do wyrazu *pan* i łącząc z nim dwoi-
stość formy czasu przeszłego, zaostrzamy uwagę badaczów
języka na przemiany jego historyczne. Ze zmianą wewnę-
trznego usposobienia narodu, zmienia się i język: każdy więc
pomnik piśmiennictwa, nietylko co do treści ale nawet co
do formy mowy, jest ważnym materiałem do historii. Czę-
sto nie mamy kronik, przywykamy wiek nam niewiadomy,
widzieć przeze mgłę; język stanie za wszystko, jako miara
umysłowego ruchu owego czasu.

Nasze *q* co do postaci ożenione z *a*, co zaś do dźwięku
należy do *o*. Psalterz na wyrażenie tego dźwięku, używa
wszędzie *o* z dwoma znaczkami. W książeczce ś. Jadwigi,
dźwięk ten niejednostajnie oddawany. W podpisach i in-
nych wyrazach Polskich z XIV wieku, daje się widzieć naj-
częściej *an* zamiast *q*. W naszych Wigiliach, *q* dzisiejszego
kształtu się znajduje. Nie masz jednakże nigdzie kształtu
pisma dla wyrażenia *g*, bo zapewne ono najpóźniej się wy-
robiło. Języki ukształcone w pierwszym stopniu, mają się do
siebie jak systemata ich samogłosek, które będąc najbar-
dziej czułą na odmiany częścią dźwięków ludzkich, i wcho-
dząc zarazem w skład wszystkich wyrazów, słusznie nazwa-
ne być mogą kamertonem języka. Dlatego my utrzymy-
wać nie wahamy się, że niestałość kształtu pisma na wyra-
żenie dźwięku *q* i *g*, służy za dowód formacyi ich, i przeko-

nywa jeszcze bardziej o wielkim organicznym ruchu narodu naszego przez wieków 5. Ustalone formy języka w XVI wieku aż do nas, mało się zmieniły; przynajmniej nie było zmiany ważne dla budowy języka; można je uważać za żadne.

Przez dwa z górą wieki nie formy języka, ale obroty mowy wyrabiały się; dziwna jednak że im bardziej nasz język starzeje się w zupełnym znaczeniu tego wyrazu, tem więcej zdaje się zgadzać z bytem narodu. Skarga, pierwszy po ustaleniu pierwszych form języka, oddał całą moc jego; Krasicki w ciągu tworzenia, przerabiania się obrotów mowy, oddał jego lżejsze zdolności; potem siadła na tronie filozofia, i pozwoliła każdemu wymówić: Ja!

O handlu pijawkami we Francyi, i o ich utrzymywaniu.

Temu lat kilkanaście, jak ogłosiłem w Pamiętniku Warszawskim umiejętności czystych i stosowanych (1), wiadomość o utrzymywaniu pijawek lekarskich i o handlu niemi w Polsce. Mniemając iż niejako uzupełnię ten przedmiot, wypisuję najnowszą wiadomość o handlu pijawkami we Francyi, przez p. Chevallier do Roczników higieny publicznej podaną (2).

P. Chevallier mówi: „Użycie pijawek w sztuce lekarskiej, jest bardzo dawne; Themison często od Pliniusza przytaczany sławny lekarz z Laodycei a uczeń Asklepiadesa, miał je pierwszy wprowadzić. Teraz zwyczaj ich używania tak się rozszerza, iż wkrótce niepodobna będzie potrzebnej ilości ich dostarczyć.

Rozróznilo dotąd dwa gatunki: 1) apteczną, *Sanguisuga officinalis* czyli *Hirudo provincialis*, i 2) lekarską, *San-*

(1) Tom III, str. 313, r. 1829.

(2) *Annales d'hygiène publique, Juillet, 1845.*

guisuga medicinalis. Różnią się one od siebie pręgami na grzbiecie i kolorem (1). Prócz tych dwóch gatunków, zdaje się istnieć trzeci jeszcze, znajdujący się szczególnie pomiędzy przywożonymi z Afryki.

Dawniej z bagien Francuzkich tyle otrzymywano pijawek, że nietylko we Francji na użytek lekarski wystarczały, ale nawet i do Anglii wywożone być mogły. Ale później, w skutek coraz bardziej upowszechniającego się zwyczaju, a nadewszystko w skutek niestosownego sposobu ich łowienia, do tego przyszło, że teraz Francja na własną potrzebę zkadinać sprowadzać je musi. Najwięcej przychodzi ich z Węgier, Rossyi, Wołoszczyzny, Turcyi i Egiptu; nieco także z Algieru. Ale sposób łowienia pijawek w tych krajach, taki sam jest jak i we Francji; t. j. że się zabięrają i młode, do rozmnożenia służące; dlatego można z pewnością przewidzieć, że wkrótce i tam ich zabraknie, co nawet stało się już w Węgrzech.

Do Francji sprowadzają niesłychaną mnogość pijawek; a co od 1827 do 1832 15 centymów kosztowała jedna, teraz płaci się 40 do 50 centymów, i ta cena coraz się podwyższa. W ciągu lat 19 sprowadzono do Francji 499,853,221 pijawek wartości 15,006,076 franków i to tylko podług wyrachowania urzędowego, a więc w istocie nierównie więcej. Od 1833 wchód pijawek zaczął się stopniowo zmniejszać, co zdaje się wskazywać niedostatek ich na miejscu. Życzyłby przeto należało, ażeby wszędzie połów pijawek umierytelniono i o to szczególnie dbano, ażeby pewna liczba zostawała w stawach na rozmnożenie, i zapobieżenie tym sposobem zupełnemu niedostatkowi tak użytecznego w sztuce lekarskiej zwierzęcia.

Sposób prowadzenia handlu pijawkami, w ogólności mało jest znany; nie istnieje żadne stałe w tej mierze urządzenie, i ztądto wynika równie niezmierna wysokość ceny jak

(1) Różnice te wystawują wizerunki przy różnych dziełach nowszych, a najdokładniej w *Brandt und Ratzburg's Medicinische Zoologie* 1833, 4to, Tom II, tab. XXX.

i oszukaństwo, przez które mniejsze na średnie, średnie na wielkie pijawki zamieniane bywają.

Łowienie i przewożenie pijawek. Zazwyczaj ludzie ubodzy zajmują się łowieniem pijawek. Tacy machinalnie wykonywają rzemiosło swoje, ponieważ biorą wszystko co znajdują, nie troszcząc się o przyszłość.

Złowione pijawki kładą się do worków, które podług wielkości pijawek, większą lub mniejszą ilość ich obejmują, zwykle 3 1/2 kilograma ważą, i po 100 lub 120 pakują się w kosze. Tak przewożą się pocztą aż do granicy.

Podróż ta trwa 10 do 12 dni, przez które nie wilgocią się pijawki. W przypadkach, w których podróż o kilka dni jeszcze przedłuża się, potrzeba je myć, do czego na różnych stacyach stosownie znajdują się domy.

Największy przywóz odbywa się pomiędzy majem a wrześniem.

Dawniej wszystkie pijawki przychodziły prosto do Paryża, gdzie znajdowało się wiele sadzawek (rezerwoarów) do ich przyjęcia. Teraz i w innych miastach, a nadewszystko w Sztrasburgu pozakładano takie sadzawki, w których pijawki wypoczywają. Połów pijawek w tych sadzawkach skuteczniejszą ludziedopatrzeni skórzaném obuwiem aż do bioder dochodzącém, z przodu mający fartuch z ceraty, a podczas deszczu okrywający ciało materją nieprzemakającą w wodzie. Kładą oni w sadzawkę kawały drzewa okręcone flanelową szmatą, biorą pijawki które się przyczepiły do zamoczonej flaneli, kładą je do przetaka a potem do cebra. Dalej następuje gatunkowanie, mycie i rachowanie pijawek, które znowu zebrane w worki, do Paryża pocztą się zasyłają. Czasem bywa dzień w którym 60 do 80 tysięcy pijawek z Sztrasburga do Paryża idzie.

Rozgłoszono wieść, że pijawki w czasie podróży karmione być muszą, to jest, że im ssać krew dawać potrzeba. Jestto fałsz, który niżej okażemy, a który służyć miał tylko na usprawiedliwienie oszukaństwa.

Ciężar pijawek jest bardzo ważnym handlu niemi przedmiotem, i powinny go władze, dla dobra ogólnego raz na zawsze oznaczyć. Dotąd mamy:

1^o tak nazwane wielkie pijawki, których tysiąc powinny 2 kilogramy 875, do 3 kil. 125 gramów ważyć. Te różnice w wadze, nie mają żadnego wpływu na cenę, co zład pochodzi, że sprzedający zniewoleni są wybierać na miejscu gatunek pijawek. Podwyższenie się ceny spowodowuje 1^o niedostatek: 2^o zakupujący ryczałtowo, którzy według upodobania ceny podwyższają lub zniżają; 3^o okoliczność, że na miejscu mało znajduje się pijawek, że się źle zachowały, lub że dostały się w ręce takich ludzi, którzy nie są w potrzebie sprzedania ich, a nie obawiają się nowego dowozu.

2^o tak nazwane średnie pijawki, ważą 1 kil. 125 gr. do 1 kil. 250 gr. tysiąc.

3^o mniejsze średnie; tysiąc takich waży 625 do 650 gramów.

4^o Małe, które, podług naszego zdania, nie powinny być łowionemi, sprzedają się podług wagi.

Jest jeszcze i piąty, bardzo wielki gatunek, którego tysiąc niekiedy 10 kil. waży. i sprzedaje się pod szczególném *krowich pijawek* nazwiskiem.

Przy kupnie pijawek dokładnie przekonać się należy, czy tysiąc, jeden i tenże sam gatunek obejmuje. Nieraz bywa, że w tysiącu znajdują się pijawki krowie, a razem zupełnie drobne.

Rozpychanie pijawek: na tém się zasadza, ażeby im dać pewną ilość krwi do połknięcia, i przez to przybor wielkości i wagi sprawić. Od kogo początek bierze to równie w Paryżu jak i na prowincyi znane oszukaństwo, nie wiadomo; to tylko pewna że już od 20 lat ono istnieje. Używa się do tego świeża krew wołowa lub owcza, w którą się rzucają pijawki, nakrywając to naczynie. Skoro która pijawka dostatecznie się krwią ossała, omywa się ją i na sprzedaż przeznaczają.

Potrzeba pilnie uważać, ażeby takie otkane czyli wypełnione pijawki rozeznąć; nie zawszeto one bowiem wydają się jakby odurzone i drzymiące, owszem zachowują nieraz swoje dawniejszą żywość i z pewną lekkością poruszają się

w wodzie. Jeśli nie zostaną rozdrażnione, nie z siebie krwi nie wydają, jeszcze nawet nieco jęj ssać mogą, przez co lekarz i chory łatwo utudzić się może, i wziąć je za czyste pijawki.

Najpewniejszy dowód, że niektórzy handlujący pijawkami rzeczywiście dopuszczają się tego szalbierstwa, następujący czyn podaje. Kupiłem u jednego podejrzanego handlarza pewną ilość wielkich, małych i średnich pijawek, i oznaczyłem wagę każdego gatunku. Ujmowałem potem przedni ich koniec palcami jednej ręki, w płótno obwiniętymi, i przeciągałem je przez palce drugiej ręki aż do tylnego końca, tak iż cała krew w nich zawarta wycisniętą została. Okazało się ztąd, że tysiąc wielkich pijawek, który przedtem 2 kil. 440 gramów ważył, obejmował 1 kil. 140 gramów krwi, z której uwolnione nie więcej nad 1 kil. 300 gramów ważyły. Widać zatem że pijawki 1,300 gramów ważące a 70 do 80 franków wartujące, przez ten rodzaj oszustwa zamieniają się w pijawki 2,240 gr. ważące, a których cena do 100, 180, a nawet 200 fr. podnieść się może. Tysiąc średnio-wielkich pijawek, przedtem 1 kil. 250 gr. ważący, ze krwi ogołocone, tylko 1,000 gr. ważyły: zawierały przeto 250 gramów krwi, i zamiast co je cenionoby 70, 80 do 150 franków, tylko 50 do 90 franków rzeczywiście wartości miały.

Tysiąc średnio-małych, 700 gr. ważący, zawierał 200 gr. krwi, miały więc rzeczywiście tylko 500 gr. wagi, a więc wagę zupełnie małych. Dla dowiedzenia się ile też może ciężuru przyczynić ta metoda, przez pewnego handlarza pijawek nam podana, zrobiliśmy następujące doświadczenie: Dziesięć nienaruszonych pijawek średniej wielkości a 11 gr. 80 centygr. ważące, włożyliśmy w szklanekę krwi bydłczej, po niejakiem czasie wydobyte, oczyściliśmy i osuszyliśmy; ważyły wtedy 25 gr. 30 centygr. odjęta im krew wynosiła więc 13 gr. 50 centygr. z czego wynika że z tysiącem średniowielkich pijawek 1 kil. 180 gr. ważącym, postąpiwszy w ten sposób, można jego wagę do 2 kil. 530 gr. podnieść, i pijawki za wielkie sprzedać.

Użyte do doświadczenia pijawki, były rzeźwe i kucrzyły się położone na rękę, co niektórzy, lubo *niestusznie*, za oznakę dobroci pijawki uznają.

Inne, z małemi pijawkami przedsięwzięte próby, tenże sam wypadek dały. Wyżej wspomniana wieść, iż znajdująca się krew w pijawkach ztąd pochodzi, że nią w czasie podróży pijawki napasać trzeba, jest zmyślona, o czém przekonywa z jednéj strony przykład sprowadzonych z Tryestu pijawek, które żadnego śladu krwi nie zawierały, z drugieję list do autora od dwóch handlarzy pijawek, Montant i Perine, w którym podane są imiona osób o to oszustwo obwinionych.

Korzyść, jaką przedający z tego oszustwa odnoszą, łatwo się widzieć daje: chory tylko ztąd cierpi, a z tego względu nastęrcza się kilka pytań, na które autor, z sądowego i lekarskiego stanowiska, tak odpowiada:

1) Czy wypełnione pijawki mogą być podług istniejących praw przedawane? — Magendie, który zapytany był o to przez kupca, z okoliczności dostarczenia takich pijawek, oświadczył się ze zdaniem, że pijawki takie żadną miarą przedawane być nie mogą, gdyż z jednéj strony, zawierając, jak to badanie mikroskopne okazuje, krew zwierzęcia ssącego, nie chcą się choremu czepiać, z drugieję zaś mniej ciągną krwi niżeli pijawki czyste, i mniejszy krwi odpływ zostawiają.

2) Czy wypełnione pijawki równają się czystem? — Że się im nie równają, okazuje to przytoczone dopióro zdanie Magendiego. Doświadczenia przeze mnie czynione okazały, że 30 tak wypełnionych pijawek, ledwie tyle krwi wyssały, co 10 czystych. Z wypadkami temi zgadzają się i przez Sansona czynione próby, z których pod względem ilości krwi przez czyste pijawki odciągnionęj, następujące wykazują się stosunki: Naznaczywszy wagę pijawki równą 1, wielka odciąga $5\frac{1}{3}$, średniowielka 7, średniomała $4\frac{2}{3}$, mała $3\frac{1}{3}$. Również odpływ krwi po przystawieniu pijawki czystęj jest daleko znaczniejszy, a zrządzona przez nią rana głębsza i bolesniejsza.

3) Czy mogą wypełnione pijawki stać się szkodliwymi?— Sanson daje, sądowo do tego powołany, takie w tej mierze zdanie, że mogą być szkodliwymi, a najprzód dlatego, że krew, którą się ossały, pochodzić może ze zwierząt chorych, jakoto na karbunkul, na *pustula maligna* i t. d. cierpiących.

Pijawki, którym krew w ten sposób zepsuta, nie zdaje się szkodzić, mogą przez kolejne ruchy ssania, część w sobie zawartej krwi do rany choremu zadanej, przenieść. Dlatego to widzujemy tak często, że po przyłożeniu pijawek jednemu i temuż samemu pacjentowi, niektóre rany po nich przechodzą w zapalenie, nabrzmienie, opuchnienie, niekiedy nawet i w zaognienie, gdy tymczasem inne żadnego takiego symptomatu nie okazują.

Powtórnie, lekarz który ilość krwi odciągniętej tylko według czystych pijawek ocenia, tym łatwiej może się omylić, że tak wypełnione pijawki są w ogólności większe i cięższe niż czyste.

Nakoniec potrzebie, siła wysysająca pijawki, nawet w zupełnie jednakowych okolicznościach, tym jest większa, im ona dłuższy czas żadnego pożywienia, mianowicie zaś krwi zwierzęcej nie przyjmowała.

Na odróżnienie pijawek wypełnionych od czystych, służą następujące cechy:

Pijawka czysta ma podługowate, płasko zgniecione ciało; skóra na niej ma niby axamitne wejście; w wodzie mocno się wyciąga i żwawo porusza; przez swoją sprężystość daje się jak taśma wkoło palca obwinąć; naciśnienie w kierunku od głowy ku ogonowi, nawet mocne, albo z niej żadnej krwi nie wyprowadza, albo też bardzo mało zielono-czarną i lipką, nigdy zaś czerwonej.

Pijawka wypełniona okazuje się mniej wyciągniętą; przybięra najczęściej kształt oliwki; w wodzie jest jakby uspioła i odurzona; axamitne wejście skóry, w części zginęło na niej; za naciśnięciem palcami w kierunku od głowy do ogona zbiera się krew przy jej tylnym końcu, a za wzmo-

cnieniem tegoż naciśnienia, wychodzi w czerwonym kolorze.

Inny, przez farmaceutę Jourdan podany sposób zależy na tém, ażeby wątpliwą pijawkę na białe płótno położyć i przednią jej część posypać drobno utłuczoną solą; pijawka zaczyna od tego kręcić się i rozciągać, jakby uciec chciała; wtedy na nowo sypie się jej odrobina soli na pyszczek i tył, poczem natychmiast nieco krwi wypuszcza. Doświadczenie to wszakże udaje się tylko w pierwszych sześciu miesiącach po nastąpieniu krwi wessaniu; później zaś nic nie okaże. Zachorowania pijawki w tém jej doświadczeniu bynajmniej lękać się nie należy, jeżeli tylko zachowaną była ta przeczność, ażeby ją natychmiast czystą wodą obmyć. (*Fror. n. N. 1846, nr. 795*).

W inném piśmie Francuzkiém czytamy: Już nie dopiero odkryły się szczęśliwie podstępny, których sobie pozwalano co do handlu pijawkami, w dzisiejszych czasach tak ważnego. Poczciwy kupiec Paryzki blisko przed rokiem zwrócił na ten przedmiot uwagę ministra handlu, na którego zażądanie król. Akademia lekarska w Paryżu wyznaczyła kommissyą do rozpoznania dokładnego nadużyć i do podania skutecznych na zarządzenie im środków. Kommissyja ta nie ukończyła jeszcze swych robót, gdy wśród tego ów kupiec, p. Józef Martin, ogłosił pisemko pod tytułem: *Histoire pratique des sangsues*, obejmujące szacowne skazówki dla uwagi tych wszystkich, którzy się użyciem pijawek zajmują. Nie tu jest miejsce rozbiórania tych podstępów, które na tém głównie zależą, iż zamiast pijawki lekarskiej (*Hirudo officinalis*), daje się w handel tak nazywana końska, objętości powiększonej przez pełne jej okarmienie krwią bydłą; chcemy tylko na to zwrócić uwagę, że oszustwa te w wielu krajach użycie pijawek bardzo zdyskredytowały, i że prawodawstwo i policya przedsięwziąć powinny rychłe i sprężyste środki zaradcze tak w téj mierze, jako téż i w przedmiocie monopolu któremu handel pijawkami niejako podlega. Oprócz tego, p. Martin rozwiązuje w swoim piśmie-

ku wiele pytań, które i naturalistów obchodzą; podaje oraz szacowne rady w przedmiocie łowu, przewożenia i zachowywania pijawek. Wyświeca on, że metodyczne przeszukanie po bagnach w posiadłości Algierskiej, przyniosłoby dla państwa kilka milionów franków rocznego dochodu. Szkoda że nie rozszerzył się nad środkami któremiby bagna Francji, wyzute całkiem z pijawek, znowu niemi zamnożone być mogły. Z zasmuceniem czytamy w pisemku Martina szczególnie ściągający się do tej okoliczności, a który, na powadze jego ugruntowani, tu powtarzamy.— Naukowe towarzystwo w jednej z prowincyj Francuzkich, wyznaczyło przed kilku laty nadgrode, za podanie najlepszego sposobu na hodowanie pijawek. Nadgroda przyznana została człowiekowi który przedtém zamówił sobie u p. Martin wielkie pijawki, zowiąc je *ojcami* i *matkami*. Wkrótce potem pokazywał on sędziom nadgrody oprędy pijawek których w sąsiedniem bagnie nazbięrał i do swojego doświadczonego stawu przeniósł, udając że to potomstwo powstało z parzenia się pijawek dostarczonych przez p. Martin. Niedługo zapisał sobie z Paryża dosyłkę nitkowatych pijawek, najcieńszych jakich tylko dostać może p. Martin. Ten posłał je, i zaraz sędziowie nadgrody zaproszeni zostali dla przekonania się naocznie o wyjściu młodych z oprędów w doświadczalnym stawie. P. Martin miał potem nadesłać nieco większych, następnie średniej wielkości, nakoniec dosyć wielkich pijawek, i każdy przekonany był, że w doświadczalnym stawie wyhodowane zostały w ciągu roku zupełnie dobre pijawki. Oszustowi rzeczywiście przyznany był medal. Podobne podstępny zdarzały się już pewno nie jednemu naukowemu towarzystwu. (*F. n. N.* 1846, nr. 802).

— Ponieważ coraz bardziej postępujące w Europejskich krajach porządkowanie gruntów zagładza bagna, a potrzeba pijawek, bez których medycyna dzisiejsza obejść się nie może, coraz się rozszerza; człowiek przeto troszczyć się musi o wynalezienie prawideł na hodowanie tych zwierząt pod okiem swoim. Pragnęlibyśmy chować podobnie pijawki, jak chowamy np. ryby w stawach lub sadzawkach. Jakkol-

wiek wiemy, że pijawka jest zwierzęciem jajorodnym, widzimy ją wylęgającą się z jaja (z oprzędu), znamy ją w różnych epokach jej wzrostu, wyznać wszakże musimy że nam wiele jeszcze uważać i doświadczać potrzeba, niżeli zbadać jak ją karmić, w jakim utrzymywać gruncie i t. p. słowem, już nie mówię jak skłonić ją do rozmnażania się w wodzie obranej, lecz przynajmniej jak złowioną przez długi czas w należytem zdrowiu utrzymać.

Ze wszystkich sposobów hodowania pijawek na małą skalę, najzgodniejszy z naturą ich a zatem najlepszy zdaje się być ten, który Liebermann aptekarz z Grünplan w dzienniku *Archiv der Pharmacie* ogłosił. Dla zachowania 200 do 300 pijawek, bierze on walcowaty garnek kamienny lub drewniane naczynie około 15 cali wysokie, a 11—12 średnicy mające; w wysokości 3 — 4 cali ode dna, ma ono otwór do zatykania korkiem. W takie naczynie kładzie się miękka glina garncarska aż po otwór, któregooby jednak nie zamulała. Na glinę ściele się 4—6 cali wysoko przemacerowany torf lekki, który się nieco naciska i przerabia; a nastatek wilgoci zalaniem czystą miękką wodą, lecz która się zaraz po nalaniu spuszcza otworem dolnym, po odetkaniu korka. Naczynie, za powkładaniem do niego wszystkich pijawek, zawiązuje się u góry płótnem. Pierwszych dni kilkakrotnie nalanie i spuszczenie wody powtórzyć trzeba; dalej dosyć to co 3 lub 4 tygodnie powtarzać.

Pijawka, jak wszystkie rosnące zwierzęta, podległa jest odnowie zewnętrznego okrycia, którego zmiana objawia się wywiązywaniem szlamu. W tém, linieniu odpowiedniem, a więc chorobliwym stanie, szuka ona sposobu ułatwiającego odłączenie się szlamu od ciała, a to odłączenie jest koniecznym utrzymaniu jej życia warunkiem. Dlatego wiele pijawek chowanych zdycha podczas tego wyłączenia się z nich szlamu, lecz śmiertelność ich można znacznie zmniejszyć, oddzielaniem go z chorujących.

Sposób hodowania pijawek, przez aptekarza Liebermann podany, najdzielniej zapobiega ich śmiertelności, bo zostawia im samym możność oswobodzenia się ze szlamu: to jest wol-

ność nurtowania przez torf i glinę. Jakoż w kilka dni po włożeniu ich do naczynia, widziéć można jak sobie porobiły w glinie nory, w których wydają szlam i w których najchętniej przebywają. Ilekroć wypadnie z naczynia je wydobyć, nieledwie potrzeba rozdzielać glinę, co wszakże nic pijawkom nie szkodzi, bo one niedługo potem nowe sobie przerabiają nory.

W ten sposób bezpiecznie hodować można pijawki na upodobaną skalę: stosując zawsze objętość naczyń do ich ilości.

A. Waga.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Przed rokiem De la Rive ogłosił projekt użycia światła galwanicznego w kopalniach, zabezpieczający górników od nieszczęśliwych skutków z wybuchu gazów palnych, wywieszających się w kopalniach węgla ziemnego. Prace jednak Grovego w tymże przedmiocie, o lat kilka wyprzedzają ogłoszenie de la Rive. Wkrótce po wynalezieniu swęj baterji elektrycznej (cynk, platyna, kwas saletrowy, kwas siarkowy), zachowującej przez długi czas swą siłę, Grove uderzony jednostajną mocą łuku świetnego otrzymywanego między końcami węgla, usiłował to zjawisko do praktyki zastosować. I jakkolwiek zdołał niekiedy otrzymać to światło galwaniczne przez 4—5 godzin, nigdy wszakże z pewnością o udaniu się doświadczenia twierdzić nie był w stanie; gdyż jużto w skutek nieczystości użytego węgla, jużto z przyczyny stopniowego okopcania ścian wewnętrznych bani szklanéj, światło prędko gasło. Nie mogąc tą drogą dojść do pomyslnych wypadków (które de la Rive zdołał osiągnąć), Grove umyślił do oświetlenia kopalni użyć światła, jakie wydaje cienki drót platynowy, gdy po nim przepływa

strumień elektryczny przerywany. Sposób ten polega na rozpalaniu cienkiego dróta platynowego, do temperatury o ile można najbliższej punktu topienia, w naczyniu szklaném zawierającém powietrze, lub inny gaz.

W jego aparacie cienki dróciak platynowy zwinięty ślimakowato, przymocowany jest do dwóch drótów miedzianych których końce, od platyny oddalone, są starannie wernixem pokryte.

Miedziane dróty utkwione są pionowo w naczyniu z wodą destylowaną, i przykryte walcem szklanym zamkniętym u góry, końce zaś ich wystające z dna naczynia, złączone są z biegunami baterji elektrycznej Grovego o 2 lub 3 elementach. Po rozpaleniu dróta powstaje tak mocne światło, iż wygodnie przy niém czytać można; trwałość jego zależy od rodzaju i dobroci elektrolitów. Skręty ślimakowate winny być o ile można jak najbliżej siebie, aby swém ciepłem pomagały sobie wzajemnie do rozpalenia i przeszkadzały szybkiemu ostudzeniu. Drót w ogóle należy brać cienki, iżby większy opór stawiał przepływowi strumienia elektrycznego; zresztą jego cienkość i długość względną jest do użytej baterji. Dwa, a czasem jeden element baterji Grovego, wystarcza na otrzymanie światła; dlatego cały aparat jest dość ekonomiczny i dogodny w przenoszeniu. Co się dotyczy gazów w których drót platynowy jest zawartym, doświadczenia przekonały że w kwasorodzie, saletrorodzie i powietrzu to światło jest najmocniejszém; wodoród nie może być do tego celu użytym, a nawet takie światło istniejące w powietrzu, gdy będzie przykryte naczyniem z wodorem, natychmiast gasnie. (*L'Institut* 21 Janvier 1846).

* P. Hunt wykrył wpływ siły magnetycznej na układ cząstek w kryształach. Oto są szczegóły główniejszych doświadczeń: Dwie rurki szklane napełnione zkoncentrowanym roztworem saletranu srebra, ustawione zostały jedna obok biegunów silnego magnesu, druga w pewnej od nich odległości. Krystalizacja soli rozpoczęła się najprzód w naczyniu stykającém się z biegunami magnesu; w niém powstał zrazu szeroki kryształ kształtu rurki, do którego na-

stępnie przyczepiły się inne mniejsze, pod kątami zwróconemi ku biegunom magnesu. W drugiej rurce, niedotykającej się magnesu, żaden z powstałych kryształów nie był tak wielki, jak w poprzedniem naczyniu; nadto nie można było w nich dostrzedz najmniejszego śladu jakiegś regularności w układzie.

Zanurzając magnes mający na biegunach przyczepione dwie igiełki stalowe, w roztwór saletranu srebra, Hunt spostrzegł że skoro tylko na powierzchni cieczy tworzy się siatka krystaliczna, natychmiast kryształki układają się w linie krzywe, zupełnie podobne do tych, jakie otrzymujemy na papierze posypanym opiłkami żelaznymi i rozciągniętym nad silnym magnesem. Jeżeli tak przyrządzony magnes pozostawiony został w roztworze przez 12 godzin, wtedy i w całej masie płynu można było spostrzedz podobny układ kryształów w linie krzywe; a na drócie przytwierdzonym do południowego bieguna, ukazały się ślady czystego srebra. Powyżej opisany magnes, zagłębiony w roztworze siarczanu żelaza, podobnież okazał zjawisko: krystały uformowane przy biegunach, okazywały skłonność do układu w kierunkach linii magnetycznych. Ciepły roztwór saletranu merkuryszu, w szklaném naczyniu postawioném na biegunach elektromagnesu (zdolnego utrzymać 50 fun.), natychmiast po puszczeniu strumienia elektrycznego krystalizował się na powierzchni, formując szereg regularnych wyraźnych linii magnetycznych, rozciągających się między biegunami elektromagnesu. Bardzo słaby roztwór saletranu srebra, rozlany na miedzianę taflę, ustawionę także na biegunach elektromagnesu, natychmiast po zamknięciu baterji rozłożył się, a tafla zczerniała. Po upływie minuty, srebro zredukowane ułożyło się w linie magnetyczne, które po jakimś czasie znikły.

Pozostawiając przez całą noc taflę miedzianą ze słabym roztworem saletranu srebra na biegunach elektromagnesu, po zmyciu osadu srebra, Hunt spostrzegł iż kwas od soli odłączony, głęboko powygryzał taflę miedzianą naokoło biegunów elektromagnesu, nie tykając miejsca środkującego

między temiż biegunami. Tafla w miejscach wygryzionych pokrytą była nieskończoną liczbą małych dziurek, za temi zaś miejscami niedokwaszenie się powierzchni tafla postępowo w liniach krzywych, wskazujących najoczywściej wpływ magnetyzmu na działanie chemiczne. (*L'Institut* 28 *Janvier* 1846).

* Babinet podaje następujący sposób na otrzymanie silnych magnesów przez wpływ innych magnesów, t. j. przez zbliżanie lub stykanie sztaby żelaznej z silnemi magnesami. W tym celu sztabę z bardzo miękkiego żelaza, długą na 4—5 decym. grubą na 5—6 milim. a szeroką na 15—20 milim. układa się na stole tak, iżby o 2—3 decymetry za jego brzeg wystawała; następnie do niej na przedłużeniu przystawia się inna sztaba już namagnesowana, długa na 15—20 centymetrów i mająca także same jak powyższa, poprzeczne wymiary.

Wtedy przez wpływ, wystający koniec sztaby z miękkiego żelaza, zmienia się w biegun magnetyczny, jednoimienny z przyłożonym biegunem magnesu. Nadto z każdej strony sztaby przeznaczonej do namagnesowania, przykładą się prostopadle do jej osi, po 12 równosilnych magnesów jednoimiennymi biegunami. W skutek połączonego działania tych dwudziestu pięciu biegunów, wolny koniec sztaby za stół wystający, nabywa bardzo znacznej siły magnetycznej.

Zjawiska otrzymane za pomocą takiego magnesu, były następujące: Biegun wolny sztaby zdolnym był utrzymać bardzo znaczne ciężary. Kawał miękkiego żelaza, przesuwany wzdłuż bieguna wystającego, rysuje się od niego. Stalowe sztaby przesunięte obok niego, silnie się namagnesowują.

Jeżeli w powyżej opisanym układzie, magnesy nie będą się stykały ze sztabą, ale od niej na 2—3 centy. odległe, to i wówczas wywarły przez nich wpływ na sztabę, będzie jeszcze bardzo energiczny; i w miarę zwiększanej lub zmniejszanej odległości, otrzymujemy biegun magnetyczny o zmiennej sile. (*L'Institut*—4 *Février* 1846).

* P. Bontigny ogłosił bardzo ważną pracę w przedmiocie kształtu i własności, jakich nabywają płyny nalane na rozpalone metale. Wiadomo że kropla wody rzucona na blachę rozpaloną do czerwoności, przybiera formę kuli i gwałtownie się przewraca, parując jednak bardzo wolno. Bontigny okazał: że woda w tym przypadku nie dotyka się bezpośrednio blachy rozpalonej, lecz że między niemi śródkuje cienka warstwa pary; że bulka wodna najgwałtowniej się przewraca po blasze rozpalonej do białości, przy temp. zaś odpowiadającej czerwono-brunatnemu kolorowi, ruch wody ustaje i wtedy dopiero zaczyna się parowanie. Jeżeli woda na blasze zachowuje swój kształt sferoidalny, jej temp. nie przechodzi 32° R. i wcale się nie podnosi póki blacha zachowuje swój jasny czerwony kolor; chcąc wodę w tym stanie zostającą zagotować, należy blachę ostudzić.

Podobne zjawisko okazują amoniak i eter. Jod rzucony na blachę do czerwoności rozpaloną, topi się, tacza jak i inne płyny, nie wydaje jednak pary, i dopiero po ostudzeniu blachy do ciemno-czerwonego koloru, ulatnia się w fioletowych parach. Bontigny usiłuje powyższe zjawiska wyjaśnić przypuszczeniem, iż forma kulista którą przybierają płyny, jak najdokładniej odbija rozchodzące się z blachy promienie ciepła, a na dowód swój hipotezy przywodzi to, iż miejsca po których przesuwają się bulki wody, mają daleko wyższy kolor czerwony.

Za drugi dowód oczywisty odbijania się promieni ciepła, Bontigny podaje ten fakt, iż sztabka srebrna rozpalona do czerwoności i zanurzona w wodzie, dopóki tylko zachowuje swą wysoką temperaturę, nie sprawia wywiezowania się pary wodnej; wrzenie wody następuje dopiero po ostudzeniu sztabki; wówczas daje się widzieć para otaczająca metal, a sam płyn przyjmuje powierzchnię zwierciadlaną. To zjawisko wyjaśnia nam dlaczego stal bardzo mocno rozpalona zanurzona w wodzie, staje się mniej twardą aniżeli wtedy, gdy jej hartowanie przy niższej odbyło się temperaturze.

Poszukiwania p. Bontigny, ważniejsze znajdują zastosowanie w kotłach machin parowych.

Wiadomo, iż w wielu bardzo przypadkach eksplozje kotłów machin parowych, następowały właśnie po ugaszeniu ognia, wtedy gdy dno i ściany kotłów znacznie ostygły; uważano nadto że woda w tym czasie miała kształt kulisty. Na potwierdzenie swego mniemania iż ten kształt sferyczny wody, jest często przyczyną rozrywania kotłów, Bontigny następujące wykonał doświadczenie: kulę miedzianą zawierającą cokolwiek wody rozpalił do czerwoności i szczelnie korkiem zatkał; dopóki trwała ta wysoka temperatura, póty wszystko zostawało w spokojności, skoro jednak kula cokolwiek ostygła, natychmiast korek z gwałtownością został wyrzuconym.

Bontigny, na posiedzeniu towarzystwa Angielskiego w Cambridge, okazał bardzo ciekawe doświadczenie. W głęboki tygielek platynowy rozpalony do białości, nalał trochę wody i kwasu siarczanego (*acide sulfureux*); gwałtowne parowanie kwasu tak silne sprawiło oziębienie, iż woda w tyglu natychmiast się ścięła i z rozpalonego tygla wyrzuciła kawałek lodu. (*Bibl. univ. de Genève Nr. 116, Août 1845 r.*)

Armstrong, tłumaczenie p. Bontigny zjawisk powyższych, za pomocą własności odbijania wszelkich promieni ciepłika, uważa za niedostateczne. Jeżeli bowiem odbijanie promieni ciepłika przeszkadza wznoszeniu się temperatury wody pozostającej w stanie kulistym, dlaczego ta przyczyna wstrzymywać ma wszelkie parowanie? Również z hipotezy p. Bontigny niepodobna wytłómaczyć, dlaczego woda wrząca, nalana w naczynie rozpalone do czerwoności, natychmiast przestaje wrzeć, przyjmuje kształt kulisty i temperaturę swą zniża?

Armstrong proponuje następujące tłumaczenie tych ciekawych zjawisk: Przypuszcza że ciepło promieniujące naczynia, dostatecznym jest na obrócenie w parę spodniej części płynu, nim ten dotknie się rozpalonego dna naczynia. Oczywiście jest rzeczą, iż utworzona para zajmie przestrzeń

środkującą między wodą a dnem, i przeszkodzi ich bezpośredniemu zetknięciu; a jakkolwiek ciężar płynu usuwa tę przegrodę, nigdy to jednak nastąpić nie może, póki dno zachowuje odpowiednio wysoką temperaturę; w miejsce bowiem wypchniętej, powstaje téj chwili nowa warstwa pary. Brak wrzenia w wodzie rzuconej na rozpaloną blachę, Armstrong tém wyjaśnia, iż para tworząc się na spodzie bulki, dla wyjścia na zewnątrz nie potrzebuje przebijać się przez masę płynu, a tém samém sprawiać w nim zagotowania. Kształt sferyczny płynów ma być skutkiem tego, iż cząstki cieczy rzuconych na rozpalone metale, nie mogąc przylegać do ścian naczynia, przyjmują pomimo-wolnie formę jaką im nakazuje wzajemne ich przyciąganie.

Nakoniec szczególne zjawisko, iż np. woda wrząca rzucona na gorące żelazo, zniża swą temperaturę, łatwo można według Armstronga, wyjaśnić, bacząc na to iż cząstki cieczy parujące, zabierają potrzebną do tego temperaturę nie od dna naczynia, z którym nie zostają w bezpośrednim zetknięciu, ale od masy płynu; w zwykłych zaś okolicznościach, gdy woda nie zachowuje formy kulistej, zetknięcie bezpośrednie zachodzi między cieczą a dnem naczynia, i woda czerpie potrzebny do parowania ciepłok z ścian i dna gorącego naczynia. (*Bibl. univ. de Genève, Novembre 1845 r. Nr. 119*).

S. P.

CHEMIA.

Oddziaływania alkaliów organicznych. Wiadomo chemikom że wiele ciał organicznych, jakoto kwas winowy, cukier, białko, nie dopuszczają osadzania się wielu niedokwasów, a co większa, ukrywają nawet ich własności przed działaniem znacznej liczby odczynników.

P. Opperman przedsięwziął robić doświadczenia dla przekonania się, czy powyższe istoty organiczne przeszkadzają

również w strącaniu alkaliów roślinnych (alkaloidów); rzecz ta, sama z siebie ważną jest w toxykologii.

Z tych doświadczeń wynika, że pomimo bytności kwasu winowego, dwu-węglan sody strąca cynchoninę, narkotyne, strychninę, weratrynę; chinina zaś, brucyna i morfina nie są osadzone.

Również kwas winowy przeszkadza działaniu wyciągu galasu na wszystkie powyższe alkalia, wyjąwszy cynchoninę i strychninę. Dają z nim jednak męty obfite pięć alkaloidów pozostałych, zwłaszcza gdy kwas zobojętniony będzie przez amoniak; zważać jednak należy, że nadmiar amonii rozpuszcza garbnikan brucyny.

Naostatek ta rzecz zasługuje na uwagę, że z dwóch alkaloidów w jednej roślinie znajdujących się, jeden stale ukrywa się przy obecności kwasu winowego, a drugi łatwo wysłedzić się daje; w takim więc przypadku spostrzeżenie to posłużyć może do oddzielenia ich od siebie. (*Comptes rendus de l'Acad. t. XXI, 810*).

* *Skład powietrza w niektórych kopalniach.* P. Leblanc uskutečnił kilka rozbiórów powietrza, uważając je co do objętości, wziętego z kopalni Poullaouen i Huelgoat. Nabral on tegoż powietrza w flaszki korkami szczelnie przystającami opatrzone, i poprzednio suchym merkuryuszem napełnione. Wypróżniano flaszki wewnątrz kopalni w tych miejscach, których skład powietrza poznać chciano, a po ich zatkaniu przewracano je i otwory zanurzano w merkuryuszu.

Powietrze z kopalni Poullaouen, rozbiérane było w pracowni téjże kopalni; kwas węglowy odłączono z niego w rurce z podziałką ustawionéj na merkuryuszu, przez roztwór potażu; kwasoród zaś został połknięty przez fosfor ogrzany.

Z doświadczeń p. Leblanc okazuje się, że powietrze najmocniej zepsute przez oddychanie i palenie lamp, zawiera 3 do 4 na 100 kwasu węglowego, a pokazuje ubytek 4 do 5 na 100 w ilości kwasorodu. W tych okolicznościach lampą górnikowi gaśnie, a robotnik często w ciemności pozostaje.

staje; wprawdzie wśród takowego zepsucia, nieco trudno jest ludziom oddychać, ale jeszcze pracować mogą, zwłaszcza jeżeli temperatura nie jest podwyższona.

Rozbiór powietrza z jednego miejsca kopalni Huelgoat zasługuje na szczególną uwagę; z niego bowiem widzimy, że stosunek kwasorodu zmniejsza się aż do 10 na sto, i to bez powiększenia odpowiednio utworzonego gazu kwasu węglowego. Podobna atmosfera nie tylko nie utrzymuje palenia, ale nawet i życia. P. Leblanc przypisuje wpływowi pirytów, obficie tamże znajdujących się, tak wielką zmianę w składzie powietrza. Już dawniej zaś okazał Chevreul jak działają siarczki alkaliczne na zmianę atmosfery w miejscach zamkniętych. (*Journal de Pharmacie et de Chimie, Janvier 1846*).

* *Niektóre własności asparaginu.* Piria donosi, że jego dawniejsze doświadczenia, dotyczące się przemiany powyższego ciała w kwas bursztynowy, potwierdziły się. Oprócz tego asparagin gotowany z roztworem wodnym octanu miedzi, wyłącza z tego związku kwas octowy, tworząc wtedy osad krystaliczny jasno błękitny, z którego, gazem siarkowym wodorodnym, wydzielić można na nowo asparagin wcale niezmienny.

Następna jednak okoliczność jeszcze jest ważniejsza, że asparagin i kwas szparagowy (*a. aspartique*), w temperaturze zwyczajnej z kwasem 2 saletrowym (*a. nitreux*), ulegają rozkładowi, wydając saletroród i kwas jabłkowy. Ciała więc te byłyby amidami kwasu jabłkowego. (*Ib. Février, 1846*).

* *Otrzymywanie kwasu masłowego.* Wiadomo że dla otrzymania tego kwasu sposobami podanymi przez pp. Pelouze i Gélis, potrzeba czasu kilkotygodniowego. Dla przyspieszenia roboty, radzi p. Schubert używać w miejsce séra, mięsa zmieszanego z kłajstrem krochmalowym, lub z kartoflami rozgotowanymi w wodzie; tym sposobem ułatwia się rozkład.

Przy powyższych okolicznościach, gazy przestają się wydobywać w przeciągu 5 do 6 dni. (*Tamże*).

* *Łatwy sposób otrzymywania niedokwasu węgla.* P. Filhol radzi nalewać na cukier trzcinowy, owocowy, lub krochmal, kwasu siarkowego ztężonego w stosunku 20 części cukru do 80 kwasu; za miernym ogrzaniem natychmiast wydobywa się gwałtownie niedokwas węgla zmieszany z kwasem węglowym; od tego zaś ostatniego gazu oswobodzić niedokwas można, przepuszczeniem gazów przez mléko wapienne. (*Tamże*).

* *Polykanie kwasorodu przez krew.* Wypadki pięknych doświadczeń p. Magnus, dotyczące się krwi, nie zdawały się prawdziwymi pp. Gay-Lussac i Magendie. Na zarzuty ztąd powstające, odpowiada teraz autor nowemi doświadczeniami, potwierdzającemi jego dawniejsze wnioski. Kwasoród podług tego fizyka Niemieckiego, jest poprostu polykany przez krew, i przez krążenie dostaje się z tąż krwią aż do naczyń włoskowatych. Zdanie to również popiera Marchand, utrzymując równie jak Magnus, że kwasoród wolny znajdować się może w krwi, to jest że istnieje tam tylko w prostym rozpuszczeniu. Ten ostatni chemik innemi doświadczeniami jak p. Magnus, doszedł do jednego z nim wypadku. (*Tamże*).

* *Istota woskowata roślinna.* Ciała farbujące liście na żółto i czerwono, częstokroć mają przy sobie istotę woskową szczególną, z którą Mulder robił niejaki doświadczenia.

Otrzymane to ciało z jagód jarzębinowych, i jak najlepiej oczyszczone od farbnika, w zupełności zbliża się do spostrzeżonego przy wydobywaniu floryzyny. Również Mulder robił doświadczenia z istotą woskową ziół. Wydobył on ją eterem, przemył zimnym wyskokiem, rozpuszczał kilkakrotnie w wyskoku wrzącym aż do jej odfarbowania.

Liście bzu Tureckiego i winnej latorośli, też same wydały wypadki; rzecz jednak szczególna, że ten wosk roślinny jest taki sam jak pszczoli. (*Tamże*).

* *Sposób p. Lassaigne rozkładania powietrza.* P. Lassaigne uważając że strużyny miedziane zniepokwaszają się w powietrzu, gdy przy tém będzie roztwór amonii gryzącej,

postanowił korzystać z tego spostrzeżenia, stosując je do rozbioru powietrza atmosferycznego.

Jedynemi sprzętami do celu powyższego są: rurka zwyczajna z podziałką 14 do 15 centymetrów długa, a 12 milimetrów szeroka, i flaszeczka szczelnie zatkana, 30 do 35 centymetrów sześciennych obejmująca.

Sposób postępowania jest następujący: wsypuje się w flaszeczkę 3 do 4 gram czerwonych strużyn miedzianych, następnie wlewa się na to aż do połowy flaszeczki, wody przepędzonej; wreszcie napełnia się ją roztworem ztężonym amonii gryzącej; poczem zatyka się ją zatycką szklaną, i przewraca w waniencie wodnej z tą ostrożnością, aby strużyny miedziane nie osiadły na otworze. Następnie odmierza się w rurce z podziałką, napełnionej wodą, jedną objętość powietrza, i za pośrednictwem małego lejka szklanego, wpuszcza się toż powietrze w flaszeczkę otwartą pod wodą; poczem natychmiast znowu się zatyka flaszeczkę, wyjmuje się ją z wanienki pneumatycznej, i mąci się wszystko w niej bez przestanku przez 8 do 10 minut. W przeciągu jednej lub dwóch minut, amoniia przybiera kolor błękitnawy coraz bardziej ciemniejszy, poczem skoro wszystkie kwasoród zostanie połknięty, zwolna tenże kolor jaśnieje, a to oznacza ukończenie roboty. Zafarbowanie to powstaje w skutku działania nadmiaru miedzi na amoniak niedokwasu drugiego, który wtedy zmienia się na amoniak niedokwasu pierwszego bezbarwny.

Następnie pozostałości gazów wpuszcza się w rurkę z podziałką, dla oznaczenia ich objętości.

Tym sposobem wykonany rozbiór, dał 79,22 objętości saletrorodu; wiadomo zaś że pp. Dumas i Boussingault otrzymali 79,17.

Sposób powyższy tak jest łatwy, że zapewne w tego rodzaju doświadczeniach zostanie upowszechniony. (*Tamże*).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Mineralogia.

Polikraz, malakon i itrotytanit. W żyłach granitowych w Hiteroe (Norwegia) znalazł Scheerer obok gadolinitu, ortytu i spatu itrowego, dwa dotąd nieznanne minerały, towarzyszące szczególniej ortytowi i spatowi itrowemu, a często nawet mniej lub więcej z pierwszym przerosłe.

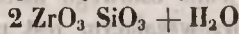
Polikraz, który imię swe winien składowi chemicznemu, znajduje się zawsze krystaliczny, w należących do systemu jedno i jednoosiowego (Mohs) kryształach, dających się do liniałów przyrównać. Największe one mają podobieństwo do polimignitu, stosunki jednak osi tych minerałów w żaden sposób nie dadzą się pomiędzy sobą nawzajem zredukować. Łupliwości w żadnym kierunku nie okazuje; odłam doskonale muszlowy; twardość cokolwiek wyższa aniżeli polimignitu; kolor jest czarny, w proszku zaś pod mikroskopem żółto-brunatno-przejrzysty, na świetle popielato-brunatny; blask cokolwiek żywszy aniżeli polimignitu. Ciężkość gatunkowa w przecięciu 5,105. Przez prędkie ogrzanie do 100 C. rozpryskuje się i traci 1,0 do 1,25% wody, bez zmiany innych własności. Blask przez ogrzanie do czerwoności słabiej i zamienia się na tłusty. Ciężkość gatunkowa pozostaje też sama. Scheerer znalazł w polikrazie kwas tytanowy i tantalowy, cyrkonę, itryę, niedokwas 2gi żelaza, uranu i 1szy ceryum, z małą ilością glinki i śladem wapna, magnezyi, a może i alkali. Różnica pomiędzy nim a polimignitem, w składzie chemicznym zachodząca, głównie w tém polega, że zawiera kwas tantalowy i niedokwas 2gi uranu, a brak mu niedokwasu 1o manganu i wapna, w polimignicie się znajdujących. Ilościowego rozbioru Scheerer nie przedsiębrał.

Malakonowi (od $\mu\alpha\lambda\alpha\kappa\acute{o}\varsigma$ miękki) dał Scheerer to imię, że będąc bardzo do cyrkonu podobnym, różni się od niego niższym stopniem twardości. Znajduje się tylko krystalizowa-

ny, w pojedynczych lub w grupy ułożonych kryształach, do systematu dwu i jedno osiowego należących. We wszystkich kryształach przeważającym jest pryzmat kwadratowy, aż do wyrugowania zupełnego piramidy, ale nigdy pryzmat główny, tylko odwrotny (drugiego kierunku), gdy w cyrkonie rzecz się ma przeciwnie. Łupliwości zupełnie nie posiada, tylko łamie się mniej lub więcej doskonale muszlowo, gdy cyrkon łupie się w dwóch kierunkach. Twardość malakonu jest taka jak feldspatu; świeże kryształy zdają się być twardsze, kwarc jednak je rysować może. Ciężkość gatunkowa = 3,903 do 3,919. Kolor w czystych odłampakach niebieskawo aż prawie mléczno biały z odcieniem sinym; powierzchnia zaś kryształów, cienką powłoką obcych ciał pokryta, jest brunatno, czerwono, żółto albo czarno zafarbowana. Blask na płaszczyznach kryształów szklisty ale słabszy aniżeli cyrkonu, na odłamie zaś żywiczny albo tłusty, jak opalu mlécznego. Przez prędkie ogrzanie okazuje fosforescencją, poczem większa część kryształów żółtknieje. Przez ogrzanie ciężkość gatunkowa podwyższa się w przecięciu do 4,220, a sam minerał traci na wadze 3,027%. Kwas solny nie działa na ten minerał; proszek szlamowany rozpuszcza się dopiero po długim gotowaniu w kwasie siarczanym, w fluorycznym zaś najprędzej i najdoskonalej. Po wypaleniu go jednak, kwasy te nie są w stanie wyrzucić na niego żadnego działania; a zatem malakon po wypaleniu zachowuje się względem nich jak cyrkon. Podług rozbioru chemicznego zawiera w sobie malakon:

| | |
|-------------------------|-------|
| Krzemionki..... | 31,31 |
| Cyrkony..... | 63,40 |
| Niedokwasu 1° żelaza... | 0,31 |
| Itryi..... | 0,33 |
| Wapna..... | 0,39 |
| Magnezyi..... | 0,11 |
| Wody..... | 3,03 |
| | <hr/> |
| | 98,99 |

Biorąc krzemionkę, cyrkonę i wodę za części głównie składowe malakonu, otrzymamy dla niego formułę



a ztąd obrachowany skład jego byłby:

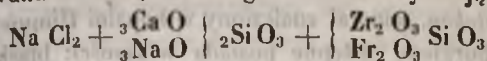
| | |
|--------------------|---------|
| Krzemionki | 32,43 |
| Cyrkony | 64,06 |
| Wody | 3,51 |
| | <hr/> |
| | 100,00. |

Podług tego więc, malakon byłby wodę zawierającym cyrkonem. Scheerer uważa jednak za więcej do prawdy podobne, że w malakonie cyrkona znajduje się w innym stanie izomerycznym, i że przez ogrzanie do czerwoności z towarzyszeniem światła przechodzi do stanu w jakim jest zawartą w mineralu cyrkonie. Sposób ten uważania zdaje się być usprawiedliwionym przez znaczne powiększanie się ciężkości gatunkowej, i odmienne zachowanie się względem kwasu wodorodno fluorycznego, po wypaleniu mineralu, jak również że dotąd nie spostrzeżono rzeczywistych wodników z tak małą jak w malakonie ilością wody.

Itrotytunit. W kamieniołomach na północ od Arendal, gdzie wydobywają feldspat dla fabryki porcelany w Kopenhadze, na granicy gnejsu i feldspatu znalazł Scheerer, kulisty kawałek mineralu dotąd nieznanego. Poddając go bliższemu badaniu, otrzymał cechy następujące: układ wewnętrzny w jednym kierunku blaszkowy, w dwóch drugich tylko słabe jego skazówki; odłam muszlowy czasem nierówny; kolor brunatno czarny; rysa jasno zielonawo brunatna; w grubszych nawet blaszkach przezroczysty z czerwono brunatnym kolorem; blask szklisty na płaszczyznach najwyraźniejszej łupliwości, na odłamie szklisty z żywicznym; twardość pomiędzy kwarcem i feldspatem; ciężkość gatunkowa 3,69; wypalone kawałki mineralu powierzchni wiele nie zmieniają; blaszki po wypaleniu są brudno zielono żółto przezroczyste; drobno potłuczony rozpuszcza się zupełnie w kwasie solnym. Części składowe podług przybliżonego poszukiwania, są następane: krzemionka, kwas ty-

tanowy, wapno, itrya niedokwas 2gi żelaza, mangan, glin-
ka i magnezya. (*Poggensd. Ann. Bd. 62 i 63*).

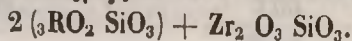
* *Eudyalit*. Podług rozbiórów Stromeyera i Pfaffa pro-
jektowana formuła, skład tego minerału wyrażająca:



rzeczywiście za prawdziwą uważana być nie może, gdyż z po-
wyższemi analizami zgodną nie jest. Ta niezgodność, ró-
wnież jak niepewność, czy żelazo w eudyalicie znajduje się
w stanie niedokwasu 1go lub 2go, co by znacznie rzecz zmie-
niło, były powodem, że Rammelsberg przedsięwziął no-
wy rozbiór tego minerału, w celu otrzymania dokładnych
w tym względzie wypadków. Proste rozpuszczenie eudyali-
tu w kwasie solnym, przekonało za pośrednictwem znanych
oddziaływaczy, że żelazo znajduje się w nim jako niedo-
kwas 1szy; formuła zatem powyższa przez to samo jest już
nie dokładną; nadto podwójny rozbiór przez Rammelsberga
wykonany, daje inne wypadki aniżeli Stromeyer otrzymał;
dla ich więc porównania i wykazania różnic pomiędzy nie-
mi, umieszczamy je tu obok siebie, zamieniwszy w rozbio-
rze Stromeyera niedokwas 2ⁱ żelaza na pierwszy:

| | Rammelsberg. | | Stromeyer. |
|--------------------------------------|--------------|--------|------------|
| Krzemionki..... | 47,59 | 49,92 | 52,48 |
| Cyrkony..... | 15,44 | 16,88 | 10,89 |
| Niedokwasu 1 ^o żelaza.... | 10,49 | 6,97 | 6,16 |
| „ manganu. | 0,25 | 1,15 | 2,31 |
| Wapna..... | 11,09 | 11,11 | 10,14 |
| Sody..... | 11,81 | 12,28 | } — 13,92 |
| Potażu..... | 0,70 | 0,65 | |
| Chloru..... | 1,19 | 1,19 | |
| Wody (strata przez ogrzanie) | 1,23 | 0,37 | 1,80 |
| | 99,79 | 100,52 | 98,70 |

1,19 chloru tworzy 0,78 sodyum, 1,97 soli kuchennej; odcią-
gając więc 1,05 sody, powyższej ilości sodyum odpowia-
dającej, otrzymuje się podług rozbioru Rammelsberga, formu-
ła dla eudyalitu następująca:



Pod literą R są objęte zasady izomorficzne Fe, Mn, Ca, Na i K. Eudyalit więc pomimo tylu ciał w nim zawartych bardzo proste posiada na skład swój wyrażenie. (*B. u. Hütt. Z. 4 T. Nr. 5*).

* *Xantokon*, minerał znaleziony w kopalni Himmelsfürst pod Frejburgiem, następne posiada własności: blask diamentowy; kolor pomarańczowo-żółty, w cienkich blaszkach jaśniejszy, aniżeli w grubych; rysa pomiędzy pomarańczową a żółto-brunatną, a zatem ciemniejsza aniżeli kolor samego minerału; przejrzysty; tylko krystalizowany w cienkich tabliczkowatych kryształach, zdających się należeć do systemu hexagonalnego (*Breithaupt*); łupliwy podług romboedra pierwiastkowego; kruchy, twardość $2\frac{1}{4}$ do $3\frac{1}{4}$. Ciężkość gatunkowa = 5,096. Z kształtu i koloru ma wielkie podobieństwo do greenokitu: przez słabe ogrzanie jak tenże przybiera kolor karminu, chemicznie jednak różni się pomiędzy sobą.

Skład dwóch odmian tego minerału, brunatnej i żółtej, oznaczony przez *Platnera*, jest następujący:

| | Odmiana brunatna | i | żółta |
|----------------|------------------|---|--------|
| Srebra..... | 64,181 | | 63,880 |
| Siarki..... | 21,358 | | 21,798 |
| Żelaza..... | 0,970 | | |
| Arszeniku..... | 13,491 | | 14,322 |
| | 100,00 | | 100,00 |

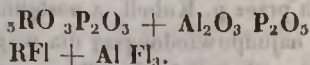
Podług części więc składowych w odmianie 2ej zawartych, pierwsza bowiem zupełnie czystą być się nie zdaje, można przyjąć stosunek pomiędzy atomami srebra, arseniku i siarki = 9:6:20, z kąd wynika wyrażenie na skład minerału tego: $Ag_3S As_2 S_5 + 2 Ag_3S As_2 S_3$. (*Berg u. Hütt. Z. 4 J. Nr. 23, 24*).

* *Rozbiór amblygonitu*. Tego rzadkiego a pod względem chemicznym zajmującego minerału, brakowało nam dotąd dokładnej analizy; wprawdzie *Berzeliusz* podał nam, że zawiera w sobie, litium, glinę, kwas fosforowy i fluor,

a później Platner znalazł w nim sodę, żaden z nich jednak nie oznaczył w jakich ilościach te ciała się w nim znajdują. Rozkład ten najtrudniejszy może ze wszystkich, z powodu potrzeby odłączenia glinki od kwasu fosforowego i oznaczenia fluoru, przedstawiał wiele trudności w jego uskutecznieniu, i musiał pociągnąć za sobą nowy sposób postępowania. Okazało się z analiz przez Rammelsberga wykonanych, że minerału tego nie można uważać za połączenie fluorku alkaliów z fosforanem glinki, gdyż ilość znaleziona fluoru nie jest dostateczną do nasycenia metali alkalicznych; składa się więc z fosforanów glinki, sody i litionu, i fluorów aluminium, litium i sodium. Podług więc tego sposobu uważania i rozbiorów przez Rammelsberga uskuteczonych, ambligonit zawiera w sobie ciała następujące:

| | | kwasicorodu | |
|-----------------------------|--------|-------------|--------|
| Kwasu fosforowego | 48,00 | 26,9 | |
| Glinki | 30,69 | 14,3 | |
| Litionu | 5,21 | 2,89 | } 4,04 |
| Sody | 4,51 | 1,51 | |
| Fluoru | 8,11 | | |
| Aluminium | 2,97 | | |
| Litium | 0,50 | | |
| Sodium | 0,72 | | |
| | 100,71 | | |

a stosownie do tego składu, da się on jeszcze wyrazić następującą formułą:

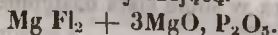


* *Wagneryt* (Leuroklas). Jedyna dotąd istniejąca analiza jego, przez Fuchsa uskuteczona, nie zdawała się być bardzo dokładną, co stało się przyczyną, że Rammelsberg przedsięwziął nowy jego rozbiór. Przeznaczony do analizy minerał, składał się z wielkich nieprzezroczystych czerwonych, i z małych przezroczystych żółtych kryształów, którym towarzyszył kwarc, spat wapienny i magnezyowy. Ciężkość gatunkowa wagnerytu podług Fuchsa = 3,13. Rammelsberg znalazł ją dla kryształów przezroczystych = 3,068, dla nieprzezroczystych zaś = 2,985.

Z trzech analiz najlepiej uskutecznioną, po usunięciu ciał z innych minerałów pochodzić mogących, dała następujące wypadki:

| | |
|----------------------------|--------|
| Kwasu fosforowego..... | 40,61 |
| Magnezyi..... | 46,27 |
| Niedokwasu Igo żelaza..... | 4,59 |
| Wapna..... | 2,38 |
| Fluoru..... | 9,36 |
| | <hr/> |
| | 103,21 |

w ilości tylko fluoru od rezultatów przez Fuchsa podanych różniące się. Przypuszczając, co bardzo jest prawdopodobnym, że nie wszystka ilość fluoru i kwasu fosforowego analizą oznaczoną zostaje, można przyjąć następującą formułę, skład tego minerału wyrażającą:



Analiza więc powinna dać stosowne do tego wyrażenia wypadki następujące:

| | |
|------------------------|--------|
| Kwasu fosforowego..... | 43,32 |
| Magnezyi..... | 50,18 |
| Fluoru..... | 11,35 |
| | <hr/> |
| | 105,05 |

co się bardzo z rozbiorem Rammelsberga zgadza; niedokwas Iszy żelaza bowiem będąc izomorficzny z magnezyą, może ją zastępować w rozmaitych stosunkach, zupełnie nieoznaczonych zasadami liczb proporcjonalnych. Formuła też ta podaną już była przez p. Kobell, a następnie przyjął ją także Fuchs, jako najodpowiedniejszą dla wagnerytu.

Wzmiankowane kryształy, wielkie, czerwone i białawe, bez blasku, pochodzą z rozkładu wagnerytu; podług Rammelsberga zawierają one głównie krzemionkę, gdyż skład ich jest:

| | |
|---------------------------------|---------|
| Krzemionki..... | 93,81 |
| Kwasu fosforowego..... | 1,87 |
| Glinki i niedokwasu żelaza..... | 1,41 |
| Wapna..... | 2,58 |
| Magnezyi..... | 1,49 |
| | <hr/> |
| | 101,61. |

J. Bo.

Zoologia.

Żywa dziebielotka (Echidna). Prof. Owen udzielił niedawno Towarzystwu zoologicznemu Londyńskiemu postrzeżeń czynionych przez siebie nad żywą dziebielatką (*Echidna hystrix*), która w maju 1845, do menażeryi Towarzystwa przybyła. Za przybyciem, była żwawa i zdawała się zdrową. Znajdowała się w wielkiej ale płaskiej skrzynce, której dno wysypane było do połowy głęboką warstwą piasku, a od wierzchu kratą zamkniętą. W poruszeniach dziebielatki więcej okazywało się żywości, niżby jej spodziewać się można od czworonożnego zwierzęcia, które pod względem stosunku wydalenia do tułowu, i pod względem organizacyi wewnętrznej, równie jak i dziobak, największe ma do płazów podobieństwo. Podczas chodzenia, które było gatunkiem kołysania się, ciało naprzemiennie przechylało się z jednej strony na drugą, brzuch całkowicie podejmował się z ziemi, a nogi nie stały wprawdzie tak pionowo jak u zwierząt wyżej uorganizowanych, ale też i nie były tak wyciągnięte na zewnątrz jak u jaszczurek. Szerokie a krótkie łapy przednie, były zwrócone nieco do wewnątrz, ale tylnych pazury wykręcone na zewnątrz i w tył, tak że zwierzę wspierało się na wewnętrznym brzegu podeszwy. Indywiduum miało płęć samczą, a jego podymowa ostroga, mniejsza i kończatsza niżeli u dziobaka, podawała się w tył i do góry, prawie ukryta w otaczających ją grubych i gęstych włosach. Małe oczy iskrzyły się już jaśniej, już posępniej, a za każdym mrugnieniem, które często się powtarzało, zrenica zapadała. Zaraz po włożeniu do klatki, zwierzę na wszystkie strony ją badało. Wiedzione zmysłnością, chciało się najprzód wkopać w piasek, który silnemi nogami w górę wyrzucało; powtórzyło to usiłowanie na wielu miejscach niżej się przekonało, że nigdzie dno przeniknąć się nie da. Badało potem każdą szparkę, wytykając nią, równie jak i przez kratę nad klatką, swój długi i wązki pyszczyk. Czyniąc to, musiało się prawie prosto wznosić, przy czém nieraz się i przewróciło. Więcej niż przez godzinę patrzyłem

na te jego usiłowania w wydostaniu się, i dopiero gdy przekonania nabyło o silném zewsząd obwarowaniu więzienia, zwracało uwagę na zastawiony pokarm.

Pokarmem tym było mléko z bułką i mącznymi robakami, na spodku od filiżanki podane. Mléko liże dziebielatką wciągając szybko i znowu wyciągając długi walcowaty język. Nieraz przy téj czynności język zetknął się z robakami, które aż kręciły się dotknięte; zwierzę ich wszakże nie jadło wcale.

Wilgotny, ciemny koniec nosa był zimny. Temperatura kloaki wynosiła 85° F. to jest około 10° niższa, jak w odchodku królika.

Dziebielatka ujęta za tylną nogę i podniesiona do góry, mało czyniła oporu i nie usiłowała nigdy kłóć ostrogami, tylko zamiast bronić się, zwijała się w kulę jak jęcz, przy czém powstawały na niej szczeciny. W tém także położeniu zwierzę sen przepędzało; nasza jednak dziebielatka wcale nie okazywała się tak ciężką, jak ta którą naturaliści Francuzcy na pokładzie okrętu Favorite uważali.

Błaszki krwi, liczbą, wielkością i kształtem, dowodziły zupełnie typu zwierzęcia ssącego: były one płaskie, koliste i około $\frac{1}{3200}$ cala szerokie; niektóre z największych miały średnicę $\frac{1}{3000}$ cala, najmniejsza $\frac{1}{3300}$ cala.

Kolisty kształt w blaszkach krwi dziebielatki, uważany już był przez dr^o John Davy we krwi tego zwierzęcia, nadesłanego mu w stanie nasolenia z kraju Van Diemena. Postrzeżenia więcéj zaspokajające, ze świeżą krwią tak dziobaka jak i dziebielatki, czynili dr. Hobson i p. C. Bedford. Z nich się okazuje, iż blaszki krwi dziobaka również są koliste, i $\frac{1}{3000}$ cala średnicy mają; a postrzeżenia na obudwu jajożyworodnych rodzajach wykonane, dowodzą że ptakowate (*monotremata*) podobne są innym ssącym zwierzętom co do kształtu, co do stosunkowej liczby i jasnego zafarbowania blaszek krwi, które są tak wielkie jak u łuskowca i czwororekich, ale w stosunku do objętości ciała większe niżeli u wielkich małp i u człowieka. (*Fror. n. N. 1846. nr. 805 z London medical Gazette. Jan. 1846*).

* Thompson, w tylokrotnie przytoczonej *Note-book*, opisuje walkę pomiędzy pustułką a nurnikiem (*Uria troile*), której świadkiem był niedawno przy Dover, gdzie ten gatunek nurnika w nadbrzeżnych ścianach na wschód od miasta licznie się gnieździ. Pustulka, unosząc się po przy ścianie, chciała młode z gniazda porwać, co jednak dla ciężkości ptaka, niełatwo jej było uczynić, tak że stary nurnik miał czas przybyć na obronę potomstwa. Z wściekłością wpadł on na pustułkę, która nie mając chęci porzucenia zdobyczy a więc nie mogąc należycie się bronić, ustąpiła placu, a nurnik póty na niej siedział, póki nie porzuciła młodego ptaszka, który bez szkody na piaszczysty brzeg upadł. Tu zaczęła się mordercza walka. Na ziemi brał nurnik przewagę i tak gwałtownie ostrym dziobem pustułkę uderzał, że pióra naokoło się rozprasały. Ale pustulka wlatywała niekiedy w górę, a potem spadała na nurnika który z wielką zręcznością uchylał się nieprzyjacielowi, i ilekroć ten ziemi doszedł, zaczepnie nań nacierał. Zwycięstwo zdawało się skłaniać na stronę nurnika, gdy pustulka nagle wyleciała w górę, a potem z taką siłą na drugiego ptaka uderzyła że ten, lubo nie skaleczony znacznie, przewrócił się i tarzał po ziemi, gdzie autor bez trudności go zchwycił. Dziś, razem z młodym swoim, znajduje się on w gabinecie jego. (*F. n. N. 1846, nr. 805*).

* Tenże, tamże podaje że dziki gołąb' (*Columba oenas*), niekiedy robi także i na ziemi gniazdo. Często je tak znajdował z młodemi na początku września, bez wątplenia powtórnego lęgu. (*Ib. nr. 806*).

* C. A. Bury, duchowny Angielski, podał do dziennika *Zoologist* następujące postrzeżenie w przedmiocie parzenia się kuropatw: Pewnej niedzieli w lutym, przechodząc z rana przez pole, usłyszałem niedaleko od siebie niezwykle tony; zajrzałem więc przez sąsiedni płot i spostrzegłem w odległości 150 kroków 21 kuropatw, które się uszykowały w okrąg i wydawały nader osobliwe głosy. Zdawało się jakby jedna z samic przemawiała do innych, a te chó-

rem jej odpowiadały. Po kilku wreszcie minutach przebiegła jedna, zapewne samiec, przez okrąg, a druga, zapewne wybrana przez niego samica, podążyła za nim, i oboje udały się co żywo pod sąsiedni plot, a całe towarzystwo głośno wykrzyknęło. Wnet zaczął się znowu świérk dawniejszy, jakby powtórnie przemawiał mówca, i niebawem wybiegła druga para wśród głośnych zgromadzenia okrzyków. W ten sposób 5—6 par, jedna po drugiej opuszczały towarzystwo, poczem cała reszta z głośnym krzykiem razem wypadła i wszystkie się parami w rozmaite kierunki rozbiegły. Co się stało z dwudziestym pierwszym, czyli nieparzystym ptakiem, tego nie wiem; wyraźnie bowiem 21 naliczyłem. Przypatrywałem się temu weselnemu zebraniu całe dwadzieścia minut. (*Ib. nr. 802*).

* *Wielki las pawia, Mohur-Bunge nazwany.* Obszerna dziedzina, którą od posiadłości Towarzystwa wschodnio-Indyjskiego, rzeka Subunreeka w prowincyi Orissa w przednich Indyach oddziela, otrzymała nazwisko od nadzwyczajnie licznych w niej pawiów dzikich, a raja Mohur-Bungski, pan téj dziczy, z taką surowością czuwa nad utrzymaniem tych ptaków, że gdyby wieśniak zchwytany był przy zabijaniu pawia, życiemby tego przyplacił. Gdy 30 półk Bengalski, który z krajowców się składa, z Cuttack do Azinghur maszerował, musiał on znaczną część tego lasu przebywać, a każdego poranku o świcie rozlegał się przenikliwy wrzask tysiąca tych ptaków, i pianie jungleowego koguta. Skoro słońce zeszło, okazywały się na sąsiednich goliznach lasu tęcz przy drodze, krocie pawiów, które bez żadnej obawy na zér wychodziły, a nawet zbliżanie się żołnierzy bynajmniej ich nie płoszyło. Gdy półk zatrzymał się na wypoczynek w bliskości wsi Mohammed Nughur Patna, położonej na północnym brzegu Subunreeki, a już nie należącej do dziedziny rai Mohur-Bunge, ułożyli oflicerowie partya łowów w przyległe jungle, w których roi się rozmaitego gatunku zwierzyna. Okolica jest nadzwyczajnie dziką, bo i ludzie w niej nie mieszkają, i góry aż do wierchołków okryte są junglami, tak gęstemi, że w niektórych miejscach słonie na-

wet drogi sobie torować nie mogą. Nazajutrz z rana, z wielkim pośpiechem zjadłszy śniadanie, officerowie opuścili namioty o godzinie 8, i kazali otoczyć wielki rewir, w którym się mnogość tygrysów, lampartów i bawołów znajduje. Po kilku godzinach, mieli już tak wiele zwierzyny, że było czém obładować cztery słonie, które z sobą wzięli. Pomiedzy 14 sztukami większego zwierza, znajdowały się pstre jelenie (*Cervus axis*), antylopy, babirusy, jedna samica łosia, dwa dziki, dwa zybetowce i młody lampart; przytém 14 par pawiów, 3 pary kur jungleowych, mnóstwo florakiniów i t. d. Z tą zdobyczą wrócili łowcy do obozu, pomęczeni bardzo na nieznośnym upale. Pomimo że Sepoje, zważając na mnóstwo drapieżnych zwierząt w tej okolicy, całą noc nader wiele ogniów porozkładali, tygrysy jednak i lamparty porwały dwa małe konie, dwa psy i jednego wołu. Przez całą noc rozlegał się naokoło z lasu przeraźliwy ryk ludzi i zwierzęta niepokojący, zatem już przed świtaniem pozbiéraliśmy namioty, ażeby pawi las, jeden z najdzikszych i najniebezpieczniejszych środkowej Indyi powiatów, na zawsze pożegnać. (*Fr. n. N.* 1846. nr. 795 z *London and Paris observer*, Nov. 16, 1845 a tam z Indyjskiej gazety).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

WIEDŃ.

(Bez roku).

Chorał Gregoriański, rytualny, historycznie objaśniony i na teraźniejsze noty przełożony, dla użytku chórów kościelnych zakomp. organu lub fortepianu, przez x. Jana Jarmusiewicza, Pleb(ana) Zaczerskiego. 4ka podłużna. Wiedeń. (Bez roku). Druk Ant. Straussa. Kart 2, str. XVIII i 72. (Paginacja zaczyna się liczbą 5 po przedmowie). Złp. 16.

1844.

WILNO.

Do nru 69 kroniki z r. 1844 dodać należy:

Rozmyślenia Ewangelji rozdzielone na wszystkie dni roku idące za zgodnością czterech Ewangelistów. Wraz z wiadomością o życiu księdza Dinkena, przełożone na język polski przez J. Szymanowskiego. Tom III i IV. 12ka. Wilno. 1844. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom III, str. 467. Tom IV, str. 463. W każdym napisów i rejestru kart 4.

326. Zabawy naukowe, czyli sposób uprzyjemnienia nabycia nauk, przez T. Hausmana, Radcę honorowego. Pobudka. 12ka. Wilno. 1844. Druk A. Marcinowskiego. Str. 16. Gr. 20.

327. Zabawy naukowe, przez T. Hausmana, Radcę honorowego. Część VIII. Droga do nieba. 12ka. Wilno. 1844. Druk A. Marcinowskiego. (Nakład autora). Str. 47. (Z litografowaną tablicą). Złp. 6 gr. 20.

328. *Le chemin du ciel, divertissement historique, avec une planche lithographiée par T. Hausman, Conseiller honoraire.* 12. Vilna. 1844. Typ. A. Marcinowski. Str. 48. Złp. 6 gr. 20.

KRAKÓW.

329. *Praelectiones ex Theologia Dogmatica exaratae ab Ignatio Penka, Sacrae Theologiae Doctore, Professore Publ. Ord. Theologiae Dogmaticae et Moralis, in Scientiarum Universitate Jagellonica ac Canonico Cathedrali Cracoviae.* 4 vol. Cracoviae. Typis St. Gieszkowski. 1844. Tom I. str. VIII i 486. II. VIII i 575. III. kart 3 i str. 470. IV. kart 3 i str. 445. Złp. 45.

330. Książka do nabożeństwa dla prawowiernych Katolików. Wydana niegdyś przez świętobliwego kapłana x. Pawła Symplicyana, a teraz, na nowo przedrukowana. 8ka. Kraków. 1844. Druk uniwersytecki. Str. 608. Rejestru kart 7. Złp. 9.

1845.

WARSZAWA.

399. Kmiotek, pismo czasowe do czytania dla wiejskiego i miejskiego ludu przeznaczone, obejmuje: nauki religijno-moralne: przestrogi i objaśnienia usuwające przesady i zabobony: obowiązki i powinności względem panów i zwierchności: wiadomości i wyciągi z rozporządzeń i przepisów rządowych tyczących się wszystkich mieszkańców kraju: naukę zdrowia ludzi i zwierząt i łatwiejsze sposoby jego ratowania: naukę i przepisy dla różnych gałęzi wiejskiego i domowego gospodarstwa: wreszcie powieści, anegdoty i wiadomości nauczyć i ciekawość ludzi zająć mogące i t. d. Redaktor P. E. Leśniewski. Rok IV. 4ka. Warszawa 1845. Nakład i druk S. Orgelbranda. Karta I i str. 208. Złp. 8.

400. Wypisy polskie dla użytku uczniów klasy pierwszej, przez T. Dziekońskiego. 8ka. Warszawa. 1845. Nakład Merzbacha. Druk Kaczanowskiego. Str. 221. Rejestru kart 3. Złp. 2 gr. 20.

KRAKÓW.

Do nru 314 kroniki z r. 1844.

401. X(iedza) Hugona Kollątaja korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim Tom IV. Z rękopismu wydał Ferdynand Kojśiewicz. 8ka. Kraków. 1845. Druk uniwersytecki. Kart 2. i str. 300.

402. Ojczyste spominki w pismach do dziejów dawnej Polski. Diaryusze, Relacye, Pamiętniki i t. p. służyć mogące do objaśnienia dziejów krajowych; tudzież listy historyczne do panowania Królów Jana Kazimierza i Michała Korybuta, oraz listy Jana Sobieskiego marszałka i hetmana Wielkiego Koronnego, z rękopismów zebrane przez Ambrożego Grabowskiego. Tom I. 8ka. Kraków. 1845. Nakład Józefa Cypcera. Druk uniwersytecki. Kart 3 i str. 269. Rejestru karta I. (Z wizerunkiem Zygmunta I. znajdującym się w płaskorzeźbie domu, który w r. 1514, był własnością Jana Bonara). Prenum. na tom 2gi złp. 26 gr. 20.

WILNO.

403. Athenaeum, pismo zbiorowe, poświęcone historii, filozofii, literaturze, sztukom i t. d. Wydawca J(óze)f I(gnacy) Kraszewski. 6 zeszytów. 8ka. Wilno. 1845. Nakład i druk T. Glücksberga. Zeszyt I, kart 2 i str. 219. II. 185. III. 218. IV. 264. V. 169 VI. 123, i prenumeratorów kart 2. (Do zeszytu Igo dodany jest wizerunek x. Hołowińskiego, a do IV, dwie tablice dawnych monet litewskich). Cena 6 zeszytów Złp. 40.

404. Mowa na pogrzebieś. p. Kunegundy z księżąt Giedrojciców Jenerałowej Wawrzeckiej, miana przez x. Alexandra Ważyńskiego, magistra ś. Teologii, Kandydata Praw, Profesora w Seminarjum Dyceczalnym Wileń(skiem) dnia 18 listopada 1845 roku w kościele XX. Bernardynów w Wilnie. 12ka. Wilno 1845. Druk Józefa Zawadzkiego. Str. 43. Gr. 15.

405. Obrazy Litewskie, przez Ignacego Chodźkę. Serya czwarta. 2 tomy. Tom I. Jubileusz. Duch opiekuńczy. Tom II. Autor światem. Panna respektowa. 12ka. Wilno. 1845. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Wydanie Adama Zawadzkiego. Tom I. str. 223. II. 192. (Na okładce rok 1846.) Złp. 12.

Do nru 69 z r. 1844.

406. Rozmyślenia Ewangelji rozdzielone na wszystkie dni roku i t. d. Tom VI. 12ka Wilno. 1845. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart. 4 i str. 437.

407. Tajemnicze Domino, czyli skutki niestałości. Romans satyryczno-obyczajowy, przez Gabriela Ossowskiego. Godło:

Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny,
Prawda, nie jest wspaniała, szczupły, ale własny.

Krasicki.

3 tomy, 8ka, Wilno, 1845. Nakład autora. Druk A. Dworca. Tom I. kart 4. str. IV i 196. II. 169. III. 171. i pren. kart 2. Złp. 13 gr. 10.

408. Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku. Dziennik przejażdżki w roku 1843, od 22 czerwca do 11 września J. I. Kraszewskiego, członka czynnego Towarzystwa Odeskiego historyi i starożytności. Tom I. II. III. Z godłem:

Nulla dies abeat, quin linea ducta supersit:

8ka. Wilno. 1845. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I. kart 4 i str. 296. Tom. II str. 313 i rejestru karta I. Tom III. str. 280 i rejestru kart 2. (Tom IIIci nosi rok 1846) Złp. 33 gr. 10.

POZNAN.

Do nru 303 z r. 1844.

409. Dzieła Tadeusza Czackiego zebrane i wydane przez Hr. Edwarda Raczyńskiego. Tom III. 4ka. Poznań 1845. Druk J. Łukaszewicza. Napisowa karta I. i str. 566. Rejestru karta I.

410. Wykaz rzadkich i ważnych dzieł teologicznych tak w polskim jak w innych językach, które są do nabycia w księgarni i składzie plodu (sic) umiejętności J. Lissnera w Poznaniu na Placu Wilhelmowskim nro. 5. (Z podobnym tytułem w niemieckim języku). 8ka. Poznań. 1845. Druk. W. Deker i spółki. Str. 28. (Nrów dzieł 272).

L E S Z N O.

411. Krótkie medytacje o ostatecznych sprawach człowieka na kaźden dzień miesiąca, dla użytku wiernych. 18ka. Leszno i Gniezno, 1845. Nakład i czcionkami Ernesta Günthera. Str. 64. Gr. 20.
412. Wybór modlitw odpustowych, Leszno i Gniezno. 1845. Nakład i czcionkami Ernesta Günthera. Str. 24. Gr. 6.

O D E S S A.

413. Klucz dla objaśnienia praktyczno-arytmetycznych tablic. Wydanych przez E. M. Gurlandau z Wilna. 8ka. Odessa. 1845. Druk A. Brauna. Str. 34 i prenumeratorów kart 7. (Z 2 drukowanemi tablicami i 11. litografowanemi, oddzielnie podklejonemi.

1846.

W A R S Z A W A.

Do nru 359 kroniki z r. 1845.

71. Historia narodu i Państwa Rzymskiego podług źródeł i nowszych badań, napisana przez Jana Szwaynicę... Tom II. 8ka. Warszawa. 1846. Nakład autora. Druk St. Strąbskiego. Napisów kart 2 str. V i 733.

72. Bechynoth ołam. Rozmyślenia o świecie. Przełożył z języka hebrajskiego Jakób Tugendhold. 12ka. Warszawa. 1846. Druk St. Strąbskiego. Kart 2 str. IV i 135. Textu hebrajskiego str. 44. Prenumeratorów kart 4. Złp. 5.

73. Pierwotne dzieje Polski i Litwy zewnętrzne i wewnętrzne, z uwagą na ościenne kraje a mianowicie na Ruś, Węgry, Czechy i Niemcy, wyłożył, i, z dorobioną do nich chronologiczną mapą wydał Wacław Alexander Maciejowski. 8ka. Warszawa. 1846. (Nakład autora), Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Napisów kart 2 str. IV i 632. Złp. 21.

74. Zasady tańców salonowych teoryczno-praktyczne. Napisane przez Jana i Ignacego braci Staczyńskich. Poświęcone szanownym Matkom i amatorom tańca. 16ka. Warszawa. 1846. Nakład i druk J. Tomaszewskiego. Kart 3 i str. 122. (Z litografowaną tablicą), Złp. 4.

B E R L I N.

75. *Rede gesprochen zu Berlin am 1 Februar 1846 von Dr. Joseph v. Goluchowski bei Gelegenheit eines Festmahls, das Derselbe zur Nachfeier des am 27 Januar eingetroffenen Geburtstagsfestes des Hrn. Geheimen Raths von Schelling veranstaltet hatte.* 8vo. Berlin. 1846. Druck von Eduard Krause. Str. 15. Złp. 1.

L I P S K.

76. Zamek Ś. Rocha, z niemieckiego przez Panią Paalzów, na polskie przełożone. 3 tomy. 16ka. Lipsk. 1846. Nakład i druk Reclama jun. Tom. I. str. 275. II. 267. III 299. Ztp. 20.

STRASBURG.

77. Powieści dla dzieci w trzech częściach, przez Panią Karolinę z Potockich Nakwaską. Wydanie ozdobne. Część pierwsza. 8ka. Strasburg. 1846. Druk G. Silbermanna. (Nakład księgarni Leopolda Michelsena w Lipsku). Kart 6, i str. 163. Ztp. 4.

Doniesienia literackie.

Druk tomu IV i ostatniego *Historii Literatury Polskiej* w zarysach wkrótce się ukończy. Zawiera on okres literatury od 1825 do 1845 roku.

J. I. Kraszewski pracuje obecnie nad *dziejami Litwy*: bogate materiały zgromadził do swego dzieła.

Druk dzieła M. Balińskiego p. n. *Pielgrzymka do Częstochowy* już jest na ukończeniu. Wyjdzie nakładem G. Sennewalda ozdobione rycinami.

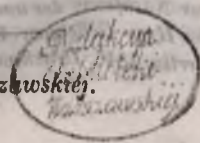
Pamiętników do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, wydanych z rękopisu p. K. Wt. Wojcieckiego, wyszedł tom I. nakładem S. Orgelbranda.

Zamierzone jest wydanie drugie *Gospodarstwa M. Oczapowskiego*: pierwsza bowiem edycja już jest wyczerpana.

(Z listu pisanego z Grodna).

X. Michał Bobrowski professor fakultetu teologicznego w b. uniwersytecie Wileńskim, a później w Akademii Duchownej w Wilnie, zbiera materiały do *historii drukarń Słowiańskich*, niegdyś istniejących w Litwie, i ma ważne tej treści notaty.

Zebrane przez Michała Grabowskiego razem z Konstantym Swieżińskim i baronem Szoduar ciekawe rękopisa o wojnach Kozackich z czasów Chmielnickiego, powierzone zostały do ogłoszenia drukiem, Kijowskiemu oddzielnemu archeograficznemu komitetowi, który prócz wydania tej publikacji wraz z tłumaczeniem Rosyjskiem, przyrzekł samego tekstu Polskiego kilkaset exemplarzy dla tych osób odbić.



Warszyc 1846.

Instytut w Obserwatorium

Biuletyn dostawiony w dniu 11-1-1846 roku

cz. II w dniu 1841-46, w Warszawie

| Dzień | Temperatura | | Wiatry | | Wilgotność | | Ciężar powietrza | | Wzrost chmur | Wzrost mgły | Wzrost opadów | Wzrost śniegu | Wzrost lodu | Wzrost deszczu | Wzrost burzliwych | Wzrost innych |
|-------|-------------|------|--------|------|------------|-----|------------------|-------|--------------|-------------|---------------|---------------|-------------|----------------|-------------------|---------------|
| | Max | Min | Dir | Siła | Rel | Abs | Bar | Therm | | | | | | | | |
| 1 | 10.0 | 5.0 | SE | 2 | 75 | 70 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 2 | 11.0 | 6.0 | SE | 3 | 76 | 71 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 3 | 12.0 | 7.0 | SE | 4 | 77 | 72 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 4 | 13.0 | 8.0 | SE | 5 | 78 | 73 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 5 | 14.0 | 9.0 | SE | 6 | 79 | 74 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 6 | 15.0 | 10.0 | SE | 7 | 80 | 75 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 7 | 16.0 | 11.0 | SE | 8 | 81 | 76 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 8 | 17.0 | 12.0 | SE | 9 | 82 | 77 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 9 | 18.0 | 13.0 | SE | 10 | 83 | 78 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 10 | 19.0 | 14.0 | SE | 11 | 84 | 79 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 11 | 20.0 | 15.0 | SE | 12 | 85 | 80 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 12 | 21.0 | 16.0 | SE | 13 | 86 | 81 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 13 | 22.0 | 17.0 | SE | 14 | 87 | 82 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 14 | 23.0 | 18.0 | SE | 15 | 88 | 83 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 15 | 24.0 | 19.0 | SE | 16 | 89 | 84 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 16 | 25.0 | 20.0 | SE | 17 | 90 | 85 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 17 | 26.0 | 21.0 | SE | 18 | 91 | 86 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 18 | 27.0 | 22.0 | SE | 19 | 92 | 87 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 19 | 28.0 | 23.0 | SE | 20 | 93 | 88 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 20 | 29.0 | 24.0 | SE | 21 | 94 | 89 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 21 | 30.0 | 25.0 | SE | 22 | 95 | 90 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 22 | 31.0 | 26.0 | SE | 23 | 96 | 91 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 23 | 32.0 | 27.0 | SE | 24 | 97 | 92 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 24 | 33.0 | 28.0 | SE | 25 | 98 | 93 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 25 | 34.0 | 29.0 | SE | 26 | 99 | 94 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 26 | 35.0 | 30.0 | SE | 27 | 100 | 95 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 27 | 36.0 | 31.0 | SE | 28 | 101 | 96 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 28 | 37.0 | 32.0 | SE | 29 | 102 | 97 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 29 | 38.0 | 33.0 | SE | 30 | 103 | 98 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 30 | 39.0 | 34.0 | SE | 31 | 104 | 99 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |
| 31 | 40.0 | 35.0 | SE | 32 | 105 | 100 | 750 | 15.0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 | 0 |

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Marzec 1846.

| | mm. | c. | l. |
|--|-------------------------|--------|--------|
| Srednia wysokość barom. miesiąc. | 747.47 | 27 | 7.350 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 11 og. 10 r. | 759.96 | 28 | 0.026 |
| Najniżej " " d. 14 og. 6 r. | 728.10 | 26 | 10.763 |
| Srednia zmiana dzienna barometru | 4.04 | | 1.79 |
| Największa zmiana dzienna d. 14—15 o 6g. r. | 19.47 | | 8.63 |
| Srednia wysokość barometru jest niższa o | 1.52 | | 0.676 |
| od stanu normalnego z 20 lat poprzed. | 748.995 | 27 | 8.026 |
| Srednia temperatura Marca wynosi | + 4 ^o .83 C. | + 3.86 | R. |
| i ta jest wyższa o | 4.42 | 3.54 | " |
| od stanu normalnego z 20 lat popr. | + 0.41 | + 0.33 | " |
| Najwyższa temperatura d. 18 o 4 w. | + 14.0 | + 11.2 | " |
| Najniższa d. 31 o 6 r. | - 0.9 | - 0.7 | " |
| (Termometrograf wskazał Maximum | | | |
| +12 ^o .5 R. d. 18 wieczór; Minimum: | | | |
| -1,5 R. d. 17 r.). | | | |

Srednia zmiana dzienna temperatury 1.97 „ 1.58 „
 Największa zmiana dzienna d. 19—20 o 10 r. 7.6 „ 6.1 „
 Srednia wilgotność miesięczna wynosi 85.1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do wagi 6.10 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 3; napót pogodnych 16; pochmurnych 12:
 — deszczu 15 (d. 1, 3, 7, 8, 9, 12, 14, 15, 19, 22, 24, 25, 26, 28, 29)
 — śniegu 4 (d. 10, 11, 12, 19).
 — gradu (krup) 2, (d. 10, 27).
 — mgły 3 (d. 1, 2, 7).

Wody z deszczu spadło 35.4 mil. czyli 15,70 linij par. z śniegu 5,2 mil. czyli 2,31 linij; razem 40,6 mil. czyli 18,01 lin. par. co jest o półtora linij więcej jak zwykle w tym miesiącu spada.

Marzec w r. b. był bardzo ciepły i dość pogodny; cieplejszy o 3 i pół stopnie R. niż zwykle; deszcze lubo częste i obfite padały, mimo to, miesiąc ten nie był zbyt mokrym. Śniegu spadło nadzwyczaj mało. Nagłe zmiany temperatury i zadyмки śnieżne, które zwykle w tym miesiącu bywają, w tym roku miejsca nie miały; przejście z pory zimowej do wiosennej było nieznaczne i łagodne. Pierwsze dziesięć dni miesiąca były tak ciepłe jak się o tej porze rzadko przytrafia; siedm dni następne od d. 10, do 17, były nieco chłodne, przy wietrze północnym i północno-zachodnim. Od d. 17 do 29, ciepła były znaczne; tylko 3 dni ostatnie miesiąca były najchłodniejsze, co pochodziło od śniegu poprzednio spadłego, który wkrótce stopniał. W całym miesiącu srednia temperatura dzienna nie zniżyła się do zera, lecz termometr stał wyżej punktu lodu topniejącego. Przy znacznym cieple i częstych deszczach, roślinność o jeden miesiąc wcześniejszą była w tym roku niż zwykle.

Wiatr panujący był Zachodni.

Wichrów było 2. Pn. Z.

Zorza zodykalna w dniach 16, 20, 23, między godziną 8 i 9 wieczór, wyraźnie świeciła.

Na słońcu wiele plam widać było w tym miesiącu.

DEWOCYA

P. GIENERAŁA KUNICKIEGO.

Wyjątek z listu

ks. Stan. Choloniewskiego

do *J. I. Kraszewskiego.*

Spiritum nolite extinguere.

1 Ep. S. Pauli ad Thessalon. c. V. v. 19.

Ależ to ciekawa być musi ascetyka p. generała Kunickiego, kiedy ona tyle wątpliwości zrodzić potrafiła w umyśle Pańskim, ile wiem, dość wyrozumiałym w podobnych materyach.— Takem sobie powiedział przeczytawszy pewny peryod ostatniego listu P. Dobr. Posłuszny na jego wezwanie, wyprosiwszy sobie u przyjaciela *Tygodnik Petersburski*, po pilnej kwerendzie, dobrałem się nakoniec w N^{rze} 79 prz. roku, do *pobożności* p. gien. Kunickiego. Znalazłem ją skreśloną w texcie romansu, a *teologią* samego autora w *przypisku* do textu, *per modum* obroku duchownego dołączoną.

Obie są godne uwagi. Zacznijmy od textu. Pobożność p. gien. Kunickiego tak jest opisana: *Byle zdrów, żadnego odpustu w okolicy nie opuści, ale (nota bene) napróżno chciałbys mu dać jasne wyobrażenie tego co jest odpust. Dnia nieprzepuści, bez słuchania jednej a czasem*

dwóch mszy, i po długich rannych paciierzach co wieczór odmawia godzinki i różaniec, ale (nota bene) ani czuł w sobie tego podniesienia ducha, którym modlitwa staje się przyjemną, ani o to się troszczył. I owszem, im więcej modlitwa zdawała mu się przykrą, tém więcej zaspokojenia doświadczał, bo od nabożeństwa nie mógł odłączyć wyobrażenia jakiegoś utrudzenia. I właśnie dlatego uczęszczał na kazanie, że go każde śmiertelnie nudziło. (sic) &c.

A teraz jeśli mnie Pan Dobr. zapytasz jakiego rodzaju jest to nabożeństwo p. Kunickiego?—odpowiem: *Babki kruchcianej, nieumiejącej swego katechizmu*. Nabożeństwo to zasada się na klepaniu wiele długich paciérzy bez żadnej uwagi, na machinalnym tylko dopełnianiu aktów religijnych, bez tego usposobienia co czyni duszę zdolną do oddania czci Bogu *in spiritu et veritate* (1), którą zalecał Chrystus Pan Samarytance, jako jedynie mu przyjemną cześć, jedynie godną Stwórcy i rozumem obdarzonego stworzenia, przeciwny zaś temu obyczaj gromił w faryzeuszach temi słowy: *Populus hic labiis me honorat, cor autem eorum longe est a me* (2), bo gdzie nie ma zastanowienia, uwagi na to co się robi, tam i serca nie ma w takowej fabrycznej robocie. Nabożeństwo to *ra- bińskie* napastuje niekiedy i samych chrześcian odstępujących od przepisów kościoła. Wprawdzie, dla wytłómaczenia tak dziwniej *ascetyki* generała, autor nam zapowiada, że *dla niego religia była obyczajem, natogiem, a nie nauką*. Wyraźnie okazana tu jest *nauka przez się*,

(1) Duch jest Bóg, a ci, którzy go chwala, potrzeba ażeby go chwalili w *duchu* i *prawdzie*. *Ew. ś. Jana, r. IV, w. 24.*

(2) Lud ten wargami mnie czci, ale serce ich daleko jest ode mnie. *Ew. ś. Marka r. VII, w. 6.*

w sprzeczności z wszelkim obyczajem i nałogiem. Lecz tak nie jest, bo jak są obyczaje i nałogi machinalne, pochodzące z dziwactwa i braku prawdziwej nauki, tak bywają obyczaje i nałogi święte i rozumne, wypływające z Bożkiej nauki, i te dopiero stanowią prawdziwą cnotę religijną, która nic innego nie jest, jeno pewna moc duszy (virtus) łaską wsparta, w dopełnianiu rozumem aktów nauką wiary przepisanych. Nie mojeć to zdanie ale świętego Pawła, który tak przemawia do Rzymian: „Proszę was bracia przez miłosierdzie Boże, ażebyście wydawali ciała wasze ofiarą żyjącą, świętą, przyjemną Bogu rozumną służbę waszą: *rationabile obsequium vestrum* (1).”

Nazwawszy przeciwny temu obyczaj niedobry, *nabożeństwem babki kruchcianej*, musiałem dodać *nieumiejącej swego katechizmu* dlatego, żeby nie wyrządzić krzywdy nie jednej pokornej, prawdziwie pobożnej podstarości nie, ekonomowej, lub innej szlachciance przez niedolę na dewotkę kruchcianą przeistoczonej, dobrze świadomej nauki kościoła, która za czasów p. Kunickiego, była puścizną powszechną, tak najmożniejszych jak najuboższych szlacheckich rodzin. Taka bowiem *dewotka* mogłaby była wytłómaczyć generałowi co znaczy po katolicyku odpust, jakie są warunki dla dostąpienia onego. Wreszcie sam pan Kunicki byłby tę rzecz *jasno pojął*, gdyby był w pierwszym porządnym katechizmie rozczytał tę materję, która nie jest żadną głęboką teologią, lecz bardzo dostępną nauką najtępszym umysłem, w których rzędzie niepodobna nam mieścić takiego obywatela jak p. Kunicki. Nie byłby zatem narażony na uczęszczanie na odpusty, bez żadnej dla duszy korzyści, boć jęj nie ma

(1) List świętego Pawła do Rzym. r. XII, w. 1.

i nie może być nigdy tam, gdzie człowiek *nie pojmuje jasno* co czyni, i dlaczego czyni. Dwojakiego rodzaju są sprawy ludzkie: jedne wspólne ze zwierzętami które ślepym instynktem się rządzą, drugie właściwe tylko istotom rozumem obdarzonym. Pierwsze mogą być obojętne, lecz są bez żadnej zasługi, drugie dopiero wchodzą w poczet czynów godnych nagrody wiecznej. Dlatego prawa nauka religijna nie tylko nie jest szkodliwą pobożności, lecz przeciwnie niedostatek jednej zawsze przynosi uszczerbek drugiej. *Ubóstwo ducha*, któremu błogosławieństwo jest zapewnione przez Chrystusa Pana, nie jest ciemnością rozumu, brakiem światła, lecz dobrowolnym wyzuciem się z namiętności przeciwnych mądrości Bożej. Tajemnice wiary, źródło wszelkich cnót religijnych, są wyższe nad pojęcie ludzkie, lecz same sprawy chrześcianina podpadać muszą pod sąd rozumu jego, boć to jest rzeczą jego przy wsparciu łaski, najprzód poznać prawdziwą wiarę i odróżnić ją od błędnej, powtórze, badać czy uczynki z nią się zgadzają. Rozum więc chrześcianina nie jest *superarbitrum* nauki Bożej na objawieniu opartej, lecz jest i musi być sędzią moralności spraw swoich, czyli zgodności ich z przepisami wiary, i o tym obowiązku dość wyraźnie ostrzega nas święty Jan temi słowy: *Charissimi nolite omni spiritui credere, sed probate spiritus si ex Deo sint* (1); glossa zaś wulgaty słowo to *probate* tak tłómaczy: *examine ad doctrinam ecclesiae*; roztrzaskajcie zgodność ducha tego z nauką kościoła, co jest rzeczą rozumu wiarę oświeconego, nie zaś ślepego instynktu.

(1) Najmilejsi, nie każdemu duchowi wiercie, ale doświadczaćcie duchów jeśli z Boga są.

1 List. 4. Jana r. IV. w. 1.

— Lecz o cóż idzie, mój księżu? powiesz może Pan Dobr. Wszak to gienialnemu autorowi, podobało się tylko *pierwotwora* (jak go zowie) wyprowadzić na scenę swego romansu, z cudacką pobożnością, żeby żadnego rodzaju oryginałów nie zabrakło w bogatej galerii *czeludki księcia panie kochanku*. Właśnie i ja na tę sumą myśl wpadłem, a pamiętny na owo zdanie: *poetis et pictoribus quaelibet audendi semper fuit potestas*, chciałem szczerze poklaskiwać humorystycznej fantazy znakomitego pisarza. Lecz niestety! on sam na początku swego obrazu zniszczył to błogie uczucie następującemi słowy: *P. Kunicki był pierwotworem prawdziwego szlachcica Polskiego owych czasów*. Tak więc, pobożność p. generała nie jest już tylko krotofilnym dziwactwem, wyskokiem bujnej myśli gienialnego autora, nakształt owych nadzwyczajnych niewiadomych zwierzątek, które wyrastają z *arabesków* Rafaela, lecz istną prawdą, ba nawet wzorem wszelkiej rzeczywistości, to jest p. Kunicki nawet w pobożności, miałby być *pierwotworem prawdziwego szlachcica owych czasów*. Tu już tedy przeprowadza nas autor z krainy fantazy do poważnej strefy historycznej. Owoż na to zdanie jego żadnym sposobem pisać się nie mogę, ani jako ksiądz katolicki, ani jako ziomek p. Kunickiego; a przez mój wiek, także świadom *tradycyji* owych czasów które nam autor przed oczy stawia, śmiało twierdzę że szlachta pobożna owéj epoki, zupełnie inaczej pojmowała pobożność od p. Kunickiego. Dla niego, wedle autora, *religia była obyczajem, nałogiem nie nauką*; przeciwnie dla szlachcica Polskiego *owych czasów*, religia była świętym obyczajem, rozumnym nałogiem z prawéj kościelnéj nauki pochodzącym, bo każdy wtedy katolik dobrze wiedział, że religia chrześcijańska roz-

krzewiła się między ludźmi, z przyjęcia nauki Chrystusowej nietylko wola ale i rozumem, że działanie woli bez rozumu jest czynem ślepego instynktu, kalectwem ducha ludzkiego; albowiem, lubo rozum ludzki nie jest mocen pojąć tajemnic wiary, nie idzie za tém, *żeby on nie pojmował potrzeby poddania się pod nią*; i właśnie wiara jest dlatego *cnota*, że wola ludzka zgodzić się może lub nie, na tę potrzebę wiary uznaną przez rozum; a kiedy to czyni, oddaje Bogu nie instynktową cześć ślepój potęgi serca, cześć rabińską, ale świętą, *rozumną służbę* którą ś. Paweł zaleca: *rationabile obsequium vestrum*.

nie powątpiewając ani na chwilę o najlepszych intencjach autora, wyznać jednak należy, że w tak ważnej materji, nie miał baczenia na wartość słów których używa, jak to się zwykle trafia, w rzeczach których nie mamy *prae manibus*. Wyrugował zupełnie naukę z pobożności swego generała, bo widocznie uważa tu jedynie przez *naukę* albo głębsze wiadomości teologiczne, właściwe duchownym; albo dworne szperanie rozumu w rzeczach, które pod sąd jego nie podpadają, lecz jedno i drugie niewłaściwie. Bo lubo nie ma potrzeby, ażeby świecki każdy, był równie biegły w teologii jak kapłan, nie może on się jednak obejść bez nauki religijnej, odpowiedniej swemu usposobieniu, dokładnej w swój treści; z drugiej strony szperanie dworne w tajemnicach wiary, nie jest zgoła nauką, lecz niedołącznością rozumu, który jeśli czerstwy i nieskażony, poznaje dobrze *quid ferre recusent, quid valeant humeri*, a doszedłszy do podwojów świątyni, cieszy się że wiara będzie mu przewodniczką po drodze, którójby o swój mocy przebyć nie zdołał. Poznanie bowiem własnych sił, ich rozmiaru i gra-

nie ich dzielności, jest najwyższym rozumem, prawdziwą cechą ducha chrześcijańskiego. Z niedokładnego więc wyobrażenia o nauce chrześcijańskiej, i własności prawdziwego rozumu, stało się że niby na korzyść starożytnej pobożności, skazany został p. Kunicki na nieuctwo religijne, i że mu zlecone być w tym względzie wzorem dla szlachty; lecz ona musi się protestować przeciwko temu wyrokowi, boć jej ówczasowa pobożność zupełnie inna była. Jeśli p. Kunicki *żadnego w okolicy odpustu nie opuszcza, acz napróżno chciałbyś mu dać jasne pojęcie co jest odpust*, to przeciwnie szlachta owjej epoki, bardzo dobrze tę rzecz rozumiała, jak tego sam doświadczyłem w piérwszej młodości mojej, rozmawiając z niejednym starsuzkiem pamiętnym czasów p. Kunickiego. I jakże to mogło być inaczej? W połowie 18 wieku, jeszcze oświata encyklopedyczna nie wyrugowała była, w niższych i średnich klassach, światła chrześcijańskiego, bo dopiero pod koniec tego wieku zaraza duchowa cudzoziemska, dosięgła niektórych celniejszych rodów naszych. Za czasów p. Kunickiego, szlachta uboższa i wyższa odbierała wychowanie po szkołach i szkółkach duchownych. Wychowanie to staroświeckie nie było wprawdzie urządzone w duchu słynnej przedmowy D'alemberta do encyklopedycznego słownika, lecz mianowicie zasadzało się na dokładnych pojęciach religii, prawodawstwa, dziejów i podań ojczystych, ożywionych ciągłą, troskliwą praktyką. Właśnie w takowym systemacie edukacyi, jakkolwiek on lichym wydawać się może obecnym postępom, religia, która się tak mocno wszczepiła w życie, nie mogła być dla szlachcica pobożnego literą martwą, nałogiem machinalnym, ani téż bakalarstwem, żakostwem filozoficzném, lecz była nauką żywotną,

rzeczą rozumu i serca, obyczajem człowieka, który bez obszernych wywodów teologicznych, dobrą umiał dać sprawę o swojej wierze, i wiedział dokładnie, co to jest być katolikiem, a co nim nie być. Skarb ten stał otworem tak dla najuboższego szlachetki, jak dla synów najmożniejszych rodzin, bo wówczas, tak sromano się być nieukiem w rzeczach religijnych, jak teraz wstydzimy się nie wiedzieć co są Hegel, Michelet, Edgard Quinet, Eugénie Sue, pani Sand, Rothschild, koleje żelazne, obroty bursy Paryżkiej lub Londyńskiej, i tym podobne przedmioty *progressującej epoki*. Więcej powiem, sama potoczna mowa szlachecka owój epoki, była (że tak rzekę) napiętnowana duchem kościelnym; pełno w niej dykteryj, przysłowiów narodowych, sentencyj Łacińskich, najwięcej z pisma ś. wyjętych, nawet z prawa kanonicznego, z którym palestra, będąca w ciągłych stosunkach z urzędem kościelnym, dobrze była zaznajomiona. *Melior est conditio possidentis. Peccatum non remittitur nisi restitatur ablatum. Praesumptio facienda in meliorem partem. Libertas in dubiis. Nemo patiens nisi sapiens. Quid est fides? credere quod non vides? &c. &c.* takie i tym podobne *sententiae*, które mi by cały arkusz trzeba zapisać, sam w pierwszej młodości mojej słyszałem nie tylko z ust świeckich i prawników, lecz i ludzi rycerskiego rzemiosła, bo wtedy taki sposób wyrażania się był tak w modzie, jak teraz jest przyjętym szamarować mowę ojczystą makaronizmami Francuzkami, z tegoczesnych dzieł belletrycznych dobytymi. Gdy to piszę, staje mi w myśli rzeźwy, rumiany staruszek, przyjaciel domu rodzicielskiego, pólkownik S... który młodziekiem będąc, znajdował się w orszaku ks. Karola Saskiego (1), *plenus* był

(1) Królewicza Polskiego, syna Augusta III.

sermonibus, o jego łowach, i rozmaitych ówczesnych przygodach, który co dzień odmawiał *officium Racocianum*—(1) a na którego my dzieci, patrzaliśmy jak na relikwię staropolskiej kortezyi i pobożności. Wesół i poważnie krotofilny, rzekłbyś że przez niego czterech ludzi różnego powołania przemawiało: gospodarz, prawnik, żołnierz i dewot, tak te rozmaite cechy kolejno w jego rozmowie przebijały się. Owoż dość sobie pocieszną scenę wystawiam, gdyby naprzykład tak go zapytano: „Półkowniku, kiedy nie czujesz w modlitwie podniesienia ducha, zapewne tém się nie troszczysz?” Zdaje mi się widzieć bolesną ironią z jakąby zapewne odpowiedział: „Mój Dobrodzieju, jegomość chciałbyś mnie jak widzę na onego Faruza wystrychnąć, modlącego się w kościele Jerozolimskim, co był wielce rad swojej modlitwie i nie troszczył się o nią, choć ona go na dudka wystroiła. Wszakże paciérz, jestto rozmowa z Panem Bogiem. W rozmowie z tak wielkiego majestatu królem, nie zważać na to co się doń mówi, i nie troszczyć się o to, byłoby to wielką niekortezyą *alias* grubiaństwem. Wiém, że w téj rzeczy może być *defectus* pochodzący z krewkości ludzkiej, i za to po skończonej modlitwie przeprasza się Pana Boga i pokorném sercem ufa się w jego miłosierdzie; lecz żeby zgoła nie troszczyć się o to, czy się przyzwoicie postępowało na téj audyencyi króla niebieskiego, toby było albo wielką surfanteryą albo faruzostwem;” a gdyby takie jeszcze zadano pytanie półkownikowi: „Czy im więcej modlitwa zdaje ci się przykra, tém więcej zaspokojenia doświadczasz? a to

(1) Tytuł książki nabożnej, na cześć N. M. Panny, (ile pamiętam) przez jakiegoś Rakocego ułożonej.

dlatego zapewne, że od nabożeństwa nie możesz odłączyć wyobrażenia jakiegoś utrudzenia, i właśnie pono dlatego uczęszczasz na kazania, że cię każde śmiertelnie nudzi?" Na to już półkownik przecznawszy się *et verbum caro factum est*, ozwałby się poturbowany: „Albo mój Dobrodzieju, chcesz mnie podać w *suspicyą* jakiegoś bałamuctwa heretyckiego, albo ja jegomościćj pobożności nie pojmuję. Uważać modlitwę jak krwawą pańszczyznę, i cieszyć się z jój odbycia *per modum* leniwego parobka, co ma jeno oko zwrócone na Bojkoskiego podstarościego, taki niecny affekt *hominis non generosi*, nigdy w mój duszy nie powstał, boć nam ciągle malcom w konwikcie Jezuickim ks. rektor powtarzał, *pueri servite Domino in laetitia* (1), i *hilarem datorem diligit Dominus* (2), a téj Łaciny Bogu dzięki nie zapomniało się, chociaż prawdę powiedziawszy, w Cyceroniańskićj nie zbyt jestem biegły, a cóż dopiéro owe, *nefas* żeby właśnie na kazania uczęszczać dlatego, że każde śmiertelnie nudzi. Wszakże samego króla Stanisława, co nie lada był filozof na Francuzki manier, kazania ks. Lachowskiego nigdy nie nudziły, i jakby dziś pamiętam, jak będąc na ordynansie przy J. K. M. w kościele podczas kazania, ciągle słyszałem z ust pańskich te słowa: *Wyborne! sliczne!* Kogoż tedy, miły Boże, ma nudzić śmiertelnie kazanie, chyba albo że heretyckie albo niezrozumiałe. *Re vera* kiedy przybywa się do kościoła na słuchanie słowa Bożego, z dwornym rozumem, dla dowcipkowania, z figlami w głowie, a ksiądz z ambony prawdą świętą dogrzewa sumieniu, to wtedy człek może

(1) Stuzćie panu z weselem. *Psalm 99 w. 2.*

(2) Ochotnego dawcę Bóg mituje.

2 List ś. Paw. do Korynt. r. IX, w. 7.

się i pogniewać, a może i umknąć cichaczem z kościoła, ale nie z nudów, nie, jako żywo, ale ze sromu niedobrego. Chociażem sobie pana mego za spowiednika nie obrał, niech i tak będzie, *confiteor*, że i mnie się to parę razy w życiu trafiło, aleć to nie było bez powyższych z mojej strony przyczyn, bez figlów, *sine culpa*, za którą szczerze potem pana Boga się przeproszało. Lecz żebym takowe słuchanie kazania miał sobie za zasługę, za dobre nabożeństwo, *quod Deus avertat*, tegom się nigdy, ile wiem, nie dopuścił. Ja mój Dobrodzieju uważam służbę Bożą jak żołnierkę, *militia est vita hominis*. W tej professyi różnie się zdarza. Bywają chwile kiedy na placówce się stoi i kule świszczą, nietylko nudne ale i ciężkie, lecz są także pocieszające i chlubne; gdyby mi który przyznał się, że traktując żołnierkę, ciągly wstręt do niej czuje i niesmak, a pomimo tego chlubił się że wyśmienity z niego rycerz, odpowiedziałbym: mylisz się kolego! nie twoja rzecz wojować, ale za piecem siedzieć, prosić Boga, ażeby cię szlachetniejszym natchnął animuszem, a nie próżne czynić przechwałki. Śmiertelnie się nudzić na kazaniach, to mito dewocya, długie klepać pacierze, bez uwagi i żadnego o to frasunku, to mi ale sługa Boży, *qualis mihi sodalis!* Nie każdego stanu człowiek, mój Dobrodzieju, jednako chwalić winien Pana Boga. Zakonnik i duchowny dłuższemi pacierzmi i bogomyślnym żywotem, świecki krótszą modlitwą ustną, lecz pocziwą, i trudem około obowiązków swego stanu który jest także pacierzem serdecznym byle był poświęcony Bogu. Lecz on ich nie mówi z trudem i nudą, jak jegomość prawisz, lecz z wielce gorącym affektem, jak to sam doświadczyłem. Daj mi więc, mój Dobrodzieju, czysty pokój z swoją rabińską dewocją i długimi pacie-

rzami za napaść klepanemi. Dobrze to mi powtarzał nieb. mój dziadek (Panie święc nad jego duszą): „chłopcze! dobra choć krótka modlitwa zawsze pożyteczna, zła, choć długa, zawsze nicpotem.”

Taką sobie wystawiam gawędę mego kochanego półkownika, w powyższej materji, bo nieraz podobną z ust jego słyszałem, ilekroć była mowa o religii. Lecz cóż Pan Dobr. na to powiesz? oto widziałem staruszków świeckich co nawet *rubryki* kościelne znali, z brewiarza się modlili, wiedzieli doskonale co *duplex 1^{ae}* i *2^{ae} classis*, każdą ceremonią kościelną umieli wytłómaczyć, a cóż dopiero co jest odpust, którego nie pojmuje p. Kunicki! a nie byli to ludzie żadnej nadzwyczajnej świętobliwości, lecz zwyczajnie poczciwego rodu szlachta, co porządnie szkoły odbyła swego czasu, bo te rzeczy wówczas były popłatne po domach obywatelskich, z których większa część miała z swego łona kapłana albo zakonnika (1).

Zdaje mi się że dostatecznie wytłómaczyłem się z powodów, dlaczego nie mogę widzieć w gienearale Kunickim *pierwotwora prawdziwego szlachcica owych czasów*, co się tyczy pobożności, lecz przeciwnie uważam go tylko jako anomalią, wyjątkiem fantastycznym, więcéj powiem, *dewot* taki, wydaje mi się wyraźny *anachronizm* obyczajowy, z późniejszej epoki 19 wieku w tamtą przeszłość podsunięty; na początku bowiem naszego stulecia, przesycone światłem junaki, poczynali sobie z własnego do-

(1) Nie wychodząc z województwa Braclawskiego, z Podola i Kijowskiego, przytoczę tu staruszków znacznych: *Mrozowickiego*, patriarchalnego *Zapolskiego* ojca 11 synów i 12éj córki, pisarza ziem. Win. Ignacego *Łoskiewicza*, nawet krotofilnego *Benedykta Hulewicza* i t. d. Odwołuję się do wszystkich co ich znali, niech powiedzą, czy pan gienearał Kunicki mógł być dla nich wzorem pobożności staropolskiej?

mysłu tworzyć dewocją, ażeby pozostała iskierkę wiary ożywić tém nabożeństwem machinalném, i jurystowską jakowąś dystynkcyą odłączyć od prawdziwej modlitwy podniesienie ducha, to jest uwagę na obecność Boga, a całą zasługę pokładać w nudzeniu siebie paciierzem, o czém ani się śniło prostodusznym, szczerym, mocno wierzącym przodkom naszym. Wiedzieli oni dobrze, że oschłości w modlitwie i najświętsze dusze niekiedy doznają, przez co ich Bóg do większej pokory zaprawia; lecz wiedzieli także, że u *nieświętych* oschłość ta najczęściej pochodzi z niedbalstwa i oziębłości ducha, z serca niepróżnego złej żądz, że ciągly wstręt od paciërza i słowa Bożego, że ów niesmak do rzeczy duchownych jest nieomylną oznaką duszy przepojonej światem; nie mogli się więc nie troszczyć o to, a cóż dopiero cieszyć się tak podejrzaną *dewocją*. Bylić wprawdzie i za czasów p. Kunickiego dziwaki pobożne, i będą zawsze. Któż nie wie o tym sławnym kasztelanie dewocie, który w głos błagał Boga pośród nabożeństwa kościelnego, *ażeby wysłuchać ruczył jego senatorskie modły, i łaskawém okiem wejrzał na senatorową małżonkę jego i t. d?* Znany i ten co tak uczynił w kościele swój paciërz: *Onom diu per, diuqis, e diu sent espy, a dla lepszego zrozumienia: W Imię Ojca i Syna i Ducha Ś^{go}*. Wszystko to było, ale nigdy podobne dziwaki nie uchodzili za wzory pobożności dla prawdziwego szlachcica Polskiego, więc i p. Kunicki, choć w innym sposobie *pierwotwór*, nie mógł być dla niej mistrzem dewocyi.

Po skreśleniu historyczném p. generała Kunickiego, autor odsyła nas do przypisku; niedługi on wprawdzie,

ale za to wielce treściwy w sposób najdziwniejszy; jestto obrok duchowny, wyciągnięty z textu samej powieści.

Kiedy ks. Piotr Skarga, do przecednego opisu żywotów śś. przydaje nam w upominku kapłańskim prawą naukę kościoła ku naprawie obyczajów, przyjmujemy te jego słodkie, skromne, i prawdziwie ojcowskie słowa, z pociechą i wdzięcznością, bo sumienie zaraz nas ostrzega, że ten sam duch kościoła naszego, który natchnął dziejopisa bohaterów Bożych, wionął także w przepisach obyczajowych wysnutych z ich żywota, że taż sama prawda katolicka roztacza blask swój łagodny, tak w przykładzie jak w zastosowaniu jego, prawda potężnie wsparta urzędem kapłańskim. Zresztą chętnie ją także słuchamy z ust świeckich, bo skarby duchowe kościoła Chrystusowego, stoją otworem dla wszystkich jego wyznawców bez wyjątku, tylko że w tym razie roztropność chrześcijańska wkłada na nas obowiązek pilnego badania, czy owe ogłoszone nam prawdy, rzeczywiście wyszły ze skarbcu nauki kościelnej, boć tu już ani charakter duchowny, ani powołanie, ani *gratiae status* nie podają nam rękojmi do zaspokojenia wszelkiej wątpliwości.

Z takim tedy niezrozumiałem usposobieniem, przystępując do rzeczzonego *przypisku*, cóż w nim znajdujemy? Oto, *cztery* krótkie węzłowate *twierdzenia* per modum *axymatów* niezaprzeczonych, w przedmiotach dość ważnych dla wszystkich, bo dotyczących się *pobożności, religii i nauki*, i dwa z nich nieobojętne wyciągnięte wnioski. Nad każdym z twierdzeń i wniosków cokolwiek zastanowić się nam wypada.

1^{sz} Twierdzenie. *Nabożeństwo gienerała jest takie, jakie być powinno świeckiego.* Widzieliśmy cokolwiek wyżej

jakiego jest rodzaju to nabożeństwo gieneralskie, i chętniebyśmy je mimo siebie puścili, gdyby ono miało pozostać tylko zaprawą humorystyczną romansu, ale tu już *każą świeckim* być tak nabożnymi jak p. gienerał, to trochę za nadto; dlatego nie zawadzi znowu się nieco przypatrzeć téj wzorowój dowocyi. „Oto (mówi autor) *półki gienerał klepie paciérze lub czyta w książce, póty się niby zajmuje tém co robi, ale tylko niby; bo w istocie, skoro mu każą zwrócić myśl na to co dopiero przeczytał, zaraz mu ona buja po polowaniach i innych światowych krotofilach. Zabawą jego były: kieliszek, maryasz, polowanie i gawęda; zatrudnieniem gospodarstwo i urzędowanie, a nabożeństwem nudzenie siebie za pomocą wymawiania paciery bez końca, lub słuchania kazania czy jakiejś pobożnej rozmowy, albo czytania książki bez żadnej uwagi, jakieśmy dopiero słyszeli. Widocznie poczciwy staruszek zamyslał o pokucie, więc upatrzył ją sobie w nudzeniu siebie na śmierć, a do tego nie znalazł walniejszego środka od nabożeństwa które jest dlań ciężką pańszczyzną.*” Zawsze i dotąd trzymali pobożni chrześciance że słowo Boże (kazanie) i rozmowa z Bogiem (paciérz), najskuteczniejsze są środki do kojenia w sercu wszelkich ucisków, trosków, smutków i nudów moralnych, i takie jest zdanie kościoła katolickiego. Lecz nasz gienerał inaczej o tém sądzi; on za *pokutę* chce być nabożnym, chce się *nudzić na śmierć*, i w tym celu chce rozmawiać z Bogiem i słuchać słowa jego świętego; powtarzamy, bylić i będą fantastycy na świecie podobni p. Kunickiemu. Lecz taką jego *dewocyą* przepisywać *ex cathedra*, za normę pobożności każdemu świeckiemu, jest to wbrew się przeciwieć nauce katechizmowój i prawdom kościoła naszego, który z *ś. Pawłem* żąda, ażeby

część Bogu przez chrześcianina oddana, była zawsze *rationabile obsequium*.

2^{gie} Twierdzenie. Głęboka nauka religijna, nietylko że mu nie jest pomocną (t. j. świeckiemu) ale nawet szkodliwą. Biedny świecki człowiecze! kiedy ci nawet najlepsze rzeczy szkodzą; boć przez głęboką naukę religijną nie rozumie autor zapewne błędnej, która nie jest nauką ale fałszem, szkodliwym równie duchownym jak i świeckim. Posłuchajmy jednak co o prawdziwej nauce mówi król Salomon, który przecie niezłe się znał na tych rzeczach. Oto w *Przypowieściach* swoich pragnie on gorąco, *ut detur adolescenti scientia et intellectus* (1), a in *Canticum Canticorum*, wzywa wszystkich bez wyjątku, do bankietu Bożkiej nauki, temi słowy: *comedite amici* i głęboką ją pragnie dla nich, bo życzy aby się nią upoili, *et inebriamini charissimi* (2). Sam Bóg tak się uzala nad swym ludem przez proroka Osee: *Conticuit populus meus eo quod non habuerit scientiam* (3). Niezliczone są miejsca w piśmie Bożém, gdzie wezwan jest człowiek do postępowania w nauce świętej, jako niezbędnej do postępu w cnotach i pobożności. Ś. Paweł zaklina Filipensów *ut caritas vestra magis abundet in scientia et in omni sensu* (4), Kolossanom oznajmia, iż on błaga Boga *ut ambuletis digne Deo, per omnia placentes, in omni opere bono fructifi-*

(1) Dla podania maluczkiem biegłości, młodemu umiejętności i rozumowi. *Przypow. r. 1, w. 14.*

(2) Jedzcie przyjaciele i pijcie, a popijcie się najmiłsi! *Cantic. Cant. c. V, v. 1.*

(3) Umilknął lud mój, że nie miał umiejętności. *Osee. r. IV, w. 6.*

(4) I o to proszę, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała w umiejętności i we wszelakiém rozumieniu.

L. ś. Pawła do Filip. r. I, w. 9.

cantes et crescentes in scientia (1) *Dei*. Tessałoniczan ostrzega: *Spiritum nolite extinguere, omnia autem probate, quod bonum est tenete* (2). Wszystkie te głosy zapraszają wszystkich bez wyjątku chrześcian, do nabycia prawdziwej, głębokiej nauki religijnej, o ile pozwalają tego ich zdolności i dary przyrodzone łaską Bożą wsparte. Biograf więc p. Kunickiego w swym przypisku jest w wyraźnej z nimi sprzeczności, bo nauka Bozka, przez Boga zalecana ludziom i jej szkodliwość, są *contradictoria*. Szkoda tylko wyniknąć może z błędnej nauki, o której kościół ostrzega wiernych, a która właśnie pochodzi z niedostatku prawdziwej. Świecki człowiek stosownie do swych zdolności i obowiązków, może i powinien posiadać głęboką wiadomość religii jak kapłan, lubo nie w tenże sam sposób, bo świecki ją nabywa dla zaspokojenia potrzeb życia swego duchowego, a kapłan ją posiada nie tylko dla własnej, lecz i dla korzyści wiernych których jest pasterzem; lecz każdy z nich na właściwem sobie stanowisku, powinien się starać o najgłębszą naukę religijną, na jaką jego usposobienie pozwala: *crescentes in omni scientia*. Bozka nauka *non inflat* jak obłądna ludzka, byle tylko była przyjęta z przyzwoitem przygotowaniem serca, które jest niezbędnym warunkiem postępu w tej nauce. Liczne herezye wynikły, tak z pychy umysłowej tych, którzy nie o cnotę chrześciańską lecz o próżną sławę uczonych ubiegali się, jak z gnuśnej za-

(1) Abyście chodzili godnie Bogu, we wszem się podobając, w każdym uczynku dobrym owoc przynosząc i rosnąc w znajomości Bożej. *L. ś. Paw. do Koloss. r. I, w. 10.*

(2) Ducha nie gaście, proroctw nie lekceważcie, a wszystkiego doświadczajcie; co dobrego jest dzierżcie.

1 L. ś. Paw. do Tessal. r. I, w. 19, 20.

rozumiałości tych, którzy gruntowną nauką swęj religii pogardzając, sądzą że uczuciowym instynktem i domysłem, machinalnym nabożeństwem, mogą się kierować w najważniejszych przygodach i obowiązkach życia. Już to dawno postrzeżono, że lekceważenie nauki, jest właściwe epokom reakcyi, schorzałym od swawoli rozumu; po *bakanaliach* skazonego ducha niedowiarstwem i fałszywym światłem, następuje zwykle wstręt od rozumu i światła prawdziwego. Lecz chciwość i niesmak chorego, nie mogą służyć za skazówkę *hygieniczną*, dla człowieka w stanie normalnym zdrowia zostającego. Niezszczęśliwy ks. Lamennais na początku zawodu swego, cały swój gieniusz wysilał na okazanie, że *rozum ludzki nie zdola w religii*, a skończył na *racyonalizmie* to jest na ubostwieniu rozumu. Wiecznie chwiejący się w zdaniach Bayle także, raz wywyższa nad wszystko potęgę rozumu, to znów ją do zera sprowadza, niby na korzyść wiary. Lecz kościół zawsze powstawał i powstawać będzie przeciw tym dwom ostatecznościom: przeciw pysze umysłowej, i gnuśnemu otrętwieniu ducha ludzkiego, który wedle psalmisty *noluit intelligere ut bene ageret* (1); uważa go najszkodliwszém dla wiary zwłaszcza w owych czasach, kiedy nawet na wielkim szczeblu oświaty stojący człowiek, owiany jest (że tak rzekę) atmosferą kłamstwa i błędu, kiedy w ulotnych pisemkach, romansach i fraszkach literackich *racyonalizm* i duch kacerstwa, godzą na jego przekonanie chrześcijańskie. Chcieć więc ażeby on nie szukał głębokiego poznania religii dla utwierdzenia siebie w wierze i cnocie, ażeby przestawał na tak nazwanęj *foi de charbonier*, wierze prostaczków

(1) Nie chciał zrozumieć aby dobrze czynił. *Psalm XXXV. 4.*

bez prostoty serca i umysłu tak rzadkich w naszych czasach, jestto wysłać żołnierza na boje, obnażywszy go wprzód ze wszelkiego oręża. Jużto Salomon uskarżał się na ten obyczaj kiedy mówił: „*Usquequo parvuli diligitis infantiam.... et imprudentes odibunt scientiam?*” (1)

3^{cie} Twierdz. W religii działa łaska i wolna wola na tę łaskę przyzwalająca, jakież więc miejsce zostanie dla nauki? To znowu ma być axyomat z traktatu *de gratia*, lecz tylko jest błędem przeciwnym katechizmowej nauce, bo najprzód łaska nietylko w religii, ale zawsze i wszędzie działa na człowieka, *powtóre* łaska działa na całego człowieka, nie na *samą* tylko wolę jego, człowiek zaś bez rozumu, z *samą* tylko wolą uważany, nie jest człowiekiem na obraz Boży stworzonym, ale jakieś urojone *abstractum* alibili téż zwierzę które posiada ślepą wolę bez rozumu. Chrystus Pan wyrzekł do apostołów: *Euntes ergo imperate omnibus gentibus* (2), coby się ściągało jedynie do woli, ale *docete omnes gentes* co się ściąga do woli i rozumu (3). Musi więc być *miejsce* w człowieku dla nauki, kiedy sam Chrystus kazał go *nauczać*. Rozum bowiem żeby się poddał pod jarzmo święte wiary, musi wprzód uznać że ona nie jest błędna, lecz rzeczywiście przez Boga objawiona, a wtedy dopiero prawa wola zgadza się na to poddanie się rozumu, lecz tak rozum jak wola, w tym ważnym akcie są wsparte łaską Bożą; ś. Jan mówi: *erat lux vera quae illuminat omnem hominem venientem in hunc mundum* (4). Jeśli więc każ-

(1) Dokądże maluczcy będziecie mitować dzieciństwo, a głupi rzeczy im szkodliwych żądać będą, a nieroztropni nienawidzić umiejętności? *Przyp. r. 1, w. 22.*

(2) Rozkazujcie wszystkim narodom.

(3) Nauczajcie wszystkie narody.

Ew. s. Mat. r. XXVIII, w. 19.

(4) Była światłość prawdziwa, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego. *Ew. s. Janu r. I, w. 9.*

dy człowiek, zdolny jest do przyjęcia światła Bożkiego, nie może on być takim jeno przez rozum, boć innéj w nim władzy przydatnéj do tego *psychologia* dotąd nie upatrzyła; wola zaś bez rozumu, jako *coeca potentia* (wedle wyrazu szkoły), przyjęć światła Bożego nie może. Lecz dość już o tym *axjomacie o łasce*, podanym nam w *przypisku*.

4^{to} *Twierdz. Nikogo jeszcze rozumowanie nie nawróciło, a tylko podnosi pychę rozumującego.* Gdyby był autor raczył tak się wyrazić: *rozumowanie pozbawione ducha Bożego*, na to każdy chętnieby przystał, lecz na powyższą zbyt ogólną doktoralną sentencją zgodzić się nie podobna, bez obrazy ś. Pawła i wszystkich ojców kościoła. Cóż jest bowiem rozumowanie przyzwoite w rzeczach religii? Jestto prawe użycie *rozumu w dobywaniu wniosków z zasad już przyjętych przez wiarę, i dokładne dowodzenie prawdziwości tychże wniosków.* Owoż ś. Paweł w swym liście do Rzymu *jedenastie* rozdziałów poświęca takowemu rozumowaniu, w których, z zasad podanych przez objawienie, logicznie wysnuwa całość wspaniałą religii Chrystusowéj. Najdokładniejsze podobne rozumowanie zajmuje *dwanaście* rozdziałów listu jego do Hebrajczyków, gdzie mowa o wielkiem kapłaństwie Jezusa Chrystusa. Toż czynili ojcowie śś. Laktancyusz, Ireneusz, Orygenes, Justyn, Ambroży, Hieronim i t. d. rozumem wiarą wspartym walcząc z błędami pogan i kacerzy, których samą powagą pisma ś. i podań kościoła nie można było przekonać. Cóż ztąd wynikło? Oto rzecz zupełnie przeciwna téj, którą wyraził autor w powyższém zdaniu, bo tém świętém rozumowaniem, Bogu dzięki, i żydzi i Rzymianie i niezliczone tłumy pogan nawrócili

się do Boga, a jednak ani w ś. Pawle, ani w ojcach kościoła rozumowanie to *pychy nie podniosło*.

A jeśli autor miał na widoku ludzi świeckich, którzy nie mają powołania apostołstwa, to niech raczy zważyć że i tym się nie godzi wzbraniać prawego użycia rozumu w rzeczach religii, stosownie do stanowiska i usposobienia każdemu właściwego. Każdy bowiem rozumujący skromnie, z umiarkowaniem, z tymi od których spodziewa się nabyć większego światła religijnego, nie w celu popisu próżności i mędrkowania, lecz dla rozwiązania sobie jakichś wątpliwości, lub zbijania błędów któremi jest otoczony, nietylko rzecz godziwą lecz przepisaną od sumienia czyni, gdyż ś. Piotr od wszystkich wiernych bez wyjątku żąda, ażeby byli *parati semper ad satisfactionem omni poscenti vos rationem de ea quae in vobis est spe* (1); a jeśli tego zaniechają przez gnusność i oziębłość, narażeni będą na utratę wiary wedle tych słów proroka: *quia tu scientiam repulisti, repellam et te*. Sam nakoniec autor najtrafniej zdanie swoje zbija, bo acz w dość krótkim przypisku używa *po swemu rozumowania, żeby dowieść iż rozumowanie na nie się nie zdało*.

Przejdźmy teraz do ostatnich dwóch wniosków, z dowolnych autora twierdzeń wyciągniętych.

W pierwszym ogłasza stanowczo, iż *ludzie istotnie pobożni, jakibykolwiek był stopień ich światła, ani dysputują o religii, ani lubią słuchać tych dysput*.

Słowa *dysputa* z Łacińskiego wzięte *disputatio*, nietylko znaczy wedle wszystkich leksykonów, *spór, zwade,*

(1) Zawždy gotowymi będąc zadość uczynienia każdemu domagającemu się od was sprawy o tej nadziei która w was jest.

List ś. Piotra r. III, w. 15.

lecz także *uczoną rozprawę*. A kiedy tak jest, cóż więc przy zdaniu autora, pocniem z ś. Pawłem, który przed areopagiem Ateńskim, po tylu synagogach żydowskich długo dysputował: *disputante diu Paulo* (1), bo nawet dysputował wobec starosty Rzymskiego Felixa (2)? Jakże ci wszyscy słuchacze, którzy z tych dysput nawracali się (a było ich niemało), źleby byli wyszli na tém, gdyby albo ś. Paweł wedle rady autora nie chciał był dysputować, albo oni nie chcieli słuchać jego dysput? Cóż pocniem ze wszystkimi ojcami i doktorami kościoła, ze wszystkimi apostołskimi mężami i kaznodziejami, którzy od założenia kościoła Chrystusowego aż do naszych czasów rozprawiali z poganami, żydami, kacerzami i różnemi obłudnikami, używając rozumu wspartego wiarą na obronę prawdy chrześcijańskiej? A jeśli autora przepis *niedysputowania*, nie do duchownych ale jedynie do świeckich się ściąga, to jak znowu się pogodzimy z męczennikiem i filozofem Justynem, mężem świeckim, który w swęj *apologii* dysputował z pogany, z konsulem Boecyuszem, z ministrem króla Teodoryka Kassiodorem, słynnymi ludźmi z dzieł teologicznych i filozofii chrześcijańskiej? i żebyśmy dalszym katalogiem świętnych pisarzy nie znudził Pana Dobr., wspomnę tylko jeszcze świeckiego Józefa de Maistre, którego głęboka nauka religijna jest ozdobą kościoła i nigdy go nie zasmuciła. Cóż z temi wszystkimi *świeckimi* począć? Czy ci wszyscy ludzie nie byli pobożni, dlatego że w dysputach swoich w prawy sposób używali rozumu na obronę prawdy i zbijanie błędów jej przeciwnych? Czyż sam nakoniec

(1) Gdy Paweł długo rozmawiał. *Actus Apost. r. XX, w. 9.*

(2) A gdy rzecz czynił o sprawiedliwości, i czystości i o sądzie przyszłym. *Actus Apost. r. XXIV, w. 25.*

autor, w innych swoich pismach, nie udzielał nam obszer-
nie swoich pomysłów i rozumowań o religii? a przecież,
ile mi wiadomo, nikt na nie nie powstał, z powodu jedy-
nie *świeckości* stanu jego.

Jeśli zaś przez *dysputę* rozumie autor tylko kłótnie,
namiętności, szermierstwo umysłowe w celu próżności
(na co chętniebym przystał, gdyby był wprzód nie zaka-
zał wszelkiego rozumowania świeckim wrzeczach religii),
to w takim znaczeniu powinienby był określić zbyt
ogólną swoją sentencją, a wówczas wszyscyby się z ser-
ca pisali na nią, boć ludziom świeckim a tém bardziej
duchownym, nietylko w religii, ale w żadnej innej mate-
ryi nie godzi się nadużywać rozumu na korzyść pychy
i miłości własnej, a cóż dopiero obronę prawdy przeista-
czać na picniactwo fałszu. Dlatego i ś. Paweł pisze do
ś. Tymoteusza: *Servum autem Domini non oportet litigare, sed mansuetum esse ad omnes* (1).

Ostatni wniosek autora tak brzmi: *czują oni* (ludzie
istotnie pobożni) *instynktowie, że rozumowanie najgłębsze, niczego innego nie dowodzi, oprócz zdolności roz-
mijającego. Każdy wiedzieć może tylko o swoim własnym
uczuciu instynktowym, lecz o uczuciu takowym innych
pobożnych, nie wiem jak mogła dojść wiadomość do
autora, chyba przez ich słowa i pisma, albo sposobem
cudownym. Radzibyśmy widzieć przytoczoną na to jakąś
powagę, jakieś zdanie ustne lub piśmienne świeczników
kościola, boć trudno w tak ważnej materii *jurare in ver-
ba magistri*, kiedy go nie widzimy. Pytajmy więc samo
zdanie autora, co ono nam ogłasza? Ile pojąć możemy*

(1) A słudze pańskiemu nie trzeba się wadzić, ale układnym
być przeciwko wszystkim.

Z list. ś. Pawła do Tymot. r. 11, w. 24.

(gdyż i nam zapewne autor nie odmówi przynajmniej *uczucia instynktowego*), znaczy ta sentencja: "że najgłębsze rozumowanie człowieka nic innego nie dowodzi oprócz tego, że on ma głęboki rozum, bo rozum tylko przez rozumowanie może się objawić. Lecz jeśli człowiekowi na nic się nie przyda rozum, jeno na to, ażeby dowodzić drugim że ma biegły rozum, jeśli ten nieszczęśliwy rozum, nie może ani osiągnąć prawdy, ani jej drugim dowieść przy pomocy łaski, więc on jest tylko dla biednej ludzkości smutnym narzędziem do nasycenia pychy i samolubstwa. Biedny rozumie ludzki! wspaniały upominku Boga, dany człowiekowi kiedy go wszechmocny na swój obraz utworzył! Nie dość na tém że przez grzech pierworodny ciężkie poniosłeś ciosy, ale i tę resztę pozostałej ci władzy do przyjęcia światła, chcą ci odebrać synowie owój Ewy, która się przesyciła niedobrym owocem złej wiedzy, nakształt dzieci co wzdrygają się na widok światła, dlatego że raz niebacznie paluszek sobie od ognia oparzyły. Ależ przecie świeca, rzecz dobra i pożyteczna, tylko trzeba ją brać w rękę ostrożnie, o czém matki i nianki ostrzegają. I rozum jest dar Bozki pożyteczny, nie należy więc od niego stronić. Żeby zaś przezeń nie ponieść szkody lecz wielką korzyść, dość jest słuchać głosu matki naszej, kościoła Chrystusowego. Mnie się zdaje, że powyższe zdanie możnaby na takie zamienić: *poznają istotnie pobożni ludzie, że mylne rozumowanie niczego innego nie dowodzi, oprócz niewagi rozumującego*; a wtedy wszyscy światli chrześciance, z największą ochotą na toby przystali.

Takie to uwagi nastroczały mi się po przeczytaniu wiadomego *przypisku*. Łatwo pojmuję że autora, wcale nie było celem, dać powód do podobnych ścisłych wniosków jego teorii. Zdaje mi się nawet, że on co innego zupełnie zamierzał, a co innego się stało. Chciał w najlepszej intencji, zalecić dawną pobożność, uwolnić ją od skrupułów Jansenistowskich, które są rzeczywiście skutkiem albo pychy duchowej, albo braku światła prawdziwego. Przedni to zamiar, lecz w tym celu, postawił nam przed oczy, dewota, co klepie paciérze bez uwagi, obyczajem wyznawców Mahometa, u którego nabożeństwo jest *synonimem* śmiertelnych nudów, i nie pozwala świeckim mieć innego nabożeństwa. Przedni więc zamiar chybiony, bo świecki chrześcianin albo zgoła nie chce być pobożnym, albo jeśli tego żąda musi przyjąć rozumne nabożeństwo ś. Pawła, *rationabile obsequium*, cześć oddaną Bogu rozumem i sercem, zupełnie przeciwną Tureckiej dewocyi p. gienerała Kunickiego, co wszystko być może bez najmniejszych skrupułów Jansenistowskich.

Lęka się także autor dla świeckiego fałszywej pyśznej nauki, pozbawionej ducha Bożego. Słuszna obawa. Lecz jakież na to podaje mu środek? oto ostrzega go że głęboka religijna nauka, zatém prawdziwa, nie tylko mu nie jest pomocną ale nawet szkodliwą, i przez to odstręcza go od jedyne go sposobu uchronienia się od błędu, który go zewsząd otacza; *głębokości* bowiem nauki nie uważa w stosunku do powołania, stanu i zdolności osób, ale *bezwzględnie*, co nie jest rzecz zgodna z przyrodą ludzką. Szlachcie świecki nie powinien i nie może odbywać kursu teologii jak kleryk w seminaryum; a choćby mu nie brakło odpowiedniej zdolności, nie czując

wokacyi do duchownego stanu, traciłby czas potrzebny do nabycia wiadomości właściwych swemu zawodowi. Lecz powinien i może mieć głęboką naukę religijną, odpowiednią swemu położeniu towarzyskiemu, to jest wedle swój zdolności, dokładnie i gruntownie posiadać prawdy katechizmowe, które nic innego nie są, jeno treściwą teologią czyli nauką o Bogu. Dlatego kmiotek, świadom dobrze swego katechizmu, znajdzie w nim głęboką naukę religijną odpowiednią swemu usposobieniu. Przeciwnie nie posiada jój człowiek świecki wyższego stanu, jeśli w miarę swój siły umysłowej, nie stara się o postęp w Bożkiej nauce, która dlatego jest tak niezbędną do cnotliwego życia, że ona nietylko oświeca rozum, lecz zagrzewa przylém serce.

Była światłość prawdziwa (mówi ś. Jan) która oświeca wszelkiego człowieka przychodzącego na ten świat (1); a ś. Paweł do Koryntyan pisze: że Bóg który rzekł aby z ciemności światłość zaświeciła, ten zaświecił w sercach naszych, na oświecenie wiadomości jasności Bożej (2). Przywileju tego szczeru ludzka nauka nie posiada, jeśli ożywiającego płomienia nie czerpa ze słowa Bożego.

Rada więc dana świeckim w tej materji nie może być przez nich przyjęta.

I za łaską chce obstawać autor, lecz pomimo woli, krzywdę jój wyrządza. Powiada bowiem że w religii (alboż to tylko w religii?) *działa łaska na wolną wolę*, więc nie działa na całego człowieka, który jest rozumem i wolą obdarzonóm stworzeniem; więc *non illuminat omnem hominem*. Zatem i tu świecki idący za swym katechizmem, nie może przystać na zdanie autora o łasce.

(1) *Ev. s. Jana r. 1. w. 9.*

(2) Z listu ś. Pawła do Kor. r. IV, w. 6.

Chciał on nakoniec swego *dewota* od pysznego rozumu uwolnić, i to święta zbawienna myśl, lecz na to dość było zalecić skromność i pokorę, ale nie należało zgoła potępiać prawego użycia rozumu wiarą oświeconego, bo to jest kondemnata przeciwko wszystkim opowiadaczom słowa Bożego, wszystkim obrońcom religii świeckim i duchownym, począwszy od apostołów aż do najpóźniejszych ich naśladowców, którzy rozumu, daru Bożego, na chwałę Bożą święcie używali, bo to jest skazanie na ślepotę duchową całego chrystyanizmu. Owoż, tego wszystkiego, pewny jestem, nie chciał autor, lecz przeciwnie, najpiękniejszej rzeczy, to jest zalecenia pobożności i wiary, a przecież tamto się stało? a wie Pan Dobr. jakim sposobem? Oto z *założeń* niedokładnie określonych, zbyt ogólnych, wyciągnięto wnioski, *stans pede in uno*, i w końcu wyszło na jaw niepokieszające *corollarium*: że przy rozumie religia ostać się nie może, że trzeba między jednym a drugą wybierać. Ktożby się był tego spodziewał? Zaiste ani autor ani czytelnicy, a jednak to się stało, pomimo najlepszych zapewne intencji. Dobrze to mówił stary Leibnitz: *cave a consecrariis*. Niezła to rzecz będzie zawsze porządne, uważne rozumowanie.

Jeśli się nie mylę, dotknąłem już w odpowiedzi mojej, wszystkich wątpliwości Pańskich z powodu dewocyi p. generała Kunickiego. Być może żeś sobie Panie łaskawy powiedział w duchu: „Dażem sobie, byle zaciepić księdza w rzeczach jego powołania, nie ma końca perorom.” Prawda, jestem *plenus sermonibus* jak Eliu w księdze Joba, właśnie w tej materji, *nauki i religii, rozumu i wiary*, która zwłaszcza teraz jest placem boju, na który wszystkie racyonalistów hufce rade występują przeciw objawieniu Chrystusowemu, podczas kiedy z je-

dnęj strony szkoła ich ciągle ogłasza *antagonizm* między nauką i religią objawioną, i Bożką prawdę usiłuje podać w niewolnictwo rozumowi ludzkiemu; nie pocieszająca jest rzecz, widzieć jak z drugiej strony, nieopatrzna gorliwość, dla przecięcia węzła gordyjskiego i dla mniemanego zwycięstwa wiary, duch ludzki na kalectwo i niecnotę skazuje, a nie pozwalając przystępu rozumowi do świątyni Pańskiej, tém samém ciężką wyraża krzywdę religii Chrystusowej. Należy więc prawym chrześcianom, ciągle powstawać przeciw obu tym równie zgubnym ostatecznościom, przywołując na pamięć naukę kościoła Jezusa Chrystusa, który z nieba przyniósł na ziemię światło wiary, nie żeby *przygasić*, lecz żeby mocniej *rozpłomienić* pochodnię rozumu, i do wyższej potęgi go podnieść; *światło to oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego, ale człowieka tylko*; istotę bowiem ziemską skazaną na bezwładność rozumu, pozbawioną prawego użycia onego, obdarzać nazwą *człowieka* niepodobna.

Zresztą uwagi, które stosownie do żądania Pana Dobr. z obowiązku mego kapłańskiego przesyłam, względem *dewocyi p. gien. Kunickiego*, żadnej nie mają styczności, z innemi licznemi zaletami powieści *Listopad* o których głoszą dzienniki, a którym chętnie wierzę, jako dobrze świadom pięknego talentu znakomitego autora. Literackie bowiem rzeczy, pod mój rozbiór nie podpadają, ani sobie do tego przywłaszczam prawa, lecz tylko z psalmistą pańskim powtarzam:

.... *quoniam non cognovi litteraturam*.....*Domine memorabor justitiae tuae solius* (1).

Proszę przyjąć wyrazy &c. &c.

Kamieniec d. 22 stycznia r. 1846.

(1) Iżem w piśmie ja nie biegły, panie, będę wspominał sprawiedliwość twoję samą. *Psalm 70*, w. 15, 16.

O ŻYCIU I PISMACH MICHAŁA SĘDZIWOJA.

PRZEZ

Juliusza barona Brincken.

Między uczonymi średnich wieków Polakami, po Koperniku, ani jeden nie stał się tyle słynnym, ile adept i filozof Hermesowski Michał Sędziwój, albo jak się sam pisał po łacinie Sendivogius. Imię jego było niegdyś głośne w całym ukształconym świecie, a jego pisma razem po łacinie wydane, prawie na wszystkie Europejskie języki przetłumaczone zostały. Jakkolwiek sława tego człowieka przebrzmiała teraz, jakkolwiek dzieła jego rzadkimi się stały, z tém wszystkiém jego życie, los i usiłowania, wiele mają w sobie zajęcia dla jego krajowców; wielu z nich obecnie żyjących, znalazłoby go za ledwie z imienia, gdyby niedawno w literaturze Polskiej belletrycznej, nie wystąpił z Sędziwojem (1) p. Dziekoński. Atoli praca ta, której krytyka tu nie należy, jest tylko fantazyi utworem, bez wartości historycznej; dążenie jój nachyla się bardziej do poetycznej apologii alchemii w ogólności, aniżeli do biografii Sędziwoja. Choć alchemia ma swoją bardzo poetyczną stronę, nie po raz

(1) Sędziwój przez Dziekońskiego, Warszawa 1843 r.

piérwszy odkrytą w niej przez p. Dziekońskiego; gdyż między innymi przed kilku laty Fryderyk Holm (baron Münch. Bellinghausen) z powodzeniem wystawił ją w dramacie pod tytułem „Adept”, to jednakże dziwna, pełna oraz przygód historia Sędziwoja, równie obfitą do nowelli historycznej, czyli do plastycznego wyobrażenia wypadków, treść nastrocza tak, że utkana temi jako téż podrzędnymi im wypadkami, poczyta alchemii sprawiłaby wrażenie daleko większe, aniżeli wtenczas gdyby ważniejsze z nich uległy skażeniu, podrzędnym zaś nadano żywszy od właściwego koloryt. Wprawdzie co do istotnych wypadków, mamy biografią tego Polskiego adepta, napisaną przez współczesnego (1), z którą liczną późniejszą literaturę porównać należy; nie zmniejszy to wszakże interesu, jaki życie Sędziwoja najbardziej obudza, że wyjaśnione pochodnią prawdy, otaczający blask uczoności alchemicznej prawie całkiem straci.

Nim jednakże dojdziemy do opisanego życia tego człowieka, wypada koniecznie rzucić okiem na umiejętność i sztukę, w której się on wstawił, jako téż na stanowisko przez nie w jego czasie zajmowane; za dni bowiem naszych stały się one chimera, nierozsądkiem i pośmiewiskiem; a na téj drodze pisarz nietylko że już sławy zyskać nie może, lecz przeciwnie wystawi się na pogardę i wyszydzenie.

Filozofia Hermesowa, nazwana tak od Hermesa jej mniemanego wynalazcy (2), naucza sztuki alchemicznej (spagiryka, pyrotechnika, i t. d.), tojest: sztuki wy-

(1) Vita Sendivogii auctore Lange, Hamb. 1683.

(2) Nosił on dla różnicy od dawniejszego Hermesa, przydomek Trismegistus (trzykrotnie celujący), i podług mniemania najwięcej przyjętego, miał być najwyższym Egipskim kaptanem za panowania króla Menesa. Życie więc jego przypadałoby w początkach wieku XVIII od stworzenia świata.

nalezienia na drodze doświadczeń chemicznych, tak nazywanego kamienia filozoficznego (albo tynktury), ogólnego działacza w przyrodzeniu, który posiada własność zamieniania metali nieszlachetnych przez samo dodanie jego, w złoto lub srebro; użyty zaś jako lekarstwo, ma własność wzmocnienia zdrowia ludzkiego i przedłużenia życia; nauka więc ta obiecuje dwa największe ziemskie dobra tego świata: *bogactwo* i *zdrowie*, a człowiek uszczęśliwiony z ich posiadania, zowie się *philosophus adeptus* albo poprostu adept. Jeśliby bowiem wszyscy ludzie posiadali złoto i srebro, wtenczas przywiązane do obn tych rzadkich kruszców pojęcie bogactwa zniknęłoby; nadto, gdy człowiek złośliwy bywa dla społeczności tym szkodliwszy, im jest możniejszy i bogatszy, gdy wreszcie nie wszyscy ludzie warci są długiego życia, umiejętność zatem Hermesowa dla swój istoty jest nauką *tajemną*, i podobno u starożytnych należała wraz z innymi tak fizycznymi jako téż magicznymi i teozowskimi tajemnicami do *mysteryów*, które tylko pewnym, doświadczonym, wybranym dostępnymi były.

Te misterye kształciły się, jak w ogólności nauki, najprzód u Egipcyan, potem przeszły do Greków, Persów nawet do Chińczyków i dały u nich początek większej części ich religijnych mitów. W czasie upadku nauk w wieku VII, umiejętność te a z niemi i misterye, były szczególnież uprawiane i pielęgnowane przez zdobywczycy Arabów; w wiekach średnich przez wojny krzyżowe od nich przyniesione zostały do Europy, gdzie zrazu pozostawały wyłączną prawie własnością klasztorów; pod tą może postacią ukazuje się za dni naszych towarzystwo wol. mul. jako ostatni odgłos, jako łupina próżna. U wszystkich tych ludów literatura umiejętności

tajemniczych a najbardziej hermetyki, jest nadzwyczaj bogata chociaż ciemna, pełna allegoryi, hieroglitów i dla profanów całkiem niezrozumiała. Wprzód jeszcze, nim prasa czyli sztuka drukarska rozgłosiła ją, Fryderyk Po-bożny, książę Burgundy (r. 1430), na cześć alchemii którą się gorliwie zajmował, ustanowił order rycerski Złotego Runa, stosując to do allegoryi o wyprawie Argonautów, która tę sztukę może na celu miała (1); wkrótce potem hermetyka stała się punktem środkowym filozofii natury i praktycznego jęj badania; ulubioną zabawą wezwanych i niewzwanych, upodobaniem zatrudnieniem panujących, lecz także miejscem popisów dla oszustów, kuglarzy i awanturników. Jak tylko najwięksi Europy uczeni w licznych swych dziełach (2), zwrócili swe zdolności na tę umiejętność, jak tylko ogłosili się wielkij tajemnicy stróżami Różokrzyżowcy, papieże także rzucali na nią klątwy lub téż sami najgorliwiej ścigali; nawet prawnicy wnosili pytanie, czy ta sztuka jest prawną (3)? Pod koniec wieku przeszłego ze wzrostem nauk ścisłych nagle przysła do upadku, tak że w początkach wieku XIX zaledwie mówiono o niej, lub tylko jako o straszyle na umysły wspomniano. Pomimo to alchemia zajmuje miejsce w historii umiejętności; już ja-

(1) Żałować potrzeba że zapowiedziana pompatycznie przed 5 laty w Niemczech historia tego orderu, na widok nie wysła, albowiem zawiera obfity i jeszcze mało znany materyał o piérwszém wydobyciu się alchemii z granic misteryi.

(2) Już w Borel'a Bibliotheca chymica, Paryż 1654, przeszło 4000 dzieł alchimiznych jest wspomnionych; późniejsze przytacza Rothscol't w katalogu swęj biblioteki, Norymberga 1777 roku, i Gmelin w swęj Historii chemii, Gietynga 1798 r.

(3) N. p. Fanianus, de arte metallica metamorph. accedunt variorum Juris-Consultorum judicia et responsa de jure artis alchemiae, an sit ars legitima. Basil. 1576.

ko twórczyni chemii nie mogła ona być w niej pominiętą (1): tak kolosalne w swoim czasie zjawisko, że myślącemu człowiekowi koniecznie nasuwają się te pytania: czy w ogólności zadanie jęj jest możliwem, to jest: ze znanemi nam zasadami natury zgodnóm; oraz czy da się dowieść, że byli ludzie (adepci), którzy tęj sztuki doszli?

Nikt zaiste z prawdziwie uczonych nie zaprzeczy, że nasza wiedza jest dziełem cząstkowém, i że choćby najwyższa, prowadzi jednak do przekonania się że nie nie wiemy. My całą naszą usilność obracamy na odkrycie nieznanych działaczy przyrodzenia; starożytni zaś byli oswojeni z prostemi prawami natury; my usiłujemy zgłębić przyrodzenie poczynając z jego powierzchni, gdy tymczasem starożytni starali się zbadać jego wnętrze. Rozdzielenie spirytualizmu od materyjalizmu, ugruntowane w naukach przez Dekarta, o wiele cofnęło naszą wiedzę w porównaniu z wiedzą starożytnych. Fizyozofia starożytna, która zarazem była teozofią, zaginęła, i zdumiewająca uczoność naszego ostatniego stulecia zajmowała się tylko radykalnóm wytępieniem owęj wiedzy *pierwotnej*, która się w najdawniejszėj historii ludzkości przebija. Ludzie pierwotni byli więcęj dziecinni, bardzięj poetyczni, lepięj pojmujący mowę natury; ludzie tarażniejsi więcęj rozumują; bystrego umysłu, drobiazgowi, porównywający i tylko przez nakręcenie poetyczni; wiek dawny przemawiał w obrazach i patrzył na

(1) Historia alchemii była szczególnięj uprawiana przez Borrichius'a (Hermetis Aegypt. et Chem. sapientia Hafn. 1647 r.) przez Lenglet'a Dufresnoy (Hist. de la Phil. hermet. Paris 1742 r.); przez Schröder'a (Geschichte der aeltesten Chem. Marburg r. 1775); i w nowych czasach przez Schmieder'a (Geschichte der Alch. 1832, Hala).

obrazy; wiek terażniejszy mówi wyrazami a tworzy obrazy. Najpodobniejszym byłoby do prawdy, że owe 42 ksiąg Egipskich kapłanów, o których Klemens Aleksandryjski wzmiankuje, gdyby czytelne ich odpisy znalezione zostały, więcjby zawierały, aniżeli cała biblioteka naszych wiadomości przyrodzonych. To co do nas doszło z téj starożytnej mądrości, sąto dzieła klassyczne filozofów Greckich; do ich zasad najlepsi nasi pisarze przyszli w swych dziełach, nabłakawszy się wprzódymiemało po niezliczonych bezdrożach. Tak najgłośniejszy Oken, który między innemi podał zasadę mającą znaczenie głębokie dla dążności filozofii Hermesowej, powiada: „że w kruszcu zamknięta cała umiejętność przyrodzenia (1).” „Zadanie, mówi daléj wielostronny Kastner, które alchemiści starali się rozwiązać, chcąc dojść wpływu duchów gwiazdowych na martwą ziemską istotę, aby tak ożywionéj materji, jako napełnionej pochodzącém od słońca źródłem wszelkiego życia, użyć na przedłużenie życia ludzkiego, jako téż przez wpływy planetarne podobnego rodzaju istotę ze szlachetniejszych metalów wydobyć, to bowiem na podobieństwo kiełkujących nasion przyswajają sobie części jednorodne z metalów nieszlachetnych, to zadanie nie ma nic nienaturalnego i niedorzecznego (2).” Sami chemicy z powołania zgadzają się, że przemiana metalów może mieć miejsce. „Pytanie, mówi Dandolo, czy można metale pierwiastkiem kwaśnym do tego nasycić stopnia, iżby one przez to zamieniły się w prawdziwe kwasy, bezwzględnie zaprzeczone być nie może, i zdaje się podobnym do prawdy, że manipulacya używana do utworzenia kwasu złota i metalu, późniéj

(1) Naturphilosophie, Jena 1831 r. § 735.

(2) Meteorologie. Erlangen r. 1825, T. II. p. 118.

będzie używana do utworzenia złota (1), a prawie toż samo utrzymywał już dawniej chemik Boumé, co do tworzenia się metalów w ogólności; on mianowicie przypuszczał, że przez połączenie flogistonu z piaskiem zupełnie szklistym, powstaną nowe metale; mniema także że takie postępowanie opierało się na zasadach rozsądniejszych, aniżeli te których używali tak nazwani wyrabiacze złota. „Jakkolwiek mało jestem skłonny (dodaje przytém jego Niemiecki tłómacz, znakomity fizyk Gehlert) do potakiwania marzeniom pospolitych alchemistów, to jednakże zdaje się mi, że rozsądniejsi z pomiędzy nich mieli na widoku ów stosunek flogistyku z martwą ziemią, a zatém dla nich niemartwą (2).” Daléj chemik Green objaśnia kategorycznie: „jeśli metale nie różnią się stosunkiem mieszaniny, w takim razie zamiana metalu może nastąpić; w innym razie nie, lecz czy piérwszy warunek ma miejsce, tego jeszcze dotąd nikt nie doszedł (3)”. Podobne zdania znajdują się u wszystkich nowszych chemików, którzy zajmowali się zgłębieniem tego pytania, jak wiele jeszcze pozostaje do odkrycia w chemii (4), i przyznać należy, że na metal zamiana rud metalicznych, które wszystkie własności kruszczu tracą skoro utracony flogistyk znowu im będzie wrócony, utwierdza owe domysły. Lecz głębsze pod względem filozoficznym ma znaczenie to godne uwagi zjawisko, że wszyscy lu-

(1) *Fondamenti della scienza chemico-fisica, applicati alla formazione de corpi.* Venez. 1795.

(2) *Erläuterte Experimental-Chemie*, tłómaczone przez Gehlerta, Lipsk 1775. p. 190 i 191.

(3) *Handbuch der Chemie*, Hala 1796. III p. 115.

(4) Do nich należy Ferber (*Untersuchung der Hypothese von Verwandlung der Metalle.* Berlin 1788, p. 66). Gmelin (*Lichtenbergs-Magazin der Wissenschaften.* Gietynga 1783, p. 410), Wurzer (*Handbuch der Chemie*, Lipsk 1826 r. p. 182) i wiele innych.

dzie od czasów najdawniejszych, wybrali złoto na okaziciela wartości rzeczy; zdaje się ono za owém zdaniem starożytnych przemawiać, że między najszlachetniejszymi trzech królestw przyrodzenia tworami, człowiekiem, winną latoroślą i złotem, zachodzi związek sympatyczny.

Innój natury jest pytanie, czy alchemia będzie uznana kiedy za rzeczywistą? Niezliczone oszukaństwa, które z tego powodu wydarzyły się, a nadto ta okoliczność, że alchemia pozostaje tajemnicą, w żadnym przypadku nie stanowią zasady, wedle której możnaby było dać odpowiedź przeczącą. Rzadko kiedy oszukaństwo ma pole obszerniejsze do wystąpienia, rzadko kiedy wyjawienie pociąga za sobą większe niebezpieczeństwo jak z powodu téj sztuki. Ten kto ją posiada, idąc za głosem własnej korzyści i roztropności, musi ją utrzymywać w tajemnicy; prawdziwemu zaś jój adeptowi nie przystoi zapewne popisywać się z doświadczeniami przed akademiami umiejętności, lub przed towarzystwami badaczy przyrodzenia. Za istnieniem jój przemawia najprzód *a priori* wielkie mnóstwo pism w tym przedmiocie wydanych; jakkolwiek one są po większej części ciemne, jednakże stale trzymają się jednéj tylko i téj samej teoryi, i wychodzą nie z problemów lecz z faktów; człowiek powątpiewający o tém przeglądając je, musi koniecznie uczynić pytanie, co mogło znakomitych po części autorów zpowodować do napisania grubych tomów kłamstwa? Nie zbywa téż na licznych istnieniach jój dowodach wziętych z *a posteriori*, opartych na przemianach metalów, które rzeczywiście były dokonane bądź przez adeptów, którzy znali się na sztuce, bądź przez takich którzy otrzymali od jakiego znawcy sztuki tynkturę (kamień filozoficzny); zo-

stały one zresztą przez Gülderfalka (1) z dokładnością historyczną zebrane i w ogólności okazują, że *każda* historyczna okoliczność może być zaprzeczona, skoro ją zaprzeczyć zechcemy. Po wszystkie czasy ukazywali się tu i owdzie ludzie powodujący się próżnością, którzy sztukę tę, bądź pod opiekę monarchów formalnie oddawali, bądź ją tylko zaufanym osobom pokazywali. Że ona w naszych czasach, kiedy wiara w nią całkiem zniknęła, już nie ukazuje się i niczego nie dowodzi, jest rzeczą bardzo naturalną. W co ludzie wierzą, to ma swój byt, a w co nie wierzą to go nie ma. Djabeł, czarownik i strachy były wtenczas kiedy wierzono, obecnie kiedy one stały się wymysłem nie mogą się śmiało pokazać, ponieważ nie są uważane za rzeczywistość; dziś więc adept może robić projekcye, a widz poczyta go tylko za zręcznego kuglarza.

Do niewielkiej liczby prawdziwych adeptów, którzy w wickach średnich otwarcie ze swą sztuką popisywali się, należy także Szkot, który pod imieniem Alexandra Sethoniusa z przydomkiem, przez niego samego sobie nadanym, Kosmopolita, od r. 1602 do 1604 wiele krajów objechał. Cała Sędziwoja historia wiąże się z tym człowiekiem, i dlatego o nim trzeba wprzód wzmiankę uczynić. Zaraz po wylądowaniu w Holandyi, przemienił on u właściciela okrętu Hanssen'a w Enkchuysen, dnia 13 marca 1602 r. kawałek ołowiu w złoto (2). W roku następnym okazał on swą sztukę w Zurichu przed wielu uczonymi; pomiędzy nich doktor Dienheim zabrał z nim znajomość w powrocie z Rzymu (3); potem w Bazylei

(1) Sammlung von Transmutationsgeschichte, Hamburg 1751.

(2) Morhoff de transm. metall. epist. Hamburg 1673 p. 148.

(3) Dienheim de univers. medic. Argent. 1610, cap. 24.

w domu aptékarza Bletz'a (1), następnie w Sztrasburgu, gdzie nawet złotnikowi Güssenhöver'owi trochę tynktury udzielił, który z tego powodu na rozkaz cesarza Rudolfa IIgo wzięty był do więzienia; później w Frankfurcie n. M. u kupca Koch'a (2), dalej w Kolonii u złotnika Kempen'a któremu żelazne obcegi przemienił w złoto (3), w końcu w Haelmstädt gdzie u profes. Martini w kollegium gościł; a gdy ten przeciwko alchemii zapalał się, wobec wszystkich studentów kawałek ołowiu przemienił w złoto z temi słowy: *solve mihi hunc syllogismum* (4). W Mnichowie zakochał się on w pięknej córce obywatelskiej (Teressie Rokosz), ożenił się z nią potajemnie i zabrał ją od jój familii; w jój towarzystwie i jednego tylko służącego Szkota, imieniem Hamiltona 1603 roku, dostał się potém do Drezna, gdzie go poczytywano za Angielskiego bogacza, dlatego ubogim rozdawał tylko złote pieniądze; to zwróciło na niego uwagę dworu i spowodowało zaproszenie do Georgenburga, zamku letniego niedaleko Drezna, gdzie naówczas Chrystyan II, młody elektor z dworem swoim przebywał. Dziad tego panującego, elektor August zmarły w r. 1585, i następcą jego syn Chrystyan I^{szy}, również posiadali sztukę Hermesową; mieli oni na swe usługi głośnego adepta Seholda Schwärzer'a który im, jak mówi Kunkel (5), ogrom-

(1) Mongetii Biblio. Chem. curiosa, Gienewa 1702, T. I. praefatio.— Edelgeborne Jungfrau Alchemia, Tübingen 1750 p. 250.

(2) Theatron Chymicum, Francof. 1661 T. VI.

(3) Hoghelande, Historiae aliquot transmut. metallicae etc. Coloniae 1604 r.— Burggraaf Novell. actor. Physic. medicorum. Argent. 1610 p. 310.

(4) Zwelffin, Pharmacopoea regia. Onolzbach. 1652 r. s. 329.

(5) Kunkel von Loewenstern, Chymisches Laboratorium. Lipsk 1716 r. s. 593 i następne. „Die Arbeitsleute aber wurden mit lauter Rheinischen Gulden alle Sonnabend ausgezahlt, darüber

nych summ dostarczał. Lecz po śmierci Chrystyana Igo (1591) z powodu małoletności dziedzicznego księcia, nastąpiła nad krajem opieka księcia Fryderyka Wilhelma z domu Altenburskiego, za czasów której Schwärzer ze swoją sztuką robienia złota dostał odprawę. Elektor młody, rozrzutny i tylko samą rozpucie oddany, nieraz życzył ją sobie mieć wróconą, gdy tymczasem publicznie szydził z niej; szyderstwo takowe bardzo mogło stać się powodem, że Sethonius przed nim i wobec wielu dworzaków, dał próby swojej sztuki. Pomiedzy ostatnimi znajdował się także urodziwy, świetny i układny Polak w kontuszu i żupanie, który za bogatego magnata swego kraju uchodził, a łaskę elektora posiadał tak dalece, że był u niego codziennym gościem: był to Michał Sędziwoj.

Pochodzenie i dawniejsza historia tego człowieka jest ciemna; nazwisko nawet familijne ani się w starożytnych Polskiej szlachty rejestrach wymienia, ani się w naszym czasie napotyka. Wszystko co o nim z podań doszło, da się z większą lub mniejszą pewnością w następującą treść zebrać: Urodził się około roku 1566 we wsi Sądecz pod Krakowem, czy też w okolicach jego, podobno jako syn przypadkowy. Ojciec, Jakób Sędziwoj, był szlachcicem majątnym, wedle podobieństwa rodem z Morawii (1), matka miała być żydówką: pomimo to ojciec przywiązał się do syna z całą miłością, w Krakowie odesłał go na wychowanie do Jezuitów, którzy postrzegłszy w młodzieńcu odznaczające się zdolności, przeznaczyli go do stanu

szlachty, *... sie sich sehr beschwerten, dass man den Reichen Scheidemünze gebe, und die Armen müssten das Gold annehmen.*"

(1) Niektórzy utrzymują że się nazywał Sędzimir, a jego syn Sensophaks. Chociaż rodzina Sędzimirów w Polsce istnieje, jednakowoż to przypuszczenie pozostać musi nierozwiązane, jako niedające się dowiedzieć.

duchownego a nawet na swego braciszka. W tym celu także uczęszczał on do bardzo sławnego wówczas uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, i tam najbardziej oddawał się filozofii, retoryce, i teologii; do nauk zaś przyrodzonych nie okazywał żadnego zamiłowania ani też się nimi zajmował. Gdy miał wstąpić do zgromadzenia Jezuitów, umarł jego ojciec i zostawił mu majątek wprawdzie niewielki, lecz też nie do pogardzenia. Jak tylko Sędziwoj ujrzał się niezależnym panem swojej włości, postanowił żyć podług własnego upodobania, co ze stanem duchownym niebardzo się zgadzało. Nie wiadomo co on najprzód przedsięwziął, jednakże podobna do prawdy, że jako człowiek towarzyski i żyć umiejący, szukał i znalazł towarzystwo z bogatymi panami, którzy wówczas dwór królewski w Krakowie otaczali, i że między nimi wykształcił się na człowieka bardzo światowego. Potem udał się w podróż, i historia dopiero z pewnością znajduje go na dworze elektora Saskiego (1) w r. 1603, kiedy już miał lat około 36.

Projekcyja Sethona wprawiła także w zdumienie Sędziwoja, i obudziła w nim życzenie posiadania tak drogiej sztuki. Zbliżył się więc do Szkota z układnością, towarzyszył mu do Drezna i wkrótce stał się jego domowym przyjacielem, nie będąc jednakże przez niego z istotą sztuki oświadczeniem, i przestając tylko na ogólnych naturalno filozoficznych teoriach lub allegoryach, o ile te zawierały się w książkach alchemicznych. Elektor w tymże czasie starał się usilnie o wyłudzenie od Kosmopolity tajemnicy, przez pochlebstwa i przyrzeczenia; gdy jednakże

(1) Według Goldmajera (Horn. chym. Opolzbach 1656 r.) Sędziwoj miał pobierać nauki w Altdorf i tam poznać się z Sethonem, co jednakże zupełnie fałszywe.

usiłowania te nie odniosły żadnego skutku, a ptak złoty czynił już przygotowania do odlotu w swą stronę, i w tym celu jego służący Hamilton, już wprzód był wysłany; kazał go w nocy schwytać, wtrącić do więzienia i jako czarnoksiężnika oddać pod sąd, który go, gdy nie chciał wydać sztuki, nie wdając się w dalsze dochodzenia zaczął męczyć (1). Sędziwoj starał się tym sposobem piękną Teresę pocieszać; wprawdzie udało się otrzeć nieco jej łzy, jednakże nie zdołał wcale wybadać od niej tajemnicy, o którejj ona sama nie miała żadnego wyobrażenia.

Gdy Sethon przy pierwszym stopniu tortury nic zeznać nie chciał, postąpiono do środków mocniejszych. Ciągnięto jego członki szrubami i pieczono je rozpaloném żelazem; lecz wszelkie boleści zniósł statecznie, albowiem z lekkomyślnością i próżnością, które go tak często prowadziły do nieprzezorności, jednoczyła się w nim wielka moc charakteru w dochowaniu tajemnicy, do czego zapewne zobowiązywała go przysięga. Ilekroć trochę wyzdrowiał, tortury zaczynały się na nowo, póki nareszcie jego ciało nie zostało całkiem wycieńczone. Teraz dopiero spodziewano się, że przedłużone uwięzienie potrafi go uczynić powolnym. Niezdrowe i brudne więzienie stało się jego mieszkaniem, w którym czterdziestu drabantów z gwardyi elektorskiej naprzemiany go strzegło. Jego żona, która w gościnnym domu w Dreźnie mieszkała, wynalazła przystęp do niego. W takim stanie, rzeczy trwały trzy miesiące (2).

Teraz Sędziwoj obrał inną drogę do osiągnięcia celu zamierzonego. Czynił on elektorowi nadzieje, że mu się

(1) Edelgeborne Jungfrau Alchymia. Tübingen 1730 p. 219.

(2) Lenglet Du Fresnoy T. 1, s. 334 i następne.

powiedzie odkryć tajemnicę Szkota, i dlatego prosił o pozwolenie odwiedzania go bez świadków w więzieniu. Elektor przychylił się do życzeń swego ulubieńca. Zaledwo ten znalazł się sam na sam z Sethonem, gdy go zapytał, coby mu ofiarował jeśliby został uwolniony? Tak wiele, odpowiedział, że aż do śmierci byłoby dla niego dosyć. Lecz Sędziwoj nie miał pieniędzy, a Sethon zwierzył się mu, że swój skarb, tynkturę, w miejscu bezpiecznym ukrył, żona zaś jego miała potrzebne tylko na swe utrzymanie pieniądze. Dlategoto trzeba było obmyśleć inny środek do wykonania swych planów. Sędziwoj znalazł radę na to; uwiadomił on elektora, że miał niemyślną nadzieję nakłonienia Szkota do zeznania, przytém wyrobił dla niego wygodniejsze więzienie i lepsze utrzymanie. Gdy swe odwiedziny u niego powtórzył jeszcze kilka razy i piękną Teresę zupełnie pocieszył, uwolnił się od elektora na dni czternaście, dla odbycia koniecznej podróży do Krakowa, pod pozorem zaspokojenia naglących interesów familijnych, rzeczywiście zaś miał zamiar udania się do tego miasta aby tylko sprzedać dom swój (1), i otrzymać tym sposobem pieniądze na uwolnienie Sethona. Wkrótce powrócił do Dreżna z pieniędzmi, odwiedzał codziennie więźnia, hojnie traktował straż i pozyskał tym sposobem jój zaufanie.

Jednego wieczora, przez swego służącego Bodowskiego, dał żołnierzom napić się tyle, że wszyscy się upili. Teraz dopiero udało się mu, chorego i z połamanemi członkami Sethona na przygotowanym wozie najprzód do swego mieszkania w domu zajezdnym przenieść. Tu Sethon wskazał swęj żonie miejsce, w którym tynktura była

(1) Ten dom stał na tém miejscu, gdzie później klasztor Kapucynów. Kalendarz seraficzny, Lwów 1776.

zchowana; po znalezieniu jój, tój samój jeszcze nocy zabrali się do ucieczki, przebyli szczęśliwie granicę Saską wprzód nim wysłana za niemi pogoń doścignąć ich mogła, a ztamtąd dostali się do Krakowa, gdzie byli zupełnie bezpieczni. Jakkolwiek Sethon był w tём mieście troskliwie doglądany, ztémwszystkiém uległ pod skutkami okrutnego połamania kości. Gdy coraz bardziej na zdrowiu słabnął, Sędziwoj w nadgrodeę swego poświęcenia się, domagał się od niego udzielenia sobie tajemnicy tój sztuki, czego adept odmówił. Ukazał tylko na swoje zbolale ciało i zapytał, czyby z nim do tego przyszło, jeśliby nie miał stałego postanowienia co do nieudzielania nikomu swój umiejętności? Chcąc atoli dotrzymać przyrzeczenia, podarował mu jedną uncya kamienia filozoficznego, z której wszakże pomocą wiele mógł dokazać; skoro bowiem tynktura uszlachetniała pięć tysięcy części metalu, to uncya ta warta była blisko 120,000 talarów. Wkrótce potóm (w styczniu 1604) umarł Kosmopolita w objęciach swój żony i w przytomności Sędziwoja (1).

Sędziwoj po śmierci Sethona ożenił się z jego wdową, która mu pozostała większą część tynktury i papiéry zmarłego oddała. Piérwsza czyniła go przynajmniej drugie tyle bogatym; pozostałby on nieznanym, gdyby miał wewnętrzne usposobienie do szczęścia; lecz dla niego posag pięknej wdowy stał się puszką Pandory. W Krakowie zaczął zaraz prowadzić życie książęce, tynktura

(1) Zdarzenie to opowiada Desnoyers, sekretarz Maryi Gonzagi król. Polskiej, podług opowiadań świadków, w liście swym pisanym do Paryża 1651 r. i wydrukowanym w *Trésor de recherches et antiquités gaulois et françaises* przez Borela. Paryż 1655. str. 479 i nast.

przeto bardzo się prędko wyczerpała; zrobione złoto sprzedał on za pośrednictwem jakiegoś żyda (1). Dom jego stał się miejscem zebrania osób najznakomitszych i najuczeńszych w Krakowie. Miał on próżną chęć uchożenia za adepta, ze swęj tynktury nie robił szczególnęj tajemnicy, i używał jęj często w obecności innych. Wydał przytęm z papierów Sethona jednę zupełnie wypracowaną rozprawę, która się ukazała pod tytułem: „*Novum lumen chymicum Cosmopolitae*,” i sprawiła w świecie Hermesa niezwyčajne zadziwienie (2). Niepodobienstwem było, ażeby król Zygmunt III, miłośnik sztuk, który sam w wysokim stopniu znał się na złotnictwie, nie otrzymał wiadomości o tak dziwnym męzu, jakim był Sędziwoj; chciał tęż osobiście cudownęj jego przypatrzeć się sztuce. Nie dał się on długo prosić, w obecności króla tynkturował srebro, dane sobie przez tegoż, na dobre złoto. Monarcha był zachwycony, że nareszcie ujrzał prawdziwego adepta, a do tego jeszcze w liczbie swęj szlachty; obsypał go grzecznościami. Zaradzenie jego utyskiwaniu na wyczerpany przez wojnę skarb korony i rzeczypospolitéj, Sędziwoj, z pobudek roztropności odłożył na czas późniejszy, dając za pozór że na pogotowiu nie ma tynktury w ilości dostatecznej; musi ją dopięro na nowo przygotować. Król, któremu wówczas bardzo chodziło o przyjaźń swego szwagra cesarza Niemieckiego Rudolfa II, gorliwego badacza we wszystkich umiejętnościach tajemnych, postanowił dla za-

(1) Żyda tego zastał jeszcze Desnoyers w Krakowie przy życiu, i słytał jego opowiadanie.

(2) Pięrsze wydanie ukazało się w Pradze 1604, drugie we Frankfurcie 1606, trzecie w Paryżu 1608, czwarte w Kolonii 1610; piąte tamże 1617; Niemieckie wyszło w Lipsku 1682, pod tytułem: „*Chymisches Kleinod*.”

bawienia cesarza użyć pośrednictwa swego Polskiego adepta. Polecił mu więc z własnoręcznym swym piśmie udać się do Pragi, wręczyć je cesarzowi, jako też swoje sztukę przed nim okazać. Sędziwoj z ukontentowaniem przyjął to zaszczytne zlecenie, i udał się w tym samym jeszcze roku (1604) w towarzystwie swego sługi, Boddowskiego, do Pragi (1).

Dwór cesarza Rudolfa II był wówczas miejscem zebrania się najgłośniejszych mistyków; sam cesarz był jakby księciem alchemistów. Urodzony w Wiedniu 1552 r., wychowany zaś w Hiszpanii na dworze Filipa II, zawczasu już nabrał skłonności do umiejętności tajemnych. W pierwszych latach swego panowania (od r. 1576, jako cesarz) poświęcał się on z zaufaniem pracom około rządu; astrologia zaś, magia i alchemia tylko jako nauki ulubione, zapełniały godziny od zatrudnień wolne. Później atoli prawie całkiem uchylił się od spraw rządzenia, zamknął się w swoim zamku w Pradze, i oddał się zupełnie badaniom tajemniczym. Obok tych prac Tycho de Brahe i Kepler, użyczali mu pomocy do obliczeń astrologicznych, a Mac Dee (Anglik) otworzył mu państwo duchów.

Jego lekarze nadworni (2) i pokojowcy (3), byli alchemistami i pomagali mu w jego pracach w laboratoryum; wszyscy podróżujący adepci byli u niego przyjmowani i codziennie go odwiedzali. Wieść niesie, że i sam znał się na sztuce gruntownie (4).

(1) Desnoyers i Fresnoy I. str. 341.

(2) Między tymi najgłośniejsi byli Tadeusz von Hayek, Michał Mayer i Marcin Ruhland.

(3) Najznakomitsi pomiędzy tymi nazywali się Hans Marquard, przezwany Dürbach, Jan Frank, Marcin Rutzke i Włoch Marchodaeus de Delle, który był nadwornym poetą alchemicznym.

(4) Tak np. Edelgeborne Jungfrau Alchymie (p. 66-77) opowiada, że między pozostałościami jego, znaleziono oprócz szarej tynktury, 84 cetn. złota, i 60 cetn. srebra w cegiełkach lanych.

Sędziwoj na szczególném posłuchaniu podał cesarzowi pismo króla Polskiego; był przyjęty bardzo łaskawie i zaproszony do stołu; uczeni alchemiczni doktorowie największe poważanie okazywali mu, jako autorowi dzieła: *Novum lumen chymicum*. Po stole wydobyl on ze słoniowej puszkii nieco tynktury i zaprosił cesarza, aby sam przed kominem doświadczył jój na ołowiu, który przy tyglu leżał. Monarcha za jój pomocą zamienił go w złoto własnoręcznie, i był tak ucieszony ze znalezienia prawdziwego znawcy sztuki, że na tę pamiątkę rozkazał nad kominem wprawić tablicę marmurową z ułożonym przez siebie w złąj łacinie napisem: „*Faciat hoc quispiam alius, quod fecit Sendivogius Polonus* (1)”. Naturalnie, że i w tym razie Sędziwoj podał się za posiadacza sztuki i za wyrabiającego tynkturę; świetne jego u dworu przyjęcie, gdzie jeszcze przez wiele dni bawił, jako téż tablica marmurowa niezwłocznie wprawiona, sprawiły wielkie dla niego poważanie między dworzanami. Jeden z pomiędzy nich, hrabia Morawski, szczególniej czyhał na słoniową puszkę.

Gdy potem Sędziwoj, w towarzystwie swego służącego Bodowskiego, przez lasy Czeskie do Krakowa wracał, czatował na niego ze swemi ludźmi Morawski, który opodal od drogi w lesie miał zamek, opanował adepta, osadził go w wieży swego zamku, szczęśliwym atoli sposobem Bodowski, który w drodze nosił zawsze tynkturę przy sobie, z nią uciekł, i wypatrzył dokąd jego pana uprowadzono. Morawski nie znalazłszy tynktury przy więźniu zapowiedział, że póty go nie uwolni póki mu

(1) Desnoyers powiada, że tablica ta za jego czasu (1650) jeszcze na swym miejscu znajdowała się (Fresnoy I. p. 339).

nie udzieli tajemnicy jęj przyrządzenia. Lecz wkrótce Bodowski przebrany, znalazł sposób przybliżenia się do zamku i podania swemu panu do ręki napilnika i sznura. Za pomocą pierwszego przepiłował on żelazną w oknie kratę, a po drugim spuścił się z muru; na dole oczekiwał Bodowski, z którym udał się do Pragi aby zanieść skargę do cesarza. Rudolf był srodze rozgniewany na hr. Morawskiego, i z początku chciał wydać rozkaz ścięcia go, lecz w końcu ulaskawił z warunkiem, że skrzywdzonemu odstąpi majątek Krawarz, nad granicą Szlązko-Polską położony, jako wynadgodzenie. Stało się temu zadość, i Sędziwoj z listem lennym cesarskim na tę majątność, wrócił szczęśliwie do Krakowa, gdzie żona jego powiła mu w tym czasie córkę (1).

Król Zygmunt był tak uradowany z listu dziękczynnego, przyniesionego mu od cesarza przez Sędziwoja, że dał przynoszącemu tytuł: liber baro de Sereskau, ale zarazem prosił go zająć się niezwłocznie jak najgorliwiej przygotowaniem nowęj tynktury, w celu pokrzepienia finansów, bardzo przez wojnę Szwedzką wyczerpionych. Tymczasem zaledwo adept uciskany temi okolicznościami, doprowadził do końca kosztowne laboratorium, i jak przykuty dzień i noc mozolił się nad papierami pozostałemi po Sethonie, gdy nowa, dość dla niego pomyslna okoliczność nastąpiła. Doszedł do króla list księcia Fryderyka Wirtemberskiego, także gorliwego alchemisty, w którym wynurzył królowi życzenie, aby mógł poznać się osobiście z cudownym mężem Sędziwojem i o przyślanie go upraszał. Król miał powody do zaspokojenia tęg prośby, i wkrótce potęm liber baro Sereskau, w lecie

(1) Lenglet du Fresnoy I, p. 339.



1605 roku, ze świetnym orszakiem udał się do Sztutgardu (1) z Bodowskim, który miał tynkturę w złotej skrzyneczce na piersiach, i sam nawet fabrykował złoto, gdy tego kassa podróżna wymagała.

Książę Fryderyk Wirtembergski w miasteczku Gross-Sachsenheim niedaleko Sztutgardu, swojej rezydencji, utrzymywał mnóstwo alchemistów, którzy go narażali na wydatki o wiele przechodzące jego dochody. Stany krajowe nieraz usilnie nalegały na niego ażeby odstąpił tego zamiłowania, lecz napróżno; odkryte oszukaństwo mogło go tylko rozgniewać, lecz nie odwieść od wierzenia w prawdziwość alchemii. Jeszcze wprzód był on przez alchemistę, imieniem Jerzego Honauer, na dwie beczki złota oszukany; ujęto oszusta i książę w roku 1597 na postrach innym, kazał go w pozłocanej szacie na żelaznej szubienicy powiesić. Teraz był niejaki pan von Mühlensfels, jego najstarszym nadwornym alchemistą i ulubieńcem. Człowiek ten, dawniej czeladnik cerulicki imieniem Henryk Müller, służąc za pomocnika przejeżdżającemu alchemikowi Rappolt, nauczył się u niego różnych sztuk kuglarskich chemicznych; i takię bezczelności doszedł, że się z temi sztukami przed cesarzem Rudolfem popisował; chepił się on np. że był tak mocny jak żelazo, i pozwalał strzelać do siebie kulami (może z mieszaniny ołowianęj zrobionemi); także robił on z żywego srebra złoto, które potrafił z ręcznie wprzód do tygła wrzucić. Cesarz ubawił się, zapłacił mu, i mianował go panem von Mühlensfels. Z tym wawrzynem przybył on do Sztutgardu, wszedł do służby księcia Fryderyka i otrzymał tytuł amtmana. Pracował dla swego pana, i starał się pozyskać jego zaufanie wszelkiego rodzaju

(1) Fegefeuer der Scheidekunst. Hamburg 1702 p. 88.



podstępami. Jego żona, dawniej czarowna piękność, była tak jak on przebiegła, i pod względem cnoty bardzo dwuznaczna (1).

Książę przyjął Sędziwoja nadzwyczaj łaskawie, uważał go u siebie jako przyjaciela domu, i prosił o projekcyę. Obsypany pochlebstwami, dał ich dwie. Książę był zachwycony skutkami przez siebie widzianemi, považał gościa jak równego sobie, upraszał o stałe przy sobie zamieszkanie, i w tym celu podarował mu piękną majątność Nejdlingen. Ta łaska wprawiała spadkobiercę Sethona w niemały kłopot; chociażby bowiem ją przyjął, nie mógłby wykonać tego, czego odeń wymagano. Podczas gdy się namyślał nad tém, co mu czynić wypadało, zazdrość nadwornego alchemisty Mühlenfelsa wydobyła go z trudnego położenia. Dworzanin obawiał się, aby Sędziwoj nie wydał go przed księciem i nie stał się przyczyną jego oddalenia; wiadomośc zaś o tém, że się mu piękny majątek Nejdlingen dostaje, wprawiała go naostatek w wściekłość. Postanowił więc zgubić wydziercę sposobu do życia. W tym celu jego żona miała być użyć wszystkich środków zalotności swojej, aby dwornego Polaka przyciągnąć do siebie. Ostrzegła go zaraz, aby nie ułał łasce księcia, który chce go tylko ułudzić a potem na torturach wymódcz od niego tajemnicę; zapewniła go przytém, że wkrótce tak będzie strzeżony iż nie potrafi uciec. Postrzegłszy że Sędziwoj w to ostrzeżenie uwierzył, wskazała mu sama drogę, którąby co prędzej dostał się do granicy; służący zaś jego Boddowski, z dwoma innymi, później się miał z nim połączyć.

(1) Murr's Litterarische Nachrichten zur Geschichte der sogenannten Goldmachens, Leipzig 1806 p. 54—79. Równie Sattler's Geschichte der Herzoge von Wirttemberg T. IV, p. 52.

Sędziwoj wpadł w tę zasadzkę. Dawszy potajemnie znać Bodowskiemu, w jakim miejscu i czasie po przebyciu granicy miał na niego oczekiwać, sam skrycie, tynkturę tylko przy sobie mając, ze Sztutgardu uciekł wskazaną sobie drogą. Tu atoli czatowali na niego zapłaćeni przez Mühlenfelsa, przytrzymali go podobno w imieniu księcia, zrabowali, zabrali także złotą skrzyneczkę z tynkturą, i w nocy zaprowadzili go do zamku Kirchheim, gdzie Mühlenfels jako amtman mieszkał; tam Sędziwoj nie wiedząc zresztą gdzie się znajduje, w więzieniu zamkowym osadzony został (1).

Nagle zniknienie wielce poważanego adepta, niepomalu zdziwiło księcia, tém bardziej, że i pozostali jego służący napozór także okazywali się tém zdziwieni; książę obdarzył ich i pozwolił im odjechać. Mühlenfels radził mu zapomnieć niewdzięcznika, podjął się wykonania tego samego, co tamten obiecywał, i poruszoną swego pana wątpliwość, pokonał szczęśliwą projekcją za pomocą zrabowanej tynktury. Majątek Nejdlingen jemu był darowany. Skoro tylko objął go w posiadanie, kazał tamże i więźnia przenieść. W końcu i sam zapragnął uwolnić się od niego jako od niepotrzebnego ciężaru, podał mu przeto sposobność do ucieczki, słusznie przewidując, że uciśniony nie będzie się ociążał z opuszczeniem kraju. W tym celu kazał uwięzionemu podsunąć potajemnie napilnik do przepiłowania w oknie kraty; Sędziwoj korzystał ze sposobu, spuścił się po prześciéradle, a po półtoraletniém uwięzieniu, w najędźniejszym zebraka stanie dostał się do Augsburga.

Trafiło się, że w tém mieście spotkał na ulicy Jana Kundler, dawniejszego pokojowca księcia, który mu

(1) Murr's Litt. Nachrichten. Lenglet du Fresnoy.

u dworu usługiwał. Ten mu odkrył zupełną niewinność księcia co do uwięzienia go, złożył winę na Mühlensfela i opowiedział że król Polski przysłał do księcia groźną notę w której domagał się uwolnienia go bez zwłoki; na co książę bardzo się zdumiał. Objaśniony Sędziwoj nie omieszkał podać z Augsburga do księcia zażalenie na Mühlensfela i upraszać w niem tak o ukaranie winnego, jako téż o zwrot zabranéj tynktury. Niezmiernie z tego powodu rozgniewany książę, kazał natychmiast zchwycić Mühlensfela i tajemnie przesłuchać. Gdy łotrowi pogrożono torturami, przyznał się do wszystkiego równie jak i do wielu innych oszukaństw przedtém popełnionych; lecz tynktury nic się już przy nim nie znajdowało. W skutek tego przesłuchania, w roku 1607, został on na mocy wyroku i prawa, w Sztutgardzie powieszony (1).

Sędziwoj, który odtąd przestał już być adeptem, w najopłakanym stanie dostał się do Krakowa; zastał tam swoje żonę i córkę w najlepszym byciu, chociaż także i w żałobie po nim. Król Zygmunt udzielał im tymczasowego wsparcia a jego spowiednik, sławny Jezuita i kaznodzieja Skarga, ciągle pięknej jeszcze Teresie dawał pociechę duchowną. Zygmunt przyjął wracającego z wewnętrznym żalem, lecz razem i z nadzieją, że odtąd całkiem się jego interesowi poświęci. Przyrzekł to mniemany adept, a król ze swéj strony kazał przeznaczyć mu dość znaczną summę tytułem wynagrodzenia i na rozpoczęcie prac nowych. Z wiernym Bodowskim, który także znalazł się w Krakowie, wziął się odtąd Sędziwoj do urzędzenia

(1) W Murr'a Litterarischen Nachrichten znajduje się wydrukowane z akt całe przesłuchanie Mühlensfela, całe więc to zdarzenie jest autentyczne.

swego laboratorium. W niem zajmował się nieustannie doświadczeniami chemicznymi; mniemał on że znajdzie do tego skazówkę bądź w autorach alchemicznych, klasycznych, bądź w papierach Sethona. Wreszcie nie było prawie żadnego materiału, w którymby on kamienia mądrości nie szukał. Tak upływały jedne po drugim lata a on byłby zupełnie swoją sławę stracił, jeśliby nie umiał jak aktor poeta, dobrze swojej roli odegrać. Straciwszy teraz swoją podporę, zchodził stopniowo na pospolitego oszusta, dlatego że przywłaszczoną sławę zanadto chciał utrzymać. Liczył na wybiegi i oszustwa, aby pozyskaną wziętość uratować. Owszem rozgłaszał, że mu zbywało tylko na nakładzie do przysposobiania tynktury; na nowo dostawał zapomogi od łatwowiernych. Przed niektórymi udawał, że niby jeszcze posiadał resztę tynktury, i pokazywał im fałszywe przemiany. Przez takie obroty i przez swe pisma, do których mu papiéry Sethona podawały materiał nowy i bogaty, ciągle on podpierał swoją sławę; chociaż ta za granicą była daleko większą aniżeli w kraju.

Jego sztuki alchemiczne były rozmaite i w części do-
wcipne. Tak np. cesarzowi Ferdynandowi II, któremu w Pradze złożył uszanowanie, pokazywał talara i jedną jego stronę zamienił w złoto. Tę samą sztukę powtórzył potem z drugiej strony, a to tym sposobem że zlutował szczerlnie blaszkę złotą i srebrną, na obie strony dał wy-
cisnąć stępl talara i potem stronę złotą pociągnął ży-
wem srebrem; gdy zaś tę ostatnią tynkturował pozornie, i w tym celu trzymał nad ogniem z węgla, wtedy ży-
we srebro ulotniło się a ukazało się złoto (1). Podobnym

(1) Fresnoy T. I, p. 342.

sposobem powstał sławny talar, który Desnoyers z Krakowa przywiózł z sobą do Paryża i tam, jako osobliwość pozostałą po głośnym Polaku, chemikom pokazywał (1). Sędziwoj wprawiał także w zadziwienie łatwowiernych przez proste pozłacanie. Mianowicie poznał monety srebrne w promienie mokrym pędzlem, posypał je proszkiem i rozpałał potem nad węglami, przez co rysy zamieniały się w złoto, to jest pozłacały się. Prostsze było oszustwo popełnione przezeń marszałkowi koronnemu Wolskiemu i wojewodzie Mniszkowi. Pierwszy pożyczł mu na jego prace 1000 talarów, których wcale nie odebrał, ostatni zaś za 800 dukatów które mu zaliczył, odebrał napowrót niby tynkturowaną złota bryłę, która warta była tylko 400 dukatów (2). Pierwszy groził mu procesem kryminalnym; takie i tym podobne nieprzyjemności spowodowały go może do opuszczenia na zawsze Krakowa około r. 1617, i udania się do swego majątku Krawarz, pod opiekę Austryacką. Wkrótce umarła tam jego żona a później wyszła za mąż jego córka.

Sędziwoj w swém wiejskiem ustroniu dzielił swe zatrudnienia między prace w laboratorium, pisma i korespondencye z najznakomitszymi alchemistami i filozofami Europy. Niekiedy odbierał odwiedziny ciekawych uczonych, którzy przybywali dla poznania się z nim osobiście. Tak najprzód przybyła do niego deputacya Niemieckich Rosenkreuzer'ów (Różo-krzyżowców), która mu przyniosła pismo zakonu, opatrzone dwunastu pieczęciami. W liście tym rozszerzano się z uszanowaniem nad tajemnicą kamienia mądrości, i posłowie nie zanie-

(1) Borel, Trésor des antiquités p. 488.

(2) Wiszniewski, Bakona Metoda tłumaczenia natury, z wiadomością o Sędziwoju alchemiku Polskim, w Krakowie 1834 r.

dbali dać mu jawnie błogosławieństwa ze strony Różo-krzyżowców. Było to zapewne komicznie, jak jeden od drugiego chciał się czegoś dowiedzieć, a tymczasem oba nie nie wiedzieli. Sędziwoj zrobił poważną minę i grzecznie dziękował za cześć okazaną. Gdy potem Różo-krzyżowcy stracili zapewne nadzieję zobowiązania go jako brata, do udzielenia im mniemanąj umiejętności, starali się przynajmniej odnieść korzyść z jego sławy, skoro w jego pismach (1) wyraźnie do zrozumienia dawało, że Sędziwoj do ich bractwa należy (2).

Życie dalsze tego znakomitego Polaka upłynęło tym sposobem w wiejskim ustroniu. W podeszłym wieku stawał się coraz dziwniejszym; przestawał tylko z Bodowskim (który o wiele go przeżył, ponieważ był młodszym) (3); umarł w Krawarzu w r. 1646, przeżywszy lat osmdziesiąt. Liczba jego pism wydanych, które noszą anagrammę: *Divi Leschi genus amo* albo *Angelus doce mihi jus* (Michael Sendivogius), jest niewielka i ogranicza się na następujących:

1) *Tractatus de sulphure*: wydanie Gienewskie (1653 i 1673), Frankfurckie (1678) i Lipskie (1682).

(1) W swém mianowicie dziele *Zwierciadło Różo-krzyżowcze* (*Speculum rhodostauroticum*), w r. 1618 wydaném.

(2) Stało się ono dopiero od r. 1604 znaném, w którym tajemnicze jego podobno w grobie jakiegoś Chrystyana *Rosengkrenz* znalezione zostały; ten objechał Wschód w r. 1378 i ztamąd przywiózł je z sobą. Pomimo to, Różo-krzyżowstwo jest stopień wolno mularstwa, w taki sposób, że laik nie wie co ma sądzić o innym z zakonu swojego; zresztą mamy dość liczną literaturę o tym przedmiocie. Ob. *Semler's unparteiische Sammlung zur Historie der Rosenkreuzer*. Lipsk 1786.

(3) Wiele szczegółów ściągających się do Sędziwoja, opiera się na opowiadaniach tego Bodowskiego, którego Desnoyers, Lange i Fresnoy, wszędzie za świadka przywodzą.

2) *Dialogus Mercurii alchymistae et naturae*, wydanie Paryzkie (1608), Kolonjskie (1612 i 1614), i Sztrasburskie (1659). Zapewne także przez Sethona napisane.

3) *Aenigma philosophicum*, przedrukowane w *Theatrum chymicum*, Tom IV.

4) *Epistolae apographae, hactenus ineditae*, przedrukowane w *Bibl. Chem. Mangeti* Tom II; trudno przypuścić aby to dzieło było Sędziwoja, skoro pierwszy list pisany jest z *Bruxelli*, r. 1646 w którym on umarł.

Niesłusznie przypisują mu także rozprawy *De sale philosophorum* i *Lucerna salis phil.* dowiedziono bowiem, że autorem pierwszój jest Francuz Nuysemont, a drugiej Niemiec Harpprecht; ten ostatni, syn profesora w Tübingen i tam r. 1610 urodzony, przez wielkie uszanowanie dla Sędziwoja *filius Sendivogii* nazwał się, i dlatego przez niewiadomych już za jego syna już za zięcia był poczytywany. Jest także wydanie wszystkich pism Sędziwoja, przez Rothscholz'a, w Norymberdze 1718 r.

Chociaż opowiedziane okoliczności nie są pocieszające dla alchemisty, który z dzieł Sędziwoja uczyć się zechce; ztemwszystkiem u znawców mają one bardzo wielką wartość. Ten szczególny przekonywa dostatecznie, że treść ich istotna wychodzi z papierów pozostałych po Kosmopolicie, które jego obrotny i naukowo ukształcony spadkobierca potrafił dobrze uporządkować. Wizerunek jego, wzięty z oryginalnego portretu, który był u cesarza Rudolfa II, ma być bardzo podobny; znajduje się na początku trzeciego wydania *Novum lumen chymicum*, i wystawia go w Polskim ubiorze.

Na zakończenie tego należy tu jeszcze uczynić uwagę, że nie sam Sędziwoj był głośnym alchemistą z Pola-

ków. Piérwszym i także bardzo znanym, był Wincenty Koffski, dominikan w Gdańsku, zmarły tamże 1488. Napisał on rozprawę *De prima materia veterum lapidis philosophorum*, która r. 1560, w korytarzu krzyżowym jego klasztoru zamurowana, znalezioną była, i wielu wydań i przekładów doczekała.

O ŻEGLUDZE PAROWÉJ,

a mianowicie o zastosowaniu w niej szruby
Archimedes'a (Hélice).

PRZEZ

Konstantego Reudzińskiego

Inżyniera Machin przy Wydziale Górnicztwa Krajowego.

Pierwsza myśl zastosowania machin parowych do żeglugi, dosyć już jest dawną. Powstaje ona prawie z chwilą odkrycia saméjże maszyny parowój, bo już Papin chciał użyć swojéj maszyny do nadania ruchu statkowi. Pierwsze jednak próby w téj mierze czynił Périer w 1775 na Sekwanie, a 1781 ponowił je p. Geoffroi na Saonie, lubo ani ten ani tamten pożądanego skutku nie odnieśli.

Dopiero w 1807 roku, Fulton Amerykanin, opierając się na dwóch poprzednich doświadczeniach, zajął się rozbiciem dalszych poszukiwań, a zwłaszcza wykryciem wad jakie poprzednicy jego popełnili; zakupił na ten cel od sławnego Watta, maszynę parową o sile 20 koni parowych, co już może być poczytane za wielki krok, gdy

do prób poprzednich używano tylko machin o sile 2 do 3 koni, które nie będąc w stanie oparcia się pędowi wody, nie mogły statku pociągnąć.

Pierwszy statek Fultona odbywał od Nowego Yorku 60 mil (*lieues*) w górę w przeciagu 30tu godzin, teraz ta sama przestrzeń przebywana jest w 10ciu niespełna godzinach. Tento pierwszy statek, dziś już tak użyteczny, nadał swojemu wynalazcy tytuł do nieśmiertelności; Fulton bowiem jest powszechnie uważany za twórcę żeglugi parowej. Fulton był ze wszech miar wielkim człowiekiem, zajmował się wielu ważnemi wynalazkami; jedném z jego odkryć jest Panorama. Lecz dopiero 1818 roku zrobiono pierwszy okręt parowy, mogący puścić się na morze. Na pierwszych statkach parowych machina tak wielki robiła hałas, że trzeba było podróżnych umieszczać w barce przyczepionej tuż poza statkiem.

Takie było powszechnie mniemanie co do historyi wynalazku statków parowych, gdy w 1841 roku odkryto ważne dokumenta w archiwum biblioteki królewskiej w Salamance (w Hiszpanii). W przejeździe mym przez *Bezières* w południowej Francyi, w 1843 r. otrzymałem z uprzejmości tamecznego bibliotekarza królewskiego, następujący wyciąg z bardzo ciekawego, zachowującego się tam dokumentu w rękopisie, który później miał być podobno drukiem ogłoszony.

Dokumenta archiwum biblioteki królewskiej w Salamance, przekonywają autentycznie o zastosowaniu pary do żeglugi i o pierwszych próbach odbytych w Hiszpanii, gdy tymczasem odkrycia te przypisywano dotąd Francyi i Anglii. Brzmia one jak następuje: „W połowie 16 wieku 1543, *don Blasco de Garray*, kapitan okrętu, przedstawił cesarzowi Niemieckiemu królowi Hiszpan-

skiemu Karolowi V machinę, poruszaną siłą pary wodnej, za pomocą której statek jakiej bądź wielkości, jest w stanie pływać po spokojnym morzu, bez pomocy wiosel lub żagli.

Karol IV^{ty} nakazał czynienie doświadczeń, które się odbyły w porcie Barcelony 17 czerwca 1543 r. i otrzymały najpomysłniejszy skutek. Użytym był na ten cel statek o 200 beczkach, zwany *La Santissima Trinitas*, dowodzony przez kapitana *don Pedro de Seara*, który przybył do Barcelony ze zbożem.

Pierwszej próbie byli obecni cesarz *Karol V^{ty}*, syn jego *Filip II*, tudzież *don Euryk z Toledo*, gubernator *don Pedro Cordono*, wielki podskarbi *Ravego*, i wicekanclerz *don Francisco Gralla*, niemniej wielka ilość znakomitych osób Kastylii i Katalonii, tudzież wielu oficerów lądowych i morskich, z których jedni na lądzie drudzy na pokładzie statku, z niecierpliwością oczekiwali rozpoczęcia próby. Cesarz, książęta i znakomite osoby przytomne doświadczeniom, z największym podziwieniem śledzili najmniejsze ruchy maszyny, i nie mogli się dosyć nadziwić łatwości z jaką kierowano i manewrowano okrętem. Lecz wielki podskarbi państwa, *Ravego*, miał sobie za obowiązek odradzać przyjęcie tego systemu do marynarki królewskiej, gdyż podług niego, mechanizm był za nadto skomplikowany, za nadto kosztowny, i eksplozja kotła zbyt łatwa, groziła niebezpieczeństwem. Kommissya szczegółowa którą wyznaczono do złożenia raportu, ograniczyła się zatem na potwierdzeniu widzialnego stanu rzeczy, to jest, że wynalazek ten wiele obiecywał przyszłości, że lubo niedoskonały, jednak okręt mocą pary przebiegał zrazu dwie mile w trzech godzinach, a nareszcie milę na godzinę, i że będzie mo-

zna otrzymać z czasem dwa razy większą prędkość niż zwyczajnej galery. Karol V^{ty} nie zajmował się odtąd wynalazkiem sławnego *Blasco de Garray*, kazał mu tylko zaliczyć koszta na jakie go liczne doświadczenia naraziły, jak niemniej wynagrodzenie 200,000 marewedów. Przyobieczał mu zarazem swą opiekę i wyniesienie na pierwsze godności w marynarce królewskiej Hiszpańskiej. Sławny Raynouard, członek akademii Francuzkiej, napisał na cześć wynalazcy balladę, którą w 1543 roku z zapalem lud śpiewał po ulicach Barcellony.”

Od 1818 roku, czyli od zrobienia pierwszego statku parowego, mogącego puścić się na morze, ważny ten przedmiot był celem poszukiwań i ciągłej nauki ze strony najbieglejszych inżynierów i marynarzy; starano się o ustalenie teoryi i podciągnięcie pod prawidła matematyczne zasad, których dotychczasowo przez próby i doświadczenie dojść potrafiiono.

Ażeby znaleźć potrzebną siłę do poruszenia statku z daną prędkością, w wodzie bieżącej, potrzeba zdeterminować następujące zadania, które będą stanowiły wyrazy znane, wchodzące do równań dosyć zawikłanych, jakoto:

1) Rozmiary statku, jego długość, szerokość i zagłębienie w wodzie.

2) Głębokość wody na jakiej statek ma żeglować.

3) Szerokość i wysokość łopatek od kół ruch nadających, które im bardziej pograżają się w wodę, tym więcej znajdując oporu, większą mogą nadać prędkość statkowi, który zarazem mniej wody potrzebować będzie. Średnica kół skrzydłowych jest również ilością wchodzącą w rachunek.

4) Nakoniec prędkość bezwzględna skrzydeł na ich średnim obwodzie.

Opór jakiego statek doznaje od wody, jest w stosunku kwadratów z prędkości, z jaką statek porusza się pod wodę, lub prędkości z jaką woda płynie gdy statek ma iść pod wodę. Jednakże ten opór nie jest bezwzględnym, wiele bowiem zależy od nieprzejęcia pewnej granicy co do prędkości statku; doświadczenia robione w tym celu dowiodły: że skoro uzyskaną została pewna prędkość proporcjonalna do głębokości wody, poza tą prędkością opór nie jest proporcjonalny ani do masy wody, ani do przecięcia poprzecznego statku.

Praktycy oceniają zwykle współczynnik praktyczny, oznaczający stratę z przyczyny ślizgania się skrzydeł i łopatek w wodzie, na 0,50 siły całkowitej. Zadanie podobnego rodzaju, jest jednym z najdłuższych i najzawiakłańszych w matematyce stosowanej, gdyż wyrazy wchodzące w równanie, są bardzo różne i niezależne od siebie; może być jednak bardzo uproszczonem w praktyce, i sprowadzonem do następnego:

Prędkość statku parowego, równa się prędkości wody w jakiej ma się poruszać, rozmnożonej przez współczynnika zmiany przy każdej różnicy co do konstrukcyi statku, tudzież zależć będzie od średnicy kół ruch nadających, i od głębokości wody w jakiej ma się próba odbywać. Ten współczynnik zmienia się od 0,25 prędkości bezwzględnej, do 60, co jest maximum największej prędkości jaką otrzymano na spokojnej wodzie i przy najlepszej konstrukcyi statku. Nie jest wprawdzie rzeczą obojętną nadać tę lub owę formę części przedniej okrętu (la proue), a nawet robiąc ją spiczastą i wysmukłą, nie zmniejszą się bynajmniej oporu, jakiego od wody doznaje,

jeżeli część statku zanurzona, nie zostaje w należytem stosunku do całości. Massa wody wypchniętej, w stosunku wielkości statku, jest ta sama przy jakiegokolwiek formie przecięcia zanurzonej części, i zależy tylko od wagi całkowitej okrętu, lecz ilość wypchniętej wody wpływa nieskończenie na prędkość, z jaką statek poruszać się będzie; gdyż płyn ten będąc bardzo mało sprężystym, tym więcej się opiera rozdzieleniu swych cząstek i prędkość poruszającego się w nim ciała jest większą. Kształt zatem statku, ma głównie na celu zmniejszenie tarcia, przez utrudzenia w formowaniu się bałwanów po bokach, przez co prędkość okrętu jest większą i ruch jego łatwiejszy.

Zapatrując się na wzory jakie nam sama natura przedstawia, uznano, że statki powinny być wypukłe od przodu ku środkowi, odkąd znów do rudła powinny się zwięźać, gdyż taka jest budowa ryb i ptaków pływających. Liczne doświadczenia, czynione w Anglii na statkach chodzących z wielką prędkością, rzuciły wiele światła na ten przedmiot, wyjaśniając zwłaszcza nieznaną dotąd wpływ na ruch okrętu tworzących się bałwanów, odmiennego zupełnie rodzaju od tych które się tworzą przed nim lub za nim. W pierwszym razie tworzą one niejako górę przed okrętem, która jest ciągle podsycana i utrzymywaną przez sam bieg ciała pływającego. To nagromadzenie wody jest powodem oporu tym większego, im te bałwany więcej statek podnoszą od przodku ku tyłowi, niszcząc przez to równowagę niezbędną do osiągnięcia pożądanego celu.

Przeciwnie bałwan w kierunku biegu statku, powstający mniej więcej w połowie jego długości, stara się niejako unosić okręt do góry, niby wyjmując go z wody, co oczywiście ułatwia niezmiernie ruch jego, zmniejsza opór

ze strony balwanów wody, i tworzy niejako żłobek przed okrętem w który się on zagłębia.

Na téjto zasadzie przypadkowo odkrytj, zbudowano statki chodzące we Francyi z niesłychaną prędkością (*les Rapides*), tak jednakże ich forma jest w harmonii z ruchem, że bynajmniej prędki ich pochod nie rozdziela wody z gwałtownością, któraby jej nadała moc do niszczenia grobli, jakimi po większej części spławne rzeki Francyi w całej długości są powzmocniane.

Średnica kół ruch nadających, jest również ważnym przedmiotem do obserwacyi, zwłaszcza dla dwóch powodów: 1) prędkości łopatek, 2) czasu trwania pożytecznego działania łopatki w wodzie zanurzonej; koło małej średnicy musi oczywiście obracać się z większą szybkością, aby nadać łopatom daną prędkość, przez co wpływać będzie na tém prędsze zużycie się machin parowych, im ilość obrotów będzie większą w tymże samym czasie. Z drugiej strony łopatki koła małej średnicy, tylko bardzo krótki czas w wodzie zostając, nie działają na nią dostatecznie w kierunku poziomym; że zaś łopatki w tym tylko czasie użytecznie działają w którym poziomo cisną na wodę, jest więc rzeczą oczywistą, że koła większej średnicy przyczyniając się znacznie do tego wywierania siły poziomój, przedstawiają nieskończenie większe korzyści nad koła mniejszej średnicy. Skuteczniej jest zatem zmniejszyć zagłębienie i szerokość łopatek, a przeciwnie średnicę kół powiększyć, dla otrzymania największego skutku przy danj sile maszyny parowej. Lecz powyższe zasady niezawsze były dostatecznie zrozumiane przez konstruktorów statków parowych. Byli zatem niektórzy podejmujący się wystawienia statku, mogącego chodzić z prędkością 20,000 me-

trów na godzinę, gdy tymczasem łopatki ich skrzydeł, przebiegały tylko 16,500 metrów na godzinę. Inni nadawali prędkość swym kołom 5, 50 metrów na sekundę, aby iść pod wodę płynącą, z prędkością 1, 40 na sekundę, i jeszcze dziwili się nie otrzymując pożądaných i przepowiedzianých skutków. W istocie nic łatwiejszego jak wybudować okręt pod ziemi lub dobrými warunkami, lecz nic trudniejszego jak zrobić taki, któryby połączył kształt i siłę, potrzebną do osiągnięcia największej jaka być może prędkości, przy danej sile i przy najmniejszej stracie na opory bierne.

Ponieważ siła potrzebna do poruszenia statku, proporcjonalną jest do sześciastu z prędkości tychże statków, wypada zatem, że aby otrzymać największy użyteczny skutek, trzeba dopełnić warunków wyżej przepisanych, co do formy części zanurzonej statku. Współczynniki do nadania praktycznej wartości równaniu między siłą a skutkiem, zależą wyłącznie od tejże formy. I tak, skoro przód statku kończy się spiczasto, tak, że trójkąt nachylenia ma dwie podstawy za wysokość, a część tylna tegoż statku jest zaokrągloną, współczynnik k jest wtedy 0,18. Amerykanie zajmowali się z nieźrównaną gorliwością poprawą swych statków parowych, i zmieniając ciągle ich krzywizny, doszli do rezultatów nadzwyczaj ciekawych; dla tak udoskonalonych okrętów, wartość k jest równa 0,045. Przy doświadczeniach robionych na kanale 1^m. głębokim i 2^m. szerokim, okazało się: że po przejściu statku z prędkością 4^m. na sekundę, woda z taką gwałtownością przerzynaną była, iż po przejściu statku, dawało się dno kanału dostrzedz; siła bowiem z jaką woda odpierną była na boki, nie dozwalała jej dosyć prędko na swoje miejsce powracać.

To zbytęczne wzruszanie wody przy większej prędkości statków, dodane do bałwanów jakie zrzadzają koła parochodów, stają się przyczyną, dla której statki parowe nie mogą chodzić po kanałach; wtedy bowiem zniszczenie brzegów byłoby zbyt gwałtowne.

Ciekawym jest proces wydarzony z tego powodu we Francyi, przed kilku podobno laty między kompanią żeglugi parowej, a dzierżawcami rybołówstwa, którzy obwinili kompanią, jakoby ich statki stały się przyczyną wymrzenia lub wypłoszenia ryb, cały ich handel stanowiących. Kompania musiała wynagrodzić im stratę.

Co do proporcji statków parowych, to jest ich długości względem przecięcia poprzecznego, ta dla parochodów do żeglugi rzecznej przeznaczonych mniej jest ważną; dawniej długość nie przechodziła 10^{ciu} szerokości, dziś robią je z pożądanym skutkiem 14 razy dłuższe, niż szersze.

Lecz dla parochodów przeznaczonych do żeglugi morskiej, powyższa proporcja bardzo jest ważną. W czasie burzy bowiem gdy bałwany wzniosą statek do znacznej wysokości, może nastąpić chwila, w której on końcami na nich oparty, nie mając podpory przy środku, gdzie właśnie największy ciężar, to jest machina parowa i kotły są umieszczone, przełamać się może. Tęto przyczynie przypisują w ogóle stratę parochodu *Prezydent*, co się potwierdziło odkryciem pływającej butelki w której znaleziono opis całego wydarzenia, ułożony przez księdza obecnego temuż wypadkowi. Mówi on, że wśród najokropniejszej burzy, statek wzniesiony na dwóch bałwanach, nie mogąc wytrzymać ogromnego ciśnienia swego aparatu 500,000 kilogr. wynoszącego, w pół się rozłamał: jedna

z tych części trzymała się jeszcze czas jakiś na powierzchni wody, ale wkrótce ostatnia nadzieja ratunku zniknęła, i wszystko pogrzyżyło się w otchłań oceanu. Długo Francya, Anglia i Ameryka wysyłały w różne strony, swe statki na wyszukanie Prezydenta, sądząc iż się gdzie zabłąkał, nareszcie znalezienie butelki z opisem dokładnym, położyło koniec szlachetnym usiłowaniom i potwierdziło wieść okropną; cały okręt wraz z 500 podróżnemi przepadł na wieki.

Przy znaczném obładowaniu statków a niewielkiej prędkości, holowanie jest dosyć korzystném; jednakże mając wzgląd na niemałą stratę siły przez unoszenie znacznej długości liny przy wielkiej jęj wadze (a im ta lina jest dłuższą tym jest łatwiej holować), tudzież na stratę siły przez ciągłe pochylenie rudła w stronę przeciwną sile ruch nadającą, aby wypadkową czyli linią ruchu statku otrzymać niezależną od linii po której holują; widzimy że mała tylko cząstka rzeczywistej siły jest właściwie użytą. Starano się o siłę działającą w prostej linii względem ruchu statku; zaczęto więc myśleć o zahaczeniu się hakami o dno rzeki. Podobnie urządzony statek przebiega przestrzeń 20milową na Rodanie we Francyi, między *Givors* i *La Voulte*.

Machiny parowe, użyte do poruszania statków, przedstawiają wiele korzyści, ale też i wiele niedogodności, przez zastosowanie kół łopatkowych, dzisiaj powszechnie używanych. Niedogodności ztąd powstające, szczególniej w marynarce wojennej, całą prawie wartość statkom parowym odbierają.

Wprawdzie sama machina w głębi okrętu umieszczona i potrójną ścianą wiązanych z nadzwyczajną dokładnością belek otoczona, jest zupełnie zabezpieczoną od nie-

przyjacielskich pocisków, lecz koła po bokach będące, jedna kula nieszczęśliwie skierowana może tak uszkodzić, że statek nie jest w stanie dalej postąpić; cała więc wartość jego aby był niezależnym od kaprysu wiatru, w jednej chwili ginie.

Uszkodzenie to tém łatwiej nastąpić może, iż parochody zwykle przodem idą, ciągnąc na pozycyą żaglowe linio-
we okręty; przód więc ich i oba skrzydła są zarówno na ogień wystawione. Nadto na wzburzonym morzu, gdy statek pochyla się gwałtownie na boki: to całe koło jedno aż poza swą oś jest w wodzie zanurzane, doznając przez to niesłychanego oporu i wstrząśnienia, które się udziela machinie i może ją na połamanie słabszych części narazić, to w téjże samej chwili drugie koło, zupełnie ponad wodą będące, stara się nabywać większej prędkości nie doznając żadnego oporu, a będąc opatrzone równą piérwszemu siłą. Ta różnica siły i oporu wywiera przeciwne zupełnie działanie na główny wał maszyny, łączący oba koła z tłokami machin parowych; gdy jeszcze w téjże chwili bałwan uderzy silnie na koło ponad wodą będące, i do tego w stronę ruchu jego, rzadko bardzo podobne wstrząśnienie bezkarnie przejdzie; albo koło jest oderwane, albo jaka część maszyny zdruzgotaną zostanie. Wszelkie zaś naprawy a szczególnie przy kołach, są prawie nie do skutecznienia, na rozhukaném zwłaszcza morzu. Te i tym podobne niedogodności dały pochód myślącym ludziom, do zajęcia się wynalezieniem takiego rodzaju silnika, któryby odbierając działania siły od maszyny parowej, udzielił go wodzie, a nie przedstawił wyżej wzmiankowanych niedogodności. Musiano więc zadospój uczyć następującym zadaniom.

1) Nowy silnik miał być tak umieszczonym, aby nie był nadal wystawionym na ogień nieprzyjacielski. Najstosowniejsze więc dla niego miejsce zdawało się być z tyłu okrętu; tam też go umieszczono.

2) Aby uniknąć zanurzenia się zbyt dużego, jako też zupełnego wyjścia ponad wodę, starano się umieścić go popod wodą.

3) Aby okręt mógł z równą łatwością iść naprzód jako też i w tył, nowy silnik musiał być koniecznie ciałem symetrycznym około głównej osi swjej figury, aby równą wywierał siłę w tę lub przeciwną obracając się stroną. Anglia i Francya, te dwie rywalki cywilizacyi, sztuk i przemysłu, i na tém spotkały się polu, mieszcząc w swych szrankach, pierwsza p. Smith, druga p. Sauvage. Padli oni na myśl użycia za silnika szruby Archimedes. Przypisują w ogóle p. Sauvage pierwszą myśl w tym względzie, lecz następnymi doświadczeniami oba również gorliwie się zajmowali. P. Sauvage zrobił najprzód mały model, który bardzo pomyslnie okazał skutki. Szruba rzeczywiście łączyła wszystkie warunki zadania, i pomyslnie im odpowiadała, gdyż może być umieszczoną w tyle okrętu, pod wodą i na jego osi, tak że jakiegokolwiek tenże przybierze pochylenie, bynajmniej ponad wodę nie wyjdzie; w każdej więc chwili ruch jój jest skutecznym; symetria zaś figury szruby pozwala, aby obracając się w tę lub ową stronę, skuteczny ruch nadała. P. Smith zaczął zaraz robić swe doświadczenia na statku parowym o sile 80 koni, któremu nadał imię Archimedes. Znaczna część jego doświadczeń była ogłoszoną we Francyi przez kapitana Chapelle, przytomnego próbom, w dzienniku *Moniteur Industriel* tudzież w raporcie, jaki Smith zdawał izbom Angielskim, a który znaj-

duje się w oryginale w bibliotece Londyńskiej w *British Museum*: zkład następujące wyjąłem ustępy, w czasie méj bytności w Londynie.

1. *Kształt szruby.* Szruba która była najprzód użytą do Archimedesza, robiła obrót całkowity koło swéj osi, mając 8 stóp długości, a 7 stóp średnicy; lecz znaleziono że była za dużą w stosunku do maszyny parowéj, przy tymże okręcie użytéj, która nie mogła jéj obracać z dostateczną prędkością; zmniejszono przeto jéj średnicę do 5 stóp i 9 cali. Następnie aby ją uczynić ściślejszą w odstępach skrzydeł, zmieniono ją na dwa półobroty koło osi symetrycznéj, co zmniejszyło o połowę jéj całkowitą długość. Lecz że każdy półobrót miał 4 stóp długości, powierzchnia zatém szruby została taż sama. Zmniejszona w ten sposób szruba, mając 5 stóp 9 cali średnicy i podwójną linią spiralną o 4 stopach długości każdą, użytą była do odprawienia podróży naokoło Wielkiej Brytanii.

P. Smith, zanim doszedł do powyżéj wymienionéj szruby, robił doświadczenia ze szrubą mającą trzy spiralne; dzielił jeden obrót na dwie, trzy i cztery spiralne współśrodkowe. Doświadczenia okazały, że obrót całkowity spiralnéj około swéj osi, w stosunku aby długość jéj była równą średnicy, jest najkorzystniejszym silnikiem do poruszania okrętów parowych. Jednakże szruba współśrodkowa z dwóch, trzech a nawet czterech odinków złożona, przedstawiając przy téjże saméj średnicy i powierzchni dwa, trzy, lub cztery razy mniejszą długość; zajmuje zatém o tyle razy mniejszą przestrzeń w wycięciu zrobioném na ten cel w tylnéj części statku popod rudlem, co nadewszystko bardzo ważną jest rzeczą przy okrętach maléj długości.

2. *Kąt nachylenia spiralnej.* P. Smith robił doświadczenie ze szrubami o gwincie pochylonym pod 30 do 50 stopni. Lecz szruba na pokładzie Archimedesesa, ma 45 stopni pochylenia. Jest ona zrobiona w ten sposób, aby skoro tylko w ruch wprawioną zostanie, odpychała wodę w kierunku promieni rozchodzących się jednakowo z każdej części jej obwodu. Kapitan Chapelle, na zasadzie doświadczeń czynionych w czasie zupełnego uspokojenia morza, zapewnia że widział dokładnie kolumnę wody wyrzuconą w tył przez szrubę, przybierającą kształt przewróconego ostrokręga; z kąd można dowieść, że całkowita siła szruby jest zużyta wprost dla posuwania naprzód okrętu, w linii jego osi, gdy tymczasem przy zwyczajnych kołach skrzydłowych, znaczna część téj siły ginie przez podnoszenie przedniej części statku i tworzenie bałwanów poza skrzydłami.

3. *Powierzchnia szruby.* Powierzchnia spiralnej użytej na pokładzie Archimedesesa, w stosunku do powierzchni przecięcia poprzecznego całego statku w największej jego szerokości, jest cokolwiek mniejszą od jednej czwartej części; albo w innych słowach, do 10 stóp zwykłego zagłębienia powierzchni przecięcia poprzecznego części zanurzonej w wodzie, znalezioną została na 143 stóp kwadratowych. Powierzchnia zaś szruby, mniej powierzchnią osi na której jest osadzoną, wynosi 33 stóp. W użyciu szruby do większych okrętów, wymiary jej nie będą rosły w zbyt wielkim stosunku, jakby to naprzód można sądzić, gdyż małe powiększenie w średnicy, wielką stanowi różnicę w powierzchni linii spiralnej. Wyrachowano podobnie że szruba o 11 stopach średnicy, będzie dostateczną do okrętu parowego o 3,000 beczkach, który w Bristolu był później zrobionym. Jeżeli zaś potrzeba

aby wycięcie na szrubę w tylnej części statku było jak najmniejsze, można wtedy zmienić pojedynczą szrubę na podwójną, potrójną lub poczwórną spiralną; przez co pierwiastkowa długość zmieni się o połowę, o trzecią lub czwartą część.

4. *Położenie szruby.* Na pokładzie Archimedesesa była tylko jedna szruba ruch nadająca; umieszczono ją podłużnie w otworze wyciętym na ten cel w tylnej części statku, tuż za rudlem, drąg zaś spodem statku idący, był przedłużony popod szrubą i za nią, a wznosząc się do góry, służył za podstawę końcowi drąga na którym szruba jest umocowana. Położenie to zdaje się być najlepsze, dla wielu względów; szruba bowiem znajdując się poza linią drogi statku, mniej wystawiona jest na uszkodzenie i na wpływ odłamującej się wody (*Brokenwater*), nizeli gdyby była przed okrętem umieszczoną.

Działanie jej na rudel, wpływa znacznie na powiększenie siły stéru. Nadto nadając ruch wsteczny silnikowi, można z jednakową prędkością posuwać okręt w jedną jak i w drugą stronę. Otrzymując tak wielkie skutki z działania szruby, było bardzo naturalnem zapytanie, czyliby za pomocą dwóch szrub nie można podwoić siły okrętu? Lecz że siła ruchu nie jest właściwie w szrubie ale w maszynie parowej, dając zatem dwie szruby, trzeba było rozdzielić siły maszyny na dwie części, co jest nie tylko niekorzystnem ale i szkodliwém, już to że pomnaża komplikacyą machin, już że utrudza manewrowanie, które powinno być ile możności uproszczoném zwłaszcza w czasie burzy lub boju, gdzie w jednej chwili koniecznie zatrzymać lub zwrócić wypada okręt, który pod wpływem wiatru niechybnie rozbić się lub też od nieprzyjaciela zahaczonym być może.

Tym potrzebniejszą było rzeczą unikać wszelkiej komplikacji, że sama szruba nie mała już przedstawia wyższość nad kołami, gdyż można z wszelką łatwością zawrócić okrętem w przestrzeni kołowej, której średnica zaledwie mogłaby być promieniem potrzebnego dzisiejszym parochodom miejsca, do uskutecznienia swych ewolucyj.

5. *Konstrukcja.* Szruba na pokładzie Archimedesesa była całkiem z żelaza kutego, i bardzo trudnej roboty. Umieszczono najprzód szesnaście mocnych kutych ramion w walec środkowy, i w taki sposób aby niejako spiralną tworzyły linią. Te dopięro ramiona odziano na ćwierć cała grubą blachą żelazną, i do nich mocno przynitowano; ta blacha jak najdokładniej w środku ramion łączy się następnym urkuszem blachy, aby te stanowiły na zewnętrznej stronie doskonałą powierzchnią skośną. Jednakże byłoby stosowniej robić szrubę z innego metalu niż z żelaza np. z mieszaniny miedzi i cynku, gdyż żelazo prędko uszkodzonem bywa przez rdzewienie, a jeżeli jeszcze spód okrętu jest miedzią obity, wtedy wywiązująca się galwaniczna siła, w momencie zniszczy blachę żelazną.

6. *Prędkość.* Na każde uderzenie tłoka w cylindrze parowej maszyny, czyli na każdy obrót wału głównego na pokładzie Archimedesesa, szruba robiła 5 i $\frac{1}{3}$ obrotów. Prędkość zwyczajna maszyny parowej była 26 uderzeń na minutę, zatem zwykła prędkość szruby wynosiła 138 $\frac{2}{3}$ obrotów w minucie. Gdyby maszyna parowa miała dosyć siły do wykonania 32 uderzeń, co jest zwykłą liczbą dla maszyn w których długość drogi pistona czyli wysokość cylindra, wynosi 3 stopy, wtedy prędkość szruby byłaby 170 $\frac{2}{3}$ obrotów na minutę; w tym

więc stosunku przyspieszyłaby się prędkość okrętu. Że działanie szruby jest wprost użyte na popęd okrętu w linii jego osi, nie można więc przewidzieć innych powodów nieotrzymania tak szybkiego ruchu, jaki szrubie wypadłoby nadać, chyba że z samej prędkości statku wynika powiększenie oporu, który rośnie w stosunku kwadratów z prędkości okrętu.

7. *Tarcie.* Kiedy zamierzano początkowo nadać tak wielką prędkość szrubie Archimedesu, sądzono że żaden metal nie będzie w stanie znieść wynikającego ztąd tarcia; lecz kapitan Chapelle po pierwszej zaraz próbie na pokładzie Archimedesu, w czasie której szruba wykonała 1,881,698 obrotów, kazał wyjąć panew stalową unoszącą koniec osi szruby, i w niej nie dostrzegł najmniejszego śladu zużycia. Przyczynę tego tłumaczymy w następujący sposób:

Podstawy pod panwią są zupełnie zanurzone w wodzie bieżącej, która zmieniając się z niesłychaną prędkością, bardzo chłodzi i nie dopuszcza najmniejszego rozgrzania się czopa obrotowego. Czop zaś wewnątrz statku umieszczony, obraca się w panwi stalowej zanurzonej w przyrządzonym na to rezerwoarze, w którym woda również zmienia się szybko; mimo tego na tej panwi postrzeżono lekkie ślady zużycia. P. Chapelle sądzi jednak że nie ma najmniejszej obawy co do zużycia się panwi, choćby nawet prędkość szruby jeszcze większą była.

8. *Łoskot.* W pierwszym raporcie kapitana Smith przeczytałem wzmiankę o łoskocie, jaki dawał się bezustannie słyszeć na pokładzie Archimedesu; pochodził on jednak podług p. Smith, nie z łamania się wody przez działanie szruby, ale od kół zębatych z wału maszyny,

na wał szruby dostateczną prędkość przenoszących (*cog-wheels*). Chociaż łoskot ten nie był większym od hałasu jaki robią zwykle koła łopatkowe na statkach parowych, był on jednak bardzo niemiłym, dając się czuć zwłaszcza wewnątrz, co też zapewne i moc jego podwyższało.

Lecz była to tylko mało znacząca trudność mechaniczna, którą spodziewano się łatwo usunąć; w przeciwnym nawet razie, przy większych okrętach samaby zginęła, gubiąc się w mocnym wiązaniu drzewa cieszki okrętu stanowiącego. Tymczasem w Archimedesie, słaby tylko przedział z desek odgraniczał koła od wnętrza kajuty.

9. *Cieżar.* Jedną z największych zalet szruby Archimedesowej, jest przeniesienie ciężaru z górnej na dolną część okrętu. W istocie komunikacja ruchu maszyny parowej, ogromne koła łopatkowe, były na górnej części, gdy tymczasem przy użyciu szruby wał główny i sama szruba leżąc pod wodą, zniżyły znacznie środek ciężkości całego systemu, co stanowi niesłychanie wielkie korzyści w czasie gwałtownej burzy, gdyż okręt nie tyle jest wystawionym na pocisk bałwanów.

10. *Strata siły.* Powszechnie utrzymują ludzie specyjalni, że koła łopatkowe nie nadają okrętowi całej prędkości postępowej, jaką je obdarza maszyna parowa; i owszem jest znaczna strata która nawet do $\frac{1}{4}$ części dochodzi, tak że okręt cztery razy mniej drogi przebiega w kierunku swój osi, niż punkt wzięty na średnim obwodzie koła. Na pokładzie Archimedesowej, w czasie spokojnym otrzymano prędkość wynoszącą $\frac{5}{6}$ na obwodzie szruby, strata więc wynosi tylko $\frac{1}{6}$. Gdyby zatem szruba nie przedstawiała innych nad tę korzyści, jużby wiele zasług miała; gdyż otrzymana przez nią prędkość, ma się

w stosunku prędkości statku kołami poruszanego, jak $\frac{1}{6}$ do $\frac{1}{4}$, co jest bardzo ważnem w praktyce.

11. *Opór.* Starano się bardzo o ocenienie dokładne oporu, jaki szruba przedstawia, gdyby się obracała w wodzie bez pomocy maszyny parowej. Inżynier Bruel i kapitan marynarki Angielskiej p. Clarton, robili doświadczenia na pokładzie Archimedes.

Dostrzeżono, że skoro statek posuwa się za pomocą żagli bez współdziałania maszyny parowej, szruba wolno się wtedy w wodzie obracająca, bynajmniej prędkości jego nie zwalnia, ani na nią nie wpływa. Na dowód tego znalazłem w ich raporcie ustęp wzmiankujący, że w drodze z Southampton do Porthsmouth, płynąc zupełnie za pomocą żagli i że ściśniętym wiatrem, Archimedes przebiegał jeszcze 8 węzłów (*noeuds*) (*), na godzinę (4 metry na sekundę), co jest zwykłą prędkością dobrych statków żaglowych. W przejeździe pod Firth do Forth zepsuła się maszyna parowa: musiano płynąć dalej za pomocą żagli, wtedy zwykły statek parowy byłby zupełnie w tyle pozostał, gdy tymczasem Archimedes nie pozwolił się bynajmniej wyprzedzić wybornemu jachtowi obok niego żeglującemu.

12. *Prędkość ruchu.* Archimedes był wystawiony dla płynienia z wielką prędkością, tudzież dla robienia doświadczeń w pogodzeniu i zastosowaniu do tegoż same-

(*) Za porównawczą jednostkę miary prędkości statków parowych, użyłem w ciągu tego pisma wyrazu *węzeł*, po Ang. *knot*, po Fran. *noeud*, co znaczy milę morską Francuzką z 1852 metrów złożoną, a jakich idzie 60 na stopień geograficzny, zwanych w takim razie *nautical mile*. Mila morska Angielska ma za podziałkę *fathoms* czyli *brass*; Francuzki zaś *noeud* podzielony jest na 10 równych części. Okręt ma prędkość pół metra na sekundę, jeśli przebiega jeden węzeł.

go okrętu dwóch różnych silników, pary i żagli, i żeby każdy z nich niezależnie jeden od drugiego, z równą mógł płynąć łatwością. Nie jest dziwnego, że był wyprzedzonym na Tamizie przez parochody po niej krążące, one bowiem wyłącznie do tej żeglugi przeznaczone, płyną z nadzwyczajną łatwością; lecz raz na morzu Archimedes okazał się wyższym nad wszystkie inne okręty do pełnego morza przeznaczone; i z każdym próbował się korzystniej dla siebie, w czasie swój pierwszej podróży naokoło Wielkiej Brytanii. Skoro takie są wypadki pierwszych prób Archimedesesa, nowy ten system przyobiecuje niezmierzone korzyści w późniejszym zastosowaniu, po poprawach przez doświadczenie otrzymanych. Największa prędkość Archimedesesa, w czasie spokojnym i przy działaniu samej maszyny parowej bez żagli, była $9\frac{1}{4}$ węzłów na godzinę ($4^m,625$ na sekundę); przy samych żaglach bez współdziałania pary i przy wolno obracającej się w wodzie szruby, otrzymana prędkość wynosiła 9 węzłów na godzinę ($4^m,50$ na sekundę). Przy połączonej zaś sile pary i żagli, w całym wyżej wzmiankowanym czasie (przy sile pary i żagli, w całym wyżej wzmiankowanym czasie) $10\frac{3}{4}$ węzłów na godzinę) 5, 375 na sekundę).

Wypada zatem, że skoro statek przy pomocy swych żagli może biec z prędkością 9 węzłów na godzinę, nie opłaca się bynajmniej użycie pary przez powiększenie prędkości z 9 na $10\frac{3}{4}$ węzłów, i to w najkorzystniejszych tylko warunkach jakie otrzymać można.

Przy nowym przeto systemie szruby Archimedesesa, w którym statki mogą otrzymać formę najkorzystniejszą do prędkiego biegu, i w którym obecność szruby w wodzie, wolno się obracającej, bynajmniej nie wpływa na opóźnienie ruchu, można zawsze działać jednym tylko

z motorów, parą lub żaglami, w miarę okoliczności; i tu postrzegamy znowu wielką wyższość nowego systemu. Zastanowiwszy się nad wyżej wymienionemi wypadkami doświadczeń, łatwo ocenimy całą ich ważność i ogromne ztąd korzyści, gdy zważymy że na 32 punkta bussoli. 18 w żegludze na oceanie pozwoli użycia żagli, i biegu szybkiego dobrego żaglowego okrętu, który napotykać wiatr przeciwny lub zupełną ciszę, niezwłocznie udowodni swą wyższość nad statkiem parowym, i dalej biegnie, bynajmniej od zmiany i kaprysu żywiołów nie zależąc.

13. *Manewrowanie.* Powiększenie siły jaką wyrzucona przez szrubę woda nadaje rudłowi, jest jedną z najważniejszych i najgodniejszych podziwienia rzeczy na pokładzie Archimedes. Skoro tylko szruba zaczyna być w ruchu, wyrzuca kolumny wody w tył, które działając na rudel, zmieniają linią przodka w jeden lub dwa punkta koła podziałowego, wprzód nawet nim okręt w ruch został wprawionym. Skoro Archimedes szedł przy pomocy samej pary wprost naprzód; po spokojném morzu pęd regularny wyrzuconej przez szrubę wody działał nieustannie na rudel, i tak regularnie, że zdaje się iż go umocowano w jedném miejscu; bynajmniej się nie ruszał, tak dalece że w czasie próby bez najmniejszej pomocy sternika, po przejściu 6 lub 7 mil, Archimedes nie zboczył nawet o $\frac{1}{4}$ część punktu podziałowego koła. Nawet przy wzruszoném morzu i mocném uderzeniu bałwanów, dosyć od czasu do czasu ująć koło, aby utrzymać okręt na przepisanej linii. Lecz pisze p. Smith, dopiero przy zwrocie w koło Archimedes pokazał całą wyższość nad parochodami, zwyczajnemi kołami opatrzonemi. W istocie pierwsze zakreślenie koła wymagało tylko $2\frac{1}{2}$ minut; przy robieniu drugiego obrotu $2\frac{3}{4}$. Oczywiście że na

drugie koło więcej potrzeba było czasu, gdyż okręt miał już pewną nabytą prędkość przy pierwszym obrocie, i właśnie w stronę przeciwną tej, w jaką drugi jego obrót chciano skierować; lecz jeżeli czas był coraz dłuższy, przestrzeń w jakiej się obroty odbywały, coraz była mniejszą, tak dalece że po kilku manewrach można go było obrócić w miejscu jakby na stałej osi. Ruch ten uważa kapitan Chappelle za najtrudniejszy i największe mogący przedstawić korzyści w sztuce marynarskiej.

Pomyślnie skutki tych i tym podobnych doświadczeń na pokładzie Archimedesu czynionych, zachęciły wszystkich do prowadzenia ich dalej i na większą skalę. Francya weszła pierwsza w szranki, wystawiwszy parochód Napoleon o sile 120 koni; sam okręt zbudowany był w Hawrze, u jednego z najlepszych majstrów, lekkość też jego i piękna forma są słusznie uwielbiane. Prędkość ma tak wielką, że przy pomocy samych żagli przebiega 10 do 11 węzłów na godzinę (5 do $5\frac{1}{2}$ metrów na sekundę). Machina parowa pochodzi z Anglii. Co do szruby, ta była zrobioną w Hawrze w fabryce pana Nillus, którego grzeczności winieniem następujące objaśnienia:

Pierwsza szruba użyta w pokładzie Napoleona, miała potrójną spiralną; krok jej gwintu był $3^m,20$, a średnica $2^m,12$. Ta szruba przedstawiając za wiele oporu w wodzie, gdyż jej skrzydła w kierunku osi przeszło 1^m zajmowały, nie sprawiła pożądaných skutków. Zajęto się zatem zrobieniem innój szruby, któraby przedstawiała mniej oporu w wodzie, i miała większą przestrzeń wolną między swemi skrzydłami do wychodu wody, aby uniknąć w jej wnętrzu kottłowania się téżo. Ta szruba była odlaną u pana Nillus z bronzu; waga jej była około 1,000 kilogr.

Machina parowa o dwóch cylindrach po $1^m,16$ średnicy i $1^m,06$ wysokości, każda po 60 koni siły, robiła 30 do 32 obrotów na minutę. Aby przesłać szrubie ruch wprost od maszyny, wał główny umieszczono jak można najniżej; przez bardzo dowcipną kombinację ruchu, maszyny działają wspólnie na wał główny, na którym umieszczono mocne koło palczaste o zębach drewnianych, które zazębia koło żelazne, na osi szruby umieszczone; że zaś jego średnica jest $\frac{1}{4}$ częścią pierwszszą, szruba robi od 120 do 128 obrotów na minutę.

Wał siedliskiem szruby będący, jest kuty z miedzi, aby działanie wody morskiej nie miało na niego wpływu, tudzież aby uderzenie bałwanów nie spowodowało pęknięcia. Próby jakie odbył Napoleon w Trepord, wobec króla Francuzów i księcia Joinville, dowiodły całej wyższości jego nad dwoma najlepszymi parochodami marynarki Francuzkiej, Pluton i Archimedes, o sile 220 koni. W czasie spokojnym i samą parą Napoleon wyprzedził Plutona tylko o $\frac{1}{2}$ węzła, on zaś miał wyższość biegu nad Archimedesem o jeden węzeł. Ale przy małym wietrze idąc parą i żaglami, Napoleon wyścignął oba statki przeszło o 2 węzły: tak wielką jest prędkość parochodów mogących łączyć się parę i żagli. Te i tym podobne doświadczenia, odbyte we Francji i Anglii, podały obszernie pole dla ludzi myślących. Wielu zajęło się ulepszeniem tego rodzaju silników, i ważnymi odkryciami wzbogaciło mechanikę. Między innemi p. Leon du Parc, kapitan korwety Francuzkiej, znakomite zajmuje miejsce; przytoczę tu następujący wypisek, którym on zakończył swój ze wszech miar interesujący pamiętnik odbytych doświadczeń:

„Srzuba Archimedesowa w jakikolwiek sposób zrobiona, winna całą swą siłę postępową (*pouvoir propulsif*) połączeniu nieskończonej ilości linii spiralnych wokoło osi rozłożonych, które stanowią w połączeniu płachtę skrzydła szruby; skoro więc obraca się oś szruby, oczywiście płachty te zagłębiają się i tworzą sobie drogę w wodzie, jak płachty zwyczajnej szruby przenikają w drzewo, gdy szrubę w drzewo wkręcić usiłujemy, z tą tylko różnicą, że ta ostatnia wchodzi w drzewo bez poruszenia go, gdy tymczasem tamta zagłębiając się w wodę, ciągnie za sobą okręt. Skoro szruba działa w ciele stałym, za każdym obrotem całkowitym około swój osi zanurzy się o ilość równą swemu krokowi, ma się rozumieć po zwyciężeniu tarcia i bezwładności; gdyby zaś była połączoną stale z jakimś ciałem, przeciągnęłaby je z sobą o ilość równą swemu zagłębieniu, czyli o długość swego kroku.”

Że tarcie szruby jest proporcjonalnym do szerokości spiralnej, byłoby więc korzystnie zmniejszyć tę szerokość powiększając długość kroku. Ale szruba użyta do parochodów, działając na wodę, ciało nadzwyczaj ruchome, musi mieć jak największy opór, czyli jak największą szerokość, to jest że kąt jaki tworzy spiralna z osią tuż przy osi, jest bardzo różny od kąta który koniec téjże spiralnej tworzy z tą samą osią.

Tym sposobem każdy punkt spiralnej jest opatrzony inną prędkością, która się powiększa w miarę oddalenia punktu od osi, gdyż każdy z tych punktów musi zakreślić całkowite koło obrotu, w tym samym czasie bez względu na odległość od środka obrotu; jest zatem pewien punkt trzymający środek między osią a końcem płachty, i ten to punkt przebiega obwód średniego koła, które zwykle bywa w rachunek wprowadzone. Że po-

wierzchnia spiralnej, tworzy pewien kąt z linią ruchu okrętu, woda jest zatem uderzona i odepchnięta w kierunku ukośnym, ztąd wypływa strata siły która zależy od wielkości tegoż kąta. Doświadczenie wskazało że ten kąt najwłaściwszy jest, gdy 45° wynosi. Mówiliśmy wyżej że ten kąt zmienia się dla każdego punktu spiralnej od osi aż do jej końca. Aby sobie lepiej wyobrazić pochodzące ztąd straty, weźmy pod uwagę co się robi na dwóch końcach spiralnej, przy osi i na brzegu. Jeżeli umieścimy na końcu osi denko (*un disque*) którego powierzchnia byłaby do niej prostopadłą; żadna cząstka wody, ani żadna siła, która działa w kierunku osi, nie będzie straconą, i owszem będzie ona wtedy przeniesioną w stronę przedłużenia swjej osi, o odległość równą całkowitej wielkości siły, mniej tarcie.

Jeżeli przeciwnie przypuścimy, że siła działa prostopadle do osi, nie będzie ona wtedy mogła wykonać innego ruchu, jak przenieść się równolegle do swego pierwotnego położenia, czyli że nie będzie miała żadnego ruchu naprzód. Wypada zatem że między temi dwoma sposobami nadania siły, trzeba wyszukać najwłaściwszego, to jest tego co wyda największy ruch naprzód, w przedłużeniu osi. Ten silnik będąc stale pod wodą przymocowany do okrętu, może go tylko posuwać naprzód, lub w tył cofać, lecz nigdy w kierunku poprzecznym; w miarę zaś pochylenia spiralnej do osi, a tém samém do osi okrętu, jest zawsze jakaś cząstka siły starająca się posuwać okręt poprzecznie; wszyscy zatem, którzy się udoskonaleniem tego wynalazku trudnili, gorliwie pragnęli zmniejszyć tę siłę. Pan Parc zakończy swój pamiętnik następującém wykazaniem korzyści i niedogodności szru-

by, użytój jako silnik do parochodów. Korzyści są następujące:

1) Ciągłe użyteczne działanie, przy jakimkolwiek pochyleniu okrętu.

2) Możliwość użycia samych żagli przy pomyślnym wietrze, i przeciwnie przerobienie prawie w jednej chwili okrętu z żaglowego na parowy.

3) Położenie szruby, która pozwala zniżyć machinę mieszcząc ją całkowicie popod linią wody.

4) Zupełne odrzucenie bębnow okrywających koła po boku statku, które wystawiały znaczną powierzchnię na działanie przeciwnych wiatrów i uderzenia bałwanów, tudzież zużytkowanie korzystne miejsca jakie one zajmowały, na baterią dział, i tём samém ułatwienie przy zahaczeniu.

5) Uchronienie całkowite silnika od pocisków nieprzyjacielskich, od wypadku szkodliwego masztów, od haków przy zahaczeniu.

6) Gdy statek jest całkiem pozbawiony masztów, może jeszcze manewrować skutecznie i długo.

7) Wielka oszczędność materiału palnego, przez używanie pary tylko w czasie ciszy lub wiatrów przeciwnych.

8) Parochody z szrubą, mając tęż samą formę co odpowiedniej wielkości okręty żaglowe, mogą tём samém jednakie nosić żagle.

9) Statki parowe ze szrubą, unosząc lżejsze maszyny i mniejszą ilość węgla, mają więcćj wolnego miejsca na towar lub wojsko.

10) Znacznie mniejsza szerokość okrętu, przez usunięcie skrzydeł bocznych, ułatwia mu nieskończenie

wchodzenie do portów, do szluz, i manewrowanie wpo-
śród floty.

11) Że można w pewnych razach manewrować okrę-
tem tylko za pomocą kilku ludzi, postawionych przy ka-
bestanie (kołowrocie)

12) Działanie szruby wywiera tak wielki wpływ na
stér, że można prawie wykręcić okręt na miejscu jakby
na stałym czopie. Wyraz *na miejscu*, nie może być w ca-
łej rozciągłości uważany, gdyż trzebaby było mieć pręd-
kość nabytą, aby wpływ działania szruby był dostate-
cznym.

Okręt żaglowy obraca się na swój osi przez właści-
we pochylenie żagli, aby wypadkowa szła po kole któ-
re chcemy zakreślić; zwykle parochody obracają się przez
ruch kół naprzód lub w tył; gdy tymczasem statek szru-
bą opatrzone, obróci się biorąc za swój punkt oparcia
przód lub tył okrętu. Tak Archimedes, którego szruba
jest stałą, wykonywa obrót całkowity przez przodek
w dwóch wiorstach, i w kole średnicy równej dwóm
i pół długościom samego siebie.

13) Skoro tworzeniu się bałwanów poza okrętem nie
ma miejsca, można więc przebiegać i kanały bez psucia
ich brzegów.

14) Czółna i ambarkacye mogą bez niebezpieczeń-
stwa w każdej chwili w czasie ruchu, przybić lub odbić
od boków okrętu, nie wystawiając się jak przedtém, na
zatopienie od bałwanów przez koła wyrzucanych.

15) Szruba może być skutecznie użytą przy małych
ambarkacyach, do ratowania przeznaczonych.

16) Szruba jest bardzo łatwą do przeniesienia i umie-
szczenia. Cena jój także jest znacznie mniejszą od kół
dotąd używanych.

17) Szruba przyczynia się wiele do równowagi całego systemu.

Niedogodności zaś szruby Archimedeses są następujące:

1) Obecność dwóch sił wypadkowych: jednej działającej pożytecznie na posuwanie okrętu naprzód, drugiej zaś wywierającej się równolegle od osi statku, a pragnącej go w poprzek posuwać: z czego wypada, że aby otrzymać materialnie tę samą prędkość postępową okrętu co przy kołach skrzydłowych, które całą swą siłę skutecznie łożą, potrzeba stosunkowo większych machin, wymagających przeto więcej miejsca, ważących więcej i w cenie wyższych.

2) Znaczna ilość kół zębatach zrzędza stratę siły na opory, tarcie; użycie nawet kół zębatach na morzu, uznaniem jest za niebezpieczne; pasy zaś skórzane, albo liny któremiby zastąpić je można, przedstawiają także wiele praktycznych trudności.

3) Łoskot jaki koła zębata sprawiają, bardzo nie miły.

4) Ciągłe i nieustanne drganie, jakie się czuć daje w tylnej części statku.

5) Zużycie się szybkie panewek i niektórych części mechanizmu.

6) Obawa uszkodzenia szruby przez napotkanie skał podwodnych.

7) Znaczna prędkość, jaką należy tłokom machin parowych nadać, wymaga stosunkowej wielkości kotłów do téż samej siły maszyny.

8) Opór jaki szruba przedstawia ruchowi okrętu, gdy ten przy samych żaglach postępuje.

9) Trudność wszelkiej naprawy w szrubie, zwłaszcza na pełnym lub wzburzonym morzu; tudzież wyjęcie jej, umieszczenie i przechowanie na pokładzie.

10) Konstrukcja samej szruby, bardzo jest mozolną i trudną.

11) Ciała pływające w wodzie, mogą niekiedy zepsuć szrubę lub jej ruch zatrzymać, co może nastąpić zwłaszcza podczas boju, gdyż wtedy pełno odłamów okrywa powierzchnią morza.

12) Obecność otworu pod wodą w tylnej części okrętu, do przeprowadzenia wału głównego, służącego w wielu razach, może być przyczyną przypadku.

Z powyższego wykazania korzyści i niedogodności szruby wypada: że pod każdym warunkiem (wyjąwszy prędkość), szruba przedstawia niezaprzeczoną wyższość nad kołami. Co zaś do samej prędkości, koła mają wyższość nad szrubą w czasie słabego wiatru i morza spokojnego, zwłaszcza jeżeli okręt nie jest zbyt obciążony i nie zagłębia się bardzo w wodzie; lecz wyższość ta ustaje, w miarę powiększającej się mocy wiatru i bardziej wzburzającego się morza; i następuje chwila, w której szruba o wiele jest skuteczniejszą, a zwłaszcza skoro wiatr wprost z tyłu wieje.

Nizeli więc wprowadzone zostaną potrzebne i możliwe ulepszenia, któreby pod każdym względem szrubie wyższość zapewniły, admiralicya stara się stosownie do okoliczności, wybierać jeden z tych dwóch silników, to jest koła albo szrubę, do poruszania parochodów. Tak dla statków lekkich, przeznaczonych do przewożenia z wielką szybkością depeszy na morzu Śródziemnym, użyto parochodów z kołami, gdyż na tém morzu burze są rzadsze i krótsze, a z powodu odległości mniejszych, nie

trzeba zbyt wielkiego zapasu węgla. Dla okrętów zaś przeznaczonych do przepływania Oceanu, uznano za stosowne użyć szruby Archimedesza, zwłaszcza przy parochodach udających się do Antyllów i Ameryki południowej, a to z powodu że na oceanie trwają długie i regularne wichry, która pozwalają przebywać niemalą jego przestrzeń przy pomocy samych żagli i z prędkością bardzo znaczną, gdyż te wiatry zwykle są mocne i trwałe; tudzież że morza na tej drodze, zostają zwykle długo bardzo wzruszone po burzach, często się tam wydarzających; na koniec że duża ilość węgla, jaką parochody w tę stronę idące muszą zabiórać, jest wielką niedogodnością dla statków z kołami, gdy tymczasem statki szrubą opatrzone jako lżejsze, więcéj mogą tego materiału zahrać, a co ważniejsza, mogą po drodze korzystać z wiejących wiatrów; widzieliśmy zaś wyżej, że Archimedes przebiegał równą prawie przestrzeń przy parze lub żaglach pojedynczo działających. Co zaś do statków wojennych, a zwłaszcza do okrętów liniowych, to użycie szruby tak wielkie obiecuje korzyści, że kto piérwszy wystawi do boju statki opatrzone szrubą, otrzyma niesłychaną wyższość: cóż pewniejszém być może nad przewagę okrétu zdolnego wykonywać, z nieznaną dotąd ścisłością i szybkością, wszystkie wojenne obroty, mającego siłę i zabezpieczenie zupełne od pocisków przeciwnika, który będzie miał jedynie kilka żagli bojowych (*les voilures de combat*), łatwemu jeszcze uszkodzeniu podległych? W czasie gdy jeden zaledwie obrócić się potrafi, drugi może go naokoło obiegnać, niosąc z każdej strony śmierć i zniszczenie. Gdyby nawet przemagająca liczba zapewniała niejakié korzyści okrétom żaglowym, zwycięztwo nie będzie zupełne, bo statek szrubą opatrzony, może w danym czasie ujsć przed po-

ciskami zniszczeniem mu grożącemi, nie zostawiając bynajmniej swym przeciwnikom ani możności przeszkodzenia temu, ani gonienia uchodzącego nieprzyjaciela. Że zaś okręty liniowe nie zawsze będą potrzebowały szruby, lecz tylko w bardzo krótkim czasie i znacznych przerwach, można z korzyścią użyć machin wysokiego ciśnienia, które jako mniejsze i lżejsze, mało miejsca zabiorą. Częste przerwy zostawia potrzebny czas do wyczyszczenia kotła z osadów soli i innych nieczystości, które się prędzej w kotłach wysokiego ciśnienia tworzą.

Campagnac, autor ciekawego dzieła pod tytułem *Navigaton par la vapeur 1842*, w ten sposób się wyraża: „W miarę jak roztrząsamy z uwagą każde poruszenie w bitwie morskiej, i porównujemy w myśli oba systemy, uznajemy niemoc jednego. przy niezmiernych i coraz wzrastających korzyściach drugiego. Nie idzie dziś zatem o przyznanie, który z dwóch środków powinien żaglom w pomoc przychodzić, bo to jest już uznanem za pewność od wielkiej zdań liczby i będzie zapewne uznanem powszechnie, lecz idzie o udeterminowanie jedynie form okrętów, o ich uzbrojenie wojenne, o właściwszy sposób uchronienia całego systemu od pocisków artylerji nieprzyjacielskiej, a nakoniec o urządzenie masztów i żagli, jak najprostsze i najoszczędniejsze do żeglugi.”

Niezaprzeczone korzyści użycia szruby za silnika przy parochodach, zostały uznane przez kompanją Angielską *Great-Western*, która w chwili spuszczenia na wodę nowego okrętu, z jej rozkazu stawianego, wydała polecenie zastosowania do niego szruby Archimedesowa w miejsce zwykłych kół łopatkowych. Stał tedy ten parochód-potwór, bo w istocie inaczej zwanym być nie mo-

że, okręt parowy Great-Britain, który w 1844, w Bry-stolu w Anglii, był wystawionym.

Okręt ten, cały z blachy żelaznej, ma 98^m. (334 stóp) długości, 15^m,50 (52 stóp) szerokości, wysokości zaś 9^m,75 (33 stóp), głębokość zanurzonej części 4^m,88 (16½ stóp). Może zabrać 3,200 beczek, tudzież 1,100 beczek węgla, którego dla siły jednego konia 3 kil. 65 na godzinę zużywa. Machina parowa na nim się znajdu-jąca, o sile 1000 koni, złożoną jest ze czterech cylin-drów parowych, parami jeden do drugiego na 60° po-chylonych.

Machiny parowe wykonywają 19 obrotów całkowi-tych na minutę, szruba zaś 80 obrotów. Oprócz silnika parowego, Great-Britain, posiada sześć masztów, uzbro-jonych żaglami, których rozwinięcie podaje wiatrowi powierzchnię 1550 metrów kwadratowych. Statek po-dzielony jest na 4 piętra; pierwsze trzy pomosty są drewniane, czwarty, najniższy i tuż nad machiną parową po-łożony, jest żelazny. Pomost górny jest zupełnie gładki, maszty tylko i komin wystają nad nim; zresztą nie ma nic zgoła, coby się pędowi wiatru sprzeciwiało, a tém samém przy wietrze z przodu wiejącym pochód statku opóźniało. Great-Britain ma trzy kotły służące machi-nie parowej, obejmujące razem 200 beczek wody, i ogrze-wane przez 24 ognisk.

Do konstrukcyi tego statku weszło 1400 beczek (ton-ne) (31360 cetnarów) żelaza, nie licząc drzewa. Szruba Archimedes'a, do wprowadzania go w ruch przeznaczona, ma 4^m,88 średnicy (16½ stóp), długości zaś jedną czwar-tą część téj średnicy. Ruch wału maszyny parowej prze-nosić się będzie na oś szruby, za pomocą pasów. Użycie szruby zamiast kół wodnych, ulżyło ten statek o 100 be-

czek, gdyż utrzymują powszechnie że waga szruby, w istocie tylko $\frac{1}{20}$ część wagi kół wynosi. Ekwipaż statku będzie się składał ze 130 ludzi.

Wspaniałym jest widok tego okrętu na morzu; wprowadzie nie widziałem go jeszcze w ruchu, w październiku bowiem roku zeszłego nie mógł przejść przez szluzę dla wyjścia z portu Bristol, okazał się albowiem znacznie szerszym: błąd ten a raczej zapomnienie się ściągnęło dosyć surowe wymówki inżynierowi kierującemu budową tego okrętu. Lecz w grudniu roku zeszłego, przejście zostało rozprzeźrzone, i Great Britain wyszedł na pełne morze udając się do Londynu, dokąd przybył wytrzymawszy w tej podróży jedną z najwścieklejszych burz, jakie nawiedzać zwykły kanał *La Manche* w tej porze roku. Pomimo to nie zboczył ani na chwilę z przepisanej drogi, i prędkość jego była jeszcze wtedy od 8 do 9 węzłów na godzinę.

Wspaniałym jest widok tego okrętu na morzu; wprze-
 28-74- widać nie widziałem no jeszcze w życiu, w pałacu
 0011- bowiem tola sześciu nie miał przeliczyć szluzę dla
 50-34- wyjechać z portu. Wspaniałym jest widok tego okrętu na morzu; wprze-
 28-74- widać nie widziałem no jeszcze w życiu, w pałacu
 0011- bowiem tola sześciu nie miał przeliczyć szluzę dla
 50-34- wyjechać z portu.

PAMIĘTNIKI

SZLACHCICA Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Ad. Am. Koscińskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XII.

*Znakomitsi senatorowie: Michał Radziejowski biskup
 Warmiński, Jan Wydzga prymas, Załuski biskup Ki-
 jowski, Małachowski biskup Krakowski, Potoccy, Ra-
 dziwiłłowie, Pacowie, Lubomirscy, Krasinscy. Jakim
 sposobem dochodzi się wielkich majątków? Moje wra-
 żenie i odczarowanie.*

Daleko więcej a prawie wszystkich naszych panów zna-
 komitych godnością, majątkiem, lub zasługą, poznałem
 w kilka dni później.

Już o wczesnym poranku obudził p. Michał; że była
 walna sessya w senacie, zaprowadził na nią, ależ niewie-
 le mógł mi dać objaśnień. Za młodu żołnierz, później
 przez lat kilkanaście zamieszkując na wsi, małą tylko

liczbę senatorów znał, i to tych którzy niegdyś jak on służyli wojskowo; duchowni i młodszy wiekiem, zupełnie mu nieznanymi byli. Tak było gdy wszedł jeden z biskupów; uderzyła nas jego postawa, bujny wzrost, gięsta żywe i śmiałe, przytém wzrok bystry i niespokojny; chciałem znać jego nazwisko, toż samo porucznik. Zwrócił się więc na stronę, aby kogo z bliżej stojących zapytać.

Popadł mu w oko jakiś szlachetka; ubiór jego nieosobliwy, pas Słucki, kontusz zużyty, karabela na paskach u boku, ale mina wcale dobra, wąs potoczysty, czoło wysokie, żywe spojrzenie.

Odpowiadając na grzeczne zapytanie porucznika, mówił:

— Jestto ksiądz biskup Warmiński, a niedawno podkanclerzy koronny, Michał Junosza Radziejowski (1).

P. Michał pochmurzył czoło: — Przecież nie syn Hieronima?

— Starszy i jedyny syn, młodszy bowiem Wieluński kasztelan, zginął niedawno w pojedynku bijąc się na ostre z Zygmuntem Myszkowskim, podkomorzym Sieradzkim.

(1) Familia Radziejowskich w różnych epokach kraju, zgubny wpływ na sprawy publiczne wywierała. I tak, za udzielnych książąt Piastów Mazowieckich nieraz czytamy o zaburzeniach z jej powodu mających miejsce. w późniejszych czasach dwaj Radziejowscy Hieronim, który za Jana Kazimierza sprowadził Szwedów do Polski, i syn jego o którym tu wzmianka, później prymas i kardynał, intrygami swojemi nie tylko że zaburzali kraj, ale głównemi byli motorami osłabienia jego a następnie upadku. Dziwna też to rzecz, iż Radziejowscy blisko spowinowaceni byli z Zborowskimi, rodem który przez kilka pokoleń a szczególniej za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, tyłu nieszczyć stat się powodem. Zborowscy zaś jednego szczepu byli z Rytwiańskimi wicherzającymi za Jagiellonów; tak więc przez ciąg kilku wieków, jedna familia pod potrójnem nazwiskiem zaktócała kraj.

Nie mam potrzeby wspominać czytelnikom, historyi podkanclerzego Radziejowskiego; każdy ją zna bez wątpienia z dziejów; znał od kogo bądź lepiej porucznik, a jako człowiek prawdomowny i co czuł bez ogródki mówiący, długo i szeroko rozprawiać zaczął, jak to niebezpieczna a zarazem szpetna rzecz dzieci podobnych ludzi do wielkorady przypuszczać, zaszczytami ozdabiać. Słuchał w milczeniu mój szlachcic, lecz gdy p. Michał uniesiony zwykłym sobie zapalem rzekł:

— Jaby to wszystko, z ich koligacją i krewniakami z kraju rugował, a nie urzędami opatrywał! przerwał kłaniając się nisko, a z uśmiechem.

— Nie chcę ja, panie bracie, Radziejowskich bronić, ich bannicya małoby mnie obeszła, lecz na krewniaków wzgląd waszmość miój, szczęściem czy nieszczęściem bowiem, do ich liczby należę.

Spojrzelśmy na szlachcica z podziwieniem. Ubiór jego jak wspomniałem, niezwiastował wysokich koligacyj ani dostatków. Pan Michał trochę zakłopotany pytał.

— Racz przebaczyć Wmość mojej niewiadomości, greckosić wiejskii, miejskich znajomości nie mam. Z kimże mam honor rozmowy?

— Ach, wcale nie z żadnym dygnitarzem, ni dzieziem magnackiego majątku, była odpowiedź; mimo wysokich pokrewieństw, familia moja nie wzniosła się nad równość szlachecką; los jakoś nie faworyzuje, starostw i arend nie daje, wątpię nawet ażali moje nazwisko doszło ucha waszmości; jestem bowiem szlachcic choć dobry herbowy, lecz chudopacholski, z Nowogrodzkiego powiatu, Jerzy Gierald Towiański.

Pomimo skromnego oświadczenia młodziana, znał przecież porucznik jego familią, z stryjem kiedys służył

wojskowo, łatwo więc bliższa zawiązała się znajomość. Rad z niej byłem, bo szlachcic jak nikt drugi, mógł zaspokoić moją ciekawość w obeznaniu z tym i owym z naszych dygnitarzy. Mimo swojego ubóstwa żyjący w świecie i na dworach wielkich panów, wszystkich znał, o każdym umiał coś powiedzieć, a nie tylko o publicznem lecz i o prywatnem życiu, byстрыm też umysłem, dowcipnem i lekkim opowiadaniem, potrafił zająć moją uwagę.

Gdy teraz przypomnę sobie owego człowieka... rozważę jaki on wpływ na moje życie wywierał, doprawdy dziwić się muszę, jak mu mogłem zaufać i przyjaźń moją powierzyć. Nie powinienemże od pierwszej chwili znajomości, na ostrożności mieć się z nim? szyderstwo, żarty, jakimi dotykał wszystkich swoich znajomych, przyjaciół, a nawet i tych z których łaski żył, nie powinnyż nieufności obudzić? Ależ taka to jest natura człowieka, a w szczególności też moja, że z najpiękniejszymi maxymami, zasadami i rozsądkiem, łatwo oszukiwać się daje. Na stu ludziach, młodych przedewszystkiem, jeden zaledwie w zawiązywaniu swoich znajomości, w związkach przyjaźni, zważa na charakter i moralność, a nie na błyskotną zewnętrzną stronę osoby. Szanujemy skromną poczciwość: — niedoświadczonych więcej przecież wiąże do siebie bystrość umysłu, nie zawsze od wad czyste, zwłaszcza gdy ją okrasza dobry humor, wesolość, zręczne udanie i złośliwy dowcip....

Podobnym dowcipem obdarzony był aż nazbyt hojnie od przyrody mój nowy przyjaciel. Biada temu kto mu popadł na język, ale któż nie popadł! Złośliwy człowiek jest jak ów dziki Afrykański zwiierz, tygrys; kaleczy rękę liżąc ją... wiedziałem o tém, a jednak jak się przekona później czytelnik, żyłem z nim, przyklaskiwałem jego

sarkazmom, podniecałem je owszem pobleżaniem, chętném słuchaniem, zapominając że gdy kogo w méj przytomności, mnie w przytomności drugiego za cel swoich żartów wziąć może.... Ależ dość na tém; z ciągu powieści pozna lepiej czytelnik charakter mego towarzysza, teraz, odrząciwszy ile możności złośliwe jego uwagi, wspomnę o tych osobach, które dał mi poznać.

Jak pierwsze miejsce po królu JMci w kraju, tak i w wielkoradzie zajmował ksiądz prymas arcybiskup Gnieźnieński, Jan Wydzga, znakomity senator; jakkolwiek pokrewny Sobieskich, więcéj własným zasługom niżeli koligacyi, najwyższą swoją godność był winien. Mądry to bowiem był pan, cztérem monarchom wiernie służył, a za Jana Kazimierza szczególniej krajowi oddał usługi.; teraz już późny wiek, przeszło siedmdziesiąt lat, odrywał nieco od zajmowania się sprawami narodu, nie stępił jednak wrodzonego humoru prymasa, a szczególniej żywego dowcipu, którym się w całym życiu odznaczał... Grubą a zajmującą książkę napisałby ten, coby chciał zebrać wszystkie anegdotki i trafne jego dowcipy. Kilka tylko przypomnę, a to aby dać niejaką miarkę humoru i usposobienia umysłu księdza arcybiskupa.

Gdy mu raz doniesiono że jeden z młodych naszych magnatów (co się i wielu innym zdarza) stracił majątek na psy, konie i myśliwstwo, cóż w tém dziwnego, odpowiedział, doświadczył tylko losu mitologicznego Akteona; własne psy zjadły go.

Będąc w towarzystwie z jednym wielec skąpym Litewskim panem, skarżącym się na biędę, gdy korcem jak to mówią, mógł mierzyc złoto:—Zaiste, mości panie, obojętnie mu wyrzekł, słuszne są skargi waszmości na złe czasy, bo dobre zamknęłaś w swojej szkatule.

Dziwiono się w jego przytomności, że jeden z owych panków od wczoraj, co to Bóg wie jakim sposobem dochrapali się fortuny, kazał wybudować ogromny pałac, i ozdobił go kilkunastu herbami osób które niby z nim spokrewnione były... Ja w tém, rzekł prymas, nie widzę dumy, a owszem chrześcijańską pokorę; wszakże to nasz jegomość pokładł na mury herby wszystkich tych familij, u których jego ojciec i dziadek służbą chodzili.

Obok prymasa, jako biskup Krakowski, zasiadał Jan Nałęcz Małachowski. Bujny wzrost, a co nadewszystko żywe ruchy i giesta pralata, jasno zwiastowały że nie całe życie strawił na czytaniu brewiarza i układaniu kazań. Jakoż tak było: wprzód nim oblekł się w sutannę, świeckie urzędy piastował, a nawet chlubnie pod Rewerą służył wojskowo. Kilkanaście lat dopięro temu, jak po śmierci żony, duchowny stan przyjął... i wyznaczyć trzeba, godnie wypełnia jego obowiązki. Onto po spaleniu, odbudował Jasnogórską Częstochowską świątynię i kilka innych z gruzów podźwignął.

Oto anegdota dotycząca biskupa, a o nieprzebraném miłosierdziu Bożkiem i dziwnych zrzędach losu świadcząca. Dam ją jak slyszalem, nie śmiejąc jednak autentyczności zapewnić:

Ojciec pralata, chorąży Sieradzki, rządzą był jednego z królewskich zamków na Rusi. Nieszczęściem pewnego dnia napadli Tatarzy. Chorąży dzielnie bronił się, lecz przewyższającą sile wrogów uległ a nawet stracił życie. Zamek popadł w ręce bisurmanów; według swego zwyczaju zrabowali go oni, a wszystkłą jaką się znalazła ludność, uprowadzili w jassyr. Nazajutrz przecie po ich odciągnięciu, gdy z późną pomocą przybył oddział wojska, w kaplicy wśród stosu trupów znaleziono małe dwule-

tnie żywe dziecię, w którym poznano syna chorążego a właśnie dzisiejszego biskupa.... sierotę wziął w opiekę Władysław IV, dalej Jan Kazimierz, że jak wyżej wspomniałem, Małachowski i w wojskowym i duchownym stanie postępując z stopnia na stopień, doszedł wreszcie biskupiej godności; otoż gdy pierwszą mszę jako infułat odprawiał, a po jej zakończeniu wychodził z kościoła, na cmentarzu między innemi żebrakami dojrzał niewiastę, której podeszły wiek, cudzoziemski ubiór i rzewne łzy zwróciły jego uwagę. Gdy się zaś spytał co by zacz była, opowiedziała swoje historią, jako 50 lat blisko przeżyła w Tureckiej niewoli, że niedawno wykupiona z niej wróciwszy do rodzinnego kraju, szuka dawnych znajomych i familiantów, którzy w tych stronach kiedyś zamieszkiwali. Od słowa do słowa słuchając, pokazało się z tej powieści, że nieszczęśliwa była właśnie żoną zabitego niegdyś w obronie zamku chorążego, a matką biskupa.

A nie sam tylko ksiądz Krakowski, wprzód nim kościółowi, służył szabłą lub radą krajowi. W senacie nateraz jest dwóch dygnitarzy duchownych, którzy niezbyt dawno jeszcze świeckie posiadali urzędy, a to podkanclerzy koronny Gniński, i Mikołaj Pac biskup Wileński.

Podobne przejście z stanu do stanu, nie jest rzeczą dziwną u nas, od czasu zwłaszcza jak księża Jezuiti zagospodarowali się w kraju. Różne zaś tego są powody, jednych jak księdza podkanclerzego, wiedzie rozpacz i chęć szukania ulgi smutkowi w religii (1); innych wrodzona pobożność, a niektórych niestety żądza wywyższenia się i bogactw. Wiemy o tém, że wszystkie prawie nasze

(1) Gniński z żalu po śmierci żony stan duchowny obrat.

biskupstwa są hojnie funduszami opatrzone, kilka nawet bogate posiada księztwa; tak np. prymas Łowickie, Krakowski biskup Siewierskie, Płocki Pułtuskie, a Warmiński Warmińskie. Dochody księdza Krakowskiego szacują na milion i więcej złotych; podobnież prymasa. Gdy wszystkie dygnitarstwa krajowe prócz ministeryów nie są płatne, otoż aby podobne beneficya otrzymać, ten i ów używwszy światowych rozkoszy do zbytku, przywdziewa sutannę. Tym sposobem Górkowie ogromne zebrali majątki, i teraz niejedna z magnackich fortun, też samą ma podstawę; mało jest bowiem prałatów, którzyby swoje dochody obracali wyłącznie na dobro kościoła i kraju, a nie na uposażenie własnej familii; mało jest takich, jak był niedawnemi czasy ksiądz prymas Łubieński (1), którzy strofowani aby pamiętać o własnej wygodzie i losie krewniaków, potrafiliby odpowiedzieć: „Boże, strzeż mnie, abym kościelne fundusze na co innego a nie na kościoły obracał... nie panem ich ale tylko rządcą jestem; wolę aby świat mówił żem nie dbałem o los moich siostrzeńców, niż żeby mi zarzucać miał, że z szkodą kraju i duchownego chleba, uposażyłem ich; i im też samym miłszą będzie poczciwa bieda, niż dostatki z ujmą sumienia i honoru stryja zostawione.”

Nie tak myśli, powtarzam, znaczna liczba infułatów naszych, nie tak myślał za czasów Zygmunta III ksiądz Piotr Myszkowski, Krakowski biskup, którego to generalnym koronnym nazywano plebanem, i który umierając po czterdziestoletnim zarządzie księstwem Siewierskiem, zostawił w dobrach do dziesięciu, w gotówce, w klejnotach i srebrach do ośmiu milionów złotych, co na dzisiejszą

(1) Umarł 1652.

monetę, podwójną liczbę wyniesie; 36 milionów puści-
zny, nie bagatela; powstała z nich ordynacya Pińczowska.
Nie utworzył ordynacyi wyżej ode mnie wspomniany
prymas Łubieński, ale ileżto kościołów, kaplic, zamków
i innych budowli z gruntu wyniesionych, ozdobionych lub
przebudowanych, ile ubogiej szlachty, których własnym
kosztem na usługi rzpltej wyedukował, ile wreszcie uży-
tecznych instytucyj świadczą o jego zasługach, i jego na-
zwisko potomnych wdzięczności podają!

Prócz wyżej wspomnianych biskupów, trzech jeszcze
zwróciło moje uwagę: Jędrzej Załuski Kijowski, Ale-
xander Wolf Inflancki i Konstanty Brzostowski Smo-
leński.

— Mało jest ludzi, mówił nowy mój przyjaciel, którzy-
by równie jak ksiądz Kijowski, zamiłowawszy nauki, od-
dawali się im, z wyparciem się spoczynku i zabawy. Wą-
tpię czy w całym kraju znajdzie się kto równie jak ksiądz
biskup uczony..... historiją przedewszystkiem zna na pal-
cach, mnóstwo cudzoziemskich nowych i dawnych języków
rozumieć, a wymowa jaka! a pióro! Teraz jak słyszałem, oj-
czyste współczesne dzieje opisuje, w wielkich téż u kró-
la JMci faworach, który jak wiadomo i sam biegły w na-
ukach i lubi ludzi uczonych, nie zawsze przecież swemi
względami obdarzał biskupa. Opowiem ci zdarzenie,
które zarówno maluje wrodzoną dobroć i wielkomyśl-
ność króla! jak i szlachetną dumę prałata.

— Na ostatnim sejmie Grodzieńskim, król JMci pil-
nie zajmował się, aby przywieść stany do wypowiedzenia
wojny Turkom, i uchwalenia na ten cel podatków. Nie
podobalo się to królowej JMci, która jeszcze Francuzkiej
partyi przewodniczyła. Aby zakłócić obrady, podaje wnio-
sek przez swego kanclerza (był nim właśnie ksiądz Zału-

ski) o oprawę dla siebie (1). Ten wniosek, jak się łatwo spodziewać, pobudził żywe rozprawy, odwrócił powszechną uwagę od ważniejszego interesu. Król Jan, stary żołnierz, żywy z natury gdy gniew burzy krew, nie przebieając w wyrazach, rozgniewał się, i zamiast małżonkę, zburczał kanclerza dość a nawet zbyt ostro. „Najjaśniejszy panie, odparł prałat... jeżeli Wasza Królewska Mość na mój stan duchowny nie dajesz baczenia, szanuj przynajmniej we mnie szlachcica równego urodzeniem każdemu.” Upamiętał się monarcha, nie tylko śmiałe słowa przebaczył, ale owszem polubił biskupa, najskrytsze mu swoje tajemnice powierza, i nieraz się z tём odzywa, że gdy Bóg ostatnią mu życia godzinę naznaczy, nie troszczy się o los dzieci, bo powierzwszy je Załuskiemu, przekonany jest że w nim dobrego opiekuna, drugiego ojca znajdują.

A zamiłowanie nauk sukcesyjném zdaje się być w rodzie Załuskich. Jak biskup tak i jego bracia, a co więcej i synowcowie, drobne jeszcze dzieci, lubią je, ostatni szczególnież tęż (2). Dziesięcioletnie pachołęta, już mogą poszczycić się własną biblioteką, która powstydziły mogła księgozbiory niejednego z naszych magnatów, którzy to raczej kielichem niż książką, łowami niż nauką zajmują się. Wbrew zwyczaju innych dzieci, młodzi Załuscy, dostawszy od stryja lub ojca grosz jaki, zamiast na łakocie, obracają go na kupienie jakiego dzieła lub starego szpargału. Bóg im szczęść! brak w naszym kraju ludzi uczonych, a jeszcze większy takich, którzyby zbierali książki. Te co były po przodkach, dawno już zbutwiały w sklepach klasztornych lub zamkowych; przeszły do

(1) Oprawą nazywano tak pensje dożywotnie jak i wdowie opatrzenie królowych.

(2) Zostawszy później biskupami, założyli bibliotekę zwaną Załuskich.

Szwecyi za nieszczęsnych wojen Jana Kazimiérza, lub téż niszczały użyte pod placki, na zalepienie okien, albo w braku pakół, na przybitki do rusznic.

Biskup Inflancki, Alexander Wolf, ośmdziesięcioletni już starzec, miłym był mojemu oku, jako żywy zabytek przeszłości, pamiętnik świetnych i nieszczęsnych czasów pospołem! Onto niegdyś, jako kapelan i mentor królewicza Władysława, towarzyszył mu w świetnych wyprawach Chocimskiej i innych, a Janowi Kazimiérzowi zachował klejnoty koronne, uwiozłszy je przed Szwedami do Opola. Książd Smoleński, Konstanty Brzostowski przeciwnie; młody jeszcze był człowiek, 40letni zaledwie, daleko przecież starszój wyglądał. Błady, chudy, mizerny, zwątlony postami i ćwiczeniami duchownemi, żywą sprzecznosc stawiał z rumianemi twarzami, pełną tuszą kolegów. Czarne, bystre oko tylko żywo świeciło; ogniem silnój i namiętnój duszy zdawało się miotać... obdarzony był nią rzeczywiście prałat, a że nie dla dobra rzeczypolitej, następane pokazały czasy (1).

Daleko trudniój przychodzi mi wyliczać senatorów świeckich. Istotnie nie wiem od którego zacząć, o którym wspomnieć; gdybym chciał po szczególe zajmować się każdym, grubą napisałbym książkę a raczój kronikę wypadków spółczesnych. Przebaczy więc czytelnik, że kilku tylko wspomnę, nie dlatego aby oni koniecznie przewyższali innych zasługami lub rozumem, lecz że w owym czasie więcj zwrócili moje uwagę.

Dwa piérwsze krzesła w senacie, kasztelańskie i wojewodzińskie Krakowskie, zajmowali dwaj bracia Potoccy,

(1) Znajome są z historyi spory tego biskupa z hetmanem Sapiehą, które przez jakiś czas zaburzały kraj i daty powód rozdwojeniom, ułatwiającym późniój Karolowi XII zawojowanie Litwy.

Jędrzej i Felix. Istotnie, szczęśliwyto ród! od lat stu, od Zygmunta III najwyższe dostojęństwa w kraju, najwyższe znaczenia i majątki w koronie posiada. Każdy jego członek, chyba że śmierć wczesna przeszkodzi, w wielkoradzie ma miejsce, nietylko zaś urodzenie faworyzuje, daleko więcej rzeczywiste zasługi; zdarzyć się bowiem jaki ważniejszy wypadek, jaka większej wagi potyczka, aby w niej nie wziął który z Potockich udziału? W walkach téż szczególnie, w którychże w szczęśliwej lub nie, krew ich nie przelewała się, nie okupowała zwycięstwa, lub drogo nie kazała go płacić przeciwnikom? Nie pochlebstwo mnie wiedzie, gdy kreślę te wyrazy, niczym zoilem nie jestem, ale po Bogu i prawdzie wyznać trzeba, że ostatnie czasy naszych dziejów a może i żadne inne, nie wydały tylu ludzi znakomych z jednego szczepu, ile pokolenie Pilawitów Potockich. Dość zajrzeć w księgę dziejów; w ciągu jednego tylko stulecia, ileż pomiędzy nimi wielkich bohaterów naliczysz! To dwaj bracia, Jan i Jakób, obrońcy Zygmunta III przeciw rokoszanom, zwycięzcy wodzowie w walkach z najezdniczymi sąsiadami; to wiekopomnej pamięci Rewera, zbawca kraju od kozaków i Szwedów; Andrzej wojewoda Braclawski, którego dzielności i znajomości sztuki rycerskiej chlubne dał świadectwo król Jan III, gdy mówił, że cokolwiek doświadczenia w wojskowym zawodzie posiada, wszystko to Andrzejowi winien; idzie dalej bohater, krwawa ofiara za dobro rzptej Stefan, Piotr starosta Śniatyński, Mikołaj wielki hetman koronny, którego całe życie było pasmem zwycięzkich bojów. Dzisiejsi téż dwaj bracia, alboż świetnych mężstwa swego w różnych okazyach dowodów nie dali? Wszystkie sławniejsze zwycięstwa króla Jana dzielając, młodzi jeszcze w wie-

kopomnej bitwie Cudnowskiej, oba jukkolwiek synowie hetmańscy, panowie z panów, pomieszawszy się pomiędzy prostych żołnierzy, w pierwszej linii walczyli. Zarzucał im ktoś tę śmiałość, którą mogli życiem przypłacić! — Mości panie, odpowiedział mu starszy Andrzej, dość ma generalów rzeczpospolita, ale mało żołnierzy; winniśmy ich liczbę powiększyć. — To prawda, rzekł mentor, ależ na Potockich nie przystoi aby niby ordynarna szlachta lub zaciężni giemejni do potyczki stawali, rzuc ognia na poczciwych młodzianów. — Panie bracie, zwawo Felix wykrzyknął, żaden z Potockich *ex re* urodzenia, po godności nie sięgał. Nasz ojciec i dziad zdobyli buławy wśród hufców nieprzyjacielskich, i my tym sposobem zyskać je chcemy, a nie jak inni, w gonitwach do pierścienia pod okiem monarchy, lub też w gabinecie królowej za pańskim faworem.

Ile familia Potockich w koronie, tyle Radziwiłłów w Litwie, ma znaczenia i istotnej zasługi. Od czasu unii księstwa z koroną, najwyższe posiada godności. Samych Wileńskich wojewodów z tego rodu było dwunastu, hetmaństwa też i różne ministerya posiadała nieraz; ogromne bogactwa tego rodu, weszły w przysłowie; znajome są światu całemu. Ileżto księstw, hrabstw i obszernych kluczków w Litwie posiadają Radziwiłłowie, cóż dopiéro na Białej Rusi, Wołyniu i Ukrainie! Obliczono niedawno że więcj niż trzecia część wielkiego księstwa, jest w ich ręku; samych ordynacyj trzy posiadają: Nieświeszką, Ołycką i Klecką. W tych czasach, jedna z dzielnic tego domu, a to pisząca się na Birzach, Słucku i Dubinkach, wygasła na Bogusławie synu Janusza, znanego z rokoshu Zebrzydowskiego, i księżniczki Pruskiej Elżbiety; pozostała córka, Karolina Ludwika, bez wątpienia najbogac-

tszą jest partją nietylko w Polsce lecz i w Europie całej; prócz księztwa Słuckiego, ogromne majątki w różnych częściach kraju posiada, tak że jęj dochody na trzy miliony złotych obliczają. Wielu tęż pretendentów do jęj ręki, ściągają podobny majątek. Mówią że i król jmc pragnie ożenić ją z jednym z swych synów, a nawet z najstarszym Jakóbem, aby ogromne dobra w swoje prosapią przenieść; czy się to uda, nie wiem, wielu jednak wątpi utrzymując, że elektor Brandeburski, blizki krewny i opiekun bogatęj księżniczki, wprzód nim o królewskim, będzie myślał o własnym rodzie. Sto kilkadziesiąt milionów fortuny, potrafi skusić, a że się tak stało, następne pokazały lata (1). Z rodu Radziwiłłów w tych czasach dwóch zasiada w senacie: Stanisław ordynat Klecki, wielki marszałek Litewski, i Dominik książę na Ołyce i Nieświeżu podkanclerzy, wnuk owego Mikołaja zwanego sierotką, któryto za Stefana Batorego, podróżował do Ziemi świętęj i Egiptu, i tę swoje peregrynacyą jak i rozliczne przygody dla wiadomości powszechnęj drukiem ogłosił.

Gdy o wielkich majątkach mowa, wspomnieć winniem, że ich nigdy braku w naszym kraju nie było. W każdym czasie można napotkać fortuny, przy których gąśnie blask udzielnych książąt Niemieckich lub Włoskich magnatów. Za Jagiellonów np. Górkowie tak ogromne posiadali bogactwa, że czytając ich opis, z trudnością wierzyć przychodzi. Ostatni z Górków między innymi

(1) Księżniczka Radziwiłłowna wyszła za mąż najprzód za jednego z książąt Brandeburskich, później za księcia Nejburskiego, chociaż królewicz Jakób Sobieski, starał się o jęj rękę. Ten wypadek jak zasmucił króla, tak i wielu zamieszek w kraju stał się przyczyną.

wystawiał całe półki rycerstwa, które wszystkie w srebrne zbroje i tarcze ubierał; drugi przez kilka miesięcy w czasie bezkrólewia ugaszczał szlachtę wydając na stół dla niej dziennie 50,000 talarów, a przecież owa hojność wielkiej szczyrby w fortunie nie uczyniła. Książęta Ostrogscy, posiadali niegdys' większą część Ukrainy i Wołynia; jeden z nich, Konstanty, sławny bohater za czasów Zygmunta I, miał dochodu rocznego dziesięć milionów złotych. O Glińskim Michale mówiono, że większą połowę Litwy dziedziczył; bogactwa Zborowskich, Myszkowskich, Firlejów, Kalinowskich i Koniecpolskich, przewyższały wszystko o czém można pomyśleć; Koniecpolski naprzykład, przez traktat Budziacki za Michała Korybuta, na mocy którego Podole i część Ukrainy Turkom ustąpione były, stracił przeszło 200 mniejszych i większych wsi, kilkanaście miast i kilka obronnych zamków. W dawniejszych czasach, a to za dwóch pierwszych monarchów z rodu Jagiellońskiego, Melsztyńscy prym mieli w dostatkach; prócz obszernych dzierżaw w koronie, dwa księztwa na Szlązku i całe Podole trzymali w zastawie. Za Jana Kazimierza słynął swoim bogactwem Kazanowski, sam jego pałac w Warszawie, na Przedmieściu Krakowskiem w bliskości zamku położony, szacowano na kilka milionów, wliczając do rachuby skarbiec, stopy naczyń srebrnych i złotych, bogate sprzęty i inne kosztowności w nim zawarte.

Czy podobne dostatki jednego rodu, użyteczne a nie szkodliwe są dla rzeczypospolitéj? rozważać nie chcę; zdaje mi się przecież, lepiej byłoby, gdyby fortuna, faworyzując jedną familią, nie przepominała o innych. Równność szlachecka nie byłaby wtedy czczą nazwą jak jest nią teraz, pomyslnosc' kraju i dobro ogółu zyskałyby téż

na tém, bo czyż nie widzimy codziennie jakie są skutki zbytnich majątków u nas? Gdy jeden z magnatów jak się to mówi, korcem mierzy złoto, tysiące szlachty złamanego szeląga nie ma przy duszy; głód cierpi. Dla utrzymania jako tako życia, dla łyżki strawy, kontusza, żupana, frymarczyć musi zdrowiem, życiem, a często honorem i sumieniem; nadto, chociaż prawda że wielu z naszych magnatów, swoich dostatków dobrze używa, na potrzebę rzeczypospolitój, na wspieranie ubogich współbraci, wzniesienie szkół i świątyń, iluż za to swoje dochody a nawet fortuny, marnotrawi bez celu i korzyści, często za granicą, we Włoszech, w Paryżu lub gdzieindziej?

Jakim zaś sposobem, podobnie wielkie majątki gromadzą się w ręce pojedynczych osób, łatwo odpowiedzieć... Jednych tuczy hojność monarchów, innych zyskowne urzędy i starostwa; chleb duchowny i bogate posagi zapomagają też wielu; posagami np. księstwo Słuckie, Kopyl i inne dobra Radziwiłłom dostały się; lecz prócz tych godziwych sposobów, ileż jest innych niebardzo zaszczytnych? Ogromna np. Adama Kazanowskiego fortuna, zebrała się z datków królewicza Władysława, z chytrój kradzieży jego skarbcu; zarząd lub dzierżawa żup Wielickich i ceł krajowych, prędko daje majątek; książęca dzisiaj familia L* między innemi soli winna swój splendor. T* w Litwie szczęśliwym spekulacyom starostwami, P* zarządzaniem przez dwa pokolenia skarbem i pieczęcią kancelerską.... Mnóstwo jest też panów których ojciec lub dziad ekonomskie funkcyje biedak sprawować musiał, lecz że ekonom był zabiegły i ogłędny gospodarz, a pryncypał lubił zbytek i na gospodarstwie nie znał się, dochody majątków szły do kieszeni oficya-

listy, gdy magnat musiał fantować się. Rezultat tego łatwy do zrozumienia: dzisiaj syn ekonoma pan, magnat, senator, a magnata biedak o wielkiem imieniu, świetnej przeszłości, lecz bez grosza w kieszeni. *Sic transit gloria mundi*, mówią ludzie, a jabym dołożył i drugie przysłowie: *Male paria* idą do czarta.. w tém też przysłowiu jedyna pocziwych biedaków pociecha.

Starożytna Litewska familia Paców (wyprowadzająca swój dukt, jak gdyby to własnej rodowitości koniecznie cudzej było potrzeba, od Włoskich Pazzich) pięciu aż senatorów w tym czasie wydała: dwóch biskupów Mikołaja Wileńskiego i Kazimiérza Żmudzkiego, dwóch wojewodów: Michała, który jest także wielkim hetmanem Litewskim, Pawła wojewodę Żmudzkiego, i kanclerza Krzysztofa. Widzimy z tego, że co najznakomitsze urzędy Litewskie, w rękę téj familii zostają; czy się zaś to dzieje z dobremi rzeczypospolitęj, każdy wie, kto choć cokolwiek zna dzieje krajowe. Wielkie zaszczyty jak wielkie majątki, gdy w rękę jednego rodu zostają, niebezpieczne są nieraz, bo dumie, zawiści lub złości obszerną władzę do działania dają. Doświadczył tego król JMé z panami Pacami; ich przewadze téż w Litwie wywyższeniem Sapiehów chce tamę położyć, lecz czy się to uda, przewidywać nie chcę. Słusznie jednak, sądzę, opowiadał niedawno w tym sensie bajeczkę ksiądz prymas: pewien pastérz, mówi, chcąc zasłonić od wilka swą trzodę, dał jęj za stróża lisa; źle wyszedł na zmianie, bo którą z owiec oszczędziło jedno, drugie zadusiło zwierzę.

Że każda prowincya u nas, ma pewne swoje familie, które wiek z wieka, wysokie w nięj godności i obszerne majątki posiadają, łatwo przekonać się z tego można, że od kilku pokoleń np. Potoccy w Małopolsce, Radziwiłło-

wie w Litwie, w Czerwonej Rusi Sieniawscy i Danitowicze, w Wielkiej Polsce Opalińscy i Leszczyńscy, w Kujawach Kretkowscy, w Mazowszu Radziejowscy i Prażmowscy, w Prusach Działyńscy i Denhoffy, prym mają. Z Denhoffów np. w tych czasach czterech aż w senacie zasiada: dwóch wojewodów, i tyluż kasztelanów. Opalińskich trzech, Leszczyńskich dwóch, tyluż Morsztynów, Ogińskich, Załuskich, Krasieńskich i Tyzenhauzów.

Nie trzeba przecież być z dziada pradziada magnatem, aby senatorską dostojność otrzymać... Na chlubę monarchów naszych przyznać trzeba, że nietylko urodzenie lecz i zasługę, choćby ona wysokich za sobą antenatów nie miała, promowują. Z biednego zagrodowego szlachcica, wszakże niedawno Stefan Czarniecki doszedł buławy i wojewodzińskiego krzesła. W tych latach nawet, ileż osób widzimy w senatorskiej izbie, które głową, radą i szablą a nie faworem i dostatkami, wysokich dostojności doszły. Marcin Kątski kasztelan Lwowski i generał artylerji koronnej, Łużecki wojewoda Podolski, Pstrokoński Kujawski i Gurowski Gnieźnieński kasztelan, ze innych pomnę, oczywistym są tego dowodem.

O trzech jeszcze senatorach choć kilka słów wypada mi powiedzieć, a to o dwóch Lubomirskich, Stanisławie wielkim i Hieronimie nadwornym, marszałkach koronnych, rodzonych braciach a synach Jerzego, któryto za Jana Kazimierza, tak przeważny opór stawiał partyi Francuzkiej, promowującej Kondeusza na tron; i o Janie Krasieńskim wojewodzie Mazowieckim.

I familia Lubomirskich do szczęśliwych należy. Starożytna, jednej podobno z Stadnickimi dzielnicy, a jak mówią ludzie, i szczepu, od Zygmunta Augusta ciągle wzrasta w majątki i honory. Dwaj bracia marszałkowie

czwartém już są pokoleniem, wysokie senatorskie piastującém urzędy, i krajowi przeważne niosącém usługi. O ich ojcu wspomniałem; dziadkiem był ten sławny wojownik Stanisław, który po śmierci Chodkiewicza, objąłszy główną komendę w Chocimskim obozie, nie tylko że dziesięćkrotnie liczniejsze hufce Turków odparł, lecz owszem skłonił wielkiego sultana do zawarcia chlubnego dla Rzeczypospolitej przymierza. Pobożnością téż odznacza się ród Lubomirskich; żaden inny nie wspomaga więcej duchowieństwa i klasztorów; w różnych stronach kraju blisko sto kościołów znajdziesz wzniesionych lub wyrestaurowanych przez niego; słusznie téż ktoś jeszcze przed stu laty napisał, proroczym duchem wiedziony:

Nagrodzi Lubomirskim Pan Bóg z innej strony,

Dali Bogu tysiące — Bóg im da miliony.

Istotnie dał im Pan Bóg miliony, a prócz tego sławę u ludzi i zaszczyty w Rzeczypospolitej.

Co się tyczy dwóch braci, Stanisława i Hieronima, różnych charakterów to ludzie. Starszy człowiek spokojny, uczony, nad książkami trawiący całe swe życie; młodszy bystry, gwałtowny, żołnierz duszą i sercem. Los pozwolił mi poznać bliżej obudwu, obszerniej téż powiem kiedyś o nich na swoim miejscu.

Wojewoda Mazowiecki, Jan Bonawentura Krasiński, o którym już nieco na wstępie moich pamiętników wspomniałem, człowiek niepospolicie bystrego umysłu i nieposzlakowanej prawości sumienia, odznaczał się także wesołym humorem i dowcipem, którym nawet księdzu prymasowi Wydzdze nie ustępował. Rodzimatego Mazowieckiego familja Korwinów Krasińskich, równie stara jak ziemia na której zamieszkuje, jak grody które wzniosła lub broniła przed najeźdźcami Litwinami i Pruską czer-

nią, za Mazowieckich jeszcze udzielnych książąt, wysokie urzędy i godności posiadała. Ona też jak i Świnkowie, Zielińscy, Podoscy, Nakwascy, Radziwińscy i Prazmowscy, jedynymi są teraz historycznemi na Płockim Mazowszu rodami; inne bowiem, jakoto: Kryskich, Dzierżgowskich, Kostków, Brzeskich, Giżyckich, Szreńskich, albo wygasły, lub też w inne strony kraju przesiedliły się.

Koło piérwszój z południa zaczęły się obrady. Król jmc zasiadł na tronie, przy nim stali dwaj królewicze Jakób i Alexander, ministrowie i wielcy dygnitarze kraju nie mający głosu w wielkoradzie, zasiedli na krzesłach przeznaczonych dla siebie, biskupi, wojewodowie i kasztelani więksi; na ławkach kasztelani mniejsi i stan rycerski, reprezentowany przez posłów ziemskich. Istotnie ciekawy, zajmujący i pełny czarodziejskiego uroku był to widok, przemawiał zarazem do duszy, oka i serca; prędko jednak przeszło owe oczarowanie, czemu? obszernie rozpisywać się nie chcę; zły to ptak, co brudzi własne gniazdo. Nie wszystkie sessye wielkorady są do siebie podobne, bywają takie gdzie staro-Sarmacka prawość, zgoda i rozum, w całym blasku odradzają się, ależ sessya, którój świadkiem byłem, nie mogła się tém poszczycić. Biada, stokrotnie biada nam ludziom, gdy nawet najświętsze instytucje zepsuć, skrzywić, z prawego toru zwieść potrafim! biada ludowi który nie umie korzystać z szczęścia jakie Bóg dał, ale puściwszy wodze swym namiętnościom, zawiści, prywacie, spuszcza z oka własny interes i dobro ogółu, nie o nich w swych reprezentantach naradza się, ale traci czas na próżnych deklamacyach, czczój gadaninie, lub też bałamuci sprawy, niweczy swe siły, niesforną prawu nieuległością, ślepém zaufaniem cudzodziemskim podszeptom i kilku intrygantom, którzy

dla własnego dobra zakłócają kraj, aby potem łatwiej, jak mówi przysłowie, w mętnej wodzie ryby łowić. Zaiste, gdy taki bezporządek dłużej potrwa, gotów jestem siedmiokrotnie wykrzyknąć z Jerozolimskim ostatnim prorokiem: biada nam! pewny upadek!....

ROZDZIAŁ XIV.

Niespodziana kwatery. Gospoda pana Weissa. Jmć pan Jakób Dowmuntowicz Kollupailto. Panna Feu d'herbe. Kłopot i nadzieja.

Kilka dni zeszło spokojnie, a muszę przyznać i wesoło dla mnie. Nowy przyjaciel, gdy pan Michał zajmował się jako poseł swój ziemi sprawami publicznymi, był mi mentorem, oprowadzał po mieście, ciekawości jego pokazywał, zapoznawał z tym i owym. Że czas biegnął szybko, z pamięci wybiegły dawne kłopoty, a przyszłość choć niepewna, nie dręczyła wcale.

Nie powinienem był przecie oddawać się całkowiec radości; powinienem był pamiętać że nad mą głową, jak owemu starożytnemu Damoklesowi wisi miecz, który co chwila spaść może. Winienem był przewidzieć że wstawienie się hetmana nie całkiem broni, bo zależy od kaprysu ks. Jezuitów, lecz, taka już natura młodości: o dzisiaj tylko pamięta, jutro obojętne dla niej, jakby nigdy nie miało przyjść.

Przyszło jednak dla mnie, z niem groźne niebezpieczeństwo. Szczęściem że Pan Bóg własce swojej bez granic, dał pomoc, a to ze strony, o której nie myślałem wcale.

Dla zrozumienia jednak dalszych wypadków, muszę cofnąć się nieco w mój powieści, wspomnieć o przyjeź-

dzie do Warszawy, i opowiedzieć anegdotkę, która przez parę dni zajmowała i zabawiała stolicę, z moim losem w ścisłym będąc związku.

Przypomni sobie czytelnik szczegóły mego wyswobodzenia z rąk patrów, a przedewszystkim że poczciwy wojewodzie uwiózł mnie w swojej karecie. Tą karętą przyjechaliśmy do Warszawy, on, ja i pan Michał, który niedawno wybrany posłem na sejm, musiał do stolicy pośpieszać; bryki porucznika i wozy z leguminą i obrokiem szły za nami, że to jakoś okazały robiło poczet; w takiej komitywie wjechaliśmy do miasta. Było właśnie południe, zeszedł przecie czas do wieczora, a nie znaleźliśmy gospody. Tłumny zjazd panów, senatorów i mnóstwa szlachty z całego kraju, sprawił, że wszystkie domy zajezdne, klasztory, a nawet kamienice prywatne były zajęte; choćbyś ofiarował na dobę dukata za szczupłą stancją, i takbyś jej nie miał. Prawda że jako poseł, p. Michał miał prawo do gospody rządowej, lecz że nieszcześnie wielki marszałek, od którego jej naznaczenie zawisło, na polowanie wyjechał, oczekując na jego powrót, trzeba było chyba pod gołym niebem koczować.

Ziębli, zgłodniali, nie wiedzieliśmy istotnie co począć; włóczyliśmy się z ulicy na ulicę, od domu do domu prosząc, ofiarując znaczny pieniądz za kwatere choćby na jeden dzień; wszystko naprózno, gdy już o dobrym zmiérzchu, więcej z przypadku niżli z namysłu, zatrzymaliśmy się przed jedną dość dużą kamienicą, tuż pod murami Starego Miasta położoną.

Na stukot koni i trzask biczów woźnicy, drzwi domu otworzyły się. Wybiegł jakiś chudy, niski, w cudzoziemskim stroju jegomość i w Francuzkim języku, ktoby przybywał, zagadnął.

Że, dzięki nieszczęśliwemu dyrektorowi z Pułtuskiego kolegium, niezle owym zamorskim cudzoziemca językiem mówiłem, odpowiedziałem zatém, że szukamy gospody, i że to *monsieur l'Ambassadeur* przyjeżdża; nie wiedziałem bowiem jak inaczej wytłómaczyć godność posła, którą się pan Michał zaszczycał.

Zaledwo Francuz usłyszał moje odpowiedź, zdjął z głowy szlafmycę i kłaniając się nisko, oświadczył że tu właśnie jest kwatery dla *Son Excellence*, że stosownie do odebranych rozkazów przyrzadził ją i od natrętnych Polaków bronił aż do téj chwili.

Gdym wytłómaczył panu Michałowi to oświadczenie, pogłasnął węża a mówił:

— Za kogo innego wziął nas ten kusy Francuzik, a bez wątpienia za posła swego monarchy, który jak słyszałem, ma przybyć na sejm. Dalipan, chętna mnie bierze, korzystania z omyłki; nim się wyjaśni, znajdziemy nocleg i spoczynek których tyle potrzebujemy.

Wziąć projekt i wykonać go, było dziełem jednéj chwili dla starego żołnierza. Zajechaliśmy do kamienicy, rozgościliśmy się w izbach, dla margrabiego de Vitry, ambassadora króla arcychrześcijańskiego przygotowanych, zjedliśmy wieczerzę którą on obstałował... Gospodarz Francuz, ani dorozumiewał się *qui pro quo*. Ja z wojewodzicem bowiem, odgrywaaliśmy rolę sekretarzy ambassady, porucznik samego ambassadora; jako ten nie mówił nawet z gospodarzem, pod pozorem znużenia, zamknąwszy się w ciepłej i wygodnej izbie.... Sam tylko strój mógł zdradzić naszą istotną rodowitość, ale i na to znalazł środek porucznik: kazał nam mówić, że dlatego przybraliśmy się w kontusze, aby przypodobać się narodowi do którego przyjeżdżamy w poselstwie.

Śmiejąc się z naszej zabawki, hojnie nakarmieni i napojeni, zabraliśmy się do spoczynku, gotowi nazajutrz ustąpić kwatery właściwemu possesorowi, gdy nad rannem rozbudził gwałtowny stukot do drzwi, roztworzył je pacholek i wszedł a raczej wbiegł gospodarz zanosząc się od gniewu; odkryło się bowiem *qui pro quo*, prawdziwy ambassador przyjechał.

Nie będę opisywał czytelnikom sceny jaka wtedy miała miejsce, gniewu i skarg gospodarza, objaśnień z markizem de Vitry, dość że Francuz, czy to że mu nasz fortel w zajęciu cudzej kwatery podobał się, czy że w panu Michale, nic nieznaczącą grzecznością chciał pozyskać jednego więcej stronnika, może téż dla przypodobania się narodowi i dla dania dobrej o sobie opinii, nietylko że nas nie rugował z gospody, ale ofiarował w niej na cały czas sejmu mieszkanie, ofiarę, którą skwapliwie przyjął porucznik, boć daleko lepiej było mieszkać w wygodnym domu, w bliskości zamku, w dwóch dość dużych komnatach, niżli mieścić się gdzie na przedmieściu w cuchnącej izbie żydowskiej, w kwaterze naznaczonej przez wielkiego marszałka.

Jakkolwiek bądź, grzeczność Francuza jak jemu tak i nam a mnie w szczególności korzyść przyniosła. Jak się to stało, opiszę:

Pewnego popołudnia, mój nowy przyjaciel zaproponował abym poszedł z nim do sławnej gospody piwa i innego trunku Minherra Wejssa, rodem Niemca, która w niezbyt wielkiem od nas oddaleniu znajdowała się, w dużym ogrodzie na Podwalu (1).

(1) Gdzie teraz zajazd N. 500.

Sławna to była na całą Warszawę a nawet i na cały kraj gospoda, najlepsze trunki a szczególnież piwo różnego gatunku, Grodzickie, Czerskie, Wareckie a nawet i zagraniczne, gęste i ciemne jak właśnie nasza czarnina znajdowały się w niej. Uczęszczaną więc była codziennie od mnóstwa gości, tak że Minherr piękny zebrał majątek i niby jaki magnat, gdy swoje córkę wydawał za JMci pana Malowiejskiego z Wyszogrodzkiej ziemi porucznika lekkiej chorągwi Krasiniego, referendarza koronnego, prócz znacznej summy w brylantach, szatach, futrach i wyprawie, prócz dwóch domów na Starém mieście, jeszcze gotówką w posagu dał dobrimi tynfami ośmdziesiąt tysięcy. Że zaś była to w owych czasach summa ogromna, z tego możem zrozumieć, że gdy Adam Poniński, kasztelan Gnieźnieński, któryto przez oszczędność i szczęśliwe spekulacye znaczny zebrał majątek, wydał swą córkę Elżbietę, za Kalinowskiego starostę Winnickiego, i dał za nią czterdzieści ośm tysięcy tynfów posagu gotówką, cała Wielkopolska o tém jak o czém nadzwyczajnym gadała, w czém była i racya, boć Radziwiłłowie Potoccy, Ossolińscy i inni magnaci, nad dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy rzadko więcej dali.

Otoż w gospodzie JMci pana Wejssa, zbierała się cała Warszawa, w czasie sejmu nawet, mogłeś w niej znaleźć i znakomitsze osoby, i dygnitarzy krajowych, tak np. pan Marcin Kątski gienerał artyleryi częstym w niej był gościem, toż samo Władysław Łoś kasztelan Pomorski, sławny lubownik piwa, którego oxeft, gdy jechał w dalsze sąsiedztwo, lub z swych dóbr w Chełmińskim do drugich na Kujawach, zawsze woził z sobą, i po drodze w dni dwa lub trzy wypróżniał do kropli.

Mówili nawet ludzie, że i sam król JMé Jan III, gospodą Minherra nie gardził. Dawniej gdy był jeszcze marszałkiem wielkim, *publice* chodził do niej, teraz tylko ukradkiem, pospołu z wielkim hetmanem Jabłonowskim. Długo pokazywano w gospodzie mały okrągły stolik przy którym rad siadał i dużą szklaną kwartę z której pijał. Ma ją teraz u siebie JMé pan Burbach burmistrz Staromiejski, zięć Wejssów, bo się z drugą jego córką Ludwiką ożenił.

W gospodzie mnóstwo znaleźliśmy gości. Znajomych było kilku, jakoto: pan Wespazyan Kochowski, zawsze skarżący się, i po pijanemu na złe czasy płaczący, zawadyak Adam Szmigielski, który koniecznie musiał zawsze i wszędzie burdę jaką zrobić, bo właśnie gdyśmy byli w gospodzie, nadrąbał ucha jakiemuś Warszawskiemu mieszczaninowi, że jak mówił krzywo patrzył na niego, co biedak musiał robić, bo z natury zyzował. Był téż JMé pan Głuski z Lubelskiej ziemi, podczaszy, i mój rodak Mazur Nosarzewski. Że czas w owém towarzystwie zbiegał wesoło, iżem nie spostrzegł jak nadszedł wieczór, gdy oto ni ztąd ni zowąd podszedł do naszego stolika jakiś szlachcic niski, czupurny, w żółtym kontuszu, w granatowym żupanie, z głęboką szramą przez czoło, grzeecznie skłoniwszy się, przeciągłym a śpiwającym głosem, jakimto Litwini i nasi Podlasianie mówią, spytał mnie:

Waszmość pan brat, jak się dowiaduję od mych kollegów, mieszkasz razem gospodą z JMé panem ambassadorem Francuzkim?

— Nie razem, mości dobrodzieju, odparłem, ale tylko w jednym domu. On na piérwszém piétrze, ja z moim

przyjacielem, panem posłem Ostrołęckim, w facyacie na drugim.

— Zawsze blisko, toż zapewne jegomość jesteś partyzantem jegomości ambassadora?

— Niczym partyzantem nie jestem, a tym mniej markiza *de Vitry*, zbyt młody abym znał się na sprawach *status* i brał w nich udział.

— Ale znasz tego Francuza, w jednym domu mieszka-
jąc, powiedzże mi, jestże to człowiek a nie zwierz, a co
nadewszystko nie heretyk, bisurman Aryański?

Zdziwiły mnie podobne pytania nieznajomój figury.
Odpowiedziałem jednakże:

— Że markiz jest człowiek, jak ja lub waszeć, zdaje
mi się nie ma kwestyi; a że prawowierny katolik, z tego
mogę wnioskować, że na mszą świętą do kościoła chodzi,
spowiada się i komunikuje.

Roześmiał się na całe gardło mój Litwin.— A mospa-
nie, zbyt młody jesteś, nie znasz się na przebiegach tych
zamorskich ichmościów, toż oni niby nasi cyganie, taki-
ej wiary w jakim kraju żyją. Pan markiz np. u nas katolik
bo my prawowierni katolicy; pojedzie do Stambułu, to
się uda za Turka, a w żydowskiej ziemi za żyda.
Gdzieżby znowu człowiek, co w kusym kaftanie, w ogro-
mnej peruce i małym kapelusiku chodzi, mógł być do-
brym chrześcianem? wszystko to blichtr mosanie, aby nas
odrwić, oszukać. A jakiż to człowiek z natury? potrafisz-
że on na ostro po szlachecku złożyć się?

Już mi téż cierpliwości nie stało:—Mości dobrodzieju,
wyrzekłem, czyżto mnie aszmość na przesłuchy bierzesz?
nieznajomego nieznajomy—

Mój szlachetka uklonił się znowu, wskazał na pana
Adama Szmigielskiego:— Ot pan brat, mógłby mnie gdyby

chciał, zarekomendować, lecz gdy o tém nie myśli, polece się sam wiernéj służbie aszmości. Jestem Jakób Dowmuntowicz Kołupajłło; dobry szlachcic Litewski, z Rosieńskiego powiatu, podkoniuszy z dziada pradziada, a wielmożnego Tyszkiewicza wojewody jurgieltny dworzanin, służę mu wiernie i chętnie nietylko na sejmikach głosem ale i w każdém zdarzeniu, ot tą moją serpentynką alias biczykiem.

I jakby chciał zaprodukować się swą karabelą, wy dobył ją z pochwy. Nie był to przecież biczyk, ale bicz co się nazywa, bo szabla na trzy dobre palce szeroka, gruba stalowa, szczerbów na niéj mnóstwo. Wskazując na nią mówił z dumą:

— Że nie dla kształtu ją noszę przy sobie, możesz się waszmość po tych szramach przekonać, świadectwo téż mógłby dać i ktoś z kompanii waszmościnej.

Spojrzał znowu domyślnie i z szyderskim uśmiechem na pana Szmigielskiego, ten pokraśniał cały, brodę potargnął i żwawo zrywając się z zédła wykrzyknął:

— A mości panie, toż jak widzę przeciw mnie kierujesz swoje napaść. Na biesa, nie dworuj że gdy raz udało ci się wytrącić mi z ręku szablę, drugi raz to uczynisz rad nie rad, będę musiał przekonać cię, że Szmigielski potrafi bić się, pobić napastników lub zginąć.

Litwin klaniał się nisko: — A mości panie rotmistrzu, czemuż gniew aszmości? Prawda, udało się mojej serpentynce mieć nad twym palcatem górę, ależ nie chcę próby powtarzać. Ztémwszystkiém gdy taka twa wola, mozem się złożyć, *bis repetita placent*, Pana Boga przecież i tych wszystkich panów biorę na świadków, zem nie szukał okazji.

Rotmistrz obnażył swą szablę, stanął jakby do walki gotowy, nie miała przecież ona miejsca, bo Litwin z zimną krwią schował swój biczek do pochwy a rzekł:

— Przebacz waszmość dobrodziej, na dzisiaj nie mogę mieć tego festynu, inną mam okazyą a ważniejszą, boć z nieprzyjacielem mojego pryncypała.

— Jakto? zapytał ten i ów z kompanii, z kimżeto mości Kołupajłło.

— Hm, z kim? pogłasnął Litwin wąsą; z kimżeby jeśli nie z tym, o kogo wypytywałem się aż do znudzenia tego jegomości (pokazał na mnie,) z Francuzkim ambassadorem.

— Jakto? co on aści zawinił?

— Mnieć on nie zawinił, bo téż go i nie znam, a raz tylko jadącego przez ulicę widziałem. Gdyby zaś co zawinił, dawnoby się już z głową a przynajmniej z uchem pożegnał; ale jak wspomniałem, memu pryncypałowi, wielmożnemu wojewodzie w czemś dokuczył, w czém, nie wiem, bo jak się było pytać? Dość że gdy temu trzy dni, pan wojewoda z zamku powrócił, a ja byłem na służbie, długo i szeroko na owego Francuza skarżył się, biadał i pomstował, jak on wierutny łotr, partye tworzy, kłóci stany, jemu przymawia. Pomyślałem zaraz sobie: nauczę ja mospana rozumu, bo co to aby jakiś tam zamorczyk naszemu Litewskiemu wojewodzie, panu z panów dokuczył? Dotąd przecie nie było okazji wywiązania się z swych chęci, odprowadziłem pryncypała do Brześcia, gdzie pojechał, ależ teraz i ja i wszyscy dworzanie wojewodzińscy zebraliśmy się, aby zażądać od Jmci pana Francuza satysfakcyi.

— Lecz mości dobrodzieju, wyrzekł mój przyjaciel Towiański, ambassador jako reprezentant swego monarchy, święta persona; wyzywając go obrażasz waść

prawa narodów, a co gorsza ściągasz na siebie gniew króla jmc i sąd marszałkowski.

— Hm, toż samo mi mówił i tak samo odradzał pan Szczuka, referendarz Litewski a mój blizki krewny po matce, bo nasze matki były rodzone stryjeczne w trzecim pokoleniu po swych babkach dzieci. Ależ *est modus in rebus*, da się wszystko tak zrobić, że i wilk będzie syty i owca cała, to jest że ichmość Francuz straci ucho lub głowę; a ja z kompanami ujęd bezpieczny do naszój poczciwój Litwy; przygotowaliśmy bowiem konie aż do Bugu, przed marszałkowskim sądem tedy ucieknem. Skłonił się znowu nisko, pokornie, i już miał odejść, gdy się znowu wstrzymywał przede mną:

— Jeszcze jedna kwestya, panie bracie; nie umiesz mi powiedzieć, czy ten Francuzik szlachcic lub nie?

— Sądzę, odparłem śmiejąc się, że szlachcic, boć przecie nosi tytuł margrabi, a nasz pan ordynat Pińczowski, Myszkowski, choć margrabia szlachcic. *Ergo* tedy i ambassador musi nim być.

Podziękował mi Litwin. — Wielki kłopot waszmość usunął mi z myśli; dotąd moja serpentynka nie kosztowała innój krwi prócz szlacheckiej, i dobrze jakoś była zdrowa, bałem się zatem bym ją nie struł plebeuszowską. Ależ czasu nie ma do stracenia, polecam się względem miłościwych panów braci.

Odszedł, my śmialiśmy się do rozpuku, sam tylko mój towarzysz Towiański, nie był w humorze, mówił:

— Znam tego Litwina, gotów burd jakich narobić, będą sądy i sprawy.

Zwrócił się do mnie: — Panie Stefanie, chodźmy do domu, może też uda się jaką pomoc której z stron dać, lub spór załagodzić.

W Zanim jednak mogliśmy odejść, zbiegło przeszło pół godziny, ten i ów zatrzymał. Wychodzimy na ulicę, aż tam zbiegowisko ludzi ogromne, słychać nawet pistoletowe wystrzały. Podwajamy kroku, rozpychamy tłum, dochodzimy do naszej kwatery, zawadyak Kołupajłło z innemi dworskimi wojewody Tyszkiewicza, w oblężeniu prawdziwem kamienicę trzyma, strzela do okien, szturmuje do drzwi. Właśnie gdyśmy nadeszli, udało mu się wybić je, cała czereda ludzi dworskich, może czterdziestu wbiega niemi, znowu huczą wystrzały, za niemi tu i tam jęk śmiertelny rozejdzie się, kilku z dworzan ambassadora poległo. Litwini wbiegają na schody na pierwsze piętro wiodące, my z niemi, Kołupajłło wykrzykuje, bij! rąb! co zamorszczyk! co nosi perukę; i biją i rąbią; chcemy ich kalmować, ani sposobu, zawadyak mówi mi: idź wasze do swój kwatery a siedź cicho, żeby ci się co złego nie stało. Toż samo radzi i mój towarzysz, któremu wcale nie chce się już uspokajać zważnionych, gdy kilku trupów dojrzał na placu. Biegniemy więc na schody do siebie, aż tu krzyk za nami rozejdzie się, krzyk gwałtowny kobiecy. Oglądam się, moi Litwini wleką z mieszkania ambassadora jakąś niewiastę, przyjrę się, młoda, piękna, bardzo piękna, włos czarny, oko podobnie. I to zamorszczanka! wrzeszczy tłum, i tę bić! Żal mi się jakoś zrobiło, żwawo nazad poskoczę, odbiję karabelę napastnika moją:—A panie bracie, czy ci nie wstyd z kobietami wojować, niewiasty bić, co ci ona winna? Mój Litwin spojrzy ukosem:—Panie bracie, toż ta sama krew, jedna myśl i pokolenie.—Ale kobiéta, odpowiem, powinna mieć wzgląd u waszeci. Odepchnę go i drugiego, moja niewiastka widząc we mnie obrońcę, obejmie za nogi: ratuj! ratuj! woła. Ja macham karabelą na prawo

i lewo, Litwini się gniewają: Puść ją! albo zarąbiem, krzyczą:—A rąbacie, odpowiadam, aleniewieście dajcie pokój;—zasłonię ją sobą, popchnę w kąt na schody, czapkę zrzuć z głowy a karabelą napastników odpięram. Nie wiem przecie czybym zdołał im wytrzymać, boć dwudziestu ludzi jednemu trudno zwalczyć, gdy nagle pan Michał wbiega, z nim wojewodzie. Wołam o sukurs, dają go. Litwini zli, złorzeczą nam że bronimy heretyków, wykrzykują, i do szabel biorą się. Chudo byłoby z nami, gdy szczęściem od ulicy ktoś krzyknie: straż marszałkowska nadchodzi! oblęj wodą Litwinów! Jeden przez drugiego oknem, drzwiami, jak może ucieka, miesza się z tłumem i niknie.

Narobiła ta sprawa dużo hałasu w Warszawie. Król jmc arcychrześcijański gniewał się, wojnę groził, boć to niemiała rzecz ambassadora napaść, służbę jego pobić.... Szczęściem że się wszystko jako tako spokojnie skończyło, ważniejsze sprawy nadeszły, wojna Turecka i inne, trzeba było milczkiem połknąć obrazę, zwłaszcza że winnych trudno było znaleźć; rozbiegli się po Litwie i pokryli w swych lasach. Sam tylko pan Tyszkiewicz, choć całkiem nieświadomy wypadku, że to jego służba narobiła breweryj, aby jaką taką satysfakcją obrażonym Francuzom dać, rok i sześć niedziel musiał w więzy przesiedzieć. Ależ wiemy co to jest pańskie więzienie, zmiana mieszkania nic więcej, z resztą życie jak zwyczajnie, wesołe i spokojne.

Za nadejściem marszałkowskiej straży i uspokojeniem domu, odprowadziłem moją Francuzkę do gospodarza, którego z wielką trudnością znalazłem, bo się skrył do piwnicy, w próżny oxest po winie. Długo musiałem szu-

kać i przysięgać że już wszystko spokojnie, nim się odezwał i wyszedł z swego ukrycia. Poszedłem wtedy do naszej kwatery.

Z zadziwieniem ujrzałem pana Michała, wcale nie w wesółym humorze. Wysokie jego czoło gęste marszczki rozryły, brwi się ściągnęły, długi wąs obwisł aż na podbródek....

I wojewodzie był także zadumany, jakoś nie swój; nim się mogłem zapytać o przyczynę tego smutku, już porucznik wykrzyknął.

— *Per Deum immortalem!* mospanie — aszeć się tu bawisz lub rąbiesz z Francuzami, a nie wiesz jaka przyszła na nas karystya?

— Cóż takiego? przestraszony pytałem.

Sięgnął za nadrze, wydobyl kilka papierów, rzucił je na stół:— Patrz, czytaj, jaki przysmak otrzymałem tego popołudnia, właśnie gdyś ty na przechadzkę wyszedł.

Włosy mi powstały na głowie. Był to cios istotnie niespodziewany, ni mniej ni więcej, tylko zapozew mego ojca przeciw porucznikowi, zapozew kryminalny, bo obwiniający o gwałt, i napaść szlacheckiego domu; o skorrumpowanie małoletniego, uwięzienie go i chytre usunięcie rodzicielskiej władzy, wszystko występki przewidziane i surowo karane prawem krajowém.. Drugim pismem sąd Grodzki wzywał porucznika o powrócenie mnie bezwzględnie naturalnej opiece starosty, a to pod rygorem prawnym, infamią i bannicyą.

Czytającemu podobne konfekta, krew w żyłach ścięła się. Przed godziną jeszcze ani myślałem o czém podobnym, miłej nadziei oddając się wykrzyknąłem jednakże....

— Ależ jest sposób na wszystko, niezgubiona jeszcze nasza sprawa! Pan hetman obiecał pomoc, przypomnę mu jego słowo, jutro już pójdę....

— Jutro?... ja dziś byłem, nie lubię zasypiać kołaczy w popiele, odrzekł pan Michał.

— I cóż rzekł?... Obiecał pomoc zapewne; nowy list do OO. Jezuitów napisał?

Więcej jeszcze zmarszczył się porucznik. — Gdybyś aszeć był starszy, wiedziałbyś że łaska pańska na pstrym koniu jeździ; dziś tak, jutro inaczej; zresztą pan hetman choć wielki i możny pan, chociaż po królu Jmci, pierwsza osoba w kraju.... gdy prawo odzywa się, milczć musi; dał mi to do zrozumienia i przekonał..

— Cóż więc uczynim?

Zwawo przeszedł się po izbie... — Co? nie ma kwestyi, aszeć musisz jutro już rano pojechać do domu.

Zbladłem, zadrzałem. — Opuszczasz więc mnie, panie poruczniku, nieprzyjaciołom bez oporu oddajesz?

Brzęknął w szablę pocziwy starzec, wzdrygnął się, nibym mu największą obrazę rzucił w oczy. — Mości dobrodzieju, jabym miał opuszczać ciebie w niedoli, ja! uspokoił się jednak zaraz, bezsilny upadł na zédel, lecz co robić, mogąż działać inaczej? czy to ja chłystek jaki, odszczepieńca, heretyk? Panie bracie, rozkazy prawa święta rzecz, biada gdy kto o tém zapomni, ja tém mniej jak kto inny bo ziemski poseł, człowiek publiczną funkcją ozdobion. Twój los rzucony, Bogu tylko i świętym pańskim polec się w opiekę.

Biadał, sarkał, gniewał się, złorzeczył, ale rady nie było. Widziałem to sam, rozkaz sądu wyraźny był. Co się działo w mém sercu, każdy łatwo zrozumie... Walka uczuć, gniew, żal i obawa, rzewne łzy wytoczyły z oczu,

Plakałem niby drobne pacholę, nie zważając że miałem świadków téj boleści, nietylko wásatego pana Michała i pocziwego wojewodzica, ale młodą, piękną i hożą niewiastę.

Była nią owa Francuzka, którą niedawno oswobodziłem z rąk napastników. Przychodziła z gospodarzem domu podziękować mi za pomoc; widząc mój rzewny płacz, naturalnie że go pojąć nie mogła, rozumiała żem albo zmysły postradał, lub stracił jaką drogą sercu osobę. Zapytała o powód.

Dziwna to istota człowiek; w największej boleści, nie zapomina o dumie, o własnej miłości; i ze mną to było. Widząc że moje rzewne łzy, widziane były przez młodą i piękną dziewczynę, otarłem je szybko, zarumieniłem się po uszy i coś bez sensu gadać zacząłem.

Ależ moja Francuzka, koniecznie chciała znać prawdę, a to z tą uporną dobrocią, do jakiej tylko kobiety są zdolne. Od słowa do słowa wyznałem szczerze moje kłopoty, żywa radość zabłysła wtedy w pięknych oczach dziewczęcia, uściśnęła mą rękę, wyrzekła :

— Nie troszcz się waszmość, wielki ciężar rzucasz mi z serca. Nie wiedziałam jak się wywiązać z ogromnej łaski jakąś mi przed godziną wyświadczył, dobra nastęrcza się okazya. Ocaliłeś mi życie, ja cię od twych nieprzyjaciół obronię.

Spojrzałem się na piękną orędowniczkę, pojąć nie mogłem, aby młode, ośmnastoletnie dziewczę mogło mi przyjść z pomocą, której nie potrafili dać najpierwsi dygnitarze kraju. Zrozumiała znać to spojrzenie, bo mówiła znowu:

— Tak jest przecie, jak mówię, jutro już spodziewam ię będziesz spokojny i bezpieczny. Tyle będę prosić, tyle

brać, że zmiłować się muszą, obronić cię. Zresztą, czyż tego nie powinni uczynić, czyż pomoc którąś mi dał, do wdzięczności nie powinna ich skłonić? Ach, przekonana jestem, że się tak stanie, bądź więc dobrej myśli, a jutro do Wilanowa pojedź. Im wcześniej tym lepiej, zobaczysz królową lub króla, wszystko pójdzie dobrze.

Lecz — nie mogąc wyjść z podziwu: — Któż jesteś szlachetna pani? pytałem, obawiam się, aby twe obietnice zawczesne nie były. Młoda, nie wiesz, nie pojmujesz zapewne, ile moje położenie jest przykre, ile nieprzyjaciele potężni, zresztą nietylko z niemi, lecz i z prawem przyjdzie walczyć.

— Ach i co prawo! odparła z dumą. Są osoby, wyższe nad nie, a przynajmniej jego srogość potrafią złagodzić. Że zaś niepróżną ludzę cię obietnicą, dość rzec że ocaliłeś życie, siostrzenicy pani Feu d'herbes.

Niewiele objaśniło mnie to nazwisko, na które moja cudzoziemka, jak się zdawało, z pełną ufnością liczyła; a że słusznie, przekonał wkrótce pan Jerzy Towiański.

Nadszedł on w kwadrans może po odejściu pięknego dziewczęcia, które przy pożegnaniu kilkakrotnie powtarzało, abym nie zaniedbał nazajutrz do Wilanowa udać się. Gdyśmy mu opowiedzieli nasz kłopot, a zarazem propozycją Francuzki, zawołał:

— Ależ na pana w niebiesiech, tu nie ma czego się smuć, ani nad czém namyślać się, co radzi uczynić powinniście. Któż gdy nie ona, a raczej nie jej ciotka, w biedzie w jaką popadiesz, pomoc dać może?

— Lecz któż jest ta czarodziejskiej potęgi osoba? nie słyszałem nic o niej; pytał pan Michał.

— Widno że waszmość z dalekich stron kraju przybywasz i żadnych z dworem nie miałeś styczności, inaczej jakżebyś nie znał pani Feu d'herbes, albo Feder jak ją dla łatwiejszej wymowy, zowią nasi panowie. Jest to pierwsza służebna królowej jejmości, ochmistrzyni jej dworu.

— Ochmistrzyni! wielka mi persona, aby mogła pomoc dać, skasować wyrok sądu Grodzkiego; jeszcze gdyby to była która z wielkich naszych pań, siostra królewska księżna Radziwiłłowa, lub kanclerzyna Wielopolska siostra królowej, wyrzekł z niedowierzaniem pan Michał...

Roześmiał się mój mentor.—Panie bracie, gdyby ci jedna z tych wielmożnych pań o których wspomniałeś, zapewniała opiekę, wątpiłbym o dobrym skutku. Nie zawsze jasnie oświeconosc ma władzę i posłuchanie, przeciwnie pani Feu d'herbes toż to pierwsza ulubienica, ucho i serce królowej. Co ona chce, Marya Kazimira chce; ochmistrzyni ulega znowu swojej siostrzenicy, tak więc wasza sprawa na dobrej drodze. Król Jmć, niezawodnie wyrok skasuje, bo jakże może sprzeciwiać się w tak drobnej rzeczy woli żony, gdy jej w daleko ważniejszych ulega?

Mówił jeszcze długo i szeroko, ciągle dobrą dawał otuchę, radząc abyśmy zastosowali się do propozycji pięknej Francuzki. Że jak mówi przysłowie, tonący brzytwy się chwyta, i my więc o naznaczonej godzinie a nawet wcześniej w świąteczne szaty przybrani, znajdowaliśmy się w Wilanowie.

WIADOMOŚCI

statystyczne o spożyciu w różnych krajach Europy,

przez J.

Zboże.

Dokładnej statystyki zboża nie posiada dotychczas literatura ekonomiczna. Przyczyną braku tego, jest obszerność i różnaitość tak produkcji jak i konsumcyi zbożowój.

Robert Peel, w mowie swój mianój w izbie niższój w lutym 1842 r., w przedmiocie zmiany bilu zbożowego, podaje konsumcyę zboża dla 24milionowój ludności Wielkiój Brytanii (wedle spisu 1831 r.) na 45 milionów kwarterów, czyli 101 milion. korcy; dla Prus z ludnością 14milionową, na 13 milionów kwarterów, czyli 26 milionów korcy: przypada więc w W. Brytanii na głowę około 4 korcy $4\frac{7}{10}$ garn. Pols. w większój części pszenicy; w Prusach około 2 korcy $4\frac{7}{10}$ garn. Pols. i w większój części żyta. Objęte są zapewnie w tych ilościach wszelkie gatunki zboża i wszelkie z nich użytki, jakoto: na piwo, wódkę, i t. p. W listach statystycznych (dodatek do Allg. Zeitung z d. 1. maja 1845 r.) ilość zboża przeznaczonego na żywność w Anglii, stale wypada na głowę po kwarterze pszenicy, czyli 2 korce $8\frac{6}{10}$ garnca Pols.

W dziele: „O produkcji i uprawie pszenicy we Francyi”, napisaném przez urzędnika wydziału statystycznego

w ministeryum handlu i rolnictwa, podaną jest następująca statystyka spożycia tego ziarna: we Francyi na głowę przypada pszenicy 210 litrów (52½ garn. Pols.); w W. Brytauii 160 litr., w Hiszpanii 121 litr. w Holandyi 57 litr.; w Prusach 36 litr., w Polsce 26 litr., w Szwecyi 3 litry czyli 3 kwarty Pols. Produkcya pszenicy we Francyi od r. 1760 podwoiła się (Allg. Organ für Handel und Gewerbe z d. 29 marca 1843 r.); jednakże nie dorównywa ona tam konsumcyi; w latach bowiem 27, t. j. od r. 1815 do 1841 Francya wydała na zboże obce 464 miliony franków, czyli rocznie 17½ miliona franków.

Legoyt w dziele z r. 1843: „*La France statistique*,” oblicza ilość zboża we Francyi na głowę po 3, 5 hektolitrów, czyli 2 korce 11½ garncy Pols.

W dziele: „*Obraz geograficzno-statystyczny królestwa Polskiego z r. 1827*” podany jest zbiór zboża roczny na 751,000 korcy pszenicy; 4,439,000 korcy żyta; 1,560,000 korcy jęczmienia; 3,185,000 korcy owsa. Cyfry te nader są niedokładne; przypadłoby wedle nich, nie licząc owsa i wywozu za granicę, zaledwie po ½ korca na głowę.

Konsumcya zboża w cesarstwie Rossyjskiem, obliczona ze względem na dowóz i wywóz, na potrzeby wysiewu, na niejednakową dla nierównego klimatu produkcją, oraz po potrąceniu zboża użytego w gorzelniach, na ludność Rossyi 55 milionów, t. j. z wyłączeniem Finlandyi, Polski (królestwa) i kraju Zakaukazkiego, wynosi 160 milionów czetwertni, a zatem na głowę blisko 3 czetwertnie (?) czyli 4 korce 29 garncy Pols. (1).

(1) Protopopów, Dziennik ministeryum dóbr cesarskich.

W archiwum ekonomii politycznej Rau'a, nowy ciąg, tom II. s. 6 (1844), Rothe podaje konsumcyę roczną zboża w Danii przecięciowo na głowę $7\frac{1}{2}$ szefla Prus. czyli 3 korce, 7 garn. Pols., po większej części żyta i jęczmienia.

Siegfried (1) Becher oblicza konsumcyę zboża w Austryi z wyłączeniem Węgier, na głowę po 336 funt. Pols., którąto ilość w połowie prawie stanowi pszenica. Znaczny wywóz z tego państwa o wiele zmniejsza cyfrę konsumcyi.

W Węgrzech średnia produkcya roczna zboża wynosi 90 milionów meców Prezburskich. Potrąciwszy siódmą część na wysiów, przy ludności 13milionowej wypadnie na głowę po 2 korce Pols. 18 garncy (2).

Dla związku celnego, autor listów statystycznych w dodatku do *Allg. Zeitung* z d. 1 maja 1845 r. podaje konsumcyę zboża na głowę: w Prusach po 4 szefle czyli 1 korzec Pols., 23 garnce (szefel pszenicy i żyta w przecięciu waży 95 funt. Pols.); w Bawaryi $5\frac{1}{2}$ szefla; w Wirtembergiem 6 sz. w Saxonii 4 sz. w pomniejszych krajach razem z Frankfurtem nad Menem, 5 sz.

Dieterici (3) obliczając spożycie zboża we wszelkich miejscach, gdzie ono podatkiem jest dotknięte, a mianowicie w miastach Pruskich, podaje na głowę 96 funt. Pols. $19\frac{1}{2}$ łót. pszenicy, 268 funt. Pols. 11 łót. żyta, czyli razem 364 funt. Pol. 30 łótów.

Trzy największe miasta Niemieckie: Wiedeń, Berlin, i Mnichów, spożyły zboża jak następuje:

(1) Beiträge zur oesterr. Handels und Zollstatistik von 1831 bis 1842. Stuttgart 1844. s. 211.

(2) Landwirtsch. Centralblatt für Bayern 1844, s. 274.

(3) Statistische Uebersicht d. Verkehrs und Verbrauchs in Preuss. Staaten v. 1837 bis 1839, Berlin 1842 s. 193.

Wiedeń w r. 1830, wedle urzędowych wykazów podatku konsumcyjnego, spotrzebował w chlebie i bułkach 42,579 cent. w ziornie 61,301 cent. w mące 814,267 cent. czyli razem 918,149 cent. Przy ludności tamtoczesnej z 320,000 dusz, nie wyłączając załogi i cudzoziemców, przypada na głowę po 287 funt. Austr. czyli $396\frac{1}{3}$ funt. Pols. Z téj ilości, przeszło $\frac{3}{4}$ części stanowi pszenica (1).

Berlin, według Dieterici, w latach od 1837 do 1839 średnio biorąc, spotrzebował na głowę 289 funt. Prus.; czyli $333\frac{1}{3}$ funt. Pols., z których $\frac{2}{5}$ części tylko jest pszenicy.

Mnichów spotrzebował, wedle-kontrolli podatku od mąki, od dnia 1 października 1837 roku do tegoż dnia 1838 r. (2), pszenicy 68,540 szefl., żyta 39,079 szefl., i jęczmienia 1282 szefl. razem 98,901 szefl. Bawar. Bawarski szefel pszenicy waży 397 funt. Pols. $29\frac{1}{2}$ łóta; takiż szefel żyta waży 369 funt. Pols. $2\frac{4}{5}$ łóta. Przy ludności 90,000 dusz z załogą i cudzoziemcami, wypada na głowę po $425\frac{1}{2}$ funt. Pols. Biorąc najniższą konsumcyę Berlina jak 100, konsumcyą zboża w trzech powyższych miastach ułoży się w następny stosunek: 100—119—127.

SÓL.

Sól stanowi jedną z głównych i niezbędnych potrzeb organizmu zwierzęcego; nowsze doświadczenia w hodowli

(1) Wien, wie es ist, nach authentisch. Quellen v. A. Schmidl. 1833 s. 19.

(2) Jahrbuch der königl. Sternwarte bei München für 1839. v Lamondt. s. 172.

zwierząt domowych czynione, ważność produktu tego do najwyższego podniosły stopnia. Zdziwiający rezultaty, do jakich Anglia w wychowie zwierząt doszła, w wielkiej części użyciu soli przypisywane bywają. W tym też kraju, przewodniczącym ciągle Europie w praktyce ekonomicznej, już w r. 1823 zniesiono monopol soli, a obecnie cena jej wynosi za ledwie złp. 1 gr. 9 za centnar (beczka o 2000 funtów), 2239 funt. Pol. kosztuje 14—16 szylingów, czyli 28 do 32 złp.; konsumpcya soli zwiększyła się w Anglii od tego czasu, o sześć do ośmiu razy. Mac-Culloch oblicza roczną konsumpcję na głowę po 22 funty. Rolnicy Angielscy przeznaczają dziennie na konia $6\frac{1}{2}$ do $9\frac{3}{4}$ łóta, czyli rocznie 96 funtów soli, na woły opasowe i krowy dojne po 74 funty rocznie, na owce po 10 funtów rocznie. Niemieccy za ledwie połowę tego dają.

Średnia konsumpcya soli w Europie, przypada po 20 funtów na człowieka; cena jej na stałym lądzie w przecięciu wynosi 30 złp. za cetnar, w których 70 procentów stanowi podatek, a 30 proc. wartość; że zaś człowiek do utrzymania zdrowia wedle doświadczeń potrzebuje drugie tyle, to jest 40 funtów, wydatek przeto roczny na familię z pięciu osób złożoną, przy dzisiejszej stopie podatku od soli, wyniosłby 60 złp. rocznie; co przechodzi możność class uboższych.

Chaptal, uczony rolnik i polityk Francuzki, przywodząc szkodliwość wysokiego podatku od soli, utrzymuje że 10 milionów dochodu skarbowego z soli, zuboża naród o 50 milionów, a nadto zdrowie ludzkie nadweręża. W ostatnim czasie kraje, które przy wysokiej stopie podatku na sól pozostają, a mianowicie: Belgia, Prusy, Bawarya, chcąc produkt ten dostępniejszym na pokarm zwierzęcy

uczynić, zniżyły cenę soli dla zwierząt przeznaczonęj. Sól taka dla bezpieczeństwa podatku sprzedawaną jest w mieszaninie, czyniącej ją niepodobną do spożycia przez ludzi. We Francji przed rokiem dopiero zaprowadzono sprzedaż soli tańszej dla zwierząt. Akademia Francuzka, po wyprobowaniu różnych mieszanin, uznała otręby za najwłaściwszy i celowi odpowiedni materiał; w praktyce wszakże i ten środek okazał się bezskutecznym. W roku bieżącym zmniejszono ostatecznie podatek od soli o dwie trzecie części, czyli 33 franków na 11 franków od sta kilogramów. Zniżona opłata dopiero od r. 1848 ma być pobieraną (1).

Następujące zestawienie cen soli i ilości konsumpcji w różnych Europy krajach, wyjęte jest z dzieł Mac-Culloch'a: „*Handbuch für Kaufleute*” dla Anglii; Tęgoborskiego: „*Des finances et du crédit de l'Autriche*” dla Austrii; Pritnitz'a „*Theorie der Zölle und Steuern;*” dla Prus; a mianowicie z Rau'a: „*Grundsätze der Finanzwissenschaft*”. Do cen poniższych, w większej części dodać należy 20 procentów na koszt transportu i ładunku.

| | Cetnar kosztuje. | Przypada na głowę. |
|------------------------------------|------------------|--------------------|
| Francya | złp. 45 gr. 27. | 18,04 funt. Pols. |
| Wielka Brytania „ 1 „ 20. | | 27, 6 „ „ |
| Austria „ 28 „ „ 11,04 | | „ „ |
| Prusy „ 27 „ 23. | | 17,94 „ „ |
| Królestwo Pols. (2) „ 27 „ „ 22,00 | | „ „ |
| Saxonia „ 22 „ 3. | | 23,16 „ „ |
| Bawarya „ 19 „ 27. | | 22,80 „ „ |
| Wirtemberg . . . „ 17 „ 15. | | 22,80 „ „ |
| Szwajcarya „ 30 „ 5. | | „ „ „ |

(1) Posiedzenie Francuzkiej izby deputowanych z dnia 22 kwietnia r. b.

(2) Sprzedano soli w magazynach w r. 1844, 978,579; w r. 1845, 1,010,291 cetnarów.

Kartofle.

Do końca przeszłego wieku, uważano roślinę tę w Europie za osobliwość. Uprawa jej zaledwie od początku wieku naszego znana i pierwiastkowo najstارانiej w Niemczech rozpowszechniona, zajmuje dziś w Europie, wedle obliczeń dokładnych d^{ra} Ferd. Gobbi, przeszło 300 milionów hektarów ziemi, czyli morgów Pols. 503 miliony. Przyjmując zbiór 50 korcy z morga, produkcya kartofli w Europie wznosi się do ogromnej cyfry 25,150 milionów korcy.

Korzyści z uprawy kartofli polegają na wysokości rośliny tej plenności; zbiór ich w porównaniu ze zbożem, przewyższa to ostatnie o jedenaście razy, gdy tymczasem pożywność zboża tylko o cztery do pięciu razy większą jest od pożywności kartofli. Ze wszystkich roślin najłatwiej one mogą zastąpić brak zboża.

Produkcya i spożycie kartofli największe są w Irlandyi, Szwajcaryi, północnych Niemczech i Holandyi.

Wino.

Powierzchnia ziemi zajęta pod uprawę wina, wynosi we Francyi mil kwadratowych 389, w Austryi 403, w Związku Celnym 18½, w Hiszpanii 55, w reszcie Europy i innych częściach ziemi 39 mil kwadratowych; w ogóle zaledwo 1000 mil kwadratowych, czyli dwutyśiączną część stałego lądu ziemi. Głównym więc krajem produkcyi wina jest Francya; w niej 3,8 prc. całej powierzchni, zostaje pod uprawą winnego krzewu. W Związku Celnym tylko 0,2 prc. (Dieterici). Roczna produkcya wina we Francyi wynosi 44 miliony hektolitrow, czyli

1,100 milionów garncy Pols. Z téj ilości, 6 milionów hektolitrów na wódkę bywa przepędzone; 1 milion wychodzi za granicę, a 37 milionów konsumuje 35 milionów ludności krajowej (Allg. Zeitung z d. 18 kwietnia 1843 r.), zatem rocznie na głowę przypada litrów 105, równe tyluż kwartom Polskim. Legoyt (France physique) ocenia wyrób wina ogółem na 36 1/2 miliona hektolitrów; z tego na konsumcyę krajową przypada 23 1/2 miliona hektolitrów, czyli na głowę 95 litrów. W r. 1834 wyrobiono w Szampanii (główne składy w Reims, Fontainebleau) przeszło 14 milionów butelek wina musującego. (Weber. Ueber Produktion und Consumption, in Rau's Archiv der politisch. Oekonomie, V. s. 520).

W Związku Celnym, podług Dieterici, produkcya wina w przecięciu wynosi 4,266,400 Prusk. ejmerów; do wóz 126,230 ejmerów; wywóz 77,380 ejmerów; średnia przez rok konsumcyja 4,315,250 ejmerów, czyli przeszło 73,359,250 garncy Pols. Produkcya ta rozkłada się w ten sposób, że na Baden, Hassyę i Bawaryę Nadreńską, przypada po 13,6 do 17,1 kwarty Pols.; w krajach Pruskich 4,56 kw. Pols. na głowę; a właściwie biorąc, w prowincyach zachodnich przypadnie 6,84 do 9,12 kw. Pols., we wschodnich zaledwo 1,14 kw. Pols. na głowę. W ostatnich dziesięciu latach od roku 1831, konsumcyja wina w Prusach zmniejszyła się o 50 proc.; piwa zaś o 30 proc., przeciwnie wódki o 30 proc. wzrosła.

W królestwie Polskiem sprowadzono na konsumcyę w r. 1844 około 300,000 garncy wina, przypada więc na głowę około 1/4 kwarty.

Wielka Brytania spotrzebowala w roku 1832 wina 5,965,000 gallonów; sama Anglia 4,468,000 gallonów,

które przy ludności w owym czasie 14milionowej, dają na głowę 0,31 gallona, czyli 1,32 kw. Pols. Z ilości powyższej na Irlandyą przypadało 766,300 gallonów, które przy ludności w tymże roku z 7,767,000 dusz, dają na głowę 0,09 gallona czyli około pół kwarty Pols. Konsumcyja wina w Wielkiej Brytanii powiększa się tak, że w r. 1842 dochodziła już 7,216,113 gallonów.

Paryż spożył, wedle wykazów podatkowych w r. 1808, na głowę 173 litry; w r. 1841, 106 litrów, czyli tyleż kwart Pols. (Allg. Zeitung z dnia 2 stycznia 1843 r.). Zmniejszenie to pochodzi głównie ze znacznego wzrostu podatku ten przedmiot dotykającego. Wiadomo że z tego samego powodu fabrykuje się jeszcze i konsumuje w Paryżu rocznie 100 millionów litrów wina fałszowanego, wyrobionego z obcych substancyj. Znaczący podatek, położony na artykuły pierwszych potrzeb życia do Paryża wprowadzone, początkowo na fundusz dla szpitalów przeznaczony, w kraju najobszerniejszym w wino spowodował najobszerniejsze i bezprzykładne jego fałszowanie, dziesiątą część ludności na urzędową listę ubogich zapisał, a połowę śmiertelności miasta szpitalom przekazał.

Wiedeń w r. 1831 z ludnością 335,000 dusz, skonsumował wina 349,000 cent., czyli na głowę po 50,2 kwar. Pols.; w r. 1835, 428,000 cent., czyli przeszło 57 kwart Pols. na głowę.

Piwo.

Bawaryja, ze wszystkich krajów najwięcej konsumuje piwa. W latach 18⁴⁰/₄₂ wyrobiono słoju w średnicy przez rok 1,126,870 szefłów. Na każdy szefel słoju przyjmuje się latem 6 ejmerów, zimą zaś 7 ejmerów pi-

wn, czyli w przecięciu $6\frac{1}{2}$ ejmerów; ilość ta, w skutek dolewki piwowarów, do 8 ejmerów, czyli garncy Pols. 128,28 wzrasta. Że zaś ludność tego kraju w siedmiu okręgach z tej strony Renu, wynosi 3,791,850 dusz, zatem na głowę przypadnie przeszło 150 kwart Pols.

Mnichów sam, obejmując zaledwo $\frac{1}{40}$ część ludności, spożywa $\frac{1}{10}$ część tej produkcji. Wedle Lamondt'a wiadomości umieszczonych w roczniku obserwatorium Mnichowskiego z r. 1839, w browarach tego miasta wyrobiono w r. 18^{37/38} piwa z 95,993 szefl. słodu. Tamtoczesna ludność razem z załogą i cudzoziemcami dochodziła 90,000 dusz, a zatem wedle obrachunku powyższego, konsumpcya w Mnichowie wynosiła na głowę 510 kw. Prus. czyli $577\frac{1}{2}$ kw. Pols., to jest przeszło półtory kwarty dziennie na głowę. Liczba ta jakkolwiek jest wielką, nie ulega przecież wątpliwości; zwiększoną nawet byłoby mogła przez wzgląd na defraudacyę słodu (1). W r. 18^{42/43} wyrobiono w Mnichowie 112,064 szefl. słodu; ludność ówczesna z załogą i cudzoziemcami wynosiła 110,000 dusz, wypadnie więc na głowę $572\frac{1}{2}$ kwart Pols.

W Prusach, podług Dieterici, roczna konsumpcya piwa na głowę wypada po 10 kwart Pols., w Berlinie zaś 26 kwart Prus. czyli 30 kwart Pols.

W Wiedniu (wedle Schmidla) konsumpcya piwa na głowę przez rok wynosiła 74 kwart Pols.

Warszawa skonsumowała w sześciu ostatnich latach od r. 1840: 982,637 garncy porteru, 35,242,621 garncy piwa zwyczajnego i 2,276,986 garncy piwa lekkiego, czyli w średnicy przez rok ogółem 6,317,040 garncy;

(1) Rivet. Ueber den Malzaufschlag in Bayern, in Rau's Archiv der politisch. Oekonomie. Bd. V, s. 77.

ilość ta przy średniej z lat tych ludności, wynoszącej wraz z garnizonem 165,000 dusz, daje na głowę rocznie $38\frac{1}{4}$ garnca, czyli 153 kw. Pols. (1).

W Wirtemberskiem konsumcyja piwa w ostatnich dziesięciu latach zwiększyła się o 266 prc. Dochodzi obecnie do 500,000 ejmerów Wirtemberg., a zatem przy ludności $1\frac{1}{2}$ milionowej, $105\frac{1}{2}$ kw. Pols. na głowę. W Baden, wedle podatku od piwa, konsumcyja wynosi 14 kw. Prus. czyli 16 kw. Pols., we Frankfurcie nad Menem 46 kw. Prus. czyli $52\frac{2}{3}$ kw. Pols. na głowę.

Balling oblicza wyrób piwa roczny w Czechach na 4 miliony ejmerów Austr., czyli 61,512,000 garn. Pols., co daje na głowę $55\frac{2}{3}$ kw. Pols. Według tegoż statystyka, w Saxonii w r. 1838 wyrobiono piwa 1,529, 205 ejmerów Austr., które przy ludności 1,650,000 dają na głowę $56\frac{1}{3}$ kw. Pols. Legoyt podaje produkcję piwa we Francyi na 3,885,365 hektolitrów rocznie czyli na głowę 11,10 kwart Pols.

W W. Brytanii i Irlandyi, wedle Mac-Culloch'a, użyto w r. 1832 na piwo słodu 28,418,000 buszlów, czyli 8,117,562 $\frac{1}{2}$ korca. Ze zaś przepis administracyjny z d. 30 paździer. 1831 r. na każdą beczkę piwa nakazuje brać 2 buszle słodu; powyższa więc ilość buszlów odpowiada przeszło 567 milionom garn. Pols., które przy ludności 24milionowej, dają na głowę przeszło 94 kw. Pols.

W samej Anglii i Wallii, przy ludności 14milionowej, wychodzi przeszło $\frac{4}{5}$ z powyższej ilości, to jest 25,884,335 buszlów słodu; a zatem na głowę około 150 kw. Pols.

(1) Kontrola podatkowa.

London w r. 1834 skonsumował 2 miliony naczyń piwa, każde o 36 gallonach, czyli 40 garn. $3\frac{1}{2}$ kwart Pols.; w tém więc mieście przy ludności $1\frac{1}{2}$ milionowej przypada rocznie na głowę po $205\frac{1}{5}$ kw. Pols. W roku 1837 wyrobiono siodu 44,387,720 buszłów (Porter); a zatém o 14 prc. więcej niż w r. 1834.

Wódka.

Dziewięć dziesiątych części całej produkcji wódki spożywa ludność uboższa; w tym także stosunku ponosi ona od tego trunku podatek, który w W. Brytanii czyni $5\frac{1}{2}$ miliona funt. ster. (Mac-Culloch), w Prusach w przecięciu $5\frac{1}{2}$ miliona talarów (Prittnitz).

Konsumcya wódki zostaje w pewnej zależności od konsumpcji piwa; w Prusach np. w r. 1831 spotrzebowano piwa 17,30 kw. a w r. 1839 15,42 kw. Pols.; wódki zaś w r. 1831, 12,42 kw. a w r. 1839, 15,04 kw. Pols. na głowę. (Dieterici).

Mac-Culloch co do konsumpcji wódki w W. Brytanii i Irlandyi, podaje następane liczby. Poczynając od r. 1820 do 1834, spożycie jęj wzrosło o drugie tyle, a w szczególności: w Anglii o 95 prc., w Szkocyi o 280 prc., w Irlandyi o 320 prc; a zatém o niemal potroilo się, gdy tymczasem ludność od r. 1821 do 1841 powiększyła się zaledwie o 16 prc. (Bernnoulli).

W Anglii w r. 1834 skonsumowano 12,382,131 gallonów; przy ludności więc 14milionowej, przypada na głowę prawie po 1 garncu Pols.

W Szkocyi przez rok 1834 skonsumowano wódki 6,159,611 gallonów, które przy ludności $2\frac{1}{2}$ milionowej, dają na głowę po $2\frac{1}{2}$ gallona czyli $2\frac{4}{5}$ garnca Pols.

W Irlandyi przez r. 1834 spotrzebowano wódki gallonów 8,212,746; czyli na głowę po gallonie 1,21 albo kwart Pols. 5,5.

W dodatku do *Allge. Zeitung* z d. 25 maja 1843 r. znajdują się nowe cyfry téj konsumcyi, wyciągnięte z dochodu akcyzowego. W Anglii dochód ten w r. 1840 czynił 2,628,280 funt. ster.; w Szkocyi 1,541,000 funt. ster., w Irlandyi 1,032,000 funt. ster.; z czego wypada że 2 $\frac{1}{2}$ miliona Szkotów spotrzebowało wódki 1 $\frac{1}{2}$ raza tyle, co 8 milionów Irlandczyków, a tylko o połowę mniej od 14 milionów Anglików. To nadzwyczajne spożycie wódki w Szkocyi, jest zapewne skutkiem północnego i górzystego położenia kraju. Porter oblicza konsumcyę wódki w W. Brytanii przez r. 1841 na 0,904 gallona, czyli kwart 4,104 na głowę; w r. 1838 wynosiła jeszcze 1,18 gallona, czyli kwart 5,35. W ostatnich latach wstrzeźliwość tak dalece na tę konsumcyę wpłynęła, że od r. 1836 do 1840 potrzeba słodu zniżyła się z 2,511,000 na 1,600,000 buszłów, czyli do połowy prawie; konsumcyja wódki o trzecią, wina w klasie zamożnej o szóstą, likworów o czwartą część. Wedle Porter'a, od r. 1838 do 1841 konsumcyja wódki w Irlandyi średnio na głowę zmniejszyła się od 1,52 na 0,80 gallona, czyli od kwart. Pols. 6,84 na 3,42.

Legoyt podaje ilość wódki skonsumowanej we Francyi rocznie na 700,113 hektolitrów, czyli na głowę blisko 2 kwar. Pols.

W Prusach konsumcyja wódki ciągle i znacznie wzrasta; w r. 1831 spotrzebowano rocznie na głowę 12,42 kwar. Pols., w r. 1839 już 15,48 kw. Pols. (Dieterici).

W królestwie Polskiem produkcya wynosiła w roku 1844 $\frac{4}{5}$ około 12 milionów garncy okowity (wykazy po-

datkowe). Przyjmując $\frac{5}{6}$ z tej ilości na konsumpcję właściwą, roczna konsumpcya wódki do picia wypadnie na 16 milionów garncey, czyli przy ludności 4,500,000 dusz, około 14 kwart na głowę.

W Hannowerskiem przypadało w r. 1837 na głowę około $18\frac{1}{2}$ kwart Pols.

W Danii konsumuje się wódki kwart Pols. 13,68 na głowę. (Rothe).

W Związku Celnym, produkcya wódki czyni ogółem 270 milionów kwart Prus., wedle oszacowania przybliżonego, konsumpcya na głowę wynosi jak następuje: w Prusach 14 kwart Prus. (16 kwart Pols.), w Saxonii 6 kwart Prus., w Baden 4 kwarty Prus., w elektorstwie Heskiem 11 kwart Prus., w Wielkiem ks. Hessen 5 kwart Prus., w Turyngii 6 kwart Prus., w Bawaryi 5 kwart Prus., w Wirtemberskiem 2 kw. Prus., w Nassau 5 kwart Prus. (5,7 kwart Pols). Według Webera (Rau's Archiv der politischen Oekonomie IV), konsumpcya w miastach samych wypada jak następuje: w Londynie 11 milionów gallonów, około $12\frac{1}{2}$ miliona garncey w r. 1834; co przy ludności $1\frac{1}{2}$ milionowej daje na głowę blisko 34,35 kwart Pols.

W Paryżu przez rok 1835 przy ludności 800,000, konsumpcya wódki na głowę dochodziła litrów $3\frac{1}{2}$, czyli tyleż kwart Pols.

W Wiédniu, wedle Schmidla, przez rok 1835 przy ludności 350,000, przypadało na głowę po 1,14 kwarty Polskiej.

W Berlinie, podług Webera, w r. 1827 przy ludności ówczesnej 210,000 dusz, spotrzebowano wódki 4,581,781 kw. Prus., zatem na głowę blisko 22 kw. Prus. czyli 25,08 kw. Pols. Od r. 1827 konsumpcya jéj

w Berlinie wzrosć musiała znacznie. Według Wolheima przypada w mieście tém na 109 dusz jeden szynk (1).

W Warszawie spożyto w ostatnich sześciu latach od r. 1840, 4,958,840 garncy okowity, czyli w średnicy rocznie 826,473; wypada zatem na głowę przy ludności średniej z czasu tego z garnizonem 165,000 dusz, po garncy 5 okowity czyli wódki do picia kwart 32 (2): w roku 1827 skonsumowano 6,019 garncy okowity, 382,000 garncy szumówki i 137,172 wódek słodkich, czyli na głowę przy ludności 145,000 z garnizonem po 15 kwart? (3).

Cukier.

Konsumcyja cukru, od czasu upowszechnienia się w Europie kawy i herbaty, znacznie wzrosła. Dieterici ocenia produkcję cukru ogółem w krajach, które go wydają, na 17 do 18 milionów cetn.; z tych 10 milionów cetn. czyli miliard funtów wychodzi na konsumcyję Europy. Połowę całego handlu kolonialnego stanowi cukier. Oprócz cukru z osad sprowadzonego, Europa konsumuje jeszcze $1\frac{1}{2}$ miliona cetn. cukru burakowego, czyli ogółem 1,150 milionów funtów. Cukier konsumowany w stanie surowym w krajach gdzie go produkują, zwiększa jeszcze tę cyfrę. Humboldt oblicza na głowę 52 funty na wyspie Kubie.

Cło od cukru w państwach Europejskich, wynosi około 100 procentów wartości.

(1) Topographie und Statistik von Berlin 1844, s. 104.

(2) Wódki słodkie wchodzą w powyższe obliczenie (kontrola podatkowa).

(3) Obraz geograficzno statystyczny królestwa Polskiego.

Dokładny wykaz konsumpcji cukru w krajach Europy, zgodny z dziełami Mac-Cullocha, Dieterici i Beckera, znajduje się w dzienniku politechnicznym Dinglera T. 67, zeszyt 4. Cukier z buraków, co do Francyi, Związku Celnego i królestwa Polskiego jest włączony.

W wykazie tym przypada na głowę:

| | | |
|------------------------------------|-------|-------------|
| „ Anglii i Szkocyi | 27 | funt. Pols. |
| „ Irlandyi | 5,52 | „ „ |
| „ Francyi | 7,93 | „ „ |
| „ Prusach | 6,90 | „ „ |
| „ Polsce (królestwie) | 1,0 | „ „ |
| „ Bawaryi | 3,45 | „ „ |
| „ Szwajcaryi | 8,28 | „ „ |
| „ Belgii | 20,70 | „ „ |
| „ Holandyi | 19,32 | „ „ |
| „ Danii | 6,90 | „ „ |
| „ Szwecyi i Norwegii | 4,14 | „ „ |
| „ Hiszpanii | 8,28 | „ „ |
| „ Portugalii | 6,90 | „ „ |
| „ Krajach Zw. Celn | 6,90 | „ „ |
| „ Włoszech | 2,76 | „ „ |
| „ Austrii związkowej | 2,76 | „ „ |
| „ — niezwiązkowej | 1,84 | „ „ |
| „ Rosyi | 1,38 | „ „ |
| „ Hannowerskiém, podług Redena | 3,45 | „ „ |
| „ Sardynii, podług Schuberta . . . | 1,38 | „ „ |

W roku finansowym 18⁴³/₄₄, ludność Związku Celnego z 27,711,000 dusz składająca się, spotrzebowala cukru 145,368,761 funt. czyli na głowę 5,24 funt. związkowo celnych, albo 6,30 funt. Pols. Szósta część tej ilości przypada na cukier burakowy.

W królestwie Polskiem w r. 1844, sprowadzono cukru funtów 2,370,000; wyrobiono w fabrykach krajowych od 1 września 1843 r. do 1 września 1844 r.

Cukru rafinowanego... cent. 11041—88 funt.

„ krystalizowanego „ 2809—63 „

Mączki cukrowej..... „ 6799—96 „

czyli razem „ 20651—47 „

Od 1 września 1844 r. do 1 września 1845 r.

Cukru w głowach.... cent. 6782—70¹/₄ funt.

„ surowego..... „ 2965—27¹/₂ „

razem „ 9747—97³/₄ „

Przyjmując tę samą liczbę na spożycie, wypadłoby blisko funt na głowę rocznie.

Kawa.

Konsumcyja kawy w Europie wzrastała nader szybko; w r. 1750 wynosiła 66 milionów funtów Prus.; w 1811 113 mil. funt.; w 1815, 192 mil. funt.; w 1822, 222 mil. funt.; w 1835, 235 milio. funt.; w 1839, 295 mil. funt.; obecnie zaś dochodzi 300 milionów funtów, przeszło 346 mil. fun. Pols. W Ameryce północnej konsumcyja kawy od r. 1821 do 1838 potroiła się; w Wielkiej Brytanii od r. 1790 do 1832 zwiększyła się o 24 razy, w Austrii od 1820 do 1840 o trzy razy.

Produkcya kawy obecnie na całej ziemi, obliczona z ruchu handlowego, dochodzi 480 milionów funtów. Z tej ilości na Amerykę przypada 70 proc. ⁴/₅ części tej produkcji spożywa Europa. Z osad Holenderskich mianowicie z Jawy, od r. 1829 do 1830, wywóz kawy wzniósł się z 29¹/₂ milionów na 150¹/₂ milionów funt. Pr.

Konsumcya kawy w pojedynczych krajach, wedle MacCullocha, Dieterici i Bechera, jest następująca: w Wielkiej Brytanii i Irlandyi przez r. 1840, 28 $\frac{1}{2}$ mil. funtów, które przy ludności 28milionowej, dadzą na głowę po 1,02 funta (1, 16 funt. Pols.); we Francyi w roku 1843 12,954,116 kilogramów, czyli przy ludności 35milionowej, na głowę $\frac{4}{5}$ funta Pr., w Holandyi i Belgii 70 milionów funt.; przy ludności więc 7milionowej wypada po 10 funtów Pr. na głowę; że zaś większa połowa sprowadzoną do tych ostatnich krajów kawy, bywa wysyłaną za granicę, powyższa zatem ilość zmniejszy się w tym samym stosunku.

W królestwie Polskiem dowóz w roku 1844 wynosił 334,000 funtów; na konsumcye przyjęć można 445,000 funt., czyli na głowę 0,1 funta albo 3 łóty przeszło.

W Danii, podług Rothe'go, konsumują na głowę 4 funty Pols. 19 $\frac{3}{5}$ łóta.

Hiszpania i Portugalia konsumują kawy 8 milionów funtów, które przy ludności 15milionowej dają na głowę 0,53 funta; w Ameryce północnej przy ludności 17 milionowej, wychodzi na konsumcye 40milionów funtów, a zatem 2 $\frac{1}{2}$ funta na głowę, w Austrii podług Tęgoborskiego, oclono w r. 1840, 11 milionów funtów, przedefraudowano 6 milionów funt., wypada więc na głowę po 0,51 funta.

Rossya wprowadziła kawy w r. 1843, podług wykazów przez departament handlu zagranicznego ogłoszonych, 60,000 cetn.

W Związku Celnym konsumcya kawy szybko wzrosła tak, że na głowę w r. 1834 przypadało 1,91 funt. celnego, w r. 1835, 2,09 funta; w r. 1839, 2,18 funta; w r. 1843, 2,55 funta celnego.

Konsumcya w krajach Związku Celnego przez rok 1843 ze względu na wywóz, da się ułożyć w porządku następnym:

| Kraj konsumujący | Ludność jego | Ilość skonsumowana w funtach | na głowę |
|-------------------|--------------|------------------------------|-------------|
| | | | funt. Pols. |
| Związek Celny.... | 27,711,000 | 70,678,000 | 3,18 |
| Prusy | 15,273,582 | 45,845,900 | 3,75 |
| Bawaryja | 4,375,586 | 4,744,300 | 1,34 |
| Saxonia..... | 1,706,276 | 3,840,200 | 2,80 |
| Wirtemberg..... | 1,703,250 | 1,936,900 | 1,42 |
| Baden..... | 1,294,131 | 1,627,400 | 1,57 |

Cyfry w tym wykazie, podane są tylko w przybliżeniu.

Herbata.

Meyen (1) ocenia produkcję herbaty na całej ziemi ogółem na 529 milionów funtów; z tej ilości wysła się morzem z Kantonu do Europy 55 milionów funtów, lądem przez Rosyą 8 milio. funt. Według wiadomości najnowszych o handlu Chin, kraj ten wysła rocznie morzem 44½ milio. funt. Prus., czyli 51,455,125 funt. Pols. W Chinach spożycie herbaty rocznie ma wynosić 400 mil. funt., (Schiebe, Universallexicon der Handels-Wissenschaft T. III) która to ilość, przy ludności 200-milionowej, daje na głowę po 2 funty 8 łótów Pols.

W Stanach zjednoczonych Ameryki północnej, konsumcya herbaty rocznie ma wynosić 8 milionów funtów, przy ludności więc 17milionowej, blisko pół funta Prus., (18 łótów Pols.) na głowę.

(1) Berghaus, Länder und Völkerkunde III, s. 217.

Holandya, podług Mac-Cullocha, spożywa herbaty 2,800,000 funt. rocznie; czyli przy ludności $2\frac{1}{2}$ milionów, po 1,10 funt. Prus., (1,25 funt. Pols.) na głowę.

W Wielkiej Brytanii i Irlandyi od r. 1834, w którym ustał monopol towarzystwa Wschodnio-Indyjskiego na wyłączny handel herbatą, konsumcyja jęj z 33 milionów w roku 1833 wzrosła na 37 milionów funtów w 1836; w roku zaś 1843 podniosła się do 40 milionów funtów; przy ludności 28 milionów, przypadnie na głowę po 1,41 funt. Prus. (53,08 łóta Pols.).

W Rossyi roczna konsumcyja herbaty przechodzi 9 milionów funt. Pols., czyli na głowę około 5 łótów Pols.

We Francyi, wedle Dieterici, skonsumowano w roku 1836 herbaty 143,352 kilogramów, które przy ludności 35 milionów, dają na głowę blisko 0,28 łótów Prus. W Danii roczna konsumcyja herbaty wynosi na głowę 0,25 funta (Rothe).

W królestwie Polskiem sprowadzono w r. 1844 około 30,000 funtów; przyjmując takąż ilość na konsumcyję, wypada na głowę po 0,19 łóta.

W Związku Celnym konsumcyja roczna czyni średnio 300,000 funt. Prus., czyli na głowę 0,013 funta, albo 0,30 łóta Prus. (Dieterici). Najwięcej herbaty konsumują Niemcy północne. W Bawaryi średnio rocznie 7,140 funt., czyli na głowę 0,0017 funta Prus. (Rudhart); w Saxonii 20,000 funtów, czyli 0,013 funta; w Baden 5,000 funtów, czyli na głowę 0,004 funta; w Wirtemberskiem 3,000 funt., czyli 0,0018 funta; w Prusach 230,000 funtów, czyli 0,018; w Austryi rocznie 219. cetn., czyli na głowę 0,16 łóta (Becher). Liczby powyższe, dla znacznej defraudacyi tego artykułu, nie są dokładne.

Tytuń.

Ogólną konsumcyę tytoniu trudno oznaczyć. Sama Ameryka północna wywozi go rocznie przeszło 100 milionów funtów. (Mac Culloch).

Wielka Brytania, do której wszelkie gatunki tytoniu wprowadzać wolno, skonsumowała w r. 1833, w Anglii i Szkocji 16,214,000 funtów; czyli po 1 funcie na głowę; w Irlandyi tegoż roku 4,556,000 funt. czyli na głowę 0,63 funta. Należy tu nadmienić że cyfra ta o wiele jest wyższą w rzeczywistości; tytuń bowiem stosownie do swęj dobroci, ponosi cło od 6 do 14 razy wartość jego przynoszące, które naturalnie wielką defraudacyę sprowadza. W roku 1843 na wewnętrzną potrzebę całego kraju, oclono tytoniu 23,160,000 funt. tak w liściach jak i wyrobionego; przypada zatem na głowę 0,82 funta (1), 0,91 funt. Pols.

W Prusach konsumcyja tytoniu, podług Dieterici, wynosiła na głowę $3\frac{1}{2}$ funta Pols.; cyfra ta może być przyjętą i dla całego Związku Celnego. Konsumcyja tytoniu w Niemczech wzrasta ciągle.

Tęgoborski oblicza dochód brutto z tytoniu w państwie Austryackim, z wyłączeniem Węgier i Siedmiogrodu, na 18 milionów zł. konw. (równy 4 złp. 10 gr.); przy ludności więc $21\frac{1}{2}$ milionowej, przypada na głowę po 1 zł. 2 krajcary Reńskie (złp. 3 gr. 25); co może odpowiadać 2 funtom; czyli 2 funtom 9,81 łota Pols. Defraudacya i tutaj znacznie liczbę tę zwiększa.

We Francyi przez r. 1843 spotrzebowano tytoniu 16,990,000 kilogramów, przeszło 41,980,000 funt.

(1) Allg. Organ für Handel und Gewerbe, z d. 19 marca 1844 r.

Pols. (Dochód z tego przedmiotu przyniósł 104,368,000 fr., w których 77,368,000 fr. stanowił podatek; w roku 1842, tylko 73,804,000 fr.). Z podziału tej ilości na ludność 35milionową, przypadnie na głowę $1\frac{1}{6}$ fun. Pols. Trzecią część stanowiła tabaka.

W królestwie Polskiem w r. 1844 konsumpcya tytoniu i tabaki wynosiła funtów 4,031,000; a zatem na głowę 28,4 łota.

W Rosyi przez r. 1839, podług wykazów podanych przez handlarzy i fabrykantów tytoniu, sprzedano $3\frac{4}{5}$ milio. funt. przeszło $4\frac{1}{2}$ milio. funt. Pols.; tabaki $2\frac{1}{5}$ milio. funt. blisko 3 miliony funt. Pols. $65\frac{1}{2}$ miliona sztuk cygar, których 1,000 waży przeszło 10 funt. Pols. a zatem 655,000; czyli razem 8,171,000 funt. Pols. Biorąc za podstawę ludność 50milionową, wypadaloby na głowę około 6 łótów Pols. Dochód z tego źródła przyniósł 2,670, 374 rub. sreb.

W Danii konsumpcya tytoniu na głowę wynosi 2,15 funta Pols. (Rothe).

Włna.

Wedle przybliżonego oszacowania, produkcję wełny w Europie z 250 milionów owiec i średnio wziętej z nich strzyży rocznej po 2 funty z owcy, można ustanowić na 500 milionów funtów. (Schiebe).

Wielka Brytania i w tej gałęzi nie ustępuje pierwszeństwa innym krajom. Produkuje ona, wedle Portera, rocznie wełny surowej 136 milionów funtów. Dowóz wynosi 47 milionów funtów, wywóz 14 milionów funtów; przerabia około 170 milionów f. z których w kształcie fabrykatów wywozi 20 milio. fun., a reszły 150 milio.

fun. na własną potrzebę zużywa. (List). Przemysł ten zatrudnia w Wielkiej Brytanii przeszło pół miliona ludzi. Dowóz wełny od r. 1789 do 1839, powiększył się o 22 razy; wynosił zaś w ostatnim roku 585,000 cet.

Związek Celny produkuje rocznie z 26 milionów owiec (po $2 \frac{1}{5}$ funta ze sztuki), 57 milionów funtów wełny; z téj ilości wysłano za granicę przeszło 2 miliony funtów, użyto na wyroby 55 milionów fun., wyprowadzono w wyrobach przeszło $4 \frac{1}{2}$ milio. fun., pozostało więc na własny użytek 50 milionów funtów. (List i Dieterici).

W Wielkiej Brytanii konsumpcya miejscowa wyrobów wełnianych, podług Bechera, wypada po 4 funty na głowę; w stosunku zaś do powyższej cyfry 150 milionów, przy ludności 27 milionowej, wypadłoby po $5 \frac{1}{2}$ funta.

W Związku celnym przez r. 1834, spożycie przypadło po 1,67 funta celn. na głowę; przez r. 1839, 1,90 funta; w r. zaś 1843 przy 535,243 cet. przeznaczonych na konsumpcyę w krajach objętych związkiem, 2,02 funta., co odpowiada 2,5 łokcia.

Dla Austrii, Becher potrzebę miejscową oblicza po 0,52 funta na głowę.

Dla Francyi, przy ludności 35 milionowej i 10 milionach kilogramów wyrobów, na potrzeby miejscowe przypada po 0,57 funta na głowę.

W królestwie Polskiem w r. 1844 użyto wełny surowej na tkanki wełniane i półwełniane 36,374 cet. przyjmując téż samą ilość na spożycie krajowe, wypadłoby po 25 łótów na głowę. Na targ Świętojański w Warszawie sprowadzono cetnarów 14,281, w Kaliszu 2,009 cetnarów.

Bawelna.

Berghaus ocenia wyroby fabryk bawełnianych ogółem na 2,000 milionów funtów. Dieterici przywóz do Europy z r. 1839, podaje na 2 miliony bel czyli 600 milionów funtów; z téj ilości Ameryka dostarcza 85 prc; sama Ameryka północna 75 prc. W r. 1844 cały surowój bawełny do Europy przywóz wynosił 673½ miliona funtów; z téj ilości 70 prc., czyli 505 milionów spotrzebowała sama Anglia (1) która w jednym tygodniu przeraabia bawełny tyle, ile, biorąc stosunek z ilości materyału surowego wprowadzonego w r. 1844, Francya przez 6 tygodni, Szwajcarya, Belgia, i Holandya razem przez 17 tygodni, Austrya, całe Niemcy i Rossya razem przez 6 tygodni, albo wreszcie Stany zjednoczone Ameryki północnej przez 5 tygodni.

Ilość wrzecion przędzē bawełnianą snujących, w roku 1844 wynosiła w ogóle 23,800,000. Z ilości téj przypada na Anglią 14 milionów wrzecion, na Francyą 3½ miliona, na Stany zjednoczone 2⅓ miliona, na Austryą 1½ miliona, na Związek Celny 800,000, na Rossyą 600,000, na Belgią 420,000.

Mac-Culloch oszacował za rok 1838 wartość kapitału, w rękodzielniach bawełnianych W. Brytanii uwięzionego, na 56 milionów funtów szterl.; wartość zaś towarów wyrobionych przez rok, ogółem na 36 milionów funt szter. w téj ilości materyał surowy kosztował 5½ miliona funt. szter.; 833,000 ludzi z utrzymaniem roczném w przecięciu po 24 funt. szterl. (1,000 złp. przeszło) na osobę bezpośrednio, a 111,000 ludzi z utrzymaniem po 30 funt. szter. pośrednio zatrudniało się tym przemysłem: pozostawiając

(1) Allg. Organ für Handel und Gewerbe, z d. 15 lutego 1845 r.

stałe 6½ miliona funt. szter., stanowiły czysty zysk, jako też koszta opału i reparacyi machin. Przeszło 1½ miliona ludzi utrzymywało się podówczas z tego rękodzielnictwa; nadto potrzebowało ono wody i pary o sile 45,000 koni, i 9 milionów wrzecion w ruch wprawiało. Ludność miast i hrabstw Angielskich, rękodzielnictwo bawełniane prowadzących, w ostatnich 60 latach zwiększyła się o 4 razy.

Cyfry powyższe, mimo swój bezprzykładnej wielkości, zdwoiły się jednak w ostatnich pięciu latach. Dowóz surowej bawełny, który w r. 1839 po strąceniu wywozu, wynosił 240 milionów funtów, już w r. 1844 podniósł się do 486 milionów funtów; wartość zaś wyrobionego produktu, czyniła w tym czasie 65 milionów funt. szter. Zniesienie cła od surowej bawełny, reformą celną Roberta Peela objęte, i rozszerzenie handlu w Indjach wschodnich i w Chinach, obszerniejsze jeszcze przemysłowi temu w Anglii zakresli granice.

We Francyi przemysł bawełniany zatrudnia 300,000 ludzi, 3½ miliona wrzecion. Dowóz bawełny od r. 1816 do 1841 zwiększył się o 457 proc.; wynosił w r. 1844 73,691,000 kilogramów. (Becher s. 336).

W Związku Celnym wyrób towarów bawełnianych w r. 1834, ogółem dochodził 36,017,000 funtów, w r. zaś 1843, 65,237,800 funtów, a zatem w latach 10 wzrosł o 80 proc. (Dieterici).

W Austrii od r. 1834 do 1838, czyli w latach 4, rękodzielnictwo bawełniane wzrosło o 84 proc. w r. 1844 wynosiło 33 miliony funtów celnych.

Według Portera, potrzeba roczna towarów bawełnianych dla całej W. Brytanii i Irlandyi, wypada na głowę od 7—10 funtów; czyli średnio 8,5 funta Ang., albo

9,4 funt. Pols. Waga ta wedle Dieterici, odpowiada łokciom 71 na $\frac{4}{4}$ szerokim.

We Francyi na potrzebę krajową w roku 1841 użyto 1,117,389 cetn., czyli przy ludności 35 milionowej 3,19 funta na głowę; co uczyni łokci około 27.

W Związku Celnym, wedle Dieterici, konsumpcya bawełny w latach 18 $\frac{33}{35}$ wynosiła 0,72 funta czyli łokci 7, przez lata 18 $\frac{35}{39}$ doszła 1,14 funta czyli 10 $\frac{7}{8}$ łokcia; w r. zaś 1843 na potrzebę krajową użyto 857,821 cent. (1), które przy ludności 26 $\frac{1}{2}$ miliona, dadzą na głowę po 2,21 funta albo łokci 21: a zatem w ostatnich dziesięciu latach konsumpcya wzrosła o 300 proc.

Becher oblicza średnio konsumpcyę wyrobów bawełnianych w Austrii, z wyłączeniem Węgier, na 0,73 funta Prus., co odpowiada 7 łokciom; na prowincye Węgierskie wypada tylko 0,47 funta Prus. czyli blisko 5 łokci.

Mięso.

Dieterici podaje ile być może najdokładniejszą statystykę mięsa, podług krajów, prowincyj i miast. Zgodność dostateczna w liczbach przecięciowych, powiększa zaufanie w tej statystyce. Obejmuje ona tylko konsumpcyę mięsa rzeźniczego, ulegającego kontroli, jakoto: wołowiny, baraniny i wieprzowiny.

Dla Anglii, Walii i Szkocyi podaje średnio ilość mięsa spożytego przez rok na głowę po 70 do 80 funtów Pols.; we Francyi po 35 funt. na głowę; w Prusach po 40 funt.; w Bawaryi po 51 funt.; w Wirtembergu po 44 funty, w Saxonii 34 funty. W piśmie *Oekonomische Neuig-*

(1) Allg. Zeitung z d. 24 października 1844 r.

keiten und Verhandlungen, konsumcyja mięsa w Austrii przez r. 1837 obliczoną jest na 8,537,378 cetn., czyli na głowę po 33 $\frac{1}{2}$ funt. Spożycie mięsa w miastach Pruskich wedle Dieterici, przypada między 35 i 143 funtami Pols. na głowę; na prowincyach zaś między 67 a 115 funt. Pols.

W Londynie przypada spożycie mięsa po 462 funty Pols. rocznie na głowę w zamożnych częściach miasta; w mniej zamożnych po 382 funt.; w domach przytułku, gdzie się wiele dzieci znajduje, po 200 funtów na głowę. Francya wedle wykazów przez ministerjum handlu ogłoszonych, skonsumowała w r. 1830, 394 miliony kilogramów mięsa czyli na głowę 12 $\frac{1}{3}$ kilograma (29 $\frac{1}{2}$ funt. Pols.), w roku zaś 1840 tylko 370 milionów kilogramów, czyli z uwzględnieniem wzrostu ludności po 11 kilog. (27 $\frac{3}{10}$ funt. Pols.) na głowę, konsumcyja więc mięsa w tym kraju w przeciągu lat 10 zmniejszyła się o 11%.

Wykazy podatku od mięsa do Paryża sprowadzanego, przedstawiają równie ciekawe jak dokładne rezultaty. W r. 1789, kiedy ludność Paryża wynosiła 600,000 dusz, miasto to konsumowało mięsa rzeźniczego 52 miliony kilogramów; w r. zaś 1839 przy ludności 900,000 dusz, tylko 59 milionów kilogramów; czyli na głowę w r. 1789, 79 kilogramów (194 funt. Pols. 26 łótów); zaś w r. 1839 tylko 48 kilogramów (118 funt. Pols. 12 łótów). Cena mięsa pośledniejszego przez klasy uboższe spożywanego, przed 20 laty była w Paryżu od 14 do 16 groszy za funt., dziś zaś jest od 20 do 22 groszy. Zmniejszenie się to konsumcyi mięsa w Paryżu, wspólne wreszcie i innym miastom Francyi, wywołało w miesiącu lutym r. b. obszerną w izbie deputowanych dyskusyją nad tym przedmiotem; w skutku której postanowiono

usunąć wszelkie przeszkody tamujące spożywanie produktu, wpływającego tak silnie na zdrowie ludzkie. Jako pierwszy krok w zaradczym kierunku, przyjęto prawo znoszące dotychczasową opłatę podatku miejskiego od sztuki zwińczenia i uchwalono pobór tego podatku od funta w stosunku wagi zwińczenia (1).

Ilość bydła na targ w Smithfield (2) dla Londynu, jak również na targi w Poissy i Sceaux dla Paryża (3) sprawdzanej przez rok, jest następująca:

| | Woły i krowy | barany | cielęta | wieprze |
|-------------|--------------|-----------|---------|---------|
| Smithfield. | 169,995 | 1,707,196 | 30,000 | 30,000 |
| Poissy..... | 77,847 | 301,456 | 32,385 | " |
| Sceaux..... | 54,621 | 381,354 | 13,068 | " |
| Paryż..... | 9,940 | 14 | 49,012 | " |

Warszawa skonsumowała: (4)

| | Wołów i krów | wieprzów | baranów | cieląt |
|--------------------------------------|--------------|----------|---------|---------|
| w r. 1827 | 41,171 | 41,530 | 89,607 | 47,952 |
| „ 1835 | 27,491 | 31,797 | 57,897 | 45,599 |
| „ 1845 | 28,742 | 35,370 | 29,685 | 44,415 |
| W średnicy od r. 18 ^{40/35} | 28,453 (5) | 38,501 | 45,237 | 44,609. |

Wypada więc na głowę w r. 1827, przy ludności z garnizonem 146,000 dusz, po 225 funtów Pols., w r. 1835 przy ludności 148,000 d., po 154 funt. Pols., w r. 1845 przy ludności 180,000 d., po 126 funt. Pols.; z sześciu lat od 1840 do 1845 włącznie, przy ludności w średnicy 165,000 po 138 f. Pols.

Średnie ceny mięsa wołowego były w r. 1827 po 8 groszy za funt; w r. 1835 po 11½ gr. za funt; w ro-

(1) Posiedzenie Francuz. izby deputowanych z d. 26 lutego r. b.

(2) Porter, Progrès de la Grande Bretagne.

(3) Rapport sur les marchés publics par Anger, Ballard et Husson.

(4) Wykazy podatkowe.

(5) Wołów 26,313, krów 1940.

ku 1845 po $12\frac{3}{4}$ grosz., w średnicy z ostatnich lat sześciu po $11\frac{6}{7}$ gr.

W obliczeniu powyższém przyjętą była waga mięsa rzeźniczego z wołu 600 funt. Pols., z wieprza 70 funt. Pols., z barana 35 funt. Pols., z cielęcia 45 funt. Pols.

Samych wołów spożyła Warszawa rocznie w przecięciu z lat czterech od 1825 do 1828 36,202 sztuki, z lat czterech od 1835 do 1838 28,523; z lat sześciu od roku 1840 do 1845 sztuk 26,513.

W Warszawie zatém, podobnie jak w Paryżu, spożycie mięsa na głowę obliczone, w ostatnich 20 latach zmniejszyło się prawie o połowę.

Według urzędowych tabelli konsumcyi z roku 1835, Wiedeń spotrzebował (1) wołów 89,893 sztuk (Węgierskich i Galicyjskich) po 600 funt., czyli 53,937,000 funtów; cieląt 123,979 po 50 funtów sztuka, uczynią 6,188,950 funt.; owiec, kóz 43,135 po 50 funt. sztuka, dadzą 2,156,750 funt. i około 70.000 wieprzów, po 50 funt. sztuka, uczynią 3,500,000 funtów; razem 65,792,700 funt., którato ilość przy ludności w roku powyższym z załogą 345,000 dusz, daje na głowę po 190,8 funt. Wiedeń., czyli $262\frac{1}{2}$ funt. Pols. rocznie, albo dziennie prawie $\frac{3}{4}$ funta Pols.

Mnichów spożył wedle dr. Zierl (2), w r. 1841 na 1,000 mieszkańców 220 sztuk wołów i krów, 1,024 sztuk cieląt, 209 owiec, i 566 wieprzów; przyjmując jednego wołu po 600 funt., krowę zaś lub jałowiznę po 300 funt., cielę 55 funt., owcę 40 funtów, wieprza 50 funt., czyni na głowę 236 funt. Prus. ($272\frac{1}{4}$ funt. Pols).

(1) Schmiedl. Wien, wie es ist 1840. S. 17.

(2) Centralblatt des landwirthschaftlichen Vereines für Bayern, Jahrgang 1842, S. 298.

W Berlinie, wedle Dieterici, w r. 1830, konsumpcya na głowę wynosiła 125 funt. Pols. 23 łótów.

Tu równie jak wyżej pod statystyką zboża, taż sama większość co do konsumpcyi miast, Wiednia i Mnichowa, w porównaniu z Berlinem: gdy nadto zważymy, że Wiedeń w tym samym roku spotrzebował 81,152 sztuk ptastwa dzikiego, 1,780,855 sztuk drobiu, 91,749 zajęcy i 1,365 jeleni; Mnichów w r. 1837 (1) 58,956 kur, 5,600 indyków, 5,374 kapłonów, 112,746 gęsi, 46029 kaczek, 21,715 gołębi (wykazy urzędowe).

Bawarya pod względem konsumpcyi mięsa postawiona obok krajów Związek Celny składających, zajmuje pierwsze miejsce; dr. Zierl, na innój zupełnie drodze otrzymał te same dla Bawaryi co do téżże konsumpcyi wypadki (2).

Naostatek tabellarycznie porównajmy spożycie w znaczniejszych Europy miejscach.

(1) Jahrbuch der Sternwarte bei München, von Lamondt. 1839 S. 371.

(2) Centralblatt d. landw. Verei. für Bayern, S. 296.

KRONIKA LITERACKA.

*Nauka Języka Polskiego z zasad Szrzeniawy. Zcszyt 1^{szy}
(stron 122) Lwów, 1844 (druk. w Wiedniu).*

(List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej).

Odebrawszy list Red. Bibl. Warsz. z dnia 13 października r. z. w którym raczyła wezwać mnie, abym napisał zdanie moje o dziele p. t. Nauka Języka Polskiego z zasad Szrzenia-
wy, z miłą chęcią zamierzałem zaraz wziąć się do tej pracy. Ale człowiek niezaraz może pracować choć chce; czasem do niczego się nie weź, czasem znowu taka obfitość myśli, że inu pióro nie wystarczy. I ja też, przyznam się, czekałem ja-
koś usposobienia do czytania, zwłaszcza gramatyki. Oj, bo też prawda, że czego ci gramatycy dziś nie wyrabiają, tego nigdy nie bywało; tak nam zmęcili głowy temi jotami, temi głoskami, zgłoskami i głoskowniami, że doprawdy, sądziłoby można, że jakaś zaraza rozszerzyła się w powietrzu i potru-
ła mózgi gramatyków polskich. Słyszałem jak bardzo po-
ważne osoby dowodziły, że dzikie gęsi wracając z krajów zagranicznych, przynoszą do nas ze sobą małeńkie robaczki, które unosząc się w powietrzu, wpadają w nos i są najpe-
wniejszą przyczyną cholery w naszym kraju. Czytającemu najnowsze gramatyki polskie, łatwo przychodzi na myśl, czyto owe gęsi nie przyniosły w ostatnich czasach roba-
czków, które sprawiły widoczne symptomata cholery (gra-
matycznej), u kilku naszych gramatyków. Ten domysł to po-

twierdza, że symptoma owe właśnie zjawiają się w kierunku od południa ku północy, np. Lwowie, Radomiu. Oby Bóg uchronił Warszawę od tej klęski!

Wprawdzie byli i dawniej gramatycy, którzy mylili się względem swego stanowiska; sądząc się prawodawcami języka, pisali o nim prawa swoje, jak artykuły kodexu, nie pytając się o sankęją narodu, który jest twórcą języka, i sam głosem powszechnym stanowi o swojej najpierwszej własności, o języku. Ale ta uzurpacja prawodawcza da się usprawiedliwić przez okoliczności czasowe towarzyszące jej. Kopczyński np. pisał swoją gramatykę w epoce, gdzie trzeba było pochwycić język w formy, aby go ochronić przed szkodliwą samowolnością piszących, nienazwyczałonych wtedy bardzo do obchodzenia się z krajowem narzędziem do wyrażania myśli. Dlatego Kopczyński występuje jak prawodawca, kocha swój język, życzy mu dobrze, a chociaż przy tej miłości łamie go w formy obce i krzywi, czego skutki do dziś dnia widzimy, nikt się na tem nie poznaje, i naród piśmienny dank mu składa, bo i zasłużył na to; w swoim czasie zrobił co mógł.

Uplęnęło znowu lat wiele, zmieniły się pojęcia o rzeczach, więc i o gramatyce. Bo to najpiękniejszy fenomen życia, postęp idei, odmiana pojęć; tam śmierć zaległa, gdzie myśl nieruchoma. I któż, komu zdrowie i siły służą, chciałby umierać śmiercią myśli? tylko wygodnisie którym z tem dobrze, lubią, aby ich myśl kręciła się zawsze około dawnego punktu. Otoż szczęśliwy ruch idei wkrótce objawił nowe potrzeby, nowe niedostatki w naszej dawniejszej gramatyce, i Mroziński wystąpił ze swemi pomysłami nad naturą głosek: postrzeżenia jego prowadziły do sprostowania wielu trudności, których namnożył Kopczyński. Ale złajano śmiałka, co się odważył wprowadzać nowości, bo wtenczas wierzone, jak i dziś jeszcze wielu wierzy, że choć wszystkie umiejętności ludzkie mogą się doskonalić, nauka języka krajowego jednak powinna być wiecznie tą samą. Otoż powiadam, tak złajano Mrozińskiego, że ten musiał się bronić i to tak do rzeczy, że odważniejsi zaczęli przechodzić

na jego stronę, i liczba stronników tak wzrosła, że dziś odkrycia Mrozińskiego służą jako klucz do wykrycia prawideł na zamiany głosek. Ale to jeszcze nie wszystko, co zrobić zostawało: zasady Mrozińskiego posłużyły do sprostowania odmian w imionach, ale znajomością martwej głoski nie wytłumaczy nikt znaczenia i natury *słowa*, które samo jest syntezą mowy, bo się składa z formy i ducha, imię zaś jest tylko formą, zmysłową postacią, więc je też łatwo objaśnia zmysłowa głoska. Mroziński pomylił się w tem dopiero, że chciał swoim systemem głoskowym wytłumaczyć naturę słowa. Ale zasługa jego nie przestaje być wielką, bo objaśnił dostatecznie *imię*. Z jego systemu korzystał Felix Zochowski. Ale imię nie stanowi całej mowy, jestto najmniej ważna jej częśćka, więc też poznanie imienia, jest dopiero małą częśćką znajomości całkowitej języka, łatwo więc widzieć, jak wiele do zrobienia zostaje w tej nauce.

Otoż, Szanowna Redakcyo, z listu, który jak sobie przypominam, zacząłem w dobrym humorze, wpadłem nieznacznie na tor naukowy, i zakrawam coś na rozprawę. Ale muszę się usprawiedliwić. Otoż dlatego tylko zacząłem mówić o dzisiejszem stanowisku prac gramatycznych, aby pokazać, czego się należy spodziewać od tych, którzy dziś chcą pisać gramatykę; teraz wracam do rzeczy, która właściwie jest przedmiotem tego listu, sądzę, że teraz nie będę tak poważnym w mojem piśmie, boć dziś czemużby i nauka języka nie miała się wesoło traktować? przecież czasy Alwara minęły!

Z pierwszych kart pierwszego zeszytu Nauki Języka Polskiego z zasad Szreniawy, nauczyłem się co są *swogłosy* i *łagłosy*, nie szukając nawet znaczenia tych wyrazów w słowniku Lindego. Dalej rzecz o swogłosach *łężnych* i *wlemnych*, dalej o łagłosach *chutnych* i *pochutnych*, dalej o *powiotnych*, *syczliwych*, *spieszczonych* i *szumnych*, wszystko rzeczy znane, tylko tu ustrojone w nowe wyrazy.

Ale oto następują prawidła. Lubię prawidła, są one syntezą szczegółowych pojęć, jak artykuły prawa, każdy stosuje się do rozlicznych przypadków. Na str. 4. prawidło pier-

wsze: Jeżeli swogłosom stężonym potęgi ujmę, przejdą na proste, to jest na *q* na *ę*, *é* na *e*, *ó* na *o*, *u* na *o*^w, i na *y*; (mąż męża, chleb chleba, róg rogu.). Mroziński a za nim Żochowski powiedział, że przemiany samogłosek następują w skutek spływających na nie spółgłosek; tu się dowiaduję, że to zależy od przydzielenia i ujęcia *potęgi*. Czegoto badania na drodze postępu nie odkryją!

Wyraz *potęga* przypomina coś algebricznego; dobrze jest swawolnych gramatyków ująć przecie raz w formuły matematyczne, i z wielką też radością postrzegłem na str. 12 słowa: gramatyka oznacza wszystkie swobodne łągłosy razem znakiem *X* i czyta *iks*). Łągłosy ostro i pieszczonem szczechlone znakiem *X'* i czyta *iks'*, a zaś szumne łągłosy, znakiem *X''* i czyta *iks''*. Co do swogłosów, oznacza je znakiem *Q* jeśli są łąznego płona, a znakiem *Q'* kiedy należą do płona wlewnego."—Teraz jestem pewny, że ujrzę prawdę jasną, widocznie pokazaną, boć matematyka nigdy nie błądzi, toć jej formy zanesione do gramatyki, złego nie mogą mieć skutku.

Oto rozdział. *Zbór głosów*. Jest tu mowa o zgłoskach; odróżniono tu gloski *trzmionowe* np. *włosz ródz*; *powodne* *czyzna*, *ina*, *ka*, *ak*, *ek*, *nik* i *względnem* czyli zakończenia przypadków, osób np. *ów*, *om*, *ach*, *ami*, *em*, *eś*, i t d."—Definiemy znaczenia pierwiastków składających wyraz, nie należą do gramatyki, jak ją dziś pojmujemy, ale do słownikarstwa. Że jednak autor wielką jak widzę wagę przywiązał do tego rodzaju badań, pomijam rozdziały o *Ołlochach mowy* (są to tak zwane części mowy, których wyliczył aż dziesięć), *Modłę przegubu łągłosów*, *stopnie dżotu i swodu*, a czytam *Rzecz o trzmionach*, *Nory trzmienia*, prawda pierwsza str. 23." Każdy swogłos zosobna wyraża pewną włość; albo względ stacyczny stanu w jakim istota pozostaje. I tak o) oznacza istotę widomą; e) byt istotny lub omąd o istocie rzeczy powzięty; y) wyraża szczegóły wlewnem; i) szczegóły łążne z jakich omądly powstają;—a niżej znowu prawda druga głosi: że j) oznacza czynność od woli; h, ch) czynność z nało-

gu lub przymusu; k) być usposobionym do działania łąźnie; g) zaś usposobionym wlewnie i t. d.”

Zdaje się że autor robiąc definicye na znaczenie pojedynczych głosek, miał na uwadze hieroglify egipskie, w postaciach liter widział figury alegoryczne, przypominające myśli; w takim razie głoska o podobna do węża w okrąg zwiniętego mogłaby przedstawiać wieczność; litera c półksiężyc, a lepij jeszcze Turka i t. d. A przecież tak nie jest. Głoski nie mówią nic o myśli w nich utajonej, są to sfinxy milczące i nieme, ale ułoż je w wieniec harmonią dźwięków do życia przywieziony, a wtenczas opowiedzą ci chórem mądrość, której strzegły, niby duchy zakłete, same nie wiedząc nic o tej mądrości.

Szanowna Redakcyo, otoż od badań tak poważnych o nauce języka polskiego, przeszedłem do poezyi, widać, że nie mam usposobienia do matematyki, a tu wszystko tak nowym dla mnie językiem opowiedziane, że trzeba go się wprzód dobrze wyuczyć, aby co rozumieć. Bo niechże mi kto wytłumaczy np. *Prawidła trzmion w powodzi*, pierwsze str. 29” *Imię dane przechodzi w powódź własną dolegą; to znaczy: że otrzęsa z siebie wszelkie znamiona nabytych względów i okoliczności, a łączy się ostatecznym łąglosem własnej dolegi z głoską powodową.*

Prawidło drugie. „Powódź o jednym łąglosie przyrasta swotem nawiotnym: to znaczy, że między łągłos powodny sam o sobie jak *k, c, l, n, r.* a łągłos dolegi trzmionowej język wsuwa e) szczeszle, co ma oznaczać przyswojenie nawiotne czyli przypadkowe włości dołącznej; i tym sposobem poprzyrastały owe *k, c, l, n, r.* nawiotnie do bardzo wielu imion, jak np. chłop(p)ek, wrób(b)el, w(ag)ęgiel, kwi(at)ecień, r(óg)łożeń.”

Wprawdzie można domyśleć się o co tu chodziło autorowi; chciał on odgadnąć jakim sposobem twórcy języka i pisma więzili pojęcia w głosy i znaki, ale tym sposobem wyrażone jego domysły, które nazwał prawidłami, małej liczbie wybranych stały się przystępne, a nauka języka tak wykła-

dana nikogo nie nauczy, bo ci co to rozumieją, musieli sami już wszystko badać. Mnie oto, com wiele w tym przedmiocie myślał, głowa zaczyna boleć, gdy patrzę na te stronicie zapisane równaniami, pokryte nieznanymi wyrazami, z których jak z zaczarowanych znaków, upatruję wyglądającej myśli; słyszę rodzime dźwięki i znajome mi oblicza głosek, ale wszystko w tak potwornych i cudackich kształtach, że boleść serce ściska, krew uderza do głowy odurzonej tą powodzią głosów.

Powiedziałem już, że badania, jakim sposobem pojęcia swoje uwięził człowiek w postaciach zmysłowych, jakimi są głoski, nie należą do gramatyki; pomijam więc dalsze badania p. Szreniawy w tym względzie, a przeczytałem coś o tem, co stanowi zakres właściwy gramatyki, do której jedynie należy *dostrzegać środki jakimi się wiążą wyrazy dla wykreślenia myśli*. Jak malarzowi nie idzie o to, aby umieć definiować kolory, ale jak ich używać dla ożywienia rysunku, który jest myślą obrazu, tak gramatyk winien mieć na celu podać tylko w prawidłach postrzeżenia, jak się używają i spajają wyrazy używane w mowie, pod które myśl już jest podłożona. Mylą się gramatycy, którzy myślą, że do nich należy uczyć myśleć; rozbierają i krajają widome kształty myśli, dzielą ją na gatunki i podgatunki, dobierają do wymyślonych podziałów formy i ramki, i biedni ludzie, napracowawszy się i napisawszy tomy, w duszy są przekonani, że ich praca podobna do pracy owego mędrca, który strawiwszy połowę życia na uważaniu robaczka, wyznał przy śmierci, że zaledwie poznał małą cząstkę jego własności. Gramatykom zdaje się, że ich dzieła powinny być nauką mowy. A kóżto się swego języka z gramatyki nauczył? nie mówię tu o obcych. Obcy język jest dla nas sztuką a teorią tej sztuki powinna być gramatyka, ale nasz własny język, to wcale co innego. Nasz przychodzi nam z mlekiem matki, rośnie z nami, jest drugą naszą naturą; gramatyk polski powinien więc badać naturę swego języka; jego własności i środki do wydania myśli; a że sposoby i zdolności mowy są zawsze odpowiednie do pojęć jakie sobie

naród wyrobił o rzeczach, więc gramatyka języka będzie odbiciem rozumu narodu. Dlatego też dotąd nie mamy gramatyki, że ją uważamy za naukę języka. Od Donata który napisał gramatykę umierającego języka Rzymian, wszyscy dotąd piszą gramatyki o ośmiu częściach mowy, biorą formę za myśl, i znowu chcą myśl wsunąć w formę i piszą tomy prawideł i tomy wyjątków od prawideł, a praca staje się bezużyteczną i w skutkach swoich szkodliwą. Gramatycy np. polscy pokrzywili język tak dalece, że dziś inny jest język piśmienny czyli gramatyczny, inny ustny; a tego rozdzielenia nie usprawiedliwia ani potrzeba zachowania źródłosłowów jak w francuzkim, ani brak znaków piśmiennych alfabetu. Jedni mówią, że trzeba iść do pokrewnych sąsiadów Słowian, aby poznać swój język, drudzy powiadają, że trzeba iść jeszcze dalej do Indyj i Sanskrytu, inni że do ksiąg starych i najstarszych, a tam gotowe wszystko się znajdzie; zdaniem mojem, środki te na mało się zdadzą, wyjąwszy ostatni; bo dopóki gramatycy tak będą rozumieć swoje obowiązki jak je dziś rozumieją, dopóty będziemy mieli tylko brednie o języku, ochrzczone nazwiskiem gramatyki.

Ponieważ nie do gramatyki należy określenie, co wyrazy znaczą, bo my rozumiemy myśl podłożoną pod nie, więc powołaniem gramatyka jest wykazanie stosunków między wyrazami i oznaczenie wartości tych stosunków; do niego należy nauczyć sposobów kombinowania i wiązania wyrazów, które mieszczą w sobie części myśli. Jak w muzyce bez znajomości zasad harmonii, nie wyrobi artysta danego tematu na najrozmaitsze waryacje, tak kto nie zna warunków kombinacji części mowy, które są niby dźwiękami albo rysunkiem myśli, ten nie będzie się łatwo posługiwał językiem do objawienia swych myśli, chyba że nabędzie wprawę przez praktyczne użycie. Poznanie więc stosunków między wyrazami stanowi gramatykę, a że te stosunki są rozliczne, zobaczymy jak p. Szreniawa uważa ten przedmiot w dziele swoim. Do oznaczenia stosunków służą odmiany wyrazów, jako końcówki przypadkowe, osobowe, rodzajo-

we i t. d. oto co p. S. o takich rzeczach prawi: Rzecz o rodzajach. Rodzaje imion str. 34. „Rodzaje imion stanowi stopień potęgi dźótu i swódu w żywocie istoty;” niżej zaś: „Rozpoznanie rodzajów zawisło od znajomości znamion imiennych, i znamion istotnych dźótu i swódu, jakie w sobie imię dane zawiera. Imienne cechy dźótu osadził język w stoku imienia; a imienne cechy swódu w otłochu trzmiona. Istotne cechy dźótu obwieszcza kształt, czyli właściwiej cud istoty, tojest byt jej naoczny w objawieniu; a istotne cechy swódu, zawód tojest tryb objawienia żywotu istoty.”

Zawsze rzecz o rodzajach ciekawe nastęrcza definicye naszym gramatykom. Pamiętam, byłem chłopcem kiedy mi powiedziano, że np. *Anna* i *wanna* są rodzaju żeńskiego; bardzo byłem ciekawy poznać tożsamość tych dwóch pojęć. Nauczyciel nie chciał wchodzić w podobne rozbiory, i każdy powtarzał, że tak napisano w gramatyce, a nikt nie powiedział, że tak pisać nie należało. Któż słyszał pisać gramatyki dla zgorszenia? Oto jak p. Szreniawa tłumaczy: *Obroty w rodzajach*,—tu się zapewne nikt nie zgorszy. Str. 38. „Jeśli znamiona dźótu i swódu sobie wzajemnie nie odpowiadają, imię niesie rodzaj przeważającej potęgi. Przeważającą zaś potęgę w ogólności ma swód nad dźótem; więc czołem idzie naprzód: rodzaj istoty samój o sobie przed rodzajem jej imienia; powtóre: rodzaj dla trzmienia przed rodzajem dla stoku; potřecie rodzaj dla zawodu przed rodzajem dla czudu.” Albo prawidło drugie na téjże stronie. „W sprzeczności rodzaju dla stoku, z rodzajem dla trzmienia, rodzaj idzie po znamionach trzmionowych. Dlatego jeśli imię o stoku szczętlým (X'—X*) będzie miało trzmię z otłochu czynnego, tedy musi być wzięte w rodzaju męzkim, a nie w żeńskim, bo usposobienie ku czynności wyższe jest potęgą przed usposobieniem jedynie przymiotném. Ztąd téż język używa w męzkim np. *dzień*, *cień*, *trzmię*, *pień*, *ogień*, *kamień*, *marzec* i t. d. bo trzmię ich rodzą słowa: *dźać*, *ciąć*, *trzmić*, *piąć*, *ogić*, *knuć*, *marznąć*.” Prawdziwie, że tyle to rozumiem, ile da-

wniej tożsamość rodzaju *Anny* i *wanny*. Gdybym wydał gramatykę, tobym nie powiedział, że *rodzaje imion stanowią stopień potęgi dżótu i swódu w żywocie istoty*, str. 34. ani jak mówią gramatycy, że imiona są rodzaju męskiego, żeńskiego i niejakięgo, alebym wskazał mechanizm własności końcówek, co żadnego związku nie ma z *żywotem istoty*.

Ale dosyć już o rodzajach, zobaczymy co mówi autor o przypadkach i liczbach; tu trzeba zebrać wszystkie władze umysłu, aby zdążyć za nim. Naukę o przypadkach nazwano nauką o względach, określono znaczenie imienia we wszystkich przypadkach, które autor nazwał: stanem udzielnym, swodnym, biernym, wzajemnym, pochopnym, wręcznym i łącznym. Dla próbki, oto definicya np. 5 przypadku czyli *stanu pochopnego*. — Wezwanie woli, chęci, swódu właściwego osobie plonu gromadzie, ku odwetowi podestłanym okolicznościom; — albo np. stan wręczny czyli przypadek 7 ma znaczyć: wytwór, osobie plonu, gromadzie wręczonych okoliczności. Wręczoną zowie się okoliczność wszelka; zawodem lub swodem istoty pewnej objęta, i. t. d." Każdy taki stan jest szeroko i głęboko opowiedziany, tak dalece, że czytający wtajemnicza się w jakiś nieziemski świat myśli, nie wierzy sam sobie, że wirem słów uniósł się gdzieś daleko od zwyczajnej posady, na której opierał swoje obserwacye i widoki, i jeżeli obejrzy się poza siebie, wrócić nie może do dawnego stanowiska bez zawrotu głowy. Dobrze pomarzyć, kiedy czas po temu, ale dziś, gdzie tak żwawy *postęp* skraca nam nawet życie, i każdą myśl szybko zamienia w realność, nie można w miejsce nauki, wałęsać się po obszarach urojonych imaginacyą i fantastyczne tworzyć sobie widziadła.

Podług zawiadomienia wydawcy Franc. Pillera i Spółki we Lwowie, autor w tem dziele: przejęty potęgą głosu (narodu), wydobywa i ustala prawdę: że „każdy głos w alfabecie jest wyrazem statecznej myśli i uczucia, znajdując potemu rękojmię w uściech ludu, potwierdzenie z życia domowego, a przekonanie w prawach umysłu. Z potęgi

głosów, objawia mu się zakon bałwochwalczy Polski, i bogobojna dusza wyznawcy jego. Więc też poświęciwszy kamień bóstwom w dziejach zmartwiały, wskrzesza je po głosie ich imienia; i za głosem idąc, wyświeca filologiczne znaczenie narodu swego.... pragnie otrząść (z gramatyki) barwę pożyczoną, a natchnąć polskim żywiołem." Piękny afisz, ale sztuka nie podoba się publiczności; na co jej pokazywać mięsopustne maskary i smoki, gdy z takich widowsk śmieje się i szydzi; poco ją zapraszać do pagody, kiedy ma kościół?

Najbardziej smutny robią widok stronic, gdzie mowa jest o liczbach; całe karty zapisane nieznanym językiem, i równaniami; wzory zakończeń przypadkowych podane w formach algebraicznych, z których dla osobliwości choć kilka tu wypiszę.

Będzie to wzór odmiany imion, tak zwanego rodzaju męskiego; str. 64:

Modła męskiej więzli
w liczbie pojedynczej
wymierzona dla imion o stoku łągłośnym X—X'—X*
Względy stanu Otła łąznego Otła wlemnego

| | swot | lega | (stok) | swot | lega | stok |
|------------------|---------------------------------|---------|--------|---------------------------------|------------------|------|
| 1. Stan udzielný | Ω Ω | X | (—) | Ω Ω | X'·X* | (—) |
| 2. Stan swódny | Ω | X·X'·X* | (a) | Ω | X·X'·X* | (u) |
| 3. Stan bierný | Ω-Ω | X·X'·X* | (owi) | Ω | X·X'·X* | (u) |
| 4. Stan wzajemny | jak 2. żywych, jak l. innych | | | jak 2. żywych, jak l. innych | | |
| 5. Stan pochodny | Ω | X' | (e) | Ω | j·ch·h·k·g·X'·X* | (u) |
| 6. Stan wręczny | Ω | X' | (e) | Ω | j·ch·h·k·g·X'·X* | (u) |
| 7. Stan łążny | Ω | X·X'·X* | (em) | Ω | X·X'·X* | (em) |

Niech to każdy rozumie jak może.

Mnie się zdaje, że te badania o *stokach, czudach, więzłach, dźótach, swódach, otlochach, trzmionach w powodzi, zawodach, plonach, norach trzmiona, wyprawach więzli* i t. d. tyle rzecz wyjaśniają, ile badania drobnostkowych mędrców: dlaczego kamień jest kamieniem, trawa trawą, człowiek człowiekiem? Jaki miał cel autor, aby rzeczy najprostsze obsłaniać w stopy wyrazów, których znaczenia nie określił nigdzie, i przez to zaciemnił pojęcia jasne jak słońce, tego nie zrozumie.

Chyba wyobraził sobie prostaczków czytelników, którzy wzięwszy w rękę jego książkę, i przeczytawszy parę prawideł, uderzą czołem przed nowym systematem. Czy szło mu tylko o oryginalność, czy o nowy system w gramatyce, czy o sławę Kanta, Hegla? Szkoda, że wybór jego padł na badania, które tracą całą wartość, jak tylko przestają być jasne. Wolno tworzyć coraz nowe systemata dla wyjaśnienia rozległości umysłowych zdolności człowieka, rozszerzać coraz bardziej koła wiedzy i myśli naszej, oznaczać pierwiastki umu i rządu wszech-rzeczy; ale w taką maskarę przybrać jedną z najpowszechniejszych umiejętności ludzkich, to nie wolno, to się nie godzi. Pan Szrzeniawa, sądząc po jego rozumie głęboko badawczym, zdatny do napisania gramatyki wysokiej wartości, ale pocóż się daje unosić powodzią wybujałych wyobrażeń, poco szuka w martwych głoskach uśmiechającego się oblicza myśli; niech nie oczekuje czarnoksiężkich skutków po zaklętych słowach; te memnony wtenczas przemówią, kiedy na nie padnie ożywiająca światło prawdy, rozumowania i rozbioru. Na drodze, którą sobie autor obrał, tylko do śmieszności dojść można; oto np. u niego pies dlatego jest psem, że psoci, a wół, że wlecze. str. 28.

Dziwna rzecz, że my się do niczego wziąć nie możemy, jak należy. Albo lekliwie trzymamy się dawnych wyobrażeń i form jak ślepy płota, albo zapomniawszy o potrzebach miejscowych, wpadamy w deklamacyą tam, gdzie trzeba mówić rozsądnie i przekonywać; dowodem tego nasi gramatycy; łanią język zamiast go prostować, krzywią zamiast wyświecać jego zdolności. Dlaczego Drużbacka bez nauki, pisała jednak czystą polszczyzną, kiedy współcześni zostawili pisma niewarte czytania? Prostaczkowie nie doskonałą mowy ojców, ale też nie psują jej.

Szanowna Redakcyo raczy mi darować, że na tem skończyłem uwagę moje o dziele p. Szrzeniawy; nie mam ani siły ani odwagi, aby dalej tę książkę czytać, a prawdę mówiąc, nie chciałbym dostać zawrotu głowy, do którego Nauka Języka Polskiego p. Szrzeniawy wybornie usposabia.

Łączę wyrazy &c. &c.

Józef A. Czajkowski.

Bigos hultajski, Bzdurstwa obyczajowe, przez Izasława Blepońskiego. Tom II. Wilno. 1846.

Autor Bigosu hultajskiego, przy każdym tomiku swój obyczajową powieść, podaje przedmowę, wyznanie wiary jego objawiającą. W pierwszym, powstawał na rodzaj literatury pod jakim bądź tytułem powstającej, lekkiej, czyli powieściowej; wyrzekał się powiastek, i powiastkę obyczajową napisał; objawił nadto wielkie lekceważenie krytyki czyli rozbiorów i sądu o dziełach jego, przychylny byłby czy nastpniczy; a w drugim tomie umieścił znowu przedmowę w której znięczony korzystnie objawioną opinią dla Bigosu, już zdaje się miał zamiar czytać krytyki i słuchać rad głosu ogólnego, głosu postępowego ogółu, bo takiego tylko krytyka może być i jest wyrazem; ale przekonawszy się że krytyka nie ma względu ani na dowcip, ani na talent, ani na osobę nawet, że obok pochwał, nagany poważa się na autora rozgłaszać, w całej znowu mocy na krytyki, recenzje i sądy pism wszelkich powstaje. Jakkolwiek pismo nasze bardzo korzystnie o talencie p. Blepońskiego wyrzekło; jakkolwiek przekonane o rzeczywistej płodów jego wartości, najmocniej pożytek książki tego rodzaju zalecało; że jednak przy korzystnej opinii zamieściło kilka uwag, obraziła autora Bzdurstwa zuchwałość przeciw nietykalnemu jego talentowi; nie chciał być, jak powiada, osłem w bajce Lafontena *Młynarz*, i niczyjéj rady słuchać ani na sąd uważać. W tym tomie wyszydza opinią Biblioteki, i przytacza kilka wierszy oderwanych jako dowód nagany jego talentu. Nieszczęśliwie wybrał na obronę swą punkta, a co ważniejsze i podziwienia godne, że w téj najwyższej bezinteresowności i niedbałości o sąd tych niedelikatnych panów, co krytykować i rozglądać się w wielkości jego śmieją, co do tego stopnia posuwają zarozumiałość, iż rzeczy podane przez autora za niewątpliwe i zarzutem ulegać niemogące, rozbiérają, sądzą i niedostatki wskazują; zamiast czołem od razu upaść i wykrzyknąć głos uwielbienia; zawsze p. Blepoński, jakkolwiek wyższy nad wszelki sąd pochwalny, gardzący

pochwałą i naganą, każdym w ogóle sądem, woli być na swęj wysokości chwalonym jak ganionym.

Ponieważ sam drugi tomik *Bzdurstwo obyczajowych*, w szczupłej swęj treści i niewykończeniu, nie przedstawia dość obszernego pola do rozumowań krytyki, która ściśle w sądzie swym przedmiotu danego trzymać się powinna, przeto wspomniem na końcu w krótkości, co ten drugi tomik do wspomnienia następuje, a przedewszystkiem odpowiemy na kilka więrszy uwag autora o naszej krytyce; kilka więrszy jak *motyw* w muzyce, w różnych zmianach i kombinacyach powtarzany, do jednego zawsze dążących i jedno przypominających, czyli, prowadząc dalej to muzyczne porównanie, odpowiemy na fantazją p. Blepońskiego z motywu naszego wysnutą, w tonie majorowym, t. j. wesołym, chociaż w niej często tony minorowe, żalu i nieukontentowania słysząc się dają.

Najwięcej rozjątrzył autora zarzut Biblioteki, że w Bigosie brak sądu jego, że wprowadzając samo złe na scenę, nie objawia czegoby żądać raczył, że pisze raczej paszkwile, nie powieści, pełne jużto talentu i ucinkowego dowcipu. W odpowiedzi na ten zarzut, oświadcza, iż zawsze odtąd dodawać będzie jak w bajce, morał na końcu. Długo rozwodzi się nad tém, w rozmaitych zwrotach, zawsze dowcipnych, zawsze zajmujących, ale do jednego dąży, to jest, do wysmiania téj opinii i takiego żądania. Że autor Bigosu w ten sposób sąd Biblioteki zrozumiał, iż po każdej klątwie na wady społeczne i indywidualne należy morał bajkowy umieszczać, żałujem go szczerze i jako autora i jako czytelnika Biblioteki. Nie potrzeba na dziś dowodzić, że książka choćby najlepiej napisana, bez tendycyi i widoku swego autora, jest próżném szermowaniem języka, i żadnej czytającemu ogółowi nie przynosi korzyści, prócz zabicia czasu; że książka jako płód indywidualny, powinna odbijać swego twórcę, jak dziecko nosi w czémkolwiek piętno swego rodzica, i że nadto ów rodzic moralnie obowiązany jest dziecku swemu przekazać w spadku najlepsze swe cnoty; bo jeśli wszechstronne a bez

zasad da mu wykształcenie, dzieci wyjdą na tułaczy i ciężarem społeczeństwa stać się mogą. Czyliż w tej myśli, a wyraźnie objawiony sąd pisma, przystoi autorowi tak powierchownie tłómaczyć i uważać? do czego ta próżna dowcipkowana gawędka w przedmowie doprowadzić może? Bo pytamy p. Blepońskiego, jaki stan znajduje w jego sądzie uznanie, jakiemu sprzyja? Widzimy tu bowiem pospołu każdy potępiony a nie dostrzegamy, jakby to autor organizował i kształcił, do czego jako autor jest powołany. Pisarze w jakim bądź rodzaju literatury, wyrażając lepszość, doskonałość społeczeństwa, winni na wzór swój chcieć wykształcać ogół, masę, niemającą tych pojęć i wyrobionego sądu, tylko zdolność przyjęcia go i rozwinięcia. Sama zabawa, przyzna pan Blepoński, nie jest celem pisma, a tém bardziej zabawa kosztem zdrożności mass nieukształconych i w błędzie rozradzających się. Nie po każdej wytkniętej śmieszności i zdrożności ma autor dodawać: ten zły, ten dobry, to naśladowcie a tego się chroncie, ale w całym piśmie i tonie pisarza widzieć mamy myśl jego ulubioną i wzorową. Zna dobrze p. Blepoński powołanie pisarza w każdym czasie, a nawiązuje się tej znajomości. P. Blepoński, autor historycznej broszury, historyk więc, miałżeby nie znać kolei kształcenia się społeczeństw i znaczenia literatury w ludzkości, której największym tworem i najświetniejszym znamieniem jest właśnie *pismo, literatura*? Nie wszystko wżart obracać, nawet humorystykowi godzi się bez grzechu i odpowiedzialności; przykro nam, że do p. Blepońskiego, świadomego dobrze swego talentu i powołania, musim z kazaniem występować, z kazaniem, którego celem jest obudzenie w nim literackiego sumienia. Dla nas niepotrzebne wyraźne objawienie sądu i ten morał bajkowy, bo my odgadliśmy kierunek autora, to jest *obojętność* i dlatego bez względu na jego talent, mamy prawo żądać wyrażenia kierunku, tak niezbędnego w dzisiejszych potrzebach żadnej kształcenia się ludzkości. Dowody na to tysiączne, i silnie bijące w oczy, i dzielnie przemawiające do serc autorskich, do serc przewodników ludzkości. Obojętność szkodliwszą jest zawsze

od wyraźnie objawionej wstecznej i szkodliwej tendencji: jasny tego przykład w owym *sławnym wielkim pisarzu*, którego w liście do siebie niby pisanym, takim ogólnikiem pan Blepoński oznacza. My więc poznaliśmy ten kierunek bez kierunku w autorze, to ukrywanie się jego opinii za szeroką zasłoną dowcipu i złości na wszystko i przeciw wszystkiemu; ale potrzebuje go właśnie *plebs* jak go autor nazywa, potrzebuje go ogół. Być może, że autor *Bzdurstw*, pewny zdolności swojej, wierzy i w zdolność rozbiorową każdego czytelnika: że sam nie lubiąc sądu i drugim narzucać go nie chce; aleć jeżeli poważa się na złe ogólne i indywidualne uderzać bronią śmieszności i dowcipu, winna być w dziele nakreślona droga, której sam się trzyma. Sądząc z niektórych ustępów np. na str. 17 i 18, myślelibyśmy że autor proteguje kasty, że pragnąłby rozdziału i nie przepartych pomiędzy ludźmi granic. Tu więc zamiast domysłów, wolelibyśmy wyrażenie pewne. Niech szanowny autor nie wszystko z tych uwag raczy stosować do siebie, niech wybierze co pochlebne a wyśmieje co przykre: śmiech zawsze dozwolony autorowi, kiedy brak mu obrony; ale *plebs*, powtarzamy znowu, zapytać go musi czego chce ten człowiek, bo zdaje się, że ani rodowitości nie poważa, ani zasłudze daje pierwszeństwo przed rodem, ani pracy i talentowi przed zasługą spadkową, słowem i wszystkich szkaluje i wszystkich broni i łączy ich i rozdziela. Może autor bystro w przyszłości czytający, gardzi doczesnemi dzisiejszej ludzkości potrzebami, widząc przyszłe, trwalsze i świetniejsze następnych pokoleń. Jeźeliby tak być miało, nie zaszkodzi dziś już siał te przyszłości ziarna, może wcześniej zejda i owoc prędzej dojrzeje. Podług nas, pracując dla dziś i na dziś *dobrze*, pracujemy i siejemy dla przyszłości. Kochając współczesnych, potomkom zgodę gotujemy; morał więc nie *bajkowy* ma autor na każdej karcie powtarzać, ale moralnym zechce być od pierwszej do ostatniej stronnicy, to jest kierunek i dążenie objawiającym.

Po ustępie, który spodziewamy się, będzie tematem do przyszłorocznej fantazyi w przedmowie do trzeciego tomu

Bzdurstwo obyczajowych, wracamy do miłego nam z dowcipu i trafności malowidła Bigosu w 2 tomie.

Autor prowadzi tu dalej historią głównych swych osób p. *Józefata* possesorowicza i Julii nad możność i stan wychowanęj w Warszawskich salonach. Nie potrzebujemy bliżej określać tych charakterów, bo piętno w ich dalszém rozwinęciu utrzymane, i wybitnięj jeszcze w tym tomie wydane; Jarzyński *Józefat* pada łupem swego nierozważnego i spekulacyjnego ożenienia. Długi na wyekwipowanie zaciągnięte w Warszawie, w Berdyczowie ściągąć go zaczęły i do ostateczności doprowadziły. Szukał ratunku w grze i dobił się. Rozdział gry w karty między obywatelstwem różnego stanu i klasy, oddany z wielką prawdą, trafnością i życiem. Może to najlepszy ustęp z Bigosu, złożonego po większej części z samych ustępów, które w dalszych zapewne nieobrachowanęj liczby tomach, w jedną wielką złączoną całość, przedstawia obraz wykończony, obyczajów prowincyj Wołynia i Podola. W tak szczupłych porcyach podaje nam p. *Blepoński* swój hultajski bigos, że nasz apetyt rozdrażniony, nigdy się nie zaspakaja. Na drugi tom czekaliśmy dwa lata prawie, jeżeli na trzeci i dalsze przyjdzie nam tyleż stosunkowo czekać, wyznać musimy, że autor nie zna zdrowia i siły swych spółziomków, nie zna żywości naszćj cyrkulacyi, kiedy nas tak drobnemi dozami myśli nakarmić.

Przedmiot Bigosu tak obszerne objął granice, że największe państwo uorganizować silnie tuby się dało, a jeszcze wzrostu ludności nie potrzebowałoby się obawiać. Wrażenie osłabia się bardzo takimi cząstkami obudzane, i rzecz która może stanowić kiedyś bardzo piękną całość, z ustępów tylko osądzoną, poznaną i pojętą będzie. Musi p. *Blepoński* liczyć na wieczny brak czasu naszych ziemian, którzy nigdy godziny w dzień znaleźć nie mogą na poświęcenie literaturze! tak ich gospodarstwo obarcza i wielkie rolników powołanie. Wpadliśmy tu mimo woli na niwę p. *Au. W.* i radziłyśmy bardzo, aby tę naszą przymówkę, ziemianie tak łaskawie przyjąć raczyli, jak przyjmują gromy

tego szanownego humorysty, który otrzymał, albo raczej zdobył sobie patent na mówienie prawdy ludziom, nie ściągając ich gniewu. Bigos tedy, jak powiadamy, w zbyt szczupłych okazuje się porcyach, zawsze smacznych i wonnych, ale niedostatecznych na żarłoczność dzisiejszego pokolenia. Jeszcze jeden znamienitej wartości, największego dowcipu, prawdy, trafności i zręczności rozdział, czytamy po raz drugi, ale już w całości; o *literaturze*, a w szczególności o wielkim pisarzu. Podziwialiśmy poprzednio w Ateneum trafność sądu i śmiałość jego objawienie, dziś przy powtórzeniu tej opinii, żalujemy, że dawne wrażenie osłabił, nawet zniszczył autor całkowicie przypiskiem kompromitującym jego pojętność i tak zdradziecko zwiedzioną dobrą wiarę jego. Czyż autor Bigosu przypuszcza na chwilę, aby godziło się na próbę publiczną narażać świętą prawdę i podchodzić opinią publiczną? Na jakążto odpowiedzialność naraża się autor próbując opinii ogółu; a gdyby ta opinia za daleko posunęła się w skutkach, któżby padł ofiarą? Tej wiary p. Blepoński mieć nie może i nie powinien. Talent jego, a z nim zdolność widzenia prawdy, nie mógł uwieść go do tego stopnia, i wolimy przypisek ten uważać jako dalszy ustęp szyderstw całej rozprawy, o *literaturze*, jak wierzyć, że uwierzył w usprawiedliwienie, z którego zapewne sam autor żartuje, jak równie z tych, co w nie uwierzyli. Nigdzie może p. Blepoński tyle potężnym w dowcipie i zręczności nie okazał się, jak w rozdziale IX Bigosu swego; a razem nigdzie tak nas nie oburzył brakiem wyrażnie kierunku swego zdania, i brakiem taktu publicznego pisarskiego życia, jak w tymże rozdziale. My prywatnych sąsiednich stosunków między autorami, jak niemniej poufnych zwierzań znać nie potrzebujem, przyjmujemy pismo jako wyraz sądu i wiary. Powtarzamy, że to nowa i cudownie ukryta ironia p. Blepońskiego; że na nieszczęście mało kto z czytelników za ironią to weźmie, i że znowu *plebs* użalać się będzie na brak wyraźnego sądu, a my dowcipków autora staniem się przedmiotem, żeśmy zażądali objawienia sądu i kierunku.

Nie przypuszczamy, aby pelen talentu autor, któremu w zaślepieniu krytycznym zarzucaliśmy zbyt ostrość w wyrażeniach, albo raczej zbyt dużą gburowatość, bacząc na przestrożę, zdelikatniał; ale wyznać możemy, że delikatniejszym, choć niemniej silnym i dowcipnym w tomie tym się okazał, że mało co, szperająca wszędzie złego krytyka, wytknąć może. Jedna tylko rzecz uderza więcej jak w pierwszym tomie, to jest zaraza języka obcemi dyalektami naszymu zwrotami i wyrazami. Jest tego dużo. Na samym wstępie: *podstyszawszy, podtrzymany, kwaterę zajął* i t. d. U nas wojsko tylko zajmuje kwatery, a reszta mieszkańców kraju, ma mieszkania, obiera je sobie, najmuje, wprowadza się, zajężdża do hotelu, i tym podobnie. *Kładnąc się w łóżko, sporządzić wyprawę. My znamy dać wyprawę, kupić.* W jednym i jedynym miejscu, znowu postrzegamy zbyt ostrość autorskiej: że p. hrabia Pięknogórski jadąc do Julii, brał po kilka lewatyw! To za wiele dowcipu! Mimowoli po przeczytaniu tej manifestacji w akuszerskim smaku, odkładamy książkę aby zapomnieć o lewatywie hrabiego.

Aby nie narażać się lubiącemu pochwały tylko autorowi, zakończymy recenzję *pochwałą* początku 9go rozdziału, gdzie gościnność szlachecka stopniuje się wedle tytułu i majątku gościa, i krótkiego ale bardzo zręcznego bileciku Józefata, gdy zgrany, napłatawszy brudnych figłów w Berdyczewie, udaje przed ojcem, iż politycznie skompromitowanym został, i dla dobra ludzkości pracując, uchodzić musi w dalekie strony.

Tyle o tym Bigosie nader pożądanym (mówimy szczerze) i najdowcipniejszym płodzie literatury Wileńskiej.

Przyrzekamy trzeciego tomu nie rozbiierać, nie sądzić, ale chwalić z całego serca, sądząc po tém, że tak mało o drugim dało się złego powiedzieć.

Pamiętniki umysłowe, wydane przez Jana ze Śliwina.

Wilno. Tom 1 i 2 r. 1845, tom 3ci 1846.

Pociągający i wiele zapowiadający to tytuł: „Pamiętniki umysłowe!” ale zbyt rozległemu ulegający tłumaczeniu, by z niego coś o dążnościach książki wnosić można. Bo czyż treść jakakolwiek, nie zostawia w umyśle pamiętki? czy wszystko co nauka i doświadczenie gromadzą w umyśle człowieka, nie jest godne tam pozostać? to też tytuł powyższy osłania pismo zbiorowe. Przecież z ogółu wiadomości ludzkich, pod napisem Pamiętek umysłowych, szukalibyśmy przede wszystkim tego, co najsilniej umysł do czynności pobudza, co najpiękniejszym jest jego pracy kwiatem i szczególnieź odnosi się do stanowiska jakie on dzisiaj posiadał, czyto, by zeń w postępu krainę rzucił nasiona, czyto, by na obsianém już polu obfity plon zbierał. Zatem głównym celem wydawcy, jak mniemamy, powinnyby być prace choć różnej treści ale zawsze wyborowe, by ze wszystkich umysł skorzystał. Jak obfita będzie zdobycz jego, pojmiemy, przeszedłszy szczegółowo wszystkie artykuły. Najwłaściwszy do tego porządek byłby w zbliżeniu treści prac do jednego rodzaju należących; ułatwiłoby to sąd o uprawieniu tój lub owój gałęzi nauki; ale na to Pamiętniki w mowie będące zbyt mało mają materiału, a trudno też nieraz odznaczyć granicę między rodzajami; wybieramy tu raczej podział na autorów, tém bardziej że się w nim znajdzie i wyżej wymieniony porządek; o ile jedno i to samo pióro treści pamiętnikom dostarczało.

Pan Teodor Narbutt w dziale umiejętności historycznych i lingwistycznych pracował. Wiadomość krótka *O talarach bitych*, podana przezeń w tomie 1^{ym}, zakończona jest nieobjaśnionym wypisem z Konstytucyj sejmowych z 1527 a ściągającym się do monety fałszowanej. Przytaczamy tu część tego wypisu. „Proinde ne malefactores cudendi illam (monetam falsam) deinceps et exportandi in Regnum occasionem habeant, providebimus et braccatores constituemus in civitatibus et oppidis, qui illam signent, et notam seu signum percussionis illi imponant, quo facilius cognosci ab omnibus

et evitari possit.”— Z tego wnosi podawca, że na fałszownój monecie cechy owe kładziono, czemu niepodobna uwierzyć, bo raczej raz pochwycona, z obiegu wyjętą być musiała, by nie psuła wiary w monetę krajową, ani mieszkańców narażała na straty. Wprawdzie przytoczony dokument o złój tylko monecie mówi, być jednak może, że go źle czytano lub przepisano, czego sprawdzić nie możemy, nie znajdując nic podobnego w Zagórskiego zbiorze. Rozwikłanie téj sprzeczności należało do podawcy, zresztą szczegół ten mało jest ważny dla numizmatyki krajowej. Dwa listy Świdrygiełły, jeden do Zygmunta Korybutowicza, drugi do kniazia Prokopa, naczelnego wodza Taborytów (1), oba z r. 1431 i z dnia 29 kwietnia, wyjęte z archiwum Królewieckiego, są dowodem historycznym stosunków politycznych między Litwą i Czechami, i zabytkiem mowy Polsko-Czeskiej z XV wieku. P. Narbutt ograniczył się na króciuchnej historyi tych listów zostawiając je bez opracowania. Opowiadanie kozaka, o poddaniu się Rosysi sicy Zaporoskiej, jako nie własność Pamiętników umysłowych (podane z Rosyjskiego), pod rozbiór nasz nie wchodzi. W tomie III Pamiętników, mieszczą się najważniejsze prace pana Narbutta, jakoto: „Obrys żywota błogosławionego Wita biskupa Laterańskiego na Litwie;” krótka ale treściwa i porządna praca do dziejów chrześcijaństwa na Litwie, i „Przypomnienia ze starój daty.” Sąto króciuchne ustępy pod różnemi napisami, jak Hajduki i Hajdamaki, Powiat, Napisy Starosławiańskie za Karpatami i nad Pilicą, Sejm, Pochost, Kon (koniec), Pan. Jedne z nich ledwie tknięte, ostatnie dwa nieco obszerniejsze. Ze wszystkich wymienionych tu prac pana Narbutta, ledwie jedna o błog. Wicie, ma cechę systematyczności i opracowania. Reszta prawie wszystka dorywczo rzucona, bez krytyki lub obrobienia porządnego.

Pan Jan ze Śliwina, wydawca Pamiętników umysłowych, dostarczył dwóch biografij a raczej wspomnień: o Izabelli Górskiej, artystce dramatycznej teatru Wileńskiego i o X. Aloizym Osińskim, niegdyś profesorze Krzemienieckim a po-

(1) Kacerze Czescy.

tém rektorze akademii duchownej w Wilnie. Życiorys piérwszej, jest w części ubolewaniem nad losem artysty dramatycznego, w części spisem dat, sztuk i osób w Wilnie je grających w czterdziestu latach bieżącego wieku, w części powszednią gadaniną o talencie, pracowitości, wrodzonym do sceny powołaniu Górskiej i t. p. Pochwał nie brak, może i zasłużonych ale niepopartych nieczém, czémby je poprzęd można np. poglądem estetycznym na scenę i sztukę, rozbiorem choć cząstkowym dzieł, sytuacji, charakterów i t. p. To wszystko zrobione ze znajomością rzeczy, natchnąłoby zdołało czytelnika wiarą w zasługi Górskiej, którą praca autora dlatego tylko cokolwiek budzi, że artystka już nie żyje. Niewiele lepsza jest wiadomość o X. Osińskim. Autor wynosi jego zasługi w zawodzie nauczycielskim i naukowym, przecież z opowiadania jego nie się nauczyć nie można o naturze piérwszych i wartości drugich. Mimo to jednak w zasługi X. Osińskiego wierzymy, bo kogo Kołłątaj i Czacki (patrz korespondencją Kołłątaja) wysoko cenili, ten pewno nie był pospolitym człowiekiem. Spisem prac, po większej części nieogłoszonych drukiem, popiéra autor zdanie swoje o Osińskim. Były to najwięcej mowy pogrzebowe, pochwalne i t. p. Najważniejszą pracą ma być Słownik rozumowany języka Polskiego do 20 tomów in 4to dochodzący. Dwa zeń wyjątki: *Łza* i *Nadzieja*, drukowane były w Wilnie, ale niewiele każą się spodziewać po całym dziele.

Oprócz dwóch tych prac wydawcy, spotykamy jeszcze w Pamiętnikach dwa przypisy jego pióra, któremi inniemal obowiązkom wydawcy zadosyć uczynić. Oba są rodzajem paszportu literackiego dla prac pod nieznanym nazwiskiem podanych: piérwszy przypis nas uczy że w Sylentym Kubasińskim, autorze opowiadania: „Pan starosta Zakrzewski” spotykamy „znakomitego naszego estetyka p. Michała Grabowskiego.” Zdaniem naszym stosowniejby było w tym przypisie powołać się na niego, jako na powieściopisarza, (nie możemy przecież powiedzieć znakomitego) bo i rodzaj pracy pod nadpisem powyższym podanej, choć powieścią nie jest, najwięcej do niej się zbliża, i wiara w estetykę au-

tora dosyć już osłabła, by wydawca zdołał własnymi siłami ją rozprzestrzenić. Estetyka powinna była nauczyć p. Grabowskiego, że opowiadanie szlachezca o czasach szlacheckich zużytym już jest materiałem, i dzisiejszej potrzebie nie odpowiada. W tym rodzaju niedościgłe mamy wzory w Pamiętnikach szlachezca Litewskiego i Paska. Gdy Soplica nam rozpowiada z sercem i głową, Pasek z prostotą i sercem, to p. Gr. z głową i naśladowaniem. Pan starosta, starzec prawie stoletni, był kiedyś, jak wszyscy niemal, zawadyką, rębaczem, pił niemilosiernie i t. d. Wszystko to rysy nie nowe. Ale co rzadko na podobnego mu człowieka, nie jest ślepy na winy dawnych czasów, łąje samowolność i prywatę szlachty, ale panów uwielbia i sławi Saskie czasy. Jest w tém trochę sprzeczności, tém chyba usprawiedliwić się dającej, że p. starosta rodził się w 1718 a opowiada w 1817. A nietylko w sposobie widzenia postąpił, i w języku także, zarywającym jeszcze coś z wyrażenń dawniejszych, ale więcej ozdobnym i wyszukany jak prostym.

Drugi przypis wydawcy, jest jeszcze rodzajem listu, do autorki powiastki: „Marzenia i rzeczywistość,” pani Karoliny Swareckiej. Że wydawca mógł względem niej zawinąć późnem ogłoszeniem jej pracy i odkryciem pseudonimu, bardzo być może, ale czytelników to nie obchodzi; że jej piękny talent wychwala, zganić musimy, bo to do niego nie należało. Sądu publiczności nie uprzedzać nie powinno, najmniej pochwała wydawcy, choćby ją wspierał na zdaniu tak znawczém w tym rodzaju, jak wydawcy Ateneum.

Pani Swarecka: pisała dla nauki młodych panien, jak to we wstępie powiada; dążność sama już jest zasługą, styl piękny i jasny podnosi ją jeszcze; artystycznej wartości nie ma, bo téż i autorka za nią się nie ubiega. To szkoda; jeśli bowiem, jak to z powiastki widzimy, mniema pani Swarecka, że czytanie romansów mąci wiele w młodych głowach, toć pisma zapobiegające temu, nie powinny być bez uroku artystycznego, który do tamtych pociąga. Ale bodaj czy praca autorki i wszystkich, którzy ją na téj drodze poprzedzili, daremną nie będzie! Czyż młodość uwierzy, że przyszłość

rozwieje piękne terazniejszości marzenia? a uwierzywszy, zechceż, zdołaż przeskoczyć lata nowicyatu na świecie? Czyż istotnie przebyć ich nie powinna, by pojąć co to jest rzeczywistość? I któż widząc ją tak mało ponętną, nie westchnie za przeszłością i nie zawoła z poetą:

Święć się, święć się, wieku młody!
 Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!
 Ideale wiary, cnoty,
 I miłości, i swobody!?

Krótką tę obronę ideału, rzucamy przeciw wyrazom autorki, we wstępie zamieszczonym, bo w powiastce samęj spotykamy, tylko z wad wychowania idące myśli dwójga dziewcząt. Jednej życie zdaje się długim bałem, na którym dostaje się hrabiego lub księcia za męża, druga wzdycha za sławą autorki Europejskiej. Jest tu więc nie ideał święty, ale ambicya, której zawód gorzki z początku, a dalej koniec w naturalnym obrocie życia, chętnie w tej powiastce spotykamy.

Pod napisem: „Coś z moich wspomnień”, pan Adam Korsak, żali się przyjaciółom, na zawód marzeń młodości. Jest to gawęda bez formy i ładu, zapchana bardzo pospolitemi uwagami. „Mieszaniny powiatowe” tegoż autora, nie mają nic nowego i catego w obrazkach z życia małego miasteczka, opowiedzianych hylejako.

Powieści Małorossyjskie Kuleszy, przekładu pana Zenona Fiśza, należą do ozdób Pamiętników umysłowych. Są to skazki albo powiastki w tym duchu zrobione, ślicznie opisujące zwyczaje i zabobony ludu Małorossyjskiego. Tłómaczenie proste i żywe.

X. Z. podał do Pamiętników umysłowych: „Rozważanie nauki obyczajów, czyli moralności.” Z treści tego artykułu najważniejszej rzeczy dowiedzieć się nie można, to jest, co autor przez moralność rozumie? Nietylko z tytułu wnosićby należało, że ją uważa jako naukę obyczajów czyli obyczajności, co byłoby zbyt niskim stanowiskiem, bo człowiek obyczajny może być niemoralnym; to też się autor tego stanowiska w ciągu artykułu wypiera. Inną razą

zdaje się, że moralność uważa za względy towarzyskie, co potwierdza wywiedzenie jój z powinności i posłuszeństwa prawu. Takie mniemanie, lubo wyższe niż poprzednie, nie odpowiada jeszcze czystój, bezwzględnej moralności, bo ona jako cząstka istoty Bożkiej w nas złożonej, po wszystkie czasy i miejsca niezmienną, sięga dalej niż prawa i względy przez ludzi wymyślone, a niekiedy w sporze z nimi bywa. Najchętniejbyśmy mniemali, że autor pojmuje moralność, jako wielką i bezwzględną cnotę, o której mówi (str. 176), że „nie jest co innego jak duch człowieczy, działający podług natchnień prawdy i czystego sumienia” tém bardziej że (na str. 169) przytoczoną z Bossueta prawdę, „miłość zbliża nas do Boga i doskonałości”, zdaje się uważać jako formułę moralności, i wspiera na nią (nie rozwija) zasadę wychowania i prawa (prawodawstwa). Ale w takim razie, czemu autor, tak niski daje początek moralności? Wywodzi ją z powinności i posłuszeństwa prawu, jestto skutek przyczyną zrobić; a za jedną z pobudek dawać jój bojaźń praw (str. 162), i łączyć do tego obawę gniewu Bożkiego, jako jeden z dowodów wpływu religii na człowieka, i znów z tój podwójnej obawy wywieść związek między religią i moralnością, jestto nie pojąć zasady Bożkiej obudwu i obie poniżać. Znalazłszy autor początek filozofii, w popędzie człowieka do rozważania, mówi że u piérwszych ludów, zawsze się ona z religii wyradzała, ale taka filozofia koniecznie nauką moralności być musiała. „A że mądrość ludzka postępuje bezpieczniej rozprawiając o rzeczach *znajomych i widzialnych*, niżeli o takich jakich nie może ani znać, ani widzieć, ztąd wypada że u ludów starożytnych, nauka moralności poprawiała zawsze zdrożność religii.” Z tego ustępu znów widać, że autor nie mówi o moralności bezwzględnej, z którą teogonia starożytnych w częstój była zwadzie. I jakże taka kusa moralność (zgodna z religią i tém gorsza im odleglejszj sięga starożytności, i więcej z religią splątana), mogła wady religii poprawiać, skoro nie była czém inném jak religią samą, tylko na drodze filozoficznej znalezioną? Jeśli tak było jak autor utrzymuje, nie mogła filozofia być moralnością,

ani się z religii wyrodzić. Z przytoczonego ustępu widać także, że autor wlicza moralność do rzeczy znajomych i widzialnych, co ją znów na równi z obyczajnością stawia; dosyć nie kraść, nie zabijać, aby moralnym być człowiekiem.

Spotykając taki brak systematyczności, w rzeczy tak ważnej jak moralność, takie rozprężenie w myślach, w różnych częściach tego artykułu rozrzuconych i zbijających się wzajemnie, widząc brak ścisłości w wyrażeniach np. człowieka *stworzono* na obraz i podobieństwo Boga, Bóstwa *poznane*go, gniew *Boski* (zamiast obawa gniewu Boskiego), moralność jako rzecz *widzialną*, a moralność i religią jako *własność człowieka* i t. p. ścisłości tém potrzebniejszej im ważniejszy jest przedmiot traktowany; spotykając hipotezy jak (str. 170) że „wyłączne (?) uwielbianie czystości, stało się powodem za dni naszych do tak *zbytecznego* nierządu!” albo (str. 171) „że gardząc *zbytecznie* jakim występkiem, przyczyniamy się do rozgałęzienia się jego na mnóstwo innych”, spotykając to wszystko, powtarzamy, trudno się nie dziwić zarozumiałości autora, obiecującego z początku „rzucić krótkie spostrzeżenia o moralności,” dlatego że wiele w tym względzie nagadano bredni i t. d.

Komedją J. Korzeniowskiego „Fabrykant” (znaną na Warszawskiej scenie), uważamy jako kwiat Pamiętników. Chciał w niej autor pokazać zagorzałość właścicieli gruntowych, którzy mając w ręku sposoby zapewnienia sobie bytu i przysporzenia majątku na właściwej drodze, szukają obojga w przedsięwzięciach nic wspólnego z rolnictwem nie mających. P. Józef Żalicki ma w swojej wiosce fabrykę powozów, co zapewne należało do manij panujących na Podolu (gdzie się scena odbywa), i cały się jęj oddaje. Nietylko na wykończenie wyrobów marnuje garderobę swoją i żony, co większa najważniejszy sprzęt rolniczy, pługi przekuwać każe, ale nadto nie wie o gospodarstwie rolném, zaniedbuje dzieci i żonę kochaną, i toleruje umizgi do niej fabrykanta przejeżdżającego, za którego się jęj brat podaje, by tylko znawczemi jego pochwałami się nasycić. Ale publiczność nie jest w błędzie; wie że Henryk z zagranicy

przybywający, dowiedział się o śmiesznej spekulacji szwagra, i chce go z niej wyleczyć. Dotąd interes dla sztuki ciągle się utrzymuje, ale słabnie w drugim akcie. Henryk w znowie z żoną spekulanta, odgrywa jej uwięzienie; środek ten, głównie mający wpływać na poprawę męża, jest zbyt gwałtowny i z natury swojej nic z przedsiębiorstwem jego wspólnego nie mający, by go mógł odeń odwieść. To też gdy się pokazało, że fabrykant znawca był improwizowany, uwiedzenie żony udane i tylko długi na spekulacją zaciągnięte prawdziwe, ale już zapłacone i odpowiedzialność za nie zwolniona na czas jakiś, całe to ukartowane lekarstwo bez skutku zostać musiało. Żart nie mógł, jak prawdziwy wypadek, przekonać spekulanta o jego niedorzecznościach. Nie zaniedbał on fabryki, co spowodowane być może przekonaniem autora o zaciętości spekulantów, i dowodzi trafności oceniania wpływu, jaki dramat na słuchacza wyrzucić musi. Przecież jeżeli scena ma wpływać na poprawienie wad ludzkich, przedstawiane na niej wypadki winny mieć obrót moralny. pożądany w życiu społecznym, nauce czynem kłamstwa nie zadawać i podać przykład do naśladowania. Dla wrażenia moralnego żałujemy, że intryga nie została tajemnicą dla słuchacza. Wprawdzie postawiwszy autor naprzeciw nierozsądnego przedsiębiorcy żonę, wzór miłości i pobłażania wadom męża, by nie zachwiać ani na chwilę ufności w jej piękny charakter, musiał o namienionym żarcie uprzedzić; odjęto to intrydze gorycz, ale siłę jej zmniejszyło. Zostawiwszy słuchaczów w błędzie, byłby ją autor ocalił, a pokazaniem że to wszystko żarty, oczyścił charakter żony spekulanta. Ale z drugiej strony widzimy także, że podobne odwrócenie intrygi pozostałoby mniej prawdopodobnym, jako niezgodne z charakterem żony przedsiębiorcy i podające lekarstwo zbyt drażliwe i gwałtowne na słabość raczej śmieszną dla słuchacza niż groźną. Ten zatem szczegół intrygi, musiał koniecznie źle wpływać na wrażenie z całości, uprzedzeniem o żarcie lub niestosownością. Prowadzenie intrygi w duchu raz przez autora obranym, jest łatwe i dobre, a wsparte dyalogiem tak wy-

bornym, że każdy niemal jego wyraz ma znaczenie i charakter rozwija. Tu widać w autorze znajomość ludzi, przy której znów źle wygląda nienależące do rzeczy porozumienie się w jednym dniu znajomych sobie przed czterema laty kochanków. Na to potrzeba było więcej czasu i rozwagi ze względu na rozwinięty charakter panny w scenach poprzednich, jej rozsądek i obawy. Komiczność tej sztuki polega nie na źle wybranem lekarstwie dla spekulanta, nie na figurze mniemanego fabrykanta i jego manewrach (lepszych do wodewilu), ale na śmięszności postępowania przedsiębiorcy, ufnosci w kłamane pochwały jego wyrobów, przechwałkach, humorze zrędnym starego sługi, i na licznych a delikatnych i trafnych rysach charakteru kobiecego.

Jedna jeszcze praca zostaje nam do przejrzenia, z zamieszczonych w trzech tomach Pamiętników. Sąto ułamki z tragedyi Szyllera, Fiesko, przełożone przez W. T. Żeby pokazać jak tłómacz rozumie język Niemiecki i Szyllera, musimy tu przytoczyć jeden ustęp, np. kawałek sceny 9tej aktu 1go.

Znającym ten dramat wiadomo jest, że Gianettino Doria, synowiec doży Genueskiego, opłacił Murzyna, ćwiczonego zbrodniarza, by zgładził Fieska, najpierwszego ze szlachty. Wymieniona wyżej scena, pokazuje nam przybycie siepacza w tym celu do Fieska, który się weń długo i bystro wpatruje. Zapytany czego żąda i kto jest? Murzyn odpowiada: „Niewolnik rzeczypospolitój”. *Fiesko*: To podłe rzemiosło. Czegoż szukasz? *Murzyn*: Panie! ja jestem poczciwym człowiekiem. Już ztąd widać, że o ile zbrodniarz wykrętnemi odpowiedziami chce dostrzeżoną ku sobie nieufność *Fieska* osłabić, o tyle ten się ma na baczności i pogardza niemi. Chce mu dać do zrozumienia, że mu niezupełnie ufa, ale mu tego wręcz powiedzieć nie chce. I dlatego po ostatniem zapewnieniu Murzyna o uczciwości, tak mówi do niego: „*Häng immer diesen Schild vor dein Gesicht hinaus, das wird nicht überflüssig sein*” cobyśmy tak przetłómaczyli: Jakkolwiek bądź (tojest: chociaż wierzę twym wyrazom), połóż ten napis na czole; nie będzie zbyteczny, (dlatego że fizyonomia twoja zadaje fałsz wyrazom): Tłómacz nie zrozumiał

znaczenia wyrazu *immer*, i tak to miejsce oddał: *Nos zawsze* taki napis na czole, będzie to nie od rzeczy. Znaczenie dwóch tych tłumaczeń bardzo jest blizkie z pozoru, ale się różni w istocie tém więcej, że w tej scenie (jak się to niżej pokaże), żywość dyalogu w znacznej części wspiera się na szermierstwie wyrazów i dwuznaczności wyrażań. Na zapytanie *Fieska*: Ale czegoż żądasz? *Murzyn* (stara się doń zbliżyć, *Fiesko* się usuwa): *Panie!* ja nie jestem łotrem. To podsuwanie się *Murzyna* i usuwanie *Fieska* dokładnie przedstawia zamiary pierwszego i drugiego ostrożność, nad którą przecież duma górę bierze. Bo gdy znów podsuwający się *Murzyn* mówi: „Jestżeś hrabią *Lavagna*?” *Fiesko* nie ruszając się z miejsca, pysznie odpowiada: „Ślepi w *Genui* znają mnie po chodzie. Cóż chcesz od hrabiego?” *Murzyn* odpowiada: „Miej się na bacności *Lavagna!* (1)” i gwałtownie do niego się zbliża (*Hart an ihm*, mówi *Szyller*). Ale *Fiesko* szybko odskakuje (*springt*) w drugą stronę, i mówi: „*Das bin ich wirklich* (2).” Daje mu tym sposobem do zrozumienia, że nie potrzebuje rad jego, i czynem (usunięciem się nagle) tego dowodzi. A jednak tłumacz wyrazy te pełne znaczenia, oddał nic nieznaczającym zapytaniem: *W rzeczy samej?*—*Murzyn* znów się zbliża: „Mają złe zamiary przeciw wam” (zamiast względem was). *Fiesko* (cofa się): „Uważam to.” *Murzyn*: „Strzeżcie się *Doryi*.” *Fiesko* (zbliża się doń z ufnością): „Przyjacielu posądziłem cię niesłusznie? tego imienia lękam, się rzeczywiście”. Tłumacz *Szyllera* te wyrazy tak oddał: „Przyjacielu, podejrzewam cię może niesprawiedliwie. Tak, imienia *Doryów* słusznie *mnie* się obawiać należy.” (Jakaż rozwlekłość!) *Murzyn*: „Strzeż się więc człowieka. Umiesz czytać?” Tłumacz opuścił wyrazy ostrzegające, czemu? nie pojmujemy. W nich także leży owa ciągle widoczna dwuznaczność mowy; inniemamy że tu *Murzyn* rozumie nie tylko nieobecnego *Doryę*, ale i siebie zesłanego z jego namowy. Bezczelne zuchwalstwo łotra w postępowaniu jego

(1) *Seyd auf Eurer Hut Lavagna.*

(2) *Wiém o tém; albo: czynię to własnie, lub coś podobnego.*

i języku widoczne, rywalizuje z baczną ostrożnością Fieska i pół-szczerością, pół-ironią jego wyrazów. Na zapytanie Fieska: „Maszże co na piśmie?” odpowiada Murzyn: „Twoje imię między imionami zbrodniarzy (armer Sünder)”; tłumacz tak powiada: „Wasze tylko imię, panie, między imionami *innych grzeszników*.” Murzyn podaje mu pismo i podsuwa się blisko; Fiesko staje przed zwierciadłem (przez ostrożność), Murzyn chytrze go obchodzi, dobywa sztyletu i chce uderzyć. Ale baczny Fiesko zręcznie się odwraca, chwyta go za rękę i woła: „Hola, łotrze!” W Pamiętnikach umysłowych powiedziano: „Ha łotrze!” I tu różnica dwóch tłumaczeń zdawać się może żadną. Jednak Niemieckie: *sachte* znaczące *powoli!* (stój), i w porównywanych dwóch wydaniach oryginału, odgradzone przecinkiem od *Kanaille*, oznacza więcej zimnej krwi, niż wykrzyknik gwałtowny którego tłumacz użył. Fiesko był przygotowany na odparcie przewidzianej napaści; aby jednak swoje niedowierzanie ukryć pozorną ufnością, stanął przed zwierciadłem i widział poruszenie napastnika. Wyrazy które oryginalnie tłumaczymy, zdają nam się być zgodniejsze z pojmowaniem charakteru Fieska, którego jednym z głównych rysów są: ciągła ostrożność i zimna odwaga. — Rozbrojony zbrodniarz woła gwałtownie, uderzając o ziemię: piekło! — przebaczenia! (1) co u tłumacza tak brzmi: „O diabli! — bardzo przepraszam!” Nie potrzebujemy dowodzić śmieszności podobnego przekładu. — Zapytany zbrodniarz, kto go naskł, odpowiada z determinacją: „Wyżej jak szubienica przecież mnie nie powieszą.” Na to Fiesko (2): „O pociesz się i t. d. a nasz tłumacz:” „o nie ciesz się!” Wyrazy Fieska następne: „*Deine Wahl war zu staatsklug*, pokazujące jego przekonanie, że to jest zamach polityczny, w tłumaczeniu: „twój wybór zdaje się być za mądrym na twój rozum” nie mają właściwej barwy. Gdy Fiesko się dowiaduje że tylko sto cekinów za jego głowę ofiarowano, gniewnie (nie zaś z goryczą, jak pan

(1) Teufel! — Bitt' um Vergebung!

(2) Nein, tröste dich. —

W. T. zrozumiał wyraz *erbittert*) porusza się i mówi z szyderstwem: „Wstydz się, następco tronu Gienuchskiego!” Wykrzyk ten znów w tłumaczeniu pominięty został; w nim jest porównanie siebie z Doryą i uczucie wyższości.

Z przytoczonego dotąd ustępu wnosimy, że nietylko tłumacz nie umie Szyllera pojmować, ale i języka Niemieckiego nie zna dosyć, by się na tłumaczenie lepsze mógł zdobyć. *Armer Sünder* tłumaczy grzesznikiem, *Auffoderer* (Scena 8ma akt 1szy) dopytywaniem i t. p. opuszcza ważne wyrazy. . . . Ale czémże jest pominięcie kilku frazesów w porównaniu do mutylacyi Szyllera, na którą tłumacz i wydawca zezwolili? Najpiękniejsze ustępy w których autor maluje cel i ducha intrygi, odznacza charaktery i t. p. są wyrwane albo porwane na kawały. Jakież pojęcie oryginału będzie miał czytelnik z tych *potamanych ulamków*, jakąż całość, jakąż jej cząstkę przedstawi zlepienie tak dowolne? Pojmujemy trudności napastujące u nas wydawców i autorów; umiemy ocenić mozół jednych i ustąpienia drugich, ale nie możemy wybaczyć szarpania arcydzieł sztuki, i tworzenia z nich karykatur. Gdyby przynajmniej ogień tłumaczenia, drgającym natchnął życiem porozcinane członki, łatwiejby wybaczyć można, ale gdy i z téj strony tylko niewierność, niezrozumienia i nieogładę widziny, nie lepiejże było dla Fieska nie być drukowanym?

Z tego sprawozdania o trzech tomach Pamiętników umysłowych widzimy, że nietylko wybór prac szumnego tytułu nie usprawiedliwił, ale wyjąwszy niektórych Narbutta i komedyi Korzeniowskiego, podobno nic od zapomnienia nie da się uratować. Nawet za poprawkę nie możemy być wydawcy obowiązani, bo w samém tłumaczeniu Szyllera i to tylko w imionach własnych mnóstwo błędów spotykamy. Niektóre z nich warto wymienić: Gionettino zam. Gianettino, Lovagna zam. Lavagna, Verrino, Verrina i Verina, Cetto zam. Cibo (Zibo), a w nazwisku Kalkagno (Calcagno) następujące spotykamy warianty: Kolkagno, Kalkangno, Kalkagno i Lalkagno.

Ornitologia powszechna hr. Tyzenhauza.

W nrze 8 z r. z. pisma *Revue zoologique* wychodzącego w Paryżu, p. O. des Murs, zdając sprawę z przeczytania Zasad ornitologii hr. Tyzenhauza i pierwszego tomu jego Ornitologii powszechnej, tak między innymi (str. 296) mówi: „Niemąło już lat, jeśli nie powiem więcej niż wiek, jak Polska nie przystępowała do sprawy nauk przyrodzonych; musimy sięgnąć aż do Rzeczyńskiego dla znalezienia śladów jej naukowego haraczu, to jest do roku 1721 co do zoologii. Nie żebyśmy powiedzieli chcieli że Polska ustała na tym gruncie od pomienionej epoki, gdyż p. Tyzenhauz w swoich przypisach bibliografii ornitologicznej, stawia nam dowód temu przeciwny; lecz że te prace mały zrządziły odgłos poza krajem w którym początek wzięły.

„Tegoto rodzaju haracz wypłacił krajowi swemu p. hr. K. Tyzenhauz wydając na świat Ornitologią powszechną. Zaiste przedsięwzięcie jest znaczne, wszakże nie nad siły swojego autora, jak wnosić można i z jego książki podręcznej i z pierwszego tomu Ornitologii.

„Autor osądził najprzód, że pierwiastkowo ziomek prowadząc do umiejętności o ptakach, potrzeba było przede wszystkim ukazać im niejako ciało nauki; podać zarazem prawdziwe i zdrowe zasady umiejętności, ustanowione prawidła dla klasyfikacyi, jako tóż i techniczności czyli rozeznawczego użycia wyrazów przyjętych. Zaczął więc od ułożenia książki podręcznej, w której na wzór Buffona, Mauduyt, Lathama i Daudina, połączył wszystko co nieodzownie poznać trzeba, ażeby umiść badać tę tak zajmującą kręgowych zwierząt gromadę. Nie przestając na ukazaniu w ojczystym języku wyrazów na każdą część osteologii ptaków, na każdy szczegół ich fizyologii, posunął jeszcze troskliwość do załączenia nader zupełnej illuminowanej tablicy, przedstawiającej wszystkie połączenia kolorów przyjętych, z których każdemu dodał nazwisko łacińskie, a to dla ułatwienia pracy tym wszystkim, którzyby chcieli po łacinie opisywać dokładnie ptaka. Synoptyczny obraz wszystkich układów klasyfikacyi,

od układu Dumerila 1806, do Cuviera 1817, i jeszcze daleko późniejszego, naszego profesora P. Izydora Geoffroi Saint-Hilaire, na ukształceniu skrzydła zasadzonego, składa to, co nazwiemy podręczną książką p. Tyzenhauza, a którą on wydał w r. 1841 pod tytułem: *Zasady ornitologii*, i którą podzielił na taxonomią, glossologią i terminologią.

„Te poprzednicze wiadomości tym większą ważność mają, że one jedynie są utworem autora, który był zmuszony nie powiemy odkopywać tylko, ale i stwarzać, ażeby ukształcić gatunek ornitologicznego słownika, na którym dotąd niejako zbywało w Polsce, mimo rzadkie prace jej naturalistów: bo musimy dodać na pochwałę p. Tyzenhauza, że za zaszczyt poczytał dla siebie przywrócić naturalistom Polskim, którzy od Rzączyńskiego pisali, miejsce jakie się im w umiejętności należy. Tak przytacza kolejną datę imion: Czenpińskiego w 1789, Kluka w 1797, Besekiego, który pisał o ptakach Kurlandzkich w 1792 do 1800, Jundziłła w 1807, pp. profesorów: Jarockiego w 1821, Rustema, Kumelskiego i Gorskiego w 1836 i 1837, i t. d.

„Pierwszy tom *Ornitologii*, wydany w r. 1843, cały poświęcony jest ornitologii powszechniej, tak jak ją pojmował przed czterdziestu laty Daudin, i obejmuje opisanie wszystkich znajomych ptaków, podług metody Temmincka; każda familia, każdy rodzaj poprzedzone są wskazaniem cech jego, po czém następuje każde opisanie poprzedzone synonimią łacińską i krótką dyagnozą w języku Polskim. Ten pierwszy tom dochodzi do rodzaju *Anthus* włącznie, co domyślać się może jeszcze trzech innych, których prędkiego ogłoszenia niecierpliwie pragniemy.

„Przebiegliśmy z uwagą tę pierwszą część, i tylko jej pochwały od nas się należą. Postrzegliśmy w niej dobre uwagi ogólne, jużto nad składem i ustanowieniem rozmaitych rodzajów, jakoto: *Corvus*, *Myiothera*, *Lanius*, *Sylvia*, jużto nad synonimią niektórych gatunków, jakoto: *Strix laponica*, którą autor za potrzebę uznał nazwać *S. microphthalma*, już też nad *Motacilla flava* (która jeszcze długo posłużyła za osnowę wielu komentarzom, a w czém zaszczyt ostateczne-

go rozstrzygnięcia, będzie niewątpliwie należał do księcia Musignano).

„Wszakże przepatrując książkę, która spodziewamy się, nie zostanie w jedném wydaniu, prosimy autora o uzupełnienie jej co do kilku gatunków o których nie czyni wzmianki, w rodz. *Aquila*, *Icterus*, *Sylvia* i t. d. chociaż je umiejętność już od wielu lat pozyskała. Co do tych opuszczeń, które dosyć wskazać ażeby je przywrócić, nie moglibyśmy czynić zarzutu ornitologowi Polskiemu, bo znaczna liczba dzieł które on przytacza i których się radził, daje miarę rozległości jego nauki i głębokości jego badań w historii naturalnej.

„Dzieło to, mówimy z przekonaniem, prócz znakomicie rodzinnej cechy, zjedna w umiejętności piękne imię p. Tyzenhauzowi, którego mocno zachęcamy do wytrwałości w zaszczytném usiłowaniu. I, dzięki popędowi który dał tej części historii naturalnej w Polsce, nie zdziwilibyśmy się ujrzawszy jego współziomków, których umysłowa czynność pokarmu tylko wymaga, rzucających się następnie do zgłębiania ornitologii i nadających jej postęp nagły. To jest najszersze życzenie nasze, które podziela koledzy nasi i wszyscy, co tylko sposobność będą mieli czytania tak sumiennego dzieła p. Tyzenhauza.”

Od chwili w której powyższe uwagi Francuzkiego pisarza ogłoszonymi zostały, wyszedł tom drugi dzieła czynnego autora naszego, dochodzący do gołębi (*Columba*, *Lophyrus*) włącznie, a jak z niemylnego źródła wiemy, wkrótce opuści drukarnię i trzeci. Ale naukowa podróż, którą hr. Tyzenhauz przed dwoma laty do Włoch i Niemiec odbył, tyle przyczyniła wiadomościom jego, że liczne dopełnienia utworzą może tom czwarty. Naczelną illuminowaną ryciną w tomie drugim, wykonana jest w Wiedniu i przedstawia sławny gatunek *Steatornis caripensis*, jak w piérwszym *Strix microphthalma*, u nas przez p. Piwarskiego ryta. Dokończywszy tak pożądanego dla naszej literatury dzieła, zamierza autor inne z wielu wizerunkami wydawać w Wiedniu, poświęcone opisom obszernym samych krajowych gatunków.

Dodatek do recenzji dzieła p. t. „Zbiór wiadomości historycznych” i t. d. w zeszycie Biblioteki Warszawskiej na maj 1846 r. zamieszczonej.

W Archiwum głównem krajowem, pod Nr. 632, znajduje się przywilej potwierdzający w zupełności domniemanie, w recenzji dzieła ks. Pocięja wynurzone, o tożsamości Thaszki, z Janem z Koniczpolea.

Przywilejem tym nadał Władysław król, Bartłomiejowi obywatelowi ze Szremu, trzecią miarkę z młyna na rzece Warcie, w Szremie wystawionego.

Przywilej datowany jest...in Opatow majori feria quarta ante dominicam reminiscere, anno 1433 praesentibus... Joanne Thaska de Conyeczpole aliisque fide dignis.

Ad relationem ejusdem Magnifici Joanni Thaska de Conyeczpole.

Thaszka więc był przydomek Jana z Koniczpolea. W dawniej Polszczyźnie wyraz ten znaczy tyle co kieszeń; p. Słownik Lindego.

Przywilej dla Bartłomieja ze Szremu, wydany był w roku 1433 w poście, a zatem jeszcze za życia i kanclerstwa Jana Szafranca, Kujawskiego biskupa. Jan z Koniczpolea pełnił przecież już wówczas obowiązki kanclerza, jakkolwiek tytułu tego nie nosił. To nam tłumaczy, dlaczego w aktach miejskich Lwowskich już pod r. 1430, Thaszka, jako kanclerz jest wzmiankowany.

ROZMAITOŚCI.

O potrzebie i skutkach jawności w przedmiotach rolniczych, a tém więcej w zakładach rolniczo-przemysłowych.

Podziwiając olbrzymie postępy poczynione w rolnictwie od początku bieżącego stulecia, przez Anglią, Francją, i większą część Niemiec, badając zarazem przyczyny tych szczęśliwych wypadków, które obok rozwijającego się przemysłu rękodzielnego, wpłynęły stanowczo na ustalenie zamożności pomiędzy owych krain mieszkańcami, przekonamy się z łatwością, iż głównym działaczem ruchu na téj drodze, była najzupełniejsza jawność w postępowaniu.

Ludzie specyjalni powodowani nietylko własnym interesem, ale i pomyślnością ogółu, robili pojedynczo wyrozumowane doświadczenia we wszystkich gałęziach gospodarstwa wiejskiego. Połączeni następnie w towarzystwa rolnicze, sprawdzali i rozbięrali wspólnie otrzymane wypadki, a fakta przez analizę podobno za niewątpliwe uznane, starali się wszelkiemi środkami upowszechnić, równie przez pisma peryodyczne, jako i w dziełach wyłącznie agronomii poświęconych.

Przypomóżmy, gospodarstwa wzorowo urządzone, otwarte dla każdego pragnącego je zwiedzać, kształciły zarazem uczniów teoretycznie i praktycznie.

Taka wspólność usiłowań, tak szlachetna otwartość i jawność w postępowaniu, musiały najszcześniejsze wywołać wypadki. Bo nie brakło na ludziach usposobionych do urzędzenia ulepszonych gospodarstw, a każdy ziemianin pragnący takowe u siebie zaprowadzić, mógł się poprzednio dotykać, że tak powiem, przekonać o korzyściach jakie osiągnie.

My niestety, jakkolwiek kraj czysto rolniczy, z starodawną reputacją spichrza Europy, daleko pozostaliśmy za innymi. Wieloliczne ku temu przytoczyłyby można powody, jakoto: ciągłe wojny, brak ludzi usposobionych, brak kapitałów; ale w zamiatowaniu prawdy i ze względu na ważność przedmiotu, wyznać należy, że i charakter narodowy skłonny do zbytków, i wynikająca ztąd niemożność korzystnego bilansowania wydatków z dochodami, wielce się przyczynił do tego, żeśmy się w rolnictwie innym narodom Europy wyprzedzić dali.

Z pociechą przecież powiedzieć można, iż u nas objawia się silny ruch na drodze postępu. Dobrodziejstwo kilkusetletniego pokoju, przykład krajów ościennych i wielu światłych rodaków, uczucie własnych materialnych korzyści, wywołały stanowcze w gospodarstwach naszych ulepszenia.

Życzyłoby teraz należało, ażeby pojedyncze usiłowania nabrały więcej siły i zewnętrznego na ogół działania, przez połączenie światlejszych gospodarzy w towarzystwa rolnicze. Bez tego środka, bez urzędzenia gospodarstw wzorowych, dla każdego zwiedzającego przystępnych, bez jawności najrozleglejszej w postępowaniu, pomimo pojedynczych szczęśliwych usiłowań, ogół gospodarstw naszych, przez długi jeszcze lat przeciąg pozostać może w dzisiejszym opłakany stanie.

Jeżeli przeto jawność i wspólność usiłowań, tyle jest potrzebną w przedmiotach czysto rolniczych, daleko jeszcze potrzebniejszą jest w zakładach rolniczo-przemysłowych.

Téjto jedynie jawności zawdzięczać musimy postępy nasze w gorzelnictwie; a jakkolwiek gorzelnie z przyczyny

zbytecznego ich namnożenia, są dziś słusznie przedmiotem krytyki moralnej a nawet uwagi rządu, wiele się przecież przyczyniły do polepszenia gospodarstw naszych, przez upowszechnienie uprawy roślin okopowych.

W przyszłości, przy bardziej upowszechnionym płodozmianie, więcej jeszcze roślin okopowych produkować będziemy w stanie, a nie mogąc przerabiać wszystkich na trunk zabójczy, chcąc nie chcąc poznać się powszechniej musimy z uprawą buraków cukrowych.

Jakoż przy gruntownej rozwadze, każdy najmocniejszy poweźmie przekonanie, że cukrownictwo jest najpopularniejszą dla kraju naszego gałęzią przemysłu rolniczego.

Nie brak nam ziemi zdatnej do uprawy buraków, i taniej produkować je możemy jak w krajach ościennych. A przy krajowych cłach opiekuńczych, długo jeszcze fabrykacya cukru z buraków, będzie dla nas przedmiotem prawdziwie spekulacyjnym, wpłynie stanowczo na podniesienie gospodarstw naszych, i zrównoważy pomysłność kraju naszego z krajami, którym dobrego bytu zazdrościć teraz musimy.

Wedle wyrachowań do prawdy zbliżonych, produkowaliśmy rocznie około 16 milionów garncy okowity. Dziś po opodatkowaniu gorzeln i zaprowadzeniu w kraju popędu do wstrzeźliwości, ilość ta zmniejszyła się blisko o $\frac{1}{4}$ część. Nie przypuszczając przeto w początkach żadnego podwyższenia produkcji roślin okopowych, gdy już z tej przyczyny uprawa kartofli o 1,250,000 korcy stała się mniej potrzebną, przeto w ich miejscu możemy produkować podobną ilość buraków do przerobienia na cukier. Przyjmując zaś za zasadę tylko 5% czystego cukru z cetnara buraków, moglibyśmy bez wielkich wysiłen otrzymać rocznie około 12,500,000 funtów cukru krajowego.

Lecz nie dojdziem do tak pomysłnego celu, przez zaprowadzenie fabryk kolosalnych. Brak kapitałów i sama nawet natura fabrykacyi, stoją temu na przeszkodzie.

Fabrykacya cukru burakowego, powinna być u nas najzupełniej popularną, i więcej jeszcze upowszechnioną jak

była dotąd produkcya okowity. Każde gospodarstwo, własne tylko buraki przerabiać winno, a sam właściciel winien być fabrykantem. Sama manipulacya przerabiania buraków już bardzo prosta, i o wiele łatwiejsza jak gorzelnictwo. Wydatek na fabrykę w której 8 do 10,000 korcy buraków przerobić można, nawet z prasą hydrauliczną, nie przewyższa kosztów zwyczajnego 30korcowego aparatu Pistoriusza. Jest przeto bardzo przystępnym dla właściciela średniej nawet zamożności.

Przy podobnie małych zakładach, nie potrzebujemy sprowadzać z zagranicy kosztownych dyrektorów fabryk, którzy najczęściej zaufanie nasze zawodzą i na bolesne wystawiają straty. Cukier nawet taniej produkować możemy, ze względu oszczędzenia wydatku na transport buraków z stron odleglejszych. Nadewszystko zaś, wyłoczyny na miejscu zkonsumowane, wpłyną na pomyślny stan inwentarzy, a ludność wyrobnicza znajdzie w miesiącach zimowych przyzwoite na miejscu zarobkowanie.

Wszystkie przeto względy przemawiają za zaprowadzeniem u nas fabryk średniej wielkości. Główna trudność zależy na upowszechnieniu produkcji buraków. Lecz że trudność ta więcej na uprzedzeniu jak na istocie rzeczy gruntuje się, z łatwością usuniętą zostanie. W krótkim albowiem czasie przekonają się wszyscy gospodarze, iż produkcya buraków na ziemi im właściwej, nie jest trudniejszą jak produkcya kartofli. Buraki mogą w płodozmianie toż samo miejsce zająć co kartofle, a Opatrzność nie odmówiła nam ziemi stosownej do uprawy wszelkiego rodzaju ziemio-
plodów.

Może stronnicy wielkich monopolicznych zakładów, zarzucą temu systematowi, że kiedy małe fabryki produkują tylko cukier surowy, istnienie ich więc zależy od istnienia kosztownych rafineryj. Lecz połączenie usiłowań wszelkie przeszkody usunąć potrafi. Kilkunastu lub kilkudziesięciu właściwych małych zakładów jednej okolicy, połączywszy się w towarzystwo, jeśli by własnymi siłami nie mogli założyć rafineryi na akcyę, potrafiliby przecież (wątpić o tém

nie można) wyjednać u rządu stosowną pożyczkę, zwłaszcza że koszt zakładu rafinerii, po potrąceniu niezbędnego kapitału obrotowego, nie jest tak wielkim.

Mając zaś własny produkt surowy, nie potrzebowaliby kapitału obrotowego, a przy takiem urządzeniu, osiągnęliby i tę korzyść, iżby się stali niezależnymi od chciwych spekulantów, którzy założywszy rafinerie, naznaczają na cukier surowy ceny dowolne, nie będące w żadnym stosunku z istniejącą ceną cukru rafinowanego.

Wykazawszy możność rozwinięcia fabrykacji cukru do tego stopnia, aby się stała podstawą pomyślności i bogactwa krajowego, wskazawszy oraz środki dojścia do tak pożądanego celu, przewiduję jeszcze jeden zarzut pozornie ważny, i do rozbioru onego przystępuję. Może mnie się kto zapyta, co zrobimy z 14 przeszło milionami (1) funtów cukru, skoro te przechodzą potrzebę konsumpcji miejscowej, a z cenami zagranicznymi tego produktu konkurencji wytrzymać nie zdołamy? na to zdaniem mojem łatwa odpowiedź. Przyznam najprzód, iż w stanie dzisiejszym fabrykacji cukru krajowego, trudna jest i niepodobna nawet z zagranicą konkurencja. Lecz abyśmy doszli do zamierzonej przeze mnie produkcji niemało czasu potrzeba. Z czasem zaś, gdy się przy istniejących cłach opiekuńczych fabrykacja cukru u nas upowszechni i wydoskonali, nie widzę przyczyny abyśmy konkurencji z zagranicą korzystnie wytrzymać nie mogli. Wszak robotnik u nas tańszy i burak z mniejszym kosztem produkowany być może, a burak ten jako w kraju północnym, wedle najściślejszych rozbiorów, więcej zawiera pierwiastku cukrowego, jak produkowany w krajach bardziej ku południowi posuniętych.

Francya jest najwięcej przekonywającym dowodem, do jakiego stopnia fabrykacja cukru z buraków posunięta być może, gdy cukier kolonialny z krajowym konkurencji wytrzymać nie mógł. My przecież konkurencji z koloniami obawiać się nie mamy przyczyny.

(1) Rachujemy 12,500,000 produkcji nowej w miejsce kartofli. a 2,000,000 wynosi już dzisiejsza produkcya.

Lecz pomijawszy te wszystkie rozumowania, pytam się kto jest w stanie wyrachować przyszłe potrzeby miejscowej konsumcyi?

Ulepszenie gospodarstw, upowszechnienie fabrykacyi cukru, zatrzymanie w kraju ogromnych kapitałów które dziś za ten przedmiot sąsiadom oddajemy, wszystko to razem skutecznie wpłynąć musi na polepszenie zamożności wszystkich class mieszkańców kraju. Stosunkowo zaś do tej zamożności, i konsumcyi cukru wzrastać musi. Temu zapewne nikt nie zaprzeczy. Bo któż odmówi sobie tego smacznego, pożywnego a zarazem zdrowego produktu, skoro ten nie będzie przechodził środków jego zamożności?

Dzisiejszej konsumcyi cukru w kraju naszym z pewnością oznaczyć nie można. Wyrachowania i wykazy urzędowe słabą jedynie mogą być pod tym względem skazówką, albowiem z przyczyny wysokości cła, i trudność w dopilnowaniu tak rozległej a przystępnej ze wszęch stron granicy, defraudacya tego przedmiotu nadzwyczaj się upowszechniła.

W braku przeto zasady pewnej, poprzestać musimy na wyrachowaniu przybliżoném, w zastosowaniu do ludności krajowej.

Na 4,700,000 mieszkańców, przy upowszechnieniu herbaty w niższych nawet stanach społeczeństwa, i ze względu że cała ludność żydowska tak u nas liczna, kawy z cukrem używa, przypuścić można z pewnością że $\frac{1}{4}$ część ogólnej ludności a przynajmniej 1,000,000 mieszkańców kraju, jako konsumentów cukru uważać należy.

Że zaś cukru w tylolicznych kształtach używamy, jakoto w potrawach, napojach, łakociach, nie można mniej liczyć na jednego konsumenta, jak $\frac{1}{2}$ funta na tydzień.

Z tego zaś tak umiarkowanego wyrachowania, wypada nam 26,000,000 funtów, jako roczna konsumcyja cukru w kraju naszym. A któż zaprzeczy, że konsumcyja ta podwojoną i potrojoną zostanie, skoro zamożność mieszkańców kraju podniesie się do tego stopnia, który wskazałem jako skutek polepszenia gospodarstw naszych i upowszechnienia fabrykacyi cukru z buraków? Dalekiemi przeto

być powinny od nas troski we względzie zużycia wyprodukowanego cukru (*).

Weźmy się raczej wspólnie do dzieła, z silną wolą i zaufaniem, a niezawodnie dojdziem zamierzonego celu.

Lecz powtarzam, wspólność usiłowań, jawność bezwzględna, są do tego koniecznymi warunkami.

Szanowni ziomkowie, właściciele istniejących już fabryk, którzy tak chwalebny dali nam z siebie przykład w tej gałęzi przemysłu rolniczego, przewodniczyć nam będą na tej drodze i wspierać pierwsze kroki nasze. Do nichto, jako do starszych braci, zwrócić się musimy z prośbą, w imieniu pomyślności kraju, aby jak największą jawność w zakładach swoich zaprowadzili, aby zakłady te były zawsze dla każdego zwiedzającego otwarte, i aby wiadomość o otrzymanych rocznych wypadkach, była ciągle przez wszystkie pisma rolnicze, ile możliwości upowszechnioną.

Wieleby się takóŜ przysłuŜyli krajowi, gdyby przy kaŜdym zakładzie tego rodzaju, po kilku uczniów dla poznania praktyki utrzymywać chcieli. Do objawienia takiego Źyczenia co do jawności w zakładach rolniczo przemysłowych, powoduje mnie zawód osobiście doznany.

Przed kilku tygodniami wybrałem się o mił 30 dla zwiedzenia w okolicy Warszawy, jednéj z największych cukrowni krajowych. JakŜe boleśnie zadziwiłem się musiałem, gdy dyrektor fabryki, do którego nawet miałem list polecający, oświadczył mi, Źe bez pozwolenia właścicieli fabryki niezamieszkałych w miejscu, zakładu okazać mi nie moŜe. Odjechałem przeto z niczém, ubolewając nietyłe, nad odbytą daremnie podróŜą, jako raczej nad postępowaniem tyle dla ogółu szkodliwém.

Bo w dzisiejszych czasach, cukrownia jakiego bądź rodzaju, coŜ za tajemnicę zawierać moŜe? Chyba coś podobnego do tych sławnych opieczętowanych, gorzelanych sekretów,

(*) W Anglii rachują juŜ dzisiaj konsumcyą cukru po 17 funtów na kaŜdą głowę ludności; rachunek więc autora jest bardzo prawdopodobny. P. R.

które zagraniczni szarlatani łatwowiernym po kilka złotych sprzedawali.

Część naukowa fabrykacyi cukru, każdemu wiadomą być może z dzieł dokładnie o téj rzeczy traktujących, część zaś praktyczna, znajoma każdemu z większém pojęciem robotnikowi przy fabryce użytemu. I cóż tam ukrywać?

Zaiste, postępowanie takie przykre jest dla człowieka myślącego. Nie wymieniam miejsca ani osób, bo przyjemniej mi sądzić, że czyn ten jest wyptływem nierozważnej woli dyrektora fabryki. Bolesniejszego doznałbym uczucia, gdybym powziął przekonanie, iż systemat tajemnic i skrytości zaprowadzony w tym zakładzie, jest samychże właścicieli dziełem, którzy całą swą zamożność zawdzięczając krajowi, nie powinni być na pomyślność jego obojętni.

Pisałem w Ł..... dnia 10 stycznia 1846 r.

J. W.

O nowych doświadczeniach w rolnictwie.

W rozprawie: „O potrzebie chemicznego badania materiałów surowych, mianowicie gruntów,” starałem się w sposób przystępny okazać, że znajomość analizy chemicznej jest jedną z najważniejszych potrzeb w ukształceniu rolnika. Powodem do niej były zdania wielokrotnie objawione, że wypadki z tygielka i retorty, nie mogą być w rolnictwie używane; że nowe teorye żywienia się roślin, są niedorzeczne i dla rolnictwa żadnej korzyści nie przyniosą. Uważając rzeczy z innego stanowiska, sądziłem, że mi będzie wolno objawić moje przekonanie, i zwrócić uwagę rolników, jak ważne korzyści wyniknąć mogą z naukowego zajęcia się poznawaniem składu gruntów, roślin i nawozów, skoro już dzisiaj nie ma wątpliwości, że materye nieorganiczne, zgruntu przez rośliny czerpane, są istotną w wegetacyi potrzebą, i zaopatrzenie gruntu materjami tego rodzaju, w stanie

zdolnym do assimilacji, jest najważniejszém staraniem, na które szczególniej usiłowania rolnika powinny być zwrócone.

Zdaje się jednak, że nie wszyscy mniemania te podzielają, a nawet pośpieszono się (w Korrespondencie handlowym, przemysłowym i rolniczym z d. 10 grudnia 1845 r. w Nr. 98) ostrzedz rolników przeciw zgubnemu dążeniu do zajmowania się badaniami gruntu, podając w tym celu treściwych kilka słów, z których jedną tylko myśl zrozumieć można: że taki gospodarz, wkrótceby z laboratoryum wyszedł o kij, a rola zamiast zysków, wydałaby mu w rezultacie bankructwo. Wyrażenie to dosłownie przytaczamy.

W istocie, byłoby to smutne przeznaczenie usiłowania, pracy i naukowego usposobienia. Jednak nie taki los czeka agronomów, którzy rolnictwo naukowo uprawiają i prowadzą. Otacza ich dobry byt; nadto w przekonaniu własnym znajdują miłą dla siebie nagrodę, że nie tylko sobie samym są pożyteczni, lecz przychodzą do rezultatów, które podają zasady rolnictwu, i tworzą z niego naukę zrozumiałą i zastosować się dającą.

Treść pisma w Korrespondencie umieszczonego, jest zbyt mało ważną, ażeby się stała przedmiotem jakiegokolwiek dyskusyi naukowej; jednak należało je mimowolnie tu wspomnieć, ażeby rolników przekonać: że zapowiadając bankructwo rolników, którzyby chcieli ufać badaniom chemicznym, mylną rozsiewa trwogę, jak to przekonywają nowe prace Boussingaulta, których wypadki tu przytoczymy: (Gazeta powszechna. Dodatek Nr. 122 z d. 2 maja). Gospodarstwo Boussingaulta jest w stanie kwitnącym, chociaż we wszystkich swoich działaniach opiera się na badaniach naukowych; znajduje on dosyć czasu do ich wykonania, zajmuje się nawet pracami czysto-naukowemi; prócz tego znalazł dosyć chwil swobodnych do napisania dzieła: *Économie rurale* etc., które bez wątpienia nie zasłuży na zarzuty rolników, ponieważ wychodzi zpod pióra praktycznego agronoma, umięjącego w powołaniu swoim zastosować wiadomości z fizyki, chemii i innych gałęzi naukowych. Pra-

ce Boussingaulta w swojej treści ważne, i z tego także względu zasługują na uwagę, iż dają dowód, że powołanie rolnika nie wyłącza sposobności zajęcia się pracą naukową, gdy zatrudnienia innego rodzaju nie wymagają poświęcenia jego zdolności i czasu.

Boussingault jest rzeczywiście niezmiernie pracowity; jego włość *Bechelbronn*, tworzy niejako laboratorium, w którym przyrodzenie za niego doświadczenia robi, on zaś jest właściwie kontrolerem, który z wagką w ręku rozmaite produkta w rejestra zaciąga i z nich oblicza, co ma gdzie dodać, co odjąć. Teraz badał on chemicznie zapytanie: *w jakim stosunku rośliny, mianowicie zboża, w ciągu rozmaitych epok swego życia, pierwiastki gruntu i atmosfery utrwalają?* Rozwiązanie tego pytania jest najważniejszym dla rolnika. Często przy niedostatku paszy wiele o to idzie, ażeby zaradzić brakowi pokarmu, przez zasianie zboża i skoszenie zielono. Pytamy więc, czy takie użycie gruntu więcej go wyczerpuje, niż przez zostawienie do zupełnego dojrzewania? *Mathieu de Dombasle*, ojciec rolnictwa francuzkiego, utrzymywał że zboże po okwitnięciu, nic już z pierwiastków gruntu nie zabiera; że w chwili kwitnięcia, roślina zabrała całą ilość rozmaitych materij do jój bytu potrzebnych; i w całym peryodzie od kwitnięcia, do wydania dojrzałego ziarna, nowych pierwiastków nie potrzebuje. Co ma z gruntu zabrać, już przed kwitnięciem zabrała. *Boussingault* więc robił doświadczenia w ten sposób: z pola równo porośłego, pewną liczbę roślin w rozmaitych peryodach wrywał i po zupełnym wysuszeniu ważył. Rośliny suszone rozbiórał, oznaczając, ile oznaczona waga zawiera węgla, wodorodu, kwasorodu, azotu i materij mineralnych. Tym sposobem w trzech nowych epokach: 19 maja, 9 czerwca w chwili kwitnienia, 15 sierpnia w czasie żniwa, analizy powtórzył i z wypadków obliczył ile każdego pierwiastku, 1 hektar pola wydał, w ciągu najsilniejszego wzrostu i w czasie upłynionym od kwitnienia, do dojrzewania. Pszenica na 1 hektarze wzrosła, ważyła: 19 maja 689 k.

9 czerwca. . . 2631 k.

inny 15 sierpnia. . 4666 k. a zatem na jednym hektarze pola, utrwaliło się materji suchej: od dnia 19 maja, do 9 czerwca 1942 k., czyli 92,3 k. dziennie; od 9 czerwca, do 15 sierpnia 2035 k., czyli 80,3 k. dziennie. Ztąd się okazuje, że utrwalanie materji suchej, wprawdzie od kwitnienia do dojrzewania ciągle nie ustaje, a zatem dojrzewanie jest nie samém przerabianiem masy już nagromadzonej i wysychaniem zboża; lecz z drugiej strony to utrwalenie wynosi $\frac{1}{3}$ ilości, w ciągu peryodu największego wzrostu przybywającej.

Wypadki te jeszcze nie dają bezpośredniej odpowiedzi na pytanie, które szczególnie rolników obchodzi. Oni chcą wiedzieć, w jakim jest stosunku utrwalenie do gruntu, na którym roślina wzrosła? Ile grunt zostaje przez nią wyczerpanym? W jakim stosunku jest to wyczerpanie w rozmaitych peryodach życia rośliny?

Materia organiczna, z której największa część masy roślin powstaje, nie pochodzi z gruntu, ale jak dzisiaj z pewnością wiemy, powietrze jęj pierwiastków dostarcza. Węgiel, wodoród, kwasoród i azot, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej największą ich część rośliny z atmosfery pobierają; o nic więc rolnik nie potrzebuje się troszczyć.

Lecz materje nieorganiczne, w życiu rośliny nadzwyczaj ważne, muszą być przez grunt dostarczane. Z niego one pobierają fosforany, węglany i krzemiany, i wszystkie pierwiastki zostające po spaleniu, w postaci popiołów; i jeżeli tych części mineralnych grunt dostarczyć nie może, staje się wyczerpanym, czyli płonnym.

Wielka zasada gospodarstwa przemienneho, na tém właśnie polega, że ten sam grunt, zasiewany naprzemian roślinami, które odmienne pierwiastki utrwalają, tak że w ciągu wzrostu jednej, wpływem powietrza wyrabia się przez wietrzenie, nowa ilość materji w stanie rozpuszczalnym, potrzebnych dla następnej rośliny.

Działanie nawozu po największej części polega na dostarczaniu gruntowi materji w stanie rozpuszczalnym takich, jakie wchodzą do składu popiołów.

Trudność w rozwiązaniu podanego pytania, praktyczni rolnicy znajdują w rozstrzygnięciu, czy rośliny w rozmaitych czasach, także rozmaite ilości materij mineralnych z gruntu wyciągają, czy go więcej wyczerpują w ciągu wzrostu, w kwitnieniu lub dojrzewaniu? Doświadczenia Boussingaulta allegorycznie na to odpowiadają. Gdy w ciągu czasu wyżej podanego, przez 21 dni, pszenica z 1 hektaru zabrała 40,3 k. materij mineralnych, a zatem 1,87 k. (około 4 funt.) dziennie; w ciągu następnego peryodu, od kwiatu do wydania owocu, przez 66 dni, zabrała 120,8 k. czyli 1,84 k. dziennie. Różnica między temi liczbami jest tak mała, że można ją zaniedbać, i twierdzić: że w całym ciągu wzrostu, pszenica wyciąga z gruntu jednakową ilość materij mineralnych; w ciągu więc dojrzewania tyle go wyczerpuje, ile w ciągu największego wzrostu. Utrwalenie pierwiastków organicznych, które roślina z powietrza pobiera, zmniejsza się o $\frac{2}{3}$ w czasie dojrzewania.

Jeżeli więc pszenicę trzy razy na tym samym gruncie siewamy, i w czasie kwitnienia lecz nieco wcześniej kosimy, nie więcej przez to grunt zostaje wyczerpany, jak wtenczas, gdy pszenicę raz zasianą zostawiamy, aż do wydania dojrzałego owocu. Jestto rezultat praktyczny dla rolników.

Podobnych zagadnień rolnictwo wiele dostarczyć może, i objaśnienie ich drogą, którą Boussingault wskazał, bez wątpienia więcej korzyści rolnictwu przyniesie, niż wszelkie opisy i rozumowania, niepoparte wypadkami analizy, która jak widzimy: *jest jedną z najważniejszych potrzeb rolnika, wchodzi do liczby zwykłych zatrudnień agronoma, i daleką jest od prowadzenia go do bankructwa.*

Wreszcie, wynajdywanie podobnych zagadnień rolniczych i ich rozwiązywanie sposobem naukowym, byłoby zapewne najkorzystniejszém zajęciem czasu praktyki agronomicznej, młodzieńców w zawód dla towarzystwa pożyteczny wstępujących, zaopatrzonych koniecznemi do niego wiadomościami naukowemi.

S. Z.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

Liczba zjawiających się komet, coraz bardziej się powiększa. W roku 1705, pierwszy Halley ogłosił katalog obejmujący 24 komet, przez siebie rachowanych, między którymi jest i ta, która przypomina nazwisko jego; następnie liczba oznaczonych dróg wzrastała; w roku 1771 dochodziła już 59. Dzięki pracom Halleya, Lacaille, Lamberta, Struick, Pingrego, Olbersa, Burkhardta i innych, jako też odkryciom obserwatorów; liczba komet wyrachowanych, dochodzi dziś 160. Oprócz tych komet znanych, czyli katalogowych, pozostaje jeszcze wielka liczba nieobliczonych, o których zjawieniu się wspominają historycy i kronikarze; opisy jednak przez nich podane, nie są tak szczegółowe, ażeby z nich potrzebne wypadki otrzymać można. Chińscy kronikarze, najlepszych w tym względzie dostarczyli materiałów: opisują oni zjawiające się komety tak szczegółowo, iż z opisu ich można wyznaczyć przybliżoną drogę komety. Edward Biot, umiejący czytać kroniki Chińskie, wiele ważnych wy dobył z nich wiadomości. W roczniku francuzkim *Connaiss-*

sance des temps na r.b., zamieścił on rozprawę o kometach, uważanych w Chinach w różnych epokach. Z opisanie biegu pozornego komet przez niego przytoczonych, Laugier doszedł położenia tychże komet na kuli nieba, według stopni wznoszeń prostych i zbroczeń, a następnie obliczył przybliżone ich drogi. Komety, których drogi wyznaczył, uważane były przez Chińczyków w latach 337, 568, 770, 1433, 1468, 1472, 1506.

W wieku terażniejszym uważano, iż średnio dwie komety co rok się zjawiają; niekiedy jednak liczba ich jest większa, jak to następujący opis okazuje:

Dnia 28 listopada r. z., postrzeżoną została w Berlinie, przez p. Galle, kometa peryodyczna, znana pod nazwiskiem *Biela*. Przejście jej przez punkt przysłoneczny, nastąpiło d. 12 lutego r. b.; ta kometa, w miesiącu styczniu rozdzieliła się na dwie części, i utworzyła dwie oddzielne komety.

Dnia 24 stycznia r. b., Vico, astronom w Rzymie, odkrył w konstellacyi Erydan, nową kometa, gołóm okiem niewidzialną.

Dnia 20 lutego r. b., tenże astronom Vico, odkrył drugą kometa teleskopową w konstellacyi Wieloryba.

Dnia 26 lutego r. b., odkrył małą kometa p. Brorsen w Kiel, której przejście przez punkt przysłoneczny, miało miejsce d. 27 lutego r. b.

Dnia 2 maja r. b., w Królewcu, odkrył kometa nową teleskopową p. Wichman, w konstellacyi Łabędzia.

* Nadzwyczajne zjawisko, jakie kometa Bieli przedstawiła w miesiącu styczniu r. b., przez rozdzielenie się na dwie części, w postaci obłoczków mglistych, późniejszymi obserwacyami stwierdzonóm zostało. Nietylko wyznaczono oddalenia między powstałemi częściami, ale nawet oddzielne drogi tych dwóch części obliczono. Z początku, wszyscy prawie obserwatorowie sądzili, że kometa Bieli, w biegu swoim napotkała inną kometa, lub też zbliżyła się do którego z tych mglistych obłoczków stałych, które w różnych okolicach nieba widzieć można; lecz gdy wspomniane dwa obło-

czki, okazały ruch prawie wspólny, i zaczęły się zwolna od siebie oddalać, nie ulegało już wątpliwości, że to są dwie części téj saméj komety. Podobnego zjawiska w innych kometach nie postrzegano.

Rozdzielenie się komety na dwie, nastąpiło między dniem 14 a 15 stycznia r. b. (jak się to z obserwacyj w Królewcu wykonanych okazało. Dnia 26 stycznia r. b., oddalenie jąder dwóch komet wynosiło 2 minuty, 25 sekund w łuku. Z obserwacyj wykonanych w Paryżu i Berlinie, okazuje się, iż oddalenie dwóch komet coraz bardziej się powiększało, jak to następujące liczby okazują:

Oddalenie dwóch jąder.

| | w łuku | w milach gieogr. |
|-------------------------|--------|------------------|
| r. 1846, stycznia d. 28 | 2'48,9 | 13,200 |
| „ lutego . d. 6 | 3 58,4 | 16,200 |
| „ „ 10 | 4 19,2 | 16,800 |
| „ „ 12 | 4 47,9 | 18,000 |

jądra tych komet w ciągu dni 15, t. j. od d. 28 stycznia, do 12 lutego r. b., zmieniły odległość od siebie o 4,800 mil gieogr. Dwie tak utworzone komety, nie były jednakiej wielkości; jedna z nich była trzy razy mniejsza od drugiej, później wielkość swą względną przemieniły. Przyczyna tego osobliwego rozdzielenia się komety, dotąd niewiadoma. Ciekawą rzeczą będzie widzieć w następnym powrocie, po sześciu latach, w jakiej postaci kometa się okaże, i jakim zmianom co do biegu ulegnie.

† Umiejętności, a szczególnie astronomia, poniosły wielką stratę, przez śmierć sławnego astronoma Fryderyka Wilhelma Bessel, który d. 17 marca r. b. o godzinie wpół do siódméj wieczór, rozstał się z tym światem w Królewcu. Urodził się w r. 1784 w Minden, żył zatém lat 62. Onto założył obserwatoryum Królewieckie, którego przez lat 33 był dyrektorem.

J. B.

FIZYKA.

Od każdego ciała drgającego na wszystkie strony, rozchodzą się fale głosowe. Jeżeli obok ciała dźwięk wydającego umieszczoną zostanie przegroda, wówczas głos po odbiciu tworzy system fal jakby w miejscu stojących, w których łatwo bezpośrednio obserwacją rozróżnić się dają tak zwane węzły (Knoten) i wyniosłości fal (Bäuche).

Niedawno Seebeck badając położenie wspomnianych punktów w odbitym od ściany głosie, w miejsce organu słuchu, użył następującego urządzenia, bardzo szczęśliwie w tym razie ucho obserwatora zastępującego. Na drewnianych ramkach naciągnął ciekłą błonkę kauczukową, a obok niej na jedwabnej przędzy (Coconfaden), zawiesił małe wahadełko z kawałką laku, wielkości główki od śpilki.

Wahadełko było w ten sposób przyczepione, iż kulka w czasie spoczynku zupełnie środka błony dotykała. Seebeck umieszczając ten aparat w różnych płaszczyznach równo-odległych od pionowej, odbijającej głos ściany, przekonał się, iż miejsca na których wahadełko pozostawało w spokojności obok błony, czyli tak zwane węzły drgań, znajdują się w odległościach wyrównywających długości 1, 2, 3, 4... fal głosowych; miejsca zaś na których wahadełko najsilniej drgało, czyli punkta odpowiadające największej szerokości drgań (Bäuche), leżały w odległościach równych $\frac{1}{2}$, $\frac{3}{2}$, $\frac{5}{2}$... długości fali głosowej.

W tym samym przedmiocie, Savart ogłosił doświadczenia, których szczegóły są następujące:

W odległości 15—20 metrów od ściany, oddalonej od wszelkich przedmiotów mogących wpłynąć na odbicie głosu, ustawiał narzędzia wydające jednostajne tony, np. różnego dźwięku dzwonki. Między ścianą a ciałem dźwięczącym, umieszczał obserwatora w ten sposób, iż linia przez środki organów słuchowych przechodząca, znajdowała się na osi odbijającego się głosu, t. j. zlewała się z linią prostopadłą poprowadzoną do ściany ze środka ciała drgającego. Zatykając ucho zwrócone ku przedmiotowi dźwięk

wydajacemu, za pomocą drugiego ucha szukał na linii wzmiankowanej punktów, w których natężenie tonu było zero. Położenia głowy odpowiadające tym punktom starannie oznaczył. Następnie zatykając ucho znajdujące się ze strony ściany, a odsłaniając ucho zwrócone ku ciału dźwięk wydajacemu, Savart wynajdywał położenia odpowiadające wrażeniu jakiego doznawało ucho w poprzednim razie. Przyjmując labirynt, za miejsce w którym organ słuchu odbiera wrażenia tonów, oczywiście jest rzeczą że przy przejściu z jednych obserwacji do drugich, wypadłoby przesunąć głowę o przestrzeń wyrównywającą odległości dwóch labiryntów w naszej czaszce, t. j. prawie o trzy cale (decymetr). Doświadczenie jednak przekonywa, że odległość o jaką należy zmieniać położenie głowy, jest zupełnie zerem. Wypadek ten uczy że w naszych organach słuchowych, nie ma części wyłącznie przeznaczonej do przyjmowania wrażeń głosowych, lecz że z przyczyny podwójności i symetrycznego rozkładu organów akustycznych, siedliskiem tych wrażeń jest punkt znajdujący się na płaszczyźnie rozdzielającej głowę ludzką na dwie symetryczne części.

W skutek tego wypadku, przy wyszukiwaniu punktów odpowiadających węzłom i wyniosłościom fal, można pozostawiać obadwa uszy niezatkane.

Doświadczenia Savart'a stwierdzają rezultaty otrzymane przez Seebecka; według pierwszego, jeżeli płaszczyzna dzieląca głowę obserwatora na dwie połowy symetryczne, była równoodległą od ściany głos odbijającej, to węzły także znajdowały się w odległościach równych 1, 2, 3, 4, długości fali głosowej, wyniosłości zaś w odległościach równych $\frac{1}{2}$, $\frac{3}{2}$, $\frac{5}{2}$... długości fali głosowej. We wszystkich jednak doświadczeniach Savart spostrzegł, iż długość pierwszej fali, znacznie się różni od długości innych, następnych fal, i że ta różnica zmienną jest stosownie do wielkości drgającego ciała.

Opisane powyżej położenie węzłów i wyniosłości fal głosowych, obserwowane były przez Savart'a na osi odbicia głosu czyli na linii normalnej do płaszczyzny odbijającej i prze-

chodzącej przez ciało dźwięk wydające. Chcąc się przekonać o położeniu tych punktów na kierunkach zewnątrz osi leżących, Savart oznaczał na jakich bądź normalnych do płaszczyzny odbijającej, miejsca w których ucho doznaje wrażeń właściwych węzłom i wyniosłościom.

Doświadczenia przekonały, iż rzeczywiście i w tych kierunkach piérwszy węzeł znajduje się w odległości od ściany wyrównywającej długości jednej fali, drugi węzeł w odległości dwóch fal i t. d., ztąd więc wynika iż miejsca węzłów najprzód przez Savart'a oznaczone na kierunku osi odbicia, uważać należy za szczególne punkta płaszczyzn równoodległych od ściany, i których każdy punkt podobne objawia własności.

W czasie tych wszystkich doświadczeń spostrzeżono: 1) że ustawienie ciała dźwięk wydającego względnie do ściany odbijającej, nie wywiera żadnego wpływu na położenie węzłów; 2) że powierzchnie utworzone z punktów należących do węzłów, są w ogóle równoodległe od ścian odbijających; 3) że odbity ton zmienia się w swym dźwięku stosownie do natury ciała odbijającego. Na formowanie się węzłów w stojących falach, działa jedynie drganie ściany odbijającej, i wibracje ciała dźwięk wydającego o tyle tylko wpływają na powstawanie tych punktów, o ile są powodem ruchu ciała odbijającego.

Nadmienimy tu w końcu, że powyżej przytoczone punkta odpowiadające węzłom, zmieniają się stosownie do położenia głowy obserwatora względem przegrody. Wypadki powyższe, otrzymane zostały w tym przypadku, gdy płaszczyzna dzieląca głowę na dwie połowy symetryczne, była równoodległą od płaszczyzny odbijającej; jeżeli zaś te dwie płaszczyzny w czasie doświadczeń, są do siebie prostopadłe, czyli gdy linia łącząca uszy fal, jest równoodległą od ściany, wówczas węzły znajdują się w odległościach wyrównywających $\frac{1}{2}$, $\frac{3}{2}$, $\frac{5}{2}$ długości fali głosowej, a wyniosłości w odległościach 1, 2, 3... fali licząc od ściany. Jeżeli więc w jakim punkcie przy położeniu płaszczyzny równoodległym od ściany, ucho doznaje wrażeń

nia odpowiadającego wyniosłości fali, to po obróceniu głowy o $\frac{1}{4}$ okręgu koła, ucho w témże samém miejscu nie usłyszy żadnego tonu, czyli wskaże położenie węzła. Z przeciwności wypadków otrzymywanych za obróceniem głowy, o $\frac{1}{4}$ część okręgu koła, można wnieść iż cząstki środka tony przeprowadzającego, w węzłach i wyniosłościach fal po różnych i do siebie prostopadłych płaszczyznach wibracye swe odbywają. (*Poggendorf. Ann. der Physik und Ch.* 1845. Nr. 11).

* Oddawna usiłowano zbadać przyczynę światła galwanicznego, to jest poznać który z dwóch biegunów lub czy obadwa zdolne są wydawać to światło? Trudność jaką natrafiano w podobnych poszukiwaniach, była skutkiem jednoczesnego pojawiania się wielu fenomenów ściśle z sobą związanych. Do wyjaśnienia tego przedmiotu Neeff (z Frankfurtu n. M.) użył strumieni magneto-elektrycznych t. j. elektryczności wzbudzonej przez raptowne powstanie i niknięcie magnetyzmu w żelazie; tym bowiem sposobem za każdym zniszczeniem magnetyczności żelaza, otrzymujemy w drótkach wprawdzie niewielką ilość elektryczności, ale silnego natężenia. Za pomocą starownie urządzonego aparatu, Neeff przekonał się iż fenomen światła zawsze się pojawia na odjemnym biegunie stosu. Jednocześnie gdy biegun odjemny sam tylko świeci, biegun dodatni posiada wyłączną własność objawiania ciepła. Cienka igła, umieszczona na biegunie dodatnim, silnie się rozgrzewa; na biegunie zaś odjemnym wcale nie zwiększa swęj temperatury. Na stwierdzenie tego szczególnego zjawiska, przytoczyć można dawniej ogłoszone przez Walkera doświadczenie na dwóch cienkich drótkach, krzyżujących się na biegunach silnego stosu Volty. W czasie przepływu elektryczności, drót będący przy biegunie dodatnim, zacząwszy od miejsca w którym najwięcej się przybliży do drugiego dróta, aż do samego końca silnie się rozpala i zagina, wtedy gdy drót komunikujący z biegunem odjemnym pozostaje zupełnie chłodnym. Na wielką skalę objawia się ten fenomen w świetle Davy; wiadomo że zawsze przy tém

doświadczeniu, cząstki węgla przelatują z dodatniego na odjemny biegun, tak iż po pewnym czasie na biegunie dodatnim (anode) ukazuje się wyżłobienie, a na odjemnym (katode) narosł z nabiegłych cząsteczek powstała, gątkowo cięższa i podobna do granitu. Pamiętać przytém należy, iż wszelkie mechaniczne zjawiska na biegunach stosu [obserwowane, są wyływem działania ciepłika. Tak więc podług Neeffa, zjawisko światła nie jest skutkiem przebiegającej iskry z dodatniego na odjemny biegun stosu, lecz wyłączną własnością bieguna odjemnego; jeżeli np. konduktor maszyny elektrycznej, w ciemności wyrzuca promienie świetne, to nie ten biegun dodatni przyświeca, lecz odjemnie przez wpływ naelektryzowane powietrze ostrz otaczające. (*Poggendorf Ann. der Phy. und Ch.* 1845, Nr. 11).

S. P.

CHEMIA.

Spostrzeżenie tyczące się wód mineralnych Karlsbadzkich, przez H. Rose. Już Berzelius w roku 1822 skuteczniejszy z całą dokładnością rozbiór wód Karlsbadzkich, nadmienił że przez przeciąg trzydziestu trzech lat upłynionych pomiędzy jego rozbiorem i Klaprota, ta woda mineralna nie uległa najmniejszej zmianie. Rozumie się jednak, że różnice wtedy pomiędzy dwoma rozbiorami, uważać należało jako błędy roboty. Od czasu rozbioru Berzeliusa, upłynęło już lat 23, a jednak podług nowych poszukiwań p. Brooks, uskuteczniionych (w pracowni Rosego) z wodą źródła zwanego Sprudel, zdawałoby się, że istoty w niej zawarte, są w zupełności też same; wątpić zaś należy, czy w tym przypadku znajduje się wiele innych źródeł mineralnych. (*L' Institut* 14 Janvier 1846).

* *O kwasie bromo-borowym.* P. Poggiale otrzymał ten nowy związek, przepuszczając parę czystego bromu przez mieszaninę kwasu borowego zeszlonego i węgla rozpalone-

go do czerwoności; w skutku czego otrzymał nowe ciało w postaci gazu bezbarbnego, z zapachem szczypiącym, smakiem bardzo kwaśnym i zbliżone do kwasu solnego. Kwas ten nowy nie utrzymuje palenia, a w powietrzu wydaje dymy białe, z wodą się łączy i rozkłada ją w ten sposób, że po wyparowaniu go z roztworu wodnego, otrzymana się osad kwasu borowego, a uwolni się kwas bromowy-wodorodny. Dodawszy wody do naczynka napełnionego tym gazem i mieszając wszystko, część nierozpuszczona gazu za zapaleniem płonąc będzie kolorem błękitnym; jeżeli zaś gaz zostanie wprzód zapalony zanim pary białe rozpuszczą się w wodzie, płomień okaże się zielono-błękitnawy: co oczywiście ze względu na kolor zielony, od kwasu borowego w parach białych się znajdującego pochodzi. Dodawszy do tego gazu, cokolwiek suchego chloru, natychmiast okaże się para bromu. (*Wyjęto w treści z dziennika L' Institut z 21 stycznia 1846*).

* Z powodu nadzwyczajnej ważności dla naszego kraju wyrabiania cukru z buraków, następna wiadomość będzie tu na swoim miejscu.

Ulepszenie w wyrabianiu cukru z buraków. Wiadomo jest jak mocno działają alkalia wolne, lub ich węglany na cukier, czyto owocowy, czy trzcinowy, nadpsuty albo przez kwasy lub tylko przez działanie ciepła. P. Mialhe więc zwraca uwagę na ważne szkody, które powstają z użycia mléka wapiennego przy oczyszczaniu cukru trzcinowego i burakowego. „Całe usiłowanie przedsiębiorcy (słowa są p. Dumas), dążyć powinno do tego, aby ulepszyć oczyszczanie soku, unikając ile możności używania tak kwasu siarkowego niszczącego cukier krystaliczny, jako też i wapna nadającego wyrobowi smak urynowaty, zmniejszający jego cenę.” Lecz podług p. Mialhe, można używać wapna przy oczyszczaniu soku, ale następnie pozbyć się go trzeba za pośrednictwem jakiego działacza chemicznego nieszkodzącego cukrowi. Węgiel zwierzęcy niezupełnie tu odpowiada celowi, a szczawian glinki nowo zalecany przez p. Mialhe dla zastąpienia węgla w całości lub częściowo, wydaje najpomyślniejsze wypadki.

Aby lepiej zrozumieć zasadę działania szczawianu glinki, należy przypomnieć sobie: 1^o że cukier trzcinowy lub burakowy, rozpuszczony w wodzie wapiennej i wyparowany do suchości, nie farbuje się podczas parowania; 2^o że cukier owocowy i cukier trzcinowy, przez działanie kwasów lub wyższej temperatury, nabierają widocznie koloru brunatnego; ztąd wypływa że jeżeli cukier trzcinowy lub burakowy, parowane, zawierają odrazu w sobie cukier owocowy lub cukier trzcinowy nadpsuty i wapno, wypadek po wyparowaniu będzie zawsze zafarbowany: okoliczność ta codziennie się sprawdza w praktyce. Można zaś temu zaradzić przez dodanie do roztworu cukrowo-wapiennego, stosownej ilości wilgotnego szczawianu glinki, wtedy wapno natychmiast zostanie strącone w postaci szczawianu, poczem glinka także się osadzi, zabierając z rozcieku zawarte w nim farbniki.

Przy udzieleniu niniejszej wiadomości, złożył p. M. Akademii umiejętności w Paryżu dwie paczki: jedna zawierała cukier wyrobiony podług dawnego sposobu, druga podług przez niego przedstawionego. Cukier piérwszy był koloru szafranowego ciemnego, drugi zaś był zupełnie bezbarwny. (*L' Institut*, 18 lutego 1846).

Uwaga. Do powyższego celu przy oczyszczaniu soku cukrowego, nie można używać kwasu szczawiowego, jak to także radzono we Francyi, pomnąc na to, iż ten kwas jest okropną trucizną. Nadmiar przeto jego dodany, złe skutki mógłby sprawić, czego obawiać się nie należy przy zastosowaniu szczawianu glinki.

* *O kwasie w chlebie święto-Jańskim.* Wiadomo że chleb święto-Jański (*Siliqua dulcis*) jest owocem drzewa *Ceratonia siliqua* L. rosnącego w Dahnacyi i t. p. okolicach. Strąki powyższego owocu są najprzód zielone, potem żółte a naostatek brunatnieją. Podług doświadczeń Redtenbachera, zawierają one w sobie kwas czysty masłowy, i to w znacznej ilości, 5 funtów bowiem strąków, wydają 1 łót wodanu kwasu czystego masłowego; stosunek ten jednak zależy od dobroci owocu, jego starości i t. p. (W treści z *Annalen der Chemie u. Phar. v. Wohler und Liebig. Febr. 1846*).

* *Żywica z Xanthorrhoea hastilis*, przez p. J. Stenhouse (czytane na posiedzeniu towarzystwa chemicznego w Londynie). Ciało powyższe przychodzi z Botany-Bay pod nazwiskiem żółtej gummy (*yellow gum*), wypływa z kory drzewa *X. hastilis*, z gromady liliowatych.

Już w roku 1788 Philipp uwiadomijac o powyższej żywicy, nadmieniał że krajowcy używają jej jako środka przeciw biegunkom.

W handlu znajduje się ta żywica w dosyć znacznych kawałkach, kruchych i twardych, często jednak bywa i w proszku, kolor ma ciemno-żółty, podobny do gumiguty, proszek zaś jej, jest zielono-żółtawy, przylega przy żuciu do zębów, smak ma ściągający i aromatyczny jak storax lub benzoës, zapach bardzo przyjemny balsamiczny; ogrzewana roztapia się i wydaje zapach balsamu Tolutańskiego, co pochodzi od jej olejku; żywica ta rozpuszcza się w wysokoku i eterze, również i w alkaliach gryzących. Przez stosowne postępowanie wydzielić z niej można kwas benzoesowy i cynamonowy.

Kwas saletrowy rozpuszcza w sobie powyższą żywicę, a rozciek po wyparowaniu wydaje żółte kryształki, po większej części złożone z kwasu indychtowego (*aci. carbazoticum*), który od innych ciał przez sól potażową łatwo oddzielony być może.

Z téjto żywicy najłatwiej i najtaniej otrzymać można kwas indychtowy, w Londynie bowiem funt jej kosztuje tylko 2 szylingi. Gdyby więc indychtan potażu wszedł w użycie lekarskie przeciw febrom, jak to niedawno radzono, tanioby tym sposobem otrzymywać go można.

W suchém przepędzaniu, powyższa żywica wydaje ciężki, kwaśny olej, i drugi olej lżejszy od wody, obojętny. Olej ciężki ma smak i woń kreozotu, a z kwasem saletrowym zmienia się w kwas indychtowy. (*Wyjęto w treści z powyższego pisma, Januar 1846*).

* *O zieli Paczuli*, przez Th. Martius. Zdaje się że to będzie roślina *Plectranthus graveolens*, do gromady wargowych należąca. Pod nazwiskiem *Patchouli* przychodzi do

Anglii wysuszone liście mocno woniejącej rośliny, która w Indjach nazywa się *puchà pàt*. Roślina ta w botanicznym ogrodzie w Kalkucie od lat 10 będąca, do kwietnia 1841 nie kwitła. Niektórzy utrzymują że Patchouli jest *Marrubium odoratissimum Betonicae folio*; wysuszone jej liście, przechodzące do Anglii, mają zapach szczególny, mocny, smak słaby, przy przepędzaniu wydają lotny olej właściwej roślinie woni. Użytki paczuli znane. (*Wyjęto w treści z powyższego pisma i numeru*).

J. B...a.

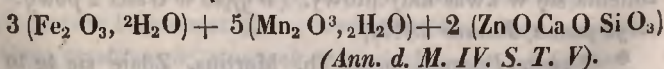
HISTORIA NATURALNA.

Mineralogia.

Kalifit jestto nowy minerał Węgierski; tworzy on ciemno-brunatną, nieprzezroczystą masę blasku woskowego, kruchą, miękką, składu włóknistego, rysy czerwonobrunatnej. Ciężkość gatunkowa = 2,8. Z rozkładu Iwanowa okazuje się, że zawiera:

| | |
|---------------------------------------|-------|
| Niedokwasu 2 ^o żelaza..... | 28,80 |
| „ „ „ manganu.... | 28,13 |
| Wody | 19,01 |
| Krzemionki | 12,01 |
| Niedokwasu cynku | 6,30 |
| Wapna | 2,55 |
| Kwasu tytanowego..... | 1,20 |
| Glinki | 0,60 |
| Magnezyi..... | 0,70 |
| | <hr/> |
| | 99,30 |

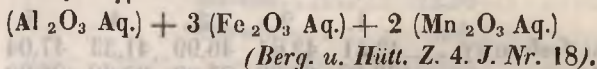
Temu składowi odpowiada formuła:



* *Rettenbachera* analiza rudy darnistej z Ivan. Po odciążeniu przymieszanego piasku, skład rudy tej był następujący:

| | Kwasorodu |
|--|------------|
| Niedokwasu 2 ^o żelaza | 42,88... 3 |
| „ „ „ manganazu | 32,77... 2 |
| Glinki | 10,30... 1 |
| Wody | 14,66... 3 |
| | 100,01 |

Ztąd wypada formuła:



* *Lazulit* i *spat błękitny* (Blauspath). Rozbiór tych minerałów przedstawia jeszcze więcej trudności aniżeli magnezytu, i dlatego téż, pomimo największej staranności, Rammelsberg przy kilkokrotném powtórzeniu analiz, otrzymał niezupełnie zgodne wypadki, dostateczne jednak do oznaczenia formuły. Rezultaty 5 analiz lazulitu i 3ch spatu błękitnego, dały niżej wyrażone liczby; przyczém nadmienić jeszcze wypada, że ilość kwasu fosforowego niezawsze została oznaczona bezpośrednio, i że liczby w nawiasach umieszczone, wskazują znalezione jego ilości.

Lazulit.

| | 1. | 2. | 3. | 4. | 5. |
|----------------------------------|--------|--------|--------|-----------------|-----------------|
| Krzemionki | 0,53 | 4,44 | 4,44 | 1,76 | 8,04 |
| Kwasu fosforowego. | 42,19 | 41,58 | 44,91 | 40,60 (46,1) | 43,26 (49,8) |
| Glinki | 29,42 | 31,63 | 26,39 | 32,10 | 24,76 |
| Magnezyi | 10,61 | 8,60 | 10,69 | 9,37 | 9,81 |
| Niedokwasu 1 ^o żelaza | 10,55 | 6,69 | 6,18 | 9,37 | 7,21 |
| Wapna | 1,11 | 1,38 | 2,03 | 0,77 | 1,11 |
| Wody | 5,59 | 5,68 | 5,36 | 6,03 | 5,81 |
| | 100,00 | 100,00 | 100,00 | 100,00 | 100,00 |

Spat błękitny.

| | 1. | 2. | 3. |
|----------------------------------|--------|---------|---------|
| Krzemionki | 6,64 | 6,64 | 12,56 |
| Kwasu fosforowego . | 38,05 | (43,05) | 44,21 |
| Glinki | 33,93 | 28,05 | 24,12 |
| Magnezyi | 12,04 | 11,39 | 10,67 |
| Niedokwasu 1 ^o żelaza | 1,54 | 1,77 | 2,56 |
| Wapna | 1,32 | 1,54 | 4,67 |
| Wody | 6,48 | 6,40 | 5,30 |
| | 100,00 | 100,00 | 100,00. |

Główne zatem różnice okazują się w ilościach kwasu fosforowego i glinki. Po odciążeniu krzemionki, pochodzącej z przymieszanego minerałom kwasu, pozostaną jako części składowe obu minerałów, ciała następujące, w ilościach:

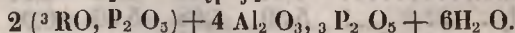
Lazulit.

| | 1. | 2. | 3. | 4. | 5. |
|---------------------|--------|--------|--------|--------|--------|
| Kwas fosforowy... | 42,41 | 43,84 | 46,99 | 41,33 | 47,04 |
| Glinka..... | 29,58 | 33,09 | 27,62 | 32,68 | 26,92 |
| Magnezya..... | 10,67 | 9,00 | 11,19 | 9,54 | 10,67 |
| Niedokwas 1° żelaza | 10,60 | 6,69 | 6,47 | 9,54 | 7,84 |
| Wapno..... | 1,12 | 1,44 | 2,12 | 0,77 | 1,21 |
| Woda..... | 5,62 | 5,94 | 5,61 | 6,14 | 6,32 |
| | 100,00 | 100,00 | 100,00 | 100,00 | 100,00 |

Spat błękitny.

| | 1. | 2. | 3. |
|---------------------|--------|--------|---------|
| Kwas fosforowy..... | 40,95 | 47,36 | 48,73 |
| Glinka..... | 36,22 | 30,05 | 27,48 |
| Magnezya..... | 1,64 | 1,89 | 2,91 |
| Wapno..... | 1,42 | 1,65 | 5,32 |
| Woda..... | 6,92 | 6,85 | 6,04 |
| | 100,00 | 100,00 | 100,00. |

Po większej części doświadczenia te wskazują, że kwasoród glinki dwa razy więcej wynosi aniżeli zasad R., kwasu fosforowego podobnie dwa razy więcej aniżeli glinki, wody zaś tyle co zasad R. żąd zapewne wyrażenie dla obu tych minerałów jest następujące:



Te więc badania minerałów wymienionych pokazują, że są identycznymi, i ta tylko między nimi zachodzi różnica, że w lazulicie większa ilość niedokwasu 1° żelaza zastępuje izomorficzną z nim magnezją, co nawet zdaje się być powodem ciemniejszego koloru tego minerału. Ponieważ zaś fosforan niedokwasu 1° żelaza jest bezkolorowy, i tylko sól jego podwójna z zasadowym fosforanem niedokwasu 2° żelaza jest koloru niebieskiego, zapewne więc lazulit zawiera w sobie ten niedokwas; jednakowo trudno jest za pomocą doświadczeń przekonać się o bytności jego.

* *Skład chemiczny kubanu.* Podwójnie wykonana analiza tego minerału, dała wypadki tak do siebie zbliżone, że tu możemy na ich średnio-arytmetycznej poprzestać, a ta jest:

| | |
|-------------|-------|
| Siarki..... | 34,78 |
| Żelaza..... | 42,51 |
| Miedzi..... | 22,96 |
| Ołowiu..... | śląd |

100,25.

Skład ten odpowiada formule: $2 \text{ Fe S} + \text{ Cu S}$.

Breithaupt jednak zwraca uwagę, że kuban mając wielkie podobieństwo do pirytu miedzianego lub magnetycznego, prędyż może zawierać miedź w stanie Cu S , a wtedy byłaby może odpowiedniejszą dla niego, chociaż mniej prosta formuła: $\text{Fe}_2 \text{ S}^3 + 2 \text{ Cu S} + 6 \text{ Fe S}$.

(*Pogg. Ann. Bd. 64*).

J. Bo.

Zoologia.

C. Blyth, Esq. zawiadowca muzeum Tow. Azjatyckiego w Kalkucie, tak opisuje nowy rodzaj *Caprolagus*, zajmowatych zwierząt ssących. „W dzienniku *Bengal Sporting Magazine*, Aug. 1843, p. 131, p. Pearson opisał pod imieniem *Lepus hispidus* zwierzę, które już oddawna zbierałem się bliżej poznać, i wszelkimi siłami starałem się o nie, aż naostatek muzeum Tow. Az. otrzymało jego okaz z daru majora Jenkins, politycznego agenta w Assam.

Zwierzę, jak domyślałem się, nie należy właściwie do rodz. *Lepus*, lecz musi z nim tworzyć trzeci rodzaj familii *leporina* Waterhouse. Co do cech istotnych blizkiem jest zajaców, lecz pod względem pojedynczych szczegółów budowy, okazuje nader znaczne odstępstwa. Głowa jest wielka, oczy małe, wąsy niebardzo w oczy wpadają, uszy w porównaniu z rodz. *Lepus*, bardzo krótkie; to samo ogon i no-

gi; ostatnie daleko mniej niż u zająców różnią się między sobą długością. Pazury niezmiernie silne, proste i bardzo kończate, widocznie grają ważną rolę w sposobie życia zwierzęcia. Nakoniec sierć, jako na zającowatém zwierzęciu, jest bardzo osobliwa: w dotknięciu ostra, co gatunkowe nazwisko *hispidus* dostatecznie wyraża.

Czaszka jest daleko grubsza i tęższa, aniżeli u zająców, zresztą podług tegoż zworza ukształcona. Nawet i układ zębów podobny, trzonowe jednak są szersze, a przednie stosunkowo znacznie większe. Otwory podniebieniowe są wąskie, tak iż twarde podniebienie tę samą ma długość co i szerokość. Otwory podoczne (*foramina infraorbitalia*) są prawie zamknięte ukośnemi końcami kości, gdy u zająca daje się postrzegać otwarta siatka kościana; kości nosowe są szerokie, a ich przecięcie poprzeczne jedностajną sklepiłość przedstawia; ku tyłowi są one mniej niż u prawdziwych zająców przedłużone. Kości szczękowe i międzyszczękowe szersze są i tęższe niżeli u zająców; wysoki nadoczne (*processus supraorbitales*) wybiegają bez przerwy naprzód, gdy u zająca widoczne wybrzeżenie przednie substancya kostna całkowicie wypełnia, a tylne jest daleko mniej głębokie.

Długość okazu wypchanego, od nosa do wiérzchołka ogona, wynosi 15 1/2 cala. Zwrócone w tył uszy, są na 2 cale długie: ogon z siercią ledwie 1 1/2 cala, podym do wiérzchołka pazurów 3 3/4 cala; tyleż wynosi całkowita długość czaszki. Sierć jest dwojakiego gatunku: krótki, miękki, popielaty puch, i ostry, tęgi włos, miejscami czarny i żółtawo-brunatny, miejscami zaś nader długi, całkowicie czarny i połyskujący. Ciało od spodu brudno-białe, zęby żółtawo-białe, sierć w ogonie z wiérzchu i od spodu, wyjąwszy przy podstawie, rdzawa i nie ostra.

P. Pearson dodaje, że okaz, podług którego opisywał, przysłany mu był przez p. C. D. Russell, a zabity na prawym brzegu rzeki Teesta, około 6 mil Ang. na północ od Jelpee Goree. Zwierzę nie musi tam licznie się znajdować, kiedy p. Russell i towarzysze jego, w przeciągu dni

10, tylko 4 sztuki widzieli, lubo okolica nader obfitą i dziką była. Następnego roku to samo towarzystwo myśliwców jedną tylko sztukę uszczwało. Ku górze wszakże, mają się liczniej te zwierzęta znajdować. O sposobie ich życia mało mamy wiadomego. Mięso jest białe i ma smak króliczego. Jestto zapewne kopiające zwierzę.

P. R. W. G. Frith mniema, iż to jest to samo zwierzę, które się bardzo licznie znajduje w trzcinskach powiatu Mymensing, na zachodnim czyli prawym brzegu rzeki Buramputer. Już je także znajdujemy w spisie zwierząt ssących Assamskich pp. Mac Clelland i Horsfield, gdzie jednak dodano, że uszy ma bardzo krótkie i nad sierć nie występujące, co albo jest omyłką albo też do innego ściągać się musi gatunku. Piérwsze nawet podobniejszym jest do prawdy, bo p. Mac Clelland mówi: „Skórę tego zwierzęcia winien jestem porucznikowi Vetch w Assam; ale szkoda że brakuje czaszki. Podług pana Pearson jest ona bardzo podobna czaszce zwyczajnego zająca. Zwierzę mieszka w Assam, mianowicie w części północnej doliny ciągnącej się wzdłuż góry Butan.” Że czaszka różni się od zajączej, powiedzieliśmy już wyżej.

„Nadaje temu rodzajowi nazwisko *Caprolagus*, a gatunkowe *C. hispidus*.” (Fror. n. N. 1846, nr. 809 z *Annals and Mag. of nat. Hist. March 1846*, a tam z *Journal of the Asiatic Society of Bengal*, nr. 76).

* P. Trevelyan, w liście z Thorshavn na wyspach Færoe, donosi: że tam, równie jak i na wielu innych miejscach północnego morza, mianowicie zaś nad brzegiem Norwegii, w nowszych czasach pomnożyły się bardzo znacznie wieloryby i ludojady. Do 1 września 1845, zabito w tym roku przy w Færoe, już 2500 czarnych delfinów (*Delphinus melas*) i około 250 ludojadów. Z wątrob tych ostatnich wysmażono 3060 galonów tranu przezroczyściego, a 40 fas zsiadłego. Część tego tranu zabrano do Lynn w Norfolk, wraz z kośćmi i słoniną delfinów, oraz z nieco guanu. (*Ib. z Edinb. new phil. Journ. Oct. 1845 — Jan. 1846*).



* P. King znalazł niedawno ślady stóp nieznanego dotąd zwierzęcia w gruboziarnistym piaskowcu w Chesnut-Ridge w górach Alleghani, w Stanach zjedn. Ameryki północnej. Jest ich ośm jednakowego kształtu i wielkości, rzędem bez przerw idące. Mają kształt dosyć owalny: są 13 cali długie, 9 szerokie, a 3—6 głębokie. Przednią częścią głębiej niżeli tylną zapadają, i ku gruntowi są jajowate. P. King utrzymuje że te jakby rąk wyciski, pochodzą od zwierzęcia, które do żabowatych płazów należało, a któremu nazwisko *Therapsid heterodactylus* nadaje. (*Fror. n. N. nr. 806*).

Również p. James Deane odkrył kopalne ślady wraz z wyciskami deszczowych kropli, w kamieniu przy spadach Turnera w Stanach zjedn. Kamień z temi wyciskami leży na 6 stóp głęboko pod powierzchnią gruntu, i składa się z cienkich listkowatych pokładów błyszczącego piaskowca. Wycisków mnóstwo się na nim znajduje. Na jednej starannie odlupanej płycie, narachowano ich przeszło sto. Należą do 4 lub pięciu już opisanych, a do większej jeszcze liczby nieznanych dotąd gatunków. Największy z nich, ma 6 cali długości, a między jednym a drugim stąpieniem środkuje 6 cali przestrzeni. Dwa gatunki należą do zwierząt czworonożnych, inne są ornitotychnitami. Zachowały się one nad podziw dobrze, przedstawiając wyraźnie najniższe fałdki stawów i chropowatość pazurów. Do najpiękniejszych pomiędzy niemi, należą pochodzące od żabowatego płazu. (*Ib. nr. 807*).

* *Felix Dujardin. Rozwijanie się chelbi (Medusa) i stubiowatych polipów.* (*) Żegawnice (*Acalephae*) i polipy uznawano dawniej za dwie zupełnie odmiennie zwierząt gromady; ale rozmaite od lat 10 przez wielu naturalistów czynione postrzeżenia, wykryły osobliwy związek pomiędzy pewnemi polipami a młodemi chelbiami, z tamtych zdajęciami się powstawać, a nawet między dobrze znanymi chelbiami a polipami, które byłyby jedną ze zmian w postępie

(*) Wyciąg zrobiony przez samego autora, w którym się on z przedmiotu i celu tej swojej pracy sprawia.

rozwijania się pierwszych. Już w maju 1843, przedstawiłem Akademii pracę w przedmiocie *Cladonemy*, która powstaje z pączków stulbiowatego polipa, *Stauridia* przeze mnie nazwanego, a która uważaną być musi za dobrze odznaczoną, od wszystkich poprzednio opisanych gatunków różniącą się chetlą. Później u innej chetli, którą *Sthenyo* nazwałem, spostrzegłem, gdy swój kapelusz wywracała, w zmniejszeniu kształt roślinnego jajecznika, którego pręciki i słupki wyobrażone były czułkami i żołądkiem. Wszakże przyczyny tego szczególnego wywracania nie docieklełem; nie widziałem ażeby ta chetla rzeczywiście jaja niosła, lub ażeby te rozwijały się w polipy. Dalsze poszukiwania postawiły mnie w możności uzupełnienia pierwszej mojej pracy co do tego szczegółu, i opisania rodz. *Sthenyo*, jako też trzeciej chetli, *Callichore*. Ta również z *Syncoryny* powstająca, wylęła się tak jak poprzedzające w naczyniach, w których od wielu lat rozmaite morskie zwierzęta żywo utrzymywałem. Nie omieszkalem zresztą porównać postrzeżeń Siebolda, Sarsa i van Benedena nad podobnemiż przedmiotami, tak iż teraz sądzę się być w stanie podania dokładniejszej wiadomości o związku chetli z polipami.

Gdy odłączymy od polipów mszywioly (*bryozoa*ires), pokwity (*Encrinus*), czerkwiny (*Corallina*), kamiecznie (*Nullipora*) i gąbki (*Spongia*), gromada ta przedstawi jeszcze dwie z nacne grupy: ukwiałowate (*les anthozoa*ires), z wyraźnemi jajecznikami, i stulbiowate (*hydria*ires), u których jajeczników i prawdziwych jaj nie ma. Ukwiałowate, mające zresztą wyraźną twardawą skórę za pokrycie, i albo bardzo liczne albo też symetrycznie ustawione w liczbie 8 do 12, czułki, jedne tylko może prawdziwemi będą polipami. Co się zaś tyczy stulbiowatych, które mają nieoznaczoną liczbę czulków i są bez wyraźnego pokrycia, te zdają się być jedynie pierwszym okresem wzrostu żegawnic; jednakowoż, wyłączając pewne podobieństwo tkanki, zdają się nie więcej z żegawnicami wspólnego nie mieć, nad organa szczególne, wyraźnie odznaczone, to jest nitkodajne torebki, rozsiane w massie mięsistój. Są one tém wzglę-

dem chelbi, czém jest *mycelium* względem białków; mogą się na rozmaity sposób rozradzać nie wydając jaj prawdziwych; lecz w pewnym okresie czasu i pod pewnymi warunkami, zamiast zwyczajnego pączka albo cébulki, wydają prawdziwą chelbię; zdolną do nabycia, w rozwinięciu się dalszém, jajeczników i jaj należycie odznaczonych, z których powstanie nowe pokolenie polipów.

Stułbiowate polipy, jak wiadomo, rozmnażają się z pączków, z rozłogów i z cébulek; ale pod tém ostatniém imieniem rozumieć należy to co nazwano jajami u stulbi (*Hydra*), u wylbików (*Coryne*) i t. d. Wypada zresztą określić te rozmaite rozmnażania się sposoby.

Pączek jestto część żyjącego ciała, zostająca w nierozrwanym związku przez tkankę i funkcyę z témże ciałem, lecz obejmująca środkowy punkt żywotności, i która staje się bezpośrednio podobną matce, skutkiem rozwijania się ciągłego i bez poprzedniego zapłodnienia.

Rozłóg (*stolo*) jestto zwykle nitkowate przedłużenie żyjącego ciała, niemające jednak otrzymać ani jego organów ani funkcyj, lecz przeznaczone tylko do wydawania pączków wierzchołkowych albo bocznych.

Cébulka jest także częścią żyjącego ciała, obejmującą równie jak pączek, właściwy punkt środkowy żywotności i jak on rozwinać się mająca, lecz która w pewnym czasie traci związek przez tkanki i funkcyę z matką, i może krócej lub dłużej zostawać w stanie spoczynku czyli utajonego życia, chroniona powłoką zdolną rosnać.

Nakoniec jaje, jestto płód żyjącego ciała, obejmujący nową istotę czyli żywioły nowego stworzenia, niebędący nigdy w związku z ciałem przez tkanki i organa, ale w związku czasowym przez funkcyę, i dopiero po pewnych zmianach w rozwijaniu się, nabywający podobieństwa do matki; potrzeba zresztą ażeby jednym z żywiołów nowój istoty stał się w tym razie żywioł zapładniający, dodany poprzednio do zarodu jaja.

Cechy te znajdują się właśnie w jajach chelbi, uważanych tak przez p. Siebolda jako i przeze mnie.

Ponieważ nitkodajne torebki, mają nam dostarczyć głównej cechy, chełbom i stułbiowatym polipom wspólnej, kładę tu zatem szczegółowe ich opisanie, poczem przystępuję do porównawczego badania tkanek u tych obojga zwierząt.

Skreślając następnie rys historyczny dawniejszych prac nad tym przedmiotem zatrzymuję się mianowicie nad kolejnymi postrzeżeniami pp. Sars i Siebold, z czego wypływa prawie zupełne poznanie rozmaitych zmian w rozwijaniu się gatunku chełbi, *Medusa* albo *Aurelia aurita*. W rzeczy samej chełbia ta jest okresem zapłodnienia tegoż samego zwierzęcia, które wylągłszy się z zapłodnionego jaja, ukazuje się najprzód pod postacią rzęsowatego wyniozczka, potem się utwierdza wierzchołkową bańką na sposób stułbi, a odtąd pozbawiona rzęs drgających, ukazuje na swoim końcu wolnym, szeroki pyszczyk, otoczony ośmiu czułkami. W tej drugiej zmianie, zwierzę rozmnaża się z pączków i rozłogów; ale prócz tego zdolne jest, szczególnym sposobem pączkowania, wydawać działy poprzeczne, które się stają chełbiami, do wydawania jaj przeznaczonemi.

Przytaczam także mniemanie p. Forbes, który uważa torebki roskrzepkowate (*Sertulariens*) jako gałęzie o skróconej osi, jak to pojmujemy względem kwiatów u jawno-płciowych roślin, z czegooby wynikało, że u nich odbywa się pączkowanie wewnętrzne na powierzchni bardziej ścieśnionej, i podług okoliczności, rodzenie cębułek lub młodych chełbi.

Przechodząc do wyłożenia moich własnych badań, przypominam com powiedział w r. 1843 o przeistaczaniu się *Staurydji* w *Cladonemę*, opisuję przekształcenie się jej w skutek wywrócenia się kapelusza, i przywodzę dalsze moje postrzeżenia względem niesienia jej jaj i rozwijania się z nich *Staurydj*. Następnie ukazuję szczególniejszą różnorodność we względzie liczby części i przyczepek kapelusza i żołądka; różnorodność podobną tej, którą nam przedstawiają różne okółki jednegoż kwiatu.

Naostatek opisuję *Sthenyo* powstającą z *Syncoryna desicipiens*, i *Callichore* powstającą z *Syncoryna glandulosa*.

Wnioski. Z postrzeżeń tych wynika że chełbia jest rzeczywiście zmianą rozwijającego się stulbiowatego polipa, zmianą zapłodnienia, a nie gąsienicą jego, ani też polip jest gąsienicą chełbi; jest on raczej zmianą roślinowniczą jego. Nic się tu nie da przyrównać do przemian owadu, przechodzącego najprzód stan gąsienicy i poczwarki; dla niego bowiem indywidualność była zawsze doskonałą; jest to zawsze ten sam organizm, który przebiega kolejne swego rodzenia się zmiany.

Przeciwnie, stulbiowaty polip, powstaje prawda z jedynego jaja, wkrótce jednak wydaje przez pączkowanie inne polipy, które uczestniczą z nim w życiu spólném, tak, że indywidualność zniknęła. Ale skutkiem tego pączkowania, podczas gdy większa część oczek powstających na powierzchni, wydają polipy uczestniczące jeszcze w życiu spólném, niektóre wydadzą cębulki, a te stawszy się wolnemi, gdzieindziej wydadzą nowe towarzystwo polipów, podobne pierwszemu; inne nakoniec, wyobrażające kwiat roślin jawno-płciowych, ze względu na inne oczka, rozwiną się pod postacią chełbi, ażeby wydawały jaja.

Tu więc zachodzi pewne podobieństwo z rozwijaniem się białek, których kapelusz i trzon są tylko zmianą zapłodnienia, gdy tymczasem ich *mycelium*, które jest ich zmianą roślinowniczą, może się rozmnażać nieograniczenie, nie przedstawiając cech indywidualności.

A zatem dla pomienionych zwierząt, należy odsiężyć i określenie gatunku; nie będzie już nim zebranie indywidualów przedstawiających te same cechy, lecz *poznanie postaci kolejnych, pod jakimi objawia się życie, bądźto w odosobnieniu, bądź we społeczności, u istot które powstają jedne z drugich.*

Przeszedłszy te zmiany rozwijania się stulbiowatych polipów i chełbi, ukazawszy że chełbie, w ostatnim stopniu wywinienia się swojego, wywracają kapelusz i tracą władzę odmieniania miejsca, ażeby funkcją niesienia jaj uzupełniły, pozostaje jedno jeszcze pytanie do rozwiązania: chełbie które widziałem tworzące się po dwu lub trzech leciach,

w słojach niebardzo obszernych i miernie oświetlonych utworzyłyby się jednakowemi i w wodach morza zawsze miotanych przy brzegu? albo czy nie są te chęłbie utworem przypadkowym dosyć rzadkim, który powstał jedynie pod warunkami szczególnemi słabego oświetlenia, spokojności lub odmiennego pokarmu? Byłoby tu jakieś podobieństwo z tém co się uczynić daje z owocowemi drzewami, na których ogrodnik może sprawić podług woli rozwinięcie się pączków na drzewo lub na kwiat?

Jeżeli więc tak jest, można się spodziewać ujrzenia w okolicznościach podobnych, jak z każdego stułbiowatego polipa powstaje odpowiednia żegawnica, i że nawzajem poznamy kiedyś z jakich stułbiowatych polipów te lub owe żegawnice pochodzą; jeżeli tylko nie ma gatunków szczególnych, tą właściwą im zdolnością obdarzonych, że w pewnych okolicznościach zewnętrznych rozmnażają się z pączków i cebulek, jak widzimy tego przykład na pewnych porostach mechach a nawet roślinach jawnoptyciowych, w których części owocowania tylko się wyjątkowo rozwijają.

Ależ i w tym przypadku nie byłoby przeciw rozsądkowi, względem pewnych stułbiowatych polipów, które dotąd pączki tylko albo cebulki wydają, jak nasza stułbia czyli polip wody słodkiej, doświadczać na rozmaicie odsiężany sposób z utrzymywaniem ich w warunkach mieszkania, pokarmu, ciepła i światła tych samych, pod jakimi one przedtém wszystkie zmiany rozwijania się swojego przebyły, końcem dowiedzenia się czyby nie wydały z czasem żegawnicy, mającej je odrodzić z jaj prawdziwych. (*Comptes rendus des Séances de l'Ac. d. Sc. T. XXI, n. 23, 8. Déc. 1845, i Fror. n. N. 1846, nr. 808*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

WARSZAWA.

78. Aktea, romans z dziejów starożytności napisany przez Alexandra Dumas. Przełożył L. P. 2 tomy. Warszawa. 1846. Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Tom I. str. 173. II. 152. Ztp. 8.

79. Droga wiary albo przewodnik religijny dla młodzieży wyznania Mojżeszowego, przez J. Elsenberga. Naucz(yciela) sz(koły) Rab(inów). 12ka. Warszawa. 1846. Druk Jana Jaworskiego. Str. 85. Rejestru karta 1. Ztp. 2.

80. Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława IIIgo przez Ł(ukasz) Gołębiowskiego, b. czynnego Członka i Sekretarza b. Towarzystwa Kr(ólewskiego) Warszaw(skiego) Przyjaciół Nauk. Tom I. Panowanie Władysława Jagiełły. 8ka. Warszawa. 1846. Druk S. Orgelbranda (Komis księgarni Ig. Klukowskiego). Kart 2 str. XXV i 573. Rejestru karta 1. Ztp. 12.

81. Do nru. 327 i 389 Kroniki z r. 1845.

Historyja Literatury Polskiej w zarysach K(azimierza) Wł. Wóycickiego. Tom IV. 8ka. Warszawa. 1846. Nakład G. Sennewalda, druk Józefa Unger. Kart 4 i str. 532. Spisu pren. str. VI.

82. Jerozolima wyzwolona Torkwata Tassa przekład Ludwika Kamińskiego. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1846. Druk St. Strąbskiego. (Komis księgarni Ig. Klukowskiego) Tom I. Kart. napis. 4, str. IV i 306. Tom II, kart 2 i str. 301. Rejestru karta 1. (W tomie I znajduje się rycina ryłca J. F. Piwarskiego, litograf. w Cynkografii Banku Polskiego). Ztp. 24.

83. Mappografia dawniej Polski, przez Edwarda Barona Rastawieckiego. 8ka. Warszawa. 1846. Druk S. Orgelbranda. Kart napis. i rejestru 3. str. X i 159. Ztp. 8.

84. O męczyznach, przez M(arcyannę) z N. J. X. S. M(irsk)ą. Z godłem:

Uczciwi i wytrwali
Panami świata się stali,

12ka. Warszawa. 1846. Druk Jana Jaworskiego. Str. 118. Rejestru karta 1.

85. Opis życia i czynów Pana Jezusa i z tychże wyprowadzone nauki dla młodzieży. Z 8 rycinami na stali. Z piętnastego wydania niemieckiego przełożył k. Paweł Rzewuski. 12ka. Warszawa 1846. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. XIII. i 373. Rejestru str. VI. Ztp. 9.

86. Pedagogika czyli nauka wychowania, ułożona przez Teodora Sierocińskiego Profesora Języka Polskiego, literatury i Pedagogiki w Instytucie Alexandryńskim. 8ka. Warszawa. 1846. Druk St. Strąbskiego (Komis księgarni Ig. Klukowskiego). Kart napis. 2 i str. 175. Wypisów z Pedagogiki wydanej przez B. T. Str. osobno liczb. 237. Rejestru str. V. Złp. 12.

Do Nru 57 Kroniki z r. b.

Pamiętka dla Eryczka przez Stanisława Jachowicza. Tomik drugi. Z ryciną. 12ka. Warszawa 1846. Druk Józefa Unger. Str. 118. Rejestru karta 1. Złp. 2.

87. Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV, i Jana Kazimierza z rękopismu wydał K. Wł. Woycicki. 8ka. Tom I. Warszawa. 1846. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 2 str. III i 288.

W I L N O.

88. Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów skreślona przez Ludwika z Pokiewa. (Jucewicza) Zgodłem:

Quis est, quem non moveat, rerum gestarum memoria, consignataque antiquitas. *Cicero.*

8ka, Wilno. 1846. Nakład Rubena Rafałowicza, druk M. Romma. Kart 2 str. V i 381. Rejestru kart 4. Złp. 15.

89. Nabożeństwo ku największej chwale Boga w Trójcy Świętej jedyne, Matki Bożkiej, tudzież śś. Patronów i Patronek, z różnych ksiąg przez Kościół Święty potwierdzonych. Dla użytku Niewiast Polskich przez Pewną Damę zebrane, a teraz przez jednego gorliwego Kapłana zupełnie przejrane, wielą modlitwami znacznie pomnożone, i na nowo do druku podane. (Z rycinami) 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. XXXVI i 900.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Ignacego Klukowskiego rozpoczętem zostało u St. Strąbskiego drukowanie ważnego dla krajowej historii naturalnej dzieła pod napisem: *Roslin jawnokwiatowych dziko w Polsce rosnących, tudzież pod gołem niebem hodowanych opisanie, z dodaniem uwag nad znacniejszymi familiami naturalnemi,* przez Jakóba Waga, Mag. fil. i profesora Gimnazjum w Łomży. Ta długich lat praca, wykonana ze ścisłym zastosowaniem się do obecnego stanu umiejętności, znakomicie wzmocni botaniczny oddział literatury, naszej, i stanie się niemałym wsparciem dla chcących naukowo rośliny krajowe poznawać. Mają być dwa tomy w 8ce.

Nakładem téjże księgarni wyjdą wkrótce następujące dzieła:
Podróż po obczyźnie, przez Kajetana Niepowie.

Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława III, przez Łukasza Gołębiowskiego tom IIgi, zawierający panowanie Władysława III.

J. I. Kraszewskiego: Historia Litwy.

Tegoż autora: Pamiętniki nieznanego i Teatr, przez Fryderyka hr. Skarbka.

Tom czwarty i ostatni: „Historyi Literatury Polskiej” w zarysach, już opuścił prasę drukarską. Obejmuje okres ostatni od 1825 do 1845 roku.

Nakładem S. Orgelbranda wyszły z drukarni tegoż: „Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza:” z rękopismu wydał K. Wt. Wojcicki. Tom I. Tom drugi już na zakończeniu, będzie miał dołączony *facsimil* oryginalnego rękopisu.

J. Korzeniowski nadesłał nową komedię w jednym akcie p. n. *Pani Kasztelanowa*. Adam Gorczyński ma ogłosić drukiem dramat w V scenach (aktach) wierszem.

U Hirszla drukuje się nowa powieść oryginalna, dwutomowa, pod napisem: „Zapóźnie.” przez Paulinę z L. Wilkońską, autorkę powieści *Wieś i Miasto*.

Au. Wi. autor Ramotek, zamierza wydać dwa tomy *in quarto*, z rysunkami, dzieła, pod napisem: „Wizerunki sławniejszych głupców”. Humorystyczny autor wyraża się w swojej przedmowie: „Dla kogóż nie będzie przyjemnością dowiedzieć się kiedy się *sławny głupiec* urodził, jakie wróżby towarzyszyły jego przyściu na świat, jak się już w pierwszej młodości głupstwo jego rozwijało, jakie przechodziło koleje, aż do pozyskania imienia *głupca sławnego*. Będzie to dzieło familijnych tajemnic, dzieło skrytości naszych przyjaciół i znajomych, a często i dla nas samych, stanie za najwierniejsze zwierciadło.”

Z nowości muzycznych ogłoszono tu: Fantazję na temat polski, skomponowaną na pianoforte przez Oskara Kolberga. Nabyć ją można po wszystkich składach muzycznych War. po złp. 4 egzemplarz.

WILNO.

Ukończono druk dwutomowej powieści Józefa Korzeniowskiego p. n. *Spekulant*: nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. W tymże zakładzie typograficznym kończą się także dwutomowe powieści Eleonory Szytmer.

PETERSBURG.

Ogłoszono prenumeratę na trzy tomy romansu historycznego *Li-stopad* p. hr. Rzewuskiego którego 2 tomy częściowo były wydane w Tygodniku Petersburskim.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1846.

| | Stron. |
|--|--------|
| Historya. | |
| Panowanie Konstantyna Wielkiego, wyjątek z tomu III Historji Rzymskiej <i>Jana Szwaynica</i> | 221 |
| Biografie. | |
| O życiu i pismach Michała Sędziwoja, przez <i>Juliusza barona Brincken</i> | 479 |
| Filozofia. | |
| Życie i systemat Jana-Chrzyciciela Vico. <i>Przekład z Micheleleta</i> | 245 |
| Teologia. | |
| Dewocya p. gienerala Kunickiego. Wyjątek z listu <i>ks. Stanisława Choloniewskiego</i> do J. I. Kraszewskiego.... | 451 |
| Prawo. | |
| Czy kapitały hypoteczne w Królestwie Polskiem są nieruchomością lub ruchomością? Przez <i>W. M.</i> | 46 |
| Nauki ekonomiczne. | |
| Jakie skutki na tutejszy kraj wyrze zmiana taryfy do parlamentu Ang. wniesiona przez Rob. Peel, a mianowicie niżona opłata od zboża i drzewa do Anglii wprowadzać się mającego? Przez <i>K. L. Wolickiego</i> .. | 118 |
| O warzelni soli i kąpielach w Ciechocinku, przez <i>Jana Nep. Rostworowskiego</i> | 126 |

| | Stron. |
|--|--------------|
| O handlu pijawkami we Francyi, i ich utrzymywaniu, p. <i>A. Wage</i> | 408 |
| O potrzebie i skutkach jawności w przedmiotach rolni- czych, a tém więcej w zakładach rolniczo-przemysło- wych..... | 650 |
| O nowych doświadczeniach w rolnictwie p. <i>S. Z.</i> | 648 |
| Statystyka. | |
| Pomnożenie się król. bibliotek w Berlinie w r. z..... | 180 |
| Towarzystwo geograficzne Rossyjskie..... | 181 |
| Wiadomości statystyczne o spożyciu w różnych krajach Europy, p. <i>S.</i> | 571 |
| Charakterystyka osób. | |
| Alexander Humboldt (Tłumaczenie z <i>Revue Britannique</i>), przez <i>Konstantego Wolickiego</i> | 1 |
| Hrabia Walicki i książę Fr. Sap. (Wyjątek z tomu 2 Pam. Bulharyna)..... | 162 |
| Powieści. | |
| Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez <i>Ad.</i> <i>Am. Kosińskiego</i> (ciąg dalszy)..... | 60, 276, 540 |
| Sztuki piękne. | |
| Oratorium kościelne męki Pana naszego Jezusa Chrystusa, czyli tryumf Ewangielii, ułożone z muzyką Józefa El- snera i t. d. przez <i>Karola Milewskiego</i> | 335 |
| Literatura. | |
| Poetyczna historia Rzymu, ze zwrotem na pieśni wszy- stkich ludów, p. <i>Jana Szymańskiego</i> | 387 |
| Pomniki językowe. | |
| Vigilie za umarłe lyudzye duszam wczysczu bardzo po- moczne (osobliwszy zabytek językowy)..... | 401 |
| Rozbiory dzieł. | |
| Wiadomości chemiczno-gospodarskie, czyli opisanie naj- ważniejszych potrzeb życia i t. d. Rozbiór przez <i>Se- weryna Dzditowieckiego</i> | 94 |
| Notatki z podróży muzycznej po Niemczech, odbytej w r. 1844 p. Wiktora Każyńskiego..... | 133 |
| Nowe lub niedokładnie opisane gatunki skamieniałości Ta- trowych, odkrył i opisał Ludwik Zejszner, Poszyt Iszy p. <i>H. Łab.</i> | 145 |
| Komplet wzorów na budowie włościąńskie, p. <i>A. Idżkow- skiego</i> | 150 |

| | |
|--|---------------|
| Dawid Mściwawicz książę na Łucku, czyli smutne zwycięstwo odniesione nad Mogolami..... | 153 |
| Dokładna nauka czyszczenia i naprawiania obrazów olejnymi, woskowymi, wodnymi i suchymi farbami malowanych i t. d. p. S..... | 158 |
| Niezapominajki, powieści moralne dla dzieci przez M. K. Monikowską, p. L. P..... | 160 |
| Cnota chłopczyka wynagrodzona, powieść dla dobrych dzieci, p. <i>tegoż</i> | 161 |
| Pod Włoskiem niebem fantazya, wyd. Bobrowicza, i Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku J. I. Kraszewskiego, p. K. W.... | 356 |
| Chorał Gregoryjański rytualny i t. d. objaśniony i przetłumaczony p. ks. Jana Jarmusiewicza, i <i>Choralbuch für die evangelische Gemeinde in Pohlen</i> i t. d. von An. Freyer i t. d. p. J. S..... | 360 |
| Zbiór wiadomości historycznych i aktów dotyczących dziejeń kościelnych na Rusi i t. d. przez ks. Jana Poceja i t. d. p. F. Z..... | 375 |
| Dodatek do recenzji dzieła p. t. „Zbiór wiadomości historycznych” i t. d. w zeszycie Biblioteki Warszawskiej na maj 1846 r. zamieszczonej p. <i>tegoż</i> | 640 |
| Dykcyonarz biograficzno - historyczny, czyli krótkie wspomnienia żywotów ludzi wstawionych i t. d. p. F. B.. | 384 |
| Nauka języka Polskiego z zasad Szreniawy, zeszyt I, stron. 122. Lwów. p. <i>Józefa A. Czajkowskiego</i> . (W liście do Red.)..... | 607 |
| Bigos hultajski, bzdurstwa obyczajowe, przez Izasława Bjeпоńskiego. Tom II. Wilno. 1846. przez K. W..... | 619 |
| Pamiętniki umystowe, wydane przez Jana ze Sliwina. Wilno. Tom 1 i 2 r. 1845; tom 3ci 1846, p. J. S..... | 626 |
| Ornitologia powszechna hr. Tyzenhauza..... | 637 |
| Nauki przyrodzone. | |
| Tabella ruchu jesiennego ptastwa w roku 1845, uważanego w Bychawce, położonej pod 51°3' szer. geogr. i 40°12' dług. Przez <i>W. Taczanowskiego</i> | 91 |
| Zkąd pochodzą zmiany temperatury? Przez <i>Alexandra Tolwińskiego</i> | 310 |
| Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: | |
| Astronomia i fizyka kuli ziemskiej p. J. B..... | 184, 653 |
| Fizyka p. S. P..... | 188, 419, 656 |
| Chemia p. J. B...ę..... | 190, 425, 660 |
| Mineralogia p. J. Bo..... | 194, 430, 664 |
| Zoologia p. A. W..... | 197, 437, 667 |

Inżynierya.

| | |
|--|-----|
| O żegludze parowej, a mianowicie o zastosowaniu w niej szruby Archimedes (Hélice), przez <i>Konstantego Rudzkiego</i> Inż. mach. p. W. Górn. Krajow..... | 507 |
|--|-----|

Technologia.

| | |
|---|-----|
| Czy można robić piwo z kartosli bez dodatku siodu? Przez <i>J. Koncewicza</i> | 175 |
|---|-----|

Korrespondencye.

| | |
|--|-----|
| Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od <i>M. Z.</i> | 182 |
|--|-----|

| | |
|------------------------------|---------------|
| Kronika bibliograficzna..... | 213, 442, 676 |
|------------------------------|---------------|

| | |
|-------------------------------------|---------------|
| <i>Doniesienia literackie</i> | 215, 446, 677 |
|-------------------------------------|---------------|

| | |
|--|--|
| Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum astronomiczném Warszawskiem: | |
|--|--|

| | |
|---------------------------|-----|
| za miesiąc luty r. b..... | 217 |
|---------------------------|-----|

| | |
|---------------------|-----|
| za — marzec — | 447 |
|---------------------|-----|

| | |
|-----------------------|-----|
| za — kwiecień — | 679 |
|-----------------------|-----|

SPROSTOWANIA.*W tomie IV z r. z.*

W opisanii nielota, na str. 512 w. 12, zamiast: Jedna szczecina nozdrzowa ciągnie się przez całą długość dzioba, błąd popełniony skutkiem niezrozumienia języka, tak ma być poprawiony: Szczecina zapuszczona w nozdrze, przechodzi całą długość dzioba.

W tomie poprzedzającym:

| Str. | wiersz | zamiast | czytać. |
|------|--------|---------|---------|
| 621 | 21 | dnia 10 | dnia 7 |

W tym tomie.

| Str. | wiersz | zamiast | czytać. |
|------|-----------|-----------|-----------|
| 128 | 8 od dołu | tanie | ta nie |
| 382 | 16 przyp. | statuemus | statuimus |
| | 24 | statua | statuta |
| | 30 | Dunino | Domino |
| 383 | 9 od dołu | statut | przywilęj |



| | mm. | ° | l. |
|---|------------|------------|--------|
| Średnia wysokość barom. miesiąc. | 746.226 | 27 | 6.800 |
| Najwyżej barometr dochodził d. 25 o g. 10 r. | 753.91 | 27 | 10.205 |
| Najniżej „ „ d. 7 o g. 4 w. | 731.80 | 27 | 0.404 |
| Średnia zmiana dzienna barometru | 2.79 | | 1.23 |
| Największa zmiana dzienna d. 26—27 o 6 g. r. | 13.09 | | 5.80 |
| Średnia wysokość barometru jest niższa o | 1.728 | | 1.208 |
| od stanu normalnego z 20 lat poprzed. | 748.954 | 27 | 8.008 |
| Średnia temperatura Kwietnia wynosi | + 9° 23 C. | + 7° 38 R. | |
| i ta jest wyższa o | 1.77 „ | 1.41 „ | |
| od stanu normalnego z 20 lat poprz. | + 7.46 „ | + 5.97 „ | |
| Największe ciepło doch. d. 23 o 4 w. | + 17.1 „ | + 13.7 „ | |
| Najmniejsze d. 1 o 6 r. | + 0.8 „ | + 0.6 „ | |
| (Termometrograf wskazał: Max. | | | |
| + 16.°4 R. d. 14; Min. + 0° 5 d. 1 r). | | | |
| Średnia zmiana dzienna temperatury | 2.25 „ | 1.80 | |
| Największa zmiana dzienna d. 26—27 o g. 6 r. | 7.2 „ | 5.76 | |
| Średnia wilgotność miesięczna wynosi 73.3 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 6,75 grammów na jednym metrze sześciennym powietrza. | | | |
| Dni pogodnych było 6; napót pogodnych 14; pochmurnych 10; | | | |
| — deszczu 14 (d. 1, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 14, 17, 26, 27, 29, 30). | | | |
| — gradu 1, (d. 17). | | | |
| — mgły 4 (d. 4, 8, 9, 15). | | | |
| — grzmotów 2 (d. 4, 14). | | | |

Wody z deszczu spadło 32.1 mil. czyli 14, 23 linij jest to prawie tyle, co spada w średniem przecięciu w tym miesiącu.

Kwiecień w r. h. był pogodniejszy i o pół stopnia cieplejszy niż w stanie normalnym; niektóre dni były tak ciepłe jak wśród lata; ciepło niekiedy do 16 stopni R. dochodziło. Mrozu i śniegu nie było ani razu. Deszcze lubo dość częste były jednak nie obfite; po tych następowały dni i nocy chłodne, osobliwie przy końcu miesiąca. Grzmoty były bardzo wczesne, gdyż pierwszy już d. 4 słyszano. Roślinność również wczesniejszą była niż zwykle, w końcu miesiąca drzewa owocowe już kwitły, a inne liściem były pokryte.

Wicher wiał tylko jeden PnZ.

Wiatr panujący był Zachodni i Południowo-Zachodni, częsty był także Wschodni.

D. 22 kolo świetne otaczało słońce, z dwoma bocznymi słońcami.

D. 30 takież kolo mniej wyraźne.

D. 25 przed wieczorem początek zaćmienia słońca w Warszawie widzialny.

D. 27, słowik pierwszy raz śpiewał.

W tym miesiącu wiele plam było widzialnych na słońcu.

